

ZDANIE

"Trzech na jednego"
Z ANDRZEJEM ROMANOWSKIM

Henryk Domański * Tomasz Goban-Klas * Tadeusz Kowalik * Andrzej Kozanecki * Paweł Kozłowski
Andrzej Kurz * Lech M. Nijakowski * Irena Paczyńska * Ryszard Sitek * Marian Stępień * Michał Śliwa
Janusz Tazbir * Józef Tejchma * Andrzej Walicki * Jacek Wojciechowski

Jan Polewka: BAL W OPEENIE

Roman Wysogład: PROZA

1-2 (138-139) 2008





(1939-2008)

Odszedł z naszego grona Mściwoj Olewicz. Wybitny artysta, który jako redaktor graficzny uczynił ze „Zdania” pismo rozpoznawalne wśród innych tytułów i niepowtarzalne. Był obecny w każdym numerze i na każdej stronie, od okładki poczynając, a na najdrobniejszych detalach opracowania graficznego całości kończąc. Na kształcie plastycznym „Zdania” wycisnął indywidualne, niezatarte piętno.

Związał się z nami na dobre i na złe od pierwszego numeru. Zmagając się z przestarzałą poligrafią i marnej jakości papierem w latach 80., a po wznowieniu „Zdania” w 1994 roku z brakiem środków na ambitniejsze projekty, potrafił mu nadać elegancką formę. Wiele mają mu do zawdzięczenia drukowani na naszych łamach pisarze, których wiersze i prozę potrafił pięknie i z wysublimowanym smakiem „obrysować”. Dawał tym samym dowód, że korespondencja sztuk możliwa jest także w prasie.

Był nie tylko wszechstronnym, wielce utalentowanym artystą, ale także wspaniałym człowiekiem, naszym przyjacielem i kolegą. Choć odszedł, pozostanie z nami jako autor projektu graficznego „Zdania”, który zamierzamy nadal realizować.

Zespół Redakcyjny „ZDANIA”

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1-2 (138-139) 2008

OD REDAKTORA

Zacznę od wiadomości krzepiącej. Od tego numeru „Zdanie” będzie się ukazywało dwa razy w roku – jesienią i wiosną. Wracamy więc po prawie dziesięciu latach do formuły kwartalnika o zwiększonej objętości (nr-y 1-2 i 3-4). Powrót do wydawniczej regularności zawdzięczamy Toruńskim Zakładom Graficznym „Zapolex”, które odtąd będą nam mecenasowały. Panu Prezesowi Jerzemu Polkowskiemu pragnę podziękować za ten piękny gest.

W numerze, który mam przyjemność zarekomendować, polecam – jak zwykle – rozmowę „Trzech na jednego”. Tym razem jej bohaterem jest prof. Andrzej Romanowski, którego mądre i odważne wypowiedzi są ozdobą dyskursu publicznego w Polsce. Z tej racji „Kuźnica” przyznała mu „Kowadło”, a „Zdanie” uprzystępnia uzasadnienie werdyktu i wystąpienie Laureata.

Nasz stały Autor, prof. Andrzej Walicki, udostępnił nam fragmenty niepublikowanego dotąd *Dziennika*, co poczytujemy sobie za wyróżnienie. Podobnie traktujemy obecność na naszych łamach – po raz pierwszy, ale wierzymy, że nie ostatni – prof. Janusza Tazbira. Gorąco zachęcam do lektury pozostałych tekstów, których autorzy i tytuły widnieją w zamieszczonym poniżej spisie treści.

Na koniec chciałbym z satysfakcją odnotować fakt, że odmładza się i wzmacnia kadrowo Zespół Redakcyjny „Zdania”, z czym jego dotychczasowi członkowie i ja osobiście wiążemy duże nadzieje.

EDWARD CHUDZIŃSKI

ANDRZEJ ROMANOWSKI AUTORYTARYZM TAK SIĘ WZARŁ W NASZĄ ŚWIADOMOŚĆ... („Trzech na jednego”)	3	85	Jerzy S. Łątka MAJOR KURAS NASZYM BOHATEREM JEST
Henryk Domański EKONOMICZNO-SOCJALNA LEWICOWOŚĆ I PRAWICOWOŚĆ	13	89	Tomasz Goban-Klas CZY MEDIA PSUJĄ DEMOKRACJĘ?
Tadeusz Kowalik SZOK BEZ TERAPII	16	92	Józef Tejchma POLITYKA, KULTURA, CENZURA W PRL
Ryszard Sitek HISTORIA FILOZOFII POLSKIEJ JAKO INSTRUMENT WYCHOWANIA DO TOLERANCJI	25	94	Roman Wysogład PROZA
Lech M. Nijakowski LEWICA PO AUSCHWITZ. LUDOBÓJSTWO JAKO TEMAT LEWICOWEGO DYSKURSU POLITYCZNEGO	31	101	LISTY FRANZA KAFKI DO MAKSA BRODA (II)
Andrzej Kurz GŁOS W SPORZE O POWOJENNE DZIEJE KRAKOWA	38	108	Marian Stepień POWRÓT DO ŚWIATA DZIECIŃSTWA PSYCHICZNĄ I MORALNĄ TERAPIĄ
Andrzej Kozanecki KRAKOWSCY NAUKOWCY WOBEC PROBLEMU ZIEM ZACHODNICH I POŁNOCNICH (1942-1948)	47	115	Jacek Wojciechowski MEANDRY WOLNOŚCI
KRAKÓW 1945-1989: DZIEJE, SPOŁECZENSTWO, KULTURA (doroczne sympozjum „Kuźnicy”)	51	118	Andrzej Kurz ANDRZEJOWI ROMANOWSKIEMU – Kowadło „KUŹNICY” (laudacja)
Irena Paczyńska POCZĄTEK BUDOWY NOWEJ HUTY – MIASTA I KOMBINATU	52	119	Andrzej Romanowski WIERNOSC
Jan Polewka BAL W OPEENIE	66	121	Adam Komorowski W LIRYCZNYM KLINCZU
Paweł Kozłowski KILKA SŁÓW WPROWADZENIA	68	124	Paweł Kozłowski POLITYKA JAKO SAMOGRANICZENIE
Andrzej Walicki CZY IDEA NARODU MUSI BYĆ WŁASNOŚCIĄ PRAWICY?	69	126	Jerzy Piekarczyk PARADA UŚMIECHÓW
Janusz Tazbir „SMUTNA FORMA PROTESTU”	75	127	Sceptyk KRACH MA WIELKIE OCZY
Michał Śliwa DWIE WIZJE DEMOKRACJI I PARLAMENTARYZMU	78	128	Pożegnanie MIECZYŚŁAWA F. RAKOWSKIEGO



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:

ANDRZEJ ROMANOWSKI

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

STEFAN CIEPŁY

FILIP RATKOWSKI

AUTORYTARYZM TAK SIĘ WZARŁ W NASZĄ ŚWIADOMOŚĆ, ŻE BEZ NIENAWIŚCI NIE UMIEMY ŻYĆ

EDWARD CHUDZIŃSKI: *Gdyby pan dostał z **Polskiego Słownika Biograficznego**, kt—regojest redaktorem naczelnym, zam—wienie na przygotowanie własnego biogramu, co jest oczywiście założeniem czysto hipotetycznym, bo wiadomo, że aby tam się znaleźć, trzeba najpierw umrzeć, jakby ta autobiografia wyglądała?*

ANDRZEJ ROMANOWSKI: Dobry żart. Ale gdyby potraktować go poważnie, musiałbym najpierw odwołać się do tradycji rodzinnych. A jak na kryteria PiS-owskie, mam dobre papiery. Rodzina katolicka, i patriotyczna. Żadnych partyjnych. Mój wuj Jan Bytnar-Rudy odbity z rąk Gestapo podczas akcji pod Arsenalem. Oczywiście nie znałem wuja, natomiast byłem w wielkiej przyjaźni z jego matką zmarłą dopiero w 1994 roku. To była moja ukochana ciocia, Zdzisława Bytnarowa, z którą utrzymywałem kontakt głównie korespondencyjny. Ona po cichu liczyła, że ja tradycje Bytnarów będę nadal kultywował. I coś było na rzeczy, bo w początkach mojej pracy w „Tygodniku Powszechnym” używałem pseudonimu Grzegorz Bytnar. Ale mam też inne pokrewieństwa – brat mojej babci od strony ojca, Tadeusz Załogowicz zginął w walkach z Ukraińcami w rejonie Lwowa w 1919 roku. Mój ojciec po nim otrzymał imię Tadeusz. Z kolei wuj od strony matki,

Władysław Armata zginął w Katyniu. I mam jeszcze wuja przyszywanego, z rodziny, która jest z moją rodziną zaprzyjaźniona od czasu pradziadków. To Stanisław Dydo, działacz WiN-u zamordowany przez UB we Wrocławiu 27 listopada 1948 roku. A więc, jak panowie widzicie, są to tradycje antykomunistyczne...

STEFAN CIEPŁY: *...i niekonieczne związane z humanistyką. Co więc pchnęło pana w stronę historii literatury?*

ROMANOWSKI: Może to, że zawsze byłem kiepski z matematyki?

FILIP RATKOWSKI: *Podobno nie ma ludzi kiepskich z matematyki, są tylko źle uczeni!*

ROMANOWSKI: O nie, to nie mój przypadek. Bardzo dobrze nas uczyli matematyki i fizyki, ale ja byłem absolutna nędza! Moją matematyczką była, urodzona w Omsku, córka zesańca syberyjskiego, pani Jadwiga Turkowska, legenda krakowskiego belferstwa powojennego. A fizyki uczył Wiesław Kremer, zwany przez wszystkich Owsikiem – genialny dydaktyk.

CHUDZIŃSKI: *Urodził się pan zatem i edukował w Krakowie?*

ROMANOWSKI: Tak, urodziłem się w Krakowie i uczyłem się tu w II Liceum im. Sobieskiego. Co praw-

da, nie lubiłem tego liceum i do dziś chętniej nawiązuję do tradycji mojej Szkoły Podstawowej nr 7 przy Szlaku, najstarszej w Krakowie. Nosiła imię św. Floriana i nigdy tego imienia nie została pozbawiona. W PRL-u patrona nie eksponowano, ale też nie nadano innego. W szkole średniej przechodziłem burzliwy okres dojrzewania, byłem uczniem zbuntowanym, pewnie stąd niechęć do mojego liceum.

CIEPŁY: A skąd się wziął wybór polonistyki?

ROMANOWSKI: Długo się wahałem między polonistyką a historią, zresztą klasa uważała, że raczej pójdę na historię. Ale pomyślałem wtedy bardzo samochwalczo, że z historią dam sobie jakoś radę sam, natomiast literaturę muszę postudiować – sam sobie z nią nie poradzę. I wyobraźcie sobie panowie, że to się jakoś sprawdziło. Karierę naukową kontynuuję z zaszczytnym tytułem profesora na polonistyce, ale historię też przecież jakoś uprawiam, choć jako kompletny samouk. W każdym razie pracuję dziś na Wydziale Polonistyki UJ i w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. Niezbadane są wyroki Boże...

CIEPŁY: Kogo by pan wskazał jako swoich mistrzów?

ROMANOWSKI: Pierwszy to Tomasz Weiss, u którego robiłem magisterium i doktorat. Ten doktorat był z poezji legionowej, co potem zaowocowało antologią *Rozkwitały pąki białych róż*. Ogromnie byłem z prof. Weissem związany i bez niego, bez jego pomocy nie byłoby mnie jako naukowca. Słuchałem też wykładów Kazimierza Wyki, który „żadnego nie kłął ruchu”. Przechodził płynnie od Słowackiego do Fredry, bo dla niego nie było literatury lepszej i gorszej, bliższej mu czy dalszej. Wyka kochał tradycję polską w całej jej złożoności. Uważał, że badacz powinien poruszać się po literaturze *sine ira et studio* i nie pokazywać swoich upodobań. A trzecim moim mistrzem jest Henryk Markiewicz – chyba najważniejszy, bo zdominował moje życie. Najpierw dlatego, że w roku 1976 zaprosił mnie do współpracy przy słowniku cytatów *Skrzydlate słowa*. Moja znajomość z Markiewiczem była do tego momentu bardzo powierzchowna. Zdawałem u niego egzamin z pozytywizmu i Młodej Polski – tyle. W dodatku potwornie się go bałem, bo po pierwsze był strasznie mądry, a po drugie dla mnie, katolika, ideowo zupełnie obcy. Dziś tamte obawy wydają mi się zabawne, bo gdybym np. miał wskazać kogoś, kto mnie uczył polskości, to bym od razu powiedział: Markiewicz. On został ukształtowany przez dwudziestolecie międzywojenne razem z jego wszelkimi subkulturami i pluralizmami, i jego legendarna erudycja inspirowała moje naukowe zainteresowania. Toteż moje długi wobec prof. Markiewicza są nieprawdopodobnie i do spłacenia niemożliwe. W końcu to on mi przekazał *Polski Słownik Biograficzny*. Ale mam też mistrzów pozauniwersyteckich: to krąg starego (broń Boże nie obecnego) „Tygodnika Powszechnego”: Mieczysław Pszon, Józefa Hennelowa, Krzysztof Kozłowski. No i – z innych rejonów – Jacek Kuroń i Adam Michnik – wielcy bohaterowie, jedni z największych, jakich Polska miała w moich czasach.

CHUDZIŃSKI: A ci mistrzowie uniwersyteccy – czy mieli też wpływ na pańską orientację metodologiczną?

ROMANOWSKI: Nie bardzo, bo lubiłem (za bardzo lubiłem, jak dziś to widzę) chodzić własnymi drogami.

Chyba najsilniejszy był wpływ prof. Markiewicza, choć jak wiadomo uczony ten słynie z tego, że nic nikomu nie narzuca. Pamiętam, jak w czasach Gierka przyszły dyrektywy, żeby młodzież lepiej kształtować w duchu marksizmu-leninizmu i odbyło się w tej sprawie otwarte zebranie partyjne. Markiewicz wstał i całą dyrektywę tak wyinterpretował, że sprowadził ją do aprobaty pluralizmu.

RATKOWSKI: W końcu miał rację, bo marksistowską metodologią posługiwać się może każdy, nawet katolicki personalista prosto spod skrzydeł Maritaina.

ROMANOWSKI: Być może. W każdym razie wtedy po raz pierwszy ujrzałem klasę prof. Markiewicza.

RATKOWSKI: Czy w świecie historyków ma pan jakiegoś swego mistrza?

ROMANOWSKI: Takich mistrzów mieć nie mogę, bo moja edukacja historyczna skończyła się na maturze... Ale miałem okresy fascynacji różnymi nurtami w naszej historiografii. Uwielbiam Janusza Tazbira z jego nieustannym, przekornym doszukiwaniem się ukrytych znaczeń. Z dawnych historyków fascynował mnie Szymon Aszkenazy.

CHUDZIŃSKI: Korzona pan też często przywołuje.

ROMANOWSKI: Tak, tym nurtem, który jest apoteozą polskiej drogi do wolności byłem wręcz przesiąknięty. To także dlatego tak bliska mi była (co nie znaczy, że bezdyskusyjnie przeze mnie przyjmowana) publicystyka Jana Nowaka Jeziorańskiego. Ale dziś czuję się chyba bardziej związany ze „szkołą krakowską”.

CHUDZIŃSKI: Czy dlatego, że zanegowała *liberum conspiro*?

ROMANOWSKI: Doświadczenia III RP wyleczyły mnie z bezrefleksyjnej apoteozy nurtu narodowowyzwoleńczego naszej literatury historycznej. Zjawiska, które obserwuję obecnie, to bezkrytyczne, żenujące chwalstwo, wyzbyte elementów refleksji. Tego nie ma u Korzona ani u Aszkenazego, a np. Henryka Mościckiego stać było na oddanie sprawiedliwości margrabiemu Wielopolskiemu.

Ale nie powiedziałem o jeszcze jednym mistrzu moich lat chłopięcych. Był to Eugeniusz Kwiatkowski. Miałem szczęście go poznać, gdy miałem ukończonych 12 lat i śmiem twierdzić, że darzył mnie on przyjaźnią. Zapytałem go kiedyś, dlaczego nie działa, dlaczego nie próbuje realizować własnych ideałów? A on wtedyacytował Bernanosa, że jeśli przeciwnik jest ode mnie silniejszy sto razy, rzucę się na niego z kłami i pazurami, ale jeśli tysiąc razy, to siedzę spokojnie i to, co mam w sobie, staram się przenieść do bardziej pomyślnych czasów. I tą repliką wskazał mi sensowność postawy Stańczyków, co z kolei doprowadziło mnie z biegiem lat do „Tygodnika Powszechnego”. W tamtym „Tygodniku” w najtrudniejszych czasach widziałem ogromnie ważną dla mnie i dla bardzo wielu innych szkołę tradycji, wartości i wielkiego politycznego realizmu. A może najważniejsze było to, że redakcja nie manipulowała przy tej tradycji, pokazywała ją w całej złożoności, jak ogród nieplewiony.

RATKOWSKI: „Tygodnik Powszechny” był jeszcze niesłychanie ważny z innego powodu, stanowił bowiem przeciwwagę dla nurtu paxowskiego w polskim katolicyzmie!

ROMANOWSKI: Tak, to był inny katolicyzm zwany otwartym, który mógł zawsze nawiązać dialog z każdym – z niewierzącym, z socjalistą... Dzisiejsi redaktorzy „Tygodnika” wyparli ze świadomości fakt, że ważną postacią tamtego czasu był dla tego środowiska abp Helder Camara, reprezentujący nurt chrześcijaństwa dla biednych. Pamiętam publicystykę Jerzego Turowicza z tamtych lat i wiem, że on sam, Turowicz, tak siebie określał: chrześcijański socjalista. W ten sposób odbierał PZPR prawo do mianowania siebie jedyną „lewicą”. Mówił otwarcie: chrześcijanie też są lewicowi i postępowi. Więc oczywiście odbierał też ten monopol PAX-owi na postępowy katolicyzm.

CHUDZIŃSKI: Ale to nasz papież Jan Paweł II zwrócił się przeciw teologii wyzwolenia i „Tygodnik Powszechny” stał się mniej otwarty.

ROMANOWSKI: „Tygodnik” rzeczywiście po wyborze papieża się zmienił. Ale nie było wyjścia. To była dla pisma ogromna szansa medialna, a także możliwość pokazania, że „nasze na wierzchu”, że katolicyzm jest wartością żywą. Siłą rzeczy redakcja musiała jednak zmodyfikować swój radykalizm soborowy, czy posoborowy. Zresztą z teologią wyzwolenia sprawa wcale nie była oczywista, figura Chrystusa z karabinem na ramieniu ocierała się o głęboką herezję.

CHUDZIŃSKI: A nie przeszkadzało panu, że wtedy zaczęto skrót „TP” rozszyfrowywać jako „Tygodnik Papieski”?

ROMANOWSKI: Nie przeszkadzało, bo uważałem, że tak trzeba. Zresztą Karol Wojtyła był dla mnie wyjątkową postacią. Pamiętam moje rozmowy z Jerzym Giedroycem, który był wobec papieża bardzo krytyczny. Pamiętam, jak bardzo broniłem przed nim papieża... i w ogóle polskiego Kościoła. Dla mnie papież to był wtedy nie tylko duchowy, lecz także polityczny drogowskaz. Byłem wtedy ogromnie katolicki i strasznie antykomunistyczny.

CIEPŁY: A w tym samym czasie ja, po wyrzuceniu z „Gazety Krakowskiej”, pracowałem w „Życiu Literackim”, przy tej samej ulicy Wiśniej. Tam mówiło się, że w „Tygodniku Powszechnym”, na drugim końcu Wiśniej ma swoje gniazdko prawica, przeokropnie konserwatywna, a tutaj jest lewica. I co się stało potem? Co widzę dzisiaj? Kiedy patrzę na pana, na prof. Łagowskiego, Adama Szostkiewicza, okazuje się, że prawdziwa lewica była *de facto* tam! Bo z tego, co było po drugiej stronie Wiśniej, co było „Życiem Literackim” nie zostało nic, albo jakieś drobne okruchy.

CHUDZIŃSKI: Ale oto dochodzimy do dat ważnych dla pana profesora, do powstania „Solidarności” i głębokiego pańskiego zaangażowania w ten ruch i działalność podziemną...

ROMANOWSKI: Ale nie uważam się za ważnego działacza podziemia. Najpierw, w czasie „karnawału »Solidarności«,” byłem typowym, „Tygodnikowym” realistą, najdalszym od wszelkich radykalizmów, zresztą w zasadzie nie działałem na szerszym forum. Owszem, do „Solidarności” wstąpiłem od razu, ale uważałem, że od działania są mądrzejsi. Potem się okazało, że może niekoniecznie mądrzejsi, i może trzeba było działać, więc teraz uważam swą postawę za błąd, za jeden z wielu moich grzechów zaniechania. Natomiast gdy wybuchł stan wojenny, to ja stałem się zoologicz-

nym antykomunistą. Gdy patrzę dziś na siebie samego z tamtych czasów, to sądzę, że z Macierewiczem z dzióbków byśmy sobie pili.

CHUDZIŃSKI: Miał pan okazję spotkać się z nim w owych czasach?

ROMANOWSKI: Nie, Pan Bóg uchronił. Ale każdy partyjny był wtedy moim osobistym wrogiem. Zapewne nie powinienem się w tym gronie tak obnażać, ale traktuję tę rozmowę jako rodzaj rozrachunku z samym sobą. A ja wówczas naprawdę strasznie się wściekłem! Uważałem, że zostały przekroczone wszelkie granice, że złamano wszelkie ustalenia, że zerwano dialog. Sądziłem też, że to niesłychanie demoralizuje społeczeństwo, że polski żołnierz, w polskim mundurze, spalił ten mundur strzelaniem do narodu. Dziś wiem: nie doceniałem radykalnego nurtu w „Solidarności”. Byłem na to ślepy, bo w „Solidarności” miałem do czynienia z Kozłowskim, Turowiczem czy Michnikiem. Że był sobie Andrzej Rozpłochowski, który rzekł: „Trzeba im tak dopierdolić, żeby kuranty moskiewskie zagrały *Mazurka Dąbrowskiego*” – o tym pojęcia nie miałem. A jeżeli miałem pojęcie – to te zjawiska uważałem za margines. Tymczasem to był embrion PiS-u.

RATKOWSKI: Z tych, którzy wówczas siedzieli cicho, teraz nadrabiają własne zaniechania. Zupełnie inne niż pańskie zaniechania.

ROMANOWSKI: Nie miałem też świadomości, że stan wojenny, z całym tym kubłem nienawiści, który został wylany, był w istocie działaniem w rękawiczkach. Liczba ofiar całego okresu stanu wojennego – według obliczeń IPN! – sięga 100 osób. Całego okresu – a to już jest nieściste, bo dolicza się tu tajemnicze morderstwa jeszcze z roku 1988. Tymczasem przewrót majowy w r. 1926 pochłoniął 379 ofiar w ciągu trzech dni.

RATKOWSKI: A do tego trzeba by doliczyć ofiary wydarzeń krakowskich z 1936 roku, rozstrzelane strajki chłopskie, pacyfikacje na Wołyniu i w ogóle na „kresach”.

ROMANOWSKI: Takich zestawień wówczas nie brałem pod uwagę i – tak jak dziś PiS – idealizowałem Polskę międzywojenną. No i skąd mogłem wiedzieć, że Jaruzelski odda władzę?

CIEPŁY: A nie zauważył pan wówczas, że jest coś takiego jak nurt reformatorski w PZPR? I że ta orientacja w gruncie rzeczy wygrała? I że był to w istocie potężny nurt, który chciał być i był partnerem „Solidarności”?

ROMANOWSKI: Ale to byli ludzie, którzy odeszli z partii, a ja miałem na myśli tych, którzy w niej zostali. Choć, owszem, część reformatorów została. Czy jednak ten nurt był potężny? Widzi pan, użyto wobec nas siły, a my nie odpowiedzieliśmy siłą choćby dlatego, że „nie mieliśmy armat”. Ale musieliśmy przynajmniej się okopać. Rzecz w tym, czy potem umiało się wyjść z tych okopów. Sprawa jednak oczywista: aby mogło dojść do transformacji ustrojowej, po drugiej stronie musiał być partner.

CIEPŁY: Nie tylko liderzy, ale też jakieś poważne zaplecze.

ROMANOWSKI: Całkowicie zostało wyprane ze świadomości społecznej, że w styczniu 1989 roku Jaruzelski, Kiszczak, Siwicki i Rakowski złożyli swoje funkcje partyjne w imię relegalizacji „Solidarności”. Tego im nikt nie pamięta, natomiast każdy wie o stanie

wojennym. Tymczasem moim, naszym, psim obowiązkiem jest docenić partnera! Gdyby po drugiej stronie stał ktoś w rodzaju Ceaușescu, niczego byśmy nie zyskali, poza trupami.

RATKOWSKI: Podejrzewam, że gdyby Jaruzelski w odpowiednim momencie przywrócił konstytucję kwietniową z jej mechanizmami sterowania demokracją, rządziłby do dziś!

ROMANOWSKI: No, nie! U władzy by nie pozostał. Zostawmy to jednak na boku, bo spór byłby czysto teoretyczny.

CHUDZIŃSKI: Przypomnijmy może, że przy tej samej Wiśniej znajdowała się wówczas „Kuźnica” z redakcją „Zdania”, które przez partyjny beton postrzegane były jako zbiorowisko opozycji wewnątrzpartyjnej. Część redakcji „Zdania” oddała legitymacje partyjne, a jednak jakoś redakcja funkcjonowała z etykietką wrogów partii! Mamy też swój udział w budowaniu podstaw do dialogu z opozycją. Mieliśmy zresztą pretensje do Jaruzelskiego, że był zbyt słabo wsłuchany w ten nurt i zbyt ostrożnie posuwał się w tym kierunku. Mieliśmy blisko generała swojego człowieka, Wiesława Górnickiego, który mówił nam, że kręgi intelektualne w PZPR stanowiły zbyt słabe oparcie dla generała w porównaniu z aparatem partyjnym, który miał w rękę realną władzę.

ROMANOWSKI: Absolutnie się zgadzam. Ale to dziś. Wtedy, kiedy czołgi wyprowadzono na ulicę, patrzyliśmy na was jako na ludzi, którzy są listkiem figowym dla tej brutalnej, bandyckiej władzy. Cóż, przyznaję, że wasza pozycja była nie do pozazdroszczenia. Wtedy byłem równie ślepy na Rozpłochowskiego, jak na reformatorów w partii.

CHUDZIŃSKI: Kiedy zaczęła się ewolucja pańskich poglądów?

ROMANOWSKI: Wtedy właśnie, gdy zobaczyłem Jaruzelskiego w roku 1989. Oto ten, którego traktowałem jako kata „Solidarności”, którego w swej publicystyce aluzyjnie przyrównywałem do Wielkiego Księcia Konstantego, czy do generała Berga..., gdy zobaczyłem, że ten człowiek gotów jest zaryzykować odejście ze stanowiska, byle tylko „Solidarność” reaktywować – świat stanął do góry nogami. I nie ważne są motywy, mogły być całkiem niskie, co z tego? Jedno było niewątpliwe: Jaruzelski wykroczył poza horyzont własnej formacji. Tu przypis. Moja fascynacja dawnym „Tygodnikiem Powszechnym” brała się stąd, że tam wszyscy umieli wychodzić poza swój horyzont. Mieczysław Pszon to był przedwojenny endek i antysemita; widziałem w archiwum UJ jego podpis pod apelem o getto ławkowe. Tymczasem to właśnie Pszon uczył mnie pokory wobec Żydów, wobec Holocaustu, wybijał mi z głowy polonocentryzm. A mój mistrz i wielki przyjaciel Stanisław Stomma? Z tego przedwojennego piśmudczyka zrobił się po wojnie orędownik geopolityki Dmowskiego. A Józefa Hannelowa z jej formacją katolicyzmu przedwojennego i z jej powojennym współtworzeniem katolicyzmu otwartego? Otóż poza horyzont swej formacji wyszedł też gen. Jaruzelski.

CHUDZIŃSKI: Czy patrząc na „Solidarność” z wczesnego okresu nie podejrzewał pan, choćby z racji naukowych zainteresowań, że w tym monolocie muszą pojawić się pęknięcia, różne opcje,

tendencje, resentymy, które nie będą panu odpowiadały?

ROMANOWSKI: Otóż nie. Kompletnie sobie z tego nie zdawałem sprawy! Sądziłem, że ten monolit będzie trwał, że jest to ta nowa jakość w polskim uprawianiu polityki i że potrafimy stworzyć wielki, wielonurtowy obóz, który będzie reformował kraj...

RATKOWSKI: Jedność moralno-polityczna narodu! Gierek się kłania!

ROMANOWSKI: Zgoda! Możecie się śmiać z mojego politycznego infantyliżmu.

CHUDZIŃSKI: Ale przecież już wtedy tyle było literatury podziemnej, na dodatek tak zróżnicowanej, że można było się zorientować, kto, spod jakiego znaku wojuje!

ROMANOWSKI: Być może moje lektury były jednostronne. No i wszelkie różnice zdawały się w sumie drugoplanowe. Ja naprawdę sądziłem, że ten nowy blok, w swojej „jedności moralno-politycznej” będzie stopniowo eliminował PZPR i siły starego reżimu. Ale też – i to mnie chyba zawsze różniło z kolegami – że będzie on zawłaszczwał przyzwoite elementy dawnego systemu.

RATKOWSKI: I w pewnym sensie miał pan rację, bo przecież po czerwcowych wyborach tak to wyglądało.

CIEPŁY: Ale musiał pan koło Jaruzelskiego widzieć także Rakowskiego, który jako redaktor naczelny „Polityki” funkcjonował w świadomości polskiej inteligencji.

ROMANOWSKI: Ale Rakowski bardzo mocno zaangażował się w rozgrywkę z „Solidarnością”. Może tylko werbalnie, ale to przecież słowa bolą najmocniej. Rakowski, Urban – tych ludzi wtedy się nienawdziło.

RATKOWSKI: Ale jesteśmy już po wyborach czerwcowych, Przed nami konieczność głębokich reform, które wspiera nawet frakcja PZPR, a na czele państwa światło umysłu...

CHUDZIŃSKI: Porozmawiajmy zatem o micie założycielskim III RP, skoro panu przypadła rola jednego z najgorętszych obrońców tego mitu.

ROMANOWSKI: Mit ten opisał kilkakrotnie Andrzej Walicki i rzeczywiście: konstrukcja III RP była głęboko antykomunistyczna. Dziś powiem: za głęboko. Ale wtedy bardzo mi to odpowiadało, a i teraz mi odpowiada, choć tylko jako konstrukcja intelektualna, bo któż z nas nie jest antykomunistą?. Rozmawiałem w Londynie z liderką polskich socjalistów na emigracji Lidią Ciołkoszową, która powiedziała: my socjaliści mieliśmy zawsze dwóch wrogów: faszystów i komunistów. Bo socjaliści byli demokratami, a tamte formacje były totalitarne.

RATKOWSKI: Ale cóż to za totalitaryzm komunistów? Totalitaryzm wtedy jest prawdziwy, gdy stoi za nim poparcie narodu!

ROMANOWSKI: To nieważne – zgódźmy się, że komunizm nie był demokratyczny. Co to jednak dziś znaczy: być antykomunistą? Dla polityków to poręczne narzędzie do uderzania w SLD.

CHUDZIŃSKI: A komunizm jest tylko etykietką, którą można obdarować każdego człowieka o poglądach lewicowych, albo o „niesłusznej” przeszłości czy choćby rodowodzie.



Wręczenie Kowadła (patrz s. 118).

Fot. Grzegorz Kozakiewicz

ROMANOWSKI: Według mnie na mit założycielski III RP składa się antykomunizm, legalizm, czyli uznanie ciągłości polskiej władzy państwowej, oraz idea „Solidarności”, która ma źródła chrześcijańskie. I tu zapewne panów zgorszę, bo nawet z Adamem Michnikiem mam w tej sprawie poglądy rozbieżne. Otóż ja ogromną wagę przywiązuję do ciągłości władzy państwowej – poprzez emigrację londyńską. Dla mnie momentem kluczowym było przekazanie insygniów prezydenckich Lechowi Wałęsie.

CHUDZIŃSKI: **A ten trzeci element mitu: idea „Solidarności”? Czy to także wybaczenie po chrześcijańsku?**

ROMANOWSKI: Idea „Solidarności” polega na czymś jeszcze bardziej oczywistym. Do wybaczenia nie każdy jest zdolny, ale każdy powinien respektować fakty. Otóż, kiedy przeciwnik oddaje władzę, kiedy Jaruzelski „znika” uginając się przed wolą narodu – rachunki są skończone. Mało tego: Jaruzelski kapitulując w roku 1989 przed „Solidarnością” stał się współtwórcą polskiej niepodległości. Panowie, mój bunt przeciw PRL-owi polegał na tym, że wszystko co mnie otaczało, było kłamstwem. Więc nie wolno kłamać także teraz. Nie wolno nam, ludziom „Solidarności”, kłamać na temat roku 1989. Na temat roku 1989, który był zasługą Okrągłego Stołu. Idea „Solidarności” obejmuje od tego momentu wszystkich, cały naród, łącznie z siłami starego reżimu, bo one *de facto* przyłączyły się do „Solidarności”.

CHUDZIŃSKI: **Mamy więc tę Trzecią RP, ataki jej wrogów z braćmi Kaczyńskimi na czele, a pan przytacza całą listę argumentów na jej obronę: tolerancję, pluralizm, niewykluczanie, z którego wywodził**

się opór przeciw dekomunizacji. Jednak na mit założycielski III RP cieniem się kładą lata 80., dwubiegunowy model społeczeństwa podzielonego stanem wojennym. A konsekwencją tego była słabość owych szlachetnych założeń. Gdyby przeanalizować zawartość „Gazety Wyborczej” w pierwszych latach transformacji i w okresie rządów Millera, to mogłoby się okazać, że i ona, atakując bezpardonowo lewicę, przyłożyła rękę do zwycięstwa PiS-u! Podejrzewam, że mogło mieć to źródło w biografii intelektualnych dawnej opozycji demokratycznej. Niektórzy z jej znaczących przedstawicieli prześcigali się w radykalizmie w obawie przed przypomnieniem grzechów młodości. Pamiętam, co Aleksander Smolar pisał w 1993 roku przed wyborami: nie głosujcie na lewicę, bo za trzy miesiące będą puste półki, a utwierdzał go w tej opinii znany ekonomista prof. Winiecki, też były towarzysz. Przy zmasowanym ataku na Millera i jego ekipę, w dużej części zasłużonym, alternatywą okazały się PiS i „Samoobrona”! Od „Gazety Wyborczej” można było oczekiwać więcej umiaru i wyobraźni.

ROMANOWSKI: Ja bym „Wyborczej” nie obarczył współodpowiedzialnością za utworzenie PiS-owi drogi do władzy. Michnik od dawna widział w SLD partnera, a nie chłopca do bicia, by nie powiedzieć „do zabicia”. Publikował u niego Cimoszewicz, Siemiątkowski, Jerzy Wiatr. Większą winę ponoszą inne kręgi opiniotwórcze, w Krakowie choćby „Tygodnik Powszechny”. Nawet Ewa Milewicz swój znany tekst, że „SLD mniej wolno” opublikowała właśnie na tych łamach – nie w „Wyborczej”. Ta gazeta bardzo dużo zrobiła dla porozumienia narodowego. I zapłaciła za to wysoką cenę.

CHUDZIŃSKI: Mnie bardzo jest bliska linia obrony III RP, którą pan prezentuje, natomiast znajduję w niej słabe punkty...

ROMANOWSKI: Ależ absolutnie ma pan rację. Jak wtedy, w 1981 roku, nie widziałem w „Solidarności” Rozpłochowskiego, tak teraz, w III RP, dokonuję jej idealizacji. Przecież pamiętam wiele nikczemnych aktów wymierzonych w ludzi wywodzących się z tak czy inaczej rozumianego starego systemu. I jestem tu świadom, że III RP założyła IPN. Trzecia RP sama sobie uplotła postronek na szyję.

CHUDZIŃSKI: To III RP wykreowała Rzeczpospolitą Czwartą?

ROMANOWSKI: Tak, uczynili to ci, którzy uważali, że jak ktoś jest z „Solidarności”, to już z definicji musi być lepszy niż okropny „komuch”. Któż jak nie Aleksander Hall ukuł pojęcie „Polska posierpniowa”? Otóż z takim myśleniem ja się fundamentalnie nie zgadzam. I nie zgadzałem. To było wezwanie do społecznej nierówności. U końca tej drogi pojawił się PiS.

CIEPŁY: A sprawa jest poważna, bo nie dotyczy tylko PiS-u i jego zwolenników, ale dużej części społeczeństwa. To, czego działacze „Solidarności” dokonali na swych liderach: Wałęsie, Geremku, Borusewiczu, Bartoszewskim, Mazowieckim, Michniku, Chrzanowskim... Kto, na miłość boską, jeszcze nie został opluty? To przecież coś nieprawdopodobnego z punktu widzenia normalnego człowieka!

ROMANOWSKI: O tym mówimy, ale niedawno prof. Marian Stępień wydał książkę *Kontury w mroku*, w której opisał „sprawę” Tadeusza Hołuja.

CIEPŁY: To samo!

RATKOWSKI: Rewolucja pożera własne dzieci. Nasza na szczęście tylko w przenośni.

ROMANOWSKI: Kiedyś Jan Nowak Jeziorański przypomniał mi, co pisał Jan Długosz o naszej nacji. Pisał, że Polaków wyróżnia skłonność do postugiwania się oszczerstwem, plotką. Od siebie dodam, że wyróżnia nas też instykt stadny, brak odwagi cywilnej. Niby tacy indywidualiści jesteśmy, a brak nam odwagi wyrażania własnego zdania.

CHUDZIŃSKI: I pewnie dlatego, jak sam pan zauważył odbierając w „Kuźnicy” nagrodę „Kowadła”, na palcach jednej ręki można policzyć obrońców generała Jaruzelskiego. Nawet na lewicy nikt nigdy tak przekonywająco jak pan nie bronił tego człowieka. Nawet jeśli wielu widzi rzecz tak samo czy podobnie jak pan, nie ma odwagi tego wypowiedzieć.

ROMANOWSKI: Bo w moim przekonaniu lewica ma ciągle kompleks nieprawego pochodzenia. A to jest nieuzasadniony kompleks i chcę to powiedzieć jako człowiek z tej drugiej strony. PZPR ma swój udział w odbudowie kraju i w roku 1956, i potem w wielu sferach życia. Tu przypomnę, co mówił Stanisław Stomma o roku 1956 – że wtedy „partia przeszła na stronę narodu”. Zgoda, nie była to tendencja trwała, ale ileż z tego zostało w różnych momentach historycznych. Dlatego uważam, że nie powinniście mieć kompleksów, że karki lewicy muszą się wyprostować. Dziś, w obliczu PiS-u, rachunek sumienia musi robić przede wszystkim moja „solidarnościowa” formacja.

CHUDZIŃSKI: Klub PZPR w Sejmie zachowywał się lojalnie, nawet wobec swoich niedawnych koa-

licjantów, którzy przeszli na stronę „Solidarności”. A przecież bez jego wsparcia reformy Balcerowicza byłyby niemożliwe!

ROMANOWSKI: Bliski panom Andrzej Urbańczyk, skądinąd kiedyś jeden z moich mentorów, bo pod jego kierunkiem współpracowałem w latach 1970 z dwutygodnikiem „Student”... Pamiętam, że w latach 90. rozmawialiśmy w Rynku na kawie i on mi przypomniał to poparcie lewicy dla Balcerowicza. A ja już o tym poparciu zapomniałem! No cóż, moja strona nigdy nie chciała przyznać postkomunistom – tego określenia używa się z lubością – współudziału w tym naszym wspólnym, narodowym sukcesie, jakim stała się III Rzeczpospolita. I to jest fundamentalne kłamstwo III Rzeczypospolitej.

RATKOWSKI: Dlatego III RP była dla PiS-u nie do przyjęcia. Bo PiS też o tym wie!

CIEPŁY: Przemilczanie prawdy, nie tylko przez ludzi PiS-u, jest dla mnie haniebne. Niedawno zmarł prof. Szczepan Pieniążek, ale w żadnej z gazet nie znalazłem nawet wzmianki o nim. A zmarł człowiek, który – cóż z tego, że w czasach PRL-u – zmienił w znacznej mierze kształt polskiego rolnictwa!

RATKOWSKI: Tu raz jeszcze widzimy skutki polityki historycznej, realizowanej przecież nie tylko przez PiS.

ROMANOWSKI: Bo istnieje wyraźna skłonność do tworzenia obrazu nie tylko czarno-białego, ale też jednostronnego. Jeśli PiS buduje tradycję piłsudczykowską, to ja, przepraszam panów z lewicy, upominam się o Dmowskiego. To była tradycja co najmniej tak samo ważna dla podwalin II Rzeczypospolitej jak piłsudczykowska, a kto wie, czy nie ważniejsza. Ponadto II RP idealizuje się w sposób tak bezczelny, jak PRL w latach stalinowskich bezczelnie ją zniesławiało.

CHUDZIŃSKI: Rzeczywiście, w tych latach o Polsce międzywojennej nie można było powiedzieć ani jednego dobrego słowa. W podręczniku Matuszewskiego twórczość Witkacego i Schulza uznano za przykład zdegenerowanej kultury burżuazyjno-mieszczańskiej. Dziś ten sam Matuszewski w programie telewizyjnym o Gałczyńskim wytyka mu związki z socrealizmem i dokonuje ocen moralnych. Metoda ta sama, tylko stosowana *z rebour*. O PRL-u należy mówić tylko źle.

ROMANOWSKI: Nie uznawałem PRL-u za swoje państwo. Uważałem, że ma nieprawe pochodzenie, że to dziecię Stalina, i stąd moje pielgrzymki do Londynu, do mojego prezydenta na uchodźstwie...

CHUDZIŃSKI: Nie tylko Stalin pochylał się nad tą kolebką, ale jeszcze kilku innych panów w Teheranie, Jałcie i Poczdamie!

ROMANOWSKI: Chcę jednak dokończyć tę myśl. Bo mimo tego, co przed chwilą powiedziałem, ja pozostaję dłużnikiem PRL-u. Tu się wychowałem, a moi różni wychowawcy mnie nie indoktrynowali. Przekazywali mi wszak tradycję niesklamaną, przemilczając tylko niektóre fakty, tak niemożliwe wtedy do przepchnięcia, jak wojna bolszewicka czy Katyń. Wychowała mnie szkoła popaździernikowa i dzisiaj mogę bez wstydu odwoływać się do nabytej wówczas wiedzy. Nasza inteligencja, którą się dziś tak pomiała, umiała przechować najważniejsze wartości.

RATKOWSKI: Jest jeszcze inny rodzaj wiedzy – domowej. Dla mnie odkryciem były rozmowy

z ludźmi w okolicach 1980 roku, kiedy okazało się, że rzeczywiście wielu z nich nie słyszało o Katyniu. Ale przemilczenia nie wolno utożsamiać z zakłamywaniem. Nieobecność Katynia w liczącej XIII tomów *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* jest ważniejsza niż jakieś agitacyjne broszurki Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, które rzeczywiście tę zbrodnię przypisywały Niemcom. Nieobecność Katynia w encyklopedii jasno dowodziła niezgody autorów, a i władz też po trosze, na fałsz tak drastyczny.

CHUDZIŃSKI: Gomułka przyjął strategię przemilczania, gdyż mimo oferty Chruszczowa by prawdę ujawnić, bał się wzrostu nastrojów antyradzieckich i tak już zostało. Krótko mówiąc – „likwidacja” PRL-u na płaszczyźnie politycznej jest możliwa, ale w kulturze jest to zabieg nie do przeprowadzenia. Wajda proponował na przykład, by w Pałacu Kultury zrobić „Muzeum Komunizmu”. Pomyślałem wtedy, jakież filmy będzie się tam pokazywać. I – czyje? Wajda przecież wtedy nakręcił swoje najlepsze rzeczy, podobnie Zanussi i wielu innych.

ROMANOWSKI: Jest więc w moim myśleniu londyński legalizm i tego się nie zapieram. Ale jest też przeświadczenie, że PRL był jedynym realnym państwem polskim i że jego elity starały się zachować – na ile to było możliwe – poczucie ciągłości. I że władze do pewnego stopnia na to pozwalały, z czego wielu z nas nie zdaje sobie sprawy. Na pierwszym roku polonistyki daję moim studentom do ręki *Słownik Współczesnych Pisarzy Polskich* wydany w 1963 roku i pytam: jak sądzicie – czy będzie tu Gombrowicz albo Miłosz? Oczywiście nie będzie! – mówią. A czy będą wymienione publikacje w „Kulturze” paryskiej? – Niemożliwe! A czy w *Polskim Słowniku Biograficznym* wydawanym w PRL-u znajduje się biogram tak ważnego członka WiN-u, jak Franciszek Niepokólczycki? Albo straconego w r. 1948 rotmistrza Witolda Pileckiego? Wszystko to jest i moi studenci nie posiadają się ze zdziwienia. Dziś możemy się tym szczycić – polska inteligencja w PRL-u nie zawiodła. Ale przecież był też ktoś, kto to puszczał! Ten cenzor, który puszczał i jego szef, który o tym wiedział, i przymykał oczy. I ostatecznie też któryś z sekretarzy KC PZPR, komu podlegały wydawnictwa.

CHUDZIŃSKI: Bywają rzeczy zdumiewające. Na nowych podręcznikach wychowane zostało całe pokolenie, które sądzi, że ich poprzednicy o Mrożku, Miłoszu czy Gombrowiczu dowiadywali się z wydawnictw drugiego obiegu. Tymczasem w antologii Maciejewskiego i Grochowiaka z 1974 roku *Od »Bogurodzicy« do Barańczaka* znajdziemy 20 wierszy Miłosza – tyle samo co Iwaszkiewicza, Tuwima i Gałczyńskiego, w tym wiersz *Który skrzywdziłeś człowieka prostego*, z którego cytaty znajdują się na pomniku stoczniovców w Gdańsku. I nigdy wcześniej ani nigdy później poezje Miłosza nie ukazały się w większym nakładzie niż w WL-u w latach 80. Pół miliona egzemplarzy!

ROMANOWSKI: Mówi się: „oprawcy stanu wojennego”. Tymczasem akurat wtedy na tzw. „froncie ideologicznym” nastąpiło poluzowanie. Wydano m.in. *Miazgę* Andrzejewskiego i wiele innych wstrzymanych wcześniej pozycji. A pod koniec lat 80. w Instytucie Filologii Polskiej UJ „drugi obieg” był normalnie do kupienia.

Przecież ktoś na to – jeżeli nie zezwalał, to przymykał oczy. Albo taki przykład: w roku 1983 byłem głównym kolporterem drugiego obiegu na uniwersytecie. Pewnego razu wpadam do mieszkania, gdzie odbierałem bibułę. Otwiera nieznajomy facet, prosi do środka. Powiada: – Ania zaraz przyjdzie – i wyciąga legitymację SB. Zawieźli mnie na Mogiłką, spisali. I za parę godzin puścili. Ale za miesiąc miałem jechać do Anglii na zaproszenie profesora Zbigniewa Pełczyńskiego z Oxfordu. Już sam fakt, że w roku 1983 bezpartyjny inteligent jedzie na Zachód, coś mówi o „oprawcach stanu wojennego”. Tu jednak ten inteligent działa w dodatku w „solidarnościowym” podziemiu. Myślałem: nie dadzą paszportu. Dali!

RATKOWSKI: Może myśleli, że pan nie wróci i chcieli pozbyć się kłopotu?

ROMANOWSKI: Nawet w okresie największego przykręcania śruby, przy całej antyzachodniej retoryce, władze dbały o to, by, gdzie można, kładki z Zachodem nie były zrywane. Na mój wyjazd ktoś musiał pozwolić. Dlatego gdy mówię, że jestem dłużnikiem PRL, jestem też dłużnikiem tych anonimowych ludzi tamtego systemu. Czy z liberalizmu to robili, czy z cynizmu, czy z wygodnictwa – ale robili. Mogę być bardzo przeciw tym ludziom, ale chyba wypada mi powiedzieć im: dziękuję.

CHUDZIŃSKI: Pisał pan sporo o polityce historycznej, czemu ona miała służyć w IV RP?

ROMANOWSKI: To, co PiS realizował pod szyldem „polityki historycznej” przypomina to, co robili komuniści w okresie stalinowskim. Nie później, nie przez cały PRL, ale właśnie w okresie stalinowskim.

RATKOWSKI: Była to raczej polityka przemilczeń niż nachalnej indoktrynacji!

ROMANOWSKI: Ale komuniści robili to, co im kazał hegemon. Katynia nie wolno było poruszać, zamazywano prawdziwy obraz przewrotu bolszewickiego w Piotrogradzie, opowiadano bzdury o Dzierżyńskim, ale dzisiejsze niebezpieczeństwo polega na tym, że manipuluje się już na nasz własny rachunek, a manipuluje się przy wszelkich możliwych obchodach rocznicowych. Gdy była rocznica 1956 roku, nasze środki masowego przekazu mówiły wyłącznie o Węgrzech! Fakt, że był jakiś przełom w Polsce, że pojawił się jakiś Gomułka – to kompletnie zniknęło z pola widzenia. W „Tygodniku Powszechnym” ukazał się nawet tekst zatytułowany *Rok, który ocalił system*. Dlaczego akurat w „Tygodniku”, który Październikowi zawdzięcza swe istnienie – to tajemnica dzisiejszej redakcji. Wczoraj dowiedziałem się z telewizji, jakie postacie są związane z 1989 rokiem. Wymieniono nawet Michnika, wspomniano o Wałęsie, ale Lech Kaczyński i Andrzej Gwiazda stali się centralnymi postaciami tej relacji. A o Kuroniu – ani słowa! Ani o Geremku. A w innej, większej skali eksponuje się wyłącznie wydarzenia dotyczące walki zbrojnej, i to z odcieniem martyrologicznym. Lechowi Kaczyńskiemu najwyraźniej bliski jest tylko taki aspekt walki zbrojnej, który wiąże się z wielką liczbą ofiar: gdy wylano możliwie dużo krwi i gdy dotknęła nas możliwie największa klęska. Tymczasem, owszem, trzeba pamiętać o ofiarach, ale nie można historii narodu fundować wyłącznie na martyrologii, na klęsce. Narodowi potrzebna jest świadomość, że czasem coś się udaje. Jaka rachuba polityczna stała za działaniami ks. Stanisława Brzóska



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

z powstania styczniowego i Józefa Kurasia-„Ognia”, antykomunistycznego partyzanta? Nie było żadnej! To była walka dla samej walki. Otóż takiej walki nie wolno prowadzić narodowi, który chce przetrwać. Mogę tu przywołać słowa Romana Dmowskiego, że postawa „dzisiaj twój triumf, albo zgon” powinna być piętnowana jako antynarodowa. Ale prezydent Kaczyński zdaje się lubić tylko takich bohaterów. Brzóska dostaje order, Kuraś dostaje pomnik... Zauważmy: podobną politykę historyczną, politykę naświetleń i przemilczeń, prowadzili komuniści przed 1956 rokiem, gloryfikując KPP, a przemilczając jej hekatombę 1937 roku.

CIEPŁY: Czy nie sądzi pan, skoro o polityce historycznej mowa, że efektem tego „polskiego piekła”, a w rezultacie niejednoznaczności przekazu jest fakt, że Europa upadek komunizmu identyfikuje nie z Gdańskiem i nie z „Solidarnością”, a z rozbiorową muru berlińskiego?

CHUDZIŃSKI: Byłem kiedyś w Pradze przed domem, na którym jest tablica poświęcona powstaniu praskiemu w 1945 roku. W tym powstaniu zginęło parę osób, myśmy poświęcili miasto i 200 tysięcy ludzi. Dziś Pragę odwiedzają miliony turystów, którzy dowiadują się o powstaniu praskim. Nie wiem, czy doczekam kiedyś kolejnej rocznicy powstania warszawskiego, kiedy będzie można przypomnieć, co o sensowności jego wywołania mówili Anders, Karcki, Kisielewski, Miłosz, Andrzejewski.

ROMANOWSKI: Paweł Jasienica napisał w latach 40. minionego wieku w „Tygodniku Powszechnym”, że powstanie było wymierzone „militarnie przeciw Niem-

com, politycznie przeciw Sowietaom, demonstracyjnie przeciw Anglosasom, a faktycznie przeciw Polsce”. Gdy to kiedyś zacytowałem, słuchacze byli zaszokowani. Nie mogli uwierzyć, by ktoś taki jak Jasienica mógł taką opinię sformułować. Bo dzisiaj jest odwrotnie. Powstanie 1944 roku urosło do rangi mitu. Marek A. Cichocki, jeden z moich ulubionych twórców „polityki historycznej” napisał kiedyś, że rocznicę Powstania Warszawskiego Polacy chcą świętować, chcą się z niej cieszyć. Czy jednak Japończycy powinni się cieszyć rocznicą Hiroszimy? Cały dramatyzm naszej historii, dramatyzm wyborów ideowych, moralnych i politycznych, został zamieniony w oleodruk. Historia Polski stała się papką dla półgłówków.

RATKOWSKI: Uwielbiamy oleodruki, bo to lekkie, łatwe i przyjemne, a przy tym wyraziste. To literatura faktu – myślę o gazecie „Fakt”, największej w Polsce!

ROMANOWSKI: Jednak takimi problemami polityk w ogóle nie powinien się zajmować. Od tego są historycy, albo różne inicjatywy społeczne. A już w każdym razie Prezydent RP nie powinien angażować się w kult „Ognia”, który wśród ludności słowackiej jest traktowany jako bandyta.

CHUDZIŃSKI: I nie tylko wśród Słowaków.

ROMANOWSKI: Żeby była jasność: ja osobiście, także jako „uczeń” ks. profesora Józefa Tischnera, wyznaję coś w rodzaju kultu „Ognia”, jestem wrażliwy na jego legendę. Ale nie może to prowadzić do wybiórczego traktowania historii. Tak samo zaś nie wolno mi traktować tych, co kultu tego nie podzielają, jako kogoś politycznie podejrzanego.

CIEPŁY: A co pan sądzi o kolejnej odsłonie wal-ki o „politykę historyczną”, czyli o lustracji w Spo-łecznym Komitecie Odnowy Zabytków Krakowa?

ROMANOWSKI: Co mogę sądzić? Opadają ręce.

CHUDZIŃSKI: Ale co dalej? Lustracja trwa, IPN trwa, będą się pojawiały nowe nazwiska rzucane na żer... Jak długo jeszcze?

ROMANOWSKI: Tak długo, póki nie wyrwiemy z korzeniami myślenia, które tkwi w okopach stanu wojennego, czyli tego, co ja nazywam zbiorczo „idea »Solidarności«”. Bo „idea »Solidarności«” to nie jest jakiś szlachetny, idealistyczny twór, który nie ma odniesień do rzeczywistości. Owa „idea” coś znaczy, a tu i teraz znaczy rzeczy bardzo niepokojące. Dzisiaj jest to nienawiść i dzielenie społeczeństwa na lepszych i gorszych. Jakieś idee „antylewicowości”, najdalsze od „Solidarności”, która z samej swej istoty nikogo nie miała wykluczać.

CHUDZIŃSKI: W czasach stalinowskich też wy-tykano „złe pochodzenie”.

RATKOWSKI: Znaczna część pracowników IPN to nie bojownicy stanu wojennego, ale młode ka-dry, które nie brały udziału w walce z „komuną” i teraz nadrabiają ten brak wyłapując po krzakach niedobitki.

ROMANOWSKI: Jest też ciekawa generacja ludzi urodzonych ok. roku 1960. Pokolenie Kurtyki, Gowina, Rokity. Rzadko pamiętamy, że ich młodość przypadła na czasy Gierka.

RATKOWSKI: I teraz żądają gierkowskiej „jed-ności moralno-politycznej narodu” ≠ rebout!

ROMANOWSKI: Gorzej. Na nich, młodzieńkich i nieopierzonych, spadła „Solidarność”, a potem stan wojenny z dychotomicznym podziałem społeczeństwa. I tak już zostało. Oni nie mają tego, co miała moja ge-neracja, „dzieci Października”. Bo przecież nie wyob-razam sobie, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby po drodze nie było Października 1956 roku. Moja szkoła PRL-owska stale się pogarszała, a XX wiek totalnie fałszowała, ale była to jednak szkoła - nie waham się powiedzieć - patriotyczna.

CHUDZIŃSKI: Traktowanie PRL jako czarnej dziury w kulturze zakłamuje obraz tamtej rzeczy-wistości. Obaj ze Stefanem Ciepłym funkcjonowa-liśmy w kulturze studenckiej – ja jako kierownik literacki Teatru STU, Stefan jako szef klubu Pod Jaszczurami. Świat był podzielony, ale dla nas do-stępny. Jeździliśmy za granicę ze spektaklami, któ-re nie mieściły się w schemacie oficjalnej polityki kulturalnej. I ten, kto nas puszczal, dokładnie wie-dział, co puszca i kogo. A MSZ przyznał nam dy-plom za upowszechnianie kultury polskiej w świe-cie.

ROMANOWSKI: Także dlatego chcę się dziś upo-mnieć o tych, „którzy puszczali”. To nie są ludzie, z któ-rymi byłoby mi po drodze. Dziś też wątpię, byśmy się dogadali. Ale ktokolwiek cokolwiek „zwolnił”, „puścił”, „dopuścił do druku” – temu mam obowiązek powie-dzieć to niewielkie i nic niekosztujące słowo: „dziękuję”. Warto się przełamać i uznać, że czasem tym właśnie ludziom zawdzięczamy tę niewielką porcję wolności, z której w PRL mogłem korzystać.

CHUDZIŃSKI: W PRL była całkiem niemała przestrzeń wolności intelektualnej i artystycznej, zwłaszcza w sztukach asemantycznych.

ROMANOWSKI: Nasza sytuacja odbijała się bar-dzo korzystnie na tle całego bloku. Zgoda, że społeczeństwo to wywalczyło. Ktoś jednak na to zezwalał. I diagnozy tej nie zmieni nawet uznanie, że dla Moskwy byliśmy poletkiem doświadczalnym, o którym pisał Jó-zef Mackiewicz.

CHUDZIŃSKI: Kiedy I sekretarzem w Krakowie był Józef Klasa mieliśmy także najlepszy okres „Studenta”. Potem to się skończyło.

ROMANOWSKI: Mój ojciec, który jako lekarz zna-ł się w Ludowym Wojsku Polskim, opowiadał mi, że w październiku 1956 roku generał UB Jan Frey-Bie-lecki dostał od sowieckiego generała Turkuła rozkaz marszu na Warszawę. Odpowiedział: „ja tego rozka-zu nie wykonam, bo jestem Polakiem!” Frey-Bielecki ryzykował głową. Więc choć oczywiście będziemy go pamiętać jako ubeka, to nie wolno zapomnieć także o tej jego decyzji. Mam moralny obowiązek każdemu oddać sprawiedliwość. Natomiast kiedy powstaje pań-stwo niepodległe, wzajemne rzucanie się do gardel jest już po prostu zbrodnią. Tego robić absolutnie nie wolno – w imię przyzwoitości i prawdy, ale także w imię racji stanu. W czasach rządu Tadeusza Mazowieckiego pa-nicznie się bałem puczu ze strony twardogłowych. Nic takiego się nie stało. Nóż w plecy wbili temu rządowi Kaczyńscy, ale nie Jaruzelski z Kiszczakiem. Otóż wi-dząc to – ja z moim antykomunistycznym legalizmem emigracyjnym musiałem wyjść poza swój ideowy ho-rizont. Tak jak poza swój horyzont umieli wyjść wspo-mniani już Eugeniusz Kwiatkowski, Mieczysław Pszon, Stanisław Stomma... Ten ostatni w wyborach roku 2000 głosował na Aleksandra Kwaśniewskiego.

CHUDZIŃSKI: Mam przed sobą artykuł Romana Graczyka, który nie może panu darować takiej po-stawy. Pisz o skrajnościach w obozie „Solidarno-ści” i konkluduje: „Różnica jest tylko taka, że jed-ni nawiedzeni ze skrajnej prawicy straszą zdradą w Magdalence, a u Romanowskiego ten moim zda-niem wyimaginowany sojusz ma wartość pozytyw-ną”.

ROMANOWSKI: To znaczy – jaki sojusz?

CHUDZIŃSKI: Sojusz „Okrągłego Stołu”...

ROMANOWSKI: A jaką może mieć inną wartość niż pozytywną? Albo się dobrze życzy temu społeczeń-stwu, albo źle. Niech się Graczyk zdecyduje.

CHUDZIŃSKI: Na koniec porozmawiajmy o pana zainteresowaniach naukowych: Kresy północno-wschodnie, Białoruś, Litwa...

ROMANOWSKI: Nie lubię pojęcia „kresy”. Ja mam optykę miłoszową. Dla poety to nie były żadne „kresy”, bo nic tam się z polskości nie kończyło. Ja też więc mam taką wizję Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, choć oczywiście nie mam zamiaru niczego rewindyko-wać...

RATKOWSKI: ...choć w ramach Unii Europej-skiej może da się to kiedyś zrobić.

ROMANOWSKI: Właśnie. To chcę powiedzieć. W ramach Unii Europejskiej już dziś przecież mamy nową unię polsko-litewską...

RATKOWSKI: Rozmawiałem niedawno z Alek-sandrem Milinkiewiczem. Opowiadał, jakim dy-skofortem było dla niego wyniesione z radzieckiej szkoły przekonanie, że Białoruś nie miała swojej historii. Rosja tak, Polska też, ostatecznie Litwa...

I trwało to tak długo, dopóki nie uprzytomnił sobie, że Polska Jagiellońska jest właśnie częścią tej jego historii! I to łącznie z kaplicą Św. Trójcy na Wawelu pomalowaną dla Kazimierza Jagiellończyka przez majstr—w z Pskowa

ROMANOWSKI: A w Mińsku jest dawny kościół rzymsko-katolicki siostr bernardynek przerobiony na cerkiew – też świadectwo dawnej Rzeczypospolitej. Mając w sobie ten obraz Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, której ostatnimi relikwiami były osoby urodzone jeszcze poza granicami II RP, jak Stomma, Miłosz czy Giedroyc, uważam, że moim obowiązkiem narodowym, społecznym czy europejskim jest pokazywanie pewnej wspólnoty. Bo trzeba szukać porozumienia w imię wspólnej historii i pokazywać, skąd się to wszystko wzięło.

Pamiętam swoją fascynację tamtymi ziemiami, o których w PRL najpierw nie było wolno, a potem raczej nie należało mówić. Zbierałem, trochę z przekory, jakieś wspomnienia i pamiętki, bo moja rodzina miała lwowskie korzenie i to mnie bardzo brało. Ważnym wyjazdem mojego życia była wizyta w 1979 roku w sowieckim jeszcze Wilnie, gdzie nagle zobaczyłem imiona naszych władców w innej wersji: Žygimantas Augustas, Steponas Batoras. To był dla mnie jakby awers i rewers tej samej historii. Stąd we mnie pokutuje to poszukiwanie wspólnoty i dlatego napisałem moją przedostatnią książkę *Prawdziwy koniec Rzeczy Pospolitej*.

CHUDZIŃSKI: **Kończąc ją cytatem z Mochnickiego pisze pan, że może właśnie dlatego, że nie był on etnicznym Polakiem, mógł się zdobyć na tak bardzo wnikliwy sąd o nas, o Polakach.**

ROMANOWSKI: Bo myślę sobie czasem, że największą mądrość Polaków mieli ci, którzy wywodzili się z pogranicza. Albo tam się urodzili, albo mieli korzenie ukraińskie, czy – jeszcze częściej – żydowskie. Powiem więcej – ci ludzie najbardziej Polskę kochali, bo oni widzieli w niej ideał, do którego stale trzeba dążyć. Niekiedy nie przeszkadzało to im mieć świadomości podzielnej, podwójnej. No ale na tym polegała tożsamość obywatela Rzeczypospolitej Wielu Narodów.

CHUDZIŃSKI: **Co też oznaczało: „Ja, obywatel Wielkiego Księstwa Litewskiego”.**

RATKOWSKI: **Piłsudski też niekiedy mówił o sobie jako o Litwinie.**

CHUDZIŃSKI: **Nasza prawica nie mogła tego Miłoszowi darować.**

ROMANOWSKI: Można nie rozumieć, nie wiedzieć, czym była wieloetniczna Polska Jagiellońska. Ale można też nie być chamem. Pamiętacie panowie spektakl nienawiści po śmierci Miłosza, gdy powstał problem, czy można go pochować na Skalce? Tak, niewiedza nie jest grzechem – grzechem jest chamstwo. Nie sądziłem, że po doświadczeniach PRL dożyję czegoś takiego. I że będą to robili ludzie, którzy się kiedyś przeciw takim manipulacjom buntowali.

RATKOWSKI: **Może oni nie walczyli przeciw takiej władzy, tylko o taką władzę?**

ROMANOWSKI: Może w idei „Solidarności” jest coś, co jest nie do przyjęcia dla człowieka z jako tako rozbudowanym sumieniem?

CHUDZIŃSKI: **Co pana dziś najbardziej nurtuje, a może i boli?**

ROMANOWSKI: Boli mnie upadek politycznego centrum. Sam je kiedyś współtworzyłem, zasiadając

przez lata we władzach centralnych Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Zawsze bliskie mi było poszukiwanie tego, co sprzyja jakiemuś porozumieniu, dogadywaniu się, budowaniu mostów, płaszczyzn współdziałania. Oczywiście przy zachowaniu pełnej autonomii stron, wszelkich różnic, ba! nawet przy braniu się za tby. Tymczasem w zjawisku, które zbiorczo nazywamy IV RP, nie ma mowy o współdziałaniu, nie istnieje dobro wspólne. Jest tylko dobro nasze. Co więcej, przerywa się ciągłość. Cokolwiek by się powiedziało o PRL, jedno jest pewne: inteligencji polskiej udało się zachować ciągłość tradycji. Tymczasem wedle dzisiejszej wykładni PRL to czarna dziura, a elity z tamtej epoki – także i przede wszystkim elity opozycyjne – należy wymienić. Najlepiej drogą lustracji.

CHUDZIŃSKI: **Bo te elity są zawadą! Mają większy mandat społeczny i przeszkadzają.**

ROMANOWSKI: W czasach stalinowskich usiłowano, bez powodzenia, dokonać „pieriekowki”. Dziś również podejmuje się działania, które po pierwsze niszczą możliwości współdziałania ludzi z różnych obozów, a po drugie zrywają ciągłość kultury i tradycji. Autorytaryzm tak się wżarł w naszą świadomość, że bez nienawiści nie umiemy żyć. A może jako naród zmęczyliśmy się już samym wzlotem i już do niczego się nie nadajemy. A przecież Historia podarowała nam na talerzu wszystko. Jak to wykrzyknął papież Wojtyła? „Ale nam się przydarzyło!” Tymczasem włączył się już odwieczny polski pęd do autodestrukcji, „popęd samobójczy”, jak pisał Korzon.

CHUDZIŃSKI: **Może jednak – „nasz naród jak lawa”?**

ROMANOWSKI: Polska potrzebuje nowego człowieka. Musi on mieć kręgosłup ze stali, a nie z gumy do żucia. Trzeba umieć wypowiadać swoje poglądy, nie bać się tego. Wbrew pozorom, to społeczeństwo ceni odwagę cywilną.

CHUDZIŃSKI: **A więc dokąd zmierzamy?**

ROMANOWSKI: Nie wiem dokąd, ale na pewno Polska wymaga prawdy. A nie jest to prawda papierów ubeckich. Jeśli nie zdobędziemy się na mówienie prawdy, to wychowamy społeczeństwo, które będzie kalekie, wyzbyte tradycji. „Czyń każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży” – pisał w początkach XIX wieku Kazimierz Brodziński. Każdy z nas ma obowiązek wykazać się odwagą, by mówić prawdę o każdym wycinku rzeczywistości. Tradycja i historia wyzbyta dramatycznych zakrętów i dylematów przestanie być atrakcyjna. Czy mają ją odkłamywać dopiero nasze wnuki? Czy nie szkoda podarowanego nam czasu? Naszego społeczeństwa, narodu? Żyjemy w wolnym państwie i powinniśmy z tego wyciągnąć wnioski.

CHUDZIŃSKI: **Dziękujemy za rozmowę, dzięki czemu mogliśmy lepiej poznać pana poglądy i opinie na wiele spraw, które nie są i panu, i nam obojętne.**

Rozmawiali:
EDWARD CHUDZIŃSKI
STEFAN CIEPŁY
FILIP RATKOWSKI

Kraków, 23 września 2008 r.

HENRYK DOMAŃSKI

EKONOMICZNO-SOCJALNA LEWICOWOŚĆ I PRAWICOWOŚĆ

Spróbuję pokazać, jak w Europie kształtuje się podział na lewicowe i prawicowe poglądy w kwestiach „ekonomiczno-socjalnych”, odwołujących się do pozytywnej lub negatywnej oceny nierówności społecznych, roli państwa w wyrównywaniu szans i udzielania pomocy ubogim. Historycznie rzecz biorąc, znaczenie tego podziału związane jest z rozwojem nowoczesnych demokracji parlamentarnych.

W klasycznej definicji demokracji, której autorem jest Joseph Schumpeter, zwraca się uwagę na fakt, że polega ona na rywalizacji o przywództwo przy zaistnieniu alternatywnych programów i sytuacji wyboru. Zacytujmy: „metoda demokratyczna jest tym rozwiązaniem instytucjonalnym dochodzenia do decyzji politycznych, w którym jednostki uzyskują moc decydowania poprzez walkę konkurencyjną o głosy wyborców”.¹

Wraz z kształtowaniem się systemów demokratycznych podstawową osią wyborów stawał się podział na partie o orientacjach lewicowych i prawicowych, i właśnie wokół nich zaczęły się koncentrować preferencje wyborcze. Zróżnicowanie w kwestiach „ekonomiczno-socjalnych” jest chyba najbardziej utrwalonym w świadomości społecznej przeciwstawieniem lewicy i prawicy, wywołującym najsilniejsze konflikty. Najogólniej rzecz mówiąc, lewica oznacza tu większe poparcie dla polityki interwencjonizmu państwowego w walce z rozwarstwieniem społecznym i sprzeciw wobec wzrostu nierówności, podczas gdy na prawicy sytuują się przeciwnicy egalitaryzmu, wskazujący na potrzebę pozostawiania tych spraw racjonalności rynkowej.

Warto przypomnieć, że różnice te mają podbudowę ideologiczną, wyrastają one również z odmiennych doktryn ekonomicznych i teorii sprawiedliwości społecznej. Pisali o tym m.in. Fryderyk Hayek, Michael Walzer i John Rawls. Jeżeli chodzi o ideologiczne przesłanki lewicowego podejścia, to jego podłożem były socjalizm i marksizm – wskazuje się tu, że celem polityki powinno być ograniczanie nierówności, ponieważ najważniejsze jest maksymalne zaspokojenie potrzeb, wyeliminowanie wyzysku i biedy.

Alternatywne podejście reprezentuje ekonomiczny liberalizm, w którym wychodzi się z założenia, że nierówności są konieczną ceną, jaką należy zapłacić za utrzymanie właściwych proporcji ekonomicznych i przyzwoitego tempa rozwoju.

O ile rzecznicy lewicy krytykują założenia liberalizmu za brak wrażliwości na krzywdę społeczną, to liberałowie odpierają ten zarzut stwierdzeniem, że beneficjentami nierówności jest nie tylko garstka ludzi bogatych, ale i kategorie o niskim statusie, ponieważ zamożność przedsiębiorczych jednostek powoduje wzrost zamożności ogółu. Przedstawiciele biznesu tworzą miejsca pracy, co przyczynia się do powstawania nowych firm, zwiększa szeregi dostawców, klientów i przedsiębiorców, a to w oczywisty sposób napędza inwestycje, koniunkturę i prowadzi do podniesienia stopy życiowej.

Przejdźmy od teorii do faktów. Wyniki badań prowadzonych w różnych krajach wskazują, że tak lewicowość jak liberalizm znajdują odzwierciedlenie w świadomości społecznej – ludzie dzielą się na zwolenników lewicowego i prawicowego podejścia w zależności od takich cech, jak poziom wykształcenia, pozycja zawodowa, czy wielkość dochodów. Najbardziej interesujące jest to, że różnice te dochodzą również do głosu w postaci zróżnicowania między społeczeństwami – z jednej strony są kraje, których mieszkańcy są bardziej skłonni popierać interwencjonizm państwowy, ograniczanie nierówności i ustanowienie minimalnego wynagrodzenia, nawet gdyby dokonało się to kosztem obniżenia wzrostu gospodarczego; z drugiej – mamy kraje, w których rozwiązania te spotykają się ze sprzeciwem lub popierane są rzadziej.

Cytowane ustalenia pochodzą z badań międzynarodowych realizowanych w latach 1991-1992.² Więcej zwolenników interwencjonizmu państwowego i zmniejszania nierówności było w tym czasie w społeczeństwach postkomunistycznych; w porównaniu ze społeczeństwami zachodnimi częściej wskazywano w nich

¹ Schumpeter, Joseph A. 1995 [1943]. *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*. Warszawa: PWN.

² *Social Justice Project* z 1991 i *International Social Survey Program* z 1992 r.

również na konieczność alokacji usług i dóbr według potrzeb (np. liczebności rodzin), a nie tylko osobistych osiągnięć jednostek. Jeżeli chodzi o kraje zachodnie, to dotychczasowe analizy wskazują, że polityka interwencjonizmu i (kojarzony z lewicowością) proegalitaryzm uzyskiwały stosunkowo silniejsze poparcie w Norwegii niż w Stanach Zjednoczonych i Niemczech. Ostatnie z cytowanych ustaleń pochodzą tylko z trzech krajów, trudno więc na tej podstawie wnioskować, czy (reprezentowane w nich przez Norwegię) społeczeństwa skandynawskie charakteryzują się większą lewicowością od innych krajów zachodnich.

Zobaczmy jak kształtowało się zróżnicowanie między krajami w świetle stosunkowo najnowszych danych pochodzących z Europejskiego Sondażu Społecznego. Wyjściowe pytanie, które warto postawić, dotyczy tego, w jakim stopniu skłonności do popierania – lub odrzucania – ekonomicznego liberalizmu towarzyszy lewicowość lub prawicowość w kwestiach obyczajowych, dajmy na to w postaci akceptacji (lub dezaprobaty) homoseksualizmu, czy też sytuacji zamieszkiwania z partnerem bez ślubu. Wiadomo, że lewicowość i prawicowość mają różne oblicza i np. akceptacja interwencjonizmu państwowego w dziedzinie polityki socjalnej czy wyrównywania szans nie musi znajdować odzwierciedlenia w krytycznym stosunku do nierówności i popieraniu praw mniejszości seksualnych. Wydaje się, że nie ma racjonalnych powodów, dla których akceptacji swobody seksualnej – np. w Danii – miałby towarzyszyć pozytywny stosunek Duńczyków do ograniczania nierówności społecznych. Międzynarodowe różnice w zakresie lewicowych (lub prawicowych) orientacji w kwestiach obyczajowych nie muszą być skorelowane ze zróżnicowaniem orientacji dotyczących nierówności społecznych, ale być może taka korelacja istnieje.

Wskaźnikami lewicowości lub prawicowości są opinie respondentów na temat konieczności zmniejszenia nierówności społecznych, aktywności państwa w dziedzinie gospodarki i ochrony praw pracowników przez związki zawodowe. Respondentów w 24 krajach proszono o wyrażenie opinii, w jakim stopniu zgadzają się z tym, że: (I) „rząd powinien podjąć działania zmierzające do zmniejszenia różnic w dochodach”, (II) „im mniej rząd angażuje się w sferę gospodarczą tym lepiej dla (nazwa kraju)”, (III) „pracownicy potrzebują silnych związków zawodowych dla ochrony warunków pracy i poziomu płac”.

Wyższe odsetki poparcia dla polityki zmniejszania nierówności dochodów, silnych związków zawodowych i zaangażowania rządu w gospodarkę wskazują na większą lewicowość. I odwrotnie – niskie odsetki akceptacji dla redukcji nierówności i silnych związków zawodowych w połączeniu z odrzucaniem aktywności rządu można traktować jako świadectwo większego liberalizmu utożsamianego z prawicą.

Zanim przejdziemy do interpretacji warto przypomnieć, że na temat mechanizmów zróżnicowania tych postaw między krajami sformułowano kilka teorii. Wskazuje się w nich, że postawy te zakorzenione są w systemach wartości dotyczących właściwych (w opinii określonych społeczeństw) relacji między jednostką a państwem i innymi instytucjami, jak np. związki zawodowe i rynek pracy. Odmienne przekonania i warto-

ści są wypadkową różnych czynników makrosystemowych, wśród których wymienia się uwarunkowane historycznie formy polityki społecznej, koalicje klasowe, działania w tym zakresie podejmowane przez państwo czy wpływ kościoła katolickiego – argumentuje się tu, że katolicyzm dostarczył jednej z inspiracji systemom „korporacyjnym” (reprezentowanym m.in. przez Austrię, Niemcy i Włochy), które funkcjonują na zasadzie współpracy (uzagadniania sprzeczności) między organizacjami pracodawców, pracobiorców i rządem.

Należałoby oczekiwać, że przewidywania te znajdują odzwierciedlenie w postaci różnic między krajami, co w szczególności dotyczy większego poparcia dla polityki prosocjalnej i aktywności państwa w zmniejszaniu nierówności dochodów w społeczeństwach skandynawskich, reprezentujących socjaldemokratyczny model *welfare state*. Wbrew tym oczekiwaniom prawidłowości tych nie stwierdzono, co więcej – dotychczasowe analizy wykazały, że stosunkowo największa akceptacja dla polityki interwencjonizmu państwowego występuje w systemach liberalnych, będących zaprzeczeniem systemu skandynawskiego, takich jak Stany Zjednoczone i Anglia.

Hipotezy te nie znajdują również potwierdzenia w danych ESS, dostarczających najszerszego (jak dotąd) spektrum zróżnicowania między krajami. Najwięcej zwolenników zmniejszania nierówności powinno być w społeczeństwach skandynawskich – jednak więcej było ich w krajach śródziemnomorskich, a drugim ośrodkiem tych postaw okazują się społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej, co akurat potwierdzałyby wyniki wcześniejszych analiz. W 2002 r. najwyższy odsetek osób zgadzających się ze stwierdzeniem, że „rząd powinien podejmować działania zmierzające do zmniejszenia różnic w dochodach” było w Grecji (87,9%) i Portugalii (86,1%), za którymi sytuowały się Słowenia (83,1%), Francja (82,6%) i Węgry (81,4%). Na kolejnych pozycjach lokowały się Polska (77,5%), Włochy (76,9%), Finlandia (75,7%) i Hiszpania (74,1%), w których poparcie dla tej opinii wyrażało ¾ ludności.

W 2006 r. dominacja krajów śródziemnomorskich i postkomunistycznych wśród społeczeństw popierających działania na rzecz redukcji nierówności była jeszcze silniejsza. Na pierwszej pozycji była Bułgaria (84,6%), a trzema innymi krajami, w których odsetek ten kształtował się powyżej 80% były Portugalia, Cypr i Hiszpania (w ESS z 2002 r. nie uczestniczyła Grecja). Niewiele ustępowały im Francja, Słowenia i Ukraina, w których poczynania te popierało prawie 80% dorosłej ludności. Godne odnotowania jest, że przewaga tych krajów nad pozostałymi społeczeństwami nie była zbyt duża. Wynikałoby stąd, że polityka zmniejszania nierówności dochodów spotyka się w większości społeczeństw europejskich ze zrozumieniem większości mieszkańców – wskaźnikiem tego może być fakt, że kategoria osób zgadzających się z tym stwierdzeniem obejmowała średnio (w skali europejskiej) w rozpatrywanym okresie 69-70% ogółu ludności. Jedynym krajem, gdzie w latach 2002-2006 występowała wyraźnie mniejsza akceptacja dla zmniejszania nierówności dochodów była Dania (40,5 i 38,3%); stosunkowo niższe odsetki – w granicach 50-60% – występowały również w Holandii, Czechach, Wielkiej Brytanii i Niemczech.

Dlaczego opcja na egalitaryzm dominuje w Europie Środkowo-Wschodniej i regionie śródziemnomorskim, a nie w krajach skandynawskich, w których przez kilkadziesiąt lat XX w. u steru rządów była socjaldemokracja, i które charakteryzują się najniższymi nierównościami dochodów w Europie? Istnieje teoria – potwierdzona przez obserwację i wyniki analiz – że ludzie odczuwają potrzebę akceptowania sytuacji, w której żyją. Efektem występowania tego mechanizmu jest m.in. tendencja do wyrażania długofalowego poparcia dla istniejącego systemu nierówności, a w tym również dla zasad dystrybucji dochodów, przy czym powinny być spełnione dwa istotne warunki. Po pierwsze, brak liczącej się alternatywnej siły politycznej, występującej z konkurencyjnym programem, i po drugie, że nie wydarzy się żadna katastrofa, która by podważyła zaufanie społeczeństwa dla istniejącego systemu dystrybucji. Jeżeli nie wydarza się nic, co go dyskredytuje, i nie wywołuje on napięć społecznych, to może trwać dalej, a nikt, komu zależy na stabilizacji i kto woli spokojne życie niż zmiany, nie będzie go kontestował.

Teoria ta, której autorem jest George Homans, ma pewne zastosowanie do społeczeństw postkomunistycznych. Wysoki w tych krajach poziom akceptacji dla zmniejszenia nierówności społecznych przez państwo należy chyba traktować jako efekt utrzymywania się przyzwyczajęń wyniesionych z poprzedniego systemu, w którym brak silnych nierówności był normą, a państwo kontrolowało dystrybucję wynagrodzeń. Ludzie, którzy to pamiętają – a kategoria ta stanowi ponad połowę ludności – w dalszym ciągu traktują interwencjonizm państwowy jako najbardziej skuteczną metodę walki z rozwarstwieniem społecznym. W społeczeństwach postkomunistycznych występuje szczególnie silne zapotrzebowanie na te działania; jest ono silniejsze niż w krajach skandynawskich, ponieważ po upadku komunizmu nierówności dochodów uległy zwiększeniu, chociaż istotniejsze jest to, że jeszcze bardziej zwiększyły się one w odczuciu społecznym.

Czynnikiem wzmacniającym poparcie dla polityki redystrybucji dochodów może być również stosunkowo niższa (w porównaniu do społeczeństw rynkowych) skłonność do polegania na sobie, której towarzyszy skłonność do „kolektywizmu” w postaci potrzeby bezpieczeństwa socjalnego gwarantowanego przez państwo. Prawdopodobnie „silny kolektywizm” i niska skłonność do polegania na sobie występują również w społeczeństwach śródziemnomorskich – chociaż nie istnieją dane z analiz porównawczych, które mogłyby tę hipotezę potwierdzić.

Trochę innym aspektem poparcia dla aktywnej roli państwa są odsetki osób zgadzających się ze stwierdzeniem, że „im mniej rząd angażuje się w sferę gospodarczą, tym lepiej”. Okazuje się, że ten pogląd nie spotyka się ze szczególnie szeroką akceptacją w Europie. Gdyby potraktować go jako wskaźnik ekonomicznego liberalizmu (utożsamianego z prawicą), to w 2002 r. poparcie dla tak rozumianej prawicowości wyrażało 29,5% ogółu mieszkańców, a więc nie było ono wysokie; kategoria ta była w mniejszości – przeciwnego zdania było 36,9%.

Jeżeli chodzi o różnicowanie między krajami, to było ono w sumie nieduże. Wyróżniającym się społeczeństwem (z trudnych do wyjaśnienia powodów) była

Słowenia, w której aż 50% ludności wskazywało, że im mniej rząd angażuje się w sferę gospodarczą, tym lepiej. Znacząco więcej zwolenników ekonomicznego liberalizmu w rozpatrywanym aspekcie występowało również w Niemczech (42,1%), a następnie w Szwajcarii i Austrii. Z kolei, kategoria ta była reprezentowana najrzadziej w Holandii (17,5%), na Węgrzech (18,3%), w Norwegii (19%) i Luksemburgu (19,4%). Właśnie te społeczeństwa sytuowały się na biegunie lewicy ekonomicznej w Europie – można powiedzieć, że łączyła je nieufność do pozostawiania gospodarki przez rząd własnemu losowi; opcja lewicowa cieszyła się niewiele mniejszym poparciem w Portugalii (20,2%) i Szwecji (21,8%).

Widać, że zróżnicowanie tych orientacji między krajami kształtowało się inaczej w porównaniu z odsetkami poparcia dla zmniejszania nierówności przez państwo, co sygnalizuje odrębność tych postaw. Do podobnego wniosku prowadzi analiza opinii dotyczących konieczności posiadania silnych związków zawodowych. Faktem rzucającym się w oczy jest wyjątkowo szeroki zakres aprobaty dla tego poglądu – kategoria osób zgadzających się ze stwierdzeniem, że „pracownicy potrzebują silnych związków zawodowych dla ochrony warunków pracy i poziomu płac” obejmowała w krajach europejskich aż 70,8% ludności. Druga uwaga dotyczy dużej jednomyślności pod względem odsetka akceptacji tego poglądu między krajami – zróżnicowanie to zawierało się w stosunkowo wąskim przedziale 66-85%.

Tak duża zgodność w popieraniu związków zawodowych nie pozostawia dużo miejsca na polaryzację w wymiarze „lewica-prawica”, niemniej rysują się tu pewne różnice. Największe poparcie dla silnych związków zawodowych występowało w Grecji (85,4%), a następnie w Słowenii (82,5%). Zwróćmy uwagę, że społeczeństwo Słowenii jest w pewnym dysonansie – wysoka akceptacja dla opiekuńczej roli związków zawodowych kontrastowała tam z podzielanymi silnie opiniami o potrzebie nieangażowania się rządu w dziedzinie gospodarki; społeczeństwo Słowenii z 50-procentowym poparciem dla tego stwierdzenia reprezentowało pod tym względem najbardziej liberalne poglądy. Wyraźnie powyżej średniego odsetka osób popierających działania związków zawodowych sytuowały się jeszcze Finlandia, Polska i Węgry, w których kształtowało się ono na poziomie 78%. Szukając ogólniejszych prawidłowości można wskazywać na występowanie w grupie społeczeństw o orientacji lewicowej pewnej nadreprezentacji społeczeństw postkomunistycznych, wyrażających być może w ten sposób potrzebę posiadania zinstytucjonalizowanej siły gwarantującej bezpieczeństwo socjalne.

Analiza ta prowadzi do generalnego stwierdzenia, że lewicowe i prawicowe poglądy mają nie tylko ludzie, ale są one również charakterystyką podmiotów społecznych. Niektóre społeczeństwa sytuują się bardziej na prawicy, podczas gdy inne są bliższe lewicy, przy czym zróżnicowanie to kształtuje się trochę inaczej w zależności od rodzaju poglądów utożsamianych z tym opcjami.

TADEUSZ KOWALIK

SZOK BEZ TERAPII

Zaostrzenie

Po wielu próbach i rozmowach z kilkoma innymi kandydatami, ostatecznie Leszek Balcerowicz w 1989 roku został ministrem finansów oraz wicepremierem odpowiedzialnym za całą gospodarkę. Pierwszym aktem ustrojowym nowej ekipy było opracowanie stanowiska rządu w sprawie pomocy Międzynarodowego Funduszu Walutowego (projekt przygotował Stanisław Gomułka). W konsekwencji, w połowie października przyjechała do Warszawy misja Funduszu.

Zanim zjawiała się misja Funduszu, Ministerstwo Finansów opublikowało 12 października *Założenia i kierunki polityki gospodarczej* (jako dodatek broszurowy do „Rzeczpospolitej”). Oto podstawowe credo nowego rządu:

„Polska gospodarka wymaga zasadniczych zmian systemowych. Ich cel to budowa systemu rynkowego zbliżonego do tego, jaki istnieje w krajach wysoko rozwiniętych. Musi to nastąpić szybko, za pomocą działań radykalnych, aby jak najbardziej skrócić uciążliwy dla społeczeństwa okres przejściowy. Do wyboru tej drogi skłaniają również złe doświadczenia powierzchownych reform w latach osiemdziesiątych. (...) Żadne działania doraźne nie są w stanie zmienić sytuacji. **Tylko odważny zwrot na miarę historycznego wyzwania, przed jakim stanęła Polska, pozwoli jej na wydzwignięcie się z zapaści cywilizacyjnej, na budowę ładu odpowiadającego społecznym oczekiwaniom**” (podkreślenie – TK).

W katalogu podstawowych zmian systemowych wymienia się:

- „Przekształcenia własnościowe zbliżające strukturę własności do istniejącej w krajach wysoko rozwiniętych.
- Radykalne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw państwowych.
- Pełne wprowadzenie mechanizmu rynkowego, a w szczególności swobodę stanowienia cen co oznaczało likwidację reglamentacji i obowiązkowego pośrednictwa.
- Stworzenie warunków dla konkurencji wewnętrznej przez politykę antymonopolową oraz pełną swobodę tworzenia nowych przedsiębiorstw.
- Otwarcie gospodarki na świat przez wprowadzenie wymiennalności złotego (...).
- Uruchomienie rynku kapitałowego.
- Utworzenie rynku pracy” (Ministerstwo, 1989).

Jak miało się okazać, była to jedyna całościowa ekspozycja programu, który później zwykło się nazywać planem Balcerowicza. Oznaczało to publiczne zamknięcie odejścia od gradualizmu porozumień Okrągłego Stołu, ale niekoniecznie zerwanie ciągłości z wieloma zamierzeniami i działaniami poprzedniej władzy. Warto się nad tym zatrzymać, gdyż w tej sprawie narodziło wiele mitów. Z jednej strony, działacze Solidarności akcentowali zerwanie z polityką gospodarczą poprzednich władz, z drugiej, liczni autorzy wskazywali na podobieństwo programu, a przynajmniej wczesnej jego wersji z wcześniejszym programem będącym już przedmiotem negocjacji z Funduszem.

Oto jak streszczał ten wcześniejszy program prof. Karol Lutkowski, który krytykując dotychczasowy program, dawał jednocześnie cenne wskazówki dla nowej władzy:

- „–Przekształcenie przedsiębiorstw państwowych w spółki Skarbu Państwa,
- sprzedaż w ręce prywatne lub dzierżawę małych zakładów, administracyjną likwidację wielu materiało- i energochłonnych przedsiębiorstw,
- zamrożenie dotacji do cen, wprowadzenie odpłatności za żywienie w szpitalach,
- nowe podatki [...]
- prowadzenie jednolitego kursu i systemu wymiany walut” (Lutkowski, 1989).

We wskaźnikowej części programu wracały uwagę: zaplanowanie stopniowo spadającej stopy inflacji (jeszcze w 1992 miała wynosić 23 proc.) oraz zaledwie 1,2 proc. spadku dochodu narodowego wytworzonego w 1990 r. i znikomego (3 proc. w 1990 r.) spadku spożycia.

Dodajmy do tego co najmniej dwie ważne zapowiedzi: od 1 stycznia 1990 r. całkowite zniesienie cen urzędowych oraz przekształcanie spółek skarbu państwa w spółki półprywatne. Akcje miały być podzielone pomiędzy załogę, lokalny samorząd i Bank Gospodarstwa Krajowego. Zarówno te akcje, jak będące w posiadaniu BGK byłyby w wolnym obrocie.

Zapowiedzi te oznaczały wejście szerokim frontem na drogę urynkwienia i prywatyzacji. Zwraca uwagę, że przy tak ambitnych przekształceniach gospodarczych przyjmowano, zapewne świadomie, zaniżone wskaźniki spadku dochodu narodowego i spożycia. Rozbieżność między planowymi i rzeczywistymi rezultatami programu musiałaby być ogromna. Choć więc

we wskaźnikach tego nie widać, Lutkowski zasadnie pisał, że „negocjatorzy nasi dość bezkrytycznie »kupili« tradycyjną filozofię Funduszu z jej akcentowaniem potrzeby zaciskania pasa drastycznych korekt cenowych i cięć nakładów socjalnych” (tamże).

Podobieństwo koncepcji starej i nowej władzy wynikało po prostu z przyjęcia recepty MFW. Każdy program dostosowawczy opracowany pod egidą Funduszu „musi w gruncie rzeczy zawierać te same elementy i podobne rozwiązania” (Aleksandrowicz, 1989). Program ten był wstępnie zaakceptowany tylko co do kierunku, natomiast Fundusz nadal zgłaszał liczne zastrzeżenia i ostateczna wersja byłaby zapewne znacznie ostrzejsza.

Procesowi zaostrzania będzie podlegał Plan Balcerowicza. Wprawdzie Kuczyński odnotowuje, że jeszcze po negocjacjach z ekspertami Funduszu (27-28 października) była to „bardzo łagodna wersja stabilizacji [...]”. W gruncie rzeczy nie była to koncepcja operacji szokowej. Ceny detaliczne w grudniu 1990 roku miały być, zgodnie z tą wersją wyższe niż w grudniu 1989 roku o 572 proc., podczas gdy w finalnej wersji programu, to znaczy w liście intencyjnym do Funduszu Walutowego ten wskaźnik został obniżony do 95 proc. Pokazuje to jak bardzo program stabilizacji został w toku prac zaostrzony, bo przecież trzeba wiedzieć, że gwałtowniejsze zduszenie inflacji wymagało drenażu o wiele większej ilości pieniędzy” (Kuczyński, 1992: '98-99). Dodajmy, że ta wczesna wersja zakładała spadek płac realnych o 8 proc. i produkcji o 5 proc. Kuczyński nie pozostawia żadnej wątpliwości, że zaostrzenie było wymuszane przez Fundusz: „Mówiono nam to dobitnie wiele razy, publicznie i prywatnie, że licząca się pomoc Zachodu będzie możliwa dopiero po naszym dogadaniu się z Funduszem Walutowym” (tamże, s. 100).

Inna sprawa, że na to zaostrzenie programu nowi decydenci nader łatwo się godzili. Kuczyński podkreślał towarzyszący negocjacom „klimat życzliwości”, a szef ekspertów Funduszu Michael Bruno (1992) wyraził wręcz zdziwienie z powodu owej wzajemnej życzliwości i przeciwstawił temu swoje doświadczenie twardych negocjacji w innych krajach. Dziwiło go także, że w pewnej fazie rząd polski jednomyślnie wybrał najostrzejszy wariant spośród wariantów przedstawionych przez Fundusz. Decydowali zwolennicy szoku, ich przekonanie, że im bardziej plan był radykalny, tym lepiej będzie służyć szybkiemu utworzeniu nowego systemu.

Był wszakże wśród polskich negocjatorów jeden wyjątek: Wojciech Misiąg – dużej klasy budżetowiec, jeden z głównych negocjatorów za rządu Mieczysława Rakowskiego – musiał się mocno opierać, skoro jeden z dyrektorów funduszu miał z irytacją zapytać, kto tu rządzi? Misiąg, czy Balcerowicz? Być może tylko on starał się postępować zgodnie z sugestią prof. Karola Lutkowskiego, by w rozmowach z Funduszem mocno wykorzystywać „bezprecedensowy charakter realizowanych przez Polskę przemian”, do której nie pasuje „arcyklasyczny” charakter proponowanej przez Fundusz recepty. Dla Lutkowskiego było jasne, że transformacja wymaga łagodniejszego programu niż zwykle, podczas gdy czołówka rządząca gospodarką wydawała się postępować raczej odwrotnie. Wielka przemiana

miała uzasadniać szczególnie ostre i dotkliwy charakter owej recepty¹.

Wszelako zaostrzenia planu dokonywano nie tylko w negocjacjach z Funduszem. Zaostrzenie społecznie najdotkliwsze nastąpiło w wyniku sugestii Sachsa i Liptona. Według informacji Kuczyńskiego, jeszcze 12 grudnia na posiedzeniu Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów zakładano na styczeń 1990 r. współczynnik indeksacji 0,7-0,8. Jednakże następnego dnia Sachs i Lipton przedstawili na spotkaniu z Balcerowiczem (Kuczyński nie informuje, niestety, jakie to było forum) „notatkę pokazującą zalety zmniejszenia indeksacji w styczniu do 0,2. (tamże, 108), co Balcerowicz zaakceptował”. „Trudno mi powiedzieć – pisze dalej Kuczyński – jak wielki był wpływ tej notatki, ale pokazuje generalną tendencję do zaostrzenia programu pod koniec negocjacji, czyli prawie dokładnie tyle, ile proponowali Sachs i Lipton” (tamże). Odpowiednio do tego, w ostatniej chwili zmieniono wskaźnik inflacji na rok 1990 ze 140 na 95 proc., co Kuczyński (1992: 107) ocenia jako pójście „o jeden most za daleko”.

Pomyślmy, co ta zmiana przyniosła w samym tylko styczniu 1990 r., gdy ceny wzrosły nie, jak zakładano, o 45 proc., lecz w granicach 80 proc. Przy wskaźniku 0,7-0,8 nominalne płace mogłyby wzrosnąć w granicach 56-64 proc., a ograniczono ten wzrost do 24 proc.! Oznaczało to skokowe, drastyczne obniżenie płac realnych w ciągu jednego miesiąca! A jeśli dodamy do tego później, niestety, zauważony fakt (Gomułka, 1993), że na rynku nie było już pustego pieniądza („zjadła” go inflacja, przy hamowanym wzroście płac), to widzimy całą absurdalność tej innowacji Sachsa-Liptona. Dodajmy, że w styczniu 1990 r. produkcja przemysłowa spadła o ponad 30 proc., nie bez wpływu zapowiedzi radykalnego spadku popytu płacobiorców. Gdyby gospodarka podlegała rygorom kodeksu handlowego, decydenci prowadzący do jej tak dramatycznego pogorszenia byłiby pociągnięci do odpowiedzialności. Gospodarką jednak sterują politycy (nawet jeśli mają profesorskie tytuły ekonomiczne), których te rygory nie obowiązują.

Charakteryzując grupę Balcerowicza, Kuroń zwracał uwagę na jej podobieństwo do grupy Mazowieckiego. Obaj lubili pracować w „zamkniętej grupie ludzi”, których obdarzali pełnym zaufaniem. Pozwalało to przetrwać „dramatyczne miesiące”, gdy Balcerowicza obciążano za wszystkie nieszczęścia. Wszelako – kontynuuje Kuroń – „to zamknięcie się w resortowej wieży ze słoniowej kości spowodowało, że Balcerowicz nie był w stanie reagować na zwrotne sygnały, które gospodarka wysyłała swoim reformatorom” (Kuroń, Żakowski, 1997: 76). Ta trafna uwaga dotyczyła nie tylko sygnałów płynących z gospodarki, lecz także ze środo-

¹ Władysław Baka (ówczesny szef NBP) ujawnia, że na posiedzeniach rządu wątpliwości zgłaszał głównie lub wyłącznie szef rządu Tadeusz Mazowiecki (Baka, 2007:286, 287). Baka odnotowuje również inny ciekawy fakt, że podczas pobytu w Warszawie prezes Banku Światowego „zwracając się głównie do (...) premiera – mocno zaakcentował kwestie społeczne, co dla wielu osób było dużym zaskoczeniem. Mówił zwłaszcza o potrzebie zabezpieczenia społecznego oraz działań chroniących przed nadmiernym bezrobociem” (tamże, 295).

² Balcerowicz nie odnotowuje żadnej roli Sachsa – Liptona. Pisze po prostu: „Postanowiłem, że trzeba zaproponować jednak ostrzejsze hamowanie płac, a więc nie współczynnik 0,7, ale 0,3 lub 0,2” (Balcerowicz, 1992: 47).

wiska ekonomistów już w czasie formułowania programu. Grupy te, zwłaszcza Balcerowicza, nie reagowały na istną powódź publikacji ostrzegawczych, jakie się ukazały jesienią 1989 roku, a nawet na osobiście doręczane ekspertyzy.

W końcu grudnia 1989 r. Sejm, w którym przewagę mały partie i stronnictwa starego układu, niemal jednogłośnie uchwalił przedstawione przez rząd ustawy operacjonalizujące powyższy program. Już przy pierwszym pakiecie przesłanym na początku grudnia rząd zwrócił się do Sejmu o ekspresowe rozpatrzenie szesnastu ustaw, z tego dziewięciu do końca roku. Sejm utworzył ekspresowo działającą Komisję Nadzwyczajną.

Decydująca część pakietu weszła w życie 1 stycznia 1990 roku. Forma prezentacji programu oraz pośpiech w uchwalaniu go uniemożliwiły opinii publicznej odczytanie jego istotnej treści, a zwłaszcza skokowego charakteru operacji. Nad ostateczną wersją programu nie było, nie mogło być w tych warunkach rzeczywistej publicznej debaty na miarę historycznej wagi podejmowanych decyzji.

Odnosiło się wrażenie, że parlamentarzyści, mimo licznych zastrzeżeń, woleli wierzyć, że wchodzimy – jak zapewnił główny animator programu – w erę „życia udanego, miast udawanego” i zagłosowali *in gremio* za przedstawionym planem. Wiele lat później, ówczesny wicemarszałek Sejmu Aleksander Małachowski ujmie to lapidarnie: „Byliśmy trochę jak barany prowadzone na rzeź i łatwo ulegaliśmy obietnicom polityków, mających decydujący głos w praktycznym wcielaniu w życie szkodliwych rozwiązań. Pamiętam jak łatwo, jeszcze w Sejmie Kontraktowym, zgodziliśmy się na szokową terapię Balcerowicza (...). Jedyne, na co potrafiliśmy się zdobyć, to była napisana przez Ryszarda Bugaję uchwała, stawiająca rządowi pewne warunki i wymogi co do tej terapii. (...) Balcerowicz (...) i jego mentor, profesor [Jeffrey] Sachs, zwyczajnie nas, posłów bez doświadczenia, oszukali...”. (Małachowski, 2001).

Formalnością było zawiadomienie związków zawodowych. Zresztą wiele wskazuje, że Wałęsa (przewodniczący NSZZ „Solidarność”) zaakceptował plan, zanim opracowano jego ostateczną wersję³. Po prostu skorzystano z ogromnego zaufania, którym społeczeństwo darzyło pierwszy niekomunistyczny rząd. Poważnej debaty nie mogło być, gdyż bez ogólnego dokumentu przedstawiającego w syntetyczny sposób ustrojową zawartość jedenastu ustaw oraz uchwalanego jednocześnie budżetu taka debata była niemożliwa. Posłowie działali pod szantażem narzuconego przez rząd wyścigu z czasem.

Nawet krytyczny wobec poczynań rządu, Aleksander Małachowski wypowiedział następujące usprawiedliwienie: „Zaden normalny rząd i Sejm nie powinien zgodzić się na takie przyspieszenie. Ale to nie jest normalny rząd. Przypadło mu wielkie zadanie wyprowadzenia kraju z zapaści i trzeba mu w tym pomóc” (cyt. za: Kuczyński, 1992: 105-106).

³ Lech Wałęsa - wówczas przywódca pracowniczej „Solidarności” - zachował się fatalnie. Na pytanie dziennikarza, czy Mazowiecki lub Balcerowicz przedstawili mu założenia przebudowy polskiej gospodarki, odpowiedział: „Nie, chyba nie, choć dokładnie to już tego nie pamiętam” (Gajdziński P., 1999: 89-90). A przecież właśnie po otrzymaniu pakietu Balcerowicza Wałęsa domagał się nadzwyczajnej ścieżki legislacyjnej.

Skok na głowę

„Kiedy w pierwszej połowie lutego Franciszek Kuczyński, ówczesny szef GUS ogłosił, że produkcja przemysłu spadła w styczniu o ponad trzydzieści procent, był to ogromny szok, któremu towarzyszyło niedowierzanie i nawet głosy, że ten nomenklaturowiec coś kręci. Jednak nie kręcił” (Kuczyński, 1992: 107). Kuczyński przypisuje to „pewnemu znieczuleniu na ujemny produkcyjny efekt programu” (tamże). A przecież powinien był zwrócić uwagę ówczesnych decydentów fakt, przynajmniej po uzyskaniu danych dotyczących wzrostu cen, że ten spadek był dość proporcjonalny do zaplanowanej skali zduszenia siły nabywczej płacobiorców.

Spadek produkcji przemysłowej w całym roku 1990 okazał się pięciokrotnie większy od założonego i to zjawisko przeniosło się także – choć w mniejszej skali – na kolejny rok. Było to uderzające, zwłaszcza w związku z zapowiedziami niektórych współtwórców planu, znacznego wzrostu PKB już w roku 1991.

W tej samej skali – o 500-600 procent, a nawet większe skutki niż zamierzenia różniły się inne ważne wskaźniki. Stopa inflacji miała spaść do jednocyfrowej w końcu 1990 r., a to stało się dopiero pod koniec dekad lat 90. Głównym sprawcą drastycznego spadku stopy życiowej pracobiorców był blisko pięciokrotnie szybszy niż zakładano wzrost cen, przy niezwykle niskim wskaźniku indeksacji płac. Podatek od wzrostu wynagrodzeń (słynny „popiwiek”) dochodził do 500 proc. powyżej wskaźnika indeksacji. Bezrobocie miało być tymczasowe, padała liczba 400 tysięcy. Atoli już w ciągu pierwszego roku wzrosło ono od blisko zera do ponad miliona, w drugim do ponad dwóch, zbliżając się w trzecim roku do trzech milionów osób. Dochód narodowy, zamiast przewidywanych trzech procent, spadł w ciągu roku o znacznie ponad 11 proc., a za dwa lata spadek wyniósł ponad 18 proc. O ponad połowę spadły dochody rolników.

Nie były to zatem rozbieżności rzędu kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu procent, lecz ich wielokrotnościami. Trudno więc uwolnić kreatorów tego planu od zarzutu wyjątkowej brawury karmionej niewiedzą. Rozbieżności te świadczą istotnie o popularnym wówczas powiedzeniu „skoku do basenu bez sprawdzenia głębokości wody”. Grzegorz Kołodko określił te rozbieżności mianem „przestrzelenia”, ale nawet ten termin wydaje się za łagodny. Przecież żaden plan peerelowskich planistów nie został wykonany aż przy tak rażącej rozbieżności zadań i efektów. Warto tu przypomnieć trzyletni plan odbudowy i rozwoju realizowany pod kierunkiem imigranta z Zachodu, Czesława Bobrowskiego – pierwszy plan w powojennej Polsce, a wykonany w najwyższym stopniu! Bobrowski wiedział bowiem, że nie planuje się wszystkiego naraz, gdyż znał francuskie powiedzenie, że jeśli obejmujesz za dużo, otrzymujesz niewiele. „Można powiedzieć, że ubóstwo danych informacyjnych zostało zamortyzowane przez świadomą wstrzeźliwość w operowaniu danymi decyzyjnymi” (Bobrowski, b.d., tekst powielany). Tej wstrzeźliwości zabrakło ekipie Balcerowicza. Także brawurowa sześciolatka stalinowska (w dużym stopniu narzucona przez Stalina) zwycięsko wytrzymałaby porównanie z planem Balcerowicza. Choć obu tym planom towarzyszyły głębokie zmiany ustrojowe, odbywało się to jednak wtedy na fali wzrostu.

Czy jednak owo „przestrzelenie” należy traktować poważnie? Czy nie celowo zaniżano wskaźniki, by łatwiej przełknął to parlament i opinia publiczna? Istniał bowiem dokument opracowany przez Departament Analiz Ekonomicznych Ministerstwa Finansów, który zawierał projekcję odmienną od tych zawartych w programie rządowym. Odwołuje się do tego dokumentu z maja 1990 r. Stanisław Gomułka w artykule pt. *Stabilizacja i wzrost. W tabeli Pierwotne czynniki produkcji i wzrost DN Polski w latach 1990-2000* analitycy przewidzieli na wskazane lata następujące szeregi wielkości procentowych:

wzrost PKB / bezrobocie: 15,1/25,3; 4,7/25,4; 8,7/22,6; 7,9/20,4; 7,5/18,1; 8,8/15,8; 6,8/15,9; 6,8/15,9; 6,8/15,9; 6,7/16,0; 6,7/16,0

Liczyby odnoszące się do bezrobocia są dla pierwszych kilku lat zawyżone, gdyż obejmują zarówno bezrobocie jawne, jak i ukryte obliczone na ok. 10 proc. Jednakże komentarz Gomułki, prawdopodobnie jednego z twórców owej prognozy, nie pozostawia wątpliwości, że już na rok 1990 przewidywano kilkunastoprocentową stopę bezrobocia (ponad 25 proc. razem z ukrytym), a 16-procentowa – już bez ukrytego – miała otwierać obecne stulecie. Gomułka pisze bowiem: „Gdyby bezrobocie ukryte znikło zupełnie w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, to bezrobocie otwarte – przy założonej ścieżce wzrostu – wyniesie 16 proc. zasobów pracy. Innymi słowy ścieżka ta jest tak dobrana, aby nie natknąć się na bezrobocie otwarte ani na barierę braku siły roboczej, ani nie doprowadzić do bezrobocia rażąco nadmiernego” (Gomułka, 1990: 7).

Tak więc dla Gomułki (i chyba dla grupy planistów z Ministerstwa Finansów) bezrobocie szesnastoprocentowe nie byłoby rażąco nadmierne. A to wszystko miało się dziać przy stałe wysokiej, najpierw blisko 8 proc., a potem blisko 7 proc. stopie wzrostu dochodu narodowego! Gomułka odważnie odwoływał się do przykładu M. Thatcher, ale liczby tej tabeli zasługują „na uznanie” za thatcherizm do kwadratu. Nawet Żelazna Dama bowiem nie odważyłaby się zaplanować na całe dziesięciolecie tak dramatycznie dużego bezrobocia.

Z punktu widzenia zmian systemowych, z początkiem 1990 r. podjęto kilka innych ważnych działań. Bariery celne zmniejszono do tego stopnia, że mawiano wówczas, iż Polska stała się, zaraz po Hongkongu, najbardziej leseferystycznym (wolnohandlowym) krajem świata. Konkurencja zagraniczna wywoływała podwójne skutki: na silniejszych firmach krajowych wymuszała restrukturyzację, słabsze padały. Ale i zwiększała bezrobocie przez zalew tanich produktów wwożonych bez cła i obciążeń podatkowych, a najczęściej także czynszu za wynajem lokalu. Symboliczne cła oraz niesprawny aparat skarbowy, nieskory lub niezdolny do ściągania podatków, stworzyły prawdziwe Eldorado dla niczym nie krępowanego sektora prywatnego.

Przeprowadzono również w szybkim tempie tzw. małą prywatyzację, czyli sprzedaż (lub dzierżawę) państwowych aptek, sklepów, małych zakładów produkcyjnych. Wskutek obu tych zmian, w ciągu bardzo krótkiego czasu liczba zarejestrowanych firm prywatnych wzrosła z ponad 800 tysięcy do ponad półtora miliona. Rozkwitła zwłaszcza handel bazarowy, przemysł, niszcząca sieć sklepów spółdzielczych i państwowych oraz większość zakładów rzemieślniczych. Wszelako, jak

podaje Henryk Domański,⁴ wśród przedsiębiorców prywatnych aż 38 proc. stanowili pracownicy fizyczni (bez kwalifikacji 21 proc. oraz wykwalifikowani 17 proc.). Był to zatem proces rodzenia się stanu średniego o obliczu szczególnie zacofanym. Tym m.in. tłumaczy się znaczne pogorszenie warunków pracy w nowym sektorze prywatnym. Ponieważ zaś związki zawodowe, przede wszystkim „Solidarność”, rozciągały parasol nad tak dotkliwymi społecznie przemianami, recesja drastycznie osłabiła tę reprezentację pracowniczą.

Wskutek recesji z jednej strony oraz nadzwyczajnej ekspansji nowego sektora prywatnego z drugiej, dokonała się w latach 1990-93 „prawdziwa rewolucja w dochodach”. Jest to określenie Czesława Bywalca, który przedstawił zmieniony udział poszczególnych grup ludności w ogólnych dochodach ludności (zob. tabela).

Z poniższych liczb wynika więc, że dochody płacobiorców spadły do poziomu zaledwie o parę procent powyżej jednej czwartej łącznych dochodów ludności. Udział dochodów rolników indywidualnych spadł bardziej niż o połowę, zaś dochody „zyskobiorców” (nawet pomniejszone o nakłady inwestycyjne) wzrosły dwuipółkrotnie! W warunkach pokojowych była to zmiana struktury dochodowej (oraz społecznej) wręcz bezprecedensowa. Wzrost o ponad ¼ wydatków na cele socjalne nie powinien stwarzać wrażenia poprawy losu

Tabela. Struktura dochodów ludności w latach 1989 i 1993

	1989	1993
Dochody ludności ogółem	100,0	100,0
w tym:		
wynagrodzenia	46,2	28,2
świadczenia pieniężne	15,7	20,1
dochody rolników indywidualnych	13,5	6,3
dochody z działalności gospodarczej poza rolnictwem*	7,2	17,5

* Dane obejmują dochody z działalności gospodarczej właścicieli i współwłaścicieli zakładów osób fizycznych, spółek, fundacji oraz jednostek prywatnych, pomniejszone o wydatki na inwestycje związane z produkcją oraz przyrostem zasobów na rachunkach pieniężnych.

Źródło: (Bywalec, 1995: 9). Oparte na: rocznikach statystycznych, 1993 i 1994 oraz na obliczeniach własnych i szacunkach Bywalca dot. roku 1993).

ludzi żyjących „na garnuszku” państwa. Zwiększone wydatki kryły bowiem w sobie przedwczesne emerytury, „naciągane” renty oraz zasiłki dla około trzech milionów bezrobotnych.

Nie odbyło się to według podręcznikowych kanonów organicznego powstawania kapitałów metodą ciężkiej pracy, zwiększania wydajności, purytańskiej oszczędności i akumulacji nadwyżki⁵. Przeciwnie, uzasadnione

⁴ Por. H. Domański, *Mobilność i hierarchia stratyfikacyjna* (w:) *Elementy nowego ładu*, red. H. Domański, A. Rychard, Warszawa 1997, s. 56

jest twierdzenie, iż szokowa terapia mająca głównie na celu stabilizację gospodarki stała się narzędziem tworzenia nowej, kapitalistycznej struktury społecznej, charakterystycznej dla pierwotnej akumulacji kapitału.

To przesunięcie dochodów (i majątku) od biednych do bogatych, postanie około trzech milionów pracowników do kolejek przed urzędami pracy, na znalezienie której widoki były znikome, ukrycie od półtora do dwóch milionów tracących pracę wśród rencistów i wcześniejszych emerytów oznaczało także obniżenie prestiżu pracy, pozycji pracowników, pogorszenie higieny i bezpieczeństwa pracy. Złamano kręgosłup klasy robotniczej, osłabiono ruch związkowy, na długie lata wprowadzono kulturę niskich płac. Stworzono „społeczeństwo dewiacyjne” (Kozłowski, 2001), podatne na nacjonalizm (Ost, 2007).

Niezależnie więc od rzeczywistych intencji twórców i realizatorów programu była to nie tyle recesja transformacyjna, postrzegana jako nieuchronny koszt wielkich przemian, co transformacja recesyjna, czyli wielka przemiana społeczna dokonana za pomocą recesji jako narzędzia tworzenia spolaryzowanego społeczeństwa.

Władysław Frasyniuk, wówczas przewodniczący Unii Wolności, powiedział: „W Wielkiej Brytanii żelazna Margaret Thatcher przez dziesięć lat zmagająca się z tym, co myśmy zrobili w pół roku. Ta żelazna Lady przy Mazowieckim to prawdziwa żółwica” (Frasyniuk, 2004). I paradoksalnie, Frasyniuk miał rację. Nie zdawał sobie tylko sprawy, ile goryczy zawiera w sobie to chętlive stwierdzenie. Ale właśnie dlatego, że ma rację, Frasyniuk i jego przyjaciele z Unii Wolności nie powinni żyć ciągle w zadziwieniu, że ich partia znalazła się poza parlamentem. W przeciwieństwie do tego, co po upadku Żelaznej Damy uczyniono, dalszy proces polskiej transformacji polegał raczej na petyfikacji („konsolidacji”) tego typu społeczeństwa niż na naprawianiu skutków „przestrzelenia”. Okazało się ono wszakże nadzwyczaj funkcjonalne w budowie kapitalizmu anglosaskiego typu⁵, w popularnym wówczas powiedzeniu „skoku do basenu bez sprawdzenia głębokości wody”.

Polska TINA⁷

Od chwili powstania i realizacji programu Balcerowicza upłynęło prawie dwadzieścia lat, a nadal się powiela tezę, że program ten nie miał alternatywy. Oto najnowsze wydanie tej polskiej TINA-y (nieistnienia alternatywy): „Kolejne rządy prawicowe i lewicowe kontynuowały tę politykę [Unii Demokratycznej / Unii Wolności] nie dlatego, że działały w nich tajne wtyczki »udecji«, ale dlatego, że innej realnej polityki przemian

nie było” (Janicki, Władyka, 2008). Autorzy sądzą, że program ludzi UD/UW „był niejako naturalnym planem transformacji postkomunistycznego kraju, mającym legitymację społeczną i międzynarodową” (tamże). „Czy ktoś – pytają autorzy retorycznie – jakieś inne środowisko i inni ludzie przeprowadziliby Polskę przez ten labirynt pierwszych lat po 1989 r. lepiej? Nikt już tego nie sprawdzi, dlatego nieustająca krytyka środowiska Unii jest tak łatwa, a programy alternatywne tworzone *ex post* mogą politycznie uwodzić tych, którzy III RP odrzucają” (tamże). Jeszcze dosadniej wyraził tę myśl Aleksander Kwaśniewski. Na pytanie: „czy można było lepiej i mniejszym kosztem?” odpowiedział: „Sądzę, że tak, ale dzisiaj wszyscy są mądrzy. A nikt nie był taki mądry wcześniej” (Kwaśniewski A., 2004: 128-129). Uporczywość tego typu poglądów jest tak wielka, że należy im poświęcić nieco więcej uwagi.

Przede wszystkim, sprawa społecznej legitymacji nie ma się tak dobrze. Na podstawie badań CBOS z 2005 r. oraz nowszych prac raport CASE stwierdza, że „W społeczeństwie przeważa poczucie bycia przegranymi transformacji. (...) Co jest szczególnie zatrważające, negatywny stosunek do transformacji, postawy egalitarystyczne rozpowszechnione są także wśród dobrze zarabiających Polaków” (Kozarzewski, 2007: 63). I po wtóre, polską drogę przemian można uznać za „normalny plan transformacji” tylko wówczas, gdy się uważa, że bez znaczenia jest to, czy w danym kraju (jak na Węgrzech i w Czechach) jest tylko kilku-procentowe bezrobocie, czy też w ciągu wielu lat jest ono kilkunastoprocentowe, sięgające nawet 20 proc. Gdy podobny stosunek ma się do zakresu i głębokości biedy, zwłaszcza wśród dzieci. Gdy największa w czasie pokoju emigracja, zwłaszcza młodzi, licząca już teraz ponad dwa miliony osób, jest postrzegana tylko jako wyraz sukcesu wejścia Polski do Unii Europejskiej.

A czy były inne propozycje przemian? Oczywiście, nie było programów o charakterze operacyjnym, wdrożeniowym, bo takie powstają tylko w strukturach władzy dysponującej niezbędnym zasobem informacji. Natomiast było wiele propozycji alternatywnych przemian ustrojowych.

Ekspertyza szwedzka

W 1989 r. dużą popularność modelu szwedzkiego w Polsce postanowiono przełożyć na język praktyczny. Podjęto wysiłek zbadania, co z tego modelu dałoby się w Polsce zastosować. Już na przełomie stycznia i lutego 1989 r., z ramienia Konsultacyjnej Rady Gospodarczej (ciała doradczego rządu, kierowanego przez Czesława Bobrowskiego) do Sztokholmu udała się studyjna grupa dziewięciorga ekonomistów: D. Gotz-Kozierkiewicz, A. Kwieciński, M. Malawski, B. Miedziński, J. Mujżel, K. Porwit, M. Rutkowski, K. Szyndziolorz, M. Świącicki. W wyniku tej wizyty powstał obszerny, wraz z aneksami ponad 70-stronicowy raport dość szczegółowo omawiający możliwości wykorzystania przez Polskę doświadczeń tego kraju. Chociaż lektura raportu sprawia wrażenie, że pisano go na gorąco, nie wiemy, czy i komu go dostarczono podczas obrad Okrągłego Stołu, a nawet czy krążył wcześniej w formie maszynopisu. Brak też informacji, czemu raport upubliczniono (w formie powielonej) dopiero w czerwcu 1989 r.

⁵ Leszek Balcerowicz uzasadniał w tym okresie szok stabilizacyjny, rozległość i drastyczność zmian twierdzeniem, że pożaru nie gasi się na raty (jego zdaniem gospodarka znajdowała się w tak tragicznym stanie, jak dom w czasie pożaru). Trawestując te słowa można by powiedzieć, iż owo masowe zbiednienie jednych i wzbogacenie drugich dokonano się „w trakcie gaszenia pożaru”.

⁶ Różnica między Polską i Brytanią polegała na tym, że po odejściu Margaret Thatcher, konserwatywny rząd Johna Majora naprawiał skutki jej polityki przez całe siedem lat. Zwiększał dochody najbiedniejszych, nakłady na usługi społeczne. A mimo to, liczba ubogich pozostawała trzykrotnie większa niż przed objęciem rządów przez ową Żelazną Lady, wzrosła z czterech milionów do dwunastu.

⁷ Popularny w Wielkiej Brytanii skrót słynnego powiedzenia Margaret Thatcher: *There Is No Alternative*.

Odnosząc się do modnego już wówczas hasła, by sięgać do „sprawdzonych w świecie” rozwiązań, autorzy akcentują ich zróżnicowanie: „O ile podstawowe mechanizmy rynku funkcjonują w rozwiniętych państwach przemysłowych tak samo czy podobnie, to np. proporcje podziału dochodu narodowego czy zasady polityki gospodarczej bywają zasadniczo odmienne. Z tego punktu widzenia szwedzki model gospodarczy jest wart szczególnego zainteresowania. Gospodarka szwedzka funkcjonuje w warunkach ostrych rygorów efektywnościowych narzuconych przez rynek międzynarodowy. Z tego m. in. powodu nie ma w niej miejsca na paternalizm w stosunku do przedsiębiorstw czy branż trwale nieefektywnych. Jednak nawet olbrzymie programy restrukturyzacyjne, jak np. likwidacja całego praktycznie przemysłu stoczniowego (do niedawna uchodzącego za jeden z najnowocześniejszych na świecie), przebiegają tam w warunkach spokoju społecznego, mimo stale utrzymującej się znacznej siły związków zawodowych. Tajemnica sukcesu tkwi w tym, co Szwedzi nazywają aktywną polityką zatrudnienia. Zamiast przeznaczać pieniądze na zasiłki dla bezrobotnych, najpierw szuka się możliwości pracy dla potencjalnych kandydatów na bezrobotnych. Spośród pracowników zlikwidowanych stoczni nikt nie został pozostawiony własnemu losowi. (...). Radykalizm gospodarczy współistnieje w Szwecji z solidaryzmem społecznym, a filozofia rozwiązywania sytuacji konfliktowych jest zaprzeczeniem thatcheryzmu. W Anglii likwidacja nierentownych przedsiębiorstw przeważnie pociąga za sobą wzrost bezrobocia, a co za tym idzie – strajki i napięcie społeczne. W Szwecji operacja ta przebiega w miarę bezkonfliktowo” (Konsultacyjna, 1989: 3-4).

Autorzy zwracają uwagę, że likwidacji przemysłu stoczniowego dokonali socjaldemokraci, podczas gdy sprawujący wcześniej konserwatyści subsydiowali ten przemysł. W obowiązującej w Szwecji zasadzie „równej płacy za równą pracę” niezależnie od kondycji firmy na rynku, autorzy dostrzegli interesujący mechanizm automatycznej restrukturyzacji gospodarki, eliminacji firm słabych i motywowania do innowacji pozostałych. Konfrontują ponadto realia szwedzkie z polskimi w odniesieniu do takich kwestii, jak: stosunek podstawowych sił społecznych do zmian strukturalnych w przemyśle, pojmowanie priorytetów w procesie zmian strukturalnych, rządzące nimi mechanizmy oraz ich aspekty finansowe, zarządzanie przedsiębiorstwami oraz struktura organizacyjna sterowania przemysłem, polityka rolna, spółdzielczość, itp. Raport jest zdumiewająco dojrzały jak na pięciodniowy tylko pobyt jego autorów w Sztokholmie.

Ogólne przesłanie adresowane do władz polskich antycypuje niejako zapisy późniejszej Konstytucji RP: „Dostrzec można zatem znaczne podobieństwo między wartościami, którym podporządkowana jest polityka gospodarcza i społeczna socjaldemokratów w Szwecji oraz tymi, które urzeczywistniamy lub staramy się urzeczywistnić w Polsce: pełne zatrudnienie, płaca uzależniona od wkładu pracy, bezpieczeństwo socjalne. Tym bardziej doświadczenia szwedzkie warte są przestudiowania, a niektóre z nich mogą być bezpośrednio użyteczne dla procesu reform gospodarczych oraz bieżącej polityki” (tamże: 5).

Przywiązując szczególną wagę do polityki przemysłowej, a w szczególności do restrukturyzacji starych branż autorzy opracowali specjalne aneksy poświęcone konsensualnej restrukturyzacji dwóch z nich: stalowej i stoczniowej⁸. Można więc powiedzieć, że autorzy zachowali rozsądne proporcje pomiędzy opisem ustrojowych pryncypiów gospodarki szwedzkiej i palących kwestii pragmatycznych, wynikających jednakże z przesłanek modelowych.

Brusa-Łaskiego oraz Kornaia opcje alternatywne

W 1989 roku ukazały się dwie książki jak gdyby w odpowiedzi na pilne zamówienie społeczeństwa. Książki różne, a jednak o bardzo podobnym przesłaniu. Mam na myśli książkę węgierskiego ekonomisty Janosa Kornaia: *Droga do wolnej gospodarki* ([1989]1991) oraz książkę dwóch ekonomistów polskich: *Od Marksa do rynku* ([1989]1992). Jej autorami byli: ekonomiści polscy, Włodzimierz Brus z Oksfordu oraz Kazimierz Łaski z Wiednia – obaj emigranci z posiewu marcowej dintojry z 1968 r. Brus był dobrze znany w świecie z jego parę dziesiątków lat trwającej „zmory reformowania socjalistycznego systemu ekonomicznego” (to tytuł jego autobiografii). Łaski – jego uczeń i przyjaciel, mniej dotąd znany, od chwili napisania tej książki „naznaczony” nową »zmorą« poprawiania dróg przejścia do prywatnej gospodarki rynkowej. W innych warunkach Łaski przejął niejako pałeczkę od swego mistrza, który w prywatnych rozmowach powtarzał „dość już się nadradzałem”.

Brus i Kornai to wśród wówczas żyjących najwybitniejsi ekonomiści-reformatorzy bloku sowieckiego, najpierw zwolennicy realnego socjalizmu, nawet w latach stalinowskich, a następnie coraz konsekwentniejsi krytycy, znów początkowo wierzący w jego usensownienie, a następnie pozbawieni złudzeń, poszukiwali alternatywy. Ale na tym kończą się podobieństwa. Kornai – produkt kraju, w który socjalizm „rozstrzelano” w 1956 r. na ulicach Budapesztu – pożegnał się wówczas z partią i poza jednym wyjątkiem (wejście do rady banku centralnego) uczynił realny socjalizm jako przedmiot obiektywnej analizy, z dala trzymając się od dawiania recept. Tymczasem Brus od 1953 r. uporczywie walczył o reformy, brał udział w różnych gremiach partyjnych i państwowych (był m.in. wiceprzewodniczącym Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów i jednym z głównych autorów jej dokumentów programowych). Z partią pożegnał się dopiero w 1967 r., a do literatury światowej wszedł jako twórca modelu „gospodarki planowej z wbudowanym mechanizmem rynkowym”.

W 1989 roku obaj nie mieli już złudzeń reformatorskich wobec realnego socjalizmu. Kim więc byli, jakie poglądy głosili? Czym się różnili?

Kornai manifestacyjnie podkreślał przywiązanie do „wolnej gospodarki”, czyli kapitalistycznej gospodarki wolnego rynku, a w teorii z wyraźnym monetarystycznym ukłonem („inflację tworzą rządy”), pozbawionym

⁸ W Raporcie poinformowano też, że opracowanie na temat ogólnych zasad szwedzkiej polityki przemysłowej znajdowało się do wglądu w siedzibie KRG. Natomiast Danuta Gotz-Kozierkiewicz (1989) opublikowała artykuł o systemie podatkowym. Jest zastanawiające, że uczestnicy studyjnej wycieczki do Szwecji, a później biorący udział w obradach Okrągłego Stołu (prof. Jan Mujżel i Marcin Święcicki) ani razu nie odwołali się do szwedzkiego doświadczenia.

wszelkich ciągłot socjalistycznych (nawet „idea socjalizmu rynkowego spaliła na panewce. (...). Nigdy więcej!”). W roku 1989 porzuca „szkiełko i oko” mędrca na rzecz normatywnej, miejscami wręcz pamfletowej walki o konkretny kształt gospodarki kapitalistycznej. W jego książce czytelnik znajdzie kilkadziesiąt zaleceń i niemniejszą liczbę przeciwwskazań. Przypomina ona więc bardziej katechizm niż dzieło analityczne.

Brus i Łaski opowiadają się za gospodarką mieszaną z przewagą własności prywatnej. Choć odrzucają socjalizm jako system alternatywny dla kapitalizmu (także socjalizm rynkowy), nie wyrzekają się jednak wartości socjalistycznych. Przeciwnie, poważnie rozważają takie narzędzia polityki gospodarczej, które sprzyjają pełnemu zatrudnieniu, złagodzeniu cykliczności i rozpiętości dochodowych.

Mimo tych różnic, w obliczu zasadniczych wyborów, przed jakimi stanęły wówczas ich kraje – Węgry i Polska, a następnie inne kraje pokomunistyczne – było coś bardzo ważnego, co obie książki łączyło. Choć Kornai rozpoczyna od problematyki własnościowej, polscy ekonomiści kończą nią swoje wywody, w obu książkach uznaje się własność za podstawowy filar nowego ładu. Kluczową sprawą jest akcentowana przez wszystkich trzech autorów perspektywa rozumnego tworzenia nowego ładu społecznego oraz uznanie, że sprawą podstawową są takie przekształcenia własnościowe, które będą podstawą gospodarki efektywnej. W obu przypadkach jest to perspektywa ewolucyjna. Kornai nie tylko zgłasza odpowiednie propozycje, ale z całą surowością gani „kawalerską szarżę” węgierskich radykałów, odrzuca pomysły rozdawnictwa publicznej własności, sprzeciwia się lekkomyślnemu zanizaniu ceny sprzedażnej firm państwowych.

A oto ogólna wizja transformacji Kornai: „musimy się liczyć z tym, że przez dwa najbliższe dziesięciolecia będzie istnieć na Węgrzech gospodarka *dualistyczna* (...), w której częściami są dwa sektory: państwowy i prywatny. Udział sektora państwowego może się zmniejszać tylko stopniowo: musimy się starać podnosić ekonomiczną efektywność tego sektora, ale nie powinniśmy ulegać złudnym nadziejom. (...) Czy nam się to podoba czy nie, sektor państwowy zachowa wiele ujemnych cech. Musimy zatem dążyć do ich zminimalizowania poprzez stosowanie ścisłej dyscypliny finansowej i odpowiednią kontrolę parlamentarną. (...). Warunki działania sektora prywatnego trzeba w sposób konsekwentny zliberalizować; biurokratyczne ograniczenia muszą być usunięte. Należy zastosować odpowiednie instrumenty fiskalne i monetarne, by wspomóc szybki i dynamiczny jego rozwój (...), ale ciągle mamy przed sobą długi okres współistnienia dwóch sektorów (Kornai, op.cit. 64).

Podobnie, a zarazem inaczej piszą Brus-Łaski: „Punktem wyjścia procesu ewolucji jest stan, w którym dominuje przedsiębiorstwo państwowe, i ten fakt nie może być zmieniony z dnia na dzień. Jediną realną perspektywą dla socjalizmu rynkowego w dającej się przewidzieć przyszłości jest przeto gospodarka mieszaną, w której różne formy przedsiębiorstw państwowych stopniowo zaczynają »na równej stopie« konkurować z firmami prywatnymi i spółdzielniami. Oznacza to, że nadal istotna jest sprawa odpowiedniego wpassowania

przedsiębiorstwa państwowego w prawdziwie rynkowe ramy (włącznie z rynkiem kapitału) przy możliwie najmniejszych stratach. Co się tyczy perspektywy długofalowej, rozwój struktury własności musi podlegać bezstronnemu sprawdzianowi przydatności społeczno-ekonomicznej w ciągle zmieniających się warunkach. (...) System ekonomiczny staje się otwarty” (Brus, Łaski, op.cit. 183).

Deklaracja polskich autorów wymaga dwóch wyjaśnień. Po pierwsze, przez socjalizm rynkowy Brus i Łaski rozumieli wymuszone przez okoliczności szybkie urynkwienie gospodarki w warunkach długotrwałej dominacji przedsiębiorstw państwowych. Po drugie, obaj opowiadali się za „bezstronnym sprawdzianem” efektywności „na równej stopie” Wyrażał się w tym mniejszy niż u Kornai pesymizm dotyczący sprawności firm państwowych. Takie podejście autorom podpowiadało m.in. doświadczenie brytyjskie. Przywołując opinię „niektórych obserwatorów”, którzy winią za kiepskie wyniki obciążają nie publiczną własność jako taką, lecz niewłaściwą politykę rządu, polscy autorzy zauważają: „Swoista ironia losu sprawa, że ten ostatni argument znalazł paradoksalne potwierdzenie w poprawie wyników firm publicznych w Wielkiej Brytanii, kiedy to w okresie poprzedzającym prywatyzację rząd konserwatywny Margaret Thatcher usztywnił ograniczenia budżetowe i wymusił na gałęziach znacjonalizowanych całkiem niezłą zyskowność”.(170)

Inną politykę sektorową proponował Kornai. Otwarcie opowiadał się za dyskryminacją wobec sektora państwowego, w przeszłości mocno uprzywilejowanego. Tym bardziej zasługuje na uwagę jego aż dwudziestoletnia perspektywa gospodarki dualnej w kraju parokrotnie mniejszym niż Polska i, co ważniejsze, bardziej niż Polska zaawansowanym pod względem komercjalizacji jako rezultatu reformy z 1968 roku. Dodajmy, że Kornai wyraźnie preferował powstawanie przedsiębiorstw osób fizycznych, a dopiero te z nich, które się wzbogacą i poczują siłę, mogłyby się jednoczyć w spółki. Taka strategia miała sprzyjać organicznej drodze rodzenia się zdrowej klasy średniej metodą akumulacji oszczędności. Ogólne przestanie Kornaia sprowadzało się do tego, że transformacja ustrojowa może i powinna być rezultatem „dobrej roboty”, co zakłada brak pośpiechu⁹.

Kornai zajmował ostrożne stanowisko wobec kapitału zagranicznego. Akceptując wyliczał płynące stąd korzyści, ale jednocześnie podkreślał, że dopuszczać go należy tylko do pewnych granic dających się pogodzić z interesem narodowym. Zastanawiał się też, czy nie należałoby wręcz określić górną granicę jego dopuszczalności.

Ultradaykalna euforia polskich kręgów władzy oraz ich samoizolacja sprawiły, że ani oryginalne, węgierskie (1989), następnie angielskie (1990), ani polskie (1991) wydanie książki Kornai nie wzbudziło żadnego zainteresowania. Oczywiście, podobne były losy książki dwóch polskich autorów. Zarówno kolejne wydania angielskie (1989,1990), jak i przekład polski (1992), a też

⁹ Właśnie to przesłanie zdecydowało, że Fundacja Polska Praca postanowiła książkę Kornai jak najszybciej spolszczyć. Nie doceniliśmy tylko tego prostego faktu, że wydanie jej pod firmą lewicującej organizacji stanie się barierą w rozpowszechnieniu.

wizyta Brusa w 1989 r. zostały przez kręgi establishmentu, łącznie z czołowymi mediami kompletnie zignorowane. Obecnie tylko dla celów studyjnych można się zabawić w ćwiczenie myślowe. Jak inaczej mógłby się ukształtować polski wariant kapitalizmu, gdyby władze postąpiły racjonalnie, podejmując działania reformatorskie po poważnym przestudiowaniu, przetrawieniu i zoperacjonizowaniu treści obu tych książek. Ekonomiści jednak wiedzą, że nawet zupełnie wyjątkowe pod tym względem dzieło ekonomiczne, które bardzo szybko wpłynęło na działania rządów: *Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza* Johna M. Keynesa potrzebowano na jego recepcję dobrych kilka lat.

I dodajmy jeszcze jedno. Chociaż ekipa Balcerowicza tak chętnie odwoływała się do dzieł F. A. Hayeka, w sprawach tutaj rozważanych nie ona, lecz Brus i Łaski oraz Kornai byli w zgodzie z austriackim ekonomistą. Oto przed czym Hayek przestrzegał polityków w związku z przechodzeniem od gospodarki wojennej do rynkowej: „jakkolwiek bardzo by sobie nie życzyły szybkiego powrotu do wolnej gospodarki, nie może to oznaczać usunięcia wszystkich wojennych ograniczeń za jednym zamachem. Nic bardziej nie skompromitowałoby systemu wolnej przedsiębiorczości niż gwałtowana (...) dyslokacja oraz niestabilność, jaką działania takie mogłyby spowodować. Problemem jest to, jaki typ systemu powinien być przekształcony w trwałą strukturę w wyniku dokładnie przemyślanej polityki stopniowego zmniejszania kontroli, co musiałoby zostać rozciągnięte na lata” (Hayek, [1944]1996:210, przypis). I jeszcze dosadniej: „Jedyną rzeczą, której współczesna demokracja nie zniesie bez załamania się, jest konieczność istotnego obniżenia poziomu życia w czasie pokoju, a nawet dłuższa stagnacja warunków gospodarczych” (tamże, s. 211).

Dwie „Ameryki”

Możliwe, że w Polsce *Anno Domini* 1989 naśladowanie socjaldemokratycznego modelu szwedzkiego było z czysto politycznego punktu widzenia trudne, zdaniem niektórych graniczące z niemożliwością¹⁰. Znacznie łatwiejsza politycznie była w moim przekonaniu możliwość połączenia ruchu „Solidarności” z od-

nowioną myślą liberalną, właśnie przychodzącą zza Atlantyku, co byłoby wymarzoną syntezą „argumentu siły” (ruchu „Solidarności”) z „siłą argumentu” (socialliberałów). Wbrew bowiem powszechnemu przekonaniu, z Ameryki płynęły wówczas do Polski nie tylko recepty neoliberalne spod znaku Hayeka-Friedmana. Przybywali nie tylko entuzjaści wolnego rynku *à la* Jeffrey Sachs, lecz także emisariusze odnowionej myśli liberalnej.

O spotkaniach z tymi drugimi dopiero ostatnio uchylił rąbka tajemnicy Leszek Balcerowicz, szkoda, że w tak skrótowej formie: „Pamiętam – powiedział – jak przychodzili różni Amerykanie, którzy nie zdołali swoich idei wprowadzić w USA i nam je proponowali. Moja odpowiedź brzmiała: wypróbujcie je najpierw na sobie (...). Dla mnie było oczywiste, że skoro Polska stała się wolna, to skrajną głupotą byłoby realizować jakąś trzecią drogę” (Graczyk, 2007)¹¹.

Balcerowicz dotknął tu ważnego aspektu historii początków polskiej transformacji. Decydując się na jak najszybszy skok w wolny rynek Polska straciła być może szansę pójścia drogą Japonii. Przypomnijmy początki jednej z najciekawszych innowacji ustrojowych drugiej połowy ub. wieku – powstania nowego systemu społeczno-ekonomicznego tego pierwszego „tygrysa azjatyckiego”, który zaraźliwie wpłynął na południową Koreę i Tajwan, nieco później także na parę innych krajów regionu. Akijo Morita (1996) opisuje właśnie taki przypadek. Amerykańscy intelektualiści narzucili niejako okupowanej przez Amerykanów Japonii idee socjal-liberalnego kodeksu pracy. Dokonało się to przy wsparciu szefa władz okupacyjnych generała MacArthura, o którym mawiano, że zaaplikował Japonii Rooseveltowski *New Deal*.

Ze skrzyżowania tych idei z kulturą i pomysłowością Japończyków wyrósł jakże ciekawy ustrój społeczno-ekonomiczny. Nie inaczej, choć w tym przypadku przy współdziałaniu Brytyjczyków i Francuzów, powstawał model społecznej gospodarki rynkowej w RFN. Okazuje się, że również Polsce okresu wielkich wyborów ustrojowych „narzucali się” amerykańscy liberałowie-„welfaryści”. Bezsukcesywnie docierali do głównego demingera szokowej terapii.

W świetle enuncjacji Balcerowicza inaczej należy spojrzeć na socjalistyczną przygodę badawczą Josepha Stiglitz. Na początku lat 90. opublikował on trzy studia poświęcone krytyce rynkowego socjalizmu. Otwierają je funkcjonujące tylko w formie powielonej wygłoszone w maju 1990 r., dwa wykłady w serii Wicksellowskich, na uniwersytecie sztokholmskim. Stiglitz podjął w nich próbę odpowiedzi, dlaczego zawiodły dotychczasowe koncepcje rynkowego socjalizmu. Nie było to jednak proste odrzucenie ideałów socjalistycznych w ogóle, lecz wskazanie, gdzie tkwiły błędy zarówno w samej koncepcji rynkowego socjalizmu, jak i w bardziej fundamentalnych założeniach teorii neoklasycznej, na której się ta koncepcja opierała. Nie wchodząc w szczegóły jego krytyki, nawiążę tylko do końcowego przesłania,

¹⁰ Surowy dotychczas krytyk planu Balcerowicza, Karol Modzelewski powiedział ostatnio: „Wtedy uważałem, że może zaistnieć polityczna i ekonomiczna alternatywa. Dzisiaj uważam, że jej nie było”. Uwaga, że stopniowe przejście do gospodarki rynkowej było możliwe w Chinach, co ułatwiła dyktatura. „W naszym wypadku była dyktatura, która się zawaliła, więc trzeba było szybko wyjść ze starego systemu gospodarczego, inaczej przyniotłyby nas gruzy” (Graczyk, 2007). Z wielu powodów nie podzielałem tego poglądu. Nie jest prawdą, że w Chinach „droga do ewolucyjnej transformacji prowadziła przez plac Tiananmen”. Początek ewolucji sięga 1978 r. Po drugie, w Polsce czynnikiem stabilizującym była (mogła być) „Solidarność”, w gospodarce ruch samorządowy, a przede wszystkim porozumienia Okrągłego Stołu. Po trzecie, również w Europie istnieje kraj komunistyczny, który uchronił gospodarkę od szokowej operacji. A tam jeszcze bardziej niż w Polsce od podstaw tworzone zryby demokracji nie tylko po upadku „dyktatury”, lecz także rozpadzie państwowości. Krajem tym jest Słowenia (Mencinger, 2004). Budzi również zastrzeżenia tłumaczenie, że niedoszacowanie kosztów wynikało z pionierskości („Jak się idzie drogą, którą nikt nie chadzał, to jest to nieuniknione”). Owszem, jest nieuniknione, ale chodzi o zakres owego niedoszacowania. Jeśli wynosi ono kilkaset procent, to pod znakiem zapytania stawia profesjonalizm autorów planu. Zwłaszcza w zestawieniu ze słynną trzylatką Czesława Bobrowskiego, który też szedł nieuczęszczaną drogą, a mimo to stworzył najdokładniej wykonany plan w historii Polski po 1945 r.

¹¹ Nawiasem, Amerykanie mogli odpowiedzieć Balcerowiczowi, że oni te koncepcje z dobrym skutkiem wypróbowali w postaci Rooseveltowskiego *New Deal-u* oraz w latach „amerykańskiego cudu” rządów J.F. Kennedy’ego i L. Johnsona. Aktualnie zaś ze złym skutkiem weryfikowano harce kontrreformacji Ronalda Reagana i G. Busha.

które w moim przekonaniu uzmysławia nam nie tylko meandry socjalizmu, lecz także utraconą szansę. Z tych względów zasługuje na upamiętnienie.

Stiglitz o aktualności socjalistycznych ideałów:

„Byłe kraje socjalistyczne rozpoczęły wędrówkę, mając przed sobą wiele dróg. Nie ma tylko dwóch dróg. Jest ich wiele, także mało uczęszczanych – a nikt nie może wiedzieć dokąd one prowadzą. Jednym z największych kosztów trwającego 70 lat eksperymentu socjalistycznego było to, iż zamykał on możliwość zbadania wielu możliwych dróg. U początków podróży byłych krajów socjalistycznych można wyrazić nadzieje, że będą one kierowały się nie tylko wąskimi kwestiami ekonomicznymi, które analizowałem w mych wykładach, ale także szerszym zespołem ideałów, które motywowały wielu twórców tradycji socjalistycznej. Może niektóre z tych krajów wejdą na drogę mniej uczęszczaną, co może odmienić życie nie tylko ich, ale nas wszystkich” (Stiglitz, 1990: 70; Stiglitz, 1994: 279).

Amerykański ekonomista miał odwagę nie tylko upomnieć się o socjalistyczne ideały ważne dla krajów wchodzących na drogę nowego ładu społeczno-ekonomicznego, lecz wyrazić także nadzieję, że na tych ideałach oparte innowacje ustrojowe mogłyby odmienić życie nie tylko społeczeństw pokomunistycznych, lecz także ludzi Zachodu. I co ciekawe, nie przeszkodziło mu to zostać później szefem doradców prezydenta Billa Clintona, a następnie pierwszym zastępcą prezesa Banku Światowego.

Na uwagę zasługują także jego konkretne sugestie, dziś brzmiące jak ostra krytyka polskiej transformacji. Tylko tytułem przykładu zacytuję sugestie wobec nie rozpoczętej jeszcze na wielką skalę prywatyzacji. Jeszcze po rozpoczęciu skoku w rynek, w maju 1990 r. pozostała nie spóźnionym postulatem. Oto jego słowa: „Rozszerzenie pola dla równości. Uważam, że gospodarki krajów posocjalistycznych znalazły się w wyjątkowej sytuacji, stwarzającej możliwość ukształtowania takiej egalitarniejszej [struktury] własności, która jest prawdopodobnie nieosiągalna w innych gospodarkach rynkowych. Często formułowany cel »kapitalizmu ludowego« znalazł się w zasięgu ręki, co w innych krajach jest z uwagi na istniejącą już koncentrację własności trudne do wyobrażenia. Kraje posocjalistyczne nie powinny utracić okazji dokonania takich właśnie reform, które są osiągalne” (Stiglitz, 1990: 62)¹².

TADEUSZ KOWALIK

Literatura cytowana:

- Aleksandrowicz P., *Program dostosowawczy*, „Gazeta Bankowa”, nr 28 (10.07. 1989).
 Bywalec C., *Poziom życia społeczeństwa polskiego na tle procesów transformacji gospodarczej (1989-1993)*, studium przygotowane na zamówienie INE PAN, 1995.
 Balcerowicz L., *800 dni. Szok kontrolowany*, Warszawa 1992.

¹² Późniejsze funkcje i zainteresowania skłoniły go do zajęcia się głównie problemami globalnymi, a zwłaszcza na tym tle gospodarkami krajów Trzeciego Świata. Podsumowaniem tych zainteresowań jest książka: *Wizja sprawiedliwej globalizacji* ([2006] 2007), oparta na ideach zarówno liberalnych, przynajmniej tego wywodzącego się od J. S. Milla i J. Rawlsa, jak i socjalistycznych.

Bobrowski C., *Rozwój planowania w Polsce Ludowej*, Komitet Nauk Ekonomicznych PAN, b.d.(1964?).

Baka W., *Zmagania o reformę. Z dziennika politycznego 1980-1990*, Warszawa 2007.

Bruno M., *Stabilization and reform in Eastern Europe: a preliminary evaluation, working paper IMF 92/30*, Waszyngton 1992.

Brus W. i Łaski K., *From Marx to market, Socialism in search of an economic system*, Oksford 1989.

Brus W. i Łaski K., *Od Marksa do rynku*, Warszawa 1992.
 Domański H., *Mobilność i hierarchie stratyfikacyjne*, [w:] H. Domański i A. Rychard, *Elementy nowego ładu*, Warszawa 1997.

Frasyniuk W., *Wracamy do gry*, wywiad W. Beresia, „Gazeta Wyborcza” 29-30 05.2004.

Gajdziński P., *Balcerowicz na gorąco*, rozmawia..., Poznań 1999.

Gomułka S., *Stabilizacja i wzrost: Polska 1989-2000*, „Gospodarka Narodowa” nr 6, 1990.

Gomułka S., *The IMF-Supported Programmes of Poland and Russia, 1990-1994: Principles, Errors and Results*, „Journal of Comparative Economics”, Vol. 20, July 1995.

Graczyk R., 2007, *Jak obalono komunizm?*, „Tygodnik Powszechny” 29 04.22007.

Gotz-Kozierkiewicz D., *Jakie podatki płacą Szwedzi? „Wektory Gospodarki” nr 9/10*, 1989.

Hayek F.A., *Droga do zniewolenia*, Kraków [1944]1996.

Janicki M, Władyka W., *Salon podwinął rękawy*, „Polityka”, 2.08.2008.

Konsultacyjna Rada Gospodarcza, *Model szwedzki*, Warszawa, czerwiec 1989, tekst powielany.

Kornai J., *Droga do wolnej gospodarki*, Warszawa [1990]1991.

Kozanecki P., *Prywatyzacja w Polsce w perspektywie porównawczej, Wyniki ilościowe i jakościowe*, [w:] B. Błaszczak i in., (red.), *Zmiany w polskich przedsiębiorstwach, Własność, restrukturyzacja, efektywność*, Warszawa 2007.

Kozłowski P., *Spółczeństwo dewiacyjne*, „Gospodarka Narodowa”, nr 3, 2001.

Kwaśniewski A., *Coś musi powstać za sprawą innej generacji*, „Trzech na jednego”, „Zdanie” 2004, nr 1-2.

Kuczyński W., *Zwierzenia zausznika*, Warszawa 1992.

Kuroń J., J. Żakowski, *Siedmiolatka czyli kto ukradł Polskę?* Wrocław 1997.

Lutkowski K., *Z czym do Funduszu*, „Polityka”, nr 19, 1989 (dodatek wrześniowy).

Małachowski A., *Łzy cisną się do oczu*, „Przegląd”, nr 11, 2001.

Małachowski A., *Rozliczmy współczesność*, „Przegląd”, 7.01.2002.

Mencinger J. *Słowenia, alternatywna polityka gospodarcza w praktyce*, [w:] T. Kowalik i in., *Wokół polityki gospodarczej w Unii Europejskiej*, Warszawa 2004.

Założenia i kierunki polityki gospodarczej, „Rzeczpospolita”, 12 10.1989, (dodatek broszurowy, Ministerstwo Finansów).

Morita A., *Made in Japan*, Warszawa 1996.

Ost D., *Kłęska „Solidarności”, Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*, Warszawa 2007.

Stiglitz J., *Whither socialism, Wicksell's lectures*, Sztokholm 1990, ksero.

Stiglitz J., *Wizja sprawiedliwej globalizacji*, Warszawa [2006]2007.

RYSZARD SITEK

HISTORIA FILOZOFII POLSKIEJ JAKO INSTRUMENT WYCHOWANIA DO TOLERANCJI

*Człowiek jest urodzonym
wrogiem słupów granicznych*
Georg Simmel
*Debata na temat tożsamości narodowej
są dominującą cechą naszych czasów*
Samuel P. Huntington

1. Globalizacja to proces (również zjawisko) o charakterze złożonym oraz wielowymiarowym. Jego podstawowe wymiary to: gospodarczy, demograficzny i kulturalny. Interesująca nas globalizacja w sferze kultury znajduje wyraz przede wszystkim w unifikacji i uniwersalizacji wytworów kulturowych, w dominacji jednolitych wzorców, reguł i symboliki¹. Dyfuzja kultur dokonuje się współcześnie w formie swoistego „imperializmu kulturowego”, tj. za pośrednictwem przepływu treści i produktów kultury normatywnej, symbolicznej oraz materialnej poprzez rynek i media. To one pełnią dziś rolę głównego regulatora w świecie kultury. Z wszystkimi tego konsekwencjami, o czym boleśnie przekonali się po transformacji ustrojowej kraje środkowej Europy, wśród nich Polska. Podstawowym kryterium w świecie kultury staje się powszechność i wysoka sprzedawalność „produktu”. Proces „amerykanizacji” pociąga za sobą erozję dotychczas obowiązujących kanonów i autorytetów.

W czasach „płynnej” nowoczesności wszystko podlega strategiom rynkowym. Koniunkturze tej nie oparła

się także miłość; handlowa zasada, zgodnie z którą „towar jest do zwrotu” obowiązuje również w tej dziedzinie życia. „Czyste”, sprowadzone do wymiany seksu związki gwarantują „udziałowcom” bezproblemowe ich rozwiązanie. W miejsce pogłębionych więzi międzyludzkich na piedestał wynosi się łatwość w ich nawiązywaniu; konserwatywne wartości, tj. przywiązanie, lojalność i wierność oglądane z perspektywy płynnej nowoczesności stają się wadami – nie można już dziś trwale wiązać się partnerem, zakładem pracy, z kimkolwiek i czymkolwiek. Ilość zastępuje jakość².

2. W następstwie globalizacji kultura w swoich przejawach powierzchownych i masowych w skali całego świata ulega ujednoczeniu, ale zarazem w głębszych pokładach jej różnorodność trwa, a nawet się wzbogaca. Kultura zarówno łączy, jak i dzieli. Bywa źródłem konfliktów, napięć wewnętrznych i zaburzeń w socjalizacji.

Zdaniem Huntingtona nawet ci sami bohaterowie masowej popkulturowej wyobraźni mogą nieść rozmaite symboliczne treści w różnych kulturach. Ilustrację powyższej tezy odnajdujemy w narodowych mutacjach popularnego przed kilku laty programu *Wielki Brat*. Uważni obserwatorzy programu zauważali, iż zachowania występujących bohaterów pozostawały w pełnej zgodzie z ich narodowymi stereotypami³.

¹ P. Kozłowski: *Perspektywy globalizacji*. „Studia Europejskie” 2003, nr 1 (25), s. 9-10.

² Z. Bauman: *Razem/Osobno*, Kraków 2003, s. 25-27.

³ B. Szacka: *Wprowadzenie do socjologii*, Warszawa 2003, s. 430.

W zaistniałej sytuacji kultura stała się zarówno obszarem ekspansji globalizacji, jak i polem bitwy w obrocie zagrożonych globalizacją wartości partykularnych⁴. Wobec różnorodności, czy przeciwnie – jak zauważa Piotr Sztompka – wobec uniformizacji kultur można przyjmować różne postawy. Ich pełna gama mieści się pomiędzy biegunowymi: postawą etnocentryczną – z jednej strony, a postawą tzw. politycznej poprawności – z drugiej⁵.

Refleksy dwóch skrajnych stanowisk wobec problemów niesionych przez globalizację odnajdujemy również w polskim dyskursie tożsamościowym nawiązanym na kanwie sporu o kształt Konstytucji Europejskiej, czy wcześniej – o warunki przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

3. Termin tolerancja (łac. *tolerare* – znosić, cierpieć) w znaczeniu, jakim się współcześnie najczęściej nim posługujemy, oznacza świadomą zgodę na wyznawanie i głoszenie przez innych poglądów, z którymi się nie zgadzamy, także na sposób życia uważany przez innych za właściwy, mimo iż sami go nie aprobujemy. To oczywiście nie jedyne współcześnie przyjęte znaczenie tego terminu. Ale właśnie w ten sposób pojmowana tolerancja, ongiś utylitarny środek, dziś – dzięki liberałom – stała się samoistną wartością.

Mówiąc o tolerancji dalecy jesteśmy wszakże od utożsamiania jej ze skrajną z postaci relatywizmu, jakim w gruncie rzeczy pozostaje „poprawność polityczna”, ów *savoir-vivre* publicznych wypowiedzi. Pod terrorem „politycznej poprawności”, poglądu trafnie spuentowanego niegdyś przez Leszka Kołakowskiego zdaniem, iż w myśl jego wyznawców jedyna różnica pomiędzy kanibalem a jarosem zawiera się w kwestii smaku, wszyscy się ze wszystkimi zgadzają lub – na wszelki wypadek – przezornie milczą. Aksjologiczną podstawę dla tolerancji pojmowanej w duchu „politycznej poprawności” stanowi pogląd twierdzący już nie o różnorodności, ale równowartości różnych kultur. Świat wyłącznie prawd względnych to świat obojętności, indyferentyzmu i tchórzostwa nie tylko intelektualnego⁶.

4. Kluczem do tolerancji jest otwierający pole późniejszym negocjacji i mediacji – dialog. „Ontologiczną” wykładnię społeczeństwa tolerancyjnego odnajdujemy w Isaiaha Berlina koncepcji społeczeństwa liberalnego. Autor *Dwóch koncepcji wolności* należał do tych myślicieli i zarazem zwolenników liberalizmu, którzy jego powstanie wiążą z reakcją na wyniszczające skutki przetaczających się przez szesnastowieczną Europę wojen religijnych⁷. „Liberalizm strachu” – przed sporami o religię i inne ważne wartości oraz przed rewolucją lub despotyzmem zaowocował projektem tolerancji zasadzającym się na ideale racjonalnego

konsensusu⁸. Przecistawiając się ostatecznej homogenizacji wartości ideał *modus vivendi* ceni tolerancję jako warunek pokoju; głosząc równoprawność wielu sposobów życia występującą w życiu społecznym, różnorodność wita z radością postrzegając w niej oznakę wielorakości „dobrego” życia⁹.

Właśnie w berlińskim rozumieniu tolerancji odnajdujemy *differentia specifica* pozwalające odróżnić zajmowane przez siebie stanowisko od drugiej z postaci liberalizmu. Charakteryzując owe dwie twarze liberalizmu J. Gray pisał: „Z jednej strony tolerancja jest poszukiwaniem idealnej formy życia. Z drugiej – jest poszukiwaniem warunków umożliwiających pokojową koegzystencję odmiennych sposobów życia. Wedle pierwszego punktu widzenia liberalne instytucje są postrzegane jako ucieleśnienie uniwersalnych zasad. Wedle drugiego są one środkami służącymi pokojowej koegzystencji. W pierwszym wypadku liberalizm jest receptą na system uniwersalny. W drugim – jest projektem koegzystencji, do której można dążyć w wielu systemach”¹⁰.

Zwolennicy drugiej z przedstawionych wersji, wśród nich Berlin, chcieliby widzieć w państwie liberalnym nie arbitra próbującego rozstrzygać co dobre, a co złe, sędzię w konfliktach, także tych dotyczących wartości, a jedynie organizatora neutralnej sceny umożliwiającej obywatelom realizację odmiennych koncepcji własnego życia.

Trzon „ontologii” społeczeństwa tolerancyjnego odnajdujemy w motywie pluralizmu wartości I. Berlina wspierającym się na sprzeciwie wobec wszelkich jednolitych wzorców, szablonów i hierarchii, których nosicielami były w równej mierze katolicka *philosophia perennis*, jak i uniwersalistyczny racjonalizm oświeceniowy. Pojęcie doskonałej całości harmonizującej wszystkie z podstawowych wartości – zdaniem historyka idei – jest nie tylko nieosiągalne, ale i logicznie niespójne. Niektóre z dóbr najwyższych nie dają się wzajemnie pogodzić. Jesteśmy skazani na wybory, a każda z naszych decyzji pociąga za sobą również skutki negatywne. Metafizyczny optymizm, wiara w możliwość ostatecznego rozwiązania – twierdził Berlin – okazuje się złudzeniem, na dodatek bardzo niebezpiecznym. Ci, którzy mu ulegają, „spoczywają na owych wygodnych łożach dogmatu, są ofiarami własnej krótkowzroczności z klapkami na oczach, mogącymi przynosić zadowolenie, ale niesprzyjającymi zrozumieniu, co to znaczy być człowiekiem”¹¹.

Na pytanie o sposób życia w świecie pozostających we wzajemnej kolizji wartości brak jednoznacznej i uniwersalnej odpowiedzi. Nie posiadał jej także Berlin; jedynym sposobem minimalizacji skutków kolizji wartości staje się zawieranie kompromisów. O ich kształcie decyduje niemal zawsze konkretna sytuacja. Zastrzeżenie wniesione przez historyka idei, iż „nawet jeśli nie ma wartości uniwersalnych, to istnieje przynajmniej jakieś minimum, bez którego społeczeństwa chyba

⁴ P. Kozłowski: *Perspektywy globalizacji*, op. cit., s. 10.

⁵ P. Sztompka: *Socjologia. Analiza społeczeństwa*, Kraków 2002, s. 245.

⁶ J. Surdykowski: *Tolerancja. Wołanie o sens*. „Rzeczpospolita” 2005, nr 60 (7049).

⁷ Krytycy reprezentowanego przez Berlina poglądu skłonni są raczej wiązać genezę doktryny z procesem tworzenia kapitalizmu, dla którego liberalizm gloryfikujący wolność i egoizm jednostki uczestniczącej w grze rynkowej stanowić miał ideologiczne uzasadnienie.

⁸ J. Gray: *Dwie twarze liberalizmu*, Warszawa 2001, s. 12; M. Król: *Bezradność liberałów*, Warszawa 2005, s. 10.

⁹ J. Gray: *Dwie twarze liberalizmu...* op. cit., s. 13, 169.

¹⁰ J. Gray: *Dwie twarze liberalizmu*, op. cit., s. 8.

¹¹ I. Berlin: *Pokrzywione drzewo społeczeństwa*, Warszawa 2004, s. 12.

by nie przetrwały¹² pozwala na odróżnienie berlińskiego pluralizmu od relatywizmu. Są bowiem sprawy, w których nie może być mowy o kompromisie.

Liberalizm – w wersji, której rzecznikiem był Berlin – wyzbywając się ambicji kreatorskich umożliwia ludziom realizację ich prywatnych celów pod warunkiem poszanowania wolności i godności współobywateli. Rezygnując w imię wolności indywidualnej z dążenia do doskonałości, liberalizm rezygnuje zarazem ze sprawdzonej recepty na niechybny rozlew krwi.

5. Tolerancja w przedstawionym ujęciu to współistnienie obok siebie ludzi wzajemnie życzliwych, ale nie bezkrytycznych; współobywatowanie ludzi „silnych w prawdzie”, ugruntowanych w swoich wartościach, ale nie ślepych na „prawdy” innych. Realizuje się ono nie tylko w trzech wymiarach przestrzeni, ale i w wymiarze czwartym – czasu. To zanurzenie w Historii bez końca, Historii, która wcale nie musi być linearna (w sensie: jednoliniowa) oraz wcale nie musi kończyć się summa (czyli wizją celu finalnego); w Historii, którą nie rządzi, żaden „duch”, żadna „konieczność” czy „opatrzność”, a historyczny konkrety, ucieleśnione dzieło odpowiedzialnego za swe czyny człowieka¹³. „Historia linearna i finalna nie jest jeszcze – zauważa Andrzej Mencwel – historią prawdziwie ludzką, jest historią uświęconą i ubóstwioną, która pochłania swoje ofiary. Historia ludzka natomiast z istoty swojej jest historią wielu możliwości, a bogactwo wariantów przedstawia z założenia. Zamiast iluzji nieuchronnego osiągnięcia celu finalnego odtwarza próby poznania, w ich odkryciach i błędach. Okazując szacunek różnym rozwiązaniom, przyczynia się do ich lepszego zrozumienia, wcale nie tracąc przy tym krytycznej tożsamości¹⁴”.

6. W polskim dyskursie tożsamościowym wyodrębnić można dwa biegunowo przeciwstawne stanowiska.¹⁵

Pierwsze z nich swojego prekursora i patrona zarazem znajduje w – tak jak ją postrzegamy – charyzmatycznej postaci Piotra Skargi, integrysty, ideologa polskiej kontreformacji. Historycznie jego kontynuatorów odnajdujemy w przedstawicielach sarmatyzmu; dziś w obozie „eurosceptyków”. Stanowisko to można nazwać „izolacionistyczno-tożsamościowym”. Dla tych, którzy je zajmują, globalizacja stanowi przede wszystkim zagrożenie dla tożsamości narodu, niebezpieczeństwo utraty jego swoistości. „Globalizacja – stwierdza Paweł Kozłowski – jest tu traktowana jako symboliczna

i materialna agresja skierowana przeciwko narodowi, ojczyźnie i domowi. Obrona przed nią jest wyrazem dbania o tzw. substancję narodową, o narodową tożsamość, którą uznaje się za lepszą i wyższą od wzorców zewnętrznych¹⁶. Charakteryzowane stanowisko zawiera z reguły również, sformułowane *implicite*, przekonanie, że „substancja narodowa” i tożsamość narodu są ważniejsze od jego podstaw materialnych i gospodarczo-społecznych.

Postawa fundamentalistyczna, możliwa do sparafrazowania jako „odgradzanie się od świata murem własnych prastarych tradycji, wedle zasady «byle polska wieś spokojna»” to w gruncie rzeczy postawa równie defensywna jak jej przeciwieństwo – „pasywne” uznanie globalizacji za historyczną konieczność. W ujęciu tym definiuje się globalizację jako etap rozwoju (cywilizacji, kultury, gospodarki), a więc jako zjawisko „pozytywne” i „naturalne” stanowiące fragment procesu nieuchronnego i oczywistego, do którego powinniśmy mieć stosunek taki jak do praw przyrody. W tej perspektywie kwestionowanie czy krytykowanie globalizacji staje się czymś równie bezsensownym, jak atakowanie następstwa pór roku czy zgłaszanie zastrzeżeń przeciwko działaniu prawa powszechnego ciężenia¹⁷.

Zarówno jedno, jak i drugie z przedstawionych skrajnych stanowisk nie może służyć idei tolerancji.

7. W przestrzeni zarysowanej przez wymienione wcześniej stanowiska pojawia się jednak również i trzecia możliwość. To w niej, w dialogicznej koncepcji „uznania samego siebie w swoim jestestwie¹⁸” autorstwa Maurycego Mochnackiego, odnajdujemy pożywkę dla idei tolerancji. Zachowując równie odległy dystans wobec postaw nacechowanych ksenofobicznymi uprzedzeniami, jak i wobec indyferentyzmu narodowego Mochnacki w swojej dialektyce „rodzime – uniwersalne” zdaje się antycypować późniejszą o ponad sto lat ideę Europy ojczyzn, która legła u podstaw strategii integracyjnej Unii Europejskiej.

W opublikowanym w drugim miesiącu powstania listopadowego znamienitym tekście *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym* pisał on metaforycznie o stosunku tradycji polskiej do dziejów powszechnych:

„Prawdziwe obywatelstwo nie co innego jest, tylko rozszerzenie osoby, rozprzestrzenienie indywidualnej jednostki. Tak samo naród cały, we własnej tylko i nierozdzielnej uznający się egzystencji byłby jako obwarowana i ze wszech stron zamknięta monada, która samej siebie jeszcze nie pojmuje i nie rozumie. Żeby się dobrze pojąć, potrzeba znać drugich i z nimi zostawać w ciągłych stosunkach. (...) Historia powszechna jest [to] rozszerzenie narodowej jednostki, ojczyzstego „ja”, za obręb przestrzeni pewnymi granicami określonej. Tak pojmują powszechne dzieje rodu ludzkiego. (...) Powinniśmy przyjść do uznania siebie w ogólnym jestestwie rodu ludzkiego. Gdzie to wyobrażenie nie

¹² Ibidem, s. 12.

¹³ M. Styczyński: *Kiedy Historia ma prawo się zdarzyć*, „Przegląd Polityczny” 2005, nr 70, s. 149

¹⁴ A. Mencwel: „Historia myśli socjologicznej” Jerzego Szackiego, <http://serwisy.gazeta.pl/ksiazki/2029020,19970,1311050.html>.

¹⁵ Dominikanin Jacek Salij w stworzonej przez siebie typologii operuje symbolicznymi nazwami postaw: „mamuciej” i „papuziej”. Mamut chroni „swoją tożsamość poprzez zamknięcie się w partykularnym zaścianku oraz izolowanie się od wpływów zewnętrznych”. Postawę papugi, za Stanisławem Wyspiańskim, Salij charakteryzuje jako rezygnację z własnej tożsamości na rzecz myślenia niesamodzielnego, pasożytującego na cudzych wartościach. Z podobnym rozróżnieniem dzielącym postawy na „zaściankowe” i „imitatorskie” wystąpił Ryszard Legutko. J. Salij: *Syndrom papugi*, „Ład” 1993, nr 21; R. Legutko: *Między papugą a zaściankiem (polskim liberalom ku przestrodze)*, „Znak” 1992, nr 1, s. 86-90; por. P. Spiewak: *Pamięć po komunizmie*, Gdańsk 2005, s. 216-217.

¹⁶ P. Kozłowski: *Perspektywy globalizacji*, op. cit., s. 11.

¹⁷ Ibidem, s. 10.

¹⁸ Co znamienne, termin ten na oznaczenie „idei samowiedzy narodowej” Mochnacki znalazł właśnie – jak sam pisze – „w Skardze, Birkowskim i innych znamienitych pisarzach, którzy, ucierając się z kacerstwem w Polsce, samym trybem polemicznych rozterek bardzo głęboko zabrnęli w subtelności teologiczne”. M. Mochnacki: *Rozprawy literackie*, Wrocław-Warszawa-Kraków, 2000, s. 183.

jest rozwinięte (...), tam ludzie zostają w pewnych tylko masach, granicach, stanach”¹⁹.

Odpierając zarzuty potencjalnych antagonistów Mochnacki zastrzega:

„Lecz tego, co się rzekło o historii powszechnej, niechaj nikt opacznym wykładem nie naciąga na to rozumienie: jakoby najwyższe dobro cywilizacji zasadała na zatarciu wszelkich śladów różnicy między narodami i niejako ostateczny kres oświaty ustanawiała w potłumieniu miłości ojczyzny itd. Dalekie jest ode mnie to mylne mniemanie, prawdziwa bowiem cywilizacja, jak sądzę, rozszerza indywidualność każdego narodu, ale jej nie zaciera i nie podkopuje; zbliża ludy ku sobie, ale ich na jednogiezdne nie zbija plemię, osłabia uprzedzenia trzymające narody w rozdziale nienawiści szkodliwej wzajemnemu ich pożytkowi, ale każdemu pozwala zostawać i rozpleniać się w pewnej mierze opisanej właściwością obyczaju, ducha i innych okoliczności. (...) Rozszerzenie ojczystego, rodowitego „ja”, rozumienie się w jestestwie drugich, ogarnianie wszystkiego rodu ludzkiego we wszystkich czasach tą ognistą miłością, która z nieba na ziemię zstąpiła – ten kres ostateczny chrześcijańskiej kultury, ten nie inny, przedmiot historii powszechnej. Szczególna historia jednego narodu wtenczas dopiero staje się umiejętnością, kiedy ją rozwinie w powszechnej osnowie dziejów rodu ludzkiego”²⁰.

Sformułowana przez Mochnackiego, nawiązująca do schellingiańskiej koncepcji rozwoju ducha od „bezpośredniości” do „refleksji”, dzięki której rozdwa się on sam w sobie i uzyskuje samowiedzę, teoria „uznania się narodu w jestestwie swoim” odrzucała zarówno rozumienie narodu jako obiektywnego faktu natury, jak i jako samej subiektywności. Naród osiąga samoświadomość dopiero poprzez obiektywizację swej subiektywności w kulturze²¹.

Uznając narodową indywidualność wyrażoną i zobiektywizowaną w kulturze za specyficzną, nie dającą się zredukować wartości, Mochnacki bronił tej opinii nie z etnocentrycznego punktu widzenia, lecz z perspektywy romantycznego uniwersalizmu. Ten zaś – nie będąc uniformizmem, ale „różnorodnością, wszechstronnością i pełnią” uznawał narodowe kultury za zindywidualizowane manifestacje ludzkości, zaś wszystkie narody za wspierające się nawzajem i niezbędne „dla harmonicznej symfonii powszechnej kultury człowieka” organy ludzkości²². To w formach samowiedzy narodowej przejawia się złożona istota człowieczeństwa. Pominięcie kultury narodowej bądź zastąpienie jej jakimś rzekomo uniwersalnym systemem wzorów uniemożliwiłoby rozpoznanie wszystkich aspektów człowieczeństwa²³.

Postulat „uznania się narodu w swoim jestestwie” wniesiony przez Mochnackiego, poszerzając pole widzenia oraz wzbogacając i odświeżając percepcję so-

cjologiczną stanowił – jak trafnie zauważa Bronisław Łagowski – „propozycję nowego, głębszego spojrzenia na człowieka i na stosunki międzyludzkie”²⁴.

8. Poznanie „Drugiego” jako swoisty warunek poznania „siebie”. I na odwrót. Dalej – odniesienie kultury rodzimej do całości dorobku kultury. Nietrudno w projekcie Mochnackiego odnaleźć paralele do zadań hermeneutycznych w ich wzajemnych związkach, poczynając od „zrozumienia Drugiego”, przez „zrozumienie siebie samego”, aż po „zrozumienie przeszłości”.

Hermeneuta, poważnie traktując opinię Georga Simmla nazywającego ongiś człowieka w eseju o karykaturze „ustanawiającym granicę przekraczaczem granic”²⁵, przewyższa także te granice narzucone mu przez tradycyjną dychotomię podmiot – przedmiot, w której ten „Drugi” był „obiektem” obserwowanym z zewnątrz. Dzięki temu odkrywa, że nie ma żadnego ontologicznego statusu „obcości”, zaś obcość jest tylko rezultatem interpretacji rzeczywistości w kontekście historycznym, kulturowym, politycznym bądź społecznym²⁶. „Rozumieć mego bliźniego – stwierdza R. Panikkar – oznacza rozumieć go tak, jak on pojmuje siebie, co może nastąpić jedynie wtedy, gdy wzniosę się ponad dychotomię podmiotu – przedmiotu przestając znać bliźniego jako przedmiot i poznając go ostatecznie jako samego siebie”²⁷. Ten typ otwarcia na to co inne, związany z zadaniem przeniesienia związku znaczeń z innego świata do świata własnego, scharakteryzować można jako budowę takiej koncepcji doświadczenia, w której miejsce absolutyzującego „ja” zajmuje poszerzająca horyzont poznawczy ale i mentalny postawa ciągłej gotowości przyjęcia nowych doświadczeń. Pozostaje on w jawnej opozycji wobec oświeceniowej idei homogenizacji doświadczenia, sprzeciwiając się próbom nadania mu jednorodnego, a przez to uniwersalnego wymiaru²⁸. Niemniej istotnym staje się rozumienie przeszłości. To historia i tradycja mogą powiedzieć człowiekowi, kim jest. Dostęp doń staje się możliwy jedynie w drodze rozumienia – tej swoistej obecności przeszłości w świadomości teraźniejszej²⁹. Nie odbywa się to bez dawki prezentyzmu. Sprzyja temu fakt, iż przeszłość, której nie ma, bardziej jest przez teraźniejszość „odczuwana” niż „badana”; w procesie narracji historycznej pozytywistyczny postulat „odbijania” przeszłości zastąpiony został postulatem jej „konstruowania” w toku prowadzonego permanentnie dialogu teraźniejszości z przeszłością³⁰.

9. Zaproponowanym przez Maurycego Mochnackiego modelem wyjścia w myśleniu o rodzimych dziejach i tradycji poza ograniczenia wynikające z opisanego przez Francisca Bacona idola jaskini posłużył się

¹⁹ M. Mochnacki: *Rozprawy literackie...*, op. cit., s. 226-228.

²⁰ Ibidem, s. 228-229.

²¹ B. Łagowski: *Filozofia polityczna Maurycego Mochnackiego*, Kraków 1981, s. 32; A. Walicki: *Philosophy and nationalism: The case of Poland*, Oxford 1982, s. 107; *Zarys dziejów filozofii polskiej 1815-1918*. Red. naukowa A. Walicki, Warszawa 1983, s. 21.

²² A. Walicki: *Philosophy and nationalism...*, op. cit., s. 107; *Zarys dziejów filozofii polskiej...*, op. cit., s. 21.

²³ B. Łagowski: *Filozofia polityczna Maurycego Mochnackiego...*, op. cit., s. 32.

²⁴ Ibidem., s. 34.

²⁵ Cyt. za: A. Przyłębski: *Hermeneutyczny zwrot filozofii*, Poznań 2005, s. 233.

²⁶ M. Szulakiewicz: *Filozofia jako hermeneutyka*, Toruń 2004, s. 40.

²⁷ Cyt. za: M. Szulakiewicz: *Filozofia jako hermeneutyka...*, op. cit., s. 40.

²⁸ Por. ibidem, s. 216-221.

²⁹ Ibidem, s. 47.

³⁰ Por. ibidem, s. 194.

w półtorej wieku później Andrzej Walicki³¹. I on stanął wobec pytania o stosunek Polaków do własnej tradycji i historii. Jak powinno wyglądać zestawienie i porównanie wytworów własnych i obcych? W jaki sposób uniknąć postaw skrajnych, co robić, by ustrzec się w ocenie rodzimego dorobku zarówno płytkiej narodowej megalomanii jak i swoistej mikromanii przejawiającej się w poszukiwaniu wszędzie wpływów obcych i negowaniu oryginalności autorów polskich?

Z problemami tymi historyk idei z kręgu „szkoły warszawskiej” zmierzył się inicjując w roku 1968 swoim wystąpieniem na temat *Historia filozofii polskiej jako przedmiot badań i jako problem kultury współczesnej* ogólnokrajową dyskusję³². Debata, której przedmiotem była ocena aktualnego stanu badań historii filozofii polskiej oraz propozycje metodologicznych i organizacyjno-instytucjonalnych ram ich kontynuacji (intensyfikacji), stanowiła w istocie również swoistą kryptonimiczną maskę dyskursu tożsamościowego, pytania o Polską Ideę.

Unikając wyboru między Scyllą – przekonaniem, że polska filozofia niczym „papuga” tworząc rzeczy drugorzędne, komentatorskie i mało oryginalne nie spełnia swego kulturowego zadania, a Charybdą – znajdującą ujście w filozoficznym syndromie „pawia” A. Walicki zaproponował umieszczenie i rozpatrywanie rodzimej tradycji filozoficznej w dwojakim, ale ściśle sprzężonym ze sobą układzie odniesień. Tworzą go, z jednej strony – historia filozofii powszechnej, z drugiej zaś – historia kultury polskiej³³. Dążąc do zajęcia optymalnego stanowiska badawczego nie można nie doceniać znaczenia i wagi żadnego z tych kontekstów. A. Walicki nie znosi tym samym opozycji „partykularne – uniwersalne”, ale nadaje jej nowy, zgodny z duchem projektu M. Mochackiego „uznania się narodu w swoim jestestwie”, sens. U nieujawnionych podstaw propozycji Walickiego zdaje się tkwić, podobnie jak u dziewiętnastowiecznego poprzednika, operowanie romantycznym pojęciem uniwersalizmu rozumianym nie jako uniformizm, ale „różnorodność, wszechstronność i pełnia”.

³¹ Charakterystykę idola jaskini w współczesnej wersji, stanowiącej podstawę zarówno doktryny przynależności jak i outsidera, podaje socjolog wiedzy: „Podlegamy obyczajom naszej grupy, podzielimy jej opinie i zniekształcamy nasze obserwacje tak, by zgadzały się z tymi opiniami. W ten sposób ciągle jesteśmy ignorantami podatnymi na błędy, które z racji swego umysłowego ograniczenia uznajemy za prawdę. Aby uzyskać dostęp do autentycznej wiedzy, musimy wyostać się z jaskini i rozszerzyć nasze pole widzenia. Tak więc tylko przez obrazoburstwo wiążące się ze zmianą grupy afiliacji możemy rozwiązać złudzenie jaskini, wyzwolić się z bałamutnych przeświadczeń naszej własnej grupy i zwiększyć nasze szanse na poznanie prawdy”. R.K. Merton: *Członkowie grupy i outsiderzy. Rozdział z socjologii wiedzy*. [W:] *Czy kryzys socjologii*, Warszawa 1977, s. 429.

³² „Studia Filozoficzne”, 1969, nr 1(56), s.105-118. Wypowiedzi kolejnych dyskutantów zamieszczane były w numerach 2(57), 3(58) i 5(60) z 1969 r. Na temat ówczesnej debaty piszą: R. Sitek: *Sens studiów nad polską tradycją filozoficzną*, „Myśl Socjaldemokratyczna” 2001, nr 4, s. 92-103 oraz W. Mackiewicz: *Ludzie i idee. Polska filozofia najnowsza*, Warszawa 2003, s. 115-119.

³³ „Historia filozofii polskiej jest jednocześnie częścią dwóch większych całości – z jednej strony stanowi część historii filozofii, z drugiej strony, część historii kultury polskiej. Jej przedmiot nie jest po prostu małym wycinkiem powszechnej historii filozofii – jest to przedmiot nie tylko mniejszy zakresowo lecz również zakresowo i metodologicznie inny”. A. Walicki: *Historia filozofii polskiej jako przedmiot badań i jako problem kultury współczesnej*, „Studia Filozoficzne” 1969, nr 1, s. 108. Także: tegoż: *Podsumowanie dyskusji o filozofii polskiej*, maszynopis w dyspozycji autora. O okolicznościach wycofania tekstu z publikacji w „Studiach Filozoficznych” A. Walicki pisze w: *Zniewolony umysł po latach*, Warszawa 1993, s. 211.

Przyjęcie zaproponowanej przez A. Walickiego dyrektywy metodologicznej „dwu kontekstów” w badaniu rodzimej tradycji filozoficznej „wymusza” konieczność stosowania metod komparatystycznych. Na interesującego badacza fenomen filozoficzny umiejscowiony w 750-letniej tradycji filozofii polskiej winien on spoglądać zarówno „oczyma Polaka” przez pryzmat historii kultury polskiej, jak i „nie-Polaka” – uwzględniając perspektywę historii filozofii powszechnej. Pełny obraz idei filozoficznej, jej wartości poznawczej oraz roli, jaką odegrała w kulturze polskiej uzyskamy dopiero po umieszczeniu badanego fenomenu na przecięciu obu nawzajem krzyżujących się siatek współrzędnych. Z podobną sytuacją mamy do czynienia wówczas, gdy w toku krytyki filozoficznej próbujemy łączyć analizę immanentną z analizą transcendentną w celu uniknięcia jednostronności zarówno jednej, jak i drugiej.

Odrzucając jednostronności każdego z rozłącznie rozpatrywanych kontekstów badacz odrzuca zatem mocną alternatywę: *insider* albo *outsider*. Odrzuceniu zalet i wad doktryny przynależności – przyjęcia jednostronnej perspektywy członka grupy wraz z uprzywilejowanym dostępem do szczególnego rodzaju wiedzy – towarzyszy odmowa akceptacji jako wyłączonej, równie jednostronnej, „neutralnej” i „bezzstronnej” perspektywy outsidera³⁴. Zasadzie empatii w przedstawionym ujęciu towarzyszy zatem bezustannie zasada dystansu.

Ograniczając się jedynie do rozpatrywania polskiej tradycji filozoficznej z perspektywy filozofii powszechnej uzyskamy jej obraz jako bocznej, peryferyjnej ścieżki pośród wielu dróg filozofii. Swoją wielkość odzyskuje, gdy spojrzeć nań jako na „część historii polskiej kultury, rekonstruującą (...) duchową biografię narodu polskiego”³⁵. Dopiero konfrontacja osiągnięć filozofii polskiej uwzględniająca te dwie komplementarne względem siebie płaszczyzny pozwala na pełną i obiektywną jej ocenę, zachowującą właściwe proporcje pomiędzy wartością poznawczą – widzianą z perspektywy historii filozofii powszechnej, a wartością kulturową – postrzeżoną z perspektywy rdzenia polskiej, udziału i wkładu w kształtowanie nowoczesnego narodu oraz jego spoiwa – świadomości historycznej Polaków.

10. W uczestnictwie w niekończącym się dialogu między terażniejszością a przeszłością, dialogu, którego przestrzenią jest – rozciągający się tak w diachronii jak i w synchronii – obszar kultury polskiej, A. Walicki prócz poznawczych dostrzegał zarówno walory wychowawcze, jak i środek zaradczy wobec potencjalnych zagrożeń, jakie nieść może ze sobą bezkrytyczne wobec własnego dziedzictwa narodowego uprawianie tzw. polityki historycznej³⁶, grożącej przekształceniem świadomości zbiorowej w poręczne narzędzie władzy.

Widział jej w bezpośrednim związku z kształtowaniem ogólnej świadomości historycznej, z wytwarzaniem

³⁴ R.K. Merton: *Członkowie grupy i outsiderzy...*, op.cit., 399-428; tegoż: *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 2002.

³⁵ A. Walicki: *Historia filozofii polskiej jako przedmiot badań i jako problem kultury współczesnej*, op. cit., s. 108. Por. J. Szmyd: *Kierunki badań szczegółowych*, op. cit., s. 125-127 oraz wypowiedzi dyskutantów w *Dyskusja o historii polskiej filozofii*, op. cit., s. 123-144 (Podkr. R.S.).

³⁶ Na temat polityki historycznej patrz m.in.: *Polityka historyczna. Historycy-politycy-prasa*, Warszawa 2005; *Pamięć i odpowiedzialność*, Kraków-Wrocław 2005.

niem „umiejętności myślenia historycznego, umożliwiającego z jednej strony uzyskanie pewnego dystansu wobec własnego światopoglądu oraz, z drugiej strony mocniejsze ugruntowanie własnych wartości przez osadzenie ich w postępowej tradycji historycznej. Uzyskanie dystansu potrzebne jest po to, aby uniknąć zjawiska, które T. Kroński nazwał «wyabsolutnieniem» wartości; **absolutyzacja jakiegokolwiek wartości (lub jednostronnego systemu wartości) prowadzi przeciwieństwo do nihilistycznego przekreślenia wszystkich innych wartości, do dogmatycznej nietolerancji i skostnienia, do zatracenia zdolności rozumienia innych ludzi**»³⁷.

Przytaczając kolejne argumenty na rzecz wychowawczej roli studiów nad rodzimą tradycją filozoficzną A. Walicki pisał: „Myślenie historyczne uczy lepszego rozumienia własnych wartości, wzmacnia je autorytetem tradycji; uświadamiając związane z nimi konflikty i dylematy, zmniejsza niebezpieczeństwo zaangażowania naiwnego, bezbronnoego wobec poważnych przeciwników ideowych i narażonego na łatwość rozczarowań»³⁸.

Historia polskiej kultury filozoficznej wzbogacając naszą wiedzę o poszczególnych osobach, prądach ideowych i środowiskach, pozwala lepiej zrozumieć ówczesne wydarzenia, odkryć ich nowe, niedostrzegane wcześniej, aspekty. Jest zatem dyscypliną fundamentalną. Jednocześnie jednak przez swe analityczne i krytyczne spojrzenie na światopoglądy przeszłości ułatwia uzyskanie dystansu wobec własnego systemu wartości, chroniąc tym samym przed nietolerancyjnym dogmatyzmem czy szowinizmem³⁹. **Samowiedza historyczna** – pisze, kończąc ten wątek swej wypowiedzi A. Walicki – **zwiększając „ilość dostępnych kluczy do orientacji we współczesnym świecie rozszerza osobowość, daje jednostce poczucie zakorzenienia – zwiększając zarazem zdolności rozumienia innych ludzi i narodów; służy najszlachetniej pojętym wartościom humanizmu, patriotyzmu i internacjonalizmu**»⁴⁰.

Będąc narzędziem wychowania do tolerancji samowiedza historyczna stwarza szansę zlikwidowania prostych podziałów dychotomicznych wraz ze stojącymi za nimi takimi lub innymi totalitaryzmami; uniemożliwiając odwołanie się do zakorzenienia nowych monistycznych konstrukcji⁴¹, buduje tym samym fundament pod **postawy kulturowe**⁴² umożliwiające Polakom wyjście z duchowego zaścianka, wyzbycie się zarówno syndromu „pawia” jak i „papugi” i sprawne – bez kompleksów, ale i megalomanii – funkcjonowanie w przestrzeni transkulturowej współczesnej Europy i świata.

³⁷ A. Walicki: *Historia filozofii polskiej jako przedmiot badań i jako problem kultury współczesnej*, op. cit., s. 111 (Podkr. R.S.). Kategorią „wyabsolutnienia” posługiwał się T. Kroński w swoim słynnym eseju *Faszyzm a tradycja europejska*, w teogoż: *Rozważania wokół Hegla*, Warszawa 1960, s. 275-346. Patrz także: M. Janion: *Humanistyka: poznanie i terapia*, Warszawa 1974, s. 121-124.

³⁸ Ibidem, s. 111

³⁹ B. Skarga: *Dyskusja o historii filozofii polskiej*, op. cit., s. 130.

⁴⁰ A. Walicki: *Historia filozofii polskiej jako przedmiot badań i jako problem kultury współczesnej*, op. cit., s. 111 (Podkr. R.S.).

⁴¹ *Dawne granice są nieaktualne. Z profesorem Andrzejem Mencwalem, dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, rozmawia Krzysztof Lubczyński*, „Bez dogmatu” 1999, nr 41, s. 8.

⁴² Kategorią „postawa kulturowa” na oznaczenie ucieleśnionych w ludziach idei, utrwalonych form mentalnych i historycznych osobowości posłużył się w swoich analizach A. Mencwel. Patrz teogoż: *Etos lewicy*, Warszawa 1990, także *Przedwiośnie czy potop...*, op. cit.

Wierny przyjętej metodzie oraz leżącej u jej podstaw aksjologii w swoich studiach nad polską tradycją filozoficzną historyk idei używał „rozszerzających perspektywę” metod porównawczych umieszczając polskich myślicieli w ogólnoeuropejskim kontekście. Pozwoliło to Walickiemu m.in. ukazać francuskie źródła polskiego mesjanizmu, rzucić światło na kompleksowe związki zachodzące pomiędzy „filozofią narodową” (August Cieszkowski, Bronisław Trentowski i Karol Libelt) a niemieckim „parlamentem filozoficznym” lat czterdziestych czy też poddać analizie związki i paralelle między polskimi i rosyjskimi myślicielami (Adam Mickiewicz i rosyjscy słowianofile, Cieszkowski i Hercen etc.)⁴³. Ukazał również wielkość i prekursorstwo Stanisława Brzozowskiego wobec takich „zachodnich marksistów” jak Gramsci, Lukacs czy frankfurtyczny⁴⁴.

11. A. Walicki występował w roli podwójnej. Jako historyk myśli intelektualnej, historiograf rodzimej tradycji filozoficznej czy szerzej: kulturalnej, oraz jako historyk idei. Pierwsza z ról narzuca badaczowi obowiązek poszanowania granic narodowych, ujmowania analizowanych idei filozoficznych jako części historii intelektualnej danego narodu, jako ekspresji jego kultury, jego aspiracji, jako fragmentu jego historycznie ukształtowanej i uwarunkowanej umysłowości zbiorowej⁴⁵. Jest to zarazem rola kogoś, kto niczym antykwariusz usiłuje wprowadzić pewien ład w zgromadzonym przez siebie, otrzymanym od przodków nieprzebrany zbiorze różnorodnych faktów kulturowych. A pomieścić je wszystkie musi według obranego przez siebie klucza na ograniczonej powierzchni ekspozycyjnej. Zajmuje się tym, co z punktu widzenia ponadczasowego i ponadnarodowego uniwersum dyskursu, wydawać się musi, z konieczności, partykularne.

Odwrotnie rola druga – rola historyka idei. Nie krępują go żadne granice. Przełamuje on tradycyjnie istniejące między poszczególnymi dyscyplinami akademickimi podziały, zrywa z respektowaniem narzuconej przezeń autonomii. Idee filozoficzne analizuje nie w izolacji, a ściśle powiązaniu z innymi dziedzinami kultury. Historia idei jest bowiem – jak zauważał fundator tej uniwersalistycznej koncepcji historiografii filozofii Arthur O. Lovejoy – „wyrazem protestu przeciwko skutkom, które często są wyrazem konwencjonalnych podziałów badań literackich i innych badań historycznych według narodowości lub języków”⁴⁶. Tropiąc sposoby przejawiania się idei w czasie – od jej początków do form dojrzałych historyk idei nie respektuje również podziału na epoki historyczne, orientacje i style myślenia. Historyk idei, niczym mannheimowski inteligent niezakorzeniony społecznie, a przy tym obdarzony empatią i łatwością przekraczania granic może służyć łączeniu różnorodności, służąc tym samym budowie tolerancji.

RYSZARD SITEK

⁴³ Problematyką tą zajął się A. Walicki w swojej pierwszej spośród poświęconych historii intelektualnej Polski książce. Patrz – teogoż: *Filozofia a mesjanizm*, Warszawa 1970. Rozwinął ją i udostępnił angielskojęzycznemu czytelnikowi w pracy *Philosophy and Romantic Nationalism: The Case of Poland*, Oxford 1982.

⁴⁴ A. Walicki: *Stanisław Brzozowski and The Polish Beginnings of „Western Marxism”*, Oxford 1989.

⁴⁵ A. Walicki: *Leszek Kołakowski i warszawska szkoła historii idei*. Załącznik do R. Sitek: *Warszawska Szkoła Historii Idei. Między historią a teraźniejszością*, Warszawa 2000, s. 245-246.

⁴⁶ A.O. Lovejoy: *Wielki łańcuch bytu. Studium z dziejów idei*. Warszawa 1999, s. 23.

LECH M. NIJAKOWSKI

LEWICA PO AUSCHWITZ

LUDOBÓJSTWO JAKO TEMAT LEWICOWEGO DYSKURSU POLITYCZNEGO

Zagłada europejskich Żydów w trakcie II wojny światowej, której symbolem stał się obóz Auschwitz-Birkenau, uzyskała rangę filozoficznej cezury, wyznaczającej fundamentalną przemianę w zachodniej kulturze. Dla jednych Auschwitz był końcem cywilizacyjnego optymizmu, źródłem trwałej degeneracji świata ludzkich wyobrażeń. Dla innych tragicznym szokiem, który stał się aktem założycielskim nowych, o wiele bardziej humanitarnych stosunków międzynarodowych.

Ruchy lewicowe traktowały Shoah jako szczytowy przejaw faszyzmu, emanację jego zdegenerowanej istoty. Wielu komunistów, socjalistów i socjaldemokratów bestialsko zamordowano ze względu na ich światopogląd. Faszyzm dla wielu ludzi lewicy – także wybitnych uczonych – był owocem kryzysogennych stosunków kapitalistycznych, które doprowadziły do wojny i napędzały mechanizm zagłady. Tę retorykę spetryfikował czas zimnej wojny, gdy o ludobójstwo oskarżano wrogi blok polityczny, zaś najbardziej bestialskich

sojuszników chroniono za pełną hipokryzji frazeologią. Dziś te ideologiczne klisze wydają się nie tylko archaiczne, ale i szkodliwe. Lewica musi na nowo, w sposób o wiele bardziej kompleksowy przemyśleć ludobójcze dziedzictwo ludzkości i opracować nową globalną strategię polityczną.

Wiek ludobójstw i hipokryzji

Wiek XX najlepiej nazwać wiekiem ludobójstw. Zaczął się wymordowaniem Ormian w Imperium Osmańskim w latach 1915-1916, a zakończył rzezią Tutsi w Ruandzie w 1994 roku. Nie istnieje jedna, uznawana przez wszystkich naukowców lista ludobójstw. Większość przypadków wywołuje gorące spory, gdzie uprzedzenia, stereotypy, ideologiczne sympatie i emocje biorą górę nad argumentami i chłodnym osądem.

Historia pojęcia „ludobójstwo” jest krótka. W powszechnym użyciu pojawiło się dopiero po II wojnie światowej, między innymi dzięki piśmiom polskiego

prawnika Rafała Lemkina, przy czym zbrodnią ujętą w prawie międzynarodowym stała się dopiero w 1948 roku (zatem w Norymberdze nie sądzono nazistów za akty ludobójstwa). Definicja zawarta w *Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa* była wypadkową rozbieżnych interesów mocarstw. W rozumieniu *Konwencji* ludobójstwem są zbrodnicze czyny (takie jak zabójstwo; spowodowanie poważnego uszkodzenia ciała lub rozstroju zdrowia psychicznego; rozmyślne stworzenie warunków życia obliczonych na spowodowanie całkowitego lub częściowego zniszczenia fizycznego członków grupy; stosowanie środków, które mają na celu wstrzymanie urodzin w obrębie grupy; przymusowe przekazywanie dzieci do innej grupy), dokonane w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych albo religijnych, jako takich. Definicja wyłącza zatem grupy zdefiniowane politycznie. Przeciwno wpisaniu do konwencji tej kategorii był Związek Radziecki, który obawiał się zarzutów o ludobójstwo popełnione na „kułakach” i innych ofiarach rewolucji i kolektywizacji. Z kolei kraje Zachodu oponowały przeciwko wpisaniu do konwencji ludobójstwa kulturowego (polegającego na niszczeniu dziedzictwa kulturowego grupy i jej przymusowej asymilacji), gdyż jako potęgi kolonialne także miały sporo na sumieniu¹.

Skutkiem tego w czasach zimnej wojny nie postrzegano masowych mordów na grupach politycznych jako ludobójstwa. Dlatego niewielu badaczy uznaje za ludobójstwo indonezyjskie masakry ludzi podejrzanych o komunizm w latach 1965-1966. Indonezja, która odzyskała niepodległość po II wojnie światowej, była sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Miała – i ma nadal – znaczenie nie tylko jako strategicznie położony, liczny (211 mln mieszkańców w 2000 roku, 87 proc. to muzułmanie) i zasobny w surowce kraj, ale także ze względu na głębie oceaniczne, które kontrolowała, a które były doskonałym obszarem do operowania przez atomowe łodzie podwodne z bronią nuklearną. Dzięki temu indonezyjskiemu reżimowi wiele uchodziło. Przykładem może być los Timorczyków.

Indonezja dokonała inwazji na Timor Wschodni 7 grudnia 1975 r. i władła nim aż do 1999 roku. Rządy Dżakarty były bardzo krwawe. Często dochodziło do masowych masakr, prowadzona też była planowa polityka dyskryminująca i pacyfikująca Timorczyków, ludność w większości katolicką. Do głośnej masakry w Santa Cruz doszło jeszcze 12 listopada 1991 roku. Mocarstwa światowe znowu biernie się przyglądały, działania ONZ były pozorne. Dane są porażające: Ludność Timoru Wschodniego liczyła w 1975 roku 690 tysięcy, a w połowie lat dziewięćdziesiątych jedynie 200 tys.² Z końcem zimnej wojny nasilały się naciski na Indonezję, aby zakończyła okupację Timoru Wschodniego. Wreszcie, na mocy Rezolucji 1246 RB ONZ z 11 czerwca 1999 r., przeprowadzono referendum. 30 sierpnia 1999 r. 78,5 proc. Timorczyków opowiedziało się za niepodległością kraju. Wywołało to natychmiast

krwawą pacyfikację prowincji. Dochodziło do niszczenia mienia, morderstw i masakr. 15 września 1999 r. Rada Bezpieczeństwa uchwaliła Rezolucję 1264, która autoryzowała interwencję pod przewodnictwem Australii. Misja zakończyła się sukcesem. 26 września 2002 r. Timor Wschodni został przyjęty do ONZ.

Timorczycy stanowili mniejszość etniczną i religijną, a zatem *de iure* mogli być ofiarą ludobójstwa. Indonezyjscy komuniści wyłamywali się z tych prostych ram. Czy są podstawy do uznania masakr dokonanych na komunistach za ludobójstwo? Nie każdy masowy mord, nawet dokonany w bardzo bestialski sposób, jest przejawem dążenia do likwidacji określonej grupy jako takiej lub jej części. Odmowa uznania jakichś rzezi za ludobójstwo nie może być oceniana jako akt lekceważenia ofiar lub akceptowania tezy o ich rzekomej winie. Po prostu wiele masowych mordów ma prostszą etiologię, niż tak wyjątkowa zbrodnia jak ludobójstwo.

Bezbronne ofiary były od tysięcy ofiarami wojennych masakr lub terroru politycznego. Intencja sprawców, mechanizm ich mobilizacji oraz schemat działania są jednak w tych przypadkach odmienne. Dążenie do całkowitego wymordowania pewnej grupy nie było w historii częste. Ludzie byli albo zbyt cenni jako siła robocza, albo też środki techniczne i logistyczne oprawców zbyt niedoskonałe. Likwidacja całej kategorii motywowana względami ideologicznymi to wynalazek nowoczesności, przede wszystkim wieku XX, choć już wcześniejsze czystki religijne lub stosunek do ludności autochtonicznej w koloniach stanowią (dyskusyjne) precedensy. Dlatego nie można z motywów ideologicznych traktować wszystkich rzezi komunistów jako ludobójstwo, choć do takiej retoryki prowokuje propaganda Stanów Zjednoczonych, widzących słomkę w oku rywala, a nie dostrzegających belki we własnym.

Jak wyglądały fakty? W nocy z 30 września na 1 października 1965 roku doszło do wojskowego zamachu stanu. Przewrót był nieudany i szybko upadł. Władzę przejął generał Suharto, który uniknął śmierci z rąk zamachowców. Armia oskarżyła Indonezyjską Partię Komunistyczną (PKI) o przygotowanie zamachu. Doszło do masakr komunistów, czy też raczej należałoby powiedzieć – osób podejrzewanych o sympatyzowanie z komunistami i ideologią komunistyczną. Aby w pełni zrozumieć tę strategię, należy pamiętać, że przed zamachem PKI była obok armii jedyną liczącą się siłą polityczną. Na ich antagonizmie grał prezydent Sukarno. Zamach został zatem wykorzystany przez armię do rozprawienia się z wrogią siłą. W tym celu postanowiono nie przebierać w środkach. Dochodziło do aktów barbarzyńskich, ciała ofiar często były okaleczane i wystawiane na widok publiczny lub wrzucane do rzek³.

Na pierwszy rzut oka masakry jawią się zatem jako forma krwawego terroru politycznego. Celem armii była nie eliminacja komunistów jako specyficznego typu ludzi (jak w przypadku mordów na komisarzach politycznych – „żydobolszewikach” – na froncie wschodnim II wojny światowej), ale złamanie siły PKI i eliminacja głównych popleczników partii w terenie. W praktyce jednak fala morderstw motywowana była w bardzo różny sposób.

¹ Szerzej: P.R. Bartrop, S. Totten, *The History of Genocide: An Overview*, [w:] S. Totten (red.), *Teaching About Genocide: Issues, Approaches, and Resources*, Information Age Publishing, Greenwich, Connecticut 2004, s. 23-56.

² Szerzej: M. Jardine, *East Timor: Genocide in Paradise*, Wstęp: Noam Chomsky, South End Press, Cambridge 1999.

³ F. Chalk, K. Jonassohn, *The History and Sociology of Genocide. Analyses and Case Studies*, Yale University Press, New Haven, London 1990, s. 378-383.

Znaczenie miały motywy osobiste, fanatyzm religijny muzułmanów, ale i chrześcijan, którzy walczyli z ateistami – „wrogami Boga” czy względy ekonomiczne. Do głosu dochodziły także animozje etniczne (przypomnijmy, że Indonezja składająca się z około 13 700 wysp, zamieszkała jest przez ponad 300 grup etnicznych posługujących się ponad 250 językami). Ofiarą masakr padli np. Chińczycy utożsamiani z jednej strony z komunistycznymi Chinami, a z drugiej postrzegani jako imigranci handlowcy wykorzystujący biedną ludność. W tej gamie masowych morderstw możemy zatem bezsprzecznie wyłowić akty ludobójstwa. Co jednak z masą mordowanych komunistów (i osób uznanych za komunistów), których – jak się szacuje – zginęło około pół miliona? Należy w tym miejscu zaznaczyć, że PKI nie była zorganizowana jako partia rewolucyjna, nie mogła zatem zbrojnie opierać się przed atakiem ze strony armii. Jeśli był to terror, to na ludobójczą skalę. Frank Chalk i Kurt Jonassohn mimo pewnych sygnalizowanych wątpliwości wprost określają te mordy jako ludobójstwo⁴. Sposób mobilizacji sprawców oraz ich polityczne intencje nakazują jednak mówić raczej o terrorze politycznym na ludobójczą skalę.

Nie znaczy to, że nie dochodziło do ludobójstwa na komunistach (i uważanych za takich). Zresztą jednoznaczna kwalifikacja ideologiczna jest często niemożliwa. Jak bowiem ocenić światopogląd ubogiej ludności indiańskiej nieludzko wyzyskiwanej i samoorganizującej się w ludowy ruch oporu? Zwykło się w takim przypadku nieraz mówić o maoizmie i rozprawiać o jego wersjach środkowo- i południowoamerykańskich. Ale jest to postępowanie w dużej mierze sztuczne. Światopogląd i ideologia tych ludzi były najczęściej ograniczone do haseł, w dużej mierze niespójnych, związanych z ideowymi sympatiami charyzmatycznych liderów, a do tego silnie uzależnionych od swoistego chrześcijańskiego chilizmu biedoty.

Przykładem ludobójstwa może być zmasakrowanie Majów – autochtonicznej ludności indiańskiej – w Gwatemali w latach 1981-1983. W 1954 roku nastąpił tam sponsorowany przez USA przewrót. Władzę uzyskali wielcy posiadacze ziemscy (plantatorzy kawy) i bogata klasa średnia. W latach sześćdziesiątych rozwijał się ruch powstańczy – socjalistyczny i antykomunistyczny. W latach osiemdziesiątych nastąpiła eskalacja walk. Chcąc spacyfikować warstwy ludowe, stanowiące zaplecze dla partyzantki, wojsko przystąpiło do planowych masakr. Zamordowano ponad 200 tys. Majów. Wedle raportu ONZ, który nie miał jednak (z założenia) skutków prawnych, w latach 1981-1983 doszło do ludobójstwa. Raport wskazywał na trzy przyczyny przemocy państwa: ekonomiczne wykluczenie biedoty, panujący rasizm oraz polityczny autorytaryzm. Niezależnie od silnych determinant wewnętrznych i zewnętrznych (zimna wojna napędzała represje – zwłaszcza po rewolucji na Kubie w 1959 roku) oraz wątpliwości co do intencjonalności działań wojskowych stosujących taktykę spalanej ziemi, wszystko wskazuje na to, iż należy w tym przypadku mówić o ludobójstwie. I to najohydniejszym, bo motywowanym najniższymi pobudkami. Motywem być może było jedynie zdławienie powstania, ale szybko

pojawiła się ludobójcza intencja, co obrazują brutalne masakry⁵.

Ludobójstwo w Gwatemali pokazuje jak łatwo, nawet w XX wieku, w Ameryce Środkowej i Południowej nadal eksterminowano ludność rodzimą i biedotę postrzeganą jako „zbędną” i tym samym konkurencję do zasobów, a w ostateczności zagrożenie. W Gwatemali uderzano nie tylko w Majów, ale także w biednych tzw. *ladinos*. Wykluczenie ekonomiczne i społeczne biednych, najczęściej ludności autochtonicznej, prowadziło – i prowadzi nadal – do frustracji wielu, którzy jedynie w partyzantce widzieli szansę na obronę swych praw politycznych i ekonomicznych w skorumpowanych i dyskryminacyjnych ustrojach. A to napędzało spiralę braku zaufania, strachu i nienawiści. *Guerrilla* do dziś jest rzeczywistością wielu krajów Ameryki.

Masakry komunistów wielu wydają się niegodne uwagi wobec skali ludobójstwa Żydów. Przykładając miarę Auschwitz do innych masowych mordów często jesteśmy zmuszeni do wycofania się z kwalifikacji zbrodni jako ludobójstwa. Także wielu badaczy żydowskich nie jest zadowolonych z komparatystyki historycznej ludobójstw, mówiąc w takim przypadku o groźbie uniwersalizacji Holokaustu, czyli o banalizacji totalnego i niewyobrażalnego zła, jakim było systematyczne mordowanie europejskich Żydów⁶. Tymczasem komparatystyka jest niezbędna nie tylko z socjologicznego punktu widzenia, gdyż jest to jedna z podstawowych metod socjologii historycznej, ale również ze społecznego. Bez właściwego zrozumienia procesu ludobójczej mobilizacji trudno podejmować akcje na rzecz interwencji mocarstw. A podobieństwo na poziomie społecznych struktur i procesów wykazują nieraz tak na pierwszy rzut oka niepodobne ludobójstwa, jak „przemysłowy” mord na Żydach (aczkolwiek nie zapominajmy o krwawych masakrach na zapleczu frontu wschodniego) i ludobójstwo w wydaniu Hutu na Tutsi w Ruandzie w 1994 roku, gdzie większość ofiar zabito maczetami i maczugami.

Z drugiej strony, podejmując się komparatystyki i monitorowania sytuacji na świecie w celu szacowania ryzyka wystąpienia masowych zbrodni nie można w retorycznym zapale uznawać wszystkich rzezi osób oskarżanych o sympatie komunistyczne za przypadki ludobójstwa. Racjonalny osąd nakazuje powściągliwość przed taką klasyfikacją w przypadku zbrodni w Indonezji, ale już nie w przypadku Gwatemali. Dodajmy przy tym, że osąd socjologiczny nie zawsze idzie w parze z prawniczym, ale zwłaszcza po powołaniu Międzynarodowego Trybunału Karnego z siedzibą w Hadze wiele przywołanych zbrodni można by – w teorii – uznać za akty ludobójstwa. Taką rozszerzającą interpretację zaprezentował przeciw Międzynarodowemu Trybunałowi ds. byłej Jugosławii (ICTY), który uznał mord w Srebrenicy za ludobójstwo, co budzi poważne

⁴ Tamże, s. 383.

⁵ Szerzej: G. Grandin, *History, Motive, Law, Intent. Combining Historical and Legal Methods in Understanding Guatemala's 1981-1983 Genocide*, [w:] R. Gellately, B. Kiernan (red.), *The Specter of Genocide. Mass Murder in Historical Perspective*, Cambridge University Press 2003, s. 339-352.

⁶ Szerzej na temat dylematów związanych z „wyjątkowością Holokaustu” – A. Milchman, A. Rosenberg, *Eksperymenty w myśleniu o Holokauście. Auschwitz: nowoczesność i filozofia*, przet. L. Krowicki, J. Szacki, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2003.

zastrzeżenia natury socjologicznej (była to typowa maskakra wojenna będąca częścią czystki etnicznej).

Przykładem stosowania przez lewicę oskarżenia o ludobójstwo jako prymitywnej propagandowej pałki jest często ocena konfliktu żydowsko-palestyńskiego. Choć państwo izraelskie dopuszcza się wielu nieprawidłowości, a nawet zbrodni, choć okupacja ziem Palestyńczyków ma charakter nielegalny, choć prewencja antyterrorystyczna w wydaniu Izraela uderza nieraz w niewinnych, to jednak oskarżanie Tel Awiwu o stosowanie polityki ludobójstwa jest poważną nieuczciwością⁷. Poparcie dla słusznych postulatów Palestyńczyków nie może oznaczać ślepoty na naturę konfliktu, gdzie wina leży po obu stronach. Stosunek wielu ludzi lewicy do Izraela sprawił zresztą, że dziś często się mówi o nowym lewicowym antysemityzmie. Tradycyjnie lewica była oparciem dla dyskryminowanych mniejszości, w tym Żydów. Dziś często środowiska żydowskie wchodzą w sojusz z partiami prawicowymi, dającymi gwarancje suwerenności Izraela, czyli w praktyce obietnicę poparcia w wojnie z sąsiadami. Zero-jedynkowe rozkładanie sympatii poważnie zaszkodziło wizerunkowi ruchów lewicowych, a stosowanie zarzutu ludobójstwa czy w bardziej perwersyjny sposób palestyńskiego Holokaustu, wzmacnia negatywne emocje wśród Żydów uwikłanych przecież w przewlekły konflikt bliskowschodni, prowadzący co jakiś czas do wojen.

Czy komuniści byli ludobójcami?

Dla wielu mówienie o komunistach (pozostańmy przy tej nieprecyzyjnej i często zwodniczej kategorii) w kontekście ludobójstwa oznacza raczej pytania o zakres ich winy jako sprawców niż cierpień jako ofiar. Wielu, głównie publicystów swobodnie mówi o masowych ludobójstwach w Związku Radzieckim, Chinach i innych krajach komunistycznych. Sprawa jednak nie wygląda tak prosto, mimo gigantycznej liczby ofiar rewolucji (właściwych i kulturalnych), kolektywizacji, dekułakizacji i innych forsownie wprowadzanych projektów społecznych.

Nie liczba ofiar, jak już podkreślano, decyduje bowiem o naturze zbrodni, ale jej mechanizmy. W szczególności aby mówić o ludobójstwie, trzeba wykazać, że sprawca podjął działania zmierzające do zniszczenia grupy w pełni świadomie. Oczywiście taki wysiłek podejmują także naukowcy, np. Robert Melson, który wśród pięciu „totalnych wewnętrznych ludobójstw”, których celem była eksterminacja ofiar i wyrzucenie ich ze struktury społecznej, wymienia kułaków⁸. Tylko powściągnięcie emocji i racjonalna argumentacja pozwalają na dojście do wiążących konkluzji. Na razie w Polsce mamy najczęstszą do czynienia ze swoistą posttraumatyczną zemstą semantyczną na Rosjanach, których nonszalancko oskarża się o najgorsze intencje i zbrodnie, jakby chcąc pogłębić czerń wizerunku Imperium Zła z polityki Ronalda Reagana.

⁷ Por. M. Warschawski, *Izrael i polityka planowego zniszczenia*, przeł. E. Cyliw, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008.

⁸ R. Melson, *Revolution and Genocide. On the Origins of the Armenian Genocide and the Holocaust*, The University of Chicago Press, Chicago, London 1992, s. 16, 18. Książka ukazała się przed ludobójstwem Tutsi w Ruandzie, zatem autor nie zalicza go do ludobójstw totalnych. Pozostałe z owych pięciu to: Ormianie, Żydzi, Romowie i Kambodżanie.

Zacznijmy od przypadku, który wydaje się zasługiwać na miano ludobójstwa. Mowa o wielkim głodzie na Ukrainie (1932-1933). W słynnej *Czarnej księdze komunizmu* wielkiemu głodowi poświęcony jest osobny rozdział, choć klasyfikacja zbrodni nie jest już tak jednoznaczna⁹. Wielka liczba ofiar i cierpienia ludności ukraińskiej nie są przez nikogo poważnego negowane. Ale czy można znaleźć dowody na intencję ludobójczą? Dlaczego władze sowieckie chciały wymordować część narodu ukraińskiego? Czy też może raczej była to wina nieudolności zastraszonego czystkami aparatu władzy, który nie radził sobie z kryzysową sytuacją powstałą w wyniku kolektywizacji?

Przypomnijmy najpierw fakty. Pod koniec lat dwudziestych rozpoczęła się w Związku Radzieckim dekułakizacja i kolektywizacja połączona z rozprawą z prawym skrzydłem Partii Komunistycznej. Kategoria kułaków była bardzo nieprecyzyjna. W teorii oznaczać miała osobną warstwę bogatych chłopów pożyczających na procent pieniądze innym chłopom i zawłaszczającym wartość dodaną ich pracy. W praktyce mógł to być każdy bogatszy na tle współplemieńców chłop lub osoba skonfliktowana z lokalnymi aparatczykami. Kułaków i ich rodziny spotykały morderstwa i deportacje na Syberię.

Ukraina wraz z północnym Kaukazem – w normalnych warunkach – dostarczały połowę zboża dostępnego na rynku w Związku Radzieckim. W 1930 roku udział Ukrainy wynosił 7,7 mln ton, co stanowiło 33 proc. jej produkcji. W 1931 roku te same 7,7 mln ton stanowiło już 42 procent zmniejszonej produkcji republiki. W 1932 roku zdecydowano, iż Ukraina musi ponownie dostarczyć 7,7 mln ton. Kolektywizacja oraz złe warunki pogodowe sprawiły jednak, że chłopcy zebrali jedynie 14,7 mln ton. W wyniku rozmaitych zabiegów kontyngent zredukowano do 6,6 mln ton. Nadal przekraczał on jednak możliwości Ukrainy. Przystąpiono do bezwzględnej odbierania zboża. Mimo to 1 listopada zebrano jedynie 41 proc. kontyngentu, a ludzie już umierali z głodu. Wprowadzono drakońską dyscyplinę. Zabijano za ukrywanie nawet najmniejszych zasobów zboża. Głód był tak wielki, że wybuchały lokalne rebelie topione we krwi. Umieralność osiągnęła masową skalę w marcu 1933 roku. Ludzie jedli wszystko, co udało im się upolować i zebrać (myszy, szczury, mrówki, robaki). Morderstwa stały się powszechnością. Dochodziło do kanibalizmu. Jeszcze w późnych latach trzydziestych 325 pojmanych kanibali nadal odpracowywało karę dożywotniego więzienia w obozie Kanał Białomorski. Jak się szacuje, ogółem w latach 1932-1933 na Ukrainie śmierć poniosło 5 milionów osób¹⁰, przy czym ofiar dekułakizacji i kolektywizacji w latach 1930-1937 było aż 14,5 mln¹¹.

Wśród naukowców są zarówno zwolennicy tezy o ludobójstwie, jak i uznający masową umieralność Ukraińców za wynik obiektywnego załamania się systemu rolnego i walki politycznej. Zacznijmy od tych drugich. Ich przedstawicielem uczynimy wybitnego socjologa Michaela Manna, autora wnikliwej monografii

⁹ S. Courtois i in. (red.), *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*, przeł. K. Wakar i in., Prószyński i S-ka, Warszawa 1999, s. 158-166.

¹⁰ Według innych 6 mln; tamże, s. 158.

¹¹ Por. F. Chalk, K. Jonassohn, *The History...*, wyd. cyt., s. 290-300.

poświęconej czystkom etnicznym i ludobójstwom *The Dark Side of Democracy*¹². Autor podkreśla, że większa śmiertelność była nie tylko na Ukrainie, ale we wszystkich regionach produkujących zboża (północny Kaukaz, Mołdawia, dolna Wołga)¹³. Do zbrodni doszło zaś w wyniku eskalacji, która strukturalnie determinowała działania aktorów nie do końca świadomych konsekwencji owych działań. Główną intencją władz była industrializacja kraju dzięki planowi pięcioletniemu z 1928 roku. Mann określa ten projekt społeczny jako plan A. Źródłem finansowania inwestycji miały być nadwyżki wiejskie, co wywołało opór wykorzystywanych chłopów. W imię racji ideologicznych uznano, że remedium będzie forsowna kolektywizacja oraz selektywna polityczna represja. Stały się one planem B (1930). Nasilający się opór doprowadził do dalszej radykalizacji – deportacji kułaków i zabójstw (plan C), a w dalszej kolejności do pogromów i deportacji (plan D). Niepowodzenie zamierzeń i nasilający się opór oraz radykalizacja postaw doprowadziły do wojny klasowej i wielkiego głodu (plan E)¹⁴. Masowe mordy były zatem nie intencjonalnym planem, ale wynikiem ciągu decyzji politycznych, zacieśniających się możliwości, presji okoliczności i postępującej radykalizacji postaw.

Inni uznają głód na Ukrainie za ludobójstwo – intencjonalne wymordowanie części narodu ukraińskiego. Twierdzi tak np. francuski historyk Bernard Bruneteau. Podkreśla on, że w czasie głodu Związek Radziecki kontynuował eksport zboża po cenach dumpingowych. Głodującym mieszkańcom wsi zamknięto dostęp do miast wprowadzając specjalne paszporty. W miastach otoczonych przez głód znajdowały się kantyny dla wyższych urzędników partyjnych pełne luksusowych dóbr. Regiony najbardziej dotknięte przez głód to przede wszystkim etniczna Ukraina. „Miasta Charków (republika ukraińska) i Białogród (rosyjska) leżą o 35 km od siebie, ale tylko okolice pierwszego z nich należą do najbardziej dotkniętych głodem, podczas gdy w rejonie drugiego nie zanotowano wzrostu umieralności. Głód na ziemiach ukraińskich został zatem wywołany sztucznie z przyczyn politycznych”¹⁵. Pomijając wątpliwości co do tego, czy z geograficznego rozkładu stref głodu jednoznacznie wynika intencja ludobójcza, nie ulega wątpliwości, że terror głodowy mógł się wydawać Stalinowi racjonalną strategią złamania oporu narodu ukraińskiego. „Złamać chłopstwo, jego elity, jego tryb życia, jego społeczną świadomość, to zadać śmiertelny cios narodowi ukraińskiemu, który był na prostej drodze do osiągnięcia pewnej autonomii politycznej po rewolucji 1917 roku”¹⁶.

Wielki głód nosi wiele znamion intencjonalnego projektu ludobójczego. Zbyt łatwo bowiem rezygnowano ze środków zaradczych, które można było szybko zastosować – magazyny w regionach opanowanych przez głód były nieraz pełne zboża przetrzymywanego jako rezerwy na wypadek wojny. Eksport był kontynuowany. Władze miały świadomość skali kataklizmu, gdyż wielu

ukraińskich komunistów starało się ingerować na rzecz swego narodu. Ukraińskie chłopstwo było postrzegane jako nacjonalistyczne, zaś represje prowadziły do jego znaczącego osłabienia. Jednoznaczna klasyfikacja wydaje się jednak trudna. Autorzy *Czarnej księgi komunizmu* zauważyli: „Czy należy, jak to czynią dziś niektórzy publicyści i historycy ukraińscy, widzieć w tej klęsce «ludobójstwo popełnione na narodzie ukraińskim»? Nie ulega wątpliwości, że chłopstwo ukraińskie było główną ofiarą głodu lat 1932-1933 i że ten «szturm» poprzedzony był od 1929 roku kilkoma ofensywami przeciw oskarżanej głównie o «nacjonalistyczne odchylenie» inteligencji ukraińskiej, a następnie, poczynając od 1932 roku, przeciw ukraińskim komunistom. Przyjmując określenie Andrieja Sacharowa, bezsprzecznie można mówić o «ukrainofobii Stalina». Przy tym równie ważne jest stwierdzenie, iż proporcjonalnie rzecz biorąc represja głodem dotknęła w równym stopniu regiony zamieszkałe przez Kozaków dońskich i kubańskich, co Kazachstan. [...] Znamienna jest zbieżność między regionami, które stawiały silny opór rekwizycji lat 1918-1921 i kolektywizacji lat 1929-1930 a strefami dotkniętymi klęską głodu. [...] Wielkim głodem lat 1932-1933 najbardziej zostały dotknięte najbogatsze rolniczo i najbardziej dynamiczne regiony, które miały jednocześnie najwięcej do dania państwu i najwięcej do stracenia w zorganizowanym pod koniec przymusowej kolektywizacji systemie wymuszania produkcji rolnej”¹⁷.

Nawet w tej publikacji obraz jest zniuansowany i odniesiony do kontekstu polityczno-gospodarczego, a nie jedynie etnicznego. Byłoby to zatem bardziej „klasobójstwo” niż ludobójstwo. Pewnie najlepiej byłoby określić: terror za pomocą głodu, czyli forma terroru politycznego na ludobójczą skalę. Nie chodziło o wymordowanie narodu ukraińskiego jako takiego, ale bez wątpienia o wytracenie jego części ze względu na polityczne cele. Byłoby to zatem tzw. częściowe ludobójstwo (którego składową może być politobójstwo) w rozumieniu Roberta Melsona, czyli akcja zmierzająca do podważenia statusu i wymordowania dużej części grupy, lecz nie jej eksterminację¹⁸.

Nie ulega jednak wątpliwości, że mimo niejednoznaczności czy doszło do ludobójstwa, sentyment wielu ludzi lewicy do Rosji Radzieckiej, zwłaszcza z pierwszych jej dziesięcioleci, nie może być bezapelacyjny. Nie wszystkie okrucieństwa i zbrodnie dają się wyjaśnić obiektywnymi przestankami ekonomicznymi i społecznymi oraz skrajnie nieprzychylnym środowiskiem międzynarodowym (wrogowie byli i na zachodzie, w tym „pańska Polska” postrzegana jako militarystyczna i antykomunistyczna; i na południu – Imperium Osmańskie, a nawet na wschodzie – Japonia, która pobiła Moskwę w 1905 roku). Choć uogólnienia *Czarnej księgi komunizmu* to niestety w znacznej mierze czarna propaganda, to jednak nie sposób traktować państwa radzieckiego jako nieskażonego intencjonalnymi masowymi mordami osiągniętymi wymiar częściowego ludobójstwa. To truizm, ale zbyt często zapominany. Związek Radziecki podzielił los wszystkich imperiów i supermocarstw,

¹² M. Mann, *The Dark Side of Democracy. Explaining Ethnic Cleansing*, Cambridge University Press, Cambridge 2006, s. 318-352.

¹³ Tamże, s. 327.

¹⁴ Tamże, s. 322-324.

¹⁵ Por. np. B. Bruneteau, *Wiek ludobójstwa*, tłum. B. Spieralska, Oficyna Wydawnicza „Mówią wieki”, Warszawa 2005, s. 89.

¹⁶ Tamże, s. 90.

¹⁷ S. Courtois i in. (red.), *Czarna księga komunizmu...*, wyd. cyt., s. 166.

¹⁸ R. Melson, *Revolution and Genocide...*, wyd. cyt., s. 26-28.

które traktowały masakry, pogromy i krwawy terror jako funkcjonalne narzędzie władzy.

Szczególnym przypadkiem jest ludobójstwo w wydaniu Czerwonych Khmerów w Kambodży 1975-1979. Określa się je mianem autoludobójstwa, gdyż większość ofiar to sami Kambodżanie. Jak się szacuje, zginęło ok. 2,2 do 2,5 mln ludzi (1/4-1/3 populacji Kambodży)¹⁹. Czerwoni Khmerowie doszli do władzy między innymi wskutek destabilizacji kraju spowodowanej wojną w Wietnamie (od 1968 roku) i bombardowaniami amerykańskimi, które miały zniszczyć bazy i trasy dostaw dla komunistycznych sił Wietnamu. Khmerowie wygrali w kwietniu 1975 roku i przystąpili do tworzenia podstaw samodzielności (autarkii) gospodarczej²⁰. Opróżniono miasta, zmuszono mieszczan do pracy na roli, zabijano „ludzi zbędnych”, zakazano stosowania pieniędzy i obrotu rynkowego. Nastąpiła totalna komunalizacja (także wyboru małżonka). Przystąpiono do mordowania mniejszości (w tym zwłaszcza Wietnamczyków, Chamów, Chińczyków; zwalczano także buddyjskich mnichów) oraz rzeczywistych lub (najczęściej) urojonych wrogów politycznych z grupy większościowej. Mordowano w specjalnych obozach i więzieniach (m.in. w słynnym więzieniu Tuol Sleng), ale i w całym kraju w wioskach – z najbłahszych powodów (poła śmierci). Dopiero inwazja wietnamska 24 grudnia 1978 roku doprowadziła do upadku reżimu Khmerów

Kambodża pokazuje doskonale hipokryzję mocarstw. Ocena masowych mordów w wydaniu Czerwonych Khmerów była uzależniona od strony zimnowojennej barykady, którą wybierała Kambodża. Pierwotnie Stany Zjednoczone wspierały rząd, który walczył z Khmerami – ci ostatni zaś byli w sojuszu z Chinami i ZSRR. Zwycięstwo Khmerów było porażką Waszyngtonu, który podkreślał zbrodnie nowych władców. Jednak zwycięstwo Wietnamu, który zadał bolesny cios prestiżowi USA, sprawiło, że role się odwróciły – teraz Moskwa mówiła o zbrodniach reżimu Czerwonych Khmerów, a Stany Zjednoczone złączone sojuszem z Khmerami, którzy ponownie prowadzili wojnę partyzancką, pomniejszały je. Dopiero kres zimnej wojny pozwolił na względną stabilizację w Kambodży i nieśmiałe próby rozliczenia zbrodni. W 2001 roku powołano trybunał do spraw zbrodni Khmerów.

W Kambodży doszło do bezdyskusyjnych aktów ludobójstwa na mniejszościach etnicznych i religijnych. Jednak większość ofiar to osoby stanowiące naturalną bazę dla ludowych rządów lewicowych, w tym działacze partyjni. Było to autoludobójstwo nie tylko w sensie narodowościowym, ale i polityczno-ideologicznym, gdyż mało kto poza określoną grupą bojowników z czasów wojny partyzanckiej był wolny od podejrzeń. W innej sytuacji ofiary mogły stać się sprawcami. Istniały wprawdzie pewne determinanty klasowo-warstwowe oraz nie mniej ważne regionalne (tzw. nowi ludzie), ale tak naprawdę proces wprowadzania wielkiego projektu komunistycznej autarkii rozpętał przemoc uderzającą także w pretorian nowego ustroju.

Na okrucieństwo i morderczą pasję złożyła się bez wątpienia szczególna kultura zemsty panująca w Kambodży. Można ją wyrazić nie starotestamentową maksymą „oko za oko”, ale raczej nieproporcjonalną zasadą „głowa za oko”²¹. Dodatkowo spiralę przemocy nakręcała wojenna destabilizacja i zimnowojenne napięcia. Czerwoni Khmerowie chcieli wprowadzić nowoczesny, totalny projekt społeczny zmieniający fundamenty wszelkiej aktywności Kambodżan. Ale nie wyjaśnia to w pełni tego samobójczego eksperymentu.

Tę dyskusję można by kontynuować. To, co łączy kraje komunistyczne – a do wymienionych dołączmy przede wszystkim Chiny – to masowe mordowanie nie tyle grup etnicznych, narodowych czy rasowych jako „obiektywnych wrogów” grupy większościowej, ale raczej rozproszony, często chaotyczny i nie do końca przewidywalny mord na członkach wspólnoty narodowej. Stąd Micheal Mann wprowadza dwa pojęcia: bratobójstwa, czyli walki z frakcjami dominującej partii, często tak wydumanymi, jak trockiści oraz klasobójstwa (nawet jeśli była to tak nierzeczywista klasa jak kułacy). Wróg był relatywnie słabo definiowany etnicznie, choć zdarzały się wyjątki (np. Kozacy czy Ukraińcy w Związku Radzieckim; na celowniku były także mniejszości, które mogły być powiązane z obcymi potęgami, np. Polacy i Niemcy w Związku Radzieckim; Wietnamczycy w Kambodży). Należy także pamiętać o szczególnym rozumieniu narodu, jakie wykształciło się w krajach komunistycznych. „Prawdziwy naród” tworzyli proletariusze – była to zatem szczególna synteza narodu i klasy, a nawet – jak w przypadku Kambodży – rasy. Partia komunistyczna była zatem z definicji partią narodową. Zdraycy partii stawali się przeto zdradcami narodu. Niejednokrotnie o skali ofiar decydowała nieudolność niższych urzędników (w czasie kolektywizacji doszło do faktycznej znaczącej decentralizacji nawet w Związku Radzieckim), choć oczywiście w różnym stopniu (w większym w Chinach, w mniejszym na ziemiach ukraińskich²²). Nie zmienia to jednak faktu, że do zbrodni na ludobójczą skalę doszło. Choć zrównywanie Auschwitz i Gułagu jest intelektualnym nadużyciem, to jednak nie można traktować Związku Radzieckiego jako „ojczyzny proletariatu”, która była tylko i wyłącznie formą rozwoju praw pracowniczych – także, poprzez przykład i zagrożenie, na całym świecie. Lewica po Auschwitz nie może być ślepa na to, że ludobójcza pokusa opanowała wszystkie mocarstwa, również te, które odwoływały się do idei komunistycznych i socjalistycznych. Komunizm i socjalizm nie uodporniają niestety na pokusę ludobójstwa.

Ludobójstwo w czasach późnej nowoczesności

Do tej pory skupiliśmy się na wątkach, które najczęściej występują w dyskursie politycznym na temat ludobójstwa i lewicy. Nie mają one jednak największego ciężaru gatunkowego. Auschwitz zmusił bowiem do przemyślenia filozoficznych podstaw projektu lewicowego, nie tylko tych, które dzielił on z optymistyczną wizją oświecenia. Przykładem rewizji projektu lewicowego była krytyka oświecenia w wydaniu przedstawicieli

¹⁹ C. Etcheson, *The Cambodian Genocide*, [w:] S. Totten (red.), *Teaching About Genocide: Issues, Approaches, and Resources*, Information Age Publishing, Greenwich, Connecticut 2004.

²⁰ Szerzej: A.W. Jelonek, *Studium rewolucji Czerwonych Khmerów. Paradygmat autarkicznego rozwoju*, WFiS UW, Warszawa 1996.

²¹ A.L. Hinton, *A Head for an Eye: Revenge in the Cambodian Genocide*, „American Ethnologist” 1998, Vol. 25, No. 3, s. 352-377.

²² M. Mann, *The Dark Side...*, wyd. cyt., s. 326, 337.

szkoły frankfurckiej. Według nich postęp rozumu nie oznaczał automatycznej emancypacji, lecz narodzenie nowych form totalitarnego zniewolenia²³. W interesującym nas zakresie najlepiej ideę tę wyraził Zygmunt Bauman, który nowoczesność utożsamianą w znacznym zakresie z oświeceniową racjonalizacją obwinia o doprowadzenie do urzeczywistnienia się projektu systematycznego wymordowania europejskich Żydów. Nowoczesność jawi się w tej perspektywie nadzwyczaj demonicznie: „Z tego, że Holocaust był nowoczesny, nie wynika wcale, że nowoczesność jest Holocaustem. Holocaust jest produktem ubocznym nowoczesnego dążenia do w pełni planowego, w pełni kontrolowanego świata, produktem pojawiającym się w momencie, kiedy dążenie to wymyka się spod kontroli i zaczyna działać niezależnie. Najczęściej nic takiego się nie dzieje. Ambicje nowoczesności kolidują z pluralizmem nowoczesnego świata; natrafiają na barierę w swoich dążeniach z braku władzy na tyle absolutnej i monopolu na tyle monopolistycznego, by mogły pomijać, lekceważyć i pokonać wszelkie autonomiczne, a co za tym idzie przeciwnie lub zawadzające siły”²⁴. Gdy jednak marzenia uzyskują siłowe wsparcie i tracą gorset kontroli – leje się krew.

Nie miejsce tu na szczegółową polemikę, pesymizm Baumana wydaje się jednak nieuzasadniony. Bez wątplenia w Holokauście ujawniają się dystyngtywne cechy nowoczesnego społeczeństwa, ale jest on także inkarnacją starożytnych motywacji i strukturalnych źródeł ludobójstwa. Dlatego trzeba spojrzeć na nowoczesną cywilizację jako byt o Janusowym obliczu, ukazującym i destruktywne, ludobójcze dążenia, i konstruktywne, humanizujące stosunki międzyludzkie²⁵. Proces cywilizacyjny doprowadził przecież do bezprecedensowej emancypacji ekonomicznej, politycznej i społecznej jednostki. Uniwersalne prawa człowieka to projekt na wskroś oświeceniowy. Masowe mordy i ludobójstwa należy zatem rozpatrywać nie jako emanację istoty nowoczesności, ale jako skutek niedostatku szerzenia idei oświecenia. Lewica po Auschwitz nie może odrzucić projektu oświeceniowego. Być może zalecenia Jürgena Habermasa nakazującego odróżnić racjonalność instrumentalną od komunikacyjnej mają utopijny charakter, ale jednak słusznie stawia on zadanie teoretyczne i praktyczne. Nowoczesność nie jest monolitem i nie można emancypacji w czasach nowoczesności postrzegać jako działania jednokierunkowego. Jeśli nowoczesne instrumentarium zostanie z równym zaangażowaniem wykorzystane do doskonalenia systemu powszechnej edukacji, jak do modernizacji systemów uzbrojenia, to widmo masakr czynionych rękami „gorliwych katów” kolejnych „wielkich wizjonerów” znacząco się oddali, choć oczywiście nie zniknie.

Doświadczenie Auschwitz jest dla włoskiego filozofa Giorgia Agambena fundamentalnym źródłem wiedzy o człowieku i cywilizacji. Powstaje jednak zasadniczy i często bagatelizowany problem świadectwa: „«Prawdziwymi» świadkami, «świadkami całkowitymi» są ci,

którzy nie dali świadectwa, ci, którzy nie mogliby go dać. Ci, którzy «znaleźli się na samym dnie», muzułmanie, pogrążeni”.

Obozowy muzułmanin jest figurą o wielkim ciężarze filozoficznym – „jest zaprzeczeniem człowieka, istotą nieludzką, która z uporem jawi się pod ludzką postacią, a zarazem formą człowieczeństwa, której nie sposób odróżnić ani oddzielić od tego, co nieludzkie”. I w konkluzji przemysleń: „człowiek jest kimś, kto może przeżyć człowieka [...] człowiek jest zaprzeczeniem człowieka, prawdziwą istotą ludzką jest ten, czyje człowieczeństwo zostało całkowicie unicestwione”²⁶. Muzułmanin jest dowodem na ułomność naiwnie humanistycznej i idealistycznej wizji człowieka. Pokazuje, jaką troską trzeba otaczać człowieczeństwo, aby nie zredukowało się przetrwalnikowej formy, która w istocie nigdy już nie rozkwitnie.

Współczesny świat nie jest wolny od zarodków nowych masakr, czystek etnicznych i ludobójstw. Mimo powszechnej retoryki praw człowieka i interwencji humanitarnej, stare reguły *Realpolitik* i nowe interesy popychają sprawców do powtarzania – jak się okazuje – nie do końca zgranych schematów. Późna nowoczesność jest wysoce refleksyjna. Studia nad ludobójstwem stały się niezbywalnym elementem świata akademickiego. Media zdominowane przez poetykę skandalu chętnie epatują widza zdjęciami ofiar i okrucieństw. Mimo tej dyfuzji wiedzy niebezpieczeństwo się nie oddaliło, gdyż głębokie, strukturalne determinanty popychające w pewnych sytuacjach sprawców do mordu nie zaniknęły.

Wina nie leży w skażonej grzechem pierworodnym naturze ludzkiej. Człowiek jako gatunek jest zdolny i do skrajnego okrucieństwa, i do wielkiego heroizmu. Przyczyn zła trzeba szukać w międzynarodowym systemie politycznym i gospodarczym. Doskonale opisuje to socjologia Immanuela Wallersteina, który w wielu miejscach podkreśla, że kapitalistyczna gospodarka świata szerzyła się w oparciu o kolonialne masakry i terror.

Zapóźnienie i podatność na destabilizację krajów peryferyjnych utrzymuje się. Wspólnota międzynarodowa interweniuje humanitarnie w sytuacji zagrożenia życia niewinnych ofiar to fikcja regulatywna. Przypomnijmy, że gdy sporo mówiono o pokoju w Bośni i Hercegowinie, masowe mordy na Tutsi były zbywane milczeniem. Ludobójstwo nie wydarza się „gdzieś-tam”, u „obcych” i „prymitywnych”. W czasach późnej nowoczesności przyczyny ludobójstwa są tak rozproszone w systemie światowym, jak władza. Ludobójstwo nie może być przeto traktowane jako wyjątek w normalnym biegu historii, jako erupcja barbarzyństwa w zapomnianych przez Boga i giełdę zakątkach świata. Przyczyny ludobójstwa są banalne, czyli wszechobecne. Jedyne budowa i aktywne wsparcie dla systemu monitorowania i przeciwdziałania ludobójstwom może zapobiec powtórce Auschwitz. To aktualne i ważne zadanie lewicy.

LECH M. NIJAKOWSKI

²³ M. Horkheimer, Th.W. Adorno, *Dialektyka Oświecenia. Fragmenty filozoficzne*, przeł. M. Łukasiewicz, IFiS PAN, Warszawa 1994.

²⁴ Z. Bauman, *Nowoczesność i zagłada*, Fundacja Kulturalna Masada, Warszawa 1992, s. 138.

²⁵ Por. np. M. Frejman, *Genocide, Civilization and Modernity*, „The British Journal of Sociology” 1995, Vol. 46, No. 2, s. 207-223.

²⁶ G. Agamben, *Co zostaje z Auschwitz. Archiwum i świadek (Homo sacer III)*, przeł. S. Królak, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2008, s. 33, 83, 136.

ANDRZEJ KURZ

GŁOS W SPORZE

O POWOJENNE DZIEJE KRAKOWA

Zastanawiając się nad powojennymi (1945-1989) dziejami Krakowa, zakładam ich osobliwość na tle innych regionów Polski. Ale mam równocześnie świadomość, że Kraków jest częścią Polski, a jego dzieje częścią historii państwa i społeczeństwa polskiego.

Kiedy zaś badamy dzieje Polski ostatnich 250 lat, dochodzimy do dwóch podstawowych wniosków natury historyozoficznej:

1. niepodległość państwowa Polski i w miarę pomyślny rozwój jej społeczeństwa zależały od sprzyjającej temu sytuacji międzynarodowej i od gotowości Polaków do wykorzystania tej sytuacji poprzez własny wysiłek, w którym dominowało zrozumienie interesu wspólnego – racji stanu. Zrozumienie przez podstawowe siły polityczne, wyrażające się w ich (głębszym lub płytszym) kompromisie na gruncie tej właśnie racji stanu. Było to widoczne najwyraźniej w pozytywnych kulminacjach historii Polski XX wieku: w latach 1918-1920, 1944-1945, 1956, 1980-1981 i 1989. Dziś, kiedy Polska jest członkiem Unii Europejskiej, racja stanu Polski może już być rozumiana nieco inaczej;

2. tożsamość narodowa Polaków wyraża się i umacnia przede wszystkim w narodowej kulturze i jej związkach z kulturą innych narodów;

Spoglądam więc na osobliwość powojennych dziejów Krakowa opierając się na tych właśnie założeniach.

* * *

Kraków wyszedł z wojny i niemieckiej okupacji jako miasto zasadniczo różne od tego, którym był w roku 1939 zarówno pod względem wielkości obszaru miasta, jego demografii i struktury społecznej jak i świadomości społecznej i politycznej mieszkańców, a także ich mentalności.

Władze okupacyjne zdecydowały o 3,5-krotnym powiększeniu obszaru administracyjnego miasta, a władza powojenna tę decyzję akceptowała. Liczba mieszkańców Krakowa wzrosła od 260 tys. w roku 1939 do 300 tys. w 1945 r. – mimo olbrzymich strat wojennych, ale jej struktura etniczno-społeczna stała się zupełnie inna.

Wskutek wojny i terroru okupacyjnego zginęło ponad 80 tysięcy krakowian, w tym 60 tys. Żydów, czyli ponad 90 proc. tej grupy etnicznej. Żydzi, którzy przed wojną stanowili jedną czwartą ludności miasta, właściwie zniknęli jako społeczność. Zmieniło to nie tylko strukturę etniczną i kulturową, ale i strukturę społeczną: na miejsce żydowskiego drobnomieszczactwa przyszły do handlu, rzemiosła i usług nowe grupy ludności krakowskiej i pozakrakowskiej, zniknęła znaczna grupa inteligencji. Zagłada Żydów odbiła się szczególnie okrutnie na świadomości i podświadomości Polaków.

Inne znaczne zmiany, szczególnie w składzie inteligencji nastąpiły w wyniku przyływu do Krakowa bezpośrednio po klęsce wojennej 1939 r. dużej grupy ludności wysiedlonej z Poznańskiego a pod koniec wojny kilku tysięcy ludzi ze wschodu, głównie ze Lwowa i ok. 30 tys. warszawiaków po powstaniu zbrojnym i zniszczeniu stolicy Polski.

Wojna, a przede wszystkim ludobójcza polityka okupanta wraz z desperacką walką rodzin i jednostek o przetrwanie wywarły destrukcyjny wpływ na mentalność i postawy życiowe. Ogrom frustracji i odruchów moralnego znieczulenia był o wiele większy niż doświadczenie patriotycznej solidarności i szlachetnego uniesienia tej mniejszości, która uczestniczyła w działaniach konspiracji i państwa podziemnego lub je wspomagała.

Nad Krakowem unosiła się od początku okupacji groza *Sonderaktion* w stosunku do krakowskich uczonych i nauczycieli, pobliskiego obozu zagłady w Oświęcimiu i Brzezince, kaźni gestapo, Montelupich i Płaszowa.

Kraków doświadczył tylko jednej okupacji i przekonanie, że walka z Niemcami u boku zachodnich aliantów jest patriotycznym zadaniem podstawowym dominowała w świadomości mieszkańców. W czasie okupacji Kraków był drugim po Warszawie, ale znacznie mniej od niej ważnym ośrodkiem państwa podziemnego i ruchu oporu, szczególnie znaczącym w dziedzinie podziemnej nauki i edukacji, a przede wszystkim kultury. Fakt, że Niemcy uczynili miasto stolicą Generalnego Gubernatorstwa bez wątplenia podniósł jego znaczenie w okupowanej Polsce, a po klęsce powstania warszawskiego stał się Kraków na kilka miesięcy nieoficjalną stolicą państwa podziemnego i Ruchu Oporu. Tu przybywały i usiłują odbudować działalność rozbite jego centra kierownicze – Delegatura Rządu i Rada Jedności Narodowej oraz Komenda Główna AK.

16 I 1945 roku przebywający w Krakowie dowódca AK, komendant Sił Zbrojnych w kraju gen. Stanisław Okulicki oraz Jan Stanisław Jankowski, Delegat Rządu na Kraj i wicepremier kierujący Krajową Radą Ministrów usiłowali zebrać ją na posiedzenie (w Krakowie przebywali w tym czasie także ministrowie Stanisław Jasiukowicz i Antoni Pajdak), aby ustalić wytyczne jak zachować się wobec Sowietów i Tymczasowego Rządu Lubelskiego – a więc w sprawie najważniejszej dla polskiej racji stanu. Uderzenie Armii Czerwonej na Kraków uniemożliwiło zebranie się tego gremium i gen. Okulicki, który przedostał się do Częstochowy, tam właśnie (19 I 1945) ogłosił decyzję o rozwiązaniu Armii Krajowej.

Kraków bardzo krótko był miastem frontowym i w związku z tym straty spowodowane działaniami wojennymi, jakkolwiek poważne, zwłaszcza w infrastrukturu-

rze komunikacyjnej i zabudowie w okolicach wysadzonych mostów na Wiśle, nie były duże. Śmierć w walkach poniosło około 900 żołnierzy Armii Czerwonej. Manewr marszałka Iwana Koniewa rzeczywiście ocalał Kraków, aczkolwiek jego celem głównym i zrealizowanym było niedopuszczenie do zniszczenia przez Niemców przemysłu górnośląskiego, jedyne, który mógł szybko i skutecznie dostarczać węgiel i stal do zrujnowanej przez wojnę europejskiej części Związku Radzieckiego.

18 stycznia cały lewobrzeżny Kraków a 19 stycznia także Podgórze są już całkowicie wolne od Niemców. W mieście, w odróżnieniu od wydarzeń w wyzwolonym Wilnie, Lwowie czy Lublinie nie ujawniają się żadne instytucje polskiego państwa podziemnego, chociaż w zabezpieczeniu miasta, jego infrastruktury i pomników kultury biorą udział zorganizowane grupy ludzi podziemia. Władzę wojenną w mieście obejmują jednostki Armii Czerwonej i NKWD. Te ostatnie kierują swój terror przeciw strukturalom polskiego państwa podziemnego – przede wszystkim Armii Krajowej – dysponując dobrym rozeznanie i działając skutecznie, lecz bez ostentacji, chociaż kilkadziesiąt osób po aresztowaniu zostało wywiezionych do miejsc kaźni w Związku Radzieckim. Działania NKWD były wspomagane i legitymizowane przez przybyłe z Polski „lubelskiej” grupy pracowników organów bezpieczeństwa.

Niemal bezzwłocznie pojawiają się też w Krakowie organy nowej władzy polskiej związanej z lubelskim Rządem Tymczasowym. W większości przybywają wraz z Armią Czerwoną i jednostkami Ludowego Wojska Polskiego, które w samym wyzwolaniu Krakowa udziału nie brały. Liczba działaczy podziemia związanego z Krajową Radą Narodową i jej główną partią – PPR nie była w Krakowie znacząca, wskutek kilkukrotnego zniszczenia struktur PPR przez hitlerowski aparat terroru. Główną rolę w kształtowaniu nowych organów władzy odgrywa przybyły do Krakowa działacz podziemnej PPR i jej zbrojnych oddziałów Włodzimierz Zawadzki „Jasny”, niewątpliwie agenturalnie związany z NKWD i nurtem stalinowskim w PPR, zwolennik działania przemocą i uczynienia z Polski republiki sowieckiej. Wkrótce zresztą zostaje przez Władysława Gomułkę odsunięty od wszelkich stanowisk. W kwietniu 1945 r. stanowisko I sekretarza KW PPR obejmuje na kilka miesięcy przybyły z Warszawy jeden z najbliższych Gomułce działaczy Aleksander Kowalski. W systemie władzy dominują jednak zarządzenia i rozkazy nadchodzące z lubelskiej, a następnie warszawskiej centrali.

Ujawniają się stopniowo również struktury partii związanych dotąd z legalnym państwem podziemnym, lecz gotowe do porozumienia i współdziałania z Rządem Tymczasowym i PPR. Ta gotowość przejawia się przede wszystkim w ugrupowaniach krakowskich socjalistów oraz ludowców, lecz także środowiskach narodowców i chadeków. Wpływa na nie w sposób decydujący postawa mocarstw Zachodu w stosunku do sowieckiego sojusznika, znajdująca swój skondensowany wyraz w postanowieniach konferencji jałtańskiej, w tym w sprawach dotyczących bezpośrednio Polski, jej kształtu terytorialnego, pozostawienia w radzieckiej strefie wpływów i związanego z tym sposobu kształtowania władzy w wyzwolonym od niemieckiej, ludobójczej okupacji kraju. Wielkie mocarstwa na konferencji jałtańskiej zdecydowały, że „działający obecnie w Pol-

sce Rząd Tymczasowy powinien... być przekształcony na szerszej podstawie demokratycznej z włączeniem przywódców demokratycznych z samej Polski i Polaków z zagranicy... Polski Rząd Tymczasowy Jedności Narodowej będzie miał obowiązek przeprowadzenia możliwie najprędzej wolnych i nieskrępowanych wyborów... W wyborach tych będą miały prawo brać udział i wystawiać kandydatów wszystkie partie demokratyczne i antyfaszystowskie”.

Rozczarowanie decyzjami jałtańskimi oddającymi Europę środkowo-wschodnią, a Polskę w szczególności w sferę wpływów i interesów Związku Radzieckiego rekompensuje więc deklaracja aliantów o możliwie najszybszym przeprowadzeniu w Polsce wolnych i demokratycznych wyborów parlamentarnych. Delegitymizacja przez wielkie mocarstwa polskiego rządu emigracyjnego nie powoduje wstrząsu społecznego, ponieważ w końcowym okresie wojny tracił on autorytet na rzecz władz państwa podziemnego i krajowych sił politycznych.

Wiele związanych z tymi międzynarodowymi uwarunkowaniami decyzji legalnych władz Polski podziemnej zapadało w Krakowie, zapewne też nie bez związku ze szczególną atmosferą polityczną tego miasta. W Krakowie odbyło się 27 czerwca 1945 r. przedostatnie w jej historii posiedzenie Rady Jedności Narodowej – podziemnego przedstawicielstwa politycznego łączącego reprezentantów wszystkich partii politycznych wchodzących w skład emigracyjnych władz państwowych, na którym uznano, że działalność podziemnego państwa polskiego dobiegła końca i przyjęto dymisję ostatniego Delegata Rządu na Kraj (obowiązki te pełnił ludowiec Stefan Korboński), a przede wszystkim wydano *Odezwę do Narodu Polskiego i Narodów Zjednoczonych*, zawierającą m.in. *Testament Polski Walczącej*, którego autorem był Jerzy Braun, przedstawiciel Stronnictwa Pracy, w 1940 współzałożyciel i przewodniczący chrześcijańsko-narodowej Unii, pisarz i intelektualista. W *Testamencie* stwierdza się, że dotychczasowe możliwości walki się kończą, powstaje problem innej, jawnej już walki stronnictw demokratycznych o cele narodu i swe programy, uznaje się Tymczasowy Rząd Jedności Narodu ustanowiony na zakończonej 21 czerwca w Moskwie konferencji ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw. Nastąpiło to w wyniku postanowień zapowiadanych już w umowie jałtańskiej. Moskiewskie porozumienie zawarto formalnie między przedstawicielami Krajowej Rady Narodowej i Rządu Tymczasowego a działaczami dotychczas związanymi z władzami RP na uchodźstwie. *Notabene* wśród pięciu tych działaczy przybyłych z kraju, trzech (prof. Stanisław Kutrzeba, prof. Adam Krzyżanowski i Zygmunt Żuławski) pochodziło z Krakowa.

W Krakowie także odbyła się w dniach 13-15 sierpnia 1945 r. odprawa ścisłego kierownictwa rozwiązanej już oficjalnie Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, na której z inicjatywy płk. Jana Rzepeckiego i pod jego kierownictwem powołano Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość. Organizacja ta w intencji twórcy miała przekształcić konspirację wojskową, która mimo rozkazu komendanta głównego AK z 19 stycznia 1945 r. nie zakończyła walki podziemnej, w cywilny ruch społeczno-polityczny dla obrony podstawowych praw obywateli, demokracji, wolnych wyborów i niezawisłości państwowej, tzn. równocześnie wyprowadzić młodzież z lasu i nielegalności.

Nowa władza ogłosiła, że stoi na gruncie konstytucji z marca 1921, uznając konstytucję kwietniową (1935) za przyjętą na drodze nielegalnej. W ten sposób zapewniała sobie pozory kontynuacji II Rzeczypospolitej. Nieprzypadkowo też lubelski *Manifest PKWN* był w znacznym stopniu powieleniem *Manifestu Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej* ogłoszonego w Lublinie 7 listopada 1918 r., a więc przed 26 laty, zaś ustawa Krajowej Rady Narodowej z września 1944 r. reaktywowała samorząd terytorialny powołując system rad narodowych.

Uważano powszechnie, że alianci zachodni porzucili rząd londyński, lecz nie porzucili Polski, będą więc gwarantami demokratycznego charakteru jej nowej władzy. Nową nadzieję budzą też zapowiedzi budowy państwa na zasadach ludowładztwa i demokratycznych reform społeczno-ustrojowych, a także oparty na wielopartyjności system państwowy, w którym wszystkie partie zgadzają się, że nowa Polska musi być odmienna od tej, która poniosła klęskę wrześniową i w którym nie będą dopuszczone do głosu ugrupowania polityczne winowców tej klęski.

Już ostatnie lata okupacji i panująca w społeczeństwie polskim atmosfera kształtowana przez liczne deklaracje sił politycznych na emigracji, lecz przede wszystkim w kraju, przynosiły zapowiedź oczekiwanej przez większość środowisk społecznych zmiany w wyzwolonej Polsce. Deklarowano coraz wyraźniej przeprowadzenie głębokich przeobrażeń społecznych: radykalnej reformy rolnej i nacjonalizacji wielkiej własności, rozbudowane ustawodawstwo socjalne, upowszechnianie oświaty i kultury, przesunięcie granic państwowych na zachód i takie zmiany we władzy, które podniosą znaczenie grup społecznych nazywanych ludem.

Wyzwolenie Krakowa od niemieckiej okupacji samo w sobie wywołuje niezwykle przyływy optymizmu i żywiołowej skłonności do odbudowy i normalizacji życia społecznego. Siłą sprawczą powojennej odbudowy i ożywienia wszystkich dziedzin życia, przywracania polskich instytucji i tworzenia nowych są najczęściej ludzie i grupy związane z ruchem oporu i doświadczone przesładowaniami okupanta, skłonne do uznania pojałtańskiej rzeczywistości i do działań pozytywnych ratujących zniszczoną substancję biologiczną narodu i tworzących lepszą przyszłość. Pozytywnie je motywuje fakt, że odradzające się systemy organizacji życia społecznego odrzucają klasowe przegrody i ograniczenia, i działają skutecznie, zwłaszcza w porównaniu z biegiem spraw po odzyskaniu niepodległości w roku 1918. Wstrząs wywołany utratą Kresów Wschodnich, zwłaszcza polskiego Lwowa i Wilna jest rekompensowany przez powszechnie akceptowaną „ideę piastowską” – powrotu na ziemie zachodnie i północne.

W Krakowie niemal natychmiast po wyzwoleniu, mimo widocznej przez pewien czas militaryzacji miasta, zaczyna funkcjonować infrastruktura miejska, nie przerywają produkcji przedsiębiorstwa, działa w podstawowej mierze sieć handlu i usług. Zjawiska rabunków i samosądów występują w zupełnie nielicznych przypadkach.

Co jednak najbardziej charakterystyczne – nie tylko podejmują działalność szkoły, uczelnie, instytucje kultury, prasa, radio, lecz powstają nowe, a istniejące przed wojną powiększają swoją działalność, np. przyjmując nowe rzesze uczących się czy odbiorców kultury – nie

tylko tych, których wojna pozbawiła takich możliwości, lecz i młodzież z klas społecznych dotychczas kulturalnie upośledzonych.

Przedwojenna, ocalała z piekła okupacji, inteligencja niemal bez wyjątków staje „do służby społecznej”. Zburzenie Warszawy, która mimo to wkrótce po zakończeniu wojny podejmuje z podziwu godnym wysiłkiem administracyjne i symboliczne funkcje stolicy odbudowując środowiska i instytucje, słabość kulturowych środowisk największego po Warszawie miasta Polski – Łodzi powoduje, że Kraków w sposób naturalny na kilka pierwszych lat powojennych staje się najsilniejszym polskim centrum naukowo-kulturalnym. Do szybko rozwijającego się Uniwersytetu Jagiellońskiego i przeżywającej niezwykle rozwój związanej z zapotrzebowaniem na kwalifikowane kadry w gwałtownie zwiększającym swą produkcję przemyśle górniczym i metalurgicznym Akademii Górniczo-Hutniczej istniejącej od 1919 r., dochodzi nowa Politechnika, obok starej Akademii Sztuk Pięknych powstają nowe wyższe uczelnie artystyczne – muzyczna i teatralna, niewielka przed wojną Wyższa Szkoła Handlowa przekształca się w Akademię Handlową, rozwijający się gwałtownie system szkolny wyposaża w kwalifikowaną kadrę nowo powołana Wyższa Szkoła Pedagogiczna. Wznowily i rozwinęły działalność seminaria duchowne.

Rozrastają się placówki naukowo-badawcze Polskiej Akademii Umiejętności i podejmują zadania na epokową skalę, realizowane później w ramach Polskiej Akademii Nauk, np. słowniki i atlasy języka polskiego. i wiele innych. Wielka grupa krakowskich uczonych angażuje się w tworzenie polskich uczelni na Ziemiach Zachodnich i polonizację tego regionu.

Na ogólnopolską skalę rozwija się krakowskie piśmiennictwo – tutaj znajdują swą siedzibę czasopisma ważne – obok katolickiego „Tygodnika Powszechnego” i miesięcznika „Znak” – dla ukształtowania nowoczesnego, europejskiego myślenia polskiej inteligencji i młodzieży: „Przekrój”, „Odrodzenie” i „Twórczość”. Dwa ostatnie w 1947 r. zostały przeniesione do Warszawy. Powstaje wielkie Polskie Wydawnictwo Muzyczne.

Krakowscy uczeni, np. profesorowie AGH Walery Goetel i Andrzej Bolewski czy prof. UJ Stanisław Leszczycki odgrywają ważną rolę ekspertów w polskiej delegacji na poczdamską konferencję wielkich mocarstw, na której ustalono organizację powojennej Europy, w tym ostateczny kształt polskich granic i zdecydowano o wielkich przesiedleniach ludności.

Szczególnym fenomenem środowisk kulturalnych Krakowa tych lat staje się niezwykle rozwój twórczości artystycznej, która znajduje zarazem wielkie rzesze nowych odbiorców. Jest w tym oczywiście element odreagowania okrutnych przeżyć i opresji okupacji oraz radość z przeżycia, ale także ze znalezienia nowego społecznego odbiorcy.

W estetyce twórczości odnotowuje się nie tylko powrót do prądów i szkół przedwojennych, lecz i sprzeciw wobec nich, nowe tendencje i otwarcie na Europę. Jest to szczególnie widoczne w twórczości malarskiej, która osiąga bardzo wysoki poziom, podobnie jak teatr i twórczość muzyczna. Zjawiskiem zupełnie niezwykle staje się dom przy ul. Krupniczej 22 oddany na mieszkanie, ale i na miejsce spotkań literatów, którzy znaleźli tam schronienie, szczególnie po zniszczeniu Warsza-

wy i skutek powojennych przesiedleń, a stworzyli tam – starzy i młodzi – osobliwą atmosferę wielopokoleniowego współżycia i wieloświatopoglądowych dyskusji.

Do krakowskich muzeów powracają zrabowane przez hitlerowców dzieła sztuki, choć wiele wydaje się straconych bezpowrotnie. Wawel otwiera katedrę i komnaty dla nowej publiczności, a na czele tego najważniejszego dla Polaków miejsca pamięci staje jego przedwojenny dyrektor, prof. Adolf Szyszko-Bohusz. Podobnie dzieje się w wielu innych instytucjach kultury.

Nowo powstająca w Krakowie władza miejska (z postaci znanych powszechnie w Krakowie przedwojennym znalazł się początkowo tylko stary PPS-owiec, dr Bolesław Drobner, a z funkcjonariuszy podziemnej delegatury rządu działacz Stronnictwa Demokratycznego, dr Eugeniusz Tor) nie miała większych trudności w przejściu wielu społecznych inicjatyw i nadaniu im znamion oficjalności, tym bardziej że rozwijające się bardzo szybko partie polityczne – z wyjątkiem PPR – kierowane były przez działaczy dobrze znanych z okresu przedwojennego, a zwłaszcza okupacji. Dotyczyło to socjalistów i ludowców, a także narodowców.

Miejska rada narodowa, organ samorządu, chociaż powołana w drodze doboru przedstawicieli partii i organizacji, a także w drodze kooptacji głównie prominentnych reprezentantów środowisk twórczych, staje się forum prawdziwych inicjatyw i dyskusji. Jej władza, ograniczana przez możliwość ingerencji rady wojewódzkiej i Krajowej Rady Narodowej, obejmuje jednak szeroki zakres funkcjonowania gospodarki miejskiej i jej przedsiębiorstw, instytucji kultury i edukacji, zdrowia i opieki społecznej oraz innych służb miejskich. W składzie rady miejskiej były reprezentowane wszystkie partie legalnie działające, lecz dominowały ugrupowania lewicy przy formalnej w niej równowadze PPR i PPS. Od początku też ustalono, że przewodniczącym rady miejskiej zostaje PPS-owiec, a prezydentem miasta przedstawiciel PPR. Wojewodą zostawał reprezentant PPS-u.

Zarząd miejski Krakowa zajmował się nie tylko powojennym, bieżącym funkcjonowaniem miasta, lecz usiłował podejmować duże zadania programowe. Związane były nie tylko z ideą proletaryzacji Krakowa i deprywatyzacji gospodarki. Na przykład powołana w czerwcu 1947 r. komisja rzeczoznawców, złożona z najwybitniejszych „przedwojennych” specjalistów, profesorów Stanisława Leszczyckiego, Władysława Szafera, Witolda Krzyżanowskiego oraz Kazimierza Dziewanowskiego opracowała koncepcję rozwoju Krakowa jako regionalnej metropolii.

Uruchomienie przedsiębiorstw, mimo dużych trudności z remontami parku maszynowego i zaopatrzeniem produkcyjnym wiązało się z autentyczną aktywnością zespołów pracowniczych i związków zawodowych. Od początku zaznaczyła się w nich niechęć wobec reprywatyzacji, czemu sprzyjały nieobecność dawnych właścicieli, ucieczka niemieckich nadzorców oraz rosnąca aktywność i inicjatywa związków zawodowych i środowisk robotniczych. Dominujący wpływ w związkach zawodowych miała PPS i jej przedwojenny aktyw, rosło także zaangażowanie PPR w ruch związkowy wraz z jej hasłami społecznego radykalizmu. Rodziły się i zaczynały wdrażać idee centralnego, państwowego planowania i zarządzania gospodarką. Centralny Urząd Planowania działający w latach 1945-1948, pozostający pod dużym

wplywem koncepcji PPS, nie miał jeszcze uprawnień kontrolnych, a cała gospodarka komunalna znajdowała się w gestii samorządu miejskiego.

Istotnym elementem działalności związków zawodowych, a także kierownictw przedsiębiorstw i instytucji było zapewnienie pracownikom elementarnych warunków bytowych – np. zaopatrzenie w żywność i opał. Rok 1946 zaznaczył się w wielu krakowskich przedsiębiorstwach wybuchem żywiołowych strajków na tle niedostatków w tej dziedzinie. Stale występujące trudności w zaopatrzeniu miasta kształtowały, zwłaszcza w środowiskach robotniczych, podatny grunt do ataków na prywatny handel i w ogóle tzw. prywatną inicjatywę, oraz przekonanie, że kontrola nad handlem, a następnie jego deprywatyzacja i uspołecznienie to droga do poprawy materialnego położenia ludności. W tej dziedzinie radykalizm PPR prześcigała PPS, a obie partie wykorzystywały swe hasła w walce z PSL jako partią broniącą małej i średniej prywatnej własności nie tylko w gospodarce rolnej.

* * *

Fenomenem pierwszych trzech powojennych lat życia publicznego Krakowa było to, że jakkolwiek o działaniach aparatu przemocy odgrywał ogromną rolę w ówczesnej władzy decydowała tylko jedna siła polityczna – Polska Partia Robotnicza oraz obecność oddziałów sowieckiego aparatu wojskowego i NKWD, a potem już tylko sowieckich doradców, choć często decydentów w polskim aparacie terroru, to w życiu społecznym, kształtowaniu atmosfery miasta, jego elit politycznych, a zwłaszcza środowisk i instytucji nauki i kultury dominowały dwie siły bardzo różne, lecz mające niekwestionowany narodowy charakter, autorytet i wspaniałą kartę okupacyjną. A przede wszystkim kierujące się jako zasadą nadrzędną dobrem wspólnym, wyrażającym się w polskiej racji stanu w pojałtańskim światowym układzie sił. Było to duże środowisko inteligentnie skupione wokół kurii metropolitalnej, a właściwie wokół osoby arcybiskupa-metropolity, księcia Adama Stefana Sapiehy i wielkie środowisko inteligencko-robotnicze skupione w i wokół odradzającej się Polskiej Partii Socjalistycznej.

Arcybiskup Adam Stefan Sapieha, książę metropolita krakowski cieszył się autorytetem hierarchy – arystokraty zaangażowanego w czasie pierwszej wojny światowej w organizowanie skutecznej pomocy najbardziej i ofiarom wojny (Komitet Książęco-Biskupi), w okresie międzywojennym wyróżniał się postawą niezależną wobec rządzącej grupy Piłsudskiego i sprzyjającego mu papieża Piusa XI, zaś w czasie wojny, w związku z emigracją a następnie internowaniem i uwięzieniem przez Niemców we Francji prymasa Polski, kardynała Augusta Hlonda, stał się nieformalną głową Kościoła na terenie okupowanej Polski, a także jego reprezentantem wobec urzędującego na Wawelu namiestnika Hitlera – generalnego gubernatora Hansa Franka. Odważne i godne zachowanie metropolity, jego bardzo skuteczne zaangażowanie w działalność instytucji pomocy społecznej dla ludności poszkodowanej przez wojnę z terenu całej Polski (bez względu na różnice narodowościowe – interweniował u Franka m.in. przeciw prześladowaniu Żydów, ale tylko przechrzczone) wytworzyły wokół niego aureę męża opatrnościowego.

Jego przedwojenny konflikt z Piłsudskim i piłsudczyzną czynił go bliskim antysanacyjnym hasłom nowej władzy. Wielokrotnie spotykał się z najbardziej znanym i popularnym jej reprezentantem – naczelnym dowódcą WP, marszałkiem Michałem Rola-Żymierskim, krakowianinem, wybitnym oficerem Legionów, a następnie generałem, pod koniec lat 20. oskarżonym o nadużycia i usuniętym z wojska. Jednym z celów tych spotkań było pozyskanie przychylności metropolity dla Krajowej Rady Narodowej, a przede wszystkim dla jej legitymizacji w oczach społeczeństwa. Szczególnie ważnym rozmówcą arcybiskupa Sapiehy był Jerzy Borejsza, przedwojenny komunista, zaufany przedstawiciel PPR. Borejsza, faktyczny pełnomocnik nowej władzy w dziedzinie polityki kulturalnej z wielką skutecznością organizował zakrojony na niespotykaną wcześniej w Polsce skalę proces upowszechnienia kultury i przyciągania twórców do nowego systemu (polityka ta uległa załamaniu dopiero w 1948 r., wraz z atakiem sowieckich działaczy na liberalizm kulturalny podczas Światowego Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu).

Autoritet metropolity, księcia Sapiehy wzrósł jeszcze z chwilą mianowania go z początkiem 1946 r. kardynałem, co rozumiano jako zadośćuczynienie papieża Piusa XII naruszonemu przez jego poprzednika zwyczajowi, że metropolii krakowskiej przypada kapelusze kardynalski. Metropolita Sapieha od pierwszych powojennych miesięcy skupiał wokół siebie najpoważniejsze w Krakowie grono intelektualistów. Na spotkaniach w kurii bywali znakomici profesorowie UJ i członkowie PAU, m.in. Stanisław Kutrzeba, Władysław Konopczyński, Franciszek Bujak, Jan Dąbrowski, Artur Górski, Roman Ingarden, Julian Kleiner, ks. Konstanty Michalski, Andrzej Mycielski, Stanisław Pigoń, Zdzisław Jachimecki, Kazimierz Piwarski, Eugeniusz Romer, Władysław Szafer, Stefan Szuman, Władysław Dobrowolski, Roman Dyboski, Henryk Szarski. Gdyby w tym gronie ludzi przejętych sprawą polskiej racji stanu i życia duchowego Polaków szukać reprezentowanych przez nich sympatii politycznych, znaleźlibyśmy nie tylko chadeków i endeków oraz ludowców, ale także socjalistów. Obok elity profesorskiej do tego kręgu należała również spora grupa młodych publicystów z temperamentem politycznym, którzy szczególnie głęboko i krytycznie przeżyli tragedię powstania warszawskiego, a wśród nich Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Kisielewski, Paweł Jasienica, Antoni Gołubiew, Aleksander Bocheński, Wojciech Kętrzyński, Dominik Horodyński. Z perspektywy lat nie można nie zauważyć, że opiece metropolity Sapiehy zawdzięcza swą niezwykle formację intelektualną wyświęcony na kapłana w 1946 i po tym wysłany na dalsze studia do Rzymu Karol Wojtyła, w czasie okupacji aktor i robotnik, alumn tajnego seminarium duchownego w pałacu arcybiskupim, aktywny uczestnik kulturalnej konspiracji, bliski działaczom podziemnej – katolicko-narodowej Unii – Tadeuszowi Kudlińskiemu i Jerzemu Braunowi.

Główną troską metropolity Sapiehy i skupionego wokół niego środowiska było znalezienie dla Polski najlepszej pokojowej drogi rozwoju w powojennym świecie, ratowanie zagrożonej biologicznej substancji narodu i jego siły duchowej związanej z katolicyzmem, zapobieżenie wojnie domowej i dalszemu wyniszczaniu patriotycznej młodzieży, bezpieczne wyprowadzenie jej z lasu i pod-

ziemia, odbudowa narodowej gospodarki w nowych granicach państwowych, obrona państwowej suwerenności Polski na drodze porozumienia ze zwycięskimi mocarstwami i między innymi trudnego uznania jałtańskiego kompromisu.

Metropolita odmówił bezpośredniego poparcia Krajowej Rady Narodowej, ale skierował do niej najbliższego sobie prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, prof. Stanisława Kutrzebę, a także polecił mu uczestnictwo w tworzeniu w Moskwie przez pełnomocników mocarstw zaprzyjaźnionych Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, co było przecież równoznaczne z cofnięciem międzynarodowego uznania rządowi w Londynie i legitymizacją w oczach społeczeństwa władzy zdominowanej przez PPR, uzależnionej od Związku Radzieckiego.

Wielkim dziełem metropolity Sapiehy było utworzenie już w marcu 1945 r. katolickiego pisma społeczno-kulturalnego „Tygodnik Powszechny”, które stało się najważniejszym ośrodkiem niezależnej myśli kształtującym otwarte katolickie poglądy i postawy dużej części polskiej inteligencji, łączące ją z europejską myślą katolicką o tendencji ekumenicznej. „Tygodnik Powszechny” kierowany był w pierwszych tygodniach przez bliskiego metropolicie ks. Jana Piwowarczyka, socjologa i działacza społecznego, przed wojną związanego z chadecją, więźnia gestapo, po wojnie wykładowcę UJ i działacza Stronnictwa Pracy. Wkrótce zaś naczelnym redaktorem został na lat kilkadziesiąt Jerzy Turowicz, wszechstronnie wykształcony humanista, historyk, przed wojną młody działacz katolicki i dziennikarz związany z krakowskim środowiskiem kulturalnym. Na łamach „Tygodnika Powszechnego” pisywali niemal wszyscy intelektualiści skupieni wokół arcybiskupa Sapiehy poszukujący dróg urzeczywistnienia polskiej racji stanu w powiązaniu z katolicyzmem i postawami obywatelskimi, w zdecydowanym oporze przeciw przejawom sowietyzacji i barbaryzacji polskiej polityki, życia publicznego i moralności. „Tygodnik” i jego zespół stał się ośrodkiem, wokół którego organizowały się inicjatywy intelektualne, wydawnicze, a także polityczne kształtujące legalną opozycję wobec władzy polskiego stalinizmu.

Metropolita Sapieha wykorzystując swój autoritet społeczny i niezależną pozycję wobec władzy, która musiała z nim się liczyć, tworzył i wspierał ważne instytucje pomocy społecznej, np. powołany w sierpniu 1945 r. Caritas, ale także odważnie i publicznie sprzeciwiał się narastającym przejawom bezprawia ze strony władzy i zdominowanych przez stalinowców jej organów przemocy. W czerwcu 1946 r. napisał wraz z profesorami Stanisławem Kutrzebą i Tadeuszem Lehrem-Spławińskim list do Bolesława Bieruta sprzeciwiający się aresztowaniu byłych żołnierzy AK, brutalnym śledztwom i wywożeniu więźniów do Związku Radzieckiego, a w kwietniu 1951 – niedługo przed swą śmiercią – skutecznie interweniował u prezydenta RP Bolesława Bieruta przeciw bezprawnym wysiedleniom mieszkańców Krakowa wywodzących się ze środowisk dawnych ziemian i właścicieli przedsiębiorstw.

Można powiedzieć, że reprezentował postawę nadziei i kompromisu na gruncie prawa aż do czasu jawnego zwycięstwa zimnowojennego stalinizmu w PPR i władzach Polski Ludowej. Dlatego też sprzeciwiał się nadmiernemu kompromisowi politycznemu, który w 1950 r. przewodził polskiego Episkopatu, prymas

Stefan Wyszyński zawarł z władzą w oficjalnym porozumieniu państwo-Kościół (trzeba jednocześnie pamiętać, że metropolita Sapieha był także przeciwnikiem koncordatu zawartego w 1925 r. między państwem polskim a Stolicą Apostolską).

Nie ulega wątpliwości, że działalność metropolity Adama Stefana Sapiehy i skupionego wokół niego środowiska przyczyniła się w zasadniczej mierze do spokoju społecznego i niezwykłego rozwoju życia kulturalnego w powojennym Krakowie, a także utrudniła i opóźniła dominację komunistycznego, rewolucyjnego bezprawia i sowietyzacji. Środowisko „Tygodnika Powszechnego” było ważną częścią społeczeństwa obywatelskiego Krakowa i całej Polski, ale było też częścią systemu władzy; stanowiąc legalną opozycję legitymizowało tę władzę w oczach Polaków.

Innym środowiskiem, działającym z odmiennych pobudek ideowych, ale prowadzącym do podobnych skutków w obronie polskiej racji stanu była niezwykle aktywna organizacja krakowskich socjalistów stojąca od dziesięcioleci na gruncie zasad niepodległości, demokracji i socjalizmu, a w okresie powojennym stanowiąca ważną część systemu nowej władzy. Szczególnie w krakowskim podziemiu niepodległościowym odgrywali socjaliści (obok narodowców) najważniejszą i najaktywniejszą rolę w działalności wojskowej i cywilnej, już od września 1939 r.

Jako siła zorganizowana w partię noszącą w okresie okupacji nazwę Wolność, Równość, Niepodległość (WRN), opowiadającą się za utworzeniem w wyzwolonej Polsce systemu demokratycznego, urzeczywistniającego wartości zawarte w nazwie partii, socjaliści w Krakowie byli najlepiej przygotowani do organizowania społeczeństwa wobec nowego systemu władzy. Nie byli jednak partią jednolitą. WRN stanowiła ważną część tzw. obozu londyńskiego i dopiero uznanie przez władze polskiego państwa podziemnego decyzji jałtańskich dało tej partii asumpt do oficjalnego ujawnienia się. W Krakowie znalazł się Zygmunt Żuławski, przewodniczący WRN, w czasie wojny ukrywający się w okolicach Krakowa. Natychmiast po wyzwoleniu inicjatywę odbudowy struktur PPS przejął przybyły przez Lublin z zestania w ZSRR Bolesław Drobner, działacz socjalistyczny, zawsze niezależny od głównego nurtu partii. Po powstaniu warszawskim znalazła się w Krakowie również spora grupa działaczy okupacyjnej socjalistycznej lewicy związanej z Krajową Radą Narodową.

Jednakże główną inicjatywę w odbudowie partii, jej wewnętrznej konsolidacji i w zajęciu ważnego miejsca w nowo powstającym systemie władzy odegrała grupa byłych WRN-owców skupiona wokół Józefa Cyran-kiewicza, w pierwszych latach okupacji rzeczywistego przywódcy krakowskich socjalistów, organizatora oddziałów zbrojnych i niezwykle skutecznego konspiratora w cywilnych strukturach państwa podziemnego. Aresztowany w 1941 r. i osadzony w obozie koncentracyjnym Auschwitz, został tam organizatorem i liderem międzynarodowego ruchu oporu łączącego szczególnie socjalistów i komunistów. Po wyzwoleniu obozu powrócił do Krakowa otoczony gronem bardzo zdolnych i aktywnych działaczy inteligentkich i robotniczych (Lucjan Motyka, Włodzimierz Reczek i inni), aby wkrótce przenieść się do Warszawy na stanowisko sekretarza generalnego odrodzonej PPS, utrzymując zarazem

decydujący wpływ na bieg spraw krakowskich. Jego opiece zawdzięczali możliwość aktywnego i niezagrożonego przez długie lata działania w kulturze twórcy tej miary co Kazimierz Wyka, Karol Estreicher, Marian Eile i bardzo wielu innych.

Założeniem PPS było budowanie państwa polskiego w nowych granicach, pozostającego w bardzo bliskich stosunkach ze zwycięskimi mocarstwami alianckimi, wśród których Związek Radziecki jako sąsiad Polski i jej wyzwoliciel od ludobójczej okupacji był przez te właśnie mocarstwa uznany za państwo dominujące w Europie Wschodniej i Środkowej. Przyzwolenie na uzależnienie polskiej polityki międzynarodowej od radzieckiej dominacji nie oznaczało zgody PPS na uznanie sowieckich wpływów i wzorów w kształtowaniu systemu ustrojowego i gospodarczego Polski Ludowej.

Budowane przez PPS państwo miało być wielopartyjną demokracją parlamentarną stojącą na gruncie konstytucji z 1921 roku, państwem, które przeprowadzi bardzo głębokie reformy gospodarcze i społeczne zwiększające siłę etatyzmu i polityczną rolę warstw pracujących. Przewidywano zarazem niekwestionowane w ówczesnej Europie ograniczenia praw demokratycznych w stosunku do winowajców kłeski w 1939 r., zwolenników idei i ugrupowań faszystujących, kolaborantów.

Niewątpliwym naruszeniem demokracji już w punkcie wyjścia było niedopuszczenie przez PPR, PPS i PSL do legalizacji wychodzącego z podziemia Stronnictwa Narodowego i jego udziału w systemie partyjnym Polski Ludowej.

* * *

Młoda administracja, podległa nowej władzy miejskiej i warszawskiemu rządowi nie ma więc trudności w egzekwowaniu swych uprawnień, które są powszechnie respektowane. Nie oznacza to opanowania przez kogokolwiek przejawów żywiołu i anarchicznej przemocy występujących tam, gdzie do głosu dochodzi masowa frustracja, zwłaszcza że trwa konflikt sił politycznych i zbrojnych nowej władzy z podziemiem nie uznającym porozumień jałtańskich za trwałe i oczekującym, że światowy konflikt Zachodu ze Wschodem przybierze charakter wojny Stanów Zjednoczonych i Anglii ze Związkiem Radzieckim.

Żywiołowym przejawem powojennej demoralizacji, a także słabości sił politycznych stał się w sierpniu 1945 r. pogrom Żydów na Kazimierzu. W antysemitycznym tłumie wzięło udział ponad tysiąc uczestników, w tym także mający przywrócić porządek pojedynczy ludzie w mundurach milicyjnych i żołnierskich, a nawet ratujący rannych pracownicy służby zdrowia. Bezpośrednią przyczyną ataku na modlących się w synagodze i na dom, w którym zamieszkał wędrujący przez Kraków Żydzi ocaleni z Zagłady, była plotka o porwaniu polskiego dziecka „na macę”. Atmosfera pogromowa narastała jednak od dłuższego czasu, zarówno wskutek obawy zdemoralizowanych przez wojnę i okrucieństwa Zagłady mętów społecznych, (zwłaszcza tych, które wzbogaciły się na pożydowskim mieniu i mieszkaniach), że wracający będą odbierać swoją własność, jak i wskutek odnowionego w powojennej rzeczywistości mitu żydokomuny głoszącego, że Żydzi – komuniści stanowią trzon narzuczonego przez Sowietów aparatu władzy, a zwłaszcza organów terroru i propagandy.

Pogrom na Kazimierzu, trwający krótko, ale zakończony kilku ofiarami śmiertelnymi, spotkał się z ograniczoną reakcją opinii publicznej. W szybkim procesie sądowym oskarżono 25 aresztowanych uczestników haniebnych zająć. W prasie katolickiej jako siłą sprawczą pogromu wskazywano wojenną demoralizację, dopatrywano się także prowokacji niemieckiej, w prasie reżimowej mówiono o prowokacji prawicowych, antysemitycznych sił podziemia, a prasie podziemnej o prowokacji NKWD. Co jednak najbardziej charakterystyczne – wszyscy natychmiast i na 50 lat o tych wydarzeniach zamilkli, skazując je na zapomnienie.

Pogrom na Kazimierzu, a rok później o wiele potężniejszy i bardziej okrutny pogrom kielecki zaważył na próbach powojennej odbudowy życia niewielkiej społeczności polskich Żydów ocalałych z Zagłady. Po wojnie w Krakowie odnalazło się ok. 7 tysięcy Żydów uratowanych z obozów śmierci, przechowywanych „po aryjskiej stronie”, a przede wszystkim ocalałych w Związku Radzieckim; wśród nich było zaledwie 2 tysiące przedwojennych Żydów krakowskich. Naznaczona strasliwymi przejściami społeczność usiłowała odbudować swe życie biologiczne, zawodowe, kulturalne i religijne na wielkim cmentarzu polskich Żydów. Po wydarzeniach lat 1945-1946 większość ocalałych emigrowała.

Niezwykle cenny dla potomnych, a wciąż mało znany okazuje się dorobek Żydowskiej Wojewódzkiej Komisji Historycznej animowanej przez krakowskiego socjalistę, więźnia janowskiego obozu zagłady, a potem bohaterskiego partyzanta Michała Borwicza (Maksymiliana Boruchowicza). Ta komisja zbierała dokumenty Zagłady, zeznania i wspomnienia ocalałych, publikowała opracowania żydowskiego ruchu oporu w gettach i obozach oraz organizacji pomocy Żydom. Michał Borwicz w 1947 r. osiadł w Paryżu i tam kontynuował swą działalność naukowo-historyczną

Silne cechy żywiołowości nosiła także w 1946 roku wielka manifestacja 3-Majowa, która przekształciła się w starcie władzy z wielotysięcznym tłumem na Rynku Głównym i przyległych ulicach. Rok wcześniej pierwsze po wojnie wolne i uroczyste obchody święta Trzeciego Maja połączone były z mszą w kościele Mariackim i spokojnym choć entuzjastycznym pochodem wielkiej kolumny, głównie młodzieży, na Wawel. W 1946 r. władze obawiały się, że manifestacja może, w przeciwieństwie do niezbyt licznie frekwentowanych, a oficjalnie organizowanych manifestacji święta robotniczego – 1 Maja, przybrać charakter masowego poparcia nie tylko dla narodowych tradycji, lecz przede wszystkim dla opozycyjnego PSL, szczególnie w związku z ogłoszonym na czerwiec tego roku referendum będzie stanowić próbę sił politycznych. Usiłowały więc ograniczyć program obchodów do uroczystego nabożeństwa w kościele Mariackim i akademii w Teatrze im. Słowackiego.

Tymczasem na nabożeństwo do kościoła maszerowały wielkie pochody szkół, zakładów pracy, harcerzy, organizacji studenckich i innych z orkiestrami i sztandarami, zapelniając Rynek Główny. Funkcjonariusze UB usiłowali zatrzymać manifestujące kolumny i ich przywódców, co spowodowało, że Rynek i przyległe ulice stały się po zakończeniu nabożeństwa miejscem rosnących w liczbę pochodów i manifestacji wznoszących okrzyki szczególnie na cześć wicepremiera Mikołajczyka i kardynała Sapiehy. A z usytuowanej w Rynku sie-

dziwy komitetów wojewódzkiego i miejskiego PPR padły w kierunku manifestantów strzały, było kilku rannych.

Żywiołowo przemierzające się po centrum Krakowa pochody były zatrzymywane i rozpraszane przez milicjantów i żołnierzy KBW oraz cywilnych funkcjonariuszy. W końcu manifestację, w której uczestniczyło zapewne w sumie kilkanaście tysięcy osób, rozproszone i przystąpiono do aresztowań, przede wszystkim w otoczonym zbrojnym kordonem II Domu Akademickim. Aresztowano około 800 osób, z których większość wkrótce zwolniono. W lipcu postawiono przed sądem 12 osób; trzy uniewinniono, a pozostałych skazano na kary do 5 lat więzienia – wszystkich zwolniono już w 1946 lub z początkiem 1947 r. Manifestacjom towarzyszył parodniowy strajk absencyjny na uczelniach i solidarnościowy strajk uczniów w kilku gimnazjach, zakończony bez represji.

Aparat władzy użył przemocy i terroru ostentacyjnie i na skalę masową nie tylko w stosunku do swego jednoznacznie przeciwnika, który prowadził podziemną walkę zbrojną i propagandową, lecz dla zastraszenia dużych grup młodzieży i społeczeństwa. Oznaczało to zmianę w stosunkach władza-społeczeństwo, ujawnienie prawdziwego oblicza polskiego stalinizmu i złą wróżbę wobec nadziei związanych z gwarancjami aliantów dla demokratycznych wyborów do parlamentu.

Wydarzenia 3 maja 1946 r. i ich zaskakujący przebieg wywołały duże zamieszanie wewnątrz partii krakowskiej lewicy, zaostrezenie sporów między nimi, a także publiczne oskarżenia na forum miejskiej władzy samorządowej. Bezwzględny zakaz organizowania pochodów i manifestacji dotarł do władz krakowskich 2 maja wieczorem z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Decyzją krakowskiego szefostwa tych organów zastosowano masowo środki przemocy. Wywołany przez nie wstrząs społeczny na krótko przed polityczną próbą sił w referendum wzmocnił wyraźnie PSL, którego działacze na forum publicznym oskarżali władze o naruszenie narodowego zwyczaju i brutalność postępowania. Działacze PPS, a przede wszystkim Bolesław Drobner, domagali się wyciągnięcia odpowiedzialności. Kierownictwo Komitetu Wojewódzkiego PPR oskarżało niektórych działaczy Komitetu Miejskiego o prowokacyjne zachowanie wobec manifestacji przechodzącej przed budynkiem tegoż komitetu w Rynku Głównym, a przede wszystkim krytykowali działania szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, mjr. Jana Bieleckiego-Freya, który w samochodzie opancerzonym osobiście atakował tłum i rozkazał strzelać w powietrze. Sprawa zakończyła się jednak bez konsekwencji, a wypuszczenie olbrzymiej większości zatrzymanych oraz przebieg postępowania sądowego były dowodem chęci zatarcia społecznych konsekwencji tych wydarzeń.

Faktem jest, że silnie scentralizowana działalność służb bezpieczeństwa podlegała, zwłaszcza na szczeblu najwyższym, kierunkowym poleceniom władz PPR, jednakże pozostawała pod najściślejszą kontrolą doradców z NKWD i była infiltrowana przez wysokich funkcjonariuszy bezpośrednio powiązanych z NKWD. W związku z tym owa służba prowadziła bardzo samodzielną działalność terenową, nie tylko walcząc z niepodległościowym podziemiem. Zajmowała się „rozpracowaniem” kadr kierowniczych – w tym i PPR – na wszystkich szczeblach i wpływaniem na politykę perso-

nalną w instytucjach państwowych i samorządowych. Wykazywała więc stale tendencje do uniezależnienia się od władz partyjnych, które jednak metodą politycznych ocen i oskarżeń wpływały na skład kadr kierowniczych w bezpieczeństwie, rekrutowanych przede wszystkim z przedwojennych komunistów przybyłych po wojnie ze Związku Radzieckiego i tam przeszkolonych, a częściowo z żołnierzy Armii Ludowej. W początkowym okresie w tym ostatnim środowisku, związanym politycznie z gomułkowskim nurtem w PPR, zaznaczała się chęć rozładowania konfliktów z podziemiem postakowskim, które kończyło działalność zbrojną i wychodziło z lasu.

Brak jednak opracowań na temat sytuacji politycznej w krakowskiej bezpiece okresu bezpośrednio powojennego, stosunków między władzami partyjnymi a kierowniczą kadrą WUBP. Jest rzeczą ciekawą, że mjr Jan Frey Bielecki, od kwietnia 1945 do października 1946 r. szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Krakowie, wywodzący się z szeregów Armii Ludowej, a przed wojną student politechniki, był w październiku 1956 r. jako generał i dowódca polskiego lotnictwa zaangażowany w demokratyczne zmiany polityczne, i wszedł w konflikt z generałami radzieckimi.

O wyborze przez społeczeństwo drogi rozwoju odbudowywanego państwa i jego systemu miały decydować w opinii wszystkich – poza PPR – partii politycznych i zgodnie z powszechnymi nadziejami wolne wybory parlamentarne, obiecane na konferencjach jałtańskiej i poczdamskiej. Partie zgodziły się, aby wybory poprzedzić powszechnym referendum w dniu 30 czerwca 1946 r., którego wynik miał określić wolę społeczeństwa w sprawach: 1. kształtu systemu parlamentarnego; 2. struktury własności w gospodarce; 3. zachodnich granic Polski. PPS uważała, że do podjęcia tak fundamentalnych decyzji potrzebne jest wspólne stanowisko wszystkich partii politycznych, zapewniające pokój wewnętrzny i umacniające pozycję polityczną Polski wobec świata zewnętrznego. Jednakże Polskie Stronnictwo Ludowe, kierowane przez niedawnego premiera rządu emigracyjnego Stanisława Mikołajczyka uznało, że oznaczałoby to poddanie się nasilającemu się wciąż dyktatowi PPR i przystąpiło do referendum (którego pomysł wyszedł od Mikołajczyka właśnie) z samodzielnym stanowiskiem wzywającym do głosowania **raz nie i dwa razy tak** w miejsce głoszonego przez pozostałe partie **trzy razy tak**.

Polityczne i zbrojne ugrupowania podziemia w większości wzywały do głosowania **dwa razy nie i raz tak**, choć były i takie, które uznawały, że głosowanie **3 razy nie** będzie świadectwem odmawiania nowej władzy jakichkolwiek pozorów legalności. Episkopat zajął wobec referendum stanowisko nader ostrożne, nieoficjalnie popierając PSL.

Oficjalne wyniki głosowania w referendum w Krakowie były zasadniczo odmienne od wyników ogólnopolskich. Na pytanie pierwsze 84 proc. głosujących krakowian odpowiedziało **nie**, na pytanie drugie było 72 proc. odpowiedzi **nie**, a na trzecie ponad 30 proc. **nie**. W ogóle 30 proc. głosujących odpowiedziało **trzy razy nie**, 15 proc. uprawnionych nie wzięło udziału w głosowaniu, a znaczny procent głosów uznano za nieważne, co pozwala stwierdzić, że nowa władza nie

uzyskała legitymizacji od co najmniej połowy krakowian. Ogłoszono, że całej Polsce w referendum uczestniczyło 90 proc. uprawnionych, którzy na pytanie pierwsze odpowiedzieli w 68 proc. **tak**, na drugie 77 proc. **tak** a na trzecie 91 proc. **tak**.

Referendum nie było dowodem zasadniczej odmienności politycznej postawy krakowian, lecz tego, że w Krakowie nie doszło do oszustwa wyborczego. W całej Polsce władza przy pomocy aparatu bezpieczeństwa, z bezpośrednim udziałem przybyłej z Moskwy grupy specjalistów z NKWD spreparowała wyniki wyborów poczynając od etapu ich przygotowania, poprzez funkcjonowanie komisji wyborczych aż do oszustw przy przewożeniu i podliczaniu kart do głosowania. W Krakowie, wskutek przede wszystkim postawy aktywu PPS, w komisjach wyborczych nie dopuszczono do izolacji przedstawicieli PSL i fałszerstw przy liczeniu głosów, i opublikowano lokalnie rzeczywisty wynik, uniemożliwiając dalsze manipulacje.

Referendum dało PPR i komunistyczno-stalinowskiemu nurtowi w jej szeregach oraz gronie kierowniczym czas na przygotowanie się do wciąż z nadzieją oczekiwanych przez społeczeństwo wyborów do sejmiku i do zniszczenia za pomocą terroru legalnej opozycji, którą reprezentowało PSL oraz mniej znaczne nurty w Stronnictwie Pracy, a także nurt WRN-owski w PPS.

Już we wrześniu 1946 r., aresztowano pod zarzutem współdziałania przy tworzeniu siatki szpiegowskiej działacza PSL cieszącego się w Krakowie po śmierci Wincentego Witosa (październik 1945) największym autorytetem – Stanisława Mierzwę, sekretarza generalnego partii (aresztowany przez NKWD, sądzony w Moskwie w grupie 16., po 4 miesiącach więzienia wrócił do kraju), a wraz z nim innych działaczy tej partii: prof. Karola Buczka, doc. Karola Starmacha, Mieczysława Kabata. Terror UB skierowany był także przeciw krakowskim działaczom PPS z nurtu WRN-owskiego – Stefanowi Rzeźnikowi i innym. Jest rzeczą znamioną, że PPS-owcy nie mieli żadnego wpływu na działalność organów bezpieczeństwa, nie było ich wśród pracowników tego aparatu, a jedyna próba wprowadzenia PPS-owca – Henryka Wachowicza na stanowisko wiceministra tego resortu w 1946 roku skończyła się po kilku miesiącach odwołaniem go pod pretekstem sprzyjania przeciwnikom władzy ludowej.

Wybory do sejmiku w lutym 1947 r. odbyły się w Krakowie, podobnie jak w całej Polsce, w atmosferze terroru wobec opozycji politycznej oraz brutalnej agitacji z elementami zastraszania wobec całego społeczeństwa. Ich wyniki były niepomysłne dla PSL. Charakterystyczne, że w Krakowie z listy PSL kandydował i został wybrany do Sejmu RP Zygmunt Żuławski. Trzeba stwierdzić, że wybrani w Krakowie kandydaci ze wszystkich list byli postaciami znanymi, reprezentowali wyróżniający się poziom intelektualny i legitymowali się zasługami w patriotycznych ruchach okresu wojny.

Rosnącemu naciskowi PPR podlegała ideowa i polityczna samodzielność PPS w całym kraju, choć krakowska organizacja, szczególnie Bolesław Drobner, stawiała tu największy opór. Osłabienie pozycji PPS wynikało w znacznej mierze ze zmian w sytuacji międzynarodowej i coraz pełniejszej dominacji sił stalinizmu w kierownictwie PPR.

Rok 1947 przyniósł bowiem początek „zimnej wojny” i przygotowań do zbrojnej konfrontacji między Zachodem i Wschodem. Narada partii komunistycznych i robotniczych w Szklarskiej Porębie we wrześniu 1947 r. i powołanie ich Biura Informacyjnego oznaczało wprowadzenie zasad „oblężonej twierdzy”, tzn. koniec kursu na różnorodność rozwojową krajów pod radziecką dominacją, wzmocnienie dyktatu Moskwy, przyspieszenie procesu wchłaniania partii socjalistycznych przez komunistyczne pod hasłem jedności robotniczego interesu i robotniczego ruchu. Samotny i odważny opór Władysława Gomułki, który bezpośrednio po wojnie zajmował stanowisko podobne do PPS-owskiej, rozwijanej przede wszystkim przez Juliana Hochfelda i Jana Strzeleckiego koncepcji polskiej drogi do socjalizmu i jeszcze w maju 1948 r. na plenum KC PPR głosił, że zjednoczona partia robotnicza powinna oprzeć się na niepodległościowym dorobku PPS i rewolucyjnych wartościach PPR, musiał skończyć się klęską. Zresztą już wtedy na biurku Stalina leżała obszerna analiza poglądów i działalności Gomułki, oskarżająca go o antyradzieckość, polski nacjonalizm, skłonność do kompromisów z ludźmi obozu londyńskiego, tendencje do utrwalenia w Polsce spokoju społecznego i trójsektorowej gospodarki. W tej sytuacji PPS, w tym także szczególnie zagrożona i atakowana organizacja krakowska, przeszła do zupełnej defensywy, stając się jedynie ratować swój aktyw przed przesładowaniami.

Aparat przemocy i komunistycznej propagandy głoszący uniwersalizm radzieckiego wzoru ustrojowego atakował i niszczył personalnie już nie tylko przeciwników z obozu londyńskiego, lecz i zwolenników polskiego modelu politycznego i kulturalnego w tzw. ustroju demokracji ludowej.

Jednakże klęska krakowskich środowisk inteligencji zaangażowanych w obronę polskiej racji stanu i polskiej kultury nie była całkowita. Nawet w najtrudniejszych latach agresji stalinizmu działały skutecznie, rozwijały się i powstawały nowe instytucje oświaty, nauki i kultury, często podejmując inicjatywy naukowe i kulturalne na niespotykaną nigdy przedtem skalę. Trzeba wskazać choćby powstały w 1951 r. wielki tygodnik społeczno-kulturalny „Życie Literackie” i powołane w 1953 r. Wydawnictwo Literackie.

Nie jest także rzeczą przypadku, że kiedy na fali wielkiego kryzysu politycznego w całym obozie radzieckim po śmierci Stalina w 1953 r. i wstrząsowo zapoczątkowanym na XX Zjeździe radzieckiej partii komunistycznej procesem destalinizacji nastąpiła w Polsce – po fali buntów robotniczych i inteligentkich roku 1956 – głęboka zmiana ustrojowa i powróciła idea polskiej drogi do socjalizmu, to w Krakowie, w którym, przemiany stały się najgłębsze, do władzy na 8 lat doszła grupa byłych PPS-owców z Lucjanem Motyką jako I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR na czele i prowadziła politykę daleko posuniętej liberalizacji, owocującą atmosferą społecznego spokoju, niezwyklego ożywienia środowisk inteligencji i młodzieży i eksplozją aktywności naukowej i kulturalnej.

Jednak od likwidacji odrębności PPS i równoczesnej rozprawy z tzw. gomułkowszczyzną w PPR oraz powstania PZPR rozpoczyna się – także w Krakowie

– okres gwałtownej stalinizacji życia publicznego, dominacji aparatu terroru i prymitywnej propagandy, ataku na polską tradycję kulturalną i apoteozy radzieckiego wzorca. Koncentracja wysiłków na budowie wielkiego kombinatu metalurgicznego wznoszonego w większości przez napływową ludność wiejską, i miasta Nowej Huty, które zresztą wkrótce zostało włączone jako dzielnica do Krakowa, naruszyło równowagę rozwojową miasta, doprowadziło do kryzysu w jego infrastrukturze i zaopatrzeniu, a po kilkunastu latach zagroziło katastrofą ekologiczną. Równocześnie przyniosło jednak nowy demograficzny i terytorialny skok rozwojowy i podniosło pozycję Krakowa w kraju, a także w kontaktach międzynarodowych. Stworzyło też eksplozywną substancję społeczną, która, wbrew oczekiwaniom twórców idei socjalistycznego, robotniczego miasta czy dzielnicy, zrodziła zastępy grabarzy tego systemu.

Jest rzeczą niewątpliwą, że po referendum 1946 r. a zwłaszcza przed wyborami roku 1947 UB w Krakowie przeszło od brutalnej walki i terroru wobec czynnego podziemia niepodległościowego, zbrojnego i cywilnego, a także nasilającego się rozpoznawania i infiltrowania środowiska krakowskiej kurii metropolitarnej do polityki pełnego kontrolowania i zastraszania wszystkich środowisk społecznych, co jest podstawowym składnikiem stalinowskiego totalitaryzmu.

Okres od przeprowadzonych w warunkach politycznego i propagandowego zastraszania całych środowisk społecznych i sfalszowanych wyborów do sejmu, na początku 1947 r., do policyjnego rozbicia PSL i rozprawienia się podobnymi metodami z socjaldemokratyczno-niepodległościowym nurtem PPS, pochłonięcia PPS przez PPR, z której równocześnie wyeliminowano nurt gomułkowski realizujący odrębną polską drogę do socjalizmu był ostatecznym sprawcą wielkiego rozczarowania Polaków do nowej władzy i tych sił międzynarodowych, które zdecydowały o legalizacji tej władzy, a zarazem jej uzależnieniu od Związku Radzieckiego.

Był to także okres, kiedy uległy likwidacji resztki zorganizowanego oporu podziemnego podejmującego z tą władzą walkę polityczną i zbrojną. Przyczynił się do tego nie tylko terror zbrojny i policyjno-sądowy, lecz także żywiołowe dążenie większości społeczeństwa do pokojowej odbudowy państwa w jego nowych granicach i zrozumienie beznadziejności stawki na konflikt między wielkimi mocarstwami, co przyniosłoby niebezpieczeństwo nowej wojny światowej, która musiałaby oznaczać biologiczną zagładę narodu polskiego. Dlatego ogromna większość społeczeństwa uznawała hasła odbudowy, rozwoju silnego przemysłu, rewolucji oświatowej i kulturalnej oraz awansu społecznego mas ludowych i obrony nowego kształtu państwa polskiego za słuszne i angażowała się w ich realizację. Oddalało to zarazem groźbę uczynienia Polski nową republiką Związku Radzieckiego, choć nie zapobiegało wasalizacji państwa polskiego.

Znalezienie najlepszego miejsca dla Polski w nowym międzynarodowym układzie sił i umacnianie tożsamości narodu w kulturze było więc najsukcesowniejszą drogą walki o Polskę i przeciw jej sowietyzacji. Kraków był głównym centrum takiego rozumienia polskiej racji stanu.

ANDRZEJ KURZ

ANDRZEJ KOZANECKI

Krakowscy naukowcy wobec problemu Ziem Zachodnich i Północnych (1942–1948)

Niniejszy referat traktuje głównie o zainteresowaniach ludzi krakowskiego środowiska nauki w okresie drugiej wojny światowej i bezpośrednio po jej zakończeniu problematyką polskich kresów zachodnich i północnych. Ze zrozumiałych względów ograniczono się w referacie do niektórych tylko zagadnień, pomijając np. opis warunków, w jakich w tamtych czasach przyszło żyć i działać uczynom.

Wiosną 1942 r. dr Antoni Wrzosek, geograf, krakowianin, w drugiej połowie lat trzydziestych XX w. wicedyrektor Instytutu Śląskiego w Katowicach, doprowadził do powstania w Krakowie trzyosobowego zespołu, który opracował memoriał dotyczący zasiedlenia terytoriów zachodnich, mogących po wojnie przypaść Polsce. Po dyskusji, szczególnie za sprawą Józefa Kokota, jako przyszłą linię graniczną przyjęto linię Nysy–Odry. Główna rola w opracowaniu memoriału przypadła dr. Rajmundowi Buławskiemu, prowadzącemu wówczas pod nadzorem niemieckim Miejskie Biuro Statystyczne (miało to duże znaczenie dla tego i innych przedsięwzięć badawczych ze względu na możliwość dostępu do niektórych niemieckich materiałów źródłowych). Memoriał przekazano władzom podziemnym w Warszawie. Z czasem krąg współdziałających ze sobą osób został poszerzony, m.in. o geografa Józefa Szaflarskiego, docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego i profesora tejże uczelni Stefana Schmidta, specjalistę z zakresu ekonomii i polityki rolnej. Dr Wrzosek przygotował obszerne studium geograficzno-ekonomiczne Śląska, które ukazało się drukiem w 1943 r. jako zeszyt wydawnictwa *Ziemie powracające. Obraz geograficzno-gospodarczy* (seria *Biblioteka Ziem Zachodnich* drukowana przez Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze w Warszawie)¹. Było to opracowanie pionierskie w polskiej literaturze geograficznej. Podjęte dalsze badania skutkowały już w pierwszych miesiącach 1945 r. m.in. ważnymi publikacjami Wrzoska i Szaflarskiego.

Część tych dokonań wiązała się z działalnością konspiracyjną znanego historyka poznańskiego prof. Zygmunta Wojciechowskiego, a przez niego i inne kontakty – z działalnością ogólnopolskiej organizacji „Ojczyzna” (Wojciechowski był w jej władzach w Warszawie, kierował tam też Studium Zachodnim „Ojczyzny”)².

Własne prace studialne – przy pomocy niektórych pracowników Biblioteki Jagiellońskiej (od 1941 r. Staatsbibliothek) – prowadził geograf dr Stanisław Leszczycki. Udało się zgromadzić bogatą bazę źródłową dotyczącą wschodnich obszarów Niemiec. Pod koniec 1944 r. kontakty środowiska geograficznego – ukierunkowane na przygotowanie twardej argumentacji przemawiającej za rozszerzeniem polskiego obszaru państwowego na zachód i północ oraz na zagospodarowanie nowych ziem – uległy intensyfikacji. Przyczyniło się do tego przbycie wielkiej postaci polskiej kartografii i geografii Eugeniusza Romera, uczonego lwowskiego, który do Krakowa trafił przez Warszawę, po upadku powstania³.

Wcześniej ukształtował się krąg osób skupionych wokół prof. Kazimierza Dobrowolskiego i doc. Kazimierza Piwarskiego, w którym byli także m.in. Stanisław Witold Dobrowolski, dr Stanisław Leszczycki, dr Bronisław

¹ *Ziemie powracające. Obraz geograficzno-gospodarczy*, z. 3; A. Wrzosek, *Śląsk*, Warszawa 1943.

² Szerzej zob. A. Wrzosek, *Przyczynek do genezy „Rady Naukowej dla Zagadnień Ziem Odzyskanych” (ze wspomnień z lat 1939–1947)*, „Studia Śląskie”. Seria nowa, t. 32, 1977, s. 28–32; A. Kozanecki, *Niektóre inicjatywy dotyczące ziem postulowanych zrealizowane w Krakowie (1942–1945)*, [w:] *Studia z historii Polski XIX i XX wieku ofiarowane Profesorowi Józefowi Buszce w pięćdziesięciolecie doktoratu*, pod red. I. Paczyńskiej, Kraków 1999, s. 284–289; B. Kortus, *Profesor Antoni Wrzosek – uczyony i pedagog*, [w:] *Antoni Wrzosek 1908–1983. Materiały z posiedzenia naukowego PAU w dniu 14 listopada 2003 r.*, Kraków 2008, s. 12–14.

³ S. Leszczycki, *Geografia w Krakowie w okresie okupacji 1939–1945*, „Przegląd Geograficzny” t. 19: 1939/1945, wyd. 1945–1946, s. 114; tenże, *Początek 1945. Ze wspomnień eksperta*, „Nauka Polska” 1985, nr 6, s. 59, 63.

Oyrzanowski, Włodzimierz Reczek, Leszek Staronka, Jan Topiński, doc. Witold Trąmpczyński. Prowadzone w tym gronie dyskusje zachęciły prof. Dobrowolskiego do opracowania broszury *Zagadnienia przyszłego państwa polskiego* (czerwiec 1944) wskazującej na konieczność głębokiej reorientacji polskiej polityki zagranicznej i powrotu do piastowskiej koncepcji kształtu terytorialnego państwa⁴.

Mimo trudnych warunków kontynuowano i podejmowano prace historyczne ważne dla oświetlenia stosunków polsko-niemieckich i problematyki bałtyckiej, np. doc. K. Piwarski pracował nad dziejami Prus Wschodnich⁵ i Gdańska, prof. Władysław Konopczyński nad kwestią bałtycką do XX w., a doc. Kazimierz Lepsiy nad dziejami floty polskiej (skutkowało to drukiem książek w latach 1946–1947)⁶. Rezultatem badań dr. Mariana Friedberga była dwutomowa książka wydana wkrótce po wojnie *Kultura polska a niemiecka. Elementy rodzime a wpływy niemieckie w ustroju i kulturze Polski średniowiecznej* (Poznań 1946), która miała przynieść mu habilitację i wysoką godność członka korespondenta PAU. Bogusław Leśniorski przygotował rozprawę *Prawno-polityczny stosunek Warmii do Polski*. W warunkach okupacji powstała ważna praca Tadeusza Lehra-Spławińskiego *O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian* (wydana w 1946 r. w Poznaniu).

To tylko część przykładów wskazujących na aktywne podejmowanie ważnych z punktu widzenia interesów Polski problemów badawczych. Dodajmy, że na przełomie 1943 i 1944 r. ukształtował się w Krakowie tajny ośrodek historyczny, powstały w porozumieniu z prof. Stanisławem Kutrzebą kierującym tajną działalnością PAU. Trzon zespołu stanowili docenci Henryk Barycz, Karol Buczek, Władysław Czapliński, Kazimierz Piwarski, dr Marian Friedberg⁷.

Istotne były podjęte przez Andrzeja Bolewskiego, przed wojną docenta Akademii Górniczej, studia nad zagadnieniami geologicznymi i gospodarczymi pogranicza polsko-niemieckiego. Praca zarobkowa w Zakładzie Badań Materiałów umożliwiła mu częste wyjazdy na Górną i Dolną Śląsk. W oparciu o zgromadzone materiały – na polecenie prof. Walerego Goetla, swojego przedwojennego rektora, wspólnie z Hubertem Grusz-

czykiem opracował memoriał *Surowce mineralne niemieckiej części ziem śląskich*⁸.

W nowej sytuacji powstałej zimą 1945 r. te różne inicjatywy skutkowały włączaniem się licznych pracowników nauki w działalność na rzecz przejmowania przez Polskę ziem nad Odrą i Nysą Łużycką i popularyzowania tej sprawy w społeczeństwie.

Świadectw zaangażowania reprezentantów różnych dyscyplin naukowych w problematykę nowych kresów zachodnich, przekonania o konieczności podejmowania nowych wyzwań i zadań społecznych jest wiele. W tekście napisanym jeszcze w 1944 r., bezpośrednio pod wpływem klęski powstania warszawskiego, ale ogłoszonym u progu 1946 r. Henryk Barycz charakteryzował zadania historiografii: „Pogłębieniu muszą ulec już zaznaczające się w poprzednim okresie [w dwudziestolecie międzywojennym – A.K.] problemy związane z przeszłością ziem zachodnich: dzieje Śląska, Pomorza, sprawy bałtyckie, które w pierwszym rządzie staną się przedmiotem zainteresowania historyków polskich. Przesunięcie ośrodka państwa z nad Wisły nad Wartę, oparcie granic zachodnich o Odrę, Nysę Łużycką, trwałe oparcie na północy o Bałtyk – winny przynieść nawrót do badań i rozważań nad podstawami i rozwojem państwa piastowskiego. W dalszym rzucie nawrót do geograficzno-politycznej koncepcji Polski piastowskiej pociągnie za sobą konieczność przeprowadzenia zasadniczej rewizji naszych dziejów”⁹.

Kazimierz Piwarski także w 1946 r. wskazywał, że w historiografii tak polskiej jak i niemieckiej brak opracowań dotyczących nowszych dziejów Śląska i zgłaszał konkretne postulaty. Władysław Konopczyński pisał: „Odrzekać musimy z zapomnienia i spod sztucznego niemieckiego kulturalnego zalewu odzyskane nasza Ziemia Zachodnie. Jest to zadanie przede wszystkim mediewistów, ale jeśli chodzi o Śląsk to i nowożytnicy znajdują dużo do powiedzenia na temat walki o byt żywiołu polskiego z niemiecką – o byt gospodarczy, o wiarę i język”¹⁰.

W czasie konferencji zorganizowanej we Wrocławiu w 1946 r. przez Instytut Śląski, Antoni Wrzosek scharakteryzował najpilniejsze zadania nauk geograficznych co prawda w odniesieniu do Śląska, ale niewątpliwie o szerszym znaczeniu. Stwierdził m.in., że „obszar tak ważny dla życia państwa musi być dobrze zbadany, geografia musi dać czynnikom rządowym szczegółowy obraz zasobów, wartości i możliwości, jakie się wiążą z najlepszym wyzyskaniem tego terenu, społeczeństwo zaznajomić i pouczyć o znaczeniu ziemi śląskiej dla całego kraju”¹¹. Mimo młodego wieku Wrzosek był niezwykle kompetentny w tych kwestiach, przypominę, że już w 1936 r. ogłosił pracę *Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie geografii*¹². W „Przeglądzie Zachodnim”, „Życiu Nauki”, „Nauce i Sztuce” i innych czasopismach podobnych wypowiedzi do cytowanych

⁴ W.S. Dobrowolski, *Memuary pacyfisty*, Kraków 1989, s. 245–250; S. Leszczycki, *Działalność podczas okupacji*, [w:] *Polska Partia Socjalistyczna w latach wojny i okupacji 1939–1945. Księga wspomnień*, t. 1, Warszawa 1994, s. 646; W. Reczek, *Socjaliści krakowscy w czarnych dniach okupacji*, tamże, t. 2, Warszawa 1995, s. 178–179; I. Paczyńska, *Leszek Marek Maria Staronka (1911–1945) – działacz oświatowy i społeczny*, „Studia Historyczne” 2004, z. 3–4, s. 394–395. Wspomnianą broszurę K. Dobrowolskiego przypomniał Wiesław Bieńkowski, podając ją do druku z pewnymi skrótami w „Studiach Historycznych” 1983, z. 1, s. 126–139.

⁵ Warto przypomnieć, że spośród uwięzionych 6 listopada 1939 r. uczonych krakowskich Kazimierz Piwarski – właśnie za badania nad dziejami Prus – był najdłużej przetrzymywany w obozie niemieckim w Dachau.

⁶ K. Piwarski, *Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych*, Gdańsk 1946; tenże, *Dzieje Gdańska w zarysie*, Gdańsk 1946; W. Konopczyński, *Kwestia bałtycka do XX w.*, Gdańsk 1947; K. Lepsiy, *Dzieje floty polskiej*, Gdańsk 1947.

⁷ Szerzej zob. W. Bieńkowski, *Kraków a Warmia i Mazury w XIX i XX wieku. Kontakty naukowe oraz związki kulturalne*, „Rocznik Olsztyński” 1975, s. 110; S. Gawęda, *Uniwersytet Jagielloński w okresie II wojny światowej 1939–1945*, wyd. 2, Kraków–Wrocław 1986, s. 198, 200–202, 207; J. Mitkowski, *Marian Friedberg (11 VI 1902–30 III 1969)*, „Studia Historyczne” 1969, z. 4, s. 654–655.

⁸ A. Bolewski, *Z drogi do Poczdamu*, wyd. 2, Kraków 1987, s. 69–73, 85 i in. Memoriał opublikował A. Bolewski w wymienionej książce, s. 290–303.

⁹ Cyt. za G. Strauchold, *Myśl zachodnia i jej realizacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1957*, Toruń 2003, s. 208.

¹⁰ Tamże, s. 209.

¹¹ Tamże, s. 258.

¹² „Pamiętnik Instytutu Śląskiego”, t. 1, Katowice 1936.

wyżej jest wiele. Autorów do ich formułowania nikt nie zmuszał.

Jedną z pierwszych decyzji podjętych przez władze uczelni w oswojonym od Niemców Krakowie, wiążącą się z przedstawianymi sprawami, było powołanie przez Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego 22 lutego 1945 r. komisji, której zadaniem było przygotowanie podstaw programowych i formalnych kursów przybliżających słuchaczom problematykę Ziemi Zachodnich i Północnych. Rzecznikiem tej sprawy w Senacie był prof. Stefan Schmidt, który też – obok profesorów Semkowicza, Romera i innych – został członkiem wspomnianej komisji. Przy współdziałaniu z władzami Akademii Górniczej postanowiono powołać jednostkę organizacyjną o nazwie Kurs Naukowo-Informacyjny o Ziemiach Zachodnich. Uzyskano dla niej akceptację i fundusze z Ministerstwa Oświaty, powołano komisję organizacyjną z rektorami obu uczelni na czele. Kierownikiem kursu został prof. Schmidt, zastępcą doc. Józef Szaflarski. W czasie od kwietnia do lipca zorganizowano zajęcia w dwóch turnusach, ukończyło je łącznie 250 osób. Część uczestników kursów jeszcze przed ich ukończeniem wyjechała na Ziemię Zachodnie¹³. Wykładowcami byli wybitni naukowcy i specjaliści, część wykładów ukazała się w formie broszur, wydanych przez Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Zachodniego w Krakowie (co najmniej 25 tytułów)¹⁴. Z wydawnictw tych obficie korzystała prasa krakowska. W latach następnych Uniwersytet i Akademia Górnicza organizowały kolejne takie kursy.

W różne formy popularyzacji problematyki Ziemi Zachodnich, ich zasiedlenia i zagospodarowywania włączyli się aktywnie przedstawiciele różnych grup inteligencji – naukowcy, pisarze, dziennikarze, nauczyciele, aktorzy i inni. Prasa krakowska, która chętnie zamieszczała również teksty twórców z innych ośrodków, dostarcza wiele tego przykładów. Nie będę tu cytował artykułów, wskażę tylko na niektórych autorów, np. naukowców jak Jan Czekanowski, Ludwik Górski, Stanisław Leszczycki, Tadeusz Milewski, Kazimierz Piwarski, Witold Taszycki, Józef Widajewicz, czy pisarzy i poetów jak Kazimierz Brandys, Maria Dąbrowska, Stefan Otwinowski, Juliusz Kydryński, Czesław Miłosz, Witold Zechenter.

Pośród publikacji prasowych zwracać musiały uwagę wieloaspektowe teksty – w tym Jerzego Turowicza¹⁵ – drukowane w „Tygodniku Powszechnym”.

¹³ J. Wrzosek-Matłowa, *Kursy informacyjne o Ziemiach Zachodnich Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej w latach 1945–48*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1989, nr 4, s. 923–939.

¹⁴ Dla przykładu wymienię: Rudolf Jamka, *Pradzieje Śląska*; dwie prace Józefa Widajewicza, *Słowianie Zachodni i Związki Pomorza Zachodniego z Polską*; Kazimierz Piwarski, *Zarys dziejów Śląska*; Jan Dąbrowski, *Ziemię Zachodnie jako terna ekspansji niemieckiej na wschód*; Eugeniusz Romer, *Duch Polski Zachodniej*.

¹⁵ Szczególnie interesujący wydaje się artykuł *Nowe ziemie* („Tygodnik Powszechny” 1945, nr 6 z 29 IV, s. 1–2), w którym Jerzy Turowicz bardzo głęboko uzasadnia przesunięcie granic Polski nad Nysę i Odrę. Nie lekceważąc argumentów historycznych i etnicznych dobitnie zwraca uwagę na inne aspekty problemu (ekonomiczne, ludnościowe, militarne, a zwłaszcza geopolityczne). Odwołuje się do doświadczeń Europy powersalskiej i doświadczeń ostatniej wojny, precyzuje stanowisko w kwestii transferu ludności. Jednym słowem ujmuje całe zagadnienie nie tylko z polskiego punktu widzenia, ale też europejskiego. Na wstępie artykułu akcentuje, że faktyczne przejmowanie przez Polaków ziem nadodrzańskich już się dokonuje, mimo trwającej jeszcze wojny.

Redakcja tego pisma z niezwykłą skrupulatnością odnotowywała liczne wydawnictwa dotyczące Ziemi Zachodnich i Północnych, w tym wzmiankowane wyżej broszury.

Poważny był udział Krakowa i jego środowisk twórczych w przejmowaniu przez państwo polskie Wrocławia, Dolnego Śląska i innych terenów. 14 marca 1945 r. dr Bolesław Drobner, znany krakowianin, przewodniczący Rady Naczelnej PPS powołany został na prezydenta Wrocławia (sam zainteresowany dowiedział się o tym 10 dni później). W skład jego grupy operacyjnej miały wejść osoby delegowane m.in. przez Uniwersytet Jagielloński (aż 17 osób), Akademię Górniczą, instytucje kulturalne. 4 kwietnia powołano ośmioosobowy komitet w celu sprawnego przygotowania ekipy organizacyjnej i załatwiania spraw związanych z wspieraniem procesu tworzenia administracji we Wrocławiu. Znaleźli się w nim rektor Walery Goetel i doc. Kazimierz Piwarski. W Krakowie utworzono także Grupę Operacyjną „Dolny Śląsk” Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów i Ministerstwa Przemysłu. Po wyjeździe Grupy na Śląsk, w Krakowie działała jej ekspozytura. Tworzono również inne grupy operacyjne („Śląsk Opolski”, „Pomorze Zachodnie”, „Warmia i Mazury”)¹⁶.

W czerwcu powstał w Krakowie Komitet Organizacyjny Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. W pierwszym posiedzeniu Komitetu brali udział profesorowie: Franciszek Bujak, Adolf Chyliński, Roman Ingarden, Edward Krenz, Zdzisław Stieber. Komitet działał w Krakowie do końca sierpnia kolejno pod przewodnictwem profesorów Ingardena, Taszyckiego i Kowalskiego. W pracach Komitetu uczestniczył prof. Karol Maleczyński reprezentujący Wrocławską Grupę Naukowo-Kulturalną. Trzeba nadmienić, że Uniwersytet Jagielloński wspierał technicznie i lokalowo ekspozyturę wymienionej Grupy Naukowo-Kulturalnej. W połowie maja wyjechała z Krakowa grupa operacyjna Akademii Górniczej z zamiarem uruchomienia politechniki we Wrocławiu. Akademia pomogła też w organizacji ekipy złożonej głównie z przedwojennych pracowników Politechniki Warszawskiej i skierowanej do Gdańska z myślą o odbudowie tamtejszej uczelni technicznej. Z UJ włączony został do niej chemik dr Julian Klimecki. Wyjeżdżali też inni pracownicy naukowcy – środowisko uniwersyteckie zasilili głównie wydziały Nauk Przyrodniczych i Humanistyczny Uniwersytetu Wrocławskiego¹⁷.

W tym miejscu warto dodać, że od czerwca do października pracowały w oparciu o lokale krakowskie i w dużej części miejscową kadrę wszystkie cztery wydziały Politechniki Śląskiej. Jej uroczysta inauguracja odbyła się 30 maja w auli Akademii Górniczej, a wykład inauguracyjny wygłosił przyszły prorektor tej Politechniki, prof. Akademii Górniczej, Izidor Stella-Sawicki¹⁸.

¹⁶ B. Drobner, *Zdobyliśmy Polskie Złote Runo!* [w:] *Trudne dni (Wrocław 1945 r. we wspomnieniach pionierów)*, t. 1, Wrocław 1960, s. 79–85; K. Kuligowski, *W ruinach*, tamże, s. 134 i in.; A. Bolewski, cyt., s. 125 i in.; P. Dziurzyński, *Akcja przesiedleńcza woj. krakowskiego na Ziemię Odzyskane w latach 1945–1948*, „Studia Historyczne” 1969, z. 3, s. 399–400; T.R. Praczyński, *Wkład Krakowa z zasiedlenie i zagospodarowywanie Ziemi Zachodnich i Północnych w roku 1945*, praca magisterska napisana pod kierunkiem I. Paczyńskiej, Uniwersytet Jagielloński, Kraków 2001, s. 4–9, 12.

¹⁷ T.R. Praczyński, cyt., s. 9.

¹⁸ Tamże, s. 10.

Poważny był udział ludzi krakowskiego środowiska nauki w pracach przygotowawczych do traktatu pokojowego z Niemcami, w pracach grona ekspertów Biura Prac Kongresowych przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w pracy delegacji polskiej podczas konferencji w Poczdamie, w powojennych rokowaniach granicznych, ustalaniu granic i ich delimitacji. Do pierwszych współpracowników wspomnianego Biura należeli prof. Walery Goetel, dr Stanisław Leszczyki (habilitowany w maju 1945 r.), doc. Kazimierz Piwarski, dr Stanisław Urbańczyk, a następnie doc. Andrzej Bolewski. W czerwcu 1945 r. powołano nawet w Krakowie Ekspozyturę Biura Prac Kongresowych (kierował nią Stanisław Leszczyki), co miało duże znaczenie w związku ze zbliżaniem się konferencji Wielkiej Trójki. W pracach delegacji polskiej na konferencję w Poczdamie uczestniczyli w charakterze ekspertów prof. Goetel oraz docenci Bolewski i Leszczyki. W tym czasie doc. Henryk Batowski, historyk i slawista przygotował projekt włączenia Łużyc do Polski¹⁹.

Z początkiem czerwca 1945 r. sukcesem uwieńczono zostały starania dr. Rajmunda Buławskiego wspierane przez kilka autorytetów naukowych. Na podstawie decyzji Ministerstwa Administracji Publicznej utworzono wówczas Biuro Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych (choć formalne podstawy jego działania uregulowane zostały dopiero zarządzeniem MAP z 19 lipca 1945 r.). Miała to być placówka naukowo-badawcza zajmująca się problemami związanymi z akcją osadniczo-przesiedleńczą. Do zadań BSOP należało zbieranie i opracowywanie materiałów statystycznych potrzebnych do realizacji tej akcji, występowanie z inicjatywą i projektami w zakresie polityki i prawodawstwa osadniczego, inne prace ściśle związane z zagadnieniami osadniczo-przesiedleńczymi. Dyrektorem Biura został Rajmund Buławski, a siedzibę znalazło ono przy pl. Szczepańskim 5²⁰.

Kraków znakomicie nadawał się do uruchomienia takiej placówki. Był wówczas największym skupiskiem ludzi nauki (m.in. zamieszkiwało tutaj sporo ludzi pracujących poprzednio w innych ośrodkach, zwłaszcza lwowskim), dysponował grupą osób zaangażowanych w badania związane z szeroko pojętą problematyką kresów zachodnich i niemcoznawczą, był ośrodkiem, który jako jedyny w kraju doznał tylko ograniczonych zniszczeń wojennych w zbiorach naukowych i obiektach.

W lipcu powołano Radę Naukową dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych przy Biurze Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych. Liczyła wówczas 61 osób. Najliczniej byli w niej reprezentowani geografowie (10 osób,

nadto specjalista w zakresie nauk geologicznych)²¹, dalej – raczej równomiernie – ekonomiści, specjaliści z nauk rolniczych i ekonomiki rolnictwa, statystycy i historycy, słabiej socjologowie i prawnicy. Obok pracowników szkół wyższych, instytutów Bałtyckiego, Śląskiego i Zachodniego, w Radzie znalazło się kilka osób związanych z innymi instytucjami i działalnością społeczną. Wśród członków Rady były 22 osoby z Krakowa, 18 z Warszawy, 8 z Poznania, 6 z Łodzi, 7 z innych miast.

W dniach od 30 lipca do 1 sierpnia odbyła się w Krakowie pierwsza sesja Rady. Poważny wpływ na jej przebieg i wnioski miało wcześniejsze udostępnienie członkom Rady i kierownictwu niektórych instytucji opracowania R. Buławskiego *Problemy osadniczo-przesiedleńcze ziem odzyskanych*. To obszerne studium (około 100 stron) wywarło duży wpływ na przebieg sesji i późniejszą działalność Rady. Autor jako tezę podstawową przyjął, że w zagadnieniach osadniczych i przesiedleńczych „wysuwa się na plan pierwszy moment demograficzno-gospodarczy”. Ogółem wygłoszono 13 referatów i po jednym koreferacie i komunikacie, zaprezentowano wiele ciekawych tez, oryginalnych pomysłów i wniosków. Nie jestem w stanie ich tu choćby najogólniej omówić. Powiem tylko, że w żywej dyskusji, krytycznej i często polemicznej, wypowiedzieli się – bywało, że niejednokrotnie – tej miary uczeni, jak Franciszek Bujak, Kazimierz Dobrowolski, Andrzej Grodek, Stefan Ingot, Eugeniusz Romer, Stefan Schmidt, Wiktor Schramm, Stanisław Srokowski, Zygmunt Wojciechowski, August Zierchoffer, Antoni Żabko-Popowicz, wielu pracowników naukowych młodszego pokolenia, a także przedstawiciele praktyki gospodarczej i społecznej²². Na zakończenie obrad Rada Naukowa przyjęła krótką deklarację podkreślającą znaczenie ziem nad Odrą i Nysą dla bytu i przyszłości narodu i państwa polskiego²³. Materiały sesji ukazały się drukiem na przełomie roku 1945/1946.

O efektywności pracy BSOP i związanych z nim uczonych świadczy fakt, że jeszcze w grudniu 1945 r. odbyła się w Krakowie druga sesja Rady Naukowej dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych, równie ciekawa jak poprzednia. Rajmund Buławski w 1946 r. pisał: „Można powiedzieć, że tak pierwsza, jak i druga sesja odbyły się jak gdyby pod patronatem prof. Romera i drugiego najstarszego po nim członka Rady, prof. Bujaka. Dwaj ci koryfeusze nauki polskiej nie omijają żadnego posiedzenia, by wytrawnym swym sądem, opartym na wyjątkowo rozległej wiedzy i bogatym doświadczeniu, przyczynić się do wyświetlenia omawianych zagadnień. Wysuwają się oni na czoło Rady nie tylko pod względem wieku, lecz także świeżością i postępowością poglądów oraz żywością zainteresowań dla spraw ziem odzyskanych”²⁴.

¹⁹ Szerzej na ten temat zob. m.in.: S. Leszczyki, *Prace polskich geografów przy ustalaniu granic państwa polskiego na konferencjach w Wersalu – 1919 i w Poczdamie – 1945*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1979, nr 2, s. 296–300, 302–306; A. Bolewski, cyt., s. 168–207; T. Marczał, *Granica zachodnia w polskiej polityce zagranicznej w latach 1944–1950*, Wrocław 1995, s. 98–99, 463 i in.; J. Mieczkowski, *Polskie Łużycy – szkic o pewnych iluzjach politycznych w latach 1945–1946*, [w:] *Serbołużycanie. Łużycy. Badania historyczne i fascynacje*, Zielona Góra 1998, s. 206. Warto tu jeszcze wspomnieć o powołanym we wrześniu 1946 r. Komitecie Propagandy Zagranicznej Ziemi Odzyskanych Ministerstwa Ziemi Odzyskanych (inaczej Komitet do Spraw Zagranicznych MZO), któremu przewodniczył W. Goetel, zastępcą jego był S. Leszczyki, a członkiem m.in. K. Piwarski. Zob. G. Strauchold, cyt., s. 167–168.

²⁰ A. Kozanecki, cyt., s. 292–293.

²¹ Do podanej liczby geografów w Radzie Naukowej nie zaliczyłem dr. Reginy Fleszarowej, uczennicy Romera, traktując ją jako reprezentanta Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

²² Na podstawie analizy materiałów pokonferencyjnych [w:] *I sesja Rady Naukowej dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych 30 VII–1 VIII 1945 r.*, z. 1–5, Kraków 1945 (z. 2), 1946 (z. 1, 3–5).

²³ *Uchwała Rady Naukowej*, [w:] *I Sesja Rady Naukowej...*, z. 1: *Sprawozdanie ogólne*, Kraków 1946, s. 49–50.

²⁴ R. Buławski, *Rada Naukowa dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych*, „Przełęcz Zachodni” 1946, nr 2, s. 117.

Biuro Studiów i Rada działały najpierw w kooperacji z Ministerstwem Administracji Publicznej, później z Ministerstwem Ziem Odzyskanych. Rada do 1948 r. odbyła 6 sesji. Jej dorobek był olbrzymi, głównie typu teoretyczno-programowego i naukowego. Rada wywierała też wpływ na niektóre decyzje ekonomiczne, administracyjne i polityczne władz i niektórych instytucji, a jej dokumentacja wielce interesująco odzwierciedla realia i problemy czasu przełomu. Starła się też określać – poprzez zamawianie i dyskutowanie opracowań takich uczonych jak Jan Rutkowski, Eugeniusz Romer, Bolesław Olszewicz, Kazimierz Dobrowolski, Zygmunt Wojciechowski i inni – kierunki rozwoju badań społecznych ważnych dla realizacji jej zadań²⁵.

Już w 1947 r. dało się zauważyć wygaszanie problematyki zachodniej w życiu publicznym. Rok 1948 przyniósł istotne zmiany w sytuacji politycznej i społecznej. Wiązało się to ściśle z kryzysem w kierownictwie PPR. W ocenie władz państwowych inicjatywy społeczne, samoistna aktywność stowarzyszeń, organizacji zawodowych stawały się coraz mniej potrzebne, niepożądane. Wiele z nich ulegało przekształceniom i unifikacji lub likwidacji. Biuro Studiów i Rada Naukowa do Zagadnień Ziem Odzyskanych zostały zlikwidowane, podobny los spotkał Instytut Śląski i nieco później Instytut Bałtycki. W styczniu 1949 r. zlikwidowano Ministerstwo Ziem Odzyskanych. Polska wkroczyła w etap przyspieszonej stalinizacji stosunków wewnętrznych.

W dotychczasowych wywodach unikałem wzmianek dotyczących politycznych poglądów, orientacji ideowych czy światopoglądowych wymienianych tu ludzi, na ogół od tej strony wielu uczestnikom naszej konferencji dobrze znanych. W tym miejscu muszę jednak podkreślić, że bohaterowie opisywanych przeze mnie przedsięwzięć, autorzy różnych wypowiedzi, publikacji i dzieł tworzyli zbiór wielce zróżnicowany, obejmujący szerokie spektrum orientacji politycznych i ideowych. Byli wśród nich ludzie o przekonaniach narodowo-demokratycznych i konserwatywnych, chrześcijańsko-demokratycznych i ludowych – przeważnie agrarystycznych, o poglądach lewicowych różnych odcieni, byli żarliwi katolicy, deiści, agnostycy i ateiści, ale w kwestii Ziem Odzyskanych byli blisko siebie.

Mimo różnic politycznych i ideowych występował konsensus – granica na Odrze i Nysie Łużyckiej jest sprawą absolutnie podstawową dla państwa i narodu polskiego, a przez objęcie nowych ziem Polska stanęła przed niebywałą szansą rozwoju. W konkluzji stwierdzić można, że krakowskie środowisko nauki miało istotny wkład w dzieło integracji ziem nad Odrą i Bałtykiem z resztą kraju.

ANDRZEJ KOZANECKI

²⁵ Szerzej o działalności Rady i Biura Studiów por. m.in. P. Dziurzyński, *Rada Naukowa dla Zagadnień Ziem Odzyskanych*, „Przegląd Zachodni” 1970, nr 5–6, s. 299–327; L. Gluck, *Rada Naukowa dla Zagadnień Ziem Odzyskanych (1945–1948)*, „Kwartalnik Historyczny” 1979, nr 3, s. 643–686; A. Kozanecki, cyt., s. 292–300; R. Strauchold, cyt., s. 137–142, 323–325.

KRAKÓW 1945-1989

DZIEJE

SPOŁECZEŃSTWO

KULTURA

(doroczne sympozjum „Kuźnicy”)

14 czerwca 2008 r. odbyło się w gościnnej Sali Fontany Muzeum Historycznego Miasta Krakowa przy Rynku Głównym doroczne sympozjum „Kuźnicy” i zaprzyjaźnionych stowarzyszeń inteligencji z Warszawy i Wrocławia. Tym razem tematem spotkania był: *Kraków 1945-1989. Dzieje, społeczeństwo, kultura*.

Referaty przygotowali: Andrzej Kurz (*Głos w sporze o powojenne dzieje Krakowa*), Stanisław Piwowarski (*Podziemie niepodległościowe w drugiej połowie lat czterdziestych*), Irena Paczyńska (*Początki Nowej Huty*), Andrzej Kozanecki (*Środowiska opiniotwórcze wobec polskich granic zachodnich i północnych 1942-1948*), Hieronim Kubiak (*Uczelnie i ruch studencki w Październiku '56*), Zbigniew Bauer (*Wielka zmiana 1976-1989*), Krystyn Dąbrowa (*1980-1981 – krakowska próba porozumienia*).

W tym numerze pulikujemy referaty:

- Andrzeja Kurza (str. 38-46)
- Andrzeja Kozaneckiego (47-51)
- Ireny Paczyńskiej (52-65)

IRENA PACZYŃSKA

**„Najmłodsze z miast, które mamy.
Najstarsze z miast, które będą”.***

Początek budowy Nowej Huty – miasta i kombinatu

Nowa Huta to dziś wieloaspektowy problem badawczy, wokół którego narosło także wiele mitów. Dziś już nie patrzymy na nią przez pryzmat tylko negatywnych konsekwencji, jakie decyzja o budowie kombinatu metalurgicznego wywołała dla Krakowa. Wzrasta zainteresowanie wśród pokolenia następców budowniczych oraz społeczności dzielnicy, rozwijają się różne inicjatywy społeczne.

Pod koniec grudnia 2004 r. układ urbanistyczny Nowej Huty został wpisany do rejestru zabytków Krakowa ze względu na jego walory historyczne, urbanistyczne i architektoniczne mające istotne znaczenie dla dziejów i krajobrazu kulturowego Krakowa, a także urbanistyki europejskiej. Stawia się postulat objęcia niektórych elementów dawnego kombinatu metalurgicznego „ograniczonym zakresem dokumentacji i ochrony”¹. W 2005 r. Muzeum Historyczne Miasta Krakowa otwarło Oddział VII – Dzieje Nowej Huty, który ma formę muzeum rozproszonego, a jego celem jest eksponowanie pamiątek związanych z tym terenem z okresu przed i po 1949 r., prowadzenie i inicjowanie badań nad dziejami Nowej Huty².

Lokalizacja

O budowie huty koło Krakowa zdecydował splot czynników ekonomicznych, społecznych, geograficznych, a także geopolitycznych. Koncepcyjne prace związane z budową huty łączą się z powołanym w lutym 1945 r. przez ministra przemysłu Centralnym Zarządem Przemysłu Hutniczego (CZPH) z siedzibą w Katowicach, i wydawanym przez ten Zarząd od 1945 r. pismem „Hutnik”³. W CZPH i w tym piśmie od lata tego roku toczyła się dyskusja na temat lokalizacji przyszłej huty. Przewidywano inwestycję nad morzem lub w rejonie Kanału Gliwickiego i formułowano ekonomiczno-geograficzne uzasadnienia. W dokumencie o charakterze studyjnym z 26 czerwca 1946 r. przygotowanym przez Biuro Projektowania Urządzeń Przemysłu Hutniczego (dalej: Biprohut) CZPH przewidywano budowę nad Kanałem Gliwickim; nazwana roboczo Huta Dzierżno miała wytwarzać 1 mln ton stali z rudy dostarczanej ze Szwecji lub Związku Radzieckiego, a węgiel z Górnego Śląska⁴. Głównym zadaniem była wtedy przede wszystkim odbudowa hutnictwa ze zniszczeń wojennych, modernizacja istniejących hut, ale i takie opracowanie projektu, by można było budowę huty rozpocząć w 1948 lub 1949 roku.

Późną wiosną 1947 r. rozpoczęła prace przy CZPH Komisja Budowy Nowej Huty. Wtedy zakładano możliwość opracowania projektu huty wraz z wydziałami pomocniczymi w Stanach Zjednoczonych (w firmie Freyn

* Fragment wiersza Wisławy Szymborskiej, *Na powitanie budowy socjalistycznego miasta*, „Gazeta Krakowska” 1950, nr 177 z 29 VI, s. 1.

¹ S. Pochwała, *Kombinat metalurgiczny w Nowej Hucie – kłopotliwe dziedzictwo*, [w:] *Kryptonim „Gigant”. Dzieje nowohuckiego kombinatu w latach 1949–1958*, Kraków 2008, s. 39–53.

² *Nowa Huta przeszłość i wizja: studium muzeum rozproszonego*. Praca zbiorowa pod red. J. Salwińskiego i L.J. Sibili, Kraków 2005, s. 7. Mimo krótkiego okresu działania tej placówki zdołano już zaprezentować kilka wystaw. Z cyklu *Zapomniane dziedzictwo Nowej Huty* – wystawy prezentujące miejscowości, które istniały na terenie objętym Nową Hutą: Kościelniki (w 2006 r.), Pleszów (w 2007 r.), przygotowywane są kolejne. Wystawy prezentujące różne aspekty historii Nowej Huty: *W pełnym kadrze. Nowa Huta w fotografii Henryka Hermanowicza* (w 2005 r.), *Nowa Huta – architektura i twórcy miasta idealnego. Niezrealizowane projekty* (w 2006 r.), *Nowohucki design. Historia wnętrza i ich twórcy w latach 1949–1959* (w 2007 r.), *Kryptonim „Gigant”. Dzieje nowohuckiego kombinatu w latach 1949–1958* (w 2008 r.). Wystawom tym towarzyszą wydawnictwa prezentujące problemy sygnalizowane tytułami wystaw.

³ F. J. Salwiński, *Lokalizacja kombinatu metalurgicznego pod Krakowem*, [w:] *Kryptonim „Gigant”...*, s. 7–9. Dyskusję zapoczątkował artykuł inż. Zygmunta Krotkiewskiego, *Odbudowa i rozbudowa hutnictwa w Polsce*, opublikowany już w numerze pierwszym pisma. Zob. też: Cz. Bywalec, *Industrializacja Krakowa – przesłanki, przebieg i skutki*, [w:] *Kłęska ekologiczna Krakowa: przyczyny – teraźniejszość – perspektywy ekorozwoju miasta*. Praca zbiorowa pod red. M. Gumińskiej i A. Delorme, Kraków 1990, s. 55.

⁴ J. Salwiński, *Decyzje o lokalizacji Nowej Huty pod Krakowem. Stan wiedzy*, [w:] *Narodziny Nowej Huty. Materiały sesji naukowej odbytej 25 kwietnia 1998 roku*, Kraków 1999, s. 81–82.

Engineering Company z Chicago) oraz import rudy ze Szwecji, Brazylii, Maroka i Związku Radzieckiego. Komisja w sierpniu 1947 r. zaopiniowała wstępnie jako teren budowy okolice Dzierżna lub Blachowni nad Kanałem Gliwickim, a następnie uszczegółowiano plany i prowadzono terenowe prace badawcze⁵.

Postępujące uzależnienie od ZSRR także w sferze ekonomicznej, konsekwencje nieprzystąpienia do planu Marshalla i utworzenia Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych, zaostrażająca się rywalizacja między zachodnimi demokracjami a ZSRR, a ze spraw wewnętrznych – porzucanie koncepcji ekonomicznych Centralnego Urzędu Planowania na rzecz koncepcji przyspieszonej industrializacji spowodowały stopniowe odchodzenie od tych planów. Już w październiku 1947 r. delegacja CZPH prowadziła rozmowy w Moskwie w sprawie możliwości sporządzenia w ZSRR projektu huty i dostawy urządzeń⁶, a na przełomie lat 1947/1948 Ministerstwo Przemysłu i Handlu zdecydowało o umieszczeniu budowy huty w planach państwowych i utworzeniu przy Biprohucie Działu Projektowania Nowej Huty; jego dyrektorem został inż. Jan Anioła, specjalista w zakresie mechaniki. Dział Projektowania rozpoczął pracę pod koniec stycznia 1948 r.⁷

Wspomniana delegacja nie podpisała oczywiście odpowiedniej umowy. Od jesieni 1947 r. kierujący Ministerstwem Przemysłu i Handlu Hilary Minc zabiegał o zawarcie z ZSRR długoterminowych umów gospodarczych. Strategiczne decyzje o przyszłości gospodarki radzieckiej zapadały w tym czasie w Państwowym Komitecie Planowania, to tam przesądzono o gospodarczych aspektach przystąpienia Związku Radzieckiego do wyścigu zbrojeń. Przy tego typu decyzjach szczególnie znaczenie miał przemysł ciężki. Do obranej strategii musiały zostać dopasowane stosunki z Polską. W połowie stycznia 1948 r. do Moskwy wyjechała delegacja z premierem Józefem Cyrankiewiczem, wicepremierem i sekretarzem generalnym KC PPR Władysławem Gomułą, ministrem Hilarym Mincem i ekspertami. O pobycie i gospodarczych rozmowach ciekawie pisze Henryk Różański. Dzięki niemu można zorientować się, że i sprawy hutnictwa Stalinowi nie były obce. Stalin przekonał gości do zbudowania znacznie większej huty niż początkowo zamierzano; Minc obawiając się zarzutu gigantomanii zgłosił postulat dostawy kompletnych urządzeń dla nowej huty o rocznej zdolności produkcyjnej 500–600 tys. ton. Stalin po zadaniu konkretnych pytań, w tym o produkty finalne stwierdził, że huta musi mieć *blooming* (zgniatacz), wymienił każdy ciąg walcowniczy, aby huta mogła realizować program walcowniczy przedstawiony przez Minca. Kazał się połączyć z ministrem przemysłu hutniczego I. Tewosjanem: „Polacy zwrócili się do mnie o dostawę urządzeń dla huty o rocznej zdolności produkcyjnej pół miliona ton. Czy ma to w ogóle sens? Stalin powtórzył na głos odpowiedź Tewosjana, że to nie ma żadnego sensu”, i po

dłuższej wypowiedzi dotyczącej hutnictwa radzieckiego oświadczył: „dostarczymy wam urządzeń dla huty o zdolności produkcyjnej 1,5 mln ton i okażemy pomoc techniczną w takiej skali, jaka wam potrzeba do wybudowania i uruchomienia jej w krótkim czasie”. Zachęcał nadto do tego, aby przyjąć radziecką konstrukcję auta osobowego Pabieda i ciężarówki Gaz, a nie wiązać się z włoskim Fiatem. Uzasadniał to: „Samochody produkowane w Polsce i w Związku Radzieckim powinny mieć jednakową konstrukcję. W razie konfliktu zbrojnego nasze armie będą walczyć ze wspólnym wrogiem. [...] Powinniśmy iść na daleko posuniętą unifikację naszego parku samochodowego, który musi być traktowany nie tylko jako sprzęt komunikacyjny, ale także bojowy”⁸. Była to pośrednia wskazówka dotycząca konieczności unifikacji i w innych dziedzinach.

Pakiet umów Minc i Anastas Mikojan, radziecki minister handlu zagranicznego, podpisali 26 stycznia (m.in. umowy o wzajemnych dostawach towarów, o dostawach do Polski sprzętu przemysłowego na kredyt). ZSRR zobowiązały się przekazać urządzenia przemysłowe i energetyczne dla nowej wielkiej huty stali, fabryk chemicznych, przemysłu metalowego i włókienniczego, i innych gałęzi przemysłu, sprzętu do budowy miast i portów. Przewidywano wyjazdy radzieckich specjalistów do Polski, a polskich robotników i specjalistów do ZSRR. Pierwsza z tych umów zapewniała odpowiednie dostawy rud do Polski⁹.

Umowy te nie tylko uzależniały gospodarkę polską od wschodniego sąsiada, ale także umożliwiały prowadzenie w Polsce określonej polityki, w której czynnik ekonomiczny splótł się z politycznym odsuwając na dalszy plan aspekty społeczne (omawiano nie tylko problemy ekonomiczne)¹⁰. Tuż po powrocie z Moskwy odbyła się tzw. dyskusja CUP-owska, przynosząca nie tylko zmiany personalne w CUP, ale przede wszystkim zmianę metod planowania i planu na 1949 r.

W kwietniu 1948 r. Hilary Minc zaakceptował przygotowane przez CZPH założenia dotyczące budowy i upoważnił do przedłożenia materiału Ministerstwu Czarnej Metalurgii ZSRR; huta miała być zlokalizowana w Dzierżnie i produkować 1,5 mln ton stali. Polska delegacja w maju wyjechała do Moskwy, gdzie prof. Mateusz Pszenicki (ekspert polskiej delegacji w czasie pertraktacji styczniowych) i Ignacy Borejdo (generalny dyrektor CZPH) prowadzili rozmowy w sprawie projektu huty i dostaw wyposażenia. Z ramienia Ministerstwa Czarnej Metalurgii głównym projektantem miał być Gosudarstwiennyj Instytut Projektowania Metalurgicznych Zawodów (dalej: Gipromez) i inż. Chrisant Zybin, główny inżynier projektu. W Instytucie miały powstać projekty wydziałów hutniczych, Gipromez miał koordynować wykonanie projektów innych wydziałów (zlecać

⁵ Tamże, s. 83–86. Szerzej o pracy Komisji zob. także: J. Salwiński, *Lokalizacja kombinatu...*, s. 10–12.

⁶ J. Salwiński, *Decyzje o lokalizacji...*, s. 86–87.

⁷ T. Gołaszewski, *Kronika Nowej Huty: od utworzenia Działu Projektowania Nowej Huty do pierwszego spustu surówki wielkopiecowej*, Kraków 1955, s. 19–20. 6 lutego 1949 r. inż. Anioła został wicedyrektorem technicznym Biprohutu. Akt nominacyjny zob. *Kryptonim „Gigant”...*, s. 210.

⁸ H. Różański, *Śladem wspomnień i dokumentów (1943–1948)*, Warszawa 1987, s. 505–520, cyt. s. 509, 510.

⁹ *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. 9: *styczeń 1946–grudzień 1948*, oprac. E. Basiński i in., Warszawa 1974, dok. 173 (s. 273–276), dok. 174 (s. 276–282).

¹⁰ Szeroko o konsekwencjach zawartych umów pisze A. Skrzypek, *Mechanizmy uzależnienia: stosunki polsko-radzieckie 1944–1957*, Pułtusk 2002, s. 196–206.

¹¹ Jak pisze J. Anioła, *Pomoc ZSRR w realizacji największej inwestycji Planu 6-letniego*, „Inwestycje i Budownictwo” 1952, nr 5, s. 6 było ich 23, co także wskazuje na to, jak skomplikowany był to projekt.

je odpowiednim radzieckim biurom)¹¹. Dyrekcja Bipro-
hutu otrzymała w końcu maja 1948 r. polecenie przygo-
towania do 1 lipca 1948 r. wstępnego harmonogramu
budowy i uruchomienia huty przy założeniu importu
rudy ze Szwecji i częściowo z ZSRR. Dział Projektowa-
nia w tym czasie prowadził poszukiwania miejsca
budowy dla kolejnej huty – nr 2, m.in. nad Wisłą¹².

W 1948 r. w kierownictwie Polskiej Partii Robotni-
czej następowały istotne zmiany polityczne. W Mini-
sterstwie Przemysłu i Handlu już we wrześniu przyjęto
– w ślad za Związkiem Radzieckim – zasadę aktywiza-
cji rejonów zacofanych poprzez budowę nowych zakła-
dów poza terenem uprzemysłowionym i rozproszenia
przemysłu dla wykorzystania miejscowych możliwości.
Jeszcze umieszczono wtedy budowę huty wśród inwestycji,
które miały powstać w województwie katowickim,
nad Kanałem Gliwickim¹³, ale przyjęte zasady otwierały
drogę do rozważań nad wyborem innego miejsca. Spory
fragment przemówienia Hilarego Minca wygłoszonego
na grudniowym kongresie Polskiej Zjednoczonej
Partii Robotniczej dotyczył rozbudowy hutnictwa, a za-
sada aktywizacji terenów zacofanych została mocno
zaakcentowana.

Warunkiem przystąpienia do wstępnych prac pro-
jektowych było m.in. precyzyjne określenie miejsca
budowy, stąd CZPH interweniował w Ministerstwie
Przemysłu i Handlu o przyspieszenie przyjazdu specja-
listów z ZSRR. Delegacja taka, zwana brygadą, na czele
z inż. Chrisantem Zybinem z Gipromezu przyjechała
13 stycznia i przebywała w Polsce do połowy marca
1949 r. Nie znamy niestety zaleceń, jakie otrzymali
w Moskwie członkowie delegacji i przekazywanych
im w czasie pobytu w Polsce. Wraz ze specjalistami
z CZPH delegacja przeprowadziła badania przygotowa-
nych przez Dział Projektowania Nowej Huty 11 lokalizacji,
a także miejsc lokalizacji huty nr 2. Lokalizację
w Dzierżnie odrzucono ze względu na brak – jak specja-
liści radzieccy określili – możliwości rozbudowy huty.
1 i 2 lutego poznawano teren położony na północny-
wschód od Krakowa, w rejonie wsi Pleszów i Mogiła,
i te miejsca – jak barwnie opisuje w *Kronice Nowej Huty*
Tadeusz Gołaszewski – specjaliści radzieccy uznali za
najlepsze do rozplanowania huty i zbudowania osiedla
robotniczego. Pobieżne badania głębokości studni
przydomowych i nośności gruntu, a właściwie wykopu,
skąd pobierano glinę), bliskość Wisły, rozległy płaski
teren oglądany z kopca Wandy i możliwość wykorzysta-
nia zasobów Krakowa i niedalekiej linii kolejowej
ugruntowały to przekonanie. Zlecono jeszcze przepro-
wadzenie Państwowemu Instytutowi Geologicznemu
badań geologicznych, które przy udziale Przedsiębior-
stwa Budownictwa Przemysłowego w Krakowie wyko-
nano między 7 a 12 lutego w 14 miejscach; badanie
potwierdziły dobrą nośność gruntu¹⁴.

¹² T. Gołaszewski, cyt., s. 23–27; J. Salwiński, *Decyzje o lokalizacji...*, s. 88–89.

¹³ *Wizje gospodarki socjalistycznej w Polsce 1945–1949: początki planowania. Materiały źródłowe do druku przygotował i wstępem poprzedziła H. Jędruszczak, Warszawa 1983, dok. 323 (s. 847), dok. 233 (s. 233).*

¹⁴ T. Gołaszewski, cyt., s. 29–37. Gołaszewski wymienia wśród towarzyszących brygadzie osób m.in. polskich specjalistów – inż. Gołąba z Państwowego Instytutu Geologicznego i prof. Romualda Cebertowicza, hydrotechnika z Politechniki Gdańskiej.

O planowanej inwestycji Biprohut powiadomił Regionalną Dyrekcję Planowania Przestrzennego w Krakowie 4 lutego, z prośbą o wydanie pisemnej opinii w sprawie usytuowania huty w rejonie Mogiła–Pleszów względnie Igołomia–Wawrzeńczyce. Główny Urząd Planowania Przestrzennego telefonicznie następnego dnia polecił przedstawić wnioski w sprawie lokalizacji huty w rejonie krakowskim. Już 4 lutego RDPP sformułowała odpowiedź skierowaną do GUPP, w której wskazano na sześć wariantów usytuowania huty w województwie krakowskim. Negatywnie oceniono lokalizację w rejonie Spytkowice–Skawina, Skawina–Kraków i Mogiła–Pleszów (w tym ostatnim wypadku jako argumenty negatywne wymieniono bardzo dobre gleby, rejon miejski Krakowa – fabryka byłaby dzielnicą miasta, położenie w pobliżu lotniska, brak nadwyżek sił roboczych). W związku z tym stwierdzono, że „studia związane z lokalizacją huty należy prowadzić w następującej kolejności: 1) rejon Zabierzów Niepołomicki – rzeka Uszwica (najkorzystniejsze położenie), 2) rejon Mędrzechowa, 3) rejon Igołomia–Wawrzeńczyce” (ale podkreślono, że jest to rejon wysokiej kultury rolnej o bardzo dobrych glebach lessowych i brak tu nadwyżek siły roboczej). „Pozostałe warianty [...] mogą być rozważane tylko w wypadku, jeżeli okaże się niemożliwe usytuowanie huty w powyższych rejonach. Jako zdecydowanie niekorzystne położenie huty w układzie przestrzennym należy uznać rejon na zachód od Krakowa”¹⁵.

Michał Odlanicki-Poczobutt, dyrektor RDPP w latach 1945–1949, specjalista w dziedzinie geodezji i planowania przestrzennego, późniejszy profesor AGH, oraz trzej pracownicy tej uczelni: Mieczysław Barbacki, Aleksandra Bogucka, Janina Grygorowicz piszą, że do Krakowa przybyła delegacja ekspertów radzieckich wraz z Janem Aniołą i „poinformowała dyrektora RDPP o koncepcji zlokalizowania kombinatu metalurgicznego w Mogile pod Krakowem i zwróciła się z propozycją wzięcia pod uwagę tego zamierzenia w pracach planowania przestrzennego oraz nawiązania współpracy w zakresie przygotowania podstaw decyzji prawnej lokalizacji huty w Mogile. Było to dla zespołu RDPP dramatyczne zaskoczenie ze względu na kolizję projektu huty w Krakowie z założeniami planu zagospodarowania przestrzennego regionu Krakowa. Nie można było pogodzić się z tak niebezpiecznym dla Krakowa projektem”. Po tej wizycie przy udziale specjalistów prezentujących różne dziedziny, w tym z Akademii Górniczej, RDPP przygotowała opinię wykazującą sprzeczność lokalizacji huty pod Krakowem z założeniami planu zagospodarowania przestrzennego regionu Krakowa, przestrzegającą przed możliwością dewastacji środowiska przyrodniczego i zagrożeniem dla zdrowia i warunków życia mieszkańców miasta oraz kondycji zabytków historycznych. Podkreślano też możliwość poważnego ograniczenia zaplecza rolniczego miasta. Opinię poparł wojewoda krakowski Kazimierz Pasenkiewicz i władze miasta. Po uzgodnieniu opinii z zainteresowanymi instytucjami „wskazano na konieczność przestudiowania innej lokalizacji huty” i zaproponowano jako jeden z kilku wariantów rejon Nowego Korczyna. „W komisyjnym wyjeździe wzięli udział eksperci radzieccy oraz przed-

¹⁵ AP Kr., CUP Kr 74, Wnioski RDPP w Krakowie w sprawie lokalizacji Nowej Huty, 5 luty 1949.

stawiciele RDPP, władz wojewódzkich i miejskich, a także zainteresowanych instytucji Krakowa. [...] Niestety po kilku dniach wojewoda zawiadomił dyrektora RDPP, że na polecenie władz centralnych zmuszony jest przerwać akcję obrony Krakowa przed budową huty i że zaplanowany kombinat metalurgiczny musi być zlokalizowany w Mogile¹⁶. Natomiast Tadeusz Gołaszewski w *Kronice Nowej Huty* odnotował, że inżynierowie radzieccy ze zdziwieniem przyjęli niechęć do budowy huty koło Krakowa¹⁷.

21 lutego 1949 r. specjaliści radzieccy przekazali generalnemu dyrektorowi CZPH inż. Ignacemu Borejdo „Orzeczenie Brygady Specjalistów Generalnego Dostawcy w sprawie terenów proponowanych przez Generalnego Zamawiającego dla budowy Nowej Huty w Rzeczypospolitej Polskiej”, które zawierało obszernie uzasadnienie wyboru terenu Mogiła–Pleszów pod budowę kombinatu w zestawieniu z 10 innymi terenami alternatywnymi. Komisja dla Rozbudowy Hutnictwa CZPH zaakceptowała ten wybór¹⁸. 24 lutego Sekretariat Biura Politycznego PZPR po informacji Hilarego Minca o „wnioskach komisji technicznej w sprawie terenu pod budowę wielkiej huty” przyjął „wniosek o budowie tej huty w okolicach Krakowa”¹⁹.

Ze specjalistami z Gipromezu opracowano nadto inne dokumenty konieczne dla rozpoczęcia wstępnych prac projektowych oraz zdecydowano o rozpoczęciu przez Zakład Osiedli Robotniczych budowy w 1949 r. osiedla mieszkaniowego, a jego projektodawcą miał zostać inż. Tadeusz Ptaszycki, architekt i urbanista, generalny projektant odbudowy Wrocławia²⁰. Tadeusz Ptaszycki najpierw zorganizował przy warszawskiej siedzibie Centralnego Biura Projektów i Studiów Budownictwa Osiedlowego ZOR niewielki zespół projektowy dla opracowania projektu osiedla²¹ i przeniósł się do Krakowa jako delegat Zarządu Głównego ZOR i rzeczoznawca do spraw specjalnych przy projektowaniu oraz organizacji budowy osiedla huty „Gigant”²².

Pomysł zlokalizowania Nowej Huty pod Krakowem kwestionował w marcu 1949 r. Sztab Generalny Wojska Polskiego sugerując, by postawiono ją pod Przemysłem²³, pewnie ze względów strategicznych. Niestety brak jest bliższych informacji dotyczących stanowiska WP.

Kontrakt na dostawę projektu Nowej Huty z Generalnym Dostawcą Projektu, czyli Ministerstwem Czarnej Metalurgii, podpisano 14 kwietnia 1949 r. w Moskwie. W dokumencie tym m.in. wymieniono zasadnicze wydziały huty i program prac projektowych. Projekt Nowej Huty miał zostać wykonany w trzech etapach: najpierw

projekt wstępny, uwzględniający kompletny obraz kombinatu, przebieg budowy i produkcji, sporządzony do połowy grudnia tego roku. W następnej kolejności przewidywano opracowanie projektów technicznych, wreszcie rysunków roboczych²⁴. Podczas kilkutygodniowego pobytu w lecie 1949 r. w Moskwie inż. Jana Anioły i trzech polskich inżynierów przeprowadzono wiele konferencji z radzieckimi specjalistami, które miały umożliwić prowadzenie prac przygotowawczych na terenie przewidzianym pod budowę huty²⁵.

Dla podkreślenia znaczenia inwestycji dla polskiej gospodarki i koordynacji prac Rada Ministrów przyjęła 20 lipca 1949 r. uchwałę w sprawie powołania Komitetu Budowy Przedsiębiorstwa „Nowa Huta” (Komitet Budowy Nowej Huty) na czele z przewodniczącym Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, wicepremierem i przewodniczącym Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego Hilarem Mincem. Sekretarzem Komitetu został Czesław Bąbiński, dyrektor generalny PKPG²⁶. Pierwsze posiedzenie komitetu odbyło się 14 września w Krakowie. Ustalono wówczas zakres robót na 1949 r. i określono wytyczne planu na rok następny²⁷, a także m.in. postanowiono „rozpocząć akcję informowania społeczeństwa o budowie kombinatu Nowa Huta za pośrednictwem prasy i radia. Akcję tę prowadzić będą władze centralne (PKPG, Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego). Jednocześnie zabrania się poszczególnym przedsiębiorstwom i ich pracownikom podawania jakichkolwiek wiadomości i wywiadów prasowych w sprawie budowy kombinatu Nowa Huta”²⁸.

Krakowska prasa nie podawała informacji dotyczących budowy, a np. „Dziennik Polski” odmawiał ich umieszczenia powołując się na „tajemnicę wojсковą obejmującą wszelkie wiadomości dotyczące Nowej Huty”; ewentualne publikacje z tego zakresu uzależniał „od wyraźnego zalecenia cenzury”²⁹. Dopiero w październiku 1949 r. można było przeczytać o wznoszonych przez Zakład Osiedli Robotniczych domach, m.in. w Mogile, gdzie na 10 ha buduje się ich 28, a osiedle będzie rozbudowywane³⁰; zaś w listopadzie pisano o podjętych zobowiązaniach, lecz nazwy Nowa Huta nie użyto³¹. Pierwszy większy artykuł autorstwa Czesława Bąbińskiego, zawierający ogólnikowe informacje ukazał się dopiero w kwietniu 1950 r. jednocześ-

¹⁶ M. Odlanicki-Poczebutt, M. Barbacki, A. Bogucka, J. Grygorowicz, *Jak Kraków bronił się przed wielką metalurgią*, [w:] *Klęska ekologiczna Krakowa...*, s. 89–90.

¹⁷ T. Gołaszewski, cyt., s. 35.

¹⁸ Tamże, s. 37–40.

¹⁹ AAN, KC PZPR 1949, t. 6, Protokół nr 7 z posiedzenia Sekretariatu KC PZPR z 24 lutego 1949 r. Sygnatury przed przekazaniem akt do AAN.

²⁰ T. Gołaszewski, cyt., s. 42–45. Życiorys T. Ptaszyckiego zob. A. Jackowski, *Ptaszycki Tadeusz (1908–1980), inżynier architekt i urbanista*, „Polski Słownik Biograficzny”, t. 29, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1986, s. 297–299.

²¹ L.J. Sibila, *Nowa Huta – architektura i twórcy „miasta idealnego”*, [w:] *Nowa Huta – architektura i twórcy miasta idealnego. Niezrealizowane projekty*, Kraków 2007, s. 38–39.

²² A. Jackowski, cyt., s. 298.

²³ A. Skrzypek, cyt., s. 203.

²⁴ T. Gołaszewski, cyt., s. 59–61; J. Anioła, *Pomoc ZSRR...*, s. 6. Kontrakt ze strony polskiej podpisał dyrektor inwestycji CZPH Kiejstut Žemaitis.

²⁵ Fotokopie dokumentów o pobycie delegacji zob. *Kryptonim „Gigant”...*, s. 209–210.

²⁶ A. Kochański, *Polska 1944–199: informator historyczny*, t. 1, Warszawa 1996, s. 285; T. Gołaszewski, cyt., s. 80. Minc był wtedy także członkiem Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZZR.

²⁷ Cz. Bąbiński, *Nowa Huta*, „Inwestycje i Budownictwo” 1952, nr 5, s. 2; T. Gołaszewski, cyt., s. 80–81.

²⁸ AP Kr, WKPG 104, Pismo Sekretariatu III Zespołu Departamentów PKPG do B. Oyrzanowskiego z wyciągiem z protokołu pierwszego posiedzenia Komitetu Budowy Nowej Huty w Krakowie, 12 października 1949.

²⁹ AP Kr, WKPG 104, Pismo Biura Regionalnego PKPG do dyrektora generalnego PKPG, 1 października 1949.

³⁰ J.S., *Zakład Osiedli Robotniczych buduje domy w 33 miejscowościach województwa krakowskiego*, „Gazeta Krakowska” (dalej: „G.Kr.”) 1949, nr 239 z 14 X, s. 6.

³¹ *Młodzi budowniczy i murarze podejmują współzawodnictwo z załogą doświadczonych fachowców. Budowa eksperymentalnego bloku w Mogile*, „G.Kr.” 1949, nr 259 z 3 XI, s. 1; *Pracownicy Osiedli Robotniczych czczą 70. rocznicę urodzin Stalina*, tamże, nr 286 z 30 XI, s. 1.

nie w „Dzienniku Polskim” i „Gazecie Krakowskiej”. Podano, że „na terenach podkrakowskiej wsi wyrosł ogromny kompleks przemysłowy i związane z nim miasto”, podkreślano znaczenie tej budowy³². Można sądzić, że artykuł musiał wywołać krytyczne uwagi, bo w maju „Gazeta Krakowska” opublikowała wywiad udzielony przez Bąbińskiego Janowi Prejznerowi z redakcji gospodarczej PAP, w którym obok określenia czynników o charakterze ekonomiczno-geograficznym decydujących o budowie huty i miasta koło Krakowa, wymienione zostały „względy natury społeczno-politycznej”: „Budowa wielkiego zakładu przemysłowego, nowoczesnego miasta robotniczego, jak również aktywizacja gospodarcza tego terenu zmieni całkowicie oblicze samego Krakowa”³³. W obu tych tekstach nie ma najmniejszej nawet wzmianki o dostawcy projektu i udziale radzieckich inżynierów w wyborze lokalizacji. Dopiero po artykule Bąbińskiego w prasie zaczęły ukazywać się informacje, mające przede wszystkim na celu werbunek do pracy na terenie nowej inwestycji, podkreślano w nich wzorową organizację pracy na placu budowy, porządek, używanie sprzętu zmechanizowanego, opiekę socjalną nad zatrudnionymi³⁴, a w czerwcu opublikowano wiersz Stanisława Szymborskiej *Na powitanie budowy socjalistycznego miasta* oraz Adama Włodka, jej ówczesnego męża, *Na cześć I konferencji powiatowej PZPR w Nowej Hucie*³⁵.

Nowa Huta stała się największą inwestycją planu 6-letniego, na którą składały się budowa kombinatu przemysłowego, miasta Nowa Huta oraz obiekty i urządzenia towarzyszące: m.in. stopień wodny na Wiśle, port, most, sieć komunikacji zewnętrznej, drogowej i kolejowej. Czasokres budowy kombinatu określono na 8 lat (1950-1957 r.)³⁶, ale już w 1952 r. było wiadome, że Nowa Huta będzie rozbudowywana po 1957 r. Miasto Nowa Huta miało liczyć docelowo ok. 100 tys. mieszkańców, a w ramach planu 6-letniego – ok. 50 tys. mieszkańców³⁷.

Początek prac

Podstawowe znaczenie dla rozpoczęcia prac wstępnych przy budowie zespołu Nowa Huta miały decyzje konferencji zwolanej 8 kwietnia 1949 r. w Warszawie, w Departamencie Inwestycji PKPG i prowadzonej przez dyrektora Czesława Bąbińskiego. Zaproszono przedstawicieli instytucji centralnych (Ministerstwa Odbudowy, Ministerstwa Komunikacji, Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego, Zarządu Głównego Zakładu Osiedli Robotniczych, Centralnego Zarządu Budownictwa Przemysłowego, Centralnego Zarządu Przedsiębiorstw Robót Komunikacyjnych, Centrali Państwowego Przedsiębiorstwa Mierniczego, Centralnego Zarządu Energetycznego, Centralnego Zarządu Przemysłu Hutnicze-

go), dyrekcji Nowa Huta Państwowe Przedsiębiorstwo Wyodrębnione (m.in. inż. Aniołę) oraz Krakowa (Zarządu Miejskiego, Regionalnej Dyrekcji Planowania Przestrzennego, Biura Regionalnego CUP, Zjednoczenia Energetycznego Okręgu Krakowskiego, Dyrekcji Dróg Wodnych, Państwowego Przedsiębiorstwa Mierniczego, Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych). Plonem spotkania były decyzje o przydzielenie odpowiednim przedsiębiorstwom zadań związanych ze sporządzeniem projektów prac dotyczących rurociągu wody pitnej i kanalizacji, portu, jazu i śluzy, badania wody w Wiśle i charakterystyki Wisły w rejonie Pleszowa, wiercenia studni głębinowych, wykonania zdjęć terenowych, budowy bocznic kolejowej, projektu transportu zewnętrznego i mostu na Wiśle, zaopatrzenia w prąd elektryczny oraz prac przy budowie osiedla³⁸.

Na podstawie zarządzenia ministra przemysłu i handlu z 29 marca 1949 r. utworzono dla koordynacji budowy huty, a w szczególności dla przygotowania potencjału wykonawczego Nowa Huta Państwowe Przedsiębiorstwo Wyodrębnione (dalej: PPW)³⁹ wchodzące w skład CZPH, powstałe w oparciu o dotychczasową kadre Działu Projektowania Nowej Huty; dyrektorem został inż. Jan Anioła. Nominację na to stanowisko otrzymał 23 maja 1949 r.⁴⁰ Nowe przedsiębiorstwo objęło budynki Fundacji ks. Mieczysława Kuznowicza przy ul. Skarbowej, Wydziału Architektury Akademii Górniczej przy al. 3 Maja 7 i przy ul. Oleandry 4. Na mieszkania pracowników oddano dom przy al. Mickiewicza 25. Na potrzeby firmy zajęto Hotel Europejski.

Dla Zakładu Osiedli Robotniczych, który miał zacząć się budową osiedla mieszkaniowego, przewidziano w końcu maja 1949 r. lokale biurowe przy ul. Św. Jana 2, po zlikwidowanym Banku Gospodarstwa Spółdzielczego. W czerwcu tego roku siedzibę Dyrekcji Osiedli Robotniczych ZOR przeniesiono z Kielc do Krakowa⁴¹. Ostatecznie zadanie budowy miasta Nowa Huta Zarząd Główny ZOR zarządzeniem z 21 listopada 1949 r. powierzył wydzielonej z wymienionej Dyrekcji Delegaturze dla miasta Nowa Huta ZOR. 1 czerwca 1950 r. Delegaturę przekształcono w Dyrekcję Osiedli Robotniczych dla miasta Nowa Huta (Dyrekcja Budowy Miasta Nowa Huta) kierowaną od sierpnia 1950 r. przez inż. Stanisława Zrałka. Siedzibę Delegatury umieszczono przy ul. Dunajewskiego (wtedy 1 Maja 1), a następnie przy ul. Skarbowej 4. Sprawy projektowe osiedla mieszkaniowego znalazły się w gestii Oddziału Centralnego Biura Projektów i Studiów Budownictwa Osiedli dla Miasta Nowa Huta ZOR, którego organizatorem i dyrektorem był wspomniany już Tadeusz Ptaszycki⁴². W oparciu

³² Cz. Bąbiński, *Budujemy Nową Hutę*, „G.Kr.” 1950, nr 98 z 8–10 IV, s. 3.

³³ *Czołowy obiekt Planu 6-letniego Nowa Huta*. Wywiad z dyrektorem PKPG dr. Cz. Bąbińskim, „G.Kr.” 1950, nr 136 z 18 V, s. 2.

³⁴ *Rośnie Nowa Huta wielkie dzieło ludu polskiego*, „G.Kr.” 1950, nr 149 z 1 VI, s. 2.

³⁵ G.Kr. 1950, nr 177 z 29 VI, s. 1. Konferencja odbyła się 28 i 29 czerwca 1950 r.

³⁶ T. Socjusz, *Nowa Huta symbolem budownictwa socjalistycznego w Polsce*, „Inwestycje i Budownictwo” 1952, nr 5, s. 8–9; W. Żarnowski, *Założenia kombinatu Nowa Huta*, tamże, s. 11–12.

³⁷ Cz. Bąbiński, *Nowa Huta*, s. 2.

³⁸ AP Kr 74, Główne postanowienia powzięte na konferencji w dniu 8 kwietnia 1949 r. w Departamencie Inwestycji PKPG w sprawie budowy Nowej Huty.

³⁹ A. Kocharński, cyt., s. 270.

⁴⁰ Akt nominacyjny zob. *Kryptonim „Gigant”*..., s. 210.

⁴¹ *Zarządzenie Ministra Budownictwa z dnia 17 czerwca 1949 r. o zmianie zarządzenia Ministra Odbudowy w sprawie powołania Dyrekcji Osiedli Robotniczych w Kielcach*, „Monitor Polski” 1949, nr A-41, poz. 569.

⁴² *Zarządzenie Ministra Budownictwa z dnia 30 maja 1949 r. w sprawie zmiany działania Dyrekcji Osiedli Robotniczych w Krakowie*, „Monitor Polski” 1949, nr A-46, poz. 757–758; *Komunikaty*, „Gazeta Urzędowa Zarządu Miejskiego w Krakowie” 1949, nr 24, s. 146; I. Paczyńska, *Gospodarka mieszkaniowa a polityka państwa w warunkach przekształceń ustrojowych w Polsce w latach 1945–1950 na przykładzie Krakowa*, Kraków 1994, s. 189, 238.

o to Biuro i działający w Krakowie od pierwszej połowy 1949 r. Oddział Centralnego Biura Projektów Architektonicznych i Budowlanych, po różnych ich reorganizacjach powstało z początkiem 1952 r. Przedsiębiorstwo Projektowania Budownictwa Miejskiego Miastoprojekt-Kraków z inż. Ptaszyckim na czele.

Po podjęciu decyzji o budowie zespołu Nowa Huta do Krakowa zaczęła napływać kadra inżyniersko-techniczna, niezbędna do uruchomienia wymienionych i innych przedsiębiorstw i biur, związanych z różnymi branżami, które zaangażowane były w prace wstępne. Tylko od sierpnia do grudnia 1949 r. do Krakowa przybyło ponad 32 tysiące ludzi, co skomplikowało to i tak trudną sytuację lokalowo-mieszkaniową. A był to dopiero początek budowy. Postanowiono całe nowo budowane osiedle na Grzegórkach oddać do dyspozycji Nowej Huty oraz wykorzystać do maksimum możliwości starego budownictwa w Krakowie⁴³.

Powiatowy Zarząd Drogowy przystąpił do doraźnej naprawy nawierzchni drogi Mogiła–Kraków. W 1949 r. wyburzono fort u wylotu ulicy Lubicz, to samo miało spotkać w roku następnym fort Pszorna, dla usprawnienia komunikacji między Krakowem a terenem inwestycji.

W maju 1950 r. na podstawie decyzji przewodniczącego Komitetu Budowy Nowej Huty powołano generalnych wykonawców dla trzech zasadniczych zespołów robót: budowy zakładu metalurgicznego – Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane, budowy miasta – Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane, budowy węzła komunikacyjnego – Państwowe Przedsiębiorstwo Robót Komunikacyjnych⁴⁴. Przedsiębiorstwa te pracowały już na placach budowy. W październiku tego roku SPB przemianowano w Zjednoczenie Budowy Miasta Nowa Huta, PPB w Zjednoczenie Przemysłowe Budowy Nowej Huty, a dotychczasowy dyrektor PPB inż. Zenon Woliński otrzymał nominację na dyrektora naczelnego Zjednoczenia. Zjednoczenie odpowiadało za jakościowe, terminowe oraz zgodne z dokumentacją techniczną wykonanie robót. W Zjednoczeniu zorganizowano branżowe i terenowe kierownictwa robót. Przedsiębiorstwa nie wchodzące w skład Zjednoczenia wykonywały prace jako podwykonawcy, a ich liczba stale wzrastała. Oznaczało to zmianę zakresu kompetencji dyrekcji PPW. Od tej pory jej zadaniem był nadzór techniczny wykonawstwa, koordynacja robót, zamawianie i dostawa maszyn, urządzeń i konstrukcji stalowych, przygotowanie załogi dla przyszłej huty. Także Zjednoczenie Budowy Miasta mogło zlecać podwykonawcom wykonywanie specjalistycznych robót⁴⁵.

Wywłaszczenia

Pod koniec marca mgr Marian Ilnicki z CZPH, przeniesiony wkrótce do PPW, rozpoczął prace przygotowawcze do wywłaszczenia gruntów o powierzchni wstępnie określonej na ok. 2 800 ha znajdujących się w gminach Mogiła (w gromadach Mogiła, Pleszów, Krzesławice, Lubocza), Ruszcza (w gromadach Rusz-

cza, Przylasek Rusiecki, Branice, Wadów, Wyciąże) i gromadzie Przewóz w gminie Wieliczka-Wieś. Z ich mieszkańcami przeprowadzono zebrania obiecując gospodarstwa na Ziemiach Zachodnich bądź odszkodowania, możliwość pracy i zdobycia wykształcenia na nowej budowie. Społeczności lokalne przyjmowały rozpoczęte działania z niedowierzaniem, rozgoryczeniem, po bezskutecznych protestach z rezygnacją. Ich protestami władze się nie przejmowały. Wymieniony Marian Ilnicki w notatce dotyczącej wstępnych prac wywłaszczeniowych pisze, że w wypadku napotykanym trudności przy wykonywaniu prac pomiarowych czy wierceń „pomocy” udziela Milicja Obywatelska⁴⁶. Własność prywatna uznawana była wtedy za gorszą w stosunku do własności społecznej (państwowej), a interes państwa przedkładano nad interes jednostki.

Podstawą prawną wywłaszczeń stał się dekret z 26 kwietnia 1949 r. o nabywaniu i przekazywaniu nieruchomości niezbędnych dla realizacji narodowych planów gospodarczych⁴⁷, zmieniony już 26 października tego roku⁴⁸ oraz ustawa z 20 marca 1950 r. o przejęciu przez państwo dóbr martwej ręki⁴⁹. Dekret dawał urzędowi, instytucjom państwowym, samorządowi, spółdzielniom itd. uprawnienia do występowania wobec tych, którzy posiadali nieruchomości, o odstąpienie ich w drodze umowy dobrowolnej bądź w drodze przymusowej w wyniku postępowania wywłaszczeniowego, jeżeli bez danej nieruchomości państwowy plan gospodarczy nie mógł być wykonany. Natomiast ustawa stanowiła, że wszystkie nieruchomości ziemskie związków wyznaniowych „przejmuje się na własność państwa” bez odszkodowania z mocy prawa z dniem jej ogłoszenia, co nastąpiło 23 marca 1950 r.

Akcja wywłaszczeniowa rozpoczęła się w czerwcu 1949 r. na terenach zajmowanych w znacznym stopniu na uprawy rolnicze, przede wszystkim zbóż, trwała kilka lat, a jej największe nasilenie przypada na lata 1949–1953. W wielu wypadkach inwestor wkraczał na określony teren jeszcze przed przeprowadzeniem wywłaszczenia, co oczywiście pogłębiało w miejscowych społecznościach poczucie zagrożenia i bezsensu akcji odwoławczej. Wywłaszczenia miały wtedy najbardziej dramatyczny wymiar, łączyły się z pozabawianiem ludzi ich domostw. W jednym ze sprawozdań Biura Regionalnego PKPG w Krakowie, kierowanych do Czesława Bąbińskiego, zwracano uwagę, że często dotkliwość ta spada na „biedotę wiejską”⁵⁰. Osobom młodszym łatwiej było znaleźć się w nowej sytuacji. Pisze o tym uczestnik konkursu na wspomnienia *Czym był i czym*

⁴⁶ AP Kraków, Prokuratoria Generalna Oddział w Krakowie 193, Notatka M. Ilnickiego z 24 marca 1949 r.

⁴⁷ „Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej” 1949, nr 27, poz. 197.

⁴⁸ Tamże, nr 55, poz. 438. Sposób nabywania bądź wywłaszczenia ziemi na podstawie tego dekretu omówił A. Hermelin, *Nabywanie nieruchomości niezbędnych dla realizacji narodowych planów gospodarczych*, „Gospodarka Planowa” 1949, nr 7, s. 393–394.

⁴⁹ DzU 1950, nr 9, poz. 87.

⁵⁰ AP Kr, WKPG 104, *Sprawozdanie z postępu prac dla Nowej Huty za kwiecień 1950, 26 maj 1950*. W piśmie postuluje się: „Należałoby zwrócić uwagę na konieczność zapewnienia wywłaszczonym pomieszczeń mieszkalnych i zezwolenie na wykonywanie tychże przedsiębiorstwom wykonującym pracę na danym terenie”. Na posiedzeniu Biura Politycznego 10 lutego 1950 r. (o czym dalej) „oceniono pozytywnie przewidziane w projekcie miasta przysiółki i osiedla pod miastem, przewidujące możliwość osadzenia na podstawach spółdzielczości produkcyjnej chłopów, których tereny rolne zajęte zostały pod budowę huty i miasta”.

⁴³ I. Paczyńska, cyt., s. 113 i następne. *O wpływie budowy Nowej Huty na sytuację mieszkaniową w Krakowie i budownictwo mieszkaniowe* zob. tamże, s. 114–125, 189–195.

⁴⁴ T. Gołaszewski, cyt., s. 109.

⁴⁵ Tamże, s. 144.

jest dla mnie Kraków ogłoszonego przez Oddział Krakowski Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. „Gorzej było z ludźmi utrzymującymi się z rolnictwa, po wywłaszczeniu z ziemi konieczna była zmiana zawodu, co w wieku starszym nie przychodzi tak łatwo. Odszkodowanie za wywłączoną ziemię wynosiło do roku 1956 – 80 groszy na metr kwadratowy, co było ułamkiem jej rzeczywistej wartości”⁵¹. Osoba, która przeprowadzała wywłaszczenia, napisała: „Chłopi nas znieawidzili, bo zabieraliśmy im ziemię [...]. Uciekałem kilkakrotnie przed gniewem ludzi tracących ziemię za darmo”⁵². Wywłaszczani nie chcieli przyjmować symbolicznych odszkodowań, bądź przyjmowali je pod przymusem. Nie odebrane pieniądze deponowano w banku. Wywłaszczenia dokonywane w roku 1955 i później przeprowadzane były już z większą dbałością o zachowanie prawnej procedury, ale zawsze oznaczały usunięcie z ojcowizny, kres dotychczasowego sposobu egzystencji, unicestwienie pól uprawnych, sadów, przydomowych ogrodów, domów i zabudowań gospodarczych, miejscowej infrastruktury przemysłowej, krzywdę, a w skrajnych wypadkach desperackie czyny⁵³. Ryszard Dzieszyński, Jan L. Franczyk w *Encyklopedii Nowej Huty* piszą, że wywłaszczenia objęły „4 tys. gospodarstw w Mogile, Pleszowie, Bieńczycach i innych miejscowościach obecnej Nowej Huty”⁵⁴.

Budowa miasta

Rok 1949 to przede wszystkim początek budowy miasta Nowa Huta w konsekwencji decyzji, że budownictwo mieszkaniowe winno wyprzedzać budowę kombinatu, a mieszkańcy baraków winni być zakwaterowani w budynkach mieszkalnych. Gdy w czerwcu 1949 r. rozpoczęto wykop pod pierwszy budynek wiadomo było tylko, że miasto powstanie w rejonie gromad Czyżyny, Mogiła i Bieńczyce. Plan urbanistyczny miał formę pierwszych nie zatwierdzonych szkiców, będących wynikiem zamkniętego konkursu, wygranego przez Tadeusza Ptaszyckiego. Nie było założeń programowych miasta, nie określono jego wielkości, przewidywanej liczby mieszkańców. PKPG zalecała, aby przyjąć założenie, że w 1950 r. na placu budowy huty będzie zatrudnionych w trzecim kwartale 1950 r. 5 tys. robotników, a załoga huty będzie liczyć 12 tysięcy⁵⁵. Jako miejsce budowy pierwszych domów wybrano tereny położone

w oddaleniu od przewidywanego centrum miasta, przy istniejącej drodze Kraków–Mogiła–Pleszów, w pobliżu odgałęzienia kolei kocmyrzowskiej z Czyżyn do Mogiły i w bliskości terenu przyszłego kombinatu. ZOR zdecydował o wykorzystaniu gotowej dokumentacji typowych domów mieszkalnych warszawskiego architekta inż. Franciszka Adamskiego, przygotowanych jeszcze przed wojną dla Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Były to domy jedno- i dwupiętrowe, z dachami dwuspadowymi z czerwonej dachówki⁵⁶. Autorami na szybko opracowanego planu zabudowy byli Tadeusz Ptaszycki, Bolesław Skrzybalski, Adam Fołtyn i Zbigniew Sieradzki⁵⁷. Plan zakładał wzniesienie do końca 1950 r. 54 domów. Wykonawstwo powierzono Społecznemu Przedsiębiorstwu Budowlanemu nr 12, w lipcu dołączyło Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane nr 10, a w sierpniu – 60 Brygada Powszechnej Organizacji Służba Polsce. Pierwszą pracą junaków było „zżęcie około hektara pszenicy” i ustawienie 19 namiotów. Robotnicy SPB rozpoczęli pracę w końcu czerwca 1949 r. – jak pisze Tadeusz Gołaszewski „od wykopów wśród zbóż”, za pomocą prymitywnych narzędzi, na gruntach klasztoru cystersów. „Najpierw odszukali paliki wbite w ziemię przez mierniczych. [...] Sporo znaków mierniczych powywracało pasące się bydło czy nieświadomi i lekkomyślni mieszkańcy Mogiły”⁵⁸. Prace koncentrowały się najpierw na północ od drogi Kraków–Mogiła, na terenie umownie nazwanym w 1950 r. – A-1 Południe (os. Wandy) i A-1 Północ (os. Willowe). Pod koniec 1949 r. placem budowy stały się tereny po południowej stronie drogi – osiedle A-0, zwane też A-Południe (os. Na Skarpie). Rozplanowano je także przed zatwierdzeniem planu generalnego, zastosowano niemal wyłącznie projekty typowe. Osiedle charakteryzuje się gęściejszą zabudową⁵⁹. Do jednego z czterech prowizorycznie wykończonych bloków – 21 na osiedlu A-1 wprowadzili się w grudniu junacy z 60 brygady ulokowani dotąd w namiotach, choć – jak pisze Tadeusz Gołaszewski – „rury od piecyków wychodziły przez okna na zewnątrz, bo przecież w budynku, w którym będzie centralne ogrzewanie projektanci nie przewidzieli przewodów kominowych, wprawdzie na dzień trzeba było szeroko otwierać okna i drzwi, żeby szybciej osuszyć świeże tynki [...] i brak jest kanalizacji [...], a gdzieś tam leży tymczasowa podłoga z nieheblowanych desek”⁶⁰.

Budowa pierwszych osiedli nowohuckich jest dobrze udokumentowana. W pierwszych dniach sierpnia Czesław Bąbiński wydał polecenie przekazywania „na jego ręce cotygodniowych raportów o przebiegu prac przy budowie osiedla robotniczego dla Nowej Huty”⁶¹. Raporty sporządzane przez Dyрекcję ZOR

⁵¹ J. Mikułowski Pomorski, *Kraków w naszej pamięci*, Kraków 1991, s. 270–271 (tekst nr 52).

⁵² Tamże, s. 271 (tekst nr 59).

⁵³ Badania na temat społecznych skutków wywłaszczeń w Pleszowie przeprowadził w 1969 r. Jacek Wódz i przedstawił je w książce *Przeobrażenie społeczne wsi Pleszów włączonej do Nowej Huty 1949–1969* (Wrocław 1971) jako przykład „jak nie należy to czynić”.

⁵⁴ R. Dzieszyński, J.L. Franczyk, *Encyklopedia Nowej Huty*, Kraków 2006, s. 124. Autorzy ci informują także o przeznaczeniu na budowę dzielnicy Nowa Huta 11 tys. ha ziemi chłopskiej i zakonnej oraz 2 tys. ha na Hutę im. Lenina. Na s. 146–148 publikują *Listę poszkodowanych w wyniku budowy Nowej Huty*. Od 1990 r. działa Stowarzyszenie Poszkodowanych Właścicieli Nieruchomości Wywłaszczonych przez Kombinat Metalurgiczny i inne Budownictwo w Krakowie i w Nowej Hucie.

⁵⁵ AP Kr, CUP 74, Główne postanowienia powzięte na konferencji w dniu 8 kwietnia 1949 r. w Departamencie Inwestycji PKPG w sprawie budowy Nowej Huty. PKPG przewidywała, że rozmieszczenie 5 tys. robotników „powinno odbywać się kosztem mieszkań m. Krakowa, pobliskich osiedli, nowo wybudowanych budynków w roku 1949”. Przybywających do pracy lokowano w pustych halach Wytwórni Tytoniu Przemysłowego w Czyżynach. Zob. T. Gołaszewski, cyt., s. 166–167.

⁵⁶ J. Goryński, *Zagadnienia realizacyjne miasta Nowa Huta*, „Inwestycje i Budownictwo” 1952, nr 5, s. 34.

⁵⁷ L.J. Sybila, *Nowa Huta – architektura i twórcy...*, s. 40.

⁵⁸ T. Gołaszewski, cyt., s. 67–68, 75. Do budowy miasta zaangażowano następnie kilka innych przedsiębiorstw: Hydrotrest 8, Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnych i Urządzeń Wodnych, Przedsiębiorstwo Robót Elektrycznych, Gazobudowa.

⁵⁹ J. Goryński, *Zagadnienia realizacyjne miasta...*, s. 34–38; I. Paczyńska, cyt., s. 191.

⁶⁰ T. Gołaszewski, cyt., s. 85.

⁶¹ AP Kr, CUP Kr 74, Pismo dyrektora Biura Regionalnego CUP w Krakowie B. Oyrzanowskiego do Zakładu Osiedli Robotniczych, Dyrekcja w Krakowie, 9 sierpień 1949.

w Krakowie przekazywano do Biura Regionalnego CUP (następnie do Biura Regionalnego PKPG, a po zmianie nazwy do Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego), a stąd do Bąbińskiego. Zawierają one informacje dotyczące stanu budowy poszczególnych bloków (w Mogile i na Grzegórkach), podają liczbę zatrudnionych robotników i techników przez PPB i SPB, stan zapasów materiałowych, trudności w wykonywaniu i stan zaawansowania robót. Pozwalają zorientować się we wszystkich konsekwencjach nagłej decyzji o wznoszeniu domów bez pełnej dokumentacji, wcześniejszego przygotowania placu budowy, uzbrojenia terenu, zgromadzenia potrzebnych materiałów itd. Budowano tradycyjną techniką i technologią, a siła mięśni odgrywała decydującą rolę. Pierwszy raport z 11 sierpnia obrazuje stan robót na dzień 8 sierpnia⁶².

Do końca 1950 r. oddano zaplanowane 54 domy (na osiedlach A-1 i A-0), z przeznaczeniem na zakwaterowanie zbiorowe, rodzinne, a także pomieszczenia biurowe. Obiekty te służyć miały wyłącznie potrzebom przedsiębiorstw zaangażowanym na budowie. Ponadto dla tych samych celów zaplanowano w Krakowie wystawienie 7 budynków w ramach tzw. budownictwa rozproszonego, nadzorowanego przez ZOR, z których do końca 1950 r. wykonano trzy⁶³. W 1949 r. ZOR miał także przystąpić do budowy domów w dzielnicy Grzegórzki i w miejscowości Lubocza (2 do 3 domów), z możliwością przeniesienia ich budowy w inne miejsce⁶⁴.

Miasto zaczęło budować na terenie technicznie nieprzygotowanym, pokrytym gliniastymi lessami, które po opadach zamieniały się w błoto, grzęzli ludzie i sprzęt. Założenia urbanistyczne Nowej Huty zaprojektował zespół pod kierunkiem Tadeusza Ptaszyckiego. Byli w nim: Adam Fołtyn, Janusz Ingarden, Stanisław Juchnowicz, Tadeusz Rembiesa, Bolesław Skrzybałski, Zbigniew Sieradzki⁶⁵. Założenia omówione zostały w artykułach samego Ptaszyckiego, publikowanych równocześnie z realizowanym miastem, a obecnie np. przez prof. Stanisława Juchnowicza, uczestnika prac, czy Waldemara Komorowskiego (cytowanych także w tym tekście). W 1953 r. Ptaszycki pisał: „Zespół urbanistyczny Nowa Huta obejmuje kombinat przemysłowy, stutysięczne miasto Nowa Huta, port i urządzenia wodne na Wiśle, trasy sieci komunikacji tramwajowej, trasy sieci przemysłowej (gaz, elektryczność, ogrzewanie zdalaczynne, telekomunikacja), tereny urządzeń kanalizacyjnych i wodociągowych dla zespołu oraz zakłady pomocniczej produkcji i bazy materiałowe dla budowy. Obszar zainwestowania wynosi ok. 60 km kw., zlokali-

zowany jest na terenie wysokiego brzegu Wisły [...]”⁶⁶. Przy pracach planistycznych miasta wykorzystano układy historycznych dróg: Kraków–Czyżyny–Pleszów (dalej na Sandomierz) i Kraków–Czyżyny–Kocmyrzów (dalej do Proszowic) oraz dolinę rzeki Dłubni i w ten układ wkomponowano plan miasta⁶⁷.

Plan generalny przedstawiono na posiedzeniu Biura Politycznego PZPR 10 lutego 1950 r., z udziałem inż. Ptaszyckiego jako głównego projektanta miasta Nowa Huta. W protokole posiedzenia zanotowano: „Po przedyskutowaniu projektu planu generalnego i orientacyjnych założeń architektoniczno-urbanistycznych: a) uznano za właściwy układ schematyczny miasta oraz jego lokalizację; b) przyjęto zasadę skoncentrowania zabudowy miejskiej o typie zabudowy dużego miasta (skali miasta wojewódzkiego); c) ulica prowadząca do administracji huty winna być ukształtowana jako ulica wielkomiejska, z rozwiniętym handlem wielkomiejskim, z pewnymi budynkami monumentalnymi [...]; h) zwrócono uwagę przy kompozycji centrum na słuszne ustawienie domu kultury, [domu] Partii, gmachu związków zawodowych i Rady Miejskiej we wzajemnym powiązaniu [...]”⁶⁸. Z projektem centrum miasta (plac Centralny i jego okolice to dzieło Ptaszyckiego i Ingardenów) Sekretariat BP PZPR zapoznał się 19 maja 1952 r. Zaakceptowano rozwiązania urbanistyczne wskazując na konieczność „uzyskania akcentów wysokościowych”, wyeliminowania podcieni i portyków, wzbogacenia „detalu architektonicznego”⁶⁹. Po uwzględnieniu wniosków z tych posiedzeń przez zespół planistyczny, generalny plan miasta zatwierdziło Ministerstwo Budownictwa Miast i Osiedli 30 czerwca 1952 r.⁷⁰

W 1950 r. rozpoczęto budowę osiedla C-2, a następnie C-1 położonych na gruntach gromady Bieńczyce, w pobliżu drogi prowadzącej z Czyżyn do Kocmyrzowa i przebiegającej wzdłuż tej drogi linii kolei kocmyrzowskiej. W peryferyjnej części osiedla C-2 Północ (os. Krakowiaków) początkowo wznoszono typowe domy Adamskiego usytuowane przy wijących się uliczkach⁷¹, ale pozostała jego część jest dziełem Janusza Ingardena. Waldemar Komorowski pisze, że „Zespół C-2 stał się pierwszym w Nowej Hucie poligonem doświadczeń [..] na drodze odchodzenia od zabudowy rozproszonej [...] do układów zwartych [...]”, a zasady wypracowane podczas projektowania osiedla stosowano do 1955 r.⁷² Obrzeża osiedla C-2 Południe (os. Górali)

⁶² AP AKr, CUP Kr 74, Pismo dyrektora Biura Regionalnego CUP w Krakowie B. Oyrzanowskiego do generalnego dyrektora PKPG Cz. Bąbińskiego, 11 sierpień 1949. Kolejne raporty z postępu prac zob. AP Kr, WKPG 104.

⁶³ I. Paczyńska, cyt., s. 191; W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura Nowej Huty lat pięćdziesiątych. Historia i współczesność*, [w:] *Dziedzictwo kulturowe Nowej Huty w rozwoju obszaru strategicznego Kraków-Wschód. Materiały konferencyjne 13–15 marca 1997*, Kraków 1997, s. 104.

⁶⁴ AP Kr, CUP 74, Główne postanowienia powzięte na konferencji w dniu 8 kwietnia 1949 r. w Departamencie Inwestycji PKPG w sprawie budowy Nowej Huty.

⁶⁵ W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura Nowej Huty 1949–1959*, „Rocznik Krakowski”, t. 71, Kraków 2005, s. 194.

⁶⁶ T. Ptaszycki, *Nowa Huta*, „Architektura” 1953, nr 3, s. 72. Artykuł wzbogacają fotografie trzech makiet z 1951 r., prezentujące oś śródmiejską miasta Nowej Huty, na których uwidocznione są niezrealizowane obiekty: obelisk, dom kultury z teatrem, plac ratuszowy z ratuszem, 7 fotografii obiektów zrealizowanych (typowe domy Adamskiego i budynek przedszkola projektu Marty Ingarden) wraz zieleńcami oraz 2 fotografie obiektów w trakcie realizacji zabudowy obrzeżnej.

⁶⁷ S. Juchnowicz, *Nowa Huta – z doświadczeń warsztatu planistycznego*, [w:] *Nowa Huta – architektura i twórcy miasta idealnego...*, s. 28; S. Juchnowicz, *Koncepcja urbanistyczno-architektoniczna Nowej Huty oraz możliwości jej dalszego rozwoju i przekształceń*, [w:] *Dziedzictwo kulturowe...*, s. 141–144.

⁶⁸ *Centrum władzy: protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970*. Oprac. A. Dudek, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2000, dok. 5 (s. 40–41).

⁶⁹ AAN, KC PZPR, 1952 t. 25, Protokół nr 174 posiedzenia Sekretariatu BP w dniu 19 maja 1952.

⁷⁰ A. Kochański, cyt., s. 450.

⁷¹ J. Goryński, *Zagadnienia realizacyjne miasta...*, s. 35; W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 193.

⁷² W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 193.

tworzą ciągłą zabudowę, utrzymaną na C-1 (os. Teatralne) i w kolejno powstających osiedlach.

W tym czasie wykreowano na przodownika pracy m.in. Piotra Ożańskiego z 51. brygady ZMP⁷³. Z przodownikami przeprowadzano wywiady, ich zdjęcia ukazywały się w prasie, odznaczano ich i nagradzano. Pisano o nich wiersze, a malarze uwidaczniali na obrazach. Ich fotografie wystawiano w „alejach przodowników”. Przodownicy witali zagraniczne delegacje, wyjeżdżali na międzynarodowe kongresy. Nie wszyscy umieli unieść ciężar nagłej sławy⁷⁴.

Osiedle C-1 wzniesiono według planów Janusza i Marty Ingardenów, Zbigniewa Jaroszyńskiego, Ewy Mańkowskiej, Stanisława Reńskiego, Andrzeja Uniejewskiego, Tadeusza Uniejewskiego, Mariana Uramowskiego⁷⁵. Na C-2 i C-1 zastosowano nowe metody organizacji budowy i metody murarskie – system murarki zespołowej (dwójkowej i trójkowej), potokowy system pracy brygad⁷⁶. Pojawiły się pierwsze przyścienne dźwigi w drewnianej obudowie, betoniarki, specjalne samochody wywrotki, ciągniki i transportery, zaczęto w ograniczonym zakresie wprowadzać elementy prefabrykowane (nadproża żelbetonowe i elementy stropowe drobnowymiarowe)⁷⁷. Na osiedlu C-1 w latach 1951-1953 wybudowano wg projektu Andrzeja Uniejewskiego kino „Świt”⁷⁸ (wnętrza projektował Marian Sigmund) oraz w latach 1954-1955 Teatr Ludowy wg projektu Janusza Ingardena i Edmunda Dąbrowskiego (wnętrza – J. Ingarden i Krystyna Wąsowicz)⁷⁹. Kino zainaugurowało działalność 24 kwietnia 1953 r. pokazem filmu dyplomowego studentów Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej *Trzy opowieści* o „młodzieży pracującej na wielkich budowach, przy czym akcja pierwszej części toczy się w Nowej Hucie”. Po premierze odbyła się dyskusja z twórcami filmu: „przybyli tłumnie robotnicy, budowniczy Nowej Huty [...] zajmowali krytyczne stanowisko wobec niektórych szczegółów filmu. Wytknięto np. zbyt literacki język dialogów, brak dostatecznej motywacji przemian wewnętrznych bohaterów i nadmierną fragmentaryczność” pisze Tadeusz Gołaszewski⁸⁰. „Gazeta Krakowska” podała, że robotnicy „trafnie wskazali potknięcia scenariusza, wykazywali troskę o to, by film był lepszy, prawdziwszy, bardziej bojowy”. W konkluzji autor tej informacji napisał: „Autorzy dotknęli główne zagadnienia życia w momencie, kiedy choroba niektórych twórców jest w dalszym ciągu ucieczka od rzeczywistości”⁸¹.

⁷³ 66 232 cegły w 8 godzin pracy wbudował zespół Ożańskiego i Szczygła z 51 brygady ZMP w Nowej Hucie, „G.Kr.” 1950, nr 266 z 27 IX, s. 1. Rekord ten Piotr Ożański poprawiał dwukrotnie. Ożański stał się pierwowzorem Mateusza Birkuta w filmie Andrzeja Wajdy *Człowiek z marmuru* (scenariusz Aleksander Scibor-Rylski). Obraz Erwina Czerwenki *Nowa Huta* utrwała postać Ożańskiego, trzymającego w ręku cegłę.

⁷⁴ Zob. np. J. Żukowski, *Do nich należy zwycięstwo*, „G.Kr.” 1956, nr 173 z 22 VII, s. 3, 4.

⁷⁵ W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 193.

⁷⁶ T. Gołaszewski, cyt., s. 155–157.

⁷⁷ *Miastoprojekt Kraków 1951–1971*, Kraków 1971, s. 15.

⁷⁸ A. Uniejewski był także projektantem kina „Światowid”, dziś już nie istniejącego, wybudowanego w pobliżu Placu Centralnego.

⁷⁹ W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 193, 200; L.J. Sybila, *Historia wnętrz i ich twórcy w latach 1949–1959*, [w:] *Nowohucki design. Historia wnętrz i ich twórcy w latach 1949–1959*, Kraków 2007, s. 16.

⁸⁰ T. Gołaszewski, cyt. s. 499.

⁸¹ S. Morawski, „Trzy opowieści” czyli młodzież ocenia pracę młodzieży, „G.Kr.” 1953, nr 99 z 27 IV, s. 6.

W Teatrze Ludowym, którego dyrektorem i kierownikiem artystycznym została Krystyna Skuszanka, pierwszą wystawioną 3 grudnia 1955 r. sztuką byli *Krakowiaci i górale*. Ale już w 9 miesięcy po otwarciu teatru w jego pomieszczeniach rozprzestrzenił się grzyb – największy pod deskami sceny, na widowni i w piwnicach – informowała „Gazeta Krakowska”⁸².

W maju 1951 r. rozpoczęto budowę osiedli po drugiej stronie głównej osi miasta – B-2 Północ (os. Sportowe) i B-2 Południe (os. Zielone) naprzeciw budowanego zespołu C-2, stąd podobna architektura i usytuowanie na obrzeżu niewielkich domów, w sąsiedztwie ulicy nazwanej w końcu 1953 r. Bulwarową⁸³. Autorem projektu urbanistycznego był Stanisław Juchnowicz⁸⁴. W maju rozpoczęto także wznoszenie osiedla A-Zachód (os. Ogrodowe), którego projekt opracowano w Warszawie⁸⁵.

W połowie 1952 r. uruchomiono na os. A-1 Dom Handlu mieszczący na parterze sklepy MHD, a na piętrze restaurację „Gigant”, której wnętrza zaprojektował Marian Steczowicz⁸⁶. „W początkowym okresie działalności Domu Handlu nad utrzymaniem porządku i czystości w pomieszczeniach czuwać będzie społeczna komisja porządkowa, aby uchronić przed wyczynami nieobliczalnych chuliganów estetyczne i kosztowne urządzenia” – pisał Tadeusz Gołaszewski⁸⁷. Porządku nie udało się utrzymać, a w restauracji i na placu przed Domem Handlu dochodziło do częstych burd.

Realizacja osiedli powstających po zatwierdzeniu planu generalnego poprzedzona już była programem wyprzedzających inwestycji: dróg dowozowych, w ograniczonym zakresie ciągów kanalizacyjnych i wodociagowych⁸⁸. Urbanistyka była dziełem Stanisława Juchnowicza⁸⁹. Zespół B-1 (os. Szkolne) jako położony przy drodze do kombinatu ma cechy monumentalizujące, charakterystyczne dla innych osiedli budowanych przy tej ulicy i w centrum. Projekty architektoniczne powstały w Miastoprojekcie w pracowni Kazimierza Karasińskiego. W części tej od 1952 r. wznoszono budynki szkół zawodowych projektu Jana Suligi⁹⁰.

W 1954 r. na wschód od A-0 budowano A-25 (os. Młodości): zespół jedno- i dwupiętrowych hoteli robotniczych z pokojami umieszczonymi na mansardzie, zaprojektowanych w pracowni Lucjana Krajewskiego⁹¹. Od 1951 wznoszono szpital miejski na osiedlu A-O, zaprojektowany w formie wieloskrzydłowego zespołu przez warszawskich architektów Stefana Porębowi-

⁸² Cz. Breit, *Czy teatrowi w Nowej Hucie grozi przerwa w działaniu?* „G.Kr.” 1956, nr 245 z 13–14 X, s. 4.

⁸³ Dzielnicowa Rada Narodowa w Nowej Hucie nadała nazwy ulicom 22 października 1953 r. Zob. *Ulice Nowej Huty nareszcie otrzymały nazwy godne miasta socjalistycznego*, „G.Kr.” 1953, nr 266 z 7–8 XI, s. 6.

⁸⁴ T. Gołaszewski, cyt. s. 250; S. Juchnowicz, *Koncepcja urbanistyczno-architektoniczna...*, s. 152 (rys. 9); W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 197.

⁸⁵ T. Gołaszewski, cyt., s. 250; W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 197.

⁸⁶ T.Cz., *Nowoczesny Dom Handlu oraz imponujący lokal gastronomiczny otrzymali mieszkańcy Nowej Huty*, „G.Kr.” 1952, nr 160 z 5–6 VII, s. 4.

⁸⁷ T. Gołaszewski, cyt., s. 382.

⁸⁸ J. Goryński, *Zagadnienia realizacyjne miasta...*, s. 36.

⁸⁹ W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 197.

⁹⁰ T. Gołaszewski, cyt., s. 344–345; W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 197.

⁹¹ W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 199.

cza i Henryka Skrzyńskiego. Dwa pierwsze pawilony z oddziałami wewnętrznym, ginekologicznym i chirurgicznym otwarto w końcu kwietnia 1954 r. Dyrektorem szpitala został dr Stanisław Kostarczyk⁹².

Od połowy 1954 r. realizowano osiedle A-11 (os. Stalowe) wg projektu m.in. Włodzimierza Borkowskiego i Eryka Moja. „Nim jednak na osiedlu A-11 położona została pierwsza cegła, przez kilka miesięcy trwała żmudna praca przygotowawcza prowadzona przez inżynierów: opracowano szczegółowy projekt organizacji robót [...]. Ustawiono tu siedem dźwigów poruszających się na szynach” – pisze Tadeusz Gołaszewski⁹³. Było to pierwsze osiedle wznoszone wg nowych metod, w pełni uzbrojone, budowane metodą uprzemysłowioną. Zastosowano gotowe prefabrykaty (płyty stropowe, biegi schodowe i podesty). „Na budowie po raz pierwszy w Polsce zaczęły pracować brygady kompleksowe, reprezentujące w swoim składzie [...] prawie wszystkie zawody budowlane”⁹⁴.

Metody wypracowane przy wznoszeniu osiedla A-11 wykorzystywano przy projektowaniu i realizacji A-33 (os. Hutnicze), B-33 (os. Słoneczne) i C-33 (os. Urocze). Rozszerzono asortyment prefabrykatów (na ławy fundamentowe, bloki kominowe, bloki ścian wewnętrznych i wewnętrznych, skrzynie łazienkowo-kuchenne)⁹⁵. Na osiedlu A-33 bloki budowane w 1956 r. wzniesiono z elementów prefabrykowanych⁹⁶.

Zabudowę wokół placu Centralnego i przyległe osiedla A-31 (Centrum A), B-31 (Centrum B) i C-31 (Centrum C) realizowano w latach 1952–1956⁹⁷.

Centrum Administracyjne kombinatu składające się dwu symetrycznie ustawionych w stosunku do drogi dojazdowej z miasta budynków wznoszono w latach 1952–1954 r. wg projektu Janusza Ballenstedta i Ingardenów, powstałego w wyniku rozpisanego konkursu⁹⁸. Budynki z racji reprezentacyjnych wnętrz zwano „pałacami Dożów” lub „Watykanami”, a w 1956 r. ich fasady i wystrój spotkał się krytycznymi ocenami jako realizacja przekraczające potrzeby⁹⁹.

Przy budowie kolejnych osiedli nowohuckich propagowano współzawodnictwo pracy, wykorzystywano pracę brygad ZMP i PO SP, nawoływano do prac społecznych¹⁰⁰, aby dotrzymać narzuconych terminów oddawania kolejnych bloków. Ogromne tempo ich wznoszenia, braki materiałowe (ilość i jakość oraz opóźnienia w dostawach odbijały się na jakości pracy. Powszechne były narzekania na nienależyte wykonanie instalacji wodociągowej, kanalizacyjnej, sieci centralnego ogrzewania. Narzekania na brak wody i zimne kaloryfery były powszechne. Wszystkie te mankamenty określane brakoróbstwem były przedstawiane w trakcie licznych zebrań, jakie przetoczyły się przez Nową Hutę w 1956 r. W maju 1956 r. w „Gazecie Krakowskiej” pisano wręcz o „zastraszającej ilości przeróżnych usterek”. Mieszkańcy narzekali na brak balkonów, ubogie

wyposażenie mieszkań, czemu przeciwstawiano rozrzucone wykańczanie wnętrz sklepowych i pomieszczeń administracyjnych. Zwracano uwagę na pozbawione tynków elewacje domów¹⁰¹.

Postępująca odwilż i październikowy przełom oznaczały stopniowe odchodzenie od dotychczasowych założeń urbanistycznych. Wyrazem nowych tendencji był blok zwany szwedzkim (projekt Ingardenów) wybudowany na osiedlu B-32 (os. Szklane Domy), a na osiedlu C-32 (os. Zgody) blok zwany popularnie Świątem Dziecka. W połowie 1956 r. przystąpiono do realizacji zabudowy części D planu. Budynki zachodniej części osiedla D-31 (Centrum D) musiały architektonicznie współgrać z budynkiem przyległym do placu Centralnego. Od 1957 realizowano zabudowę osiedla D-3 (os. Handlowe), D-1 (os. Spółdzielcze) i D-2 (os. Kolorowe)¹⁰².

Obecnie ocenia się pracę zespołu Ptaszyckiego jako najlepszą realizację urbanistyczną okresu powojennego, zakładającą budowę miasta organizującego życie społeczności dla potrzeb wielkiego zakładu, a obszar do ulicy Kocmyrzowskiej pozostaje pod ochroną konserwatorską. W artykule Renaty Radłowskiej *Inżynier, który wymyślił Nową Hutę* współpracownik Tadeusza Ptaszyckiego – Stanisław Juchnowicz tak scharakteryzował swojego kolegę: „Energia, intuicja, wyobraźnia, życzliwość. Jeżeli Nowa Huta powstała, to tylko dlatego, że Ptaszycki potrafił w tym całym zamęcie błyskawicznie podejmować decyzje. To była twarda szkoła kompleksowego projektowania w naprawdę ekstremalnych warunkach. On trzymał Nową Hutę w kupie, bez niego wszystko by się rozpadło, statek poszedłby na dno. Dla ludzi budował, a nie dla mas. On w partii nie był, on z partią się nie liczył”, a architekt Tadeusz Binek: „Rozmach i pasja, tak kojarzy mi się Ptaszycki”¹⁰³. Nie tak dawno zarząd dzielnicy XVIII (Nowa Huta) postanowił Ptaszyckiego „złustrować” w Instytucie Pamięci Narodowej, w reakcji na wniosek wmurowania tablicy pamiątkowej upamiętniającej tego wybitnego architekta¹⁰⁴.

W 1957 r. planowane miasto (od 1951 r. dzielnica Krakowa) było w zasadzie gotowe, przy zaniedbanu towarzyszącego budownictwu mieszkaniowemu zaplecza socjalno-usługowego i kulturalnego¹⁰⁵. W 1960 r. Nowa Huta osiągnęła zakładaną liczbę mieszkańców.

Budowa kombinatu

Prace związane z budową huty miały w 1949 r. charakter przygotowawczy – łączyły się z wyznaczonymi na wspomnianej konferencji z 8 kwietnia tego roku, a więc pomiarowymi, częściowym wykonaniem bocznic kolejowej i nawierzchni żuźlowej na placach wyładowniczych, rozpoczęciem budowy stopnia wodnego

⁹² Nowa Huta otrzymała szpital, „G.Kr.” 1954, nr 103 z 1–2 V, s. 4.

⁹³ T. Gołaszewski, cyt., s. 699–700; W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 197.

⁹⁴ *Miastoprojekt Kraków 1951–1971*, s. 15.

⁹⁵ Tamże, s. 15.

⁹⁶ W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 203.

⁹⁷ Tamże, s. 203.

⁹⁸ T. Gołaszewski, cyt., s. 301–304.

⁹⁹ Np. *Fasadowicze*, „G.Kr.” 1956, nr 11 z 13 I, s. 3.

¹⁰⁰ T. Gołaszewski, cyt., s. 324–325, 428–429 i in.

¹⁰¹ Por. np. A.W., *Co zrobiono dla mieszkańców Nowej Huty?* G.Kr. 1956, nr 113 z 12–13 V, s. 2; *O Nowej Hucie – projektant, wykonawca, użytkownik*, G.Kr. 1956, nr 149 z 23–24 VI, s. 4.

¹⁰² W. Komorowski, *Urbanistyka i architektura...*, s. 204–209; W. Komorowski, *Wartości kulturowe Nowej Huty. Urbanistyka i architektura*, [w:] *Nowa Huta przeszłość i wizja...*, s. 106–107.

¹⁰³ „Gazeta Wyborcza” (dodatek „Kraków”) z 3 stycznia 2008. T. Binek był pracownikiem Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta.

¹⁰⁴ R. Kozik, R. Radłowska, *Nie wolno zapominać o historii*, „Gazeta Wyborcza” (dodatek „Kraków”) 2008 z 31 I. W krakowskim IPN są akta rozpracowania Tadeusza Ptaszyckiego (sygn. 010/2328).

¹⁰⁵ K.Z. Sowa, *Nowa Huta jako społeczne i gospodarcze uprzedmiotowienie nowego ustroju*, [w:] *Dziedzictwo kulturowe...*, s. 47.

na Wiśle i elektrycznej sieci przemysłowej. W związku z tym umieszczono w końcu września 1949 r. najpierw w zagrodzie chłopskiej w Pleszowie, a w maju roku następnego w murowanym budynku dawnego folwarku Biuro Połowe dyrekcji PPW kierowane przez inż. Alojzego Cyrulika¹⁰⁶.

W grudniu 1949 r. Gipromez przekazał projekt wstępny (44 tomy), oceniony przez Główną Komisję Oceny Projektu specjalnie powołaną do tego celu, i 12 podkomisji branżowych. Ich uwagi zostały przedyskutowane w CZPH. W styczniu 1950 r. przedstawiciele Gipromezu byli w Polsce, zapoznali się z zastrzeżeniami, uwzględnionymi w toku dalszych prac projektowych. Projekt został zatwierdzony przez Komitet Budowy Nowej Huty, a ostatniego stycznia 1950 r. przez PKPG, po czym wraz z uwagami przekazano go do Moskwy do Ministerstwa Czarnej Metalurgii¹⁰⁷. Projekty architektoniczno-budowlane nadesłał Gipromez w czwartym kwartale 1950 r. Dla przystosowywania projektów radzieckich do polskich wymogów, a także dla prowadzenia prac drogowych, kolejowych, wodno-melioracyjnych i budowlanych w oparciu o projekty wykonane w kraju utworzono we wrześniu 1950 r. Biuro Projektów w PPW kierowane przez inż. Henryka Bazylewicz¹⁰⁸. Utworzono także Dział Projektowy planowania budowy.

Dyrekcja PPW już na podstawie projektu wstępnego przystąpiła do opracowania sposobu jego realizacji na głównym placu budowy kombinatu. Ze względu na duże zapotrzebowanie na materiały budowlane przystąpiono w sierpniu 1950 r. do tworzenia Zestawickich Zakładów Ceramiki Budowlanej (uruchomione w kwietniu 1952 r.) oraz Zakładów Prefabrykacji w Łęgu (częściowy rozruch w połowie 1951 r., zakończenie budowy w 1956 r.), a później – Zakładu Materiałów Ogniotrwałych (ukończony w 1954 r.)¹⁰⁹. Na budowę ściągano z całej Polski wysokiej klasy specjalistów inżynierów i techników oraz wykwalifikowanych robotników oddelegowywanych do Krakowa. Podstawową siłą roboczą byli zwerbowani robotnicy, przede wszystkim niewykwalifikowani, oraz młodzież z ochotniczych brygad ZMP oraz PO SP.

Właściwe roboty budowlane rozpoczęły się 24 kwietnia 1950 r. Kontynuowano budowę zewnętrznej sieci komunikacyjnej (drogi, boczne kolejowe, mosty). Wybudowano 80 baraków przeznaczonych na magazyny, warsztaty remontowe dla maszyn budowlanych, administrację (pod koniec września 1951 r. przeniesiono z Krakowa na teren budowy część biur PPW)¹¹⁰. Postawiono pierwsze garaże, stację obsługi samochodów, dwie wytwórnie betonu, prowizoryczną parowozownię, zaplecze socjalne i ogólnousługowe. Rozpoczęto zbrojenie właściwego obszaru kombinatu. Oznaczano to doprowadzenie wody, budowę kanalizacji, sieci gazowej, rozległej sieci dróg kołowych i torów kolejowych¹¹¹. Przystąpiono do budowy wydziałów pomocniczych – kolejno powstawały: Warsztat Konstrukcji Stalowych,

uruchomiony jako pierwszy wydział produkcyjny w połowie grudnia 1951 r.¹¹², w 1952 r. Warsztaty Mechaniczne, Kuźnia, Parowozownia, Stolarska, dwa piece elektryczne Odlewni Staliwa. Budowano inne obiekty, w sumie – jak pisze Jan Anioła – 160, oraz wiele kilometrów dróg wewnętrznych, linii przesyłowych energii elektrycznej, rurociągów różnego rodzaju, kontynuowano inwestycje na Wiśle itd.¹¹³ W listopadzie 1952 r. uruchomiono linię tramwajową nr 5 od Ronda Mogińskiego do kombinatu¹¹⁴.

W 1953 r. planowano znaczne zwiększenie nakładów finansowych na budowę kombinatu, tak aby w roku następnym uzyskać surówkę z wielkiego pieca. W tym roku zwiększyły się dostawy urządzeń zarówno z ZSRR, jak i od przedsiębiorstw krajowych, a z podwykonawców zatrudnionych na placu budowy największe zadania przypadły „Mostostalowi” z Gliwic i Zjednoczeniu Budowy Pieców Przemysłowych. W marcu funkcję dyrektora działu inwestycji w dyrekcji PPW objął inż. Zbigniew Loreth¹¹⁵.

Prezydium Rządu przyjęło 4 maja uchwałę nr 328 w sprawie ustalenia generalnych zasad budowy i oddawania do użytku pierwszego etapu budowy kombinatu. Wyznaczono terminy oddania do eksploatacji podstawowych obiektów produkcyjnych, zobowiązano poszczególne ministerstwa do terminowej dostawy konstrukcji stalowych, maszyn, różnych urządzeń, materiałów ogniotrwałych, maszyn budowlanych dla zwiększenia mechanizacji pracy. Zjednoczenie Przemysłowe Budowy Nowej Huty miało zwiększyć zatrudnienie, by uzyskać pełną obsadę drugiej i trzeciej zmiany. Cały naród miał traktować budowę jako kluczową i najważniejszą¹¹⁶.

Następnego dnia przeprowadzono w kombinacie ogólnopolską naradę z udziałem przedstawicieli przedsiębiorstw wykonujących urządzenia dla huty, PKPG, ministrów budownictwa przemysłowego (Czesława Bąbińskiego) i hutnictwa (Kiejstuta Žemaitisa), KC PZPR (wydziałów Przemysłu Ciężkiego, Propagandy, Prasy i Wydawnictw) i innych osób¹¹⁷. Kolejną naradę tym razem z przedstawicielami prasy i literatów urządzono w kombinacie 11 maja¹¹⁸, a następnego dnia w sali teatru Nurt – obrady Kolegium Ministerstwa Kultury i Sztuki prowadzone przez ministra Włodzimierza Sokorskiego. Poinformowano, że pełnomocnikiem do spraw kultury w Nowej Hucie został wiceminister Stanisław Piotrow-

¹⁰⁶ T. Gołaszewski, cyt., s. 81–82.

¹⁰⁷ A. Koczański, cyt., s. 311; T. Gołaszewski, cyt., s. 85–87, 93–94.

¹⁰⁸ T. Gołaszewski, cyt., s. 135.

¹⁰⁹ T. Gołaszewski, cyt., s. 125, 127, 275; *Największe w kraju Zakłady Prefabrykacji oddane do wstępnej eksploatacji*, „G.Kr.” 1956, nr 198 z 20 VIII, s. 1.

¹¹⁰ T. Gołaszewski, cyt., s. 273.

¹¹¹ J. Anioła, *Huta im. Lenina*, Warszawa 1954, s. 38.

¹¹² Tamże, s. 42–47; T. Gołaszewski, cyt., s. 294–296.

¹¹³ J. Anioła, *Huta im. Lenina*, s. 42–60; T. Gołaszewski, cyt., s. 347–349, 419, 433–435, 435, 445, 457.

¹¹⁴ Jednakże, jak pisze Tadeusz Gołaszewski (s. 666–667), „tramwaj stał się na przełomie r. 1952 i 1953 jedną z wielkich bolączek załogi: nigdy nie wiadomo było, o której ruszy z przystanku, ani też kiedy dotrze do celu. Powodem tej nieregularności były częste awarie podstacji elektrycznej, przewodów napowietrznych, a nawet dość częste wyskakiwanie wozów tramwajowych z szyn”. Dochodziły do tego częste wypadki oraz stałe przeciążenie wagonów. Linię tramwajową nr 15 Rondo–Pleszów, do bramy Zakładu Koksochemicznego uruchomiono w końcu marca 1954 r. Dojeżdżano nią także do Zakładu Materiałów Ogniotrwałych, Wielkich Pieców i Aglomerowni; linię tramwajową nr 14 os. C-1 – Kombinat oddano do użytku z początkiem czerwca tego roku (T. Gołaszewski, cyt., s. 667, 694–695).

¹¹⁵ Tamże, s. 489–490.

¹¹⁶ „G.Kr.” 1953, nr 106 z 5 V, s. 1; T. Gołaszewski, cyt., s. 505–506. Uchwałę zmieniano 16 czerwca i 26 października 1954 r.

¹¹⁷ T. Gołaszewski, cyt., s. 507–508; *Ogólnopolska narada w kombinacie Nowa Huta*, „G.Kr.” 1953, nr 106 z 5 V, s. 1.

¹¹⁸ *Ogólnopolska narada przedstawicieli prasy i literatów w Nowej Hucie*, „G.Kr.” 1953, nr 112 z 12 V, s. 1.

ski, przyjęto obszerną uchwałę opublikowaną przez „Gazetę Krakowską”¹¹⁹. W maju i czerwcu odbyło się kilka innych spotkań mających na celu mobilizację do prac na rzecz Nowej Huty, z których warto wymienić posiedzenie naukowe Wydziału IV Nauk Technicznych PAN zorganizowane 29 czerwca w Nowej Hucie, m.in. z referatem prof. Romualda Cebertowicza *Grunty budowlane w Nowej Hucie w związku z dalszym prowadzeniem robót* i następnego dnia posiedzenie naukowe Komitetu Inżynierii Lądowej PAN¹²⁰. Dopiero teraz w opublikowanym w „Gazecie Krakowskiej” artykule prof. Michała Łunca, zastępcy sekretarza Wydziału Nauk Technicznych PAN, można było przeczytać: „Tereny w pobliżu Krakowa nie nadają się do rozległych zabudowań przemysłowych. I tu zaczęły się trudności, dla pokonania których zwrócono się do naukowców”. Dalej prof. Łunc pisze o pracy prof. Cebertowicza i jego współpracowników dla ustalenia właściwości gruntu lessowego oraz opracowania metody ochrony wznoszonych obiektów przed zniszczeniem na skutek zapadania się gruntu i ustalenia sposobu odwodnienia całego terenu budowy¹²¹.

W prasie rozpoczęto wielką akcję propagandową pod hasłami „Cały Naród buduje Nową Hutę”, ze wzmożoną siłą wzywano do współzawodnictwa pracy i przyjmowania zobowiązań¹²². W Krakowie akcję prowadzono także pod hasłami „Kraków – swej najmłodszej dzielnicy Nowej Hucie”, „Kraków – Nowej Hucie”, „Pomożemy Nowej Hucie” i podobnych. Wzywano wszystkich pracujących i uczącą się młodzież do przepracowania w czynie społecznym na placach budowy miasta i kombinatu określonej liczby godzin. Prasa krakowska zamieściła wiele informacji o społecznej pracy różnych grup mieszkańców miasta. W jednej z nich donoszono, że studenci Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej „przepracowali 1680 roboczogodzin wykonując przekopy, nosząc deski i sortując je. Wraz ze studentami pracowali asystenci, jak tow. tow. [Czesław] Banach i [Stanisław] Burkot. Na wyróżnienie zasługuje grupa towarzyszy [Bronisława] Pydzińskiego i tow. A[ndrzej] Kozaneckiego. Po pracy studenci zwiedzili kombinat podziwiając osiągnięcia robotników, techników i inżynierów w Nowej Hucie. Wrócili pełni dumy, że przyczynili się do budowy naszego socjalistycznego miasta”¹²³.

Zgodnie z uchwałą Prezydium Rządu w maju rozpoczęto prace przy Walcowni Zgniatacz; do tej budowy powołano oddzielny Zarząd Budowlany¹²⁴. Postępowały prace przy budowie Wielkich Pieców¹²⁵, Zakładu Materiałów Ogniotrwałych¹²⁶, Zakładu Koksochemicz-

nego¹²⁷, Siłowni¹²⁸, w październiku rozpoczęto prace przy Walcowni Gorącej Blach, największej hali w całym kombinacie¹²⁹. W marcu uruchomiono Tlenownię, w kwietniu Odlewnię Żeliwa¹³⁰, w listopadzie przekazano piece wypalające Wydziału Szamotowego Zakładu Materiałów Ogniotrwałych¹³¹.

Pod koniec 1953 r. wiele obiektów było na ukończeniu, a maszyny i urządzenia znajdowały się w fazie rozruchu. 20 stycznia 1954 r. Rada Państwa i Rada Ministrów przyjęła uchwałę o nadaniu Zakładom Metalurgicznym w Nowej Hucie nazwy Huta imienia Lenina¹³². 1 marca 1954 r. inż. Antoni Czechowicz, dotychczasowy dyrektor Huty Stalowa Wola został dyrektorem naczelnym kombinatu. Jana Aniołę przeniesiono do Ministerstwa Hutnictwa, gdzie kierował Departamentem Budowy Nowych Hut¹³³.

W marcu 1954 r. rozpoczęto montaż urządzeń Walcowni Zgniatacz¹³⁴, rozpoczął pracę Wydział Szamotowy Zakładu Materiałów Ogniotrwałych¹³⁵, w maju zakończono prace przy stopniu wodnym na Wiśle¹³⁶, w lipcu przekazano turbogenerator w Siłowni¹³⁷. Trwała budowa ponad 300 obiektów¹³⁸.

W kwietniu nadszedł pierwszy transport rudy z Krzywego Rogu¹³⁹. Na okres rozruchu podstawowych wydziałów metalurgicznych rząd mianował 22 maja swych pełnomocników – ministrów Żemaitisa i Bąbińskiego¹⁴⁰. Pierwszy spust surówki z Wielkiego Pieca nr 1 nastąpił 22 lipca 1954 r.; towarzyszyła temu manifestacja z udziałem wicepremiera, zastępcy przewodniczącego PKPG, ministrów hutnictwa i budownictwa przemysłowego, delegacji radzieckiej z Zybinem na czele¹⁴¹. W końcu roku rozpoczęła produkcję Aglomerownia¹⁴².

W 1955 r. uruchamiano kolejne obiekty Stalowni Martenowskiej, rozpoczęła pracę Walcownia Zgniatacz, Wielki Piec nr 2, kolejne elementy Siłowni, baterie koksownicze. W 1956 r. uruchomiono – Walcownię Gorącą Blach, dwa lata później Walcownię Zimną Blach, a w 1959 r. Wydział Rur Zgrzewanych¹⁴³.

Oznaczało to zakończenie budowy kombinatu, w którym produkcja osiągnęła 1,5 mln ton stali rocznie oraz zamknięty został pełny cykl produkcyjny. Ukończenie budowy pierwszego etapu ogłoszono już

¹²⁷ T. Gołaszewski, cyt., s. 492, 571–573, 625–627, 655.

¹²⁸ Tamże, s. 520, 554, 576, 583, 611.

¹²⁹ Tamże, s. 596–597. O wielkości Walcowni zob. J. Anioła, *Huta im. Lenina*, s. 104.

¹³⁰ T. Gołaszewski, cyt., s. 499; J. Anioła, *Huta im. Lenina*, s. 61–67.

¹³¹ T. Gołaszewski, cyt., s. 616–617.

¹³² „Monitor Polski” 1954, nr A-8, poz. 173. Nadanie imienia nastąpiło następnego dnia, jak pisze T. Gołaszewski, cyt., s. 648–649 podczas uroczystej akademii, na której wystąpili w części artystycznej Krakowska Orkiestra i Chór Polskiego Radia, pianistka Regina Smendzianka i artyści Teatru Poezji.

¹³³ *Kryptonim „Gigant”...*, s. 55. W 1955 r. Jan Anioła został dyrektorem Biura Studiów i Projektów Hutnictwa „Biprostal” w Krakowie, potem przeszedł do Akademii Górniczo-Hutniczej, z którą był związany od 1952 r.

¹³⁴ T. Gołaszewski, cyt., s. 658,

¹³⁵ Tamże, s. 686.

¹³⁶ Tamże, s. 684.

¹³⁷ Tamże, s. 707–709.

¹³⁸ Tamże, s. 693.

¹³⁹ Tamże, s. 677.

¹⁴⁰ Tamże, s. 690.

¹⁴¹ Tamże, s. 710–714.

¹⁴² *Agglomerownia Huty im. Lenina rozpoczęła produkcję, „Kr.”* 1954, nr 305 z 23 XII, s. 1.

¹⁴³ Szerzej zob. np. J. Choma, *Z historii wielkiej budowy, [w:] Huta im. Lenina 1950–1970*, red. J. Bittner, Kraków 1971, s. 46–58.

¹¹⁹ *Uchwała rozszerzonego Kolegium Ministerstwa Kultury i Sztuki na sesji wyjazdowej w Nowej Hucie, „G.Kr.”* 1953, nr 114 z 14 V, s. 1; T. Gołaszewski, cyt., s. 512–513. Poinformowano o upaństwowieniu teatru Nurt, zapowiedziano powstanie młodzieżowego zespołu pieśni i tańca.

¹²⁰ *Sesja naukowa PAN w Nowej Hucie stała się jeszcze jednym ogniwem łączącym myśl naukową z wielkimi budowlami socjalizmu, „G.Kr.”* 1953, nr 155 z 1 VII, s. 1.

¹²¹ M. Łunc, *Naukowcy pomagają budować Nową Hutę, „G.Kr.”* 1953, nr 156 z 2 VII, s. 3.

¹²² T. Gołaszewski, cyt., s. 515–518.

¹²³ *Dziś tylko o PWSP, „G.Kr.”* 1953, nr 249 z 17–18 X, s. 4.

¹²⁴ T. Gołaszewski, cyt., s. 510.

¹²⁵ Tamże, s. 518, 536, 547, 549, 550, 601, 627.

¹²⁶ Tamże, s. 535–536, 557–558, 582–583, 588–589, 593–595, 601, 616; J. Anioła, *Huta im. Lenina*, s. 69–75.

w listopadzie 1956 r. Z tej okazji odbyła się 3 listopada uroczysta akademicka z udziałem Czesława Bąbińskiego, wtedy jeszcze wiceministra budownictwa¹⁴⁴.

By dotrzymać zaplanowane terminy przekazywania poszczególnych obiektów oddawano je nie w pełni wykończone, np. jeszcze w marcu 1954 r. dotyczyło to zaplecza Warsztatów Remontowych¹⁴⁵. Postępująca w kraju odwilż ujawniała fakty dotąd skrywane. Okazało się, że komisje odbioru przyjmowały obiekty z usterkami. W czerwcu 1956 r. w „Gazecie Krakowskiej” podano, że co piąty wypadek w hucie spowodowany był nieukończeniem inwestycji. Przypomniano zbiorowe zatrucie w 1955 r. 70 pracowników w Stalowni, gdyż „do izolacji kanału zamiast piasku użyto guzu, cegły, podobno znalazły się nawet połamane taczki”. Nieraz przy uruchamianiu poszczególnych elementów liczone „na szczęśliwy traf, że może się uda i nie będzie wypadku”. Wiele wydziałów huty pozbawionych było wentylacji¹⁴⁶. O wybudowanej suszarni w Zesławickich Zakładach Ceramiki Budowlanej można przeczytać we wspomnieniach nadesłanych na przywołany tu już konkurs. Suszarnię zbudowano tak, że wskutek usterek dochodziło tam do zatrucia robotników¹⁴⁷. W innym wspomnieniu z kolei podane są okoliczności uruchomienia rozdzielni elektrycznej w Krzesławicach dla potrzeb miasta Nowa Huta, które doprowadziły do poważnego wypadku¹⁴⁸.

Podjęto decyzje o rozbudowie kombinatu; w 1959 r. przystąpiono do II etapu budowy – celem było zwiększenie produkcji do 3,3 mln ton stali i rozszerzenie asortymentu produktów finalnych. W 1966 r. przystąpiono do III etapu – produkcja stali miała osiągnąć 5,5 mln ton, ale i ten limit został zwiększony, a w 1977 r. produkcja osiągnęła 6,7 mln. ton. Wymuszało to z kolei rozbudowę zakładów towarzyszących oraz budowę kolejnych osiedli mieszkaniowych i prowadziło – wobec wzmożonej industrializacji i wybudowania w Skawinie w latach 1952–1954 Huty Aluminium – do klęski ekologicznej. Postępująca rozbudowa dzielnicy mieszkaniowej spowodowała, że załamała się pierwotna koncepcja urbanistyczna.

Podsumowanie

Tak powstało miasto i kombinat w polu zboża i błocie, występującym – jak przeczytałam w jednym z artykułów z 1952 r. – „w katastrofalnej wprost formie”¹⁴⁹.

Trudno to sobie wyobrazić i zrozumieć, zwłaszcza gdy czyta się ówczesne dokumenty Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie, Komitetu Powiatowego PZPR w Nowej Hucie, sprawozdania Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej, informacje o pracy brigad ZMP i Powszechnej Organizacji Służba

Polsce, sprawozdania przedsiębiorstw budujących miasto i kombinat, sprawozdania z wizytacji budowanego kombinatu i miasta itd. Przynoszą one przerażający obraz warunków pracy i bytu zatrudnionych ludzi, marnotrawstwa i złodziejstwa. Jak poważny był to problem, świadczą chociażby rozprawy przeprowadzane przez Sąd Wojewódzki w Krakowie na sesjach wyjazdowych w Nowej Hucie¹⁵⁰.

Dokumenty wskazują na absencję i brak stabilizacji zatrudnienia, na porzucanie pracy, niskie zarobki i skandaliczny stan stołówek, na szerzące się pijaństwo i prostytucję, zwracając uwagę na hotele pracownicze, które jawią się jako miejsca nasilonej patologii. O barakach w Pleszowie, w których mieszkało ok. 4 tys. ludzi, pisano Meksyk. Akcentuje się niedostatki zaplecza handlowego i kulturalnego, itd. Były przypadki rozboju, czemu zaradzić miały procesy pokazowe. O jednym z nich, przeprowadzonym na osiedlu A-1 przed budynkiem pierwszej poczty, pisze uczestniczka wzmiankowanego konkursu¹⁵¹. W Krakowie mówiono: „Nie jedź bracie do Nowej Huty, bo ci po drodze skradną buty”¹⁵². Z dokumentów wynika, że podejmowane są uchwały i decyzje mające zaradzić tej sytuacji, ale właściwie przełom w traktowaniu spraw społecznych wywołał *Poemat dla dorosłych* Adama Wazyłka, opublikowany 21 sierpnia 1955 r. w „Nowej Kulturze”.

Zgoła inny obraz daje codzienna prasa krakowska i wychodzące w Nowej Hucie pismo „Budujemy Socjalizm” pokazujące niebywały wysiłek, ogrom pracy i współzawodnictwo. Negatywny wymiar budowy co prawda pojawia się, ale jest jakby na uboczu, a spostrzeżeniom krytycznym towarzyszy optymistyczny opis poczynań aktywno zwalczającego zło. Dopiero pełniejszy obraz Nowej Huty z publikacji prasowych wyłania się w 1956 r.

Nowa Huta – kombinat i miasto (od marca 1951 r. dzielnica Krakowa) powstały pomimo:

- braku doświadczenia w budowie od podstaw nowego miasta i kombinatu;
- wielkiego niedostatku wykwalifikowanych kadr (kombinat i budujące się miasto stało się miejscem zdobywania elementarnych kwalifikacji dla podstawowej rzeszy pracowników);
- trudności z pracami projektowymi;
- konieczności dostosowywania projektów powstałych w ZSRR do polskich warunków;
- braku dostatecznej ilości materiałów, maszyn, urządzeń i aparatury;
- ogromnego tempa prac związanego z założonymi krótkimi terminami rozpoczęcia produkcji;
- braku odpowiedniej sieci transportowej;
- niedostatecznie rozwiniętego transportu publicznego dla dowozu pracowników z Krakowa i szerszego zaplecza;

¹⁴⁴ *Święto budowniczych Huty im. Lenina*, „G.Kr.” 1956, nr 263 z 3–4 XI, s. 3; J. Girtel, *Huta została zbudowana*, tamże, s. 3–4; *Huta im. Lenina jest i pozostanie na zawsze historycznym osiągnięciem całego narodu. Uroczysta akademicka w kombinacie*, tamże, nr 264 z 5 XI, s. 2.

¹⁴⁵ J. Nagórzański (organizator partyjny KC PZPR w HiL), brak tytułu, „G.Kr.”, 1954, nr 69 z 17 III, s. 5.

¹⁴⁶ J. Żukowski, *Pogarda*, „G.Kr.” 1956, nr 136 z 12 VI, s. 3.

¹⁴⁷ J. Mikułowski Pomorski, cyt., s. 279 (tekst nr 59).

¹⁴⁸ Tamże, s. 280–282 (tekst nr 158).

¹⁴⁹ W. Wirski, *Doświadczenia z I-go etapu budowy kombinatu. Pierwsze 12 obiektów produkcyjnych ruszyło*, „Inwestycje i Budownictwo” 1952, nr 5, s. 15.

¹⁵⁰ Por. np. *Napiętnowanie i kara dla grabieżców mienia społecznego w Nowej Hucie*, „G.Kr.” 1953, nr 88 z 14 IV, s. 4.

¹⁵¹ J. Pomorski Mikułowski, cyt., s. 288–289 (tekst nr 7).

¹⁵² O społecznych aspektach budowy Nowej Huty zob. m.in. D. Jarosz, *Główne problemy społeczne Nowej Huty w I połowie lat pięćdziesiątych z perspektywy warszawskiego centrum władzy*, [w:] *Dziedzictwo kulturowe...*, s. 53–62; Z. Olszewski, *Dwa lata w Nowej Hucie*. Dziennik lekarza, Kraków 1970; J. Mikułowski Pomorski, cyt., s. 255–294. Wiele interesujących spostrzeżeń przynoszą reportaże o Nowej Hucie, np. *Krajobraz ogni. Antologia reportaży o Nowej Hucie*. Wybór S. Kozicki i Z. Stolarek, Warszawa 1971.



Fot. S. Senisson

– trudnych spraw wywłaszczeniowych dotyczących mieszkańców gromad, które znalazły się na obszarze objętym planem budowy miasta i kombinatu;

– nieprzystosowania części nowych mieszkańców powstającego miasta, pochodzących głównie ze wsi – przede wszystkim z województwa krakowskiego, kieleckiego, rzeszowskiego, lubelskiego – do życia w nowych warunkach¹⁵³.

Mimo tych wszystkich trudności i problemów kombinat i miasto wybudowano. Była to przede wszystkim zasługa pozyskanych do tego dzieła znakomitych fachowców – inżynierów i techników różnych specjalności, wykwalifikowanych robotników, także ogromnej rzeszy ludzi nie przygotowanych zawodowo, ale znających wartość pracy¹⁵⁴.

Kombinat budowany był okresie zimnej wojny, gdy prymat miał przemysł ciężki, był z tego względu inwestycją strategiczną. Był efektem obowiązującej w ZSRR koncepcji budowania wielkich kompleksów przemysłowych o zamkniętym cyklu produkcyjnym. Nad budową kombinatu i miasta zaciążył czynnik ideologiczny. W momencie rozpoczęcia budowy procesy stalinizacji kraju uległy przyspieszeniu ze wszystkimi tego konsekwencjami dla podejmowanych decyzji przez władze. Kierownictwo PZPR forsowało hasło zmiany oblicza społecznego Krakowa poprzez oddziaływanie budow-

niczych na konserwatywny Kraków i ludność wiejską. Podjęto intensywne propagowanie budowy wciągając w to publicystów, dziennikarzy, pisarzy, filmowców, muzyków, malarzy, nawet świat nauki, a przede wszystkim młodzież z Powszechnej Organizacji Służba Polsce i Związku Młodzieży Polskiej.

Kombinat i miasto wybudowano na wywłaszczonych gruntach mieszkańców wcześniej tu istniejących miejscowości, zakonu Cystersów i Kościoła. Lokalne społeczności tych wsi miały ciekawe tradycje, obyczaje, kulturę. Utrata własności – urodzajnej ziemi ornej, sadów i ogrodów przydomowych, domów i zabudowań gospodarczych, drobnych zakładów wytwórczych itd. – była dla nich ciężkim doświadczeniem. To o pamięć tych ludzi i ich historię upomniał się Adam Gryczyński z Nowohuckiego Centrum Kultury, w rezultacie czego powstały wystawy i wydawnictwa pod jego redakcją *Czas zatrzymany. Fotografie z lat 1883–1963 z terenu Nowej Huty i okolic oraz wybór tekstów* (Kraków 2006) oraz *Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa* (Kraków 2007).

Budowa kombinatu i miasta Nowa Huta była przedsięwzięciem ekonomicznym, technicznym, społecznym bez precedensu w dziejach Polski. Inwestycja ta, a następnie rozwijający się nowoczesny organizm miejski (dzielnica) dały pracę, mieszkanie, awans społeczny i cywilizacyjny dziesiątkom tysięcy ludzi. Były ważnym ogniwem rewolucji przemysłowej i urbanizacyjnej w Polsce w drugiej połowie XX wieku. Nowa Huta była wielkim eksperymentem demograficznym, socjologicznym, kulturowym, a także politycznym.

¹⁵³ Na jeszcze inne problemy zwraca uwagę B. Korombel, *Problemy programowania i realizacji Nowej Huty*, [w:] *Dziedzictwo kulturowe...*, s. 37–42.

¹⁵⁴ Por. np. wzruszające teksty nadesłane na konkurs Oddziału Krakowskiego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego w: J. Mikułowski Pomorski, cyt., s. 282–283 (tekst nr 177 i 112).

JAN POLEWKA

BAL W OPEENIE

(Bal w Oczyszczalni Pamięci Narodowej)

Dzisiaj bal! Bal w Opeenie!
Wszędzie wielkie poruszenie,
Dziennikarzy całe mrowie
W Sejmie ostre pogotowie,
Mikrofony słodko drżą...
Liczba członków i zaproszeń,
Premier pierwszy, poseł – proszę,
Likwidator z ostrą bródką,
Ogier-lider z grzywką krótką,
Do kamery hurmem prą...
Co za gracia! Co za siła!
Co za grono! Jezu Chry...
Samochodów sznur z ochroną
W trenczach Bor&Burberry.

Szofer szyję skręca w szybie,
Kark wysadza
„Fuck you” woła „rusz się grzybie!
Jedzie władza!”
Zajeżdżają jaguary, lencie, fordy,
Garnitury i krawaty, nasze mordy.
Pańskie miny, grube teki,
W tekach kwity
I berety, i kapelusz
Od Rokity.

Kancelaria i eksperci,
Asystenci,
Polityczni historycy,
Konfidenci.
I hrabiowie, i bossowie,

Ambal
Sado!
W głowie!
Brawo panowie!
Polska panowie!
W domach swych obywatela
Zapatrzeni w złoty cielec
W telewizji cud ujrzeli:
Głowy wbiegły przed kamery
Czyniąc wokół krzyk i lament
I na scenie w Opeenie
Głów zasiadło kilkanaście
I poczęło proch i zamęt
W narodowe siać przepaście.
Młodzi, gładcy, czyści, śliczni
Historycy polityczni.

W Opeenie ludzi mrowie
Za esbekiem staje człowiek,
Z krzykiem, z płaczem, jak szaleni,
Biegną sami pokrzywdzeni.
Strach ich goni bijąc tęczką
Moralnego zdrowia ścieżką.

W archiwum ścisk
W kolejkach setki,
Arie hysterii
Z operetki
I jeszcze kwity
I teczka pusta
I lustro lustrem

I znów do lustra.
Numerek teczki
Každy zerka,
Zero? Dwa zera? Bez numerka!
I sygnatura! Która? Druga?
Na esbeka ubek mruga,
Już w Opeenie szafa gra!
Lecą papiery, nowy zestaw,
I gra orkiestra tra ta ta!

Jak bal to bal!
W kamery wal!
Wal Antek twoje solo!
O Opeen! O ideal!
O polskie ideolo!

Z politycznym erotyzmem
Na ubeka esbek mruga;
Na widowni, przed ekranem,
Esbek sędzią, ubek panem,
Na kanapie i w siłowni,
W nocnym barze, przy bufecie,
Na tarasie i w klozecie,
Ubek śmieje się przez tzy,
Esbek skręca się i rzy.

„Zobacz Edek na premiera,
Już go cisną, jak cholera!”
„Czekaj Czesiek, mam obstrukcję,
Wielka belka! Wziął instrukcję!
Nie podpisał czy podpisał...”
„Edek, teraz to mi zwisa,
Już go mają, rzną jak piłą,
Moją teczką go dobijają!”
Esbek aż z uciechy drży,
Ubek skręca się i rzy.

Potem piją, dywagują,
Sprawiedliwość rozpatrują,
Dwóch na rencie, trzej prywatni:
„Kto jest w teczce, ten jest w matni”.
Pogwizdują, przechadzają się,
Swym zapiskom przyglądają się.
W końcu dają, z łaskawości,
Dwa świadectwa uczciwości.
Z własnej woli, bez pomocy
Nucąc cicho o północy:
*„O północy się zjawili jacyś dwaj cywili,
Teczki położyli, kwity wydobyli...”*

I gra orkiestra! Szafa ekstra!
Gra likwidator siejąc przestrach;
Gdy przyjdzie czas na przesłuchania
Ujawni wszelkie powiązania.
Z czułym uśmiechem Bin Ladena,
Ujawni aż opadnie szczena!
Prezydentów „ex” jest trojka.
Na każdego kwit jak mojka,
Jak żyleta, nóż w gazetach,

I cóż stąd, że prawda nie ta;
Kiedy będzie sąd gotowy,
Wszystkie trzy polecą głowy:
Bolka, Olka i Wojciecha –
Trzeba wziąć za wąsy Lecha,
Trzeba wziąć pod pachy Kwacha,
Widać już, że mają stracha;
Potem ruszy Polska cała
Kamieniować Generała.

Jak bal to bal!
W historię pal!
Równiarzu, strzelaj solo!
O ideal! O Opeen!
O polskie ideolo.

Rozmyślając głęboko nad rolą,
Dziennikarze-równiarze pisali:
„W Opeenie bal ideolo!
Wydarzenie w dziejowej skali!”
Wielką czcionką drukowali:
„Ideolo, precz z niewolą,
Z agentami, z mafią paliw!
Wielkie zło za miliard zło...!
Katastrofa ideo...! Narodowa katastro...!”
Potem za wierszówkę brali,
Potem wódkę wypijali
I ze śmiechu się tarzali.

A gdzieś w kącie siedział skazaniec,
Obok w koszu głowy świeżo ścięte,
Nie dla niego już stoty i taniec
Bo kolację zjadł z konfidentem.
Patrzył smutno co się z nim wyrabia,
Patrzył ciężko jak go lud tarnosił,
Nie dla niego już litość ni grosik,
Bo donosił – a do tego hrabia.
Wnet powiodą go przed kamery,
Będzie musiał lżę uronić śliczną,
A jeżeli żal okaże szczery,
Egzekucję będzie miał publiczną.

*

Jadą ze wsi wozy pełne tlenu,
Jadą z miasta z gnojem z Opeenu.
Przy kościółku się minęły z Plebanem,
Pojechały przed siebie
W nieznanie.
Przy kaplicy się minęły z Prymasem,
Słońce weszło wysoko
Za lasem.
A pod lasem płacze brzoza nasza
Chyląc gałąź do komży Judasza.
Przyjechała do Sejmu starszyzna,
I marszałek zasiadł na stolec;
I zaczęła nowy dzień Ojczyzna
By użyźnić
Wyborczą
Rolę.

KILKA SŁÓW WPROWADZENIA

ANDRZEJ WALICKI należy do rzadkiego i zanikającego już gatunku: jest prawdopodobnie ostatnim diarystą. W każdym razie ostatnim, który pisze taki dziennik i takie listy.

O listach wiem dobrze i szczególnie, bo przez kilka lat systematycznie wymienialiśmy korespondencję. Zresztą ani nie ja jeden pisałem do niego, ani też on nie pisał wyłącznie do mnie¹. Dzienniki są co najmniej w równym stopniu warte lektury. Walicki prowadzi je od dawna, a w ostatnich latach ich fragmenty zamieścił w dwóch swoich książkach: *Polskich zmaganiach z wolnością* (Universitas, Kraków 2000) oraz *O inteligencji, liberalizmach i o Rosji* (Universitas, Kraków 2007). Obie te książki są tomami Biblioteki Kuźnicy. Także „Zdanie” publikowało wcześniej niektóre z zapisów dziennika. Te są zatem kolejnym, a w „Zdaniu” czwartym już wyrazem upublicznienia części dzienników wybranych do tego celu przez autora.

Warto czytać ten dziennik dlatego, że jest on u nas, a może i w świecie dzisiejszym czymś wyjątkowym. Pozytywnie wyróżniającym się. Andrzej Walicki zajmuje się w nim tylko sprawami ważnymi dla nas i dla siebie. Nie ma w nim intymności, frustracji i ekshibicjonizmu, towarzyskich plotek, fascynacji sensacjami dziennikarskimi, ciekawostek z dziedziny mody salonowej lub kuchennej. Nie ma w nim też rejestracji powierzchownych zachowań ludzkich. Te sprawy ważne dotyczą poglądów, wydarzeń myśli i przed-myśli wypowiedzianych, które autor umieszcza w szerszym kontekście i w głębi idei, a więc w kulturze. Po to, by je lepiej poznać, by zrozumieć i wydobyć ze świata tyle sensu, ile w nim się znajduje. A także by własne życie uczynić sensownym.

Cechą gatunkową dzienników, a także epistolografii, czyli jak mówią socjologowie *dokumentów osobistych* jest ich podmiotowy charakter. W tej konwencji pisarskiej *ja* musi być eksponowane, co nie znaczy, że wszystko ma się do niego redukować, a świat ograniczać. Gdy jest tylko własne *ja* autora, to zapisany w ten sposób papier staje się co najwyżej materiałem dla psychologa lub dokumentem dla biografa wierzącego, że życie osobiste decyduje o wszystkim. W dziennikach Walickiego rola podmiotu nie ma tego charakteru, a jego obecność daje nam – czytelnikom – korzyść szczególną: widzimy wyraźnie zdanie autora na dany temat, poznajemy jego opinię wyrażaną wprost, zainteresowanie lub dezaprobatę, czytamy, jakie zajmuje stanowisko. Uczestniczymy również w procesie dochodzenia przez niego do tych stanowisk, w krystalizacji opinii i śledzimy drogę ich weryfikacji, bo Walicki nieustannie sprawdza wszystkie swoje sądy. Dlatego dzienniki Walickiego pożytecznie jest czytać razem z jego książkami, nie jedne zamiast drugich, ale łącznie, obok siebie.

¹ Wybór listów, które pisał i które otrzymywał, Andrzej Walicki zamieścił w swojej książce *Spotkania z Miłoszem* (Aneks, Londyn 1985), a także w jej późniejszej, poszerzonej i zmodyfikowanej wersji: *Zniewolony umysł po latach* (Czytelnik, Warszawa 1993). Specjalny numer *Dialogue and Humanism* (No. 9-10/2005) zawiera listy Isaiaha Berlina do Andrzeja Walickiego opracowane i poprzedzone obszernym wprowadzeniem pióra Andrzeja Walickiego. Listy wypełniają również książkę Pawła Kozłowskiego i Andrzeja Walickiego *Z Polski i o Polsce. Korespondencja z lat 2004-2006* (Universitas, Kraków 2007).

Fragmenty listów i cytaty z dziennika znajdują się również w niektórych artykułach publikowanych przez autora w różnych miejscach, np. A. Walicki, *Trzeba po prostu nazywać rzeczy po imieniu* [w:] „Zdanie”, nr 1/2 (126/127) 2003; A. Walicki, *Trzeba po prostu nazywać rzeczy po imieniu* [w:] „Zdanie”, nr 1/2 (128/129) 2004; A. Walicki, *Czy jestem dysydentem* [w:] „Zdanie”, nr 1/2 (132/133) 2005.

W książkach mamy długie wywody intelektualne, wyczerpująco przedstawione problemy, rozwiniętą analizę tekstów i podtekstów, historyzm, a w jego ramach ciągłość i ewolucję pojęć. Dzienniki oferują nam analizy krótkie, obrazy mniejsze, wszystko to, co w książkach jest rozbudowane i wyczerpane, tu jest tylko zaznaczone, ale za to wyraźnie określone, z wyrażonym wprost zdaniem autora, z odkryciem jego postawy intelektualnej i światopoglądu. Możemy zbliżyć się znacznie do sposobu widzenia Walickiego i tego wszystkiego, co ze sposobu i treści percepcji wynika. Warto te dzienniki traktować również jako lekcję, wzór czytania książek i czytania tekstu świata. Andrzej Walicki i pod tym względem jest osobowością wyjątkowej jakości.

Przedstawiamy wybrane przez autora fragmenty jego dziennika. Drukujemy je nie w kolejności chronologicznej, ale tematycznej, zaczynając od rozważań bardziej podstawowych, ogólnych, strukturalizujących całość, po rzeczy bardziej szczegółowe, które wypełniają i konkretyzują to, co fundamentalne. Dodajmy, że nie są to ani wszystkie podstawy prezentowanej tutaj problematyki, ani wszystkie jej „wypełnienia” – jest ich znacznie więcej, w książkach i w pisarstwie osobistym autora.

Andrzej Walicki równie wiele uwagi poświęca kilku sprawom. A właściwie – kilku wielkim tematom. Zapisy w dzienniku dotyczą dwóch z nich: liberalizmu i narodu. Autor ceni liberalizm z wielu – o czym wiemy od dawna – powodów. Wolność jednostki, zwłaszcza wolność wewnętrzna, niezależność – jak pisał John Stuart Mill – zarówno od *tyranii urzędnika*, jak i od *tyranii panującej opinii i nastroju* są dla Walickiego czymś niezastąpionym, stanowią wartości, które przyjął bardzo wcześnie i nigdy z nich nie zrezygnował. Nie zamierza ich także opuścić, tak jak nie może porzucić samego siebie z przeszłości i dni dzisiejszych. Ale sam liberalizm dając uzasadnienie dla obrony swej wolności nie pokazuje, jak chronić się przed samotnością. Nie chodzi tu o osamotnienie fizyczne, izolację biologiczną, bo na to każdy jest narażony i każdy w jakichś momentach swojego życia odczuwa je w mniejszym lub większym stopniu. Rzecz natomiast w niebezpieczeństwie samotności pośród symboli, w historii i w kulturze dzisiejszej, w nadmiernym i wymuszonym wobec nich dystansie. W trudnościach w rozumieniu innych, a zwłaszcza w dokuczliwościach niezrozumienia siebie przez innych. W groźnym rwaniu się powiązań komunikacyjnych z przodkami i z ludźmi teraźniejszymi, w niemożności współodczuwania i w konieczności wielkiego, często ponoszonego nadaremnie wysiłku potrzebnego do współrozumienia. Słowem, w dramacie zrywania więzi z narodem, którego obecność i znaczenie w postaci *nacjonalizmu liberalnego* Andrzej Walicki w tych fragmentach nazwał i opisał, nie jedyny zresztą raz.

Zwróćmy jeszcze uwagę, że zarówno liberalizm Walickiego jest czymś odmiennym od obowiązującego teraz w polskich kręgach partyjno-politycznych i medialnych liberalizmu (w gruncie rzeczy, według Benedetta Croce, liberyzmu), jak i bliska mu idea narodu jest zupełnie różna od głoszonego u nas nacjonalizmu wąskiego, etnicznego i genetycznego. Andrzej Walicki jest szczególnie poważnym, bo celnie trafiającym, ich krytykiem.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

ANDRZEJ WALICKI

CZY IDEA NARODU MUSI BYĆ WŁASNOŚCIĄ PRAWICY?

I.

Warszawa, grudzień 2007

W pierwszym miesiącu 1981 roku (dokładnie: w dniach od 30 XII 1980 do 28 I 1981) napisałem książkę pt. *Spotkania z Miłoszem* (w r. 1985 wydaną w Londynie przez „Aneks”). Była to autobiografia intelektualna osnuta wokół problemów, które stały się przedmiotem mojej korespondencji z Czesławem Miłoszem, rozpoczętej intensywną wymianą myśli w końcu 1960 roku (Miłosz był wówczas profesorem w Berkeley, Calif., ja zaś pisywałem do niego z Oxfordu, gdzie przebywałem jako stypendysta Fundacji Forda). Jednym z tematów tej korespondencji był problem narodu. Wypowiadałem się wówczas bardzo sceptycznie o „twórczych możliwościach polskiego nacjonalizmu” stwierdzając, że widziałem wokół siebie jedynie „nacjonalizm Ciemnogrodu” lub, po drugiej stronie, „dominującą wśród inteligencji modę na brak wiary w wartości polskiej kultury i drwiący stosunek do narodowych tradycji” (patrz *Spotkania z Miłoszem*, rozdz. *Rosja*). Miłosz wydawał się podzielać tę diagnozę, ale z większym zrozumieniem odnosił się do odruchów antyrosyjskich, widząc w nich zrozumiałą „gest obronny zbiorowości polskiej”. W gruncie rzeczy jednak dzieliły nas mocne i przeciwstawne skojarzenia związane ze słowem „naród”. Miłoszowi kojarzyło się ono bardzo negatywnie jako sztandarowe hasło postendeckiej prawicy lat trzydziestych; ja natomiast nadawałem słowu „naród” konotację zdecydowanie pozytywną, kojarzyłem je bowiem z tradycją myśli romantycznej (kontynuowaną później przez Stanisława Brzozowskiego), na której wychowałem się i która była przedmiotem moich badań.

W jednym z listów napisanych do mnie po wydaniu *Spotkań* – z 22 lipca 1986 roku – Miłosz wyraził przeświadczenie, że działalność „Solidarności” spowodowała cofnięcie świadomości polskiej do roku 1944: „Kiedy byłem w Warszawie w 1981 roku, miałem uczucie, że starto z tablicy wszystko, cokolwiek na niej mazano od

tamtego czasu, i niemal gotów byłem uwierzyć neo-endekom, że jest tylko jedna partia, narodowa, i to jej odrodzenie”. Stan wojenny, rzecz jasna, był dalszym i decydującym krokiem w tymże kierunku. W połowie lat 80. kluczowe miejsce w polskiej świadomości narodowej zajmował więc „Katyń i Powstanie Warszawskie, tudzież całkowita rehabilitacja postawy nieprzejednanych na emigracji” (A. Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, „Czytelnik”, Warszawa 1993, s. 421).

W momencie pisania niniejszych słów, czyli w roku 2007, brzmi to jak prorocze wręcz określenie głównego nurtu ideologii narodowej w niepodległej Polsce. Miłosz bolał nad tym, ale zarazem traktował to z pewnego rodzaju stoickim fatalizmem – jako lawinę, której nie można zatrzymać, bo musi się przetoczyć. Zapowiedź tej lawiny dostrzegł zresztą już w roku 1968, traktując „wydarzenia marcowe” jako zwyrodnienie „tej polskiej formacji umysłowej, która kwitła w Polsce lat trzydziestych” (patrz list do mnie 17 VII 1968, w *Zniewolony umysł po latach*, s. 209). Ja natomiast, obserwując te procesy świadomościowe z pozycji bliskich opcji narodowej w szerokim sensie terminu „naród” oraz z perspektywy bardzo wszechstronnych badań nad ideologiami narodowymi w ujęciu historyczno-porównawczym, zdecydowałem tym razem odmówić temu, co się działo, sankcji dziejowej konieczności. Dlatego też publikowane dalej fragmenty mojego dziennika kończą się powrotem do refleksji nad myślami i życiem wielkiego poety. Zmarłego w roku 2004 i pochowanego na Skalce, w atmosferze debaty wykraczającej często poza granice przyzwoitości.

Dominujące ideologie polskiej prawicy narodowej nie wyczerpują bogatej i historycznie zmiennej treści „nacjonalizmu” w anglojęzycznym, szerokim i aksjologicznie neutralnym sensie tego terminu. Oprócz tradycyjnego, katolickiego etnonacjonalizmu oraz nowoczesnego integralnego nacjonalizmu o proveniencji endeckiej istnieją bowiem ideologie narodowe

w niczym nie kolidujące z wartościami demokratycznymi i liberalnymi, wzbogacające demokrację liberalną o wymiar historyczno-wspólnotowy, bez prób cofania się do dławiących form ekskluzywistycznej, monotożsamościowej wspólnoty plemiennej. Jedną z nich – mającą moim zdaniem największe szanse na pozabawienie radykalnej prawicy monopolu na słowo „naród” – nazywam „nacjonalizmem liberalnym”. Odrzuca on zarówno „konstruktywizm” (czyli teorię narodu jako sztucznego „konstrukt” oraz wspólnoty swobodnie wybieranej), jak i „esencjalizm” czyniący jednostkę niewolnikiem ponadindywidualnej całości, w imieniu której występuje jakaś mniej lub bardziej samozwańcza elita. Pojmuje naród jako wspólnotę ponadlokalną, maksymalnie szeroką, a więc inkluzywną, ujednostkowioną i pluralistyczną; wspólnotę kulturalną interpretuje komunikacyjnie, jako dialog, a nie jako obowiązującą, odgórnie, kontrolowaną „tożsamość”; umiejscawia jednostkę w długim historycznym czasie i w szerokiej, a więc pojemnej i przestronnej, kulturowej przestrzeni.

Z punktu widzenia terminologii, do której się przyzwyczailiśmy, „liberalny nacjonalizm” jest oczywiście „patriotyzmem”, a nie „nacjonalizmem” rozumianym jako ideologia narodowego partykularyzmu i ksenofobicznej agresji. Rzecz w tym jednak, że przyjęte u nas rozróżnienie „patriotyzm” vs. „nacjonalizm” nie da się obronić ani logicznie, ani praktycznie. Patriotyzm oznacza lojalność „krajową”, terytorialną (a więc możliwy jest np. patriotyzm wschodniogalicyski łączący Ukraińców z Polakami), nacjonalizm natomiast jest lojalnością wobec tak czy inaczej pojętej grupy narodowej (w Galicji wschodniej XX wieku jest więc albo polski, albo ukraiński, nawet w wypadku gotowości obu grup do przyjaznej współpracy; „polskim” mógłby być tylko wtedy, gdyby Ukraińcy jako naród „młodszy” sami uznali się za część wieloetnicznego narodu polskiego). Patriotyzm, z czego na ogół nie zdajemy sobie sprawy, jest pojęciem służącym tzw. „narodom historycznym” (takim jak historyczna Polska lub Węgry), roszcującym sobie prawo do obszaru znacznie większego niż terytorium etniczne i żywotnie zainteresowanym w delegitymizacji separatystycznych dążeń narodowości etniczno-językowych. Przy sztucznym zawężonym i pejoratywnie wartościowanym pojmowaniu nacjonalizmu nie można by ukazać bardzo istotnego wkładu Polaków do dziejów szeroko pojmowanego nacjonalizmu w Europie, to samo bowiem, co w innych krajach (np. we Włoszech epoki *risorgimento*) uznawane jest za „nacjonalizm”, w Polsce uważane byłoby za „patriotyzm” i wyłączone tym samym z ogólnego obrazu. I wreszcie, o czym nie wolno zapominać, obdarzanie jednego pojęcia znakiem plus, a drugiego znakiem minus, owocuje w praktyce sytuacją, w której nawet skrajni nacjonalisci maskują się jako „patrioci”, a potencjalnie lewicowi nacjonalisci cierpią na alergię wobec samego słowa „naród” i w ten sposób ułatwiają prawicy bezceremonialne zawłaszczanie narodowych wartości.

Powinniśmy zdawać sobie sprawę z oplakanych skutków tego zawłaszczania. Niepodległa Polska dumnie nazwała się „Trzecią Rzeczpospolitą”, ale w rzeczywistości okazała się Polską postkomunistyczną, postpeerelowską, nadmiernie – alergicznie wręcz – uzależnioną od swej niedawnej, socjalistyczno-wasalnej przeszłości. Uzależnioną nie tylko przez negację, lecz również przez powielanie wzorów myślenia łączących

radykalnie antyliberalną prawicę z radykalnie antyliberalną lewicą. I tu i tam bowiem mieliśmy do czynienia z próbami narzucania społeczeństwu jednej tożsamości, a nawet jednej pamięci, ze sztucznym, skrajnie wybiórczym konstruowaniem akceptowalnego kanonu tradycji, ze stygmatyzowaniem przeciwników ideowych jako wrogów narodu (i to uwarunkowanych „genetycznie”, „rodowodowo”) oraz z wykluczaniem ich ze społecznej wspólnoty. W obu wypadkach gwałcono więc podstawowe prawo wolnych ludzi nazwane przez hiszpańskiego biskupa Ricardo Blazqueza „prawem każdej grupy społecznej do własnej pamięci historycznej oraz własnej tożsamości” (patrz *Hiszpański biskup przypomina grzechy Kościoła*, „Gazeta Wyborcza”, 21 XI 2007, s. 14). Stalinowcy czynili to w imię „moralno-politycznej jedności społeczeństwa” zdefiniowanej przez kierownictwo partii; narodowa prawica dopuszcza wprawdzie (co należy podkreślić) dość znaczny pluralizm we własnych szeregach, ale także ulega pokusie totalistycznego ideału „moralnej jedności”: dzieli przecież Polaków na „prawdziwych” i „nominalnych” (vel „metrykalnych”) zaliczając do tych drugich nie tylko członków SLD i innych grup „postkomunistycznych”, lecz również „przypadkowe społeczeństwo”, nadmiernie przywiązane do PRL-u i nie chcące podporządkować się strażnikom „narodowych wartości”. Nawet umiarkowanych prawicowców dogłębnie oburzała sama myśl, że prawo do własnej odrębnej tożsamości przysługuje tylko mniejszościom etniczno-wyznaniowym (czego nie kwestionowano), lecz również poszczególnym jednostkom lub stowarzyszeniom jednostek w obrębie narodowej większości: naród bowiem aby istnieć, musi być zespolony jednością moralną, wspólną pamięcią i solidarnym odrzuceniem tego, co obce.

Jest rzeczą oczywistą, że w warunkach polskich rola gwaranta narodowej jedności przypaść musiała katolicyzmowi. Wynikało to, zauważmy, nie z nadmiernej wiary w siebie, ale z jej braku – z obawy, że „bez katolicyzmu nasz naród rozsypałby się we współczesnym świecie” (M. Piłka, *Jaka demokracja? Narodowa*, „Życie”, 9 VIII 2000, s. 15). A na moje pytanie (retoryczne): „Niby dlaczego działacze SLD mieliby wyrzec się własnych poglądów na historię, politykę i narodową tożsamość?” – szczerą odpowiedź była bardzo prosta: „Otóż dlatego, że w zdrowym narodzie nie ma dla takich poglądów miejsca” (tamże).

To, że antyliberalne pojmowanie narodu (nie zawsze aż tak proste, jak w przytoczonym wyżej przykładzie, ale zawsze moralizatorskie, ekskluzywistyczne, próbujące narzucać patriotom agresywną jednomyślność) bujnie rozkwitło w obozie „postsolidarnościowym” nie było niestety przypadkiem. „Solidarność” była ruchem mądrze powstrzymującym się od stosowania przemocy, ale za to posługującym się metodą zorganizowanej, społecznej presji, co legitymizowało oczywiście praktykę ostracyzmu, stygmatyzacji oraz bojkotu grup i struktur uznanych za wrogie. Jak trafnie skonstatował kiedyś Adam Michnik, mogło to mieć uzasadnienie jako sposób walki o wolność, ale nie powinno przekształcić się w narzędzie walki o władzę w wolnym już państwie. Niestety, jednak (co można było przewidzieć) stało się inaczej.

Akcentując potrzebę, a nawet niezbędność, zastąpienia antyliberalnej ideologii narodowej ideologią liberalną nie mam jednak na myśli liberalizmu w tym sensie, jaki nadano temu słowu w dzisiejszej Polsce. Nie chodzi

mi o liberalizm ekonomiczny sprzężony z konserwatyzmem, czyli o tzw. „neoliberalizm”, wciąż jeszcze silny (choć coraz mocniej kwestionowany) w środowisku polskich „modernizatorów”. Przeciwnie, uważam ten kierunek za szkodliwy właśnie ze względów narodowych, prowadzący bowiem do znacznego pogłębienia i utrwalenia polaryzacji społecznej. Stanowcze opowiedzenie się za liberalizacją i europeizacją polskiego nacjonalizmu pojmuję nie jako dogmatyczne realizowanie neoliberalnych recept, lecz jako przesunięcie całej polskiej sceny politycznej na lewo – ku klasycznym wartościom liberalizmu uspołecznionego i zliberalizowanej socjaldemokracji.

II.

Granger, 5 sierpnia 2004

Po śmierci Miłosza

Telefoniczna wiadomość o śmierci Miłosza. Siadam więc nad jego wierszami i bez trudu znajduję w nich rzeczy w pełni aktualne. Na przykład:

„Strzeż się wariatów. Ci są mili,
Póki w zakładach ich więzili,
Albo trzymali w zwykłej stajni.
Dziś są wariaci miarodajni.

.....
Zaiste, wariat na swobodzie,
Największą klęską jest w przyrodzie”.

(*Traktat moralny*, 1947)

Albo:

„Nie sądz poza tym zbyt pochopnie,
Bo różne są obłędu stopnie,
I z chęcią, czy też mimo chęci,
Wszyscy jesteśmy nim objęci.
Tak się ten przykry sens odstania,
Obłęd dziś ceną jest działania”.

(*tamże*)

I wreszcie:

„Żyjesz tu, teraz. *Hic et nunc*.
Masz jedno życie, jeden punkt.
Co zdążysz zrobić, to zostanie.
Choćby ktoś inne mógł mieć zdanie”.

(*tamże*)

Działania nasze nie mogą odwrócić nieuchronnego biegu rzeczy, ale wywierają jednak pewien wpływ:

„Lawina się od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach”.

Poeta nie ma jednak złudzeń. Co gorsza, nie ma też złudzeń co do niewinności swych rodaków:

„Przeklina lud, a błązny mu śpiewają,
Że nigdy nie był tak dzisiaj wolny.
I szuka znaków, co się w niebie palą:
Pokój służalstwa? czy zagłada wojny?
Oni tymczasem, drżąc w jaskiniach cieni,
Sądzą, nie wiedząc, że już osądzeni”.

(*W proajcach swoich pogrzebani*, 1951)

Swoistym podsumowaniem refleksji Miłosza nad „byciem Polakiem” jest jego diariusz pt. *Rok myśliwego* (Inst. Literacki, Paryż 1990). Zdumiewająca książka! Pisana w przeddzień upadku „realnego socjalizmu”

w Polsce, w okresie gdy Miłosz stał u szczytu sławy, gdy widziano w nim, również w USA, nie tylko wielkiego poetę, lecz również wielki autorytet moralny w sprawach polskich, porównywalny niemal z Janem Pawłem II. Pokusa wystąpienia w roli wyraziciela aspiracji Narodu musiała być dlań wtedy większa niż kiedykolwiek. Ale właśnie dlatego chyba bronił się przed tą pokusą zapisując w *Roku myśliwego* myśli „heretyckie”, zupełnie niewspółbrzące z odczuciami polskich patriotów. Oto niektóre z nich:

„Dla wielu, może dla większości, polskie państwo pojawiło się (po I wojnie światowej) jako anomalia, albo wręcz przykra niespodzianka” (s. 256). Mieszkańcy wielonarodowego imperium – Białorusini, Litwini, Żydzi, a także polscy „krajowcy”, czyli inteligencja i ziemiaństwo identyfikujące się z „krajem”, a nie z jedną narodowością – oczekiwali pojawienia się narodowego, etnocentrycznego państwa polskiego. Niektórzy Polacy byli wręcz pryncypialnie przeciwni niepodległości. Miłosz nie zawahał się uznać tej opcji za całkowicie prawnocną: „Dwie zasadnicze postawy polskie ścierały się w tym stuleciu ze sobą: niepodległość Polski jako cel wszelkich walk i wysiłków i poświęcenie tej niepodległości w imię komunistycznego internationalizmu” (s. 184). A więc komunizm – wbrew wszystkiemu, co uważa się dziś za oczywistość – był w oczach Miłosza jedną z „zasadniczych postaw polskich”; a nie jakimś chwastem przetransplantowanym na grunt polski z zewnątrz.

Jeśli tak było w przededniu odzyskania niepodległości, to nie mogło być inaczej po zwycięstwie stalinowskiego ZSRR nad Niemcami Hitlera. „Przecie w latach 1945-1950 nikt nie wierzył w samodzielną kapitalistyczną Europę” (s. 149). Nie było też żadnych szans obronienia wielonarodowych kresów Rzeczypospolitej przed inkorporacją do zwycięskiego mocarstwa; zasada samostanowienia narodowego nieubłaganie spychała Polaków ku linii Curzona. A przecież „żaden rząd zachodni nie wpadłby na taki pomysł jak Stalin, żeby wysiedlić miliony Niemców z ich wielowiekowych siedzib i oddać ten obszar Polakom. Tym samym rzecz można, że Polska istnieje z woli i z łaski Stalina” (s. 143).

W tym kontekście – czyli w kontekście uznania rezultatów II wojny światowej za nieuchronną konieczność – Miłosz wypowiedział się również na temat dyskusji o *Zniewolonym umyśle* i moim w niej udziale: „W »Arce« – pisał pod datą 15 IX 1987 – czytamy dwie recenzje z książki Walickiego *Rozmowy z Miłoszem* (*Spotkania z Miłoszem* – A.W.) i Walickiego odpowiedź. Ma rację, kiedy kwestionuje rozprawianie o stalinowskim okresie przez ludzi, którzy go nie pamiętają i sądzą na podstawie swoich późniejszych doświadczeń. Na przykład Michnik i jego *Dzieje honoru w Polsce*. Cóż dziwić się cudzoziemcom, jeżeli nawet ci, którzy w Polsce wyrosli, nie mogą wnikać w ówczesne nasilenie grozy. Nie tylko strachu. Ataki na mój *Zniewolony umysł*, że niby wymyśliłem jakieś głębie, podczas gdy działał po prostu strach o swoją skórę, nie trafiają w sedno. Była to groza nagle uzyskanej świadomości, że następuje światowe zwycięstwo komunizmu i że marzenia o niepodległej Polsce trzeba złożyć do muzeum” (s. 47).

Co innego jednak niemożliwość, a co innego pogodzenie się z tą niemożliwością, nie mówiąc już o jej aprobacie. Najciekawsze jest u Miłosza to, że niepod-

ległość jako cel najwyższy była dlań ideałem nie tylko nierealistycznym, lecz również niesympatycznym, a nawet odrażającym – jak jakieś pogańskie bóstwo wciąż domagające się krwawych ofiar. Zacytujmy:

„Warszawa okupacyjna była dla mnie miejscem i czasem spotkania z polskim nacjonalizmem w jego najwyższym natężeniu, kiedy to występował wyłącznie jako patriotyzm, którego nikt nie ma prawa krytykować” (s. 37-38). Dostrzegał jakiś fałsz w tej podniosłości i szlachetności. Przyznawał, że ma „wspólny język tylko z Polakiem zdemonizowanym, takim, który przeszedł przez marksizm, ateizm, czy może jakieś tam dewiacje” (s. 36). Swą świetną przeciwieństwo antologię *Pieśń niepodległa* z 1942 roku uważał za ustępstwo na rzecz zbiorowej egzaltacji, wstydził się tego i nie zezwolił na przedruk tej książki w Polsce. Odrzucał naciski w tej sprawie w sposób niemal brutalny: „Nie chcę, to było dawno i nie mam z tym nic wspólnego (...) nie życzę sobie podpisywać się pod *Pieśnią niepodległą*” (s. 216).

Postawa ta była wyrazem buntu suwerennej jednostki przeciwko tyranii tworu zbiorowej wyobraźni nazywanego „Narodem”, pretendującego do nieograniczonej władzy nie tylko nad zachowaniami, lecz również nad myślami i sumieniami ludzi. Miłosz protestował przeciwko temu w imię „normalności”: Pisał: „Polska mnie przeraża. Powiedzmy, że przerażała mnie przed wojną, podczas wojny, i przeraża przez całe te dziesięciolecia po wojnie. Jak powinien zachować się schwytany przez nią człowiek (urodzenie się tam czy język), jeżeli chce być rozumny, trzeźwy, spokojny, a przy tym uczciwy? Jeżeli uważa te bezustanne ofiary, konspiracje, powstania za zupełny nonsens po prostu dlatego, że w »normalnych« krajach tego nie ma? I ostatecznie, jeżeli 99 procent Francuzów żyło jak zwykle po klęsce 1940 roku, to jest to normalne” (s. 232).

W Warszawie pod okupacją trudno było jednak oprzeć się egzaltacji patriotycznej. Miłosz odczuwał wyrzuty sumienia, że niedostatecznie jej ulega, zmuszał siebie do szlachetnych uczuć (s. 39). Ale wtedy właśnie pojawił się w jego życiu Tadeusz Kroński, bez skrupułów wyśmiewający patriotyczną idolatrię – choć stawiający na jej miejscu bałwochwalczy kult po heglowsku rozumianej Historii. Pod jego wpływem poeta „odciął trzymającą go martwą rękę przeszłości” i odzyskał wewnętrzną wolność (s. 39).

Tyle autor *Roku myśliwego*. A jakie stąd wnioski?

Jeśli nie zrozumiemy jako naród *Zniewolonego umysłu* i *Roku myśliwego*, to skazani będziemy na mieszaninę „naiwnej szlachetności” z niezrozumieniem świata, infantyilizm z nacjonalistyczną permanentną frustracją. „Antypolskość” wymaga zrozumienia, bez niego bowiem staje się wyśmiewaną przez Brzozowskiego sienkiewiczziadą i starczym zdziennictwem pod opieką Kościoła.

Prostolinijna „szlachetność” polskiego nacjonalizmu bywa często maską postaw bardzo niebezpiecznych i skrajnych: (1) absolutyzowania własnych racji i zupełnej niezdolności zrozumienia racji nie-polskich; (2) wywierania moralnej presji na współobywateli, przybierającej niekiedy formy agresywne; (3) śmiesznego polonocentryzmu w oglądzie świata; (4) czepiania się sutanny i podpierania etnocentryzmu autorytetem Kościoła i wreszcie (5) potwornego, iście szlacheckiego egoizmu elit wdzających w sobie kwintesencję prawdziwej (a nie metrykalnej tylko) polskości.

W listach do mnie z 28 marca 1982 roku i z 26 lipca 1986 roku (patrz A. Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, „Czytelnik”, Warszawa 1993, s. 418-422) Miłosz przyznał, że „dał się spożyć”, bo nie miał wyjścia. Dwudziestolecie było zmaganiem się dwóch sił, ale zwyciężyła endecja, albo raczej „Naród”; „Naród, który jest organizmem polskiej świadomości, a warianty nie mają znaczenia w porównaniu z głównym nurtem” (s. 420). „Czy miałem z Moskwą trzymać, jeżeli nie ma nic oprócz elementarnego »albo – albo«?” (tamże). W momencie pierwszych zwycięstw „Solidarności” miał przez chwilę nadzieję na przerwanie tego „zakłętą kręgu”, na „nową, demokratyczną polskość”. Stało się jednak inaczej. Przewrót, który nastąpił za Solidarności oznaczał „cofnięcie zegara do roku 1944”, „całkowitą rehabilitację postawy nieprzejednanych na emigracji”, zwycięstwo świadomości historycznej, w której „kluczowe miejsce zajmuje Katyń i Powstanie Warszawskie” (s. 421).

Zgodnie ze swym starym poglądem, że lawiny nie można powstrzymać, choć można łagodzić jej „dzikość i okrucieństwo”, Miłosz zgodził się na to cofnięcie czasu. Omotało go też ewidentnie „dobre towarzystwo”, które cenil i któremu nie chciał się narażać. Nie mógł polubić „katolicko-narodowego” klimatu III RP, ale zgadzał się przeciwieństwo, że „dwa tylko stanowiska, dwie racje były w Polsce w zgodzie z logiką. Albo »narodowe«, to znaczy pryzmat Kościoła i Narodu, albo lewicowe czy »masońskie« (*Rok myśliwego*, s. 257). To drugie stanowisko niewątpliwie na długie lata przegrało, a więc należało się do tego faktu jakoś dostosować. Nie zmieniając nawet poglądów należało przybrać „barwy ochronne”.

Ja zaś, początkowo o ileż bardziej „narodowo-patriotyczny”, ewoluowałem w przeciwnym kierunku. Głównie chyba dlatego, że jako człowiek bardziej wrażliwy na wpływ narodowych emocji musiałem z całych sił bronić swej niezależności.

Miłosz miał więcej racji niż sądziłem twierdząc, że „naród jest organizmem polskiej świadomości”. Niedawne zachwyty publicystów nad powstaniem warszawskim diagnozę tę potwierdzają. Inna rzecz, że świadczy to o spłyceńcu myśli postendeckiej, bo Dmowski nie zaliczałby się przeciwieństwo do entuzjastów tragicznej klęski.

Nie mogę jednak zgodzić się z Miłoszowym rozumowaniem w kategoriach „albo – albo”: albo pryzmat Kościoła i Narodu, albo rezygnacja z niepodległości, albo „dać się spożyć”, albo skazać się na samotny nonkonformizm.

Miłosz pozostał przy tej ponurej diagnozie, ale ja ją mimo wszystko odrzucam.

III.

Lustracja „po polsku”

Warszawa, 22 XI 2007

Skończyłem książkę Andrzeja Romanowskiego *Rozkosze lustracji* – wybór publicystyki z lat 1998-2007 (Universitas, Kraków 2007). Duże wrażenie robi stanowczość i niezłomna konsekwencja autora: żadnych zastrzeżeń, pełna jasność: „polska lustracja jest złem sama w sobie”, (s. 180), IPN jest „nie do pogodzenia z demokratycznym porządkiem prawnym” (s. 128), działalność IPN-u to „bezprawie i absurd” (s. 81). Jest tak dlatego, że ustawa o IPN wprowadza nierówność obywateli wobec prawa, „łącząc ze sobą porządek

historii i porządek prawa” (s. 8) niszcząc zasadę podziału władz. Z tego powodu autor rozstał się z Unią Wolności i „Tygodnikiem Powszechnym”, chociaż było to jego najbliższe środowisko, jego „dom” (s. 9). Inna rzecz, że uczynił to dość późno: po poparciu przez UW ustawy o IPN w kwietniu 1999 i po odrzuceniu jego tekstów przez „TP” w marcu 2002.

Słowo wstępne nosi tytuł *Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw*. Będziemy na pewno pamiętać, ale może nie należy zapominać, że inne osoby były przeciw wcześniej. Ja np. byłem przeciwko od samego początku, anglojęzyczną rozprawę na ten temat pt *Transitional Justice and Political Struggles of Post-Communist Poland* napisałem już w roku 1995 (w związku z międzynarodowym sympozjum pt. *Political Justice and Transition to Democracy*, które odbyło się na uniwersytecie Notre Dame w Indianie 28 kwietnia 1995 roku). Opublikowałem ją w wersji rozszerzonej w roku 1997, a w przekładzie polskim w roku 1999. Przekład ten, opublikowany w „Przeglądzie Politycznym” (nr 40/41, 1999, pt. *Sprawiedliwość na pasku polityki*)* wywołał bardzo ostre polemiki, w których zarzucano mi m.in. „obojętność wobec Polski” (P. Śpiewak), a nawet „nihilizm niszczący podstawy cywilizacji” (W. Roszkowski). Zważywszy, że było to studium prezentujące problematykę lustracji, dekomunizacji oraz rozliczeń z „autorami stanu wojennego” bardzo szczegółowo, rok po roku, oraz łączące prezentację faktów z ich oceną ze stanowiska liberalno-demokratycznego państwa prawa, można trochę się dziwić, że Andrzej Romanowski nie zwrócił na nie uwagi. Można przypuszczać, że wciąż jeszcze był nazbyt mocno związany ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego” i na nim koncentrował całą swoją uwagę.

Należy natomiast podkreślić, że w przedmowie do książki (napisanej w czerwcu 2007 r.) oddał sprawiedliwość Adamowi Michnikowi – jednemu przedstawicielowi postsolidarnościowej elity politycznej, który przez cały czas przeciwstawiał się lustracji, a następnie IPN-owi, z całą mocą, nie wahając się ponosić za to konsekwencji.

Dziwi jednak, że nie ma w książce nawet wzmianek o wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 11 maja 2007 r. w sprawie ustawy lustracyjnej, a powinien być cały artykuł! Na szczególne omówienie zasługiwało zwłaszcza „zdanie odrębne” sędziego Bogdana Zdziennickiego, bardzo logiczne i mocne. Prawnik ten uznał, że cała ustawa z 18 października 2006 r., w brzmieniu ustalonym ustawą z 14 lutego 2007 r. jest niekonstytucyjna, ponieważ preambuła do niej, traktująca PRL jako „formację zbrodniczą, niegodną wpisania w zasadę ciągłości polskiej państwowości”, wyposażyła Sejm w prawo ustalania obowiązującej wersji historii i czyni to na użytek konkretnej sprawy – a mianowicie lustracji. Przypomina, że donosicielstwo jest problemem moralnym i obyczajowym, ale nie prawnym, i że prawo nie może określać etyki, że zasada wyznawania, przyjmowania i zewnętrzzenia światopoglądu, a więc również formułowania ocen historycznych jest naszym konstytucyjnym prawem, a więc nie wolno narzucać komukolwiek jednej oceny przeszłości, i w dodatku wyciągać

z tej oceny określone skutki prawne. Wskazuje, że art. 241 ust. 1 obowiązującej konstytucji podkreśla ciągłość polskiej państwowości, podczas gdy ustawa lustracyjna już w preambule ciągłości tej zaprzecza! Wypowiada się również przeciwko odbieraniu emerytury, zawstydzając ustawodawców przypomnieniem, że „II RP płaciła emerytury funkcjonariuszom państw zaborczych (Austrii, Rosji i Prus), którzy po 1918 r. zostali obywatelami polskimi. Wystługę w armiach zaborczych zaliczano do wystługi lat w Wojsku Polskim”.

Sędzia Zdziennicki dopuszcza lustrację tylko wtedy i w tej mierze, w jakiej byłoby to konieczne dla bezpieczeństwa państwa. Uważa jednak za najzupełniej oczywiste, że „wprowadzona przez preambułę kara infamii (niezależnie od sprzężonych z nią kar pozbawiających możliwości wykonywania zawodu, prowadzenia pracy naukowej, ograniczających wolność słowa itp.) pozwala moralnie nękać, zastraszać czy poniżać. Prowadzić to może do izolacji społecznej, deprecjacji, poczucia bezsilności i odrzucenia. Konsekwencją takiego procesu mogącego trwać do końca życia (a prawdopodobnie przenieszonego i na następne pokolenia) będzie co najmniej silny stres oraz związane z nim choroby somatyczne i psychiczne!” Innymi słowy, ustawa lustracyjna jest instytucjonalizacją moralno-ideologicznej przemocy, niszczącą ludzkie życia w sensie najzupełniej dosłownym.

Zgadzam się z tym i powiem nawet więcej: istnienie ustawy delegalizującej całą państwowość PRL poniża i obraża również tych Polaków, którzy nie muszą obawiać się, że lustratorzy z IPN znajdą na nich przysłówowe „haki”. Nawet gdyby wykonanie ustawy lustracyjnej przekazane zostało normalnym sądom, nawet gdyby zadania IPN zredukowane zostały do naukowego badania zawartości archiwów, ludzie mojego pokolenia nie mogliby czuć się w niepodległej RP naprawdę „u siebie”. Jeżeli bowiem nie była, mimo wszystkich bolesnych ograniczeń suwerenności, państwowością polską, ale po prostu administrowanym przez Polaków terytorium okupowanym, to wszyscy ówcześni patrioci, niezależnie od swych intencji, okazywaliby się po prostu kolaborantami. W moim wypadku byłaby to „kolaboracja” szczególnie intensywnej, pracowałem bowiem – i to z poczuciem posłannictwa – nad przyswajaniem kultury polskiej dorobku myślicieli rosyjskich, a więc kultury mocarstwa okupującego.

Zgoda na traktowanie PRL-u jako „sowieckiej okupacji” byłaby więc z mojej strony (w moim własnym odczuciu) samobójstwem moralnym, którego popełnić nie zamierzam. Przeciwnie: przekonany jestem, że tak rażąco niesprawiedliwe traktowanie czterdziestu kilku ważnych lat historii Polski zemści się na mściwych lustratorach, rzuci bowiem cień nawet na tych spośród nich, którzy szczerze wierzą (czego nie wykluczam) w oczyszczającą rolę lustracyjnego odwetu.

Utwardza mnie w tym przekonaniu ciekawa książka Mirosławy Grabowskiej pt. *Podział postkomunistyczny. Społeczne podstawy polityki w Polsce po 1989 roku* („Scholar”, Warszawa 2004). Autorka stara się dowieść, że komunizm (tak bowiem upiera się nazywać ustrój PRL) był „wydarzeniem dzielącym społeczeństwa, tak jak kiedyś to czyniły reformacja, demokratyczno-narodowe rewolucje i rewolucja przemysłowa” (s. 14). Jeżeli jednak tak właśnie było, to wynika stąd (zapewne

* Przedruk w: A. Walicki, *Polskie zmagania z wolnością. Widziane z boku*. Universitas, Kraków 2000, s. 133-174 (pt. *Sprawiedliwość okresu przejściowego i walki polityczne*).

wbrew intencjom autorki), że „komunizmu” nie da się wyeliminować z dziejów Polski przez jakiegokolwiek restauracyjne decyzje ustawodawcze, że PRL nie była pustym miejscem ani „czarną dziurą”, że pozostawiła po sobie trwałe, nieusuwalne skutki w strukturach społecznych i w psychice ludzi, że symboliczny powrót do II RP podczas inauguracji prezydentury Lecha Wałęsy był tylko gestem, a nie rzeczywistym powrotem, że usilna praca naszej prawicy nad zbudowaniem w Polsce reżymu restauracyjnego, skutecznie wymazującego z dziejów Polski ślady „komunizmu”, skazana jest na niepowodzenie – tak samo jak na niepowodzenie skazane byłoby próby wymazania z historii Europy reformacji, rewolucji francuskiej i rewolucji przemysłowej.

Profesor Grabowska pragnęła wesprzeć swą książką tezę o zasadności głębokiego podziału społeczeństwa polskiego na „postkomunistów” i „antykomunistów”. Nie chcąc uzasadnić jednak coś więcej: zasadność przekonania, że spuścizna PRL-u nie da się wyeliminować z historii naszego narodu ani przez gesty symboliczne, ani nawet przez represyjne, dyskryminujące ustawodawstwo.

23 listopada

Książka Romanowskiego napisana została z pozycji żarliwego moralnego protestu, z pozycji, dodajmy, wierzącego katolika, niemającego pogodzić się z brakiem cnót ewangelicznych u swych współwyznawców. Jest to zaletą książki, ale zarazem pewną jednostronnością; „gorące” problemy moralne odsuwają bowiem na bok chłodną analizę i refleksję.

Autor „zamyśla się” nad naszym „brakiem zdolności przebaczenia”. Nie dostrzega wokół siebie ani w ogóle w Polsce, „żadnych przejawów miłosierdzia” (s. 166). Przeciwnie: widzi wśród swoich braci w wierze „zawziętość tak dużą, że można wręcz mówić: zawzięty jak katolik. Lub raczej: polski katolik, bo w przypadku złaicyzowanych krajów zachodu uogólnienie takie byłoby jednak krzywdzące” (tamże).

Jest w tym trochę prawdy, zdolność do miłosierdzia nie jest bowiem mocną stroną rzymskiego katolicyzmu. Przedstawiciele prawostawia widzieli w tym przejaw zgubnego wpływu legalistycznej mentalności starożytnego Rzymu na moralność chrześcijańską – wpływu polegającego na „jurydyzacji” chrześcijaństwa, czyli na zastąpieniu Chrystusowej miłości surową sprawiedliwością prawną domagającą się zadośćuczynienia i odwetu.

Tym niemniej nie wydaje mi się, aby „zawziętość” była charakterystyczną cechą przeciętnego polskiego katolika. Mieszkańcy Polski zdolni są do okazywania miłosierdzia w niemniejszej mierze niż niekatolickie narody. Jeśli idea powszechnej lustracji zyskała w końcu w Polsce wielu zwolenników, to było to rezultatem nie wrodzonej „zawziętości” Polaków, ale skutkiem nieumiejętności stawienia oporu zorganizowanej presji pro-lustracyjnych elit. Statystyczny Polak zgrzeszył nie „zawziętością” w stosunku do osób oskarżanych o agenturalną przeszłość, ale potulnością wobec moralnego szantażu i agresywności lustratorów. Opowiadając się, choć nie bez oporów, za powszechną lustracją przejawiał uległość wobec „klasy politycznej”, która dobrze opanowała technikę symbolicznej przemocy.

Potulność ta ma głębokie korzenie historyczne. Lud polski, jak powiedział niedawno Bronisław Łagowski,

„wyszedł z historii wstydząc się własnej tożsamości. Tym łatwiej przyjmował mitologię, poglądy, samoświadomość klasy, która go uciskała” (*Niemylud polski*. Rozmowa A. Leszczyńskiego z B. Łagowskim, „Gazeta Wyborcza”, 3-4 XI 2007, s. 15). Analogiczną potulność przejawili polscy robotnicy, gdy pozbawiono ich w imię antykomunizmu uprawnień społecznych nabytych w PRL.

Wśród lustratorów była oczywiście grupa „zawziętych” ideologów. Moralnego wsparcia swych działań szukali oni, o czym wielokrotnie pisałem, w starorepublikańskiej koncepcji „wzajemnej kontroli” realizującej ideę „zwierzchnictwa narodu”, a także (choć bez ostentacyjnych nawiązań) w endeckich pomysłach podzielenia narodu na narodowo-uświadomioną elitę i bezwartościowych „pół-Polaków”. Ale mimo to rzeczywistą przyczyną propagandy lustracyjnej oraz wspierających ją działań IPN była nie tyle „zawziętość”, co polityczny interes prawicy określony przez przemożną chęć zdobycia i zmonopolizowania władzy. Wobec braku możliwości zwycięstwa w normalnej rywalizacji politycznej można było liczyć tylko na metody zastraszania i szantażu za pomocą środków w dyspozycji IPN. Było to tym wygodniejsze, że pozwalało szantażystom stroić się w szaty „strażników moralności”. Przeciętni Polacy-katolicy przystali na powszechną lustrację nie tyle z przekonania, co dla świętego spokoju. Nie tyle z „zawziętości” przeciw domniemanym eksdonosicielom, co ze zwykłego asekuranctwa.

Myślę, że Andrzej Romanowski zgodzi się jednak z tą diagnozą. Sam napisał przecież, że od dawna „nie byliśmy narodem bohaterów – byliśmy społeczeństwem ostrożnych oportunistów, ze swym *credo* »a po co się narażać?« (s. IX).

Jako tacy, nie jesteśmy narodem ani lepszym, ani gorszym od innych. Podobnie jak inne narody europejskie wyszliśmy już z okresu zarówno heroicznych cnót (takich jak mitologizowany u nas „honor”), jak i heroicznych przywar (takich jak domniemamy nadmiar „katolickiej zawziętości”).

Nie zmienia to niestety faktu, że nasze tzw. „elity” polityczne zapędziły się wyjątkowo daleko w propagowaniu zemsty. Weźmy dla porównania emigrację rosyjską, która wywiozła ze swej ojczyzny wspomnienie naprawdę straszliwej, totalnej, okrutnej katastrofy narodowej. Otóż podzieliła się ona w okresie NEP-u na ludzi stawiających na wewnętrzną ewolucję ustroju oraz ludzi wykluczających taką możliwość – wśród których był znany działacz liberalnej prawicy, współorganizator ruchu „białych” i członek rządu gen. Wrangla, Piotr Struve. Ale nie było właściwie ruchu restauracyjnego, głoszącego ideę „rozliczeń”, przeciwnie, uznawano że zwinili wszyscy, propagowano więc „odrodzenie” Rosji, a nie restaurację rzeczywistości przedrewolucyjnej. W kwietniu 1926 r. odbył się w Paryżu zjazd grupy „Odrodzenie” pod przewodnictwem Struvego i już na wstępie ogłosił, że chodzi o naród i ojczyznę, a nie o odbieranie własności i zemstę. Była to nie tylko taktyka, ale szczerze *credo*.

Takim samym imperatywem narodowego pojednania kierował się Jelcyń, a następnie Putin. Idea „rozrachunków” jest w Rosji z obrzydzeniem odrzucana, bo „Rosjanie wyczerpali już swój limit na bratobójcze walki”.

ANDRZEJ WALICKI

JANUSZ TAZBIR

„SMUTNA FORMA PROTESTU”

Parokrotnie pisałem o tym, iż nasza literatura piękna, powstała w XIX stuleciu, programowo unikała pozytywnego pisania o ludziach, którzy robili wielkie kariery, dochodząc do wysokich urzędów czy znacznych majątków. Dotyczyło to zwłaszcza Polaków pozostających w służbie rosyjskiej. Typowym przykładem była powieść Marii Rodziewiczówny *Barcikowscy* (I wyd. 1900). Jej negatywny bohater osiąga wprawdzie wysokie stanowisko w Ministerstwie Sprawiedliwości, ale kończy samobójstwem jako całkowity bankrut życiowy.¹ W związku z tym ks. Wiktor Wiecki pisał na łamach jezuickiego „Przeglądu Powszechnego”, iż autorka pokazuje, „jak strasznie mści się na człowieku odstępstwo od wiary i narodowości”.² Zdaniem recenzenta przedstawione w powieści sceny z życia rosyjskiej inteligencji „rzucają wprost ohydne światło na zgniliznę, która te warstwy toczy”. Trudno się więc dziwić, iż Rodziewiczówna wydała swą powieść w zaborze austriackim, i to pod używanym tam pseudonimem (M. Zmogas), zaś w latach Polski Ludowej książka ta w ogóle nie mogła się ukazać. Kazimierz Czachowski ujrzał w Wacławie Barcikowskim wiernopoddańczego sługę rządu rosyjskiego, który w tym samym duchu wychowuje swe dzieci. Jest to typowy „czciciel potęgi”, nie odczuwający współczucia dla wyznawców „podeptanych ideałów i przebrzmiałych haseł”. W powieści znajdujemy więc

koszmarny obraz polskiej rzeczywistości lat niewoli.³ Przypomnijmy, że Aleksander Świętochowski nie chciał opublikować w „Prawdzie” planowanego artykułu o *Australczyku* Elizy Orzeszkowej (Petersburg 1896) w obawie, iż ta książka, potępiająca zdecydowanie kariery robione w Rosji, może mu odebrać prenumeratorów z głębi cesarstwa.⁴

Literatura rosyjska odwdzięczała się „pięknym za nadobne”. „Z politycznego intryganta, buntownika i spiskowca lat sześćdziesiątych [XIX w.] Polak zamienia się w późniejszych dziesięcioleciach w układnego służalca, przebiegłego spryciarza lub aferzystę, który potrafi się wygodnie urządzić w środowisku rosyjskim”.⁵ Choć trudno zgodzić się z opinią jakoby w literaturze rosyjskiej XIX stulecia „trzeba by z lupą szukać dobrego słowa o Polakach”⁶ to jednak polskim hochsztaplerom, naciągaczom i wydrwigroszom z utworów Dostojewskiego sekundował obraz groźnego wyzyskiwacza rosyjskich chłopów. „Pani rządcy, Polacy, od rana do wieczora [...] starają się zedrzeć z jednego wołu trzy skóry, aby pani dogodzić” – czytamy u Czechowa.⁷ Zacny Rzecki, odbywając swe niedzielne spacerzy, od

¹ J. Tazbir, *Polacy na Kremlu i inne historie*, Warszawa 2005, s. 94 i nast. oraz tenże, *Spotkania z historią*, Warszawa 1997, s. 208 i nast.

² W. Wiecki, *Z nowszych powieści polskich*, „Przegląd Powszechny”, t. 99, rocz. 25, 1908, z. 26. Wacław Barcikowski nie przyjmuje jednak prawosławia, co mu uniemożliwia dalszą karierę.

³ K. Czachowski, *Marja Rodziewiczówna na tle swoich powieści*, Poznań, 1935, s. 116 i nast.

⁴ W. Klemm, *Warszawskie losy wielkiego Płoczanina, Ludwika Krzywickiego*, [w:] *Pisarze Młodej Polski i Warszawa*, pod red. D. Knysz-Tomaszewskiej, R. Taborskiego i J. Zachorskiej, Warszawa 1998, s. 167.

⁵ J. Orłowski, *Z dziejów antypolskich obsesji w literaturze rosyjskiej*, Warszawa 1992, s. 166.

⁶ W. Grubiński, *O literaturze i literatach*, Londyn 1948, str. 99-100.

⁷ A. Czechow, *Księżna pani*, [w:] *Wybór opowiadań*, Warszawa 1969, s. 265.

pomnika Kopernika po kolumnę Zygmunta, stara się nie dostrzegać pomnika Paskiewicza czy Pałacu Namiestnikowskiego. Jedni nie chodzili z zasady przez plac Saski, aby nie musieć patrzeć na znienawidzonego sobór, inni, jak Maria Skłodowska (późniejsza Curie-Skłodowska) przechodząc przez ten plac uważała za swój święty obowiązek napluć na pomnik generałów, którzy – wierni przysiędze – polegli w Noc Listopadową z rąk rodaków-powstańców.

Pisarze rosyjscy wystawiali oczywiście wystawiane przez carat pomniki będące w oczach naszych pamiętnikarzy symbolami narodowej hańby. Zdaniem A.A. Sidorowa posiadają one olbrzymie polityczne znaczenie, pokazują bowiem, iż Rosjanie postawili „twardą stopę nad brzegami” Wisty.⁸ Mimo to z publikacji ukazujących się w zasięgu cenzury jedynie przewodniki po Warszawie (i to tylko z obowiązku!) wspominały o pomniku Paskiewicza czy poległych w noc listopadową wyższych oficerów.

Stale bywa przytaczana opinia Stanisława Mackiewicza, który jako pierwszy miał zwrócić uwagę na konsekwentne milczenie literatury polskiej o rosyjskich okupantach. „Na podstawie tych powieści cudzoziemiec nie mógłby wiedzieć, że w urzędach Warszawy, w szkołach trzeba było mówić po rosyjsku, że koleje i policja i wojsko było rosyjskie [...] Polska literatura zachowywała się tak, jakby o okupancie nic nie wiedziała, nie znała go. Bojkotowała, nie przyjmowała do wiadomości jego obecności. Żadna ówczesna inna literatura europejska nie była tworzona w takim nawiąsaniu do rzeczywistości życia”.⁹

Trudno i darmo, ale lwia część odkryć o humanistycę pochodzi z nieznajomości wcześniejszej literatury przedmiotu. Przeszło dwadzieścia lat przed Mackiewiczem na nieobecność Rosjan zwrócił uwagę Jan Fryling (1891–1977), w artykule zatytułowanym *Spiz, marmur, historia*, ogłoszonym na łamach „Wiadomości Literackich”.¹⁰ Były to jego wspomnienia z wyjazdu (wraz z rodzicami) na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie (1898). W Warszawie zatrzymali się u wujostwa mieszkającego na ulicy Jasnej, naprzeciw ciemnego i ponurego obelisku, który zdobiły dwugłowe orły i lwy.

„O tym pomniku nasłuchiwałem się wiele. Nie wiedziałem jeszcze, że miał on czcić pamięć oficerów polskich, którzy padli ofiarą ślepych a łaknących krwi bogów rewolucji. Gniew przebudzonej stolicy warszawskiej zmiotł tych dobrych żołnierzy, karząc okrutnie za jedną godzinę wahania w listopadową noc. Zaborca pomnik ten zamierzał uczynić monumentem hańby. Nazywało się to – wbrew prawdzie – pomnikiem wiernych carowi Polaków” – pisał Fryling.

Z powszechnie znienawidzonego cenzora krakowskiego, Konstantego Majeranowskiego (1787–1851),

który w okresie powstania listopadowego przezornie opuścił to miasto wyśmiewano się, iż złorzeczy

Że go w roku trzydziestym wraz nie powieszono
Bo mówi, że poległszy w tumulcie warszawskim,
Byłby przynajmniej pomnik miał na placu Saskim.¹¹

Odwiedzając w r. 1907 Warszawę oglądał na placu Saskim budowany właśnie sobór prawosławny: „świecił zdaleka cebulastymi kopułami, niby biorąc ową stolicę pod swe skrzydła. Sobór – znak władania, świątynia zwycięskiego boga z izebizantyjskiej mozaiki, kładącego ciężką rękę. Ci i owi umówili się, że nie będą widzieli tego kolosa”.

Należał do nich Stanisław Krzemiński, dawny członek rządu narodowego który „ślub ponoć uczynił, że póki sobór stoi, on przez plac Saski nie przejdzie. I tak już do śmierci [1912] zbeszczeszczony plac bocznymi ulicami okrążał”.¹² „Myśmy tej cerkwi nie znali. Każdy Polak, który chodził tym placem patrzył, ale nie widział jej. [...] Warszawa patrzyła na cerkiew, czuła ją, ale jej nie widziała” – wyznał w r. 1920 z dumą przewodniczący rady miejskiej stolicy Ignacy Baliński, podczas obrad nad dalszymi losami soboru.¹³ Z kolei Zygmunt Gloger w swym liczącym aż 22 strony artykule zatytułowanym „pomniki”, przeoczył zarówno figurę Paskiewicza, jak i pomnik czczący generałów poległych w Noc Listopadową.¹⁴ Podobnie działo się i w zaborze pruskim; mieszkańcy Poznania ignorowali wzniesione przez Niemców pomniki: „w ogóle udawali – jak zapamiętał Stanisław Dygat – że wojska zaborczego nie widzą, tak samo jak pomników Bismarcka i Wilhelma I”.¹⁵

Wróćmy jednak do uwag Frylinga, który w dalszym ciągu wspomnianych już wrażeń z pobytu w Warszawie pisał: „Umieli milczeć ci ludzie. Była to jakaś smutna forma protestu. Myślę, że może dlatego Bolesław Prus, pisząc swoją epopeję tamtych lat, *Lalkę*, w której tak szczegółowy obraz Warszawy narysował, nie raczył zobaczyć jej ówczesnych władców. Można *Lalkę* dokładnie przeczytać i nie spostrzec, prócz kilku drobnych szczegółów, rosyjskich panów miasta”.

Dopiero jednak po II wojnie światowej jakże trafne uwagi Jana Frylinga doczekały się pełnej dokumentacji ze strony wybitnych znawców dziejów literatury i Warszawy XIX wieku. Zdaniem Ludwika B. Grzeniewskiego Warszawa ukazana w *Lalce* ma bardzo niewiele wspólnego z tą rzeczywistością z siedemdziesiątych lat tamtego stulecia. „Prus pisze tak, jak gdyby w Warszawie nie było obcej władzy”. Gdyby powieść tę przeczytał cudzoziemiec nie znających naszych dziejów, nigdyby się nie domyślił, że jej akcja rozgrywa się w kraju pozabawionym państwowości. Tymczasem rosyjskie były urzędy, wojsko i policja, rosyjski językiem oficjalnym. „Gdyby nie kilka mało ważnych szczegółów, nic nie

⁸ A.A. Sidorow, *Russkije i russkaja żiżn v Varšave*, 1815–1895, Varšava 1899, s. 84.

⁹ S. Mackiewicz, *Był bał*, Warszawa 1961, s. 254. Por. także J. Kulczycka-Saloni, *Nieobecni?*, w teście, *Na polskich i europejskich szlakach literackich*, Warszawa 2000, s. 374 i nast.

¹⁰ „Wiadomości Literackie”, nr 51–52, 1938, Fryling wydrukował to pod pseudonimem: Jan Kuczawa, następnie przedrukował ten artykuł w książce *Złote litery, srebrne litery...*, Londyn 1974, s. 7–14, wydanej już pod własnym nazwiskiem. Jego życiorys zamieszcza *Encyklopedia polskiej emigracji i Polonii*, pod red. K. Deptuły, t. 2.: F-K, Toruń 2003, s. 57–58.

¹¹ B. Szyndler, *Dzieje cenzury w Polsce do 1918 roku*, Kraków 1993, s. 91.

¹² Por. K. Górski, Stanisław Krzemiński. *Człowiek i pisarz*, Warszawa 1985, s. 15.

¹³ Ankieta w sprawie soboru na Placu Saskim w Warszawie, przeprowadzona przez sejmową podkomisję robót publicznych, Warszawa 1920, s. 37.13.

¹⁴ Por. *Encyklopedia staropolska* Z. Glogera, t. IV, Warszawa 1989, s. 72–94.

¹⁵ Cyt. za W. Molik, *Poznańskie pomniki w XIX i na początku wieku*, „Kronika miasta Poznania”, t. 2.: *Pomniki*, Poznań 2001, s. 40.

wskazywałoby, że Warszawa nie jest stolicą niepodległego państwa¹⁶.

Już w połowie XIX w. C. Goehring, bawiący w niej tylko przejazdem, wydał następnie dwutomową książkę zatytułowaną *Warschau, eine russische Hauptstadt* (Leipzig 1844). Jan Stanisław Bystron pisal zaś w r. 1928: „Przybytemu zza kordonu musiała się wydawać Warszawa miastem w znacznym stopniu rosyjskim. Szereg cerkwi wznosi złote kopuły ponad dachy domów, na ulicach pełno wojska i mundurów cywilnych, napisy wszystkie, zarówno nazwy ulic jak i szyldy sklepowe, są dwujęzyczne. Ale przy nieco bliższej obserwacji widziatło się zaraz, że cała ta rosyjszczyzna jest tylko zewnętrznym pokostem, przymusowo na miasto nałożonym i że właściwie ludność rosyjska stanowi tu nieznaczny odsetek¹⁷. To samo czytamy w gruntownej książce Agaty Tuszyńskiej, *Rosjanie w Warszawie*. Jej zdaniem ślady ich obecności zostały wytarte „z artystycznego obrazu tamtych lat, obrazu wewnątrznie pękniętego, nietożsamego ze swoim rzeczywistym kształtem¹⁸”.

Zarówno Grzeniewski, jak Tuszyńska i Henryk Markiewicz przytaczają liczne fragmenty *Lalki* stanowiące potwierdzenie tej tezy. Najwięcej ich znajdujemy we wstępie Józefa Bachorza do wydania tej powieści z r. 1998. Píše on m.in., iż żaden z jej bohaterów nie zwróci nigdy uwagi na siedziby władz okupacyjnych: Zamek czy Pałac Namiestnikowski. Belweder pojawiają się wyłącznie jako motyw topograficzny w sąsiedztwie Łazienek, cytadela jako punkt orientacyjny dla zlokalizowania rejonu domów publicznych.

„Budynek, w którym wówczas mieściło się rosyjskie gimnazjum męskie, nosi – jak w pierwszych latach swego istnienia – nazwę domu Towarzystwa Przyjaciół Nauk”. Nie ma w *Lalce* wzmianki o żadnej z warszawskich cerkwi czy też o rosyjskich koszarach. Nie zorientujemy się z tej powieści, że występujący w niej studenci uczą się na rosyjskim uniwersytecie, nie ma w Warszawie Prusa „jakichkolwiek rosyjskich napisów ani szyldów”. Gdyby chciał się trzymać ówczesnej rzeczywistości, musiałby podawać np. nazwy szyldów najpierw w języku „urzędowym” a dopiero potem po polsku. Tymczasem panna Izabela odczytuje je tylko w języku rodzimym. Zarządzenie o dwujęzyczności wydano już w r. 1864 z zastrzeżeniem, „aby litery ruskie nie były mniejsze od polskich¹⁹”. Wiele podobnych przykładów można czerpać z powieści Dygasińskiego, Orzeszkowej czy Sienkiewicza postugujących się zrozumiętym tylko dla Polaków systemem narodowych szyfrów. Nic więc dziwnego, iż występujący w *Lalce* zwrot, iż Wokulski pojechał na Syberię, gdzie gotował piwo, „które do dziś dnia pojemy” w jej francuskim wydaniu zaopatrzono w nader osobliwy przypis. Prus miał rzekomo na myśli, iż bohater *Lalki* udał się tam, by zakładać... browary²⁰.

Podobnych przemilczeń dałoby się przytoczyć całe mnóstwo. Oto co współczesny nam krytyk pisze na temat powieści Wacława Berenta *Fachowiec*, której akcja rozgrywa się w Warszawie schyłku XIX stulecia. Nie ma w tej książce „realiów niewoli. Nie ma znaków polskości, to prawda, lecz nie ma też [...] znaków rosyjskości. Nie ma carskich urzędów, rosyjskiego wojska, policji, rosyjskiego języka – napisów i szyldów. Bohaterowie wydają się niewrażliwi na jakiegokolwiek reperkusje dziejów²¹. Warto wszakże przypomnieć, iż bohater *Fachowca* spogląda przez zakopcone szyby fabryki tak daleko, iż gubi spojrzenie na tym rozległym morzu pól, co się aż hen „pod Grochowem, Kałuszynem i Wawrem krętą linią lasów odgradza”. Obserwuje słońce, ledwie przebijające się przez szarą barwę pól, „by gdzieś tam w kącie, pod kałuszyńskim lasem wybrawszy osadę cisnąć na nią promień złotego światła²²”.

Na pozór nonsens oczywisty: wielopiętrowych wieżowców Warszawa wówczas nie posiadała, a i z nich nie sposób dostrzec odległego o ponad 60 kilometrów Kałuszyna. Berentowi szło jednak o przemycenie strawnej cenzuralnie aluzji do trzech miejscowości, pod którymi i o które w roku 1831 bito się szczególnie zawzięcie.

Powróćmy znów do celnych uwag Agaty Tuszyńskiej, która stwierdza, iż „realistyczny wszechświat *Lalki* jest w swoisty sposób nierzeczywisty”. Przypomina kolekcję starych fotografii, wyretuszowanych w taki sposób, iż bez pomocy suflera historii nie sposób się w nim domyślić zamazanych miejsc. „Jakby celowo nie użyto rosyjskich barw”. Przyczyną sprawczą nie był tu jedynie nacisk cenzury ale i gest samoobrony. „Bojkotu, który unieobecnia, a więc rozbraja przeciwnika. Owo wewnętrzne spojrzenie, instynktownie odrzucające wszystko co obce, wrogie, utrwalone siłą [...] to zjawisko typowe dla popowstaniowej epoki²³”. Zdaniem Bachorza natomiast brak wzmianek o Zamku, Pałacu Namiestnikowskim czy Belwederze wynika również z negatywnego stosunku Prusa do powstania z r. 1863. Gdyby tylko mógł, napisałby to otwarcie w *Lalce*, iż wywierają złowrogi wpływ na życie polskie. Nie tylko dlatego, że symbolizują władzę zaborczą, która nas demoralizuje i wyniszcza, ale i przez to, iż pobudzają resentymenty powstańcze. Polacy „sycąc się emocjami na tle niewoli i specjalizując się w jej przeżywaniu”, zaniedbują swoje obowiązki cywilizacyjne i pracy u podstaw. Tylko ta ostatnia jest zaś gwarancją przetrwania ich jako narodu²⁴. Z poglądem tym można oczywiście polemizować. Jedno jest pewne, a mianowicie to, iż za sprawą „narodowej cenzury” i niepisanej umowy obecność Rosjan w Polsce oraz ich wpływ na życie codzienne, od wyglądu szyldów poczynając, zostały w naszej powieści XIX stulecia przesunięte do strefy milczenia.

JANUSZ TAZBIR

¹⁶ L. Grzeniewski, *Warszawa w „Lalce” Prusa*, Warszawa 1965, s. 143-144.

¹⁷ J. St. Bystron, *Warszawa*, Warszawa 1977, s. 251-252.

¹⁸ A. Tuszyńska, *Rosjanie w Warszawie*, Paryż 1990, s. 9.

¹⁹ J. Bachórz, *Wstęp do t. I „Lalki”*, Wrocław 1998, s. XCIV i nast. oraz L.B. Grzeniewski, op. cit., s. 136-138.

²⁰ Informacja uzyskana od prof. J. Kulczyckiej-Saloni. We francuskim przekładzie *Lalki* zwrot ten został zastąpiony słowami: „il mijot avec les autres la cuisine que nous n'avons pas encore fini de digérer” (La Poupée, t. I, Paris 1962, s. 5). J. Kulczycka miała zapewne na myśli jakiś tłumaczony wcześniej fragment *Lalki*.

²¹ B. Zawistowski, „Tu już nic więcej spalić się nie może”. *Krajobraz Warszawy w „Fachowcu” Wacława Berenta*, [w:] *Miasto słów. Studia z historii literatury i kultury drugiej połowy XIX wieku*, pod red. E. Pączoskiej, Białystok 1990, s. 160.

²² W. Berent, *Fachowiec*, Warszawa 1956, s. 78.

²³ A. Tuszyńska, op. cit., s. 10.

²⁴ J. Bachórz, op. cit., s. CII.

MICHAŁ ŚLIWA

DWIE WIZJE DEMOKRACJI I PARLAMENTARYZMU

Na przełomie dwóch poprzednich stuleci wzrosło zainteresowanie zagadnieniami ustrojowymi wśród polskich elit intelektualnych i politycznych. Związane to było w znacznym stopniu z toczonymi wówczas w krajach zachodniej Europy sporami wokół liberalnych zasad ustrojowych i instytucji państwa liberalnego, ale również z rozbudzeniem się w społeczeństwie polskim nadziei na odbudowę niepodległości i potrzebą wyboru odpowiedniej drogi modernizacji stosunków polskich w warunkach kształtowania się społeczeństwa przemysłowego.

Wtedy bowiem liberalizm ze swoimi demokratyczno-parlamentarnymi instytucjami ustrojowymi odnosił powszechnie sukcesy. Coraz więcej społeczeństw i coraz liczniejsze grupy społeczne przekonywały się w miarę rozwoju i umacniania się ładu kapitalistycznego do wartości liberalnych i liberalnego systemu ustrojowego. Nawet jego dotychczasowi najbardziej konsekwentni krytycy, na przykład socjaldemokraci i socjaliści szybko stawali się zwolennikami demokratyczno-parlamentarnego systemu ustrojowego, postrzegając w nim najlepszy sposób na upodmiotowienie warstw robotniczych i zrealizowanie zasadniczego celu ruchu wyzwolenczego – socjalizmu.

Ale też w opozycji do niego pozostawały dawne jeszcze ugrupowania i środowiska o charakterze rojalistycznym i konserwatywno-tradycjonalistycznym, a także budzące się nowe ruchy społeczne o nacjonalistycznym charakterze. I również w ówczesnym społeczeństwie polskim rozwijające się nowe ruchy społeczne: socjalistyczny i ludowy aspirujące do odegrania pierwszorzędnej roli dziejotwórczej jednoznacznie i konsekwentnie opowiedziały się za demokratyczno-parlamentarnym wzorcem ustrojowym. Krzewili w świadomości warstw robotniczych i włościańskich pewien mit parlamentaryzmu jako najlepszej, bo już sprawdzonej w krajach zachodnioeuropejskich instytucji ustrojowej i mającej jednocześnie bogate tradycje w kulturze polskiej, i będącej oznaką suwerenności narodowej zniewolonych dziś Polaków.

Nie wszystkie jednak środowiska opiniotwórcze podzielały to stanowisko. Sprzeciwiali mu się coraz aktywniejsi ideowo i politycznie narodowi demokraci poszukujący nowych, wyższych form rozwoju społecznego i cywilizacyjnego, w ramach których zaspokojone byłyby potrzeby nie wybranych grup społecznych – robotników i włościan, choć zapóźnionych kulturalnie i cywilizacyjnie, lecz całego narodu polskiego. I w swych wizjach i projektach społecznych zakładali konieczność przekształcenia się narodu w nową, wyższą jakość

– w specyficznym rozumiane państwo narodowe, stwarzające – ich zdaniem – najlepsze warunki dla rozwoju narodu polskiego, ale odrzucające demokratyczno-liberalne instytucje ustrojowe. W ten sposób sytuowali się jednocześnie w roli ruchu nowatorskiego, modernizacyjnego, bo poszukującego nowego systemu organizacji społeczeństwa i wyraźnie różniącego się pod względem doktrynalnym i ideowym od swych adwersarzy – liberałów, socjalistów i ludowców.

Wydaje się, że znaczącą aktywność ideotwórczą przejawiali przede wszystkim przedstawiciele ruchów socjalistycznego i nacjonalistycznego, wyrosłych ze wspólnego dążenia zadośćuczynienia polskim potrzebom patriotyzmu i niepodległości. Nic też dziwnego, iż swym rozważaniom nad kwestią narodową, problematyką państwa narodowego i jego rozwiązaniom ustrojowym nadawali pierwszorzędne znaczenie.

Najbardziej oryginalne i reprezentatywne dla obu ruchów społecznych koncepcje ideowe i doktrynalne formułowali wybitni socjologowie i myśliciele – Kazimierz Kelles-Krauz i Zygmunt Balicki¹. Obu łączyła wspólna przeszłość – działalność w ruchu socjalistycznym, z którą Balicki zerwał po kilkunastu latach, ostatecznie w 1898 roku, stając się współtwórcą i teoretykiem nacjonalizmu. Obydwom nie było dane wskutek przedwczesnej śmierci w pełni rozwinąć swych przemyśleń intelektualnych i ideowych oraz opracować zwartych koncepcji i projektów ustrojowych. Nigdy też nie podjęli bezpośrednio między sobą dysputy intelektualnej i ideowej, chociaż formułowali założenia doktrynalne swych ruchów społecznych i najczęściej wypowiadali się w kwestiach ustrojowych, przede wszystkim w sprawie kształtu polityczno-ustrojowego przyszłego państwa polskiego, przebudowy stosunków społecznych kraju i demokratyzacji społeczeństwa, przyszłości demokracji i parlamentaryzmu itp. Nie wzbudziły one jednak szerszego zainteresowania u ich biografów i badaczy dziejów idei politycznych.

Autor prawa retrospekcji przewrotowej w swych rozważaniach nad istotą demokracji, jej znaczeniem w rozwoju społecznym i potrzebą realizacji w Polsce, wzajemnych jej relacji z patriotyzmem i socjalizmem nawiązywał do starożytnego jeszcze określenia demokra-

¹ Najpełniejsze ich biografie przedstawili między innymi: W. Bieńkowski, *Kazimierz Kelles-Krauz. Życie i dzieło*, Wrocław 1969; T. Synder, *Marxism and Modern Central Europe. Biography of Kazimierz Kelles-Krauz (1872 – 1905)*, Harvard University 1997; B. Grott, *Zygmunt Balicki ideolog Narodowej Demokracji*, Kraków 1995; A. Dawidowicz, *Zygmunt Balicki (1858 – 1916). Działacz i teoretyk polskiego nacjonalizmu*, Kraków 2006.

cji, zapoczątkowanego prawdopodobnie przez greckich sofistów, jako „rządu ogółu przez ogół”, czyli ludowładztwa: „rządów ludu przez lud cały”². Już z samej bowiem definicji demokracji wynika – twierdził – iż nie mogą to być rządy nie legitymizowane przez większość i przez tą większość nie kontrolowane. Nie mogą być to więc rządy sprawowane przez mniejszość w danym narodzie, ale nie mogą to być również rządy obce, narzucone jednemu narodowi przez drugi, choćby wyrażały nawet wolę obcej większości nad rodzimą mniejszością. Wszak jedyną przestrzenią społeczno-polityczną i prawną urzeczywistnienia zasady ludowładztwa jest naród. Dlatego demokracja i naród są ściśle ze sobą związane.

Częścią składową pojęcia demokracji jest więc niepodległość narodowa. Demokracja nie może być urzeczywistniona i nie może istnieć w warunkach braku wolności narodowej. Tworzy ona bowiem z państwem narodowym „absolutną nierozłączną” całość. Wynika to przede wszystkim z faktu, że zarówno demokracja polityczna, jak i demokracja gospodarcza („ludowładztwo ekonomiczne”) opierają się na zasadzie większości, a ta stosowana może być jedynie wewnątrz jednego narodu. Bo decyduje o tym sposób komunikowania się pomiędzy ludźmi, czyli język jako „narzędzie obiegu myśli i wszelkich stosunków ludzkich”.

Ludzie mogą się porozumiewać pomiędzy sobą jedynie w zrozumiałym dla siebie języku, a więc w ramach jednego tylko narodu. „Mniejszość może uznać wolę większości mówiącej tym samym językiem co ona, dlatego – dowodził Kelles-Krauz – iż przypuszcza, że możliwe jest porozumienie się z nią, przekonanie się wzajemne, że jest coś wspólnego między nimi, jakiś wspólny mianownik, do którego sprowadzają się dążenia większości i mniejszości, jakiś wspólny próbiez, podług którego się je sądzi”³.

Niezależnie bowiem od istniejących zawsze w społeczeństwach podziałach i sprzecznych interesach występują dążenia wspólne, cele ogólnospołeczne, dobro społeczne wyrażające się w trosce o rozwój samego społeczeństwa i jego normalnego funkcjonowania. Mogą być one realizowane w toku nieustannych sporów i wymiany myśli pomiędzy skonfliktowanymi grupami społecznymi, i wzajemnym się ich przekonywaniu oraz pozyskiwaniu dla określonych projektów i wizji organizacji społeczeństwa nowych zwolenników. Jednakże możliwe to jest jedynie w warunkach demokracji stwarzającej swobodę wyrażania myśli i wypowiedzi oraz ustalenia preferencji dla większościowych wyborów i zapewnienia im uznania przez mniejszość. A to znowu można osiągnąć tylko w ramach jednego narodu – społeczności komunikującej się w zrozumiałym dla siebie języku.

O integralnym związku demokracji z państwem narodowym, według ideologa PPS decydowały również czynniki wynikające z istoty nowożytnego rozwoju ekonomicznego o charakterze kapitalistycznym. Niezbędnym bowiem zabezpieczeniem dla funkcjonowania nowego ładu społecznego – kapitalizmu okazało

się państwo narodowe, bo tylko ono mogło zapewnić najlepsze warunki dla rozwoju przemysłu i jego ekspansji na rynkach międzynarodowych. Ono najlepiej zabezpieczało interesy nowej klasy społecznej – burżuazji. Dlatego niezbędną dla państwa narodowego stała się demokracja, w swej naturze będąca zaprzeczeniem wszelkich partykularyzmów oraz przywilejów jednostkowych i grupowych, które utrudniały rozwój kapitalizmu i niezbędny dla niego proces centralizacji i konsolidacji władzy państwowej. Ona też sprzyjając ujednoliceniu systemu prawnego na możliwie największym terytorium koniecznym dla rozwoju kapitalizmu stała się czynnikiem konsolidacji i spójności państwa narodowego.

Demokracja i państwo narodowe – przekonywał K. Kelles-Krauz – są również potrzebne nowej klasie społecznej – robotnikom. W przeciwieństwie do burżuazji robotnicy nadają im nową treść, wyrażającą się przede wszystkim w konsekwentnym zrealizowaniu „demokracji całkowitej”, „demokracji najczystszej” oraz w uczynieniu z państwa narodowego płaszczyzny współdziałania i przyjaźni z innymi narodami w celu budowy trwałego pokoju i związku państw w świecie. „Proletariat potrzebuje – konstatował – wolności i jedności narodu dla siebie samego już dlatego, że ona jedynie – oczywiście zawsze przy demokracji – umożliwi swobodny obieg myśli między wszystkimi częściami i warstwami narodu, należyty, nie tamowany rozwój oświaty i kultury, które są koniecznymi warunkami zwycięstw ekonomicznych i politycznych klasy robotniczej. Ale prócz tego ta potrzeba polityczna proletariatu zupełnie tak samo wypływa z potrzeb ekonomicznych jego i jest warunkiem niezbędnym ich zaspokojenia”⁴.

Nie bez powodu teoretyk PPS poszukiwał argumentów uzasadniających dążenia demokratyczne i narodowe robotników w sferze ekonomicznej. Wszak jak każdy socjalista zwracał uwagę na ograniczony charakter urzeczywistnionej przez burżuazję demokracji – tylko w takim stopniu, w jakim było jej to niezbędne, by rozprawić się z feudalnym porządkiem społeczno-politycznym. Toteż burżuazja ograniczyła się jedynie do realizacji demokracji politycznej, znacznie jeszcze okrojonej poprzez zachowanie niesprawiedliwych stosunków ekonomicznych. Nie jest bowiem możliwe urzeczywistnienie pełnej demokracji w warunkach nierówności i ucisku ekonomicznego. Dlatego pojawienie się rządów dyktatorskich – podkreślał Kelles-Krauz – nie jest następstwem, jak twierdzą między innymi konserwatyści i reakcyjniści, przerosłu i panoszenia się demokracji z jej naczelną zasadą równości politycznej, lecz narastanie sprzeczności pomiędzy urzeczywistnioną równością i wolnością polityczną a uciskiem ekonomicznym jednych grup społecznych przez drugie.

Wywłaszczone grupy społeczne szybko rozczarowują się bowiem do urzędów demokratycznych, stają się podatne na demagogię i szukają ratunku w rządach tyranów i dyktatorów. W tej sytuacji „forma rządów demokratycznych – powtarzał K. Kelles-Krauz opinię francuskiego antropologa i socjologa, republikanina Karola Letourneau – jeśli ma istnieć, musi być oparta na sprawiedliwości, że równość polityczna z trudnością da się pogodzić z nierównością ekonomiczną – powyżej

² K. Kelles-Krauz: *Niepodległość Polski a materialistyczne pojmowanie dziejów*, w: *Pisma wybrane*, t. 2, Wyboru dokonał J. Hochfeld, Warszawa 1962, s. 389; *Demokracja w nowoczesnym ustroju państwowym*, tamże, s. 397.

³ Tenże, *Niepodległość Polski a materialistyczne pojmowanie dziejów*, s. 384.

⁴ Tamże, s. 384.

pewnej miary przynajmniej⁵. Nic też dziwnego, iż socjaliści nie poprzestają na realizacji politycznego wzorca demokracji, lecz dążą do urzeczywistnienia demokracji ekonomicznej poprzez przejęcie środków produkcji na własność całego społeczeństwa, w którym to dziele spełni się misja dziejowa klasy robotniczej jako wyzwoliciela nie tylko wywłaszczonych, ale wszystkich ludzi wyobcowanych za sprawą niesprawiedliwych stosunków społecznych. Ma ona więc do spełnienia wzniosłe cele i zadania, możliwe do osiągnięcia – przekonywał polski socjolog – „jedynie przez całkowitą demokrację, zastosowaną do zjednoczonego i wolnego państwa narodowego, pokojowo i dobrowolnie – czyli znowu demokratycznie – połączonego z innymi państwami”⁶.

Tym bardziej robotnikom niezbędna jest demokracja – dowodził K. Kelles-Krauz – iż socjaliści nie przewidują tworzenia jakichś nowych form organizacji społeczeństwa sprawiedliwości społecznej. Zakładają bowiem przejęcie istniejącego już państwa narodowego jako najlepszej formy organizacyjnej, w ramach której może być urzeczywistnione społeczne kierownictwo procesem produkcji. Nie może ono być realizowane na zbyt wielkich obszarach, na przykład na danym całym kontynencie lub w skali ogólnoświatowej, nie tylko ze względu na skuteczność i efektywność zarządzania, lecz przede wszystkim z powodu sposobu porozumiewania się, dla którego niezbędna jest „wspólność językowa” i urządzenia demokratyczne, ponieważ system uspołecznienia środków produkcji i zarządzania nimi wymaga porozumiewania się w konkretnym języku i przestrzegania demokratycznej zasady większości.

Chociaż nie jest wykluczone – przewidywał autor – pojawienie się w odległej przyszłości nowych form komunikowania się między ludźmi oraz uzgadniania decyzji w procesie kierowania i zarządzania życiem społecznym. Tym bardziej że procesowi nieustannego budzenia i umacniania świadomości narodowej robotników towarzyszy proces żywiołowego kształtowania się pod wpływem rozwoju kapitalizmu ich świadomości demokratycznej. To znowu wzmacnia u robotników poczucie godności i człowieczeństwa. W konsekwencji rozwija i utrwała się jego świadomość narodowa, demokratyczna, ogólnoludzka i klasowa. Nic też dziwnego, iż robotnicy już dzisiaj chcą uczestniczyć w kulturze narodowej, korzystać z osiągnięć oświaty i decydować o sobie, o losie swojej klasy społecznej i losie swojego narodu. Na końcu owej drogi wielkiego ruchu emancypacyjnego jawi się idea ludowładztwa, której urzeczywistnienie przyspieszy nowoczesny rozwój ekonomiczny, ponieważ „z siłą niezmożonej konieczności wytwarza on wszędzie klasę robotniczą, ale także skupia ją, popycha i zaprasza do walki, budzi w niej poczucie godności, solidarności i oporu, buntu, pociąga ją do udziału w oświacie i kulturze, napełnia ideałem demokracji, więc równie niezbędnym następstwem niepowstrzymanego rozwoju ekonomicznego jest określanie się świadomości narodowej w proletariacie, obrona narodowości przez tą klasę i dążenie jej do niepodległego demokratycznego państwa narodowego. Urzeczywistnienie niepodległości narodu musi być ta-

kim samym następstwem nowoczesnego rozwoju ekonomicznego, jak urzeczywistnienie demokracji, z którą stanowi ona jedną nierozłączną całość”⁷.

Według K. Kelles-Krauz jedynie przeto system demokratyczno-parlamentarny zapewnić może budowę polskiego państwa narodowego na miarę przeżywaną epoki dziejowej, bo tylko nowoczesne instytucje polityczne i urządzenia ekonomiczne umożliwiają warstwom pracującym pełne unarodowienie i upodmiotowienie polityczne, i w konsekwencji ułatwią przejęcie władzy państwowej na drodze demokratycznej, co pozwoli urzeczywistnić nowy ład społeczny oparty na zasadach sprawiedliwości i równości społecznej. To właśnie swym prawem retrospekcji przewrotowej, zamykając wieloletni spór o rodowód nowego ruchu społecznego przekonująco dowiódł on, iż złudzeniem jest dążenie do wyzwolenia się od tradycji, ponieważ dzieje społeczne są procesem odradzania się przeszłości, aczkolwiek w innej, wyższej postaci. Dlatego aspiracje socjalne i narodowe warstw pracujących są ściśle zespolone z ideami demokratycznymi, i tylko w państwie niepodległym może być urzeczywistniona idea demokracji, gdyż jej niezbędną przesłanką jest zasada większości możliwa tam, gdzie nie ma ucisku narodowego, lecz panuje równość praw.

Warstwom tym niezbędne są więc instytucje demokratyczno-parlamentarne republikańskiego państwa, które każdemu narodowi umożliwiają rządzenie samym sobą, co jest „ogromnie dobre dla narodu i sprawiedliwe”, ponieważ „wszystkie urządzenia, co służą do tego – lapidarnie objaśniał Kelles-Krauz – żeby naród sam sobą rządził, to są dopiero wtedy zupełnie doskonałe, jak każdy naród u siebie jest niezależny i nikt mu się obcy nie wtrąca do tego, jak on sobą rządzi (...). A jeżeli inne narody mają takie urządzenia, to i nam się one należały. Dlaczego my byśmy sami nie mieli sobą rządzić? Czy my gorsi od innych? (...). Oto najpierw musimy chcieć, żeby Polska była niezależna, żebyśmy Polacy sami sobą rządzili, nie żeby nami rządzili Rosjanie ani Niemcy. A po wtóre powinniśmy chcieć, żeby ta nasza Polska była republiką, bośmy widzieli, że w Rzeczypospolitej najłatwiej narodowi sobą samym rządzić i nikt mu w tym nie przeszkadza”⁸.

Kazimierz Kelles-Krauz uzasadniając potrzebę budowy w Polsce republikańsko-demokratyczno-parlamentarnego wzorca ustrojowego rozważał stan jego realizacji we współczesnych mu systemach ustrojowych. Zastanawiał się nad tym, w jakim stopniu urządzenia demokratyczne urzeczywistniono we współczesnym państwie. Dochodził do krytycznej konstatacji faktu istnienia sprzeczności pomiędzy ideałem demokracji a rzeczywistością społeczną oraz treścią pojęcia demokracji a jej urządzeniami i instytucjami funkcjonującymi w praktyce politycznej. Na podstawie analizy prawa konstytucyjnego i systemów ustrojowych niektórych państw europejskich wnioskował, iż – jak dotąd – w żadnym kraju, nawet najbardziej demokratycznym, nie urzeczywistniono idei ludowładztwa, czyli „rzeczywistej demokracji”, której nieodzownym warunkiem jest faktyczna „wolność i samodzielność umysłów, mających rozstrzygać o swoim losie; rzeczywista równość tych, których głosy czyni równymi prawo pisane. Tej dzisiaj nie ma i być nie może.

⁵ K. Kelles-Krauz, *Karol Letourneau*, w: *Pisma wybrane*, t. 1. Wyboru dokonał J. Hochfeld, Warszawa 1962, s. 391.

⁶ K. Kelles-Krauz, *Niepodległość Polski a materialistyczne pojmowanie dziejów*, s. 385.

⁷ Tamże, s. 388 - 389.

⁸ K. Kelles-Krauz, *Jak się narody rządzą?*, s. 45 - 46.

Autorytet majątku, autorytet władzy, autorytet duchowny tworzą atmosferę wsiąkającą ze wszystkich stron w duszę mas (...). Tak więc nie ma dziś nigdzie demokracji⁹.

Nie oznacza to wcale – zastrzegaj się autor – że demokracja współcześnie nie istnieje, bo ona się staje i rozwija, jak każda zresztą forma życia społecznego i przyrodniczego. Dlatego nie można zakwestionować i odrzucić współczesnych jej urzędzeń i instytucji z parlamentaryzmem na czele. U kresu dotychczasowego rozwoju społecznego tkwi bowiem zasada „konsekwentnego ludowładztwa”, które – jak do tej pory – pozostaje jedynie ideałem propagowanym głównie przez ruch socjalistyczny w żądaniach demokratycznego prawa wyborczego, równouprawnienia wyznań i narodowości, wolności prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń, wybieralności wszystkich urzędników państwowych i samorządowych, instytucji referendum itp.

Realizacja zasady ludowładztwa w nowoczesnym społeczeństwie oznaczałaby nawiązanie do tradycji ludowładztwa panującego w okresie pierwotnym u wszystkich narodów europejskich, która to tradycja przetrwała do dziś w pewnym tylko stopniu w Szwajcarii. Oznaczałoby to w istocie rewindykację praw, którymi w przeszłości dysponował lud, a które utracił w znacznej stopniu z powodów ekonomicznych na rzecz wyższych warstw społecznych. One to wydziedziczyły lud z praw politycznych i ustanowiły nad nim swoje rządy. Odwoływały się do poparcia ludu jedynie w walce z feudalizmem i monarchizmem, ale z chwilą wprowadzenia instytucji nowoczesnego parlamentaryzmu do budowy ustroju politycznego państwa zdystansowały się od potrzeb i dążeń ludu pracującego – podmiotu demokracji i starały się utrwalić owe wydziedziczenie polityczne.

Jednakże w ten sposób klasy posiadające zapoczątkowały odbudowę demokracji. Ich dzieło kontynuują współcześnie nowe klasy społeczne – lud pracujący. On to właśnie co raz żywiej dopomina się współudziału w procesie rządzenia państwem, oczywiście w większym stopniu w krajach zachodnioeuropejskich niż w pozostałych państwach starego kontynentu, przez co przyczynia się do rozwinięcia tam „prawdziwego parlamentaryzmu”. Uwieńczeniem zaś tego procesu przypryły „nowej fali” demokracji będzie zupełne przywrócenie „powszechnego ludowładztwa”.

Mimo zapowiedzi analizy tego procesu demokratyzacji i parlamentaryzacji ustroju państwowego w wyniku akcji politycznej warstw pracujących w kolejnym studium polityczno-prawnym, już niestety Kelles-Krauz nie zdążył przedstawić, ponieważ wkrótce zmarł. Tymczasem w sposób analityczny na przykładzie licznej grupy państw zachodnioeuropejskich omówił proces odradzania się demokratycznego parlamentaryzmu, funkcji ustawodawczych parlamentu, jego uprawnień politycznych i kontrolnych wobec rządu, uprawnień władzy ustawodawczej w dziedzinie prawa budżetowego itp. Tym samym wykazał on również, w jakim kierunku powinien podążać rozwój parlamentaryzmu demokratycznego w odrodzonym państwie polskim i w pozostałych krajach środkowoeuropejskich, by ułatwić urzeczywistnienie drugiej fazy demokratyzacji, której właściwym

zwieńczeniem miało być przywrócenie wspomnianego już „powszechnego ludowładztwa”.

Nie skonkretyzował także projektu ustrojowego „prawdziwego parlamentaryzmu” i „powszechnego ludowładztwa”. Dlatego jedynie na podstawie jego ogólnikowych wypowiedzi w formie postulatów ustrojowych, charakterystycznych zresztą dla ówczesnej myśli politycznej polskich socjalistów można wnioskować, że opowiadał się za modelem systemu demokracji parlamentarnej uzupełnionej instytucjami demokracji bezpośredniej (referendum ludowym) i opartym na szeroko rozbudowanych instytucjach samorządowych, przede wszystkim samorządzie gminnym i miejskim. W ten sposób zorganizowana ustrojowo-politycznie Rzeczpospolita Polska miała ułatwić na drodze demokratycznej i pokojowej pełną emancypację społeczną i ekonomiczną warstwom pracującym i umożliwić im urzeczywistnienie starej zasady „powszechnego ludowładztwa”, czyli zaprowadzenie rzeczywistej wolności, równości i solidarności między ludźmi.

Twórca prawa retrospekcji rewolucyjnej przyczynił się więc znacznie do ożywienia w społeczeństwie polskim na progu dwudziestego wieku zainteresowań sprawami ustrojowymi, tym bardziej iż uzasadniał potrzebę budowy demokratyczno-parlamentarnej wzorca ustrojowego odrodzonego państwa polskiego jako najlepszego sposobu realizacji dążeń emancypacyjnych warstw pracujących. Wyrażał przy tym niewątpliwie nowatorską tezę o rozwoju nowoczesnej demokracji w wyniku nasilenia się ruchu emancypacyjnego tych warstw. Dowodził bowiem, że demokracja zyskała nowego potężnego zwolennika i obrońcę – warstwy pracujące, u których żywiołowo wzrastała świadomość demokratyczna, i które tworząc szeroką podstawę społeczną procesów demokratyzacyjnych społeczeństwa i przyszłego państwa polskiego stanowią najpewniejszą gwarancję rozwoju demokracji w Polsce.

W ten sposób Kazimierz Kelles-Krauz ukazał także naturalne związki socjalizmu i demokracji, bo dowiódł, że z egalitaryzmem społecznym i patriotyzmem ludowym jest ściśle zespolony demokratyzm. I że tylko w państwie narodowym – jak już wzmiankowałem – może być urzeczywistniona demokracja, ponieważ jej niezbędną przesłanką jest wspólnota językowa, a fundamentalna zasada demokracji – zasada większości – może być stosowana tylko wewnątrz jednego narodu. Odzyskanie niepodległości jest zatem możliwe przed rewolucją socjalną, a zbudowanie w niepodległej Polsce republiki demokratyczno-parlamentarnej jest warunkiem wstępnym Polski socjalistycznej.

* * *

Odmienne od niego wizję demokracji i parlamentaryzmu formułował twórca ideologii polskiego nacjonalizmu. Przede wszystkim zakwestionował związek demokracji z liberalizmem twierdząc, że „różnica między wszechwładztwem ludu w parlamentaryzmie, wyobrażającym »jedną i niepodzielną wolę masy«, demokracja upatruje ten środek ciężkości bezpośrednio w samych masach, w dążeniach, potrzebach i woli poszczególnych obywateli lub grup zbiorowych (...), demokracja i liberalizm odmiennie pojmują charakter tych dążeń (tj. wolności i równości – przyp. M. Ś.) i wzajemnej ich

⁹ Tenże, *Demokracja w nowoczesnym ustroju państwowym*, s. 400.

zależności (...), są to dwie metody działalności, według których społeczność świadomie rozwija swoją organizację. Metody te odpowiadają ogólnym metodom myślenia – logika zwie ich indukcją i dedukcją¹⁰.

Oczywiście, nie pierwszy Zygmunt Balicki zwrócił uwagę na zjawisko dychotomii dwóch systemów wartości: liberalizmu i demokratyzmu. Już pół wieku wcześniej francuski filozof i mąż stanu Alexis de Tocqueville dowodził ich odmienności i wzajemnej sprzeczności. Ale przypomnienie owej antynomii demokratyzmu i liberalizmu było zapowiedzią ewolucji światopoglądowej i intelektualnej przyszłego redaktora „Przeglądu Narodowego” – od idei demokratyczno-liberalnych i socjalistycznych do ideologii nacjonalistycznej. Na drodze tej ewolucji ważną rolę spełniała krytyka liberalnej demokracji i jej podstawowej instytucji ustrojowej – parlamentaryzmu.

Dokonał bowiem stosunkowo wszechstronnej analizy i krytyki głównej instytucji ustrojowej demokracji liberalnej – parlamentaryzmu, wychodząc z założenia, iż podstawę jego analizy, opisu i oceny stanowić powinno stwierdzenie faktu powszechnej, ostrej krytyki tej współczesnej formy ustrojowej „upatrującej w niej przede wszystkim arenę czczego oratorstwa, pościgu prywatnych i koteryjnych interesów, przekupstw, nadużyć, walk stronnicych i ogólnego rozprężenia”¹¹.

Wbrew więc często deklarowanej opinii, że obce mu jest stanowisko badawcze zakładające określoną tezę o danym zjawisku¹², sam założył potrzebę wykazania braków i słabości ustroju parlamentarnego. Temu celowi poświęcił właśnie dwutomowe dzieło *Parlamentaryzm*, w którym starał się rozważyć z socjologicznego punktu widzenia organizację i funkcjonowanie tej formy ustrojowej i samego państwa. Zaczął od przypomnienia genezy państwa, które powstało – jak twierdził – w wyniku rozwarstwienia ludności żyjącej na danym obszarze geograficznym i ukształtowania się dwóch antagonicznych grup: rządzonych i rządzących, czyli poddanych i sprawujących władzę. Rozwarstwienie to ściśle było związane z powszechnie występującym niegdyś zjawiskiem podboju ludności jednych terytoriów przez mieszkańców innych terytoriów i narzucania przez zwycięzców swej dominacji pokonanym.

Wytworzeniu się owych stosunków władzy i w konsekwencji państwa sprzyjały dwa czynniki: zróżnicowanie wewnętrzne danej społeczności i brak więzi zapewniającej jej spójność i jednorodność oraz niezdolność społeczności do współdziałania w celu realizacji określonych zadań, szczególnie o znaczeniu ogólnym. Dlatego niezbędne stało się wytworzenie władzy i następnie państwa, ponieważ – jak przekonywał autor – „pierwszy z tych czynników spowoduje wzmocnienie się władzy wewnętrznej, drugi – rozszerzenie zakresu jej kompetencji; stałe połączenie obu daje nam w rezultacie ustrój, w którym bezpośrednie rządy ogółu ustępują miejsca pośrednim rządóm organu, w którego ręce złożono władzę nad ogółem. Władza ta, początkowo dobrowolnie ustanowiona przez zbiorowość, może w sprzyjających

okolicznościach rozszerzyć samowolnie zakres swego działania i napięcie wywieranego przymusu i z chwilą, gdy zdobędzie taką przewagę, że przestanie się liczyć z aprobatą ogółu, a w razie potrzeby może przymusić opornych do posłuchu, z władzy ustanowionej przemienia się w władzę nadaną i staje ponad zbiorowością”¹³.

Bowiem Balicki, będąc zwolennikiem Gumpłowiczowskiej teorii podboju, poszukiwał wyjaśnienia genezy państwa w konieczności zastosowania w regulacji stosunków między ludźmi środków przymusu i przemocy. Utrwał się w swym przekonaniu o jej zasadności jeszcze pod wpływem opinii, według której potrzeba stosowania siły i przemocy charakterystycznej dla władzy państwowej, w stosunkach międzyludzkich zależy od zdolności i stopnia samorzutnej organizacji danej społeczności, możliwości współdziałania jej członków w realizacji zadań służących dobru zbiorowemu i ich wzajemnej solidarności oraz spójności społeczności itp.

Im intensywniejsza samopomoc i samoorganizacja danej zbiorowości ludzkiej, tym mniejsza potrzeba aktywności państwa jako zewnętrznego regulatora procesów i stosunków społecznych. Dlatego zakres ingerencji państwa w stosunkach społecznych pozostaje w proporcjonalnej zależności od zdolności społeczności do samoorganizacji i samoregulacji stosunków między ludźmi, a także od poszukiwania przez nią nowych form ustroju. W miarę bowiem – prognozował początkowo Balicki – demokratyzacji narodu i umacniania się jego wewnętrznej samoorganizacji zmniejszać się będzie rola przemocy i przymusu państwowego, i w konsekwencji samego państwa, które stawać się będzie coraz bardziej jedynie „regulatorem i stróżem bezpieczeństwa publicznego”, „organem wykonawczym” woli społeczeństwa¹⁴. Z chwilą jednak rozwinięcia swej ewolucjonistycznej koncepcji rozwoju społecznego, zakładającej zwieńczenie procesu społecznego przez przekształcenie się narodu w nową jakość organizacji życia ludzkiego – państwo narodowe, uzasadniał pogląd, iż państwo stanowi jedynie pewne „uzupełnienie”, „dopełnienie na drodze przymusu niedostatecznej zawsze i niekorzystnej organizacji samorzutnej społeczeństwa”¹⁵.

W nowej przeto perspektywie jawiła się w jego poglądach instytucja państwa. Co prawda nadal postrzegał ją jako skutek podboju jednych wspólnot przez drugie bądź też narzucenia panowania jednej zbiorowości drugiej, ale w swych rozważaniach podnosił nowy aspekt oceny roli owych dominujących grup społecznych w procesie tworzenia państwa, wyrażający się w pochwalę ich zdolności państwowotwórczych, będących – jak mawiał – przejawem „czynnego instynktu władzy” nad innymi ludźmi, co pozwoliło rozwinąć życie państwowe jako główne „źródło i rozsądnik cywilizacji”.

Państwo staje się teraz – w interpretacji Balickiego – nie tylko „wyrazem w organizacji władzy”, lecz jednocześnie wynikiem rozwoju samowiedzy społeczeństwa, czyli kształtowania się samorzutnie twórczej świadomości społecznej, której nośnikami są najbardziej twórcze i wartościowe w danym okresie historycznym grupy społeczne – stan, warstwa, klasa itp., dążące do „sa-

¹⁰ Z. Balicki, *Demokratyzm i liberalizm. Studium socjologiczne*, „Przegląd Społeczny”, 1886, t. 2, zes. 80, s. 89 – 90.

¹¹ Z. Balicki, *Parlamentaryzm. Zarys socjologiczny*, Warszawa 1900, s. 7.

¹² Por. np. *Metody nauk społecznych i ich rozwój w XIX stuleciu*, Warszawa 1903.

¹³ Tamże, s. 44.

¹⁴ Z. Balicki, *Uwagi krytyczne nad socjalizmem współczesnym*, s. 4 i n.

¹⁵ Tenże, *Psychologia społeczna. Czynności poznawania*, Warszawa 1912, s. 544.

mowladztwa". Każda przeto funkcja państwa, w tym ustrojowa, jest przejawem samorzutnego dążenia dominującej grupy społecznej wyposażonej w instynkt władzy („instynkt państwowy”) do pokierowania życiem zbiorowym.

Dlatego państwo nie jest – jak wcześniej sądził Balicki – organizacją sztuczną, narzuconą z zewnątrz społeczeństwu, pozostającą w nieprzezwyciężalnym antagonizmie w stosunku do narodu, lecz wręcz przeciwnie – naturalną formacją społeczną, która „obok formacji Narodu, Społeczeństwa i Ludu staje się syntetycznym upodmiotowieniem najbardziej już złożonych czynników duchowych, zmaterializowanych w najbardziej również złożonym ustroju organizacyjnym; ustrój ten przenika wszystkie powyższe formacje i łączy je ze sobą w jedną organiczną całość, która posiada swą pełną już indywidualność, wyraźnie zarysowaną i wyodrębnioną spośród innych równorzędnych indywidualności. Tam gdzie wszystkie powyższe cztery formacje obejmują jedną całość zbiorową, osiadła na tym samym terytorium, organizm społeczny przedstawia maksimum indywidualności w stosunku do otoczenia, łączy bowiem w sobie równocześnie maksimum spoiwości na wewnątrz, obok maksimum niezależności na zewnątrz”¹⁶.

Tym bardziej jest niekorzystna dla zbiorowości ludzkiej organizacja państwa w postaci systemu demokracji pośredniej „rozwijającej się – jak twierdził Balicki – na tle nieudolności mas do samorządu i organizacji samorzutnej, na tle politycznej ich apatii i idącego za tym oglądania się we wszystkim na pomoc państwa. Doprowadzają one do przeniesienia całej władzy i zwierzchnictwa na jeden organ, na parlament, powołany do zastępowania ogółu w trudnym zadaniu kierownictwa sprawami całego kraju”¹⁷. Typowym przeto ustrojem demokracji pośredniej jest ustrój parlamentarny, funkcjonujący tam, gdzie „grupa panująca, jako całość, nie jest zdolna do wywierania bezpośredniego decydującego wpływu na bieg spraw publicznych, gdyż zadania państwowe są tak rozległe i złożone, a opinia ogółu tak mało wyrobiona, że mandat udzielony parlamentowi jest prawdziwym zastępstwem, a zwierzchnictwo państwa spoczywa w jego rękach. W takich warunkach rządy parlamentu są rządami jego własnej większości, ale nie większości obywateli wyborców”¹⁸.

Współczesny parlamentaryzm stał się więc w istocie przedstawicielstwem często odmiennych, sprzecznych interesów społeczno- ekonomicznych i kulturalno-terytorialnych oraz politycznych. I chociaż w przeszłości odegrał pozytywną rolę w procesie dezalienacji władzy, pozostającej często poza wszelką kontrolą, poprzez oddzielenie władzy wykonawczej od ustawodawczej i przekazanie władzy prawodawczej przedstawicielom społeczeństwa reprezentującym wyższe kwalifikacje polityczne i potrzeby duchowe, to jednak obecnie przeżywa on poważny kryzys prowadzący do rozkładu tej formy ustrojowej.

Dlatego Zygmunt Balicki na podstawie analizy organizacji i funkcjonowania współczesnych mu systemów parlamentarnych Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch doku-

mentował i uzasadniał owe twierdzenie o kryzysie parlamentaryzmu. Przyczyny jego niedomagań i słabości dopatrywał się przede wszystkim w klasowym charakterze rządów parlamentarnych, ponieważ parlament będący przedstawicielstwem jedynie dominującej klasy społecznej i reprezentujący jej interesy staje się areną konfliktów i walk politycznych nurtujących społeczeństwo, i nie jest w stanie spełniać zadań wynikających z dążeń całej zbiorowości społecznej i służyć dobru powszechnemu.

Jego niewydolność pogłębia jeszcze niewłaściwy dobór przedstawicieli parlamentarnych rekrutujących się często spośród karierowiczów i egoistów, którzy swoją powinność parlamentarną traktują jako sposób na wzbogacenie się, dominację nad drugimi, zdobycie władzy, stanowisk i zaszczytów itp. Osłabia go także wyobcowanie się ze społeczeństwa poprzez utratę zaufania i poparcia najaktywniejszych w pracy publicznej grup społecznych. Dlatego, by zapobiec dalszej degradacji instytucji przedstawicielskiej proponuje się różne reformy, między innymi polegające na przywróceniu dawnych instrukcji poselskich oraz zmianie systemu wyborczego w celu umocnienia niezależności parlamentu od wyborców bądź uczynienia z niego bardziej reprezentatywnego przedstawicielstwa opinii publicznej itp.

Ale wszystko to są półśrodki nie zapobiegające kryzysowi parlamentaryzmu i rozkładu ustroju parlamentarnego. Tym bardziej że parlament jako zbiorowość przypadkowych ludzi, nie mająca ukształtowanego poczucia wspólnotowego i jednoznacznej „osobowości” kieruje się zasadami psychologii tłumu, i w konsekwencji w swym działaniu charakteryzuje się nieprzewidywalnością i zmiennością decyzji oraz nieobliczalnością zachowań politycznych i moralnych. Łatwo daje się przy tym manipulować ulegając przypadkowym oddziaływaniom zewnętrznym.

W tej sytuacji najwłaściwszym sposobem naprawy ustroju politycznego współczesnego państwa – wnioskuje autor – byłoby wprowadzenie wzorem Szwajcarii instytucji demokracji bezpośredniej (np. powszechnego głosowania), co pozwoliłoby „Ludowi” uczestniczyć bezpośrednio w rządzeniu państwem, sprowadzając jego przedstawicielstwo polityczne do roli drugorzędnej w procesie rządzenia – instytucji pomocniczej wobec rządów bezpośrednich i płaszczyzny uzgadniania stanowisk różnych antagonistycznych sił społeczno-politycznych. W ten sposób system przedstawicielski zabezpieczyłoby się przed różnymi patologiami i zwyrodnieniami będącymi zawsze wynikiem przerostu władzy.

Oczywiście, „każdy kraj – konstatował – znaleźć musi własne formy ustroju politycznego, odpowiadające stopniowi kultury, tradycjom i charakterowi narodu, zasady jednak dobrej organizacji na tych podstawach oparte, są jedne dla wszystkich, jak wspólna jest natura społeczeństwa i prawa ich rozwoju”¹⁹. A tą zasadą „dobrej organizacji” społeczności ludzkiej był według Balickiego specyficznie rozumiany demokratyzm wyrażający się w „samorzutnej organizacji społeczeństwa, odpornej na wszelką ingerencję obcego państwa, powołującej najszersze warstwy społeczeństwa przede wszystkim do pełnienia obowiązków narodowych, z których dopiero wypływają ich prawa (...), oparty na hierarchii po-

¹⁶ Tamże, s. 543.

¹⁷ Z. Balicki, *Parlamentaryzm. Zarys socjologiczny*, t. 2, Warszawa 1900, s. 101.

¹⁸ Tamże, s. 87.

¹⁹ Tamże, s. 175.

wszechnych funkcji społecznych, a nie na równości zamierzonych jednostek, poddanych jedynie hierarchii rządowej²⁰.

W interpretacji Zygmunta Balickiego demokracja nie miała oznaczać zatem możliwości upodmiotowienia jednostek i grup społecznych w warunkach wolności i równości wzajemnej, lecz jedynie ułatwienie jednostce zrozumienia i utożsamienia się z interesem własnego narodu, czyli w istocie rozwinięcia poczucia egoizmu narodowego. Bo demokracja stwarza najszerzym warstwom społecznym – ludowi możliwość przekształcenia się w wyższą wspólnotę – naród, a tego w państwo narodowe. Dlatego nie jest ona żadnym – jak chcą liberałowie i inni rzecznicy demokracji – systemem wyłaniania w drodze wolnych wyborów woli większości czy też systemem rządzenia, ponieważ udział w sprawowaniu władzy państwowej zależy od poziomu kompetencji ludzi, a w te są wyposażone jedynie najbardziej świadome pod względem narodowym grupy ludzi, przeniknięte – jak mawiał Balicki – „instynktem narodowym”, czyli swoista elita narodu, „arystokracja kompetencji”.

Tezę tę rozwinął szerzej we wspomnianej już ogłoszonej w 1903 roku rozprawie zawierającej „wyznanie wiary” polskiego nacjonalizmu – *Egoizm narodowy wobec etyki*. Dowodził w niej, że warunkiem pomyślności narodu i przekształcenia się go w państwo narodowe jest ukształtowanie w świadomości polskiej wspólnoty etnicznej poczucia egoizmu narodowego, któremu to procesowi społecznemu i psychologicznemu towarzyszyć musi formowanie się osobowości Polaka w postaci modelu „żołnierza-obywatela”. Dlatego cele wychowania narodowego należy zorientować na kształtowanie charakteru ludzi w duchu patriotyzmu, religijności chrześcijańskiej, interesu narodowego itp. Należy rozwijać pozytywne cechy charakteru Polaków jak koleżeństwo, zdolność do współdziałania, solidarność i aktywność pomnażającą wartości narodowe. Unikać natomiast należy rozwijania wartości ogólnoludzkich, etyki humanistycznej i „nieodpowiedzialnego humanitaryzmu”²¹.

Nic też dziwnego, iż Zygmunt Balicki wzmógł krytykę liberalizmu oraz innych ruchów społecznych o charakterze parlamentarnym – socjalistycznego i ludowego. Zarzucał im utrwalanie istniejącego złego i szkodliwego systemu ustrojowego i zaniechanie poszukiwania nowych form organizacyjnych życia społecznego. Szczególnie surowej krytyki nie szczędził liberalizmowi jako rzecznikowi demokratyczno-parlamentarnego wzorca ustrojowego. Upatrywał w liberalizmie najgorsze cechy moralne i polityczne, i obarczył go za skutki wszelkich możliwych wynaturzeń i patologii społeczno-politycznych. Postrzegał w nim tendencje kosmopolityczne prowadzące do degradacji narodu, zaniku więzi narodowej, kryzysu cywilizacji, zniszczenia tradycyjnych wartości itp. Ponieważ – jak przekonywał – „liberalizm skosmopolityzuje narody już

przez to samo, że na plan pierwszy ich dążności wysuwa wszędzie jednakowe urzędnicy, niezależnie od tradycji narodu i jego charakteru, a więc zatracając te tradycje i ich charakter”²².

W sumie więc liberalizm jako światopogląd kosmopolityczny kreuje wadliwy system organizacji politycznej społeczeństwa, bo oparty na zasadach wolności i równości politycznej oraz zły ład gospodarczy, ponieważ podstawę jego stanowią reguły gospodarki wolnorynkowej. Doprowadził on do szkodliwej atomizacji społeczeństwa i ograniczenia więzi jednostki ze wspólnotą. Skupił w sobie najgorsze cechy życia ludzkiego: uniwersalizm, indywidualizm, racjonalizm i egalitaryzm. W sposób więc fałszywy pojmuje rolę jednostki w społeczeństwie, kładąc nacisk na prawa i swobody obywatelskie, niedoceniając natomiast obowiązków jednostki wobec wspólnoty (narodu).

Jest więc – konstatował Balicki – projektem społecznym i wizją ustrojową sprzeczną z naturą rozwoju społecznego, ponieważ nie uwzględnia konkretnych potrzeb ludzi oraz wyraża tendencje centralistyczne i globalistyczne, i w konsekwencji proponuje wadliwą metodę aktywności i organizacji społecznej od „ogółu do szczegółu”. Tymczasem zjawiskiem naturalnym jest budowa życia społecznego od wewnątrz zbiorowości ludzkiej i ewolucyjne przekształcanie go w coraz wyższe i doskonalsze formy, u kresu którego to procesu tkwi projekt państwa narodowego. W ten sposób Zygmunt Balicki zanegował i odrzucił ostatecznie demokratyczno-parlamentarny wzorzec ustrojowy na rzecz projektów elitarystycznych.

W interpretacji Zygmunta Balickiego demokracja nie miała oznaczać zatem możliwości upodmiotowienia jednostek i grup społecznych w warunkach wolności i równości wzajemnej – jak dowodził Kazimierz Kelles-Krauz – lecz jedynie ułatwienie jednostce zrozumienia i utożsamienia się z interesem własnego narodu, czyli w istocie rozwinięcia poczucia egoizmu narodowego. Bo demokracja stwarza szansę najszerzym warstwom społecznym – ludowi – przekształcenia się w wyższą postać zbiorowości – naród. Dlatego nie jest ona żadnym – jak chcą liberałowie i socjaliści – systemem wyłaniania w drodze wolnych wyborów woli większości czy też systemem rządzenia, ponieważ udział w sprawowaniu władzy państwowej zależy od poziomu kompetencji ludzi, a w te wyposażone są najbardziej świadome pod względem narodowym grupy ludzi przeniknięte – jak mawiał Zygmunt Balicki – „instynktem narodowym”, czyli swoista elita narodu, „arystokracja kompetencji”.

W konsekwencji narodowi demokraci, w przeciwieństwie do socjalistów, odrzucili w przyszłości demokratyczno-liberalny wzorzec ustrojowy na rzecz projektów elitarystycznych. Ich teoretycy – Kazimierz Kelles-Krauz i Zygmunt Balicki wyrażając odmienne wyobrażenia istoty demokracji i mechanizmów jej funkcjonowania wywarli poważny wpływ na zróżnicowanie polskiego myślenia politycznego w dwudziestym wieku o sprawach polityki, stosunków władzy i rządu.

MICHAŁ ŚLIWA

²⁰ Z. Balicki, *Czynniki zachowawcze w dobie ostatniej*, [w:] *Dwudziestolecie „Przeglądu Wszechpolskiego”. Artykuły i rozprawy z zakresu polityki i pokrewnych dziedzin*, red. R. Dmowski, Kraków 1905, s. 75.

²¹ Z. Balicki, *Egoizm narodowy wobec etyki*, Lwów 1903, s. 83 i in.; a także: *Zasady wychowania narodowego. Referat wygłoszony na Polskim Kongresie Pedagogicznym w Lwowie dnia 1 listopada 1909 roku*, Warszawa 1909.

²² Tenże, *Zachowanie typu narodowego*, „Przegląd Narodowy”, 1909, nr 8, s. 141.

JERZY S. ŁĄTKA

MAJOR KURAŚ NASZYM BOHATEREM JEST

Zastanawiałem się, czy jest sens, abym ponownie zabierał głos w sprawie, której poświęciłem ostatnią książkę. Nie czyniłbym tego, gdyby nie jeden fakt. W spór o ocenę spuścizny „wojny”, jaką na Podhalu prowadził w latach 1945-1947 porucznik czasu II wojny Józef Kuraś, zaangażowała się jako strona instytucja publiczna, która powinna zjawiska te wyjaśniać, a nie kreować.

Mam świadomość, iż z perspektywy blisko 30 wydanych książek, *Bohater na nasze czasy?* jest pozycją wyjątkową. Nasuwa się pytanie: dlaczego orientalista o niekwestionowanym dorobku podjął się napisania takiej książki? Prawda, iż w przeszłości zdarzał mi się reporterski „skok w bok”. Przed ćwierć wiekiem pojawiła się książka *Oskarżam arcyksięcia Rudolfa* o sprawie tajemniczej śmierci syna cesarza Franciszka Józefa w 1889 r., potem za sprawą wyczytanej w emigracyjnych publikacjach tezy, iż Feliks Dzierżyński mógł być Konradem Wallenrodem polskiej szlachty, bo „wymordował więcej Rosjan niż ktokolwiek inny”, zainteresowałem się tą postacią i popełniłem u schyłku okresu zwanego komuną, książkę pt. *Krwawy apostoł. Popełniłem też Boże coś Polskę... – Jego Cesarsko-Królewska Mość Aleksander I.*

Tym razem sprawcą mego zainteresowania konsekwencjami pamięci zbiorowej po poruczniku Kurasiu był list księdza Władysława Zarębczana, który od kilkunastu lat domaga się wyjaśnienia przyczyn zastrzelenia przez partyzancki oddział Józefa Kurasia sześciu mieszkańców wsi Gronków w przeddzień Sylwestra 1945 r. „Ból unieszczęśliwionych matek, owdowiałych żon i osieroconych dzieci – napisał ksiądz – wystarczy na kilka pokoleń”. Przede wszystkim matki czterech braci Zagata-Łatanków zastrzelonych feralnego wieczoru.

Prawdziwie wstrząsnął mną ten fragment listu księdza Zarębczana:

„Ludzie z daleka obchodzili jej dom, gdyż zwłaszcza wieczorami słycać było jej płacz przechodzący w skowyt. Po kilku latach zmarła z bólu. Po wykonaniu wyroków śmierci na gronkowie, ludzie Ognia zagrozili, że spalą całą wieś, jeśli ktoś pójdzie na pogrzeb pomordowanych. Tak samo grożono śmiercią przeklinającym ich żonom i krewnym pomordowanych”.

Ten „płacz przechodzący w skowyt” prostej kobiety, która jednego wieczora straciła czterech synów zabitych przez sąsiada, który w jej domu bywał, nie pozwalał mi zapomnieć o sprawie. Dotąd o Józefie Kurasiu wiedziałem tyle, ile przeciętny Polak spoza Podhala. Funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Targu, który z całą swą żaloga uszedł w góry i walczył z narzuconą Polsce władzą, której wcześniej służył. Początkowo – jako przed laty reporter „Studenta” – postanowiłem wyjaśnić okoliczności egzekucji w Gronkowie. W miarę poznawania licznej już lektury na temat dowódcy oddziału egzekucyjnego dodatkowo inspirowało mnie podobieństwo w odbiorze społecznym fenomenu historyczno-kulturowego porucznika Kurasia do Feliksa Dzierżyńskiego za tzw. komuny. Ocena ich działalności wywołuje podobne reakcje. Dzierżyński nazywany przez swych wielbi-

cieli „szlachetnym rycerzem rewolucji”, dla innych pozostaje „czerwonym katem”. Kuraś dla części polskiego społeczeństwa – bohater godny pomnika, przez adwersarzy tego poglądu wywodzących się z bardzo różnych kręgów, nazywany jest watażką czy bardziej pospolicie – bandytą.

Od początku zainteresowania fenomenem Kurasia zadawałem sobie pytanie: jaki jest sens stawiania pomnika osobie, której pamięć zbiorowa tak antagonizuje lokalną społeczność? Nasuwało mi się tylko jedno uzasadnienie: albo komuś zależy na tym antagonizowaniu, albo czyni tak z głupoty. Nie ukrywam, iż chciałem wywołać skandal. Jeśli ktoś dzisiaj pamięta me nazwisko, to tylko dzięki książkom o Imperium Osmańskim. Tymczasem kiedyś publikując reportaże oraz teksty publicystyczne, zabierałem głos w sprawach, które nurtowały ludzi myślących i nieobojętnych. Obecnie jestem orientalistą, którego książki zalecane są jako lektury dla studentów na różnych kierunkach humanistycznych, ale poza studentami kto mnie czyta? *Bohatera na nasze czasy?* napisałem, przekonałem wydawcę, iż ją warto wydać. Nie od razu. Wydawca bowiem – w przeciwieństwie do mnie – początkowo bał się skandalu.

Bohater ukazał się we wrześniu 2007 r. Zwolennicy hasła „major Kuraś naszym bohaterem jest” zostali od władzy odsunięci. Nie został ponownie burmistrzem Piotr Bąk, autor niepopularnego raczej pomysłu, aby Zakopane obdarować prezentem Fundacji Pamiętamy – pomnikiem Ognia i jego leśnych kompanów. Polska stała się normalniejsza. *Bohater* nie wywołał skandalu. Może spotkało książkę to, na co zasługuje? Milczenie. Tak jak jej bohater. Jedyną jak dotąd „recenzją” środowiska promującego Kurasia na bohatera narodowego okazała się wypowiedź młodego historyka Dawida Golika na internetowym forum >historycy.org< 6 lutego 2008 r. Forum odpowiednio do treści „recenzji”:

„Witam, bardzo dawno mnie tu nie było. (...) W międzyczasie napisano 3 kuriozalne książki na tematy »ogniowe«. [...] Trzecia książka – merytorycznie »cienkie« dzieło Jerzego Łątki *Bohater na nasze czasy* jest opracowaniem zamówionym i wydany przez mniejszość słowacką na Spiszu i opiera się na luźnych dywagacjach. Sam autor zapytany na krakowskiej promocji tej książki przyznał, że do momentu zerknięcia ze Słowakami i naszej konferencji w Nowym Targu nic o Ogniu nie wiedział [sic!]”.¹

Dawid Golik, bezkrytyczny zwolennik hasła: „major Ogień naszym bohaterem jest” jakby nie rozumiał, dlaczego porucz-

¹ <http://www.historycy.org/index.php?showtopic=20463&pid=370435&st=120&#entry370435>

nik czasu wojny Józef Kuraś moim bohaterem nie jest. Autor cytowanej wypowiedzi powinien być dobrze poinformowany. Jako reprezentant krakowskiego IPN uczestniczył w promocji mojej książki. Tymczasem zarzuca mi, iż *Bohatera* napisałem na zamówienie mniejszości słowackiej na Spiszu. Owszem poruszam problem stosunku Kurasia do mniejszości słowackiej, ale to znaczy tylko tyle, iż to problem mający do dziś swe konsekwencje. Dla pamięci zbiorowej na Spiszu. A ta pamięć to główny *Bohater* tej książki.

Na szczęście pan Golik nie czytał mego *Krwawego apostoła*, bo inaczej ogłosiłby, iż książkę o Feliksie Dzierżyńskim napisałem na zamówienie małopolskich ojców pijarów. Są w niej bowiem wypowiedzi Dzierżyńskiego wykazujące jego zafascynowanie postacią Jezusa Chrystusa, a pierwsze wydanie zostało wydrukowane przez Poligrafię Kurii Prowincjonalnej Zakonu Pijarów. Zatem wniosek oczywisty.

W cytowanej „recenzji” Golik dowartościował propagandową konferencję „Wokół legendy Ognia. Opór przeciw zniewoleniu” zorganizowaną w marcu 2007 r. w Nowym Targu przez PTH i Instytut Pamięci Narodowej. Udałem się na tę konferencję, gdyż finiszowałem prace nad moim *Bohaterem*. W książce wspomina o niej kilkakrotnie. Szkoda, że Golik nie podkreślił, iż moja ocena całości imprezy jest zdecydowanie negatywna – z udziałem sesję naukową, a ta okazała się sesją propagandową. Anna Szulc, redaktorka „Przekroju” nazwała ją dosadniej – hagiograficzną.² Tak, to była impreza hagiograficzna. Dla mnie dodatkowo momentami stawała się nawet zabawna. Całkiem wesoło mi jednak nie było, o czym także napisałem.

Niezależnie od tego, co sądzi nowotarski historyk, postać tragicznego w sumie partyzanta Kurasia nie wywołuje, poza Podhalem, żadnych emocji. Emocje wywoływały tylko polityczne okoliczności postawienia i odsłonięcia jego pomnika. Przypomnę – z udziałem prezydenta RP. Dziś Lech Kaczyński być może nie przyjąłby zaproszenia burmistrza Bąka. 6 czerwca 2008 r. doszło bowiem do jego spotkania z delegacją Stowarzyszenia Słowaków w Polsce i w rozmowie z nią przeprosił za wypowiedź sprzed 17 lat, kiedy jako minister ds. bezpieczeństwa narodowego w Kancelarii Prezydenta RP zaniepokoił się spotkaniem spiskich Słowaków z premierem Słowacji Janem Czarnogurskim. Przyznał, iż na temat tego spotkania został błędnie poinformowany przez niektórych swych doradców. Drażliwego tematu pomnika Ognia delegacja Stowarzyszenia nie poruszyła. Aby nie psuć miłego nastroju spotkania.³

Powtórzę, iż poza Podhalem osoba Ognia nie wywołuje większych emocji. Dlaczego natomiast na Podhalu pozostaje ważnym elementem zbiorowej pamięci? Dlaczego do dziś przywołanie jego nazwiska wywołuje skrajne emocje?

Poczucie doznanej krzywdy, nawet gdyby było subiektywne i nieuzasadnione, nie ginie. Staje się elementem tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Pamięć o Ogniu wywołuje namiętności między innym z powodu konsekwencji takich czynów jak sylwestrowa egzekucja w Gronkowie. Wszystko wskazuje na to, iż powodem lub PRETEKSTEM do egzekucji w sumie sześciu mężczyzn były PODEJRZENIA, iż zastrzeleni należeli do „szajki złodziejskiej z bronią w ręku” – jak to w zapiskach Kurasia zostało odnotowane. Prawdą

jest, iż zachowała się niezależna opinia z 1946 r. iż „pomordowani to byli przeważnie złodzieje”.⁴

Skoro „pomordowani” to PRZEWAŻNIE złodzieje, zatem nie wszyscy nimi byli. Sposób likwidacji tej „szajki złodziejskiej” sprawia wrażenie rozliczania wiejskich, sąsiedzkich porachunków. Spacererek do sąsiedzkiej wsi. Efekt – 6 trupów. Oddziałem dowodził osobiście sam Ogień. Przynajmniej jednego z zamordowanych znał bardzo dobrze, w domu jego bywał, wódkę z gospodarzem pijał. Takie zachowanie człowieka, którego – jako dziecko – postrzegano kandydatem na księdza, może dziwić.

„Ten Janosik to psychopata, który sobie coś wręcz ubzdurał”⁵ – powiedział o Kurasiu krótko przed śmiercią Edward Polak (1898-1946), jeden z bardziej zasłużonych ludowców na Podhalu. Autor tej opinii Kurasia znał bardzo dobrze. Wielokrotnie bywał w jego rodzinnym Waksmundzie przed II wojną światową

Nikt z tej „szajki złodziejskiej” nie został przyłapany na rabunku z bronią w ręku. Likwidowano ich pojedynczo, w niedzielny wieczór, gdy beztrudnie spędzali czas z rodziną lub bawili się na sylwestrowej zabawie. Powie ktoś: należało im się, to były warunki wojenne, mogli wcześniej nie kraść. Problem w tym, iż nikt im tych kradzieży nie udowodnił.

Jan Szczerkowski, autor najnowszej książki o Ogniu, cytuje jego bratanka, Jakuba Kurasia:

„Na Gronkowie mieszkali niejacy Zagacie, których przezywano Łatankami. Poszli nocą do Szaflar do wójta Kamińskiego, znanego hodowcy koni i zabrali mu kilka sztuk. Kiedy właściciel rozpoznał rabusiów, to go zastrzelili. Jasne, że bezpieka to wykorzystata. W gazetach napisano, że to »ogniowcy« są tymi koniokradami i mordercami. A w rzeczywistości stryj nie miał z tym nic wspólnego. Mało tego. Kiedy się dowiedział o zbrodniczym zajściu, wyciągnął czterech [!] rabusiów morderców z zabawy sylwestrowej i wszystkich ich pod płótem kazał rozstrzelać”⁶.

Wiadomość powyższą dyskwalifikuje oczywisty, łatwy do sprawdzenia fałsz. Otóż wójt Szaflar Wojciech Kamiński nie został przez nikogo zamordowany. Zmarł bowiem 25 czerwca 1972 r. w swych rodzinnych Szaflarach⁷.

Ksiądz Józef Tischner, w okresie kiedy jeszcze bronił Ognia, zastanawiał się, czy nie zastrzelił on Władysława Zagaty-Łatanka przez pomyłkę. Z opublikowanych notatek Kurasia wynika, że niby zlikwidowany został Jan Zagata (bez przydomka Łatank). Gdyby nastąpiła pomyłka, to za śmierć niewinnego człowieka powinien ponieść konsekwencje wykonawca wyroku. Władysława Zagaty Ogień przez pomyłkę zastrzelić raczej nie mógł, bowiem znał go dobrze. Dla mnie likwidacja czterech braci – nawet gdyby im udowodniono, iż należeli do szajki złodziejskiej – nie jest sprawą moralnie czystą. Czy Kuraś miał pewność, iż należy zastrzelić wszystkich czterech męskich członków jednej rodziny? A może nie wszyscy zasługiwali na kulę?

Tematem na ogromną opowieść jest sytuacja owdowiałych kobiet i osieroconych dzieci przez kandydata na naszego bohatera. Wiem, nie jest to temat dla historyka, ale etnolog z konsekwencji społecznych i kulturowych tego faktu musi sobie zdawać sprawę. Dziś wnukowie tych osieroconych dzieci przekazują w kulturowym spadku nienawiść do bandyty, który zabił ich przodka. Dla nich egzekutor zawsze pozostanie bandytą.

² A. Szulc, *Ich bohater*, „Przekrój” 2007, nr 11 (3221), 15 III.

³ Informacja L. Molitorisa

⁴ Archiwum Państwowe Kraków, zespół akt WRN Kr. Teczka 48, Ple-num WRN 25-26 III 1946, k. 39.

⁵ Tamże

⁶ J. Szczerkowski, „Ogień”. *Król Podhala*, Wrocław 2006, s. 98.

⁷ <http://www.tatry.z-ne.pl/t,haslo,pol,tatry,0,0,2105.html>

Jak dotąd środowisko prawnicze nie wypowiedziało się w sprawie legalizmu poczynąń Kurasia w materii wydawania przez niego (i wykonywania przez jego oddział) wyroków śmierci, tudzież kontrybucji na rzecz jego oddziału. Także – kto powinien dziś te kontrybucje rekompensować.

– Dlaczego żaden prawnik nie wypowiedział się w tej sprawie? – zapytałem jednego z młodszych doktorów nauk prawnych UJ. – Nie wiem, ale może dlatego, iż żaden z prawników nie wpadłby na to, aby postępowanie Kurasia uznać za prawne – odpowiedział. Gdyby ten temat znalazł się na wspomnianej przez Golika nowotarskiej sesji, moja ocena tej imprezy byłaby inna.

Na Spiszu samozwańczy major Kuraś budzi nadal emocje, także dzięki innemu jego „patriotycznym” wyczynom. Latem 1946 r. mieszkanka Jurgowa, Stefania Tiborova otrzymała list tej treści:

„Na podstawie wywiadu i dowodów P.O.P. przedkładam Pani wyrok skazujący Panią na natychmiastowe opuszczenie terenów polskich. W razie niewykonania poleconych czynności otrzyma Pani wyrok śmierci za współpracę ze Słowacją. Dnia 8 sierpnia 1946”⁸.

Zapewne mój stosunek do mniejszości narodowych w Polsce został ukształtowany poprzez me tureckie doświadczenie. A konkretniej za sprawą zainteresowań Adampolem, polską wsią w Turcji. I wyobraziłem sobie, iż jakiś nacjonalista turecki wysłał podobnej treści list do któregośkolwiek z mieszkańców Adampola. Myślę, że takim listem nawet historyk IPN byłby oburzony. Przypomnę, iż mieszkańcy Adampola mieszkają w swej małej ojczyźnie od niespełna 200 lat. Słowacy spisy na swej rodzinnej ziemi od kilku setek lat.

Ludowiec Kuraś walczył o Polskę Ludową bez panów, bolszewików, Żydów i – na Spiszu – bez Słowaków. I to walczył nie tylko słowem (ulołki). Ale prawdą jest też, że starał się oszczędzać osoby, z którymi kiedyś dzielił trudy wojenne. Dotąd znany był jeden taki fakt: Kuraś anulował wcześniej wydany wyrok śmierci na Słowaka Sebastiana Milona, kiedy okazało się, iż był to jego kolega z kampanii wrześniowej. Skazany miał szczęście, iż oddziałem egzekucyjnym dowodził osobiście Ogień i go rozpoznał.

10 lutego 1946 r. zamordowany został nocą we własnym domu „wójt gminy” żydowskiej, znany w Nowym Targu handlarz koni Dawid Grasgrin vel Grungras. Mord ten wśród nowotarskich Żydów wywołał prawdziwą panikę⁹. Do tej pory nie ustalono sprawców. Nazwisko zamordowanego znajduje się w opublikowanych przez Władysława Wałacha zapiskach Kurasia¹⁰, także w cytowanych w internecie przez Ludwika Borowskiego, komendanta powiatowego MO w Nowym Targu z lat 1945-1947, gdzie w stosunku do zapisu u Wałacha znajduje się dodatkowo: „Nowy Targ. Egzekucja. I świnia. Gapię musieli nieść świnię na sanki. Wieczór”¹¹.

Świnia w tej notatce uwiarygodnia zapis. Ktoś fałszując notatki Kurasia wpadłby na pomysł dopisania gapiów niosących świnie? Bolesław Dereń, autor najbardziej obszernej książki o Ogniu uważa, iż taki zapis nie jest jeszcze dowodem, iż Grasgrin zlikwidowany został na polecenie Kurasia. Dopuszcza natomiast, iż przyczyną zamordowania mogło

być zachowanie Grasgrina po wojnie. Domagał się bowiem od Polaków zwrotu nagrobków z cmentarza żydowskiego, które zagrabili i wykorzystywali do różnych gospodarczych celów¹². Julian Kwiek zaś nie wyklucza, iż przyczyną mordu mogły być prozaiczne „jakieś rozliczenia handlarzy, albo plotka o posiadanej gotówce”¹³.

Zabójstwo Grasgrina nabiera jednak innej wymowy w kontekście nieznanego historykom zdarzenia, jakie nastąpiło krótko później. Otóż akowski kapral Ogień (w sierpniu 1944 r. BCh mianowało Kurasia na stopień „porucznika czasu wojny”, ale AK awansów bechowskich nie chciała uznać) spotkał się konspiracyjnie w Nowym Targu z akowskim kapitanem Ludwikiem Schweigerem, który w czasie okupacji pod krytonimem Siwy działał na terenie powiatu Nowy Targ jako oficer wywiadu PSK-AK. Jego rodzina miała tu przed wojną sklep i choć mieszkała w Zakopanem, Nowy Targ był ich drugim domem. Kuraś znał Schweigera z jego działalności konspiracyjnej. „Ludwik, spierdalaj stąd, bo nie będzie tu żadnych Żydów” – obwieścił mu.

W tym samym mniej więcej czasie (24 III 1946) Kuraś mundurze WP z dystynkcjami porucznika spotkał się z porucznikiem UBP Władysławem Czyżem. Obie strony dopuszczały bowiem pokojowe zakończenie podjętej przez Ognia wojny z PPR-owską administracją. Jednym z warunków zawarcia rozejmu stawianych przez Kurasia było „natychmiastowe wysiedlenie z Nowego Targu wszystkich Żydów, w przeciwnym razie – zapewnił – wytepię ich bezlitośnie”.

Są przesłanki, aby postawić tezę, iż nie rozmowa z porucznikiem Czyżem, ale właśnie z kpt. Siwym przyspieszyła fizyczną likwidację oddziału Kurasia. Wstrząśnięty „przestroga” kpt. Siwy udał się do Katowic do wojewody śląsko-dąbrowskiego gen. Aleksandra Zawadzkiego (1899-1964) i się ujawnił. Przekazał także informację o treści rozmowy z Kurasiem. O okolicznościach, które skłoniły do ujawnienia się, Szwajgier opowiedział Adamowi Komorowskiemu w latach 70. minionego wieku, Adam zaś podzielił się tym ze mną w formie komentarza do mego *Bohatera*.

Wiadomo ponadto, iż na początku 1947 r. do akcji przeciwko Kurasiowi skierowano 6 SBO UBW Kraków w sile 200 osób pod dowództwem kapitana Suchego, z którym współpracował akowski kapitan Siwy¹⁴. Nietrudno sobie wyobrazić powody, dla których po rozmowie z Kurasiem zdecydował się na taki krok. Dzięki temu, iż był w lesie, przeżył wojnę. Chciał żyć nadal, także po wojnie. A nie miał gdzie uciekać.

Były akowski kapral, bechowski porucznik czasu wojny, Ogień otoczony w Ostrowsku przez swych dawnych, teraz niechcianych kolegów z UBW postrzelił się i zmarł po kilku godzinach 21 lutego 1947 r. Jego akowski kolega, kapitan Siwy – starszy od Ognia 4 lata – dożył do 1976 roku.

W miarę poznawania osobowości Kurasia przychylałem się coraz bardziej do opinii Stanisława Klocka z Nowego Targu, który odsłonięcie pomnika w Zakopanem skomentował: „Ogień? Należy zostawić tę tragiczną postać w spokoju, a nie stawiać pomniki. Dlaczego? Proszę o to zapytać mieszkańców Waksmundu i Ostrowska, którzy najbardziej ucierpieli przez Ognia”.

W tym kontekście przymiotnik „tragiczny” kojarzy mi się z ze słowem „beznadziejny”. Zdaniem Bolesława Derenia, autora najobszerniejszej biografii „legandy Podhala” rodzice

⁸ Archiwum ZG TSP – korespondencja w sprawie Józefa Kurasia z Waksmundu; L. Molitoris, *Spoleczne uwarunkowania powstania Towarzystwa Czechów i Słowaków na Spiszu i Orawie*, [w:] *Almanach Słowacy w Polsce*, T. VIII, Kraków 2001.

⁹ J. Kwiek, *Żydzi, Łemkowie, Słowacy w województwie krakowskim w latach 1945-1949/50*, Kraków 1998, s. 27.

¹⁰ S. Wałach: *Był w Polsce czas...*, Kraków 1971, s. 456.

¹¹ http://borowski_rodzina.w.interia.pl/ogien_19.htm

¹² B. Dereń, *Józef Kuraś – Ogień – partyzant Podhala*, Kraków 1995, s. 237-238.

¹³ List J. Kwieka do autora, 16 VI 2008.

¹⁴ B. Dereń, *Józef Kuraś...*, s. 237-238.

przygotowywali chłopaka do zawodu duchownego. Czesława Bochyńska, druga żona Ognia utrzymywała, iż zadziwiał on znajomością wielu modlitw, pieśni i psalmów. Lecz młody Kuraś raczej nie marzył o karierze księdza. Szkołę porzucił na skutek konfliktu z rodzicami na tle „kłopotów wychowawczych”. Dereń „kłopoty” te nazywa po imieniu: Zośka Cesacz z sąsiedztwa, w której Józek zakochał się na zabój. Przeciwno tej znajomości zdecydowanie wystąpili rodzice dziewczyny. Matka u ukochanym córki miała najgorsze mniemanie. Kazali młodym zerwać. Zakochani nastolatki uciekli z domu, ale zostali po kilku dniach złapani. Kuraś pogodził się z rodziną, ale do szkoły nie wrócił. Jego rozwój intelektualny zatrzymał się na poziomie gimnazjum. Owszem, swoistym „uniwersyteciem” mogła być działalność w ruchu ludowym. Ale czy była?

Całą wojnę przeżył Ogień w towarzystwie równie lub mniej wykształconych jak on. Przez pewien czas podlegał przedwojennemu oficerom AK, ale skończyło się to jego jawną niesubordynacją, w wyniku której śmierć poniosło dwóch partyzantów, i postawieniem go przed sądem wojennym. Wydany wyrok nie został wykonany. Ogień skutecznie ukrywał się.

Dalsza życiowa edukacja Ognia to tylko zdobywanie umiejętności prowadzenia partyzanckiej walki. Jedyną książką, jaką u niego znaleziono był *Regulamin walki piechoty*. Żadnego tomiku wierszy ani książki beletrystycznej.

Toteż w ocenie Kurasia przychylam się do opinii autorstwa A. Fitowej i M. Korkucia wyrażonej 13 lat temu w recenzji książki B. Derenia: „Jest on [Ogień] dla nas postacią wysoce tragiczną i raczej ofiarą tamtych dramatycznych dziejów Polski”¹⁵. Najdziwniejsze jest to, iż jeden z jej autorów, Maciej Korkuć obecnie sprawia wrażenie, iż bezkrytycznie dopisuje się do grona zwolenników sztandaru, iż „Kuraś bohaterem naszym jest”.

W sprawie pomnika moje zdumienie budził POŚPIECH, z jakim przeforsowano pomysł. Nowy Targ nie zgodził się, więc wybrano Zakopane. Krakowski IPN zaangażował się w akcję promowania „majora” Kurasia jako bohatera nowej – wtedy numerowanej jako IV – Rzeczypospolitej. Jak dotąd odrzuca postulaty środowisk akowskich, spiskich Słowaków oraz organizacji żydowskich o podjęcie śledztwa w sprawach różnych poczyną „bohatera”, których pamięć do dziś bulwersuje ludność Podhala.

Jako komentarz nasuwa mi się wypowiedź czynnego etnologa – profesor Joanny Tokarskiej-Bakir. „Nic na to nie poradzą historycy IPN w rodzaju dr. Macieja Korkucia, który w 2006 r. wstawił się zapewnieniem, że Józef Kuraś-Ogień, pisujący o »pluskwach żydowskich«, nie był antysemitą, tylko rasowym antykomunistą. Biorąc przykład ze swoich endeckich mentorów, historycy ci zapewniają, że w powojennej Polsce Żydów zabijano nie dlatego, że byli Żydami, ale dlatego, że służyli nowej władzy”¹⁶.

Zapamiętana przez Adama Komorowskiego relacja kpt. Siwego z jego rozmowy z Kurasiem potwierdza, iż kandydat na bohatera IV Rzeczypospolitej uważał Żydów za element niepożądany na Podhalu. Stwierdził to jednoznacznie Julian Kwiek w swym wystąpieniu na wspomnianej już nowotarskiej konferencji: „Bez względu na motywy uznać jednak należy, że antysemityczne nastawienie Ognia było oczywiste. Czy go-tów był do zlikwidowania wszystkich Żydów na obszarze jego

działalności? Na to pytanie odpowiedź będzie negatywna”¹⁷. Anulowanie wyroku na Słowaku Milonie i prewencyjne spotkanie z Żydem, kpt. Siwym dowodzi, iż Ogień nie był pozabawiony koleżeńskich, a zatem ludzkich odruchów. Ale to chyba za mało, aby czynić go polskim bohaterem narodowym.

Pół roku po wydaniu książki uczestniczyłem w dyskusji zorganizowanej przez stowarzyszenie Ruch na Rzecz Demokracji. Dyskusji przez sprawozdawcę „Dziennika Polskiego” nazwanej *Z emocjami o Ogniu*. Początkowo wydawało mi się, iż dyskusja ta – poza wyrażeniem emocji – nic nowego nie wniosła. L. Molitoris, dziś najaktywniejszy przeciwnik pomników Kurasia powtarzał to co zawsze: „Domagaliśmy się zorganizowania konferencji naukowej, która jasno i wyraźnie pokazałaby, czy Kuraś mordował i grabił Słowaków, czy też jest to wymysł komunistycznej propagandy. Niestety nie doczekaliśmy się”¹⁸. Podtrzymał swą opinię, iż pomnik upamiętniający tę setkę zmarłych powinien zostać przeniesiony na cmentarz. Tam jego miejsce. Powtórzył swą opinię, że „naród polski ma tylu zasłużonych synów, iż można by im stawiać pomniki na każdym rogu ulicy i nie budziłoby to niczyjego sprzeciwu”.

Zwolenników pomnikowania Kurasia bronił dr Korkuć. Czas wojny, prawa wojny... Ale w jego wypowiedzi znalazły się słowa, które budzą optymizm na zbliżenie stanowisk: „Nie możemy popadać w legendy, historyk musi trzymać się faktów – dat, miejsc, nazwisk. Tylko wtedy mamy szansę na odkrycie prawdy”.

Prof. Jan Widacki, współorganizator spotkania mówił: „Są dwie legendy Ognia – dobra i zła. I nie jest tak, że ta zła legenda funkcjonuje wśród Słowaków. Również Polacy mają złą legendę Kurasia”¹⁹. Legendy, stereotypy historyczne kształtują mentalność nie tylko lokalnych społeczności, ale także całych narodów. Nie jestem zwolennikiem burzenia pomników. Kończąc książkę pojechałem do Zakopanego, aby zobaczyć ten dziś najbardziej sporny w Polsce pomnik. Pamiętam czasy, kiedy było ich wiele... Patrząc na blisko 100 wrytych nazwisk natrętnie nasuwało mi się pytanie: Czy musieli zginąć? Czy za ich śmierć nie jest w większej mierze odpowiedzialny ich dowódca?

Każdy ma takiego bohatera, na jakiego sobie zastąpił. Ta setka tragicznych ofiar dziejów, to nie są moi bohaterowie, jednak nie podjąłbym decyzji o usunięciu pomnika. Tym bardziej że artystycznie obiekt podoba mi się. Dla mnie nie jest to pomnik ku czci bohaterów. Jakimi oni byli bohaterami? Jedni ginęli w walce z politycznym przeciwnikiem. Około 50 ich kolegów rozstrzelano na rozkaz Kurasia za różne sprawy, także za rabunek. To przecież był jeden oddział. Jest to postument upamiętniający tragiczne ofiary dziejów. A że tamte dzieje były tragiczne – nikt tego nie kwestionuje.

JERZY S. ŁĄTKA

PS: *Bohatera na nasze czasy?* zadedykowałem „Myślącym i nieobojętnym”. Te kilka miesięcy poszukiwań mojej prawdy o Kurasiu przypominały mi czasy, kiedy pracowałem w „Studencie”. Pracowałem tam z przekonaniem, iż piszę dla ludzi myślących i nieobojętnych. Młodzież tego nie może pamiętać, iż takie pismo istniało i zostało rozwiązane w czasie stanu wojennego.

¹⁵ A. Fitowa, M. Korkuć, *Józef Kuraś – próba rehabilitacji Ognia. Czy udana?* Studia Historyczne R. XXXVIII s. 567–583.

¹⁶ J. Tokarska-Bakir, *Strach w Polsce*, „Gazeta Wyborcza”, 12-13 stycznia 2008, str. 21.

¹⁷ J. Kwiek, „Ogień” wobec mniejszości narodowych. [Materiały z konferencji „Wokół legendy Ognia. Opór przeciw zniewoleniu. Polska – Małopolska – Podhale 1945–1956” – Nowy Targ, 9–11 marca 2007 r. W druku].

¹⁸ (PS), *Z emocjami o „Ogniu”*, „Dziennik Polski” nr 152/2008, s. 7.

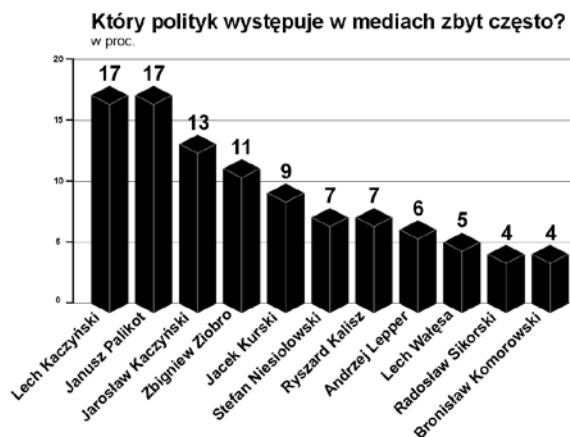
¹⁹ Tamże

TOMASZ GOBAN-KLAS

CZY MEDIA PSUJĄ DEMOKRACJĘ?

„My, politycy, nieraz robimy za mały w waszym cyrku” – taką refleksją podzielił się z dziennikarzem poseł PSL Eugeniusz Kłopotek w programie TVN24 *Piaskiem po oczach*. Refleksja ta naszała go, jak twierdził, w dużej mierze dzięki dwuletniej nieobecności w parlamencie za czasów poprzedniej kadencji. – „To było kapitalne dla mojej psychiki. Dziś mam pewien dystans do tego wszystkiego i wrażenie, że my w naszym świecie polityczno-dziennikarskim uprawiamy często fikcję. Rzeczywistość jest inna”¹.

Analogia byłaby trafniejsza, gdyby szczerzy do bólu poseł zamiast mały wspomniał o klaunach. Niemniej w obu analogiach mamy cyrk, treserów i aktorów oraz – oczywiście – widownię. Oczywiście niektórzy aktorzy są już zgrani, męczący, a nawet drażniący publiczność. Przykładowo wskazuje na nich sondaż GFK Polonia z września 2008 roku².



¹ Za TVN24.pl, 19.09.2008

² Sondaż GFK Polonia, omówienie Bernadeta Waszkielewicz, „Rzeczpospolita”, 22.09.2008.

Jeśli porównanie polityki z występem w cyrku wydaje się nieco przesadzone, wprowadźmy analogię sztuki teatralnej. Scena medialna jest nie tylko areną do walki w błocie, ale i podium, z którego wypowiada się wzniosłe kwestie. Tak wzniosłe, że już wyżej nie można. Jak w orędziach prezydenckich. Ale i wówczas teatralność jest tu często wręcz porażająca. I bywa wykorzystywana przez przewrotną reklamę (element inscenizacji jest oczywisty) skierowaną do przekornego audytorium. Wystarczy porównać spot reklamowy jednego z banków, w którym wystąpił Marek Kondrat wygłaszający apel do klientów, z orędziem prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Jeszcze kilkanaście lat temu takie refleksje jak posła Kłopotka, czy spoty reklamowe banku byłyby szokujące. Po 1989 roku miało być tak pięknie! – WOLNE WYBORY, WOLNE MEDIA, WOLNY RYNEK. Innymi słowy: DEMOKRACJA, WOLNOŚĆ I RYNEK! Owe zasady miały wzajemnie się wspierać i wzmocniać, a łącznie służyć lepszemu życiu społecznemu. Po niemal 20. latach od powrotu do liberalnych zasad życia publicznego i gospodarczego, po swoistym upojeniu się wolnością z kolorowego snu o nowym wspaniałym świecie budzimy się z przystawioną ręką w nocniku.

Poranne radio przynosi wieści o załamaniach na światowych giełdach i bankructwach największych globalnych banków. I chociaż nie mamy na ogół akcji, a nawet większych oszczędności, to przecież pamiętamy o wielkim kryzysie końca lat 20. ubiegłego wieku w Europie i Ameryce. Historia lubi się powtarzać i to niekoniecznie jako farsa.

Wolne wybory niekoniecznie muszą oznaczać prawdziwe wybory. Jak głosi dowcip z biblijną brodą: W raju Bóg powiada do Adama pokazując mu Ewę – Wybierz sobie żonę.

W polityce, inaczej niż w życiu, zazwyczaj mamy jedynie wybór mniejszego zła, bowiem gdy w systemie dwupartyjnym (lub jemu bliskim) głosujemy za jakąś partią czy kandydatem, to w istocie jesteśmy przeciw gorszej alternatywie partyjnej.

Z kolei tzw. wolne media są wolne, jak to powiedział dziennikarski wyga, A.J. Liebling, tylko dla tych, którzy je mają. Media tzw. publiczne z państwowych stały się partyjne, a tzw. media niezależne (prasa czy stacje komercyjne) zależą i to bardzo od swych, na ogół odległych i coraz częściej anonimowych, właścicieli.

Oczywiście nigdy nie było liberalnego raju demokratyczno-kapitalistycznego. Demokracja nie była bardzo obywatelska, ani kapitalizm nie był bardzo ludzki. Choć dzisiaj nie jest na pewno gorzej niż było kiedyś, nie jest też dużo lepiej. Jest zmiana, a niekoniecznie postęp. Zdarza się i regres w pewnych dziedzinach. Wszakże dokonała się zmiana radykalna tak w systemie politycznym, jak medialnym i gospodarczym. Zmieniły się radykalnie relacje między tymi systemami. Komercjalizacja niemal wszystkiego wskazuje na umocnioną pozycję systemu gospodarczego (w marksowskiej zapominanej terminologii – bazy) wobec systemu politycznego i medialnego (nadbudowy). A z kolei w ramach nadbudowy system polityczny z pozycji naczelną schodzi na pozycję współ- a niekiedy podrzędną.

Tak zwana czwarta władza (media) staje się w istocie pierwszą siłą społeczną mającą niemal atrybuty teologicznego Boga: wszechobecność, wszechwiedzę, nieomylność (w danym dniu), wszechpotęgę. Jednak jej logika funkcjonowania nie jest samoistna, gdyż siły rynkowe – zapewnienie konkurencyjnego rankingu (znacznego odbioru) i w konsekwencji zysku – są głównym motorem i kompasem jej działania. Wszakże ręka rynku jest dyskretna i przysłowiowo niewidzialna, zaś ręka mediów jest aż nadto widoczna i narzucająca się. Dlatego pominiemy, jedynie odnotowując, ekonomiczne uzależnienia mediów popychające do zacieklej konkurencji o każdą parę oczu i uszu (nie tylko dla siebie, ale przede wszystkich dla płacących za nie reklamodawców). Media w systemie wolnorynkowym z pewnością ulegają ekonomii, ale gdy w systemie demokratycznym nie ulegają polityce, to system ten wzmacniają, czy raczej osłabiają?

Tradycyjna odpowiedź brzmi, że wolne media – jako siły kontrolne władzy politycznej – są strażnikiem (powiada się nawet psem łańcuchowym, *watchdogiem*) demokracji. Kłopot w tym, że ten strażnik staje się w pewnym sensie panem. Dziennikarze, a właściwie ich zwierzchnicy, zaś wobec nich właściciele mediów, szczególnie prestiżowych we współczesnym społeczeństwie medialnym (zmediatyzowanym) zajmują centralną i dominującą pozycję w obiegu politycznej i społecznej informacji.

Oczywiście, to politycy i partie oraz rząd (system polityczny) określają reguły funkcjonowania mediów (zasady konstytucyjne, ustawy, regulacje administracyjne), jednak w tzw. liberalnej demokracji zachodniej są one mocno zakorzenione i skutecznie broniące przez same media i różnorakie siły społeczne, w tym układy międzynarodowe. Zmienić je jest niezwykle

trudno, przykładem niech będzie nasze prawo prasowe wprowadzone przez generała Jaruzelskiego i jedynie (choć istotnie) znowelizowane. Podstawową zasadą jest wolność mediów i zawodu dziennikarskiego gwarantowane konstytucją, czego nie ma w przypadku innych branż i profesji (z wyjątkiem sztuki i częściowo nauki i szkolnictwa wyższego). W rezultacie to media mają wielką swobodę działania i minimalną odpowiedzialność, których strzegą jak żrenicy oka. Stawiają sobie małe wymagania, równocześnie niezwykle wiele wymagają od innych.

Obserwatorzy sceny politycznej zgadzają się, że uległa ona już znacznie mediatyzacji, to znaczy nie tylko przeniosła się do mediów, ale i uzależniła od nich. Na tym w gruncie rzeczy polega psucie się demokracji – na uzależnieniu polityki od mediów tak prestiżowych, jak i popularnych (tabloidów). Ponieważ to dzisiaj media, a nie partie mają masowych odbiorców/wyborców, to one ostatecznie decydują o sukcesie politycznym. We współczesnym społeczeństwie masowe bywają wybory, ale nie partie. Nawet członkowie i sympatycy partii kadrowych coraz rzadziej się spotykają na zebraniach, wiecach, pochodach, demonstracjach, chyba że na użytek telewizji. Nie chodzą od drzwi do drzwi szerząc słowo partii i propagując jej kadry. Nie wydają nawet własnych gazet i broszur, bo kto by je czytał. Natomiast zabiegają o scenę medialną, najlepiej narodową.

Dlatego uznani politycy i partie dbają tak profesjonalnie i finansowo o dostęp do mediów, co sprawia, że głosy najsilniejszych, najlepiej tylko dwóch, partii są stale obecne i wpływowe na arenie publicznej i politycznej. Dostęp odbywa się na warunkach określonych przez media; dominuje format rozrywki, nawet w zakresie informacji bieżącej (wiadomości). Jeżeli niegdyś dziennikarze zabiegali o prawdę, to obecnie zabiegają głównie o tzw. *newsa* i oglądalność programu. Wydarzenia stają się towarem, który wyprodukowano na sprzedaż. Muszą tak być układane i przedstawiane, aby wydawały się niezwykle i zadziwiające, by utrzymać uwagę rozkapryszonych odbiorcy. Prawdziwość, ważność mają znaczenie drugorzędne. Selekcja odrzuca fakty niewygodne, omija procesy zbyt złożone, bowiem mogą zniechęcić odbiorcę do jego konsumpcyjnej powinności – wchłaniania medialnej papki reklamowo-rozrywkowej.

Do takiego dyskretnie przemilczanego, ale realnego działania mediów dostosować się muszą politycy przekształcając się w aktorów spektaklu. Co więcej, gwiazdy medialne – dla dalszej sławy, władzy i własnej rozrywki – niekiedy włączają się do polityki.

Słowa wypowiedane przez polityków muszą być dostatecznie proste, a zdania krótkie, aby dotrzeć wprost do mas. Dobrze, by były jeszcze zabawne, a także kontrowersyjne. Skierowane są do mas nie mających pojęcia o współczesnym świecie (bo niby skąd), ale mających wyśmienitą samoocenę, samozadowolenie wobec swego stopnia poinformowania. Czyż nie są w demokratycznym informacyjnym i medialnym raju? „Wszystkie informacje które nadają się do druku” – głosi hasło najgrubszego dziennika świata „The New York Times”. „Cała prawda, całą dobę” – zachwala siebie jeden z 24-godzinnych kanałów informacyjnych. Jest w nich sporo prawdy, ale nie całej, ani – co gorsze – najbardziej istotnej.

Czy zatem obywatele śledzący *via media* (bo jak inaczej) politykę, zdobywają informację potrzebną do rzeczowego osądu spraw publicznych, niezbędne go dla prawdziwej demokracji? Można w to wątpić. Choć codziennie poznają fakty, to zazwyczaj tylko z mediów odpowiadających ich politycznej orientacji. Dzięki sondażom znają opinię współobywateli. Kłopot w tym, że sondaże odzwierciedlają przede wszystkim ukryte założenia kwestionariuszy, a ponadto ich wyniki są zmienne jak trzcina na wietrze³. Odbiorcy mediów poznają też liczne komentarze, aale są to na ogół wypowiedzi wąskiej i wyselekcjonowanej grupy tzw. *pundits* (mędrków), których po polsku lepiej określić mianem mędrków.

Slavko Spichal, profesor Uniwersytetu w Lublinie, wymienia cztery zasadnicze warunki odnoszące się do każdego typu demokracji:

1. obywatele są dobrze poinformowani;
2. obywatele interesują się polityką;
3. obywatele mają równe prawa wypowiedzenia się i udziału w podejmowaniu decyzji;
4. wszelkie decyzje są poddane publicznej debacie.

Rzeczywistość polityczna w krajach demokratycznych daleko odbiega od tych założeń. Obywatele są informowani coraz gorzej, przynajmniej w zakresie wydarzeń międzynarodowych, a tymczasem globalizacja – zależność od wydarzeń w innych regionach świata – wymagałaby lepszej orientacji. Obywatele coraz mniej interesują się polityką – na poważnie. Tzw. deficyt demokratyczny obejmuje nie tylko ubogich, słabo wykształconych i starych, ale zamożnych, edukowanych i młodych. Obywatele nie mają równych praw wypowiedzenia się – to zawsze było fikcją – bo wiem debata medialna preferuje wypowiedzi wybranych ekspertów, komentarze dziennikarskie i ewentualnie głosy dobranego audytorium. Nic dziwnego, że mądrzy ludzie nie pojawiają się w programach typu *Warto rozmawiać*.

Demokracja w społeczeństwie medialnym różni się zatem zasadniczo od wyobrażeń o klasycznej demokracji ateńskiej, czy jeszcze niedawnej demokracji zachodniej. Polityka demokratyczna opierała się zawsze na komunikowaniu się, ale jej podstawą było komunikowanie bezpośrednie i grupowe, kontakty w mniejszych i większych grupach. Opinia publiczna tworzyła się w miejscach skupisk, partie, nawet masowe, miały swe zebrania, a jeśli sięgano po media masowe, to były to plakaty, ulotki, broszury, gazety. W XX wieku doszło tu radio, które wiele zmieniło tworząc podstawę także dla ustrojów totalitarnych. Wszystko zmieniła dopiero telewizja. *Homo legens*, człowiek czytający zmienił się w *homo videns*, człowieka oglądającego. Rosnąca wizualizacja niemal wszystkiego oznacza także przesunięcie w zakresie przetwarzania informacji, których słowa zawierają mniej, lecz bardziej wających i znaczących treści, a obrazy dużo więcej, ale szybko zmiennych, w dużej mierze redundantnych i niejednoznacznych komunikatów. Nie ma czasu na myślenie, refleksję, rozważanie. Przyjmuje się mimo-

wolnie i nieświadomie hierarchię tematów i oceny mediów. A są one mocno ujednoczone.

Jednocześnie dziennikarze, jak żadna inna grupa zawodowa, codziennie bacznie obserwują swych kolegów/konkurentów, a właściwie ich produkty – przekazy medialne. Taki codzienny wyścig szczurów. Korzystają z depesz nielicznych agencji prasowych oraz baz danych (archiwów), co dodatkowo wzmacnia współorientację medialnych przekazów.⁴ Tematy wiadomości koncentrują się nie na tym co ważne, ale co weszło do porządku dziennego (agendy) mediów. Stąd wywodzi się pojęcie stadnego dziennikarstwa, które niekiedy określa się jako *mob journalism* (lin-czujące), albo terroryzm tabloidów (drukowanych, ale i telewizyjnych)⁵.

Polscy publicyści z pism prestiżowych dziwią się, że mają jeszcze ostrzejszą konkurencję w walce o rząd dusz polityków: „Kiedy pojawiły się tabloidy ze swoim brutalnym podejściem do publicznych postaci i ostrym językiem, elity były zszokowane. Dość szybko jednak wszyscy się z tym pogodzili. Cóż, na całym świecie istnieją gazety, które żywią się błotem i wieściami z buduaru. Tabloidy od lat wychodzą choćby w Wielkiej Brytanii, a polityka i standardy życia publicznego w tym kraju są dla nas wzorcem. Istnienie popularnych gazet nie przeszkadza uprawianiu poważnej polityki. U nas jednak wpływ brukowców okazał się znacznie mocniejszy. Politycy bardzo szybko weszli w konwencję proponowaną przez „Fakt” i „Super Express”. Bulwarówki natchnęły poważnych – wydawałoby się – ludzi do zupełnie niepoważnych zachowań”.⁶

Jeden z internautów w swym blogu napisał: „Dlaczego zajmuję się polityką? Bo to ZABAWNE. Czyż może być coś równie zabawnego, jak obserwacja kolicji z Hojarską? (...) Po prostu rozłożyć się w fotelu, otworzyć piwko, zapalić papierosa i oglądać bezmyślnie bezmyślnych postów. To się nazywa jedność narodowa”.⁷

Socjolog Anthony Giddens, doradca premiera Wielkiej Brytanii Tony Blaira nazywa rozczarowanie zachowaniami obywateli „paradoksem demokracji” i wskazuje, że „nawet w dojrzałych demokracjach, które inne kraje miałyby naśladować, rozpowszechnione jest rozczarowanie demokratycznymi procedurami. W większości krajów Zachodu zaufanie do polityków mocno spadło ostatnimi laty. Mniej ludzi idzie głosować, więcej ludzi, szczególnie młodych, powiada, że nie są zainteresowani parlamentarnymi układami”.⁸ Media nawołują do udziału w wyborach, ale jednocześnie przez swój zdeformowany przekaz istotnie czynią demokrację spektaklem, w którym tak wielu gustuje. Cóż, wiadomo, *De gustibus non est disputandum*.

TOMASZ GOBAN-KLAS

³ Pierwszy z brzegu przykład: „Spada poparcie dla PO, rośnie dla PiS - wynika z najnowszego sondażu GfK Polonia dla „Rzeczpospolitej”. Na PO głosowałoby tylko 40 proc. badanych. To zaskakujące, bo jeszcze w śródowym sondażu PBS GDA dla „Gazety Wyborczej”, Platforma miała aż 58 proc. Poparcia”. Za Onet.pl 25.09.2008.

⁴ Hans M. Kepplinger, *Demontaż polityki w społeczeństwie informacyjnym*, przekład Artur Kozuch, Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2007 s. 24

⁵ Więcej pisałem o tym w: *Medialny masaż mózgu*, „Zdanie” 1-2/2005.

⁶ Igor Janke, *Kaczyński Palikotem*, „Rzeczpospolita”, 24.09.2008.

⁷ <http://iszbin.salon24.pl/>

⁸ A. Giddens, *Runaway World: How Globalization is Reshaping Our Lives*, Routledge, London 2000.

JÍZEF TEJCHMA

POLITYKA, KULTURA, CENZURA W PRL

Wybitny polski socjolog, prof. Jan Szczepański powiedział kiedyś, że polityk i pisarz są jak stare małżeństwo, narzekają na siebie, ale żyć bez siebie nie mogą. Polska historia stosunków polityki i kultury pełna jest wzajemnych krytyk i zarzutów. Nigdy jednak kultura nie wołała do polityki (władzy), aby przestała zajmować się kulturą, lecz by to zajmowanie się było mądre, pozbawione opresyjnej ingerencji. Mam swoje doświadczenie w tej dziedzinie jako dwukrotny minister kultury w latach siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych.

Kiedy na inauguracji mojej roli pewien artysta zapytał, jaki mam program, odpowiedziałem krótko: przede wszystkim – nie szkodzić. Zapewnić trochę więcej wolności i znacznie więcej pieniędzy. Były potem lata pewnych sukcesów i była moja klęska. Kiedy dopuściłem do realizacji i upowszechnienia filmu Andrzeja Wajdy *Człowiek z marmuru*, pod presją krytyki ze strony dogmatycznych sił wewnątrz partii podałem się do dymisji. Wajda pozostał, tworzył dalej i otrzymał Oscara, ja natomiast zakończyłem powoli karierę polityczną. Przepraszam za ten osobisty przykład, bo świadczy o tym, że nie wszystko było takie proste, jak dziś często się podaje, że po jednej stronie byli przegrani artyści, a po drugiej zwycięski aparat partyjny.

Rzeczywistość bywała wielobarwna. Przy rozważaniu spraw objętych dzisiejszym programem potrzebne są z polskiego punktu widzenia pewne rozróżnienia. Rok 1956 był na tyle ważną datą, że mogą się uważać za jego pokolenie. Chruszczow wygłosił znane przemówienie o kulcie jednostki, czyli o zbrodniach Stalina, przemówienie marne intelektualnie, ale wybuchowe politycznie. W Polsce nastąpił ruch liberalizacji i demokratyzacji, upadła kolektywizacja rolnictwa, pogrzebany został socjalistyczny realizm, zawiązała się samorządność środowisk kulturalnych i naukowych. To wszystko nie potoczyło się długo i pozytywnie, ale nic nie wróciło do stanu sprzed roku 1956.

Drugie rozróżnienie zdefiniował znany polski marksista, prof. Adam Schaff. Jeśli przy władzy jest jedna partia (czyli przy systemie monopartyjnym), to w tej jednej partii są wszystkie partie, czyli różne nurty. Tak było u nas. Grupa tak zwanych młodych sekretarzy partii opanowana została wolą reform istniejącego socjalizmu. To oni właśnie spowodowali, że otrzymany z Moskwy do poufnego użytku referat Chruszczowa został szeroko upowszechniony. Można powiedzieć,

że stał się drugim, niecenzuralnym obiegiem publikacyjnym. Jako szeregowy członek partii zdobyłem egzemplarz nr 16 735.

Zaistniał wulkan dyskusji. Z niej wyrastały różne poglądy, oceny, nurty. W Polsce powstał tygodnik społeczno-kulturalny „Polityka” z redaktorem Mieczysławem Rakowskim, ostatnim premierem przed upadkiem realnego socjalizmu. Tygodnik, kropla po kropli racjonalizował świadomość polskiej inteligencji w kierunku reform i liberalizacji systemu. Niemal jako jedyne czasopismo oficjalnie przeciwstawił się w roku 1968 antysemickiemu szaleństwu.

* * *

Wspomniałem o powstaniu po roku 1956 realnych samorządów środowisk twórczych w miejsce dekoracyjnych i bezwolnych zrzeseń w czasie stalinowskim. Zaistniał pewien bezprzykładowy fenomen strukturalny. Wewnątrz niedemokratycznego systemu powstały demokratyczne, pluralistyczne związki literatów, filmowców, artystów teatru, kompozytorów, twórców sztuk pięknych. Na ich czele przez długie lata stali autonomicznie wybierani najwybitniejsi ludzie kultury o europejskim autorytecie.

Taka sytuacja wymagała pewnej sztuki współżycia, którą nazwać można współlistnieniem w sporze i dialogu. Polityka nie miała dominacji, kultura i sztuka nie walczyła z władzą jako celem samym dla siebie. To było owocne doświadczenie, korzystne dla obu stron. Byłem zwolennikiem i promotorem takiego modelu. Dziś wskutek zaślepienia jedynie negacją tamtego czasu chętnie nazywa się ówczesne postawy wielu pisarzy i artystów kolaboracją. W istocie byli to ci przedstawiciele polskiej inteligencji, którzy dokonali intelektualnego wyboru: czynić w takiej Polsce, jaka była, wszystko, by służyć rozwojowi kultury, gospodarki, cywilizacji i umacniać tożsamość narodową.

Próbowano na przykład utrwalić ocenę kolaboranta m.in. Jarosława Iwaszkiewicza, wybitnego pisarza, którego utwory przetrwają dłużej niż jakiegokolwiek rządu i podręczniki historii. Jego fotografia wspólna z sekretarzem Gierkiem miała być rzeczą kompromitującą. Nie podpisywał żadnych publicznych protestów, nie krzyczał przeciw władzy także wtedy, kiedy w roku 1976 w więzieniu znalazło się wielu robotników, uczestników buntu protestacyjnego. Mało kto jednak wiedział, że on właśnie u Gierka wymógł czy wyjednał

amnestię dla represjonowanych ludzi. Każdy wyrażał swój protest wedle własnego sumienia.

* * *

Literaci i prezesi związków twórczych byli czynnikami sporu i dialogu z władzą. Raz, w połowie lat siedemdziesiątych, spotkali się z Gierkiem i nie zostawili suchej nitki na ówczesnej oficjalnej tak zwanej propagandzie sukcesu, w warunkach, gdy pojawiały się wyraźne znaki ogólnego kryzysu. Ktoś z twórców powiedział, że gdyby puszczono transmisję z tego spotkania, to miałyby ona więcej słuchaczy niż europejski finał piłki nożnej.

Sytuacja w Polsce dojrzała do istotnych zmian wraz z powstaniem „Solidarności” w roku 1980. Na scenie literackiej pojawiła się Nagroda Nobla dla Czesława Miłosza, emigranta prawie całe życie pisarskie. Zaprosiłem go wówczas do Polski, a na rynku pojawił się równocześnie tom jego poezji. Spotkanie z nim w gronie licznego zróżnicowanego środowiska literackiego było pełnym przejawem pojednania, łagodzenia podziałów politycznych, otwierania drogi ku scaleniu literatury polskiej, krajowej, literatury drugiego obiegu i literatury emigracyjnej.

Już wtedy w środowisku władzy dojrzała stopniowo pewna zasada, w każdym razie byłem jej zwolennikiem, sformułowana w Paryżu przez Jerzego Giedroycia, że pisarza i twórcę w ogóle nie należy oceniać wedle jego doraźnych wypowiedzi politycznych, lecz wedle wartości dzieła, które pozostanie w kulturze. To otwierało drogę do porzucenia praktyki tak zwanych czarnych list pisarzy, którzy mieli trudności wydawnicze tylko ze względu na ich złą ocenę polityczną. To był dramat wielu pisarzy w Polsce.

* * *

Niedawno japoński reżyser dokumentalista na zakończenie wywiadu zapytał mnie, dlaczego socjalizmowi potrzebna była cenzura. Nie szukałem krętych odpowiedzi. Socjalizm monoideowy, monopolistyczny miał lęk przed wolnością i prawdą. Kiedy byłem u szczytu władzy przed kilkadziesiątu laty, jako wieloletni minister kultury, tak bym nie odpowiedział, nie ze strachu przed oficjalną doktryną, lecz z przekonania w tamtych warunkach. Tak na przykład, gdy grupa wybitnych pisarzy domagała się wydania *Dzienników* Witolda Gombrowicza, odpowiedziałem, że jest to możliwe, lecz z pominięciem kilkadziesiątu stron tekstu stanowiącego gwałtowną krytykę systemu radzieckiego. Tu także nie wchodził w grę strach przed Moskwą, lecz interes stosunków polsko-radzieckich. Moskwa chorobliwie była wrażliwa na treść publikacji dotyczących jej spraw. Nasze decyzje były w tym sensie refleksem ograniczonej suwerenności polskiego życia umysłowego. Dziś łatwo potępiać bez wnikania w ówczesną sytuację geopolityczną.

Trzeba było zrezygnować z czegoś, aby uzyskać coś ważnego także w interesie Polski. W tym kontekście dodam, że środowiska twórcze w zasadzie nie postulowały całkowitego zniesienia cenzury, lecz chciały, aby nie była absurdalnie głupia, jak to wynikało z *Czarnej księgi cenzury* wywiezionej z Polski i opublikowanej w Londynie. Sam byłem zdumiony aż takim obrazem całości zakazów. Dałem świadectwo swoich niepokojów

cenzuralnych w trzech tomach *Dzienników* z lat 1971-1982 opublikowanych po roku 1989, po upadku realnego socjalizmu. To była moja korzyść, w czasie poprzednim ze względów cenzuralnych *Dzienniki* te nie mogłyby się ukazać.

Żyliśmy w narastającej świadomości, że cenzura stanowiła oślepienie systemu, to znaczy pozbawiła go zdolności samooceny. Literatura stanowi bowiem najwcześniejszy sygnał zła, które kryje się pod powierzchnią życia, sygnalizuje głębsze zjawiska psucia się rzeczywistości. Realny socjalizm miał w sobie wewnętrzne napięcie, sprzeczność. Z jednej strony miał program wysokiej kultury zgodnie z najlepszymi tradycjami myśli europejskiej, z drugiej strony włączył do praktyki ograniczone pojmowanie kultury jako propagandy w służbie władzy. Tę służbę pełniła cenzura. Cel kultury wysokiej był redukowany przez złe środki propagandy.

* * *

Istnieje prowokacyjne pytanie, czy były jakieś, jakiegokolwiek pozytywne, kreatywne skutki cenzury? Posłużę się przykładem. W latach siedemdziesiątych na scenie teatralnej pojawiła się sztuka *Cesarz* według książki wybitnego pisarza Ryszarda Kapuścińskiego. Oczywiście artyści byli ostatnimi, których mógł interesować cesarz Etiopii Hajle Sellasje. Nie wiem, czy cenzura dałaby zgodę na spektakl, który byłby łatwą analogią dworu cesarza i gmachu Edwarda Gierka.

Artyści podjęli próbę głębszego ukazania istoty i mechanizmu wszelkiej władzy autorytarnej, niedemokratycznej. Także uczestnicy przedstawienia musieli sobie zadać pytanie, czy w nas wszystkich nie tkwi jakaś tajemna skłonność do godzenia się z władzą, która stopniowo opanowuje nasze umysły i psychikę, co zwykle dostrzegamy po upadku tej władzy, aby wszystko zaczęło się od nowa. Takie miałem wrażenie, gdy byłem na premierze sztuki w teatrze wybitnym. To była właśnie ta gra w przestrzeni kultury, między sztuką, władzą i widowiskiem. Coś, co istnieje zawsze i wszędzie.

* * *

Istnieje także inne pytanie, którego nie uniknie żaden historyk kultury w Polsce w drugiej połowie XX wieku. Jak to się stało, że mimo cenzury, tak często drastycznej, brutalnej, przerażająco zniechęcającej, w ciągu kilku dziesiątków lat kultura polska stała się wybitnym zjawiskiem europejskim w muzyce, plastyce, filmie czy teatrze. Wśród tylu przemijających epizodów życia ówczesnego, aż do upadku systemu, pewne dzieła kultury pozostają trwałe i to one zdecydowały, że Polska nie utraciła swej tożsamości, a kultura nasza nie utraciła zdolności dialogu z kulturą europejską.

JÍZEF TEJCHMA

(Tekst powstał na zamówienie dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w Londynie i został wygłoszony 25 kwietnia 2008 roku podczas konferencji zorganizowanej wspólnie z odpowiednimi instytucjami Czech i Węgier, przy udziale jednego z uniwersytetów londyńskich. Konferencja towarzyszyła Dniom Filmu Polskiego i premierze *Katynia* Andrzeja Wajdy. Red.)

ROMAN WYSOGLĄD

Naturalny podział kraju

Pokój państwa Z., w którym gnieździł się od końca lat sześćdziesiątych razem z trójką dzieci i ze zgrzybiałymi rodzicami, już na miesiąc przed wyborami podzielony został według indywidualnych preferencji wyborczych, czyli z jednej strony kapliczka, z drugiej czerwone sznurówki, a w środku niezdecydowana większość, czyli głuchoniema babcia.

Na oknie uschnięty kaktus, zardzewiały żur w blaszonym garnku, zdjęcie Papieża, pelikan. Poza tym wszystko jak za najlepszych dla Polski czasów, nie wyłączając dnia Chrztu, więc jakby jesteśmy w przededniu powstania listopadowego.

Wielka literatura francuska dopiero w rozkwicie, loty kosmiczne oraz podpaski ze skrzydełkami jedynie w głowie kilku szaleńców, wycieczka po Muzeum Literatury według pana Pieniążka niemożliwa przez czas, którego na szczęście nie da się cofnąć.

Oparty o szafę dziadek zastanawia się, którą nogą wstał. Jest to dla niego o tyle istotne, ponieważ wiąże się z jajkami. Wstał lewą – jajko na miękko, dwie minuty, prawą – dwie i pół. Życie należy doceniać – to jego dewiza wyniesiona prosto z magazynu, w którym od dnia zakończenia wojny liczył, przynosił lub wydawał osobom do tego powołanym worki marnej jakości cementu, za co w dniu przejścia na emeryturę udekorowano go odznaczeniem *Budowniczego Polski Ludowej*. Po osiemdziesiątym dziewiątym roku nowa władza natychmiast wyróżnienie to cofnęła, jakby bała się dotknąć niedotykalnego.

Nie może sobie przypomnieć, więc pozostaje suchy chleb rozmoczony w odrobinię wody święconej zapomnianej przez babcie, a służącej jako naturalny środek dezynfekujący dla resztek ze sztucznych zębów kupionych za grosze od Ruskich na obmierzłym bazarze, swoim klimatem przypominającym jedno z nie napisanych opowiadań Czechowa.

Cisza w mieszkaniu jest przerażająca. Słychać brzęczenie klamek, odpadanie guzików od ubrań, strach przed jutrem. Poza tym nie ma się o co martwić, umrzeć zawsze się zdąży, nawet jeżeli aktualnie spruwający niby to władzę mają całkiem inne zdanie.

Babcia preferuje wolną miłość, czyli kłęczy przed ołtarzykiem i modli się za brata zaginionego w roku 1920 gdzieś pod Kownem. Normalna, niejedna polska rodzina może *pochwalić się* podobnymi przeżyciami, pytanie tylko, po co?

Na szczęście nikt jeszcze nie udzielił na nie sensownej odpowiedzi, więc z widoczną niechęcią podnosi się z kłęzek, dotyka Wojtyłkę, szybko macza palec w drugim rodzaju święconej wody, tym razem kupionej w pobliskim salonie Diora i bierze się za gotowanie

obiadu, czyli obiera cztery ziemniaki na głowę – razem dwadzieścia, plus pięć marchewek.

Raj. W przenośni i dosłownie. Dziadek w tym czasie goli się więcej niż pozostałością po żyletce marki *Rawa Lux*, wkłada sztruksowe spodnie, pulower, do ręki bierze parasol i jak co dzień udaje się do salonu gry w bilard, gdzie z podobnymi do siebie idiotami bawi się w wielki świat, zresztą z różnym skutkiem, przeważnie przerażającym, ponieważ filiżanka kawy w tym przybytku ekstrawaganckiej sztuki równa się jednej czwartej jego emerytury. Ale czego Polak nie robi dla szpanu? Nie myje się tylko zbyt często.

W tym samym mniej więcej czasie jego syn siedemnasty miesiąc szuka pracy z wiadomym skutkiem, po ukończeniu, zresztą z wyróżnieniem, filologii krajów nadbałtyckich szansę na znalezienie jej ma jak reprezentacja Polski w piłce nożnej na zdobycie tytułu mistrza świata, chyba żeby zorganizowano je wyłącznie dla państw ultrakatolickich, wtedy jedynie Irlandia mogłaby stanąć nam na drodze.

Jego żona wpycha w kaczę dupy i tym podobne różnego rodzaju egzotyczne owoce pod czujnym okiem kamer zainstalowanych przez pragmatycznych Holendrów, ale za to z zupełnym pominięciem zdania związku zawodowego *Solidarność*, którego opinia w zrujnowanej fabryce amunicji przerobionej na luksusowy zakład pracy, godny człowieka końca piętnastego wieku, warta była tyle, co strajk w Stoczni w osiemdziesiątym roku, czyli prawie że nic.

Ale mimo wszystko czuje się szczęśliwa, ma pracę, trochę podróbek ukradkiem wepchnie do żołądka ciętym zastaniając kamerę, pomarzy i jedenaście godzin jakoś zleci. Jak i trzydzieści dziewięć lat życia zmarnowanych na nie wiadomo czym. Wychowaniu dzieci? Niechętnym dawaniu dupy mężowi? Walki o lepszy świat? Wysłuchiwaniu niekończących się narzekań teściowej, iż gdyby nie ona, życie ich syna wyglądałoby zupełnie inaczej?

Nagle poczuła przerażający ból w piersi, ale i tym razem jakoś udało się jej opanować grymas twarzy. Kamery nie lubiły go, jak i naczałstwo, za każdy podobny wywalą na zbyty łeb bez prawa powrotu. Do tego jednak nie mogła dopuścić jako jedyna żywicielka rodziny z przyległościami miała pewna prawa, szczególnie do pracy.

Poza tym Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się coraz gorzej. Normalne prawo przeciążenia, jak i braku poszanowania wszystkiego, i to od wieków.

Ale nadchodzi moment, w którym rodzina państwa Z. spotyka się przy stole. Wielkie słowo, kilka oheblowanych desek zbitych domowym sposobem

oraz śnieżnobiały obrus, nasz jedyny symbol przynależności – od wieków – do Europy, tej prawdziwej.

Ziemniaki jak zwykle okazały się przesolone, marchewka niedogotowana, ale nikt nie narzekał, niby co to mogło zmienić?

Dzieci brzdąkały o szkole, ojciec o niewdzięcznej nomenklaturze panoszącej się nawet w kabarecie Pod Egidą, babcia opowiadała o białej jak przedwojenna mąka dłoni księdza całowanej codziennie o ściśle określonej godzinie za niezbyt – jak na jego potrzeby – wygórowaną opłatą, a dziadek nadawał na bilę numer sześć, co to nie chciała wpaść do właściwej dziury.

Tylko nieobecna kobieta, matka trójki dzieci i faktyczna właścicielka tego niezbyt skomplikowanego ogniska domowego dalej faszerowała dupy kaczek bananami, figami, owocami kiwi.

– Kto to je, i po co? – zastanawiała się zerkając na portret królowej holenderskiej wiszący w pobliżu drzwi jednoosobowej dyrekcji – świnstwo rodzi pedofilę, a ta przyniesie na nas nowy potop.

W końcu pod wieczór jakoś dowlokła się do domu, złapała za przegniłego kartofla, przegryzła marchewką i popiła szampanem, czyli kranową z kanalizacji założonej jeszcze przez carskiego okupanta.

– Mam zamiar głosować na prawicę – powiedziała nagle. Cisza, jaka zapadła przy stole, przypominała lata prawdy o Monte Cassino. – Dość mam władzy ludu.

Teściowa po raz pierwszy od dnia ślubu ucałowała ją, dziadek sięgnął do prywatnej lodówki, czyli pod łóżko i wydobyl butelkę swoistej odmiany Martini o smaku przegniłych winogron, mąż dostał ataku padaczki, ale po włożeniu mu w usta brudnego noża z niedzielnymi resztkami kurczaka dość szybko doszedł do siebie.

– Wydziedziczę cię! – krzyknął jak Karol Irzykowski na widok nowej książki Kołakowskiego.

– Proszę bardzo, masz do tego prawo, tylko pytanie brzmi: z czego?

Zdenerwowany brudnym palcem na jeszcze bardziej niechlujnej szybie namalował kontury jakiegoś własnego świętego.

– Na przykład z prawa do wierności małżeńskiej.

Dawno się tak nie uśmieła, pewnie nigdy, nawet kiedy pewien facet w zamierzczłej przeszłości zaproponował jej stosunek w pozycji stojącej mając nie więcej jak metr czterdzieści trzy wzrostu.

Nagle wstała, nie krępując się teściami rozebrała się do naga, nałożyła najlepsze rzeczy, jakie posiadała, wyszła nie zamykając za sobą przegniłych drzwi, i nigdy więcej nie powróciła do zrujnowanej jeszcze w czasie beznadziejnego powstania kamienicy na Powiślu, za to regularnie przysyłała dość wysokie alimenty na dzieci oraz kilka dolarów na święconą wodę od Diora dla teściowej.

Po dłuższym niż najkrótsza wojna futbolowa milczeniu dziadek nalał po jednym babci, synowi, najstarszemu wnukowi, a sobie napełnił szklankę.

– Wybory są jak pełnia księżyca, przynoszą zmianę pogody, a na morzach sztormy.

– I wtedy – wtrącił się wnuk – wymierają całe ławice szprotów.

Mucha, która przeleciała nad stołem, była wielkości nietoperza i ubarwiona jak plakaty wyborcze Unii Wolności.

– Zgadza się, ale czasami także ideały rozpadają się jak rodziny.

Poza tym nic takiego przecież się nie stało. Rodzina państwa Z. musi tylko płacić wodę za osobę, która z nimi nie mieszka. Nie wymeldowała się, jak głupota z nas samych. Ale to cecha niezniszczalna, bez której nie jesteśmy sobą. Bo niby, dlaczego?

Zawsze chce się tylko wyć

No i co z tego, że nie mam nic? Sram, spoglądam na zegarek, studiuję Bukowskiego. Kobiety odchodzące z moich wspomnień nie narzekają, co najwyżej psioczą na alkohol, dziury w zębach, pociąg do miłości w niezbyt wygodnych warunkach. Buty w wannie.

Ale to wszystko pestka, ponieważ liczy się jedynie to co nie nazwane. Spostrzegam to coś za każdym zakrętem, w co drugim kieliszku, pustej bramie. Paruje niczym każda nowo poznana kobieta, pijany barman, bezpieczny pies.

Nie wiem, jak z taką świadomością mogę żyć, jednak mam się w miarę dobrze, piszę, bywam spokojny.

Ale nie zawsze i nie przez cały czas. Nadchodzą godziny, kiedy chce mi się wyć. Nakładam wtedy zużyty płaszcz, odcinam psa ze stryczka, całuję Bursę i wychodzę. Pistolet przyjemnie grzeje wewnętrzną część uda.

Planty zawsze uspokajały mnie, pełno na nich kurestwa, zmarłego gówna, Tatarów.

Tym razem jednak wielkie czyszczenie miasta odebrało mi możliwość na samotność, pozostał lunapark,

kilka adresów kobiet natychmiast po usłyszeniu dzwonka rozkraczających nogi, puste knajpy, którym nowy ustrój wykradł duszę.

Wszedłem do jednej z nich. Gliceryna parowała ze wszystkich możliwych punktów, w których przecinała się rzeczywistość. Obrzydliwość.

Kelnerka, kiedy w końcu się przyczołgała, pocięta była jak *Nad Niemnem* pani Nałkowskiej tydzień przed maturą.

– Próbowałam nie zadawać się z psychicznymi, ale coraz trudniej o prawdziwego kochanka – wyszeptala, zanim zdążyła przyjąć zamówienie.

Poszczułem ją Nową Prozą, spieprzała szybciej niż Niemcy w styczniu 45 roku. I nie ma się czemu dziwić. Rosjanie gwałcili wszystko, co się tylko ruszało, nawet gąsienice czołgów.

– Nie zostaniesz obsłużony – klasa nowego wariactwa i słusznego intelektu pod postacią właściciela tej budy przemówiła niby to po polsku.

Włosy miał wymoczone w żelatynie, złote pierścienie na każdym opuchniętym od spyryki paluszku,

a inteligencja o średnicy mikroba (0,0000000087 milimetra) wyciekała mu z oczek. Poza tym wyglądał w porządku.

Zacząłem się śmiać jak na jednym z własnych słubów. Spoważniał, posmutniał, pewnie zaczął myśleć.

– Poczytaj Leśmiana – poprosiłem go – szczególnie wiersze o...

– Spierdalaj – zaordynował – chociaż spółgłoski niechętnie przechodziły mu przez brylantowe koronki.

Nie wiedział biedak, w której dzielnicy się urodziłem i wychowałem. Kiedy już leżał, namaszczałem go tabaką. W dość specyficznym miejscu, pewnie piecze go do dzisiaj i nie może sikać.

Za to w bibliotece było całkiem przyjemnie, dzieci grały w koszykówkę, staruszki drzemały, pani za pulpitem próbowała rozwiązać krzyżówkę zwaną życiem.

Sięgnąłem po tom Stendhala, ale zamiast książki okładka skrywała sto pięćdziesiąt dwie (nawet ładnie zszyte) deklaracje celne.

– Pieniądze poszły na kampanię wyborczą AWS, co mogłam zrobić?

Nie patrzyła na mnie nawet w nocy, kiedy oparłem ją o ścianę i z nienawiścią całowałem.

– Nie wracaj do siebie? – poprosiła w pewnym momencie płaczącym głosem – o wiele lepiej jest być nieobecnym.

Kiedy dzisiaj patrzę na jej zdjęcie, wiem, że miała rację, chociaż może nie do końca, ale tej nocy nie wierzyłem jej, przecież jakby nie było młodość ma swoje prawa. Ale to czas odległy jak ja sam, chociaż mam się w miarę dobrze, piszę, jestem spokojny.

I tylko tych kilka powtarzających się obrazów, powracających jak niechciany sen dręczy mnie i nie pozwala zapomnieć. Tylko o czym? Nie pamiętam, denerwuje mnie ten fakt bardziej niż nadchodząca śmierć.

Widzę ją jak puka do drzwi sąsiada, chwilę później wynosi z jego mieszkania fałszywe Kossaki, trutkę na szczury, przepis na dynamit.

Śmieję się pewnie fałszywie, łapię za guzik oderwany z kłapy przeterminowanego kombatanta. Momentalnie rozpada się na tysiące nieistnień, jak mgła wpychająca się do oczu.

– Kochasz mnie? – nagle wyraźnie słyszę pytanie, tylko nie mogę rozpoznać, kto je zadał. Stoję nad przepaścią, w oddali kolorowe cienie próbują oszukać mnie na wadze, podobno w Niebie im więcej się waży, tym lepiej. Odpowiadam, więc w końcu na pytanie: no i co z tego, że nie mam nic? Sram, spoglądam na zegarek, studiuję Bukowskiego, i co najważniejsze, jeszcze mam nadzieję, chociaż...

Atrament zawsze wylewa się z kąpielą

W zasadzie to nie za bardzo wiadomo, dlaczego człowiek musi tyle lat chodzić do szkoły, interesować się kobietami, co najmniej raz na tydzień marznąć w kościele, w święta obżerać się daleko poza granicę przyzwoitości. Można z całą odpowiedzialnością powiedzieć, iż wymyśliłmy świat nie za bardzo odpowiedni dla naszej psychiki, szczątkowego poczucia humoru, żalostnej konstrukcji fizycznej. Do tego dochodzą fobie, kaszle, fanaberie seksualne, bałagan w religiach, źle oznakowane granice czy chociażby notoryczne wpięprzanie się w sprawy innych, pouczanie ich, dopasowywanie do naszego, przeważnie niskiego poziomu inteligencji, masowanie różnych części ciała.

– Śmiać mi się chce, kiedy na was patrzę – powiedział do studentów pewien źle ogolony profesor od konstrukcji budowlanych, wyszedł na dach Politechniki i...

No właśnie, co zrobić? Zabił się, czy tylko krzyczał do Boga, że ten nie powinien zgadzać się na taśmową produkcję aż tylu miliardów idiotów, dewiantów, mężczyzn na co dzień chodzących w sukienkach, czy kobiet za wszelką cenę udających facetów.

Była to jedna z tych chwil, które mogły przejść do historii, zagościć na łamach najpoważniejszych opracowań naukowych, ale jak zwykle wtrącił się we wszystko przypadek, tym razem pod postacią robotnika próbującego załatać przeciekający dach.

– Dlaczego się tak drzesz? – zapytał spokojnie – przecież nigdzie nie jest powiedziane, że z twoim wyimaginowanym bogiem nie można rozmawiać normalnym głosem.

Trzeźwe słowa palącego papierosa robotnika, jego spokój i opanowanie lekko wyhamowały zdesperowanego profesora, przejechał ręką po zmierzwionych włosach, poprawił okulary i jakby z niedowierzaniem rozejrzał się, gdzie się znajduje. Ze zdumieniem odkrył, iż na dachu, przestraszył się i nie mógł zrobić kroku w żadnym z możliwych kierunków.

– Żeby tak od razu skakać, albo krzyczeć w całkowitą pustkę? Tego się po inteligencji nie spodziewałem, chociaż już dawno ostrzegano mnie przed zgubnymi skutkami awarii telewizora.

Profesor spojrzął na niego z przerażeniem, poprosił o papierosa i wyjął, iż nic nie rozumie.

– Schrzaniał się panu wewnętrzny telewizor, programy przeskakują jak szalone, nikt nad nimi nie panuje, więc musi pan odnaleźć pilota, zmienić w nim baterie...

– ...a przede wszystkim żonę.

Robotnik roześmiał się, poczęstował ciepłym piwem i zaprowadził na skraj dachu.

– Proszę spojrzeć – poprosił wskazując miasto – wszyscy mieszkający tam na dole mężczyźni powinni zmienić żony, tylko co to da? Wanda przejdzie do Józka, Ewa do Damiana, a Zośka wpakuje się w życie Zenka. *De facto* dalej pozostaną żonami, tylko teraz kogo innego męczyć będą swoimi szalonymi pomysłami.

– Do tego dochodzi problem Ziemi Odzyskanych...

– Widzę, że bez czegoś mocniejszego się nie obejdzie. Proszę tutaj na mnie poczekać, tylko bez głupich pomysłów.

Nie było go przez kilka minut. W tym czasie Einstein zdołał wymyślić swoje słynne równanie, Kopernik zdenerwować Kościół, a Kolumb odkryć grę w tenisa lub coś podobnego.

Kelner niosący tacę z przekąskami i dwiema butelkami zmrózonego alkoholu ubrany był nienagannie i za nic nie dał po sobie poznać, iż trochę dziwi go miejsce, w którym przyszło mu nakrywać stolik, ale po chwili wszystko było już gotowe, kelner zniknął, wyjrzało nawet słońce i na chwilę zrobilo się nawet przyjemnie.

– Zwolniłem pańskich studentów – powiedział robotnik zaraz po odstawieniu kieliszka od ust – nie wypadało trzymać ich w dusznym pomieszczeniu. Nakłamałem – dodał po chwili – że pojechał pan na poszukiwanie mitycznej Arki...

– Wszystko mi jedno, już nigdy nie wrócę do sali wykładowej, brudnych tablic, studentek wpatrujących się tylko w jeden punkt na moim ciele.

– Przynajmniej będzie pan miał co wspominać. Mnie pozostają tylko dachy, zepsute windy i dzieci pytające o sens ciągłego onanizowania się.

Chwilę później spadł lekki deszczyk, ale nawet tego nie zauważyli, tak zajęci byli opowiadaniem dziwnych wydarzeń nie tylko ze swojego życia.

– Pewnego razu w poczekalni na dworcu spotkałem kobietę podającą się za córkę Majakowskiego. I chociaż urodziła mi sześćoro dzieci, do dzisiaj nie mam pewności, czy mówiła prawdę.

– Podobnie ze mną – zdecydował się profesor – wiele lat temu zatelefonował do mnie kolega prosząc o użyczenie mieszkania. Był żonaty i dziewczyna, która do niego przyjechała z miasta Łódź naturalnie nie mógł zaprosić do domu. Kiedy wieczorem wróciłem do siebie, dziewczyna leżała na kanapie, czytała gazetę i za nic nie chciała wyjść. Zresztą dzisiaj, jedenaście lat po tamtym zdarzeniu także rzadko opuszcza mieszkanie, mam wrażenie...

– Pewnie boi się, że jej nie wpuścisz – roześmiał się naprawiacz dachów – a kolega pewnie się rozwiódł i nie może zrozumieć, jak ty mogłeś ożenić się z kobietą, którą on...

– Zgadłeś, obrażony zerwał z nami wszystkie kontakty i na dodatek rozpuszczał niczym nieuzasadnione plotki, jakoby dziewczyna zaraziła go pewną, dość wstydliwą w naszej pseudokulturze chorobą.

Kiedy zapadł zmrok, a w butelkach pokazało się nieuchronne w takich wypadkach dno, zeszli z dachu, odwiedzili salę wykładową profesora i ten nie wiadomo po co nabazgrał na tablicy kilka obraźliwych słów i, jak to się mówi, poszli w miasto.

Nazajutrz było narodowe czy też kościelne, co na to samo wychodzi, święto, więc jakoś przecierpieli ten dzień, a w czwartek kilka minut po ósmej spotkali się na dachu Politechniki, tylko spojrzeli na siebie, wzięli za ręce, doszli do skrajności życia i beznamyślnie skoczyli w pustkę, chociaż żaden z nich nie był do końca przekonany, czy to dobry pomysł.

Słoneczna podróż na zepsute krańce wyobraźni. Test

Drzwi autobusu odpadły natychmiast, jak tylko do kierowcy dotarła wiadomość, iż w górach Harzu kilka niepełnoletnich dziewcząt rozebrało się do naga i w ten sposób zaprotestowało przeciwko wtrącaniu się Arabów w wewnętrzne sprawy państwa Izrael.

– A niech to szlag trafi – zdołał tylko wykrzyknąć i autobus, którym jechał przez śródmieście Wrocławia, stracił wszystkie drzwi. Podobnie stało się z oparciami do siedzeń w podmiejskim pociągu relacji Gdynia – Gdańsk, ale przyczyną nie były nagie niemieckie siksy, ale aborygeni protestujący przeciwko zatrucaniu środowiska.

– Francowate, pozaziemskie siły – stwierdził motorniczy pociągu, porzucił pracę w szczerym polu i postanowił zapisać się do Koła Łowieckiego.

Na szczęście plotka nie poszła w Polskę, więc społeczeństwo w dalszym ciągu żyło w błędnym przesądzeniu, iż wszystko jest w należyтым porządku, no, może psy za często same pasą się na łąkach, komuniści nie chodzą w kajdankach, a kobiety za rzadko zachodzą w ciążę.

– Cena, którą płacimy za wyrwanie się z jarzma sił zła, nie jest zbyt wysoka – powiedział cicho pewien bezzębny prawie starzec lubieżnie głaszcząc swoją żonę. Był pewien, że to sąsiadka, ale nie miał kto wprowadzić go z błędu.

Po przeciwległej stronie życia młody człowiek też głaszcze, ale portfel. Był całkiem pusty, więc nie mógł udać się do wylęgarni dla idiotów, czyli najbliższego Mac Donalda i zaspanować. A miał na to wielką ochotę, przecież przed chwilą skończył dwadzieścia jeden lat, więc miał pełne prawo zachowywać się jak dorosły, ale, jak twierdził, państwo w ogóle mu w tym nie pomagało.

– Chyba zmienię obywatelstwo – postanowił, ale równie szybko o tym zapomniał, zadzwonił telefon komórkowy, identyczny jak dwie krople wody idiota zapraszał na skręta.

Poza tym wszystko było w porządku, ptaki latały, ryby nurkowały, nowe dopiero stało za drzwiami. A wszystko inne świeciło czystością.

I może musiałyby upłynąć nawet wieczność albo ciut więcej, by ludzie przejrzeni na oczy, otrząsnęli się z marazmu, w który wpędziło ich błogie poczucie przebywania nareszcie w swoim domu, wzięli do ręki grabie i udali się posprzątać po.. No właśnie, po czym? Po samych sobie?

Mężczyzna, którego nie interesowały podobne myśli, stał przed wypełnioną po brzegi księgarnią i zastanawiał się, dlaczego co roku aż tyle zadrukowanego papieru marnuje się na nic nie warte bzdety, przecież równie dobrze można by go zużyć na powielanie w ko-

to jednego słowa, na przykład *grad* i prawie nikogo by to nie zainteresowało, pies z kulawą nogą nosa nie wychyliłby z budy, przydrożne kurwy dalej namawiałby kierowców na wspieranie głodnych dzieci w różnych częściach świata.

W niemal tej samej chwili podeszła do niego mocno wydekoltowana kobieta, w lewej dłoni trzymała kanarka, a na czole miała wyrysowaną małą gwiazdkę.

– Wybieram się w słoneczną podróż na zepsute krańce wyobraźni. Czy nie pojechałby pan ze mną?

Miał dość wariatek, powtórnich dziewczyc, a najbardziej kobiet, które nie rozróżniały idiotów od silników spalinowych.

– Przykro mi, ale mam inne plany, więc...

– Jakże?

Pytaniem zaskoczyła go, więc by zyskać na czasie wszedł do księgarni i zapytał opalającą się sprzedawczynię, co mu poleca.

– Szampon antyłupieżowy, herbatniki, a przede wszystkim seks w godzinach wczesnorannych.

Ze wstydu pękła książka historyczna przeniosła się do beletrystyki, a tomik wierszy ślepego poety powędrował do poradników. Kiedy delikatnie zwrócił kretyńce uwagę, że przecież znajdują się w księgarni, wypaliła:

– A co to za różnica? W zeszłym tygodniu zastępowałam ciężarną, ale tylko na chwilę, koleżankę w aptece, w niedzielę nago biegałam po zapleczu gabinetu jakiegoś psychiatry, więc mam prawo do złej oceny sytuacji. Po drugie...

– Nie ma żadnego „po drugie” – zdenerwowałam się.

– Po drugie – nie dawała się zbić z tropu – czy to wypada sama kobietę zostawiać na ulicy?

Rzeczywiście, coś, co zapraszało go na wycieczkę niewzruszone stało przed księgarnią, czyściło kompas i polerowało marzenia.

– Nie jestem dla pani dobrą partią – próbował się od niej uwolnić, przeszedł na drugą stronę ulicy, ale w niczym to nie pomogło, więc w przypiętej desperacji zaczął policjanta i poprosił o aresztowanie.

– Kolejny polityk przegranego pokolenia. Codziennie na porannych odprawach szefostwo przestrzega przed takimi typkami. Czy nie może pani zabrać męża do domu?

Kobieta tylko na to czekała, rzuciła się pod przejeżdżającą taksówkę, wytargowała znaczny rabat i gdzieś po półgodzinie siedzieli w nasłonecznionym pokoju, butelka lichego wina straszyla swoją prymitywnością, a dudnienie telewizora każdego mogło wprowadzić w kompleksy.

– Ostatni raz sprzątałem w mieszkaniu dwa dni przed ostatnią rozprawą rozwodową. Byłem naiwny, wierzyłem w sprawiedliwość i zbawczą moc słów głoszących prawdę.

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie, po raz pierwszy zapaliło się w jej głowie czerwone światło. Może wybrała nie tego faceta, co należy? Szybko jednak przeszła na tym do porządku dziennego, nie po to tyle nalatała się po mieście, by teraz poddawać w wątpliwość słuszność wyboru.

– Nie przejmuj się za bardzo. Także nie przepadam za porządkami, chociaż łazienka musi się lśnić jak psu jaja. Inaczej nie wejdę do wanny, nawet na chwilę.

Jednak w kilka minut później złamała swoje postanowienie, kiedy zaproponował, że nauczy ją pływać. Rozebrała się szybciej niż przewidują normy godnego postępowania, kremem posmarowała pięty, poprosiła o papierosa i wtedy właśnie zobaczyła swoje odbicie w przyćmionym lustrze.

– Chyba zwariowałam – pomyślała – jutro córka zdaje maturę z przedmiotu *Ruch pionków na szachownicy*, pojutrze z religii, facet, który od lat poświęca się i regularnie mnie hebluje, dalej chce to robić, od dawna nie wystawiam czeków bez pokrycia, a teraz smaruję pięty kremem i naga wskakuję do brudnej wanny? Przesada.

Kiedy wrócił od sąsiada, u którego chciał pożyczyc adapter, by jakoś uprzyjemnić popołudnie, woda, owszem, lała się do wanny, zapalony papieros dawał przyjemne ukojenie, ale kobieta zniknęła. Pozostały po niej tylko rozerwane pończochy, stanik niezdarne przerzucony przez oparcie krzesła i mały posrebrzany medalik zawieszony na kranie. Z nerwów po raz pierwszy od wieków posprzątała mieszkanie, nawet umył okna, ogolił się i wrócił pod księgarnię.

Sprzedawczyni dalej się opalała, książki fruwały z jednej półki na drugą, nawet mu się to spodobało, więc zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę.

– Wiedziałam, że pan wróci. Kobiecie czekającej na pana przed sklepem nie zależało na seksie, przeciwnie niż mnie.

Podszedł do lady, założył okulary i powiedział:

– Przyszedłem, ponieważ chciałem dowiedzieć się, co pani czyta.

– Każdy zadaje takie pytanie, bez wyjątków, ale dopiero po.

– Po czym?

Roześmiała się, na kartce wyrwanej z rozlatującego się zeszytu zapisała nazwę kawiarni, w której będzie na niego czekała.

– Naturalnie, moglibyśmy pójść od razu do mnie, ale zawsze musi istnieć jakieś „ale”, inaczej dupczenie kompletnie nie ma sensu. Przynajmniej dla mnie.

Godziny pozostające do spotkania ze sprzedawczynią zupełnie nieznającą się na książkach, ale za to wybornie na życiu spędził w muzeum. Z udawanym zainteresowaniem przyglądał się dziwnie rozkraczonym kobietom w niedającym się określić wieku, umierającym żołnierzom, kwiatom wylewającym się z donic.

– Wyobraźnia to całkiem dziwna rzecz – odezwał się mały chłopiec, kiedy spotkali się przed obrazem przedstawiającym ostatnie kuszenie Solidarności.

– Może, nie znam się na tym. Czekam na kobietę, która...

– Banał – przerwał dzieciak. – Podobnie ma się sprawa z odyskiwaniem tak zwanej „narodowej pamięci”. Jak się nie ma co zaserwować społeczeństwu, wymyśla się igrzyska. Muzeum Powstania Warszawskiego, pomnik Dmowskiego, teczka wymaginowanego Bolka. Prawie codziennie aż płonę ze wstydu za dumną ojczyznę, ale jedyny sposób, w jaki mogę zaprotestować to, *primo*, nie pójść do szkoły, *secundo*, nie przekazać mamie gdzie czeka na nią kochanek, ale to zupełnie bez sensu. Jej pociąg seksualny jest o wiele silniejszy niż przeszkody stawiane przez małżeństwo, środowisko, kapelana wojskowego. Chce pan ją poznać?

Nie czekając na zgodę wziął go za rękę, zaprowadził na parking znajdujący się tuż za muzeum i władczym ruchem przywołał kobietę siedzącą w jedynym zaparkowanym na niewybrukowanym placu samochodzie.

– Od teraz to jest mój tatuś. On cię będzie posuwał, handlował marchewką oraz ustalał, na które numery mamy grać w loterii.

– Czyżby? – Nie dość przekonująco zaprotestowała wysoka, szczupła jak nieprzespana noc, ale dość atrakcyjna kobieta.

– Tak, dość już mam twoich przypadkowych kochanków, ciągłego dopominania się o miłość, wycieczek do ich zrządzających rodziców. Ten jest odpowiedni, ponieważ interesuje go malarstwo abstrakcyjne, a jak na dzisiejsze czasy to dość rozsądny wybór. Wsiadać do samochodu – rozkazał i po chwili w milczeniu jechali wzdłuż rzeki, aż a końcu kobieta powiedziała:

– Chyba jestem zmęczona. – Więc zawrócili w stronę domu, szybko zjedli kolację, położyli się do łóżka, i po raz pierwszy od lat chłopczyk nie podслуchiwał przed drzwiami mamy, czy już po wszystkim i czy w końcu może spokojnie zasnąć.

Rano wstałem jako ostatni, dziecko już było w szkole, a kobieta, której imienia nawet nie zdążyłem poznać, gratulowała mi odwagi, delikatności i obiecywała, że tym razem będzie inaczej niż zwykle. Nie wiedziałem, co ma na myśli, pocałowałem ją w policzek, odprowadziłem do samochodu, a następnie zapisałem w notesie adres mieszkania, w którym spędziłem tak

miłą noc, wypłem zimną kawę, umyłem, ubrałem i przypomniała mi się sprzedawczyni z księgarni.

Natychmiast tam poleciałem, ale tym razem za ladą stał grubawy, oziębły typ i za nic nie chciał mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć wczorajszy dzień.

– Życie to nie literatura – powiedział cedząc słowa – więc ot tak nie da się cofnąć czasu, z kobiety brzydkiej zrobić Arlekina, a do Polski sprowadzić Eskimosów.

Pewnie miał rację, ale bardziej interesowała mnie kartka z zapisanym adresem, którą najprawdopodobniej zgubiłem. Pozostawało mi jedynie udanie się do muzeum, ale tym razem byłem tam jedynym gościem. Obrazy, które wczoraj zachwycały, teraz wydawały się płaskimi kopiami, parking na zapleczu przemianowano na miejskie targowisko, więc zrezygnowany wróciłem do siebie, posrebrzany medalik nadal wisi na kranie, a stanik niezdarnie przerzucony przez oparcie krzesła straszył swoją niedoskonałością.

– Gdzie tak długo byłeś? – Głos dochodził z kuchni i nie przypominał mi nikogo, kogo znałem.

– Najpierw byłem w księgarni, a później w muzeum.

– Fajnie, a teraz przyjdź tutaj i pomóż mi obrać ziemniaki.

Szybko stamtąd uciekłem, bowiem jaka przyszłość może czekać na mężczyznę zagonionego do kuchni? Żadna, więc postanowiłem nie poddawać się przeznaczaniu, ale także omijać księgarnie, muzea, zamężne kobiety, więc nagle mój świat strasznie się skurczył. I niestety taki już pozostał.

Z wizytą u was

Ruda Śląska specjalnie niczym się nie wyróżnia, kilka zamkniętych kopalń, wyblakłych kobiet, niedająca się przepowiedzieć przyszłość, szare domy pozbawione duszy, wieczny smród.

Kilka metrów od centrum w rodzinnym familoku mieszka wieloosobowa czteropokoleniowa, niczym specjalnym się niewyróżniająca rodzina górnicza, bezbarwna, jak tylko bezbarwne życie na tych terenach potrafi być. Dwa pokoje na parterze, trzy na piętrze, sra na podwórku, dużo kryształów, zwiędniętych kwiatów, dzieci, dymy z powstań oraz szczypiącego w oczy toniu.

Wtorek, któryś tam dzień kwietnia, właśnie w TVN skończyły się *Fakty*, gdy dziadkowie siedzący na sofie usłyszeli dobijanie się do drzwi.

– Francowaty komornik – zaklął najstarszy syn, emeryt dorabiający do życia grą na instrumentach klawiszowych – w zeszłym tygodniu dałem mu flaszkę, a on dalej nas nachodzi.

– Pewnie chce mu się pić – filozoficznie stwierdziła babcia – o to nie można mieć do człowieka pretensji.

– Może to Stefcia? Odkąd zaszła, ciągle zawraca Staszce dupę, jakby nie mogła zachowywać się z godnością – dodała średnia synowa, rozłożysta kobieta o anielim sercu.

W końcu ktoś jednak zlitował się i otworzył drzwi. Na progu stał niewysoki, straszy mężczyzna, dość

dziwnie jak na te strony ubrany, w lewej ręce trzymał niezapalony papierosa, a z butonierki wylewała się perfumowana róża.

– Pomylił pan domy, agencja z panienkami ze wschodu znajduje się dokładnie naprzeciwko naszego pałacu – miłym, ale stanowczym głosem przywitał go Mariola, wnuczka z pretensjami.

– Świat znał mnie jako Franka Sinatrę, ale niestety zmarłem 14 maja 1998 roku w Cedras-Sinai Medical Center, West Hollywood, Kalifornia.

Na chwilę zapanowała konsternacja, ale natychmiast staropolskim zwyczajem zaproszono go do środka, posadzono na honorowym miejscu, zdjęto ze stołu sztuczne kwiaty, rozłożono nowy obrus, a najmłodszy poleciał do sklepu.

– Co pana panie Sinatra do nas sprowadza? – zapytał dziadek, gdy kieliszki zostały napełnione, ogórki pokrajane, dzieci wypędzone na zewnątrz, a w pokoju zostało tylko siedemnaście osób.

– Strasznie trudno na tak postawione pytanie odpowiedzieć, ale z ręką na sercu muszę przyznać, iż zawsze interesowało mnie, dlaczego generał Jaruzelski 13 grudnia 1981 roku wprowadził stan wojenny na terenie całego kraju?

Zdumienie odmalowało się prawie na wszystkich twarzach, ale by nie dać nic po sobie poznać, złapali za kieliszki.

– Może lepiej należało udać się do IPN-u? – zasugerował najstarszy syn, strzepnął ze spodni niewidoczny pył i rozłamał papierosa na pół – ale pewnie dobrze pan zrobił nie idąc tam, można się ubrudzić.

– Pomyślałem – powiedział cicho Sinatra zakładając nogę na nogę – iż najlepiej będzie odwiedzić przeciętną polską rodzinę i dowiedzieć się prawdy u źródła, przecież...

– Bardzo dobrze pan zrobił, ale zacznijmy od początku. Co pan wie o Polsce, naszej historii, fobiach, granicach, rżęstku błękitnym?

W jakąś godzinę później w pokoju zostało nie więcej jak sześć osób, młodzież znudzona historią, której nie pamiętali, wybrała się oglądać przejeżdżające obok domu pociągi, część położyła się na wojskowych materacach wyciągniętych z piwnicy, a tylko dzieci nie mogły znaleźć dla siebie miejsca, grały znaczonymi kartami, popijały ciepłą wodę zmieszana z cukrem i klóciły się, kto ma większe brodawki.

– Przypomina mi się moje dzieciństwo – zaśmiał się Sinatra – ale przecież nie po to jechałem pół świata...

– Przecież pan od dawna nie żyje, więc jak mógł pan jechać? – Mariola, jako przedstawicielka pokolenia wychowanego tylko na muzyce, była rodzinnym ekspertem w tych sprawach.

– Słusznie dziecko, ze swoją spostrzegawczością daleko zajdziesz, ale czy słyszałaś kiedyś o przenoszeniu się w czasie, teorii równoległej, strunach...

– Proszę jej nie maglować – z prośbą w głosie wtrącił się jej ojciec – posiada chłopaka nie dość, że z rodziny całkowicie mieszczańskiej, to jeszcze przedkładającego onanizm nad stosunki przerywane, więc ma prawo nie wiedzieć, co mówi.

– Naturalnie, chcę tylko dodać, że miałem do wyboru albo stan wojenny w Polsce, albo Rewolucję Październikową, ale po długim namyśle...

– Też mi porównanie! – oburzyła się babcia – kaca-pów stawiać w równym szeregu z naszą inteligencją...

– Kogo ma babcia na myśli, chyba nie wielkiego elektryka?

Kłótnia wisiała w powietrzu, ale Sinatra zachował się z godnością i położył na stole banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Euro stoi o wiele lepiej – wtrącił się średni syn – więc jeżeli ktoś z nas ma lecieć do sklepu podmień pan...

– Uspokój się synu, nie wypada naciągać gościa, więc zejdź do rodzinnego kantoru, czyli do Felka, wytarguj najrozsądniejszy kurs, a po drodze kup mi papierosa.

W środku nocy nagle wszystkim zachciało się spać, więc położono Sinatrę w pokoju Marioli. – Niech liżnie wielkiego świata – zasugerował ojciec, a rano przy jajeczniczy ze skwarkami powrócono do Jaruzela, czołgów oraz odwiecznego pytania czy Ruscy wejdą, czy nie.

– Nikt z was nie pracuje? – zapytał zdziwiony piosenkarz, który ledwo przełknął kromkę ciemnego chleba i popił szklanką kawy zbożowej.

– Za Niemca moja rodzina dość się już natyrała, podobnie u komunistów, więc teraz świętujemy. Po drugie, dosłownie rozumiana tak zwana sprawiedliwość społeczna nie pozwala mi jednego chłopca posyłać na kopalnię, a drugiego przed telewizor, więc

w rodzinnym referendum ustaliliśmy, że wszyscy siedzimy przed telewizorem i się denerwujemy. Wie pan, jakie głupstwa wypływają z ekranu? Okazuje się, że prawie każdy Polak to ubek, katolik albo idiota. A co z normalnymi?

– Może ich nie ma? – nieśmiało zasugerował Sinatra.

– Ależ co pan wygaduje, przecież wystarczy wyjść z domu, by natychmiast natknąć się na normalnego...

– ...pijanego chciałeś powiedzieć.

– Niech babka da spokój, nie po przegraliśmy tyle wojen...

– Nic z tego wszystkiego nie rozumiem – jęknął Sinatra. – Wyglądacie na zadowolonych, że w końcu rządzą po swojemu, a z drugiej strony czujecie się oszukiwani, niedopieczeni, pominięci. Jak w takich warunkach budować...

– W Polsce zda się zbudować tylko kościół, i to z wielkim wysiłkiem. Poza tym...

Nagle Sinatra wstał z krzesła, zapalił, wyszedł na balkon i zaczęło się. Tłum strajkujących wziął go za Kiepurę, ktoś przystawił drabinę i w kilka sekund później zniknął niesiony na ramionach jak narodowy bohater. W górniczym mieszkaniu zapanowała cisza, ale po chwili wszystko wróciło do codzienności, bracia klócili się o Gierka, dzieci próbowały najmłodszej latorośli odkręcić protezę, a kobiety zaczęły przygotowywać się do odwiecznej wyprawy w chłód kościoła.

– Szkoda, że tak szybko znudziła mu się nasza rodzina – westchnął dziadek. – Tyle jeszcze miałem mu do opowiedzenia. Na przykład o strachu przed zaplanowanym na trzy dni po wprowadzeniu stanu wojennego wiecu w Warszawie. Jak znam życie, wtedy na pewno polałyby się krew.

– Zachowuje się dziadek jak niepoprawny ignorant. Stan wojenny wprowadzony został dla ratowania władzy partii, nie samopoczucia społeczeństwa.

Zyrandol lekko się poruszył, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, podobnie jak na zdychające w akwarium rybki.

– Co ty tam wiesz synu – dziadek pozostawał nieustępliwy. – Najgorszym zagrożeniem dla społeczeństwa jest ono samo. Tak, a nawet jeszcze gorzej było w grudniu 1981 roku. Pamiętam mój strach doskonały, byłem oddelegowany do centrali w stolicy i na sto procent przekonany, że już nie wrócę do domu, że wybijemy się nawzajem bez pomocy socjalistycznych przyjaciół.

– Nie mogę słuchać tych bredni! – krzyknął średni syn. – Idę na działkę, bo inaczej spalę się ze wstydu.

Dziadek odprowadził go do drzwi, klepnął w plecy i poprosił o przyniesienie pomidora, chociaż jednego.

– Pomidory z działki w kwietniu? To przecież przesada.

– Tak samo jak Sinatra w naszym mieszkaniu w dziesięć lat po śmierci.

– Czy stan wojenny jako panaceum na wszystkie zło.

Wszyscy, którzy zostali w familoku, usiedli przed telewizorem, zgodnie przeżegnali się i dziadek z radością niespotykaną u niego od lat wziął do ręki pilota.

LISTY FRANZA KAFKI DO MAKSA BRODA

(II)

**OD REDAKCJI:**

Pierwszą część *Listów*, poprzedzoną obszernym wprowadzeniem pi—ra Jana Gzntnera, także autora przekładu całości, opublikowaliśmy w „Zdaniu” nr 1-2 (136-137) z 2007 roku.

*(pocztówka; pieczęć, 22.X.1917
Pan dr Max Brod, c-k. radca poczty,
Praga, c-k. Dyrekcja Poczty
Nad. dr Kafka, Sirew, p-ta Blišany;)*

Drogi Max, a więc 27-mego do Chomutowa! Ciągłe zmiany decyzji chomutowców miotają nami, Tobą pewnie najmocniej. Mną również. Prawdę mówiąc: bez Twojej podróży do Chomutowa nie pojechałbym jeszcze do Pragi, najwcześniej może za 14 dni. Życie tu ma wartość, taka podróż wrywa mnie z kontekstu. W ostatnich dniach, choć w najlepszym zdrowiu, je-

stem całkowicie bez apetytu; jeśli schudnę, profesor zabierze mnie z Sirewa, a to najlepsze dla mnie miejsce. Oto smutki, które zamykają usta radości spotkania się z Tobą. I jeszcze coś: będę chyba ze 3 dni musiał zostać w Pradze z uwagi na leczenie zębów, o biurze już nie wspominam. Każde przejście z wolności w poddaństwo jest smutne.

Czy podróż do Ch. jest całkowicie pewna? W razie odwołania wyślij mi telegram. Nie chcę sam jechać, abstrahuję już od tego, że ciekawi mnie Twój odczyt, wraz z Tobą pragnę odnaleźć ślady Twego wcześniejszego życia.

Franz

*(pieczęć: Blišany, 6.XI. 1917
Pan dr Max Brod, c-k. radca pocztowy
Praga, c-k. Dyrekcja Poczty, Praga;
Nad. dr Kafka, Sirew, p-ta Blišany;)*

Najdroższy Max, mieliśmy dziś wizytę całkiem wbrew mojej woli: panna z biura* (Ottla ją zaprosiła) ciągnąca z sobą też pana z biura (może pamiętasz, szliśmy w towarzystwie nocą przez Quai i obejrzałem się za jakąś parą, to byli oni) ciekawego i wytwornego, którego zresztą lubię (katolik, rozwiedziony), dodatkowe zaskoczenie prócz niezapowiedzianej wizyty, niespodzianka, która działała mi na nerwy. Nie dorastam do takich spraw, a zdjęta mnie jakaś przelotna zazdrość, wielkie skrępowanie wobec pannicy (radziłem jej bez przekonania, że powinna wyjść za męża za owego pana), aż ogarnęła mnie zupełna pustka przez cały dzień, a już przemilczę całkiem okropne uczucia pośrednie; podczas pożegnania było trochę żalu, poczucie bezsensu, jakieś burczenie w żołądku czy coś w tym rodzaju, całość była zwykłymi odwiedzinami, jak wszystkie inne, bardzo pouczająca, choć monotonna lekcja, której jednak nie dość powtarzać.

Opowiadam to jedynie z tego powodu, że ma to odniesienie do naszych rozmów z powodu owej „przelotnej zazdrości”. Była to jedyna dobra chwila tego dnia, moment, kiedy miałem przeciwnika, poza tym pogrążałem się „w pustkę”.

Nie posyłam niczego do Frankfurtu**, nie czuję, żeby mnie to martwiło; jeśli coś pošlę, uczynię to tylko z próżności, nie pošlę – też próżność, no, może nieco większa. Kawałki, które mógłbym posłać, nie przedstawiają dla mnie właściwie niczego, szanuję jedynie chwilę, w której je napisałem, a teraz aktorka***, która może sobie znaleźć coś bardziej korzystnego dla siebie i ciekawszego, ma je wydzwignąć z nicości, w której pogrążyć się szybciej lub wolniej, i podnieść je na użytek jednego wieczoru? To bezsensowny trud.

Brak oddechu i kaszel. Nie jesteś bez racji, od braku tchu w Pradze zwracam na to baczniejszą uwagę niż poprzednio. Możliwe, że gdybym gdzieś indziej leżał na powietrzu, choć – ze względu na stan moich nerwów jest to równie ważne dla moich płuc – nigdzie nie czułbym się tak dobrze jak tu, gdzie nic mnie nie rozprasza (oprócz wizyt, ale i one pojawiają się sporadycznie, nie żłobiąc zbyt głębokich śladów w spokojnym życiu), nigdzie nie poddawałbym się w mniejszym uporem, złością, zniecierpliwieniem wywołanym przez reżim domowy lub hotelowy jak tu, u mojej siostry. Jest w Ottli jakiś obcy pierwiastek, któremu w tym kształcie najłatwiej mi się poddać. Mam w rzeczywistości jakiś „lęk o osobowość”, o który pomawia mnie i innych, podobnie chorych, psychoanalityk Stekel****, uważam to jednak za całkiem naturalne, jeśli nie postawi się go na równi „z lękiem o zdrowie duszy”; zawsze jeszcze istnieje nadzieja, że zdarza się „potrzeba posiadania własnej osobowości”, albo że się pojawi, należy więc zawsze mieć to w pogotowiu. Wobec wszelkich obcych pierwiastków nie czuję się tak pewnie jak przy boku mojej siostry. Tu potrafię się podporządkować; ojcu, choćby nawet leżał na ziemi, nie potrafię się poddać. (Uczyniłbym to nawet wobec wyprostowanego, ale nie wolno mi.)

Czytałeś mi trzy fragmenty z powieści*****. Muzyczność pierwszego, dobitna przejrzystość trzeciego zapadły mi bez reszty i błogo w pamięć („żydowskie passusy” razą nieco oczy, jakby ktoś gwałtownie świecił i gasił światło w ciemnej sali). Utykam jedy-

nie wobec drugiego, nie ze względu na zastrzeżenia, o których wspominałeś. Grę w kręgle uważasz za żydowską grę w Twoim rozumieniu pierwiastka żydowskiego? Żydowską chyba tylko przez to, że Ruth***** zabawiła się w inną grę, ale przecież nie o to tu chodzi. Jeśli surowość gry jest samoudręczeniem lub dręczeniem kochanka, wówczas ją rozumiem, jeśli to jednak samodzielne przekonanie, bez związku z Ruth lub Twoją sytuacją życiową, to jest to rozpaczliwe przeświadczenie, które pozwala jedynie we śnie, jak to się dzieje, ujrzeć przed sobą Palestynę. W całości to prawie gra wojenna zbudowana na idei przelotności, okoliczność może dla Hindenburga. Może rzeczywiście Cię nie rozumiałem, ale gdyby nie było niezliczonych możliwości wyzwolenia, zwłaszcza w każdej chwili naszego życia, wtedy nie byłoby ich w ogóle. Może istotnie nie pojąłem.

Grę powtarza się nieustannie, przez nieopatrzny krok przegrywa się tylko na chwilę, nie wszystko. Ale musi to zostać powiedziane, choćby ze względu na Pielęgniarkę.

Franz

Dziś rachunek od Wolffa za 102 numery „Betrachtung” 1916/1917 zdumiewająco wysoki, ale obiecane go przez Ciebie rozliczenia nie posyła. Również nic o *Lekarzu wiejskim*. Dołączam Twoją „obowiązkowa dietę”, którą zostawiłeś w jakimś zeszytce.

Max, przysyłaj mi zawsze „Die jüdische Rundschau”. Ottla chce pojechać za 14 dni do Pragi, aby mnie odesłali na emeryturę.

*panna z biura – panna Kaiser, maszynistka F.K.

**do Frankfurtu – wieczór autorski.

***aktorka – Leontine Sagan.

****Stekel – psychoanalityk, Wilhelm Stekel (1868-1940), o którym K. mówi: „wiedeńczyk, który rozmienia na drobne Freuda”.

*****fragmenty z powieści – wspomniana – *Das große Waganis*.

*****Ruth – postać pielęgniarki z ww. powieści.

(pocztówka; pieczęć; Blișany, 14. XI. 1917
Pan Max Brod, c-k. radca pocztowy, Praga
c-k. Dyrekcja Poczty;
nad. dr Kafka. Praga, ul. Poříč 7)

Najdroższy Max, chwilowo to, jako potwierdzenie (odbioru – JG) kartki, listu i czasopism („Jüdische Rundschau”, „Action”, „Selbstwehr”-wyd. nadzw.*). Nie wiadomo, dlaczego nadeszło to wszystko dopiero 13-tego, ale to nic nie szkodzi, radość z Twoich listów jest dla mnie niezależna od czasu. – Langerowi** nie potrafię pomóc w taki sposób. Zakład [ubezpieczeniowy – JG] jest niedostępny dla Żydów. Chyba tylko jako własny żart można by przeprowadzić zamach na dyrektora, do którego od nowego przybysza od razu dotrze prośba, że nie może pracować w sobotę – a tego nie chcę. To niezrozumiałe, jak dostało się tam dwóch Żydów (przy pomocy trzeciego) i to się już nie powtórzy. Może w naszej firmie – a czemuż by nie – jeśli wobec ojca można wziąć odpowiedzialność. Jak chcesz, wstąp tam, porozmawiaj z matką, siostrą albo kuzynką, ja to zapowiem. Przecież Langer jest silny, czemu nie pójdzie do jakiegoś żydowskiego pachciarza? – „Pozdrów wujka Franza”**** – to bardzo miłe, ale za delikatne. Ciocia nie zbije tego, kogo siostrzeniec lubi.

Franz

Otla uważa przyjęcie Langerera u nas za wykluczone, a ona zna lepiej ojca i firmę.

*„Selbstwehr” – wyd. nadzw. – z okazji ogłoszenia „Deklaracji Balfoura” (2.XII. 1917).

**Langerowi – Jiří Langer (1894-1943), ze zasymilowanej, mówiącej po czesku rodziny, który w 1913 r. przystał do chasydów na dworze cadyka w Bełżcu, zaprzyjaźniony z Kafką, autor znanej w Polsce książki *9 bram chasydów*.

***„pozdrow wujka Franza” – „Onkel Franz”, pseudonim Franza Roberta Hanessena, pisarza dla młodzieży; Elsa Brod napisała wraz z nim pod tym pseudonimem artykuł Wujek Franz i nasza młodzież, do czego robi aluzję F.K.

(pieczęć: *Blšany, 2 (0?). XI. 1917;*
Pan Maks Brod, c-k. radca poczty,
Praga, c-k. Dyrekcja Poczty;
nad. dr Kafka, Sirew, poczta Blšany;)

Drogi Maks, to co robię, jest proste i oczywiste: w mieście, w rodzinie, w zawodzie, w społeczeństwie, w stosunkach miłosnych (jeśli chcesz, postaw to na pierwszym miejscu), w dążeniu do istniejącej wspólnoty narodowej lub w dążności do niej zawiodłem, i to w taki sposób – jak bacznie obserwuję – że nikomu się to nie przydarzyło. Takie dziecinne w zasadzie przekonanie („nikt nie jest tak podły, jak ja”), obala inny ból, że zawodzę pod każdym względem, a takie przeświadczenie miałem i mam (nie chodzi tu o nikczemność i moje własne wymówki). Nie chcę się chętnie cierpieniem towarzyszącym takiemu życiu na niby (od dawna, na wszystkich małych etapach), a patrząc wstecz okazuje się ono niezasłużenie błahie wobec faktów, których zbyt wielkiemu ciśnieniu się przeciwstawiało, a nawet jeśli okazywało się zbyt wielkie, by dalej je znosić, było jednak w każdym razie bezsensowne (jak się jest w dołku, pytanie o sens jest zasadne). Najlepszym wyjściem, jakie mi przychodziło do głowy już od dziecinnych lat, było samobójstwo, nie ono samo, tylko myśl o nim. W moim przypadku było to mało budujące tchórzostwo, powstrzymujące mnie przed samobójstwem rozważanie pogrążone również w bezsensie: „nie potrafisz niczego zrobić, dlaczego miałbyś uczynić właśnie to? Jak możesz ważyć się na taką myśl? Jeśli chcesz się zamordować, to już nie musisz” itd. Potem jeszcze dołączały się inne wątpliwości i przestawiałem już myśleć o samobójstwie. Gdy rozmyślałem o nieskładnych nadziejach, samotnych stanach szczęśliwości wbrew nadętej próżności, (owo „wbrew” udawało mi się rzadko, o ile godziłem się na pozostanie przy życiu), a czekało mnie: nędzne życie, nędzna śmierć. „Było tak, jak gdyby wstyd miał go przeżyć”, to właśnie ostatnie słowa powieści *Proces*.

Widzę teraz nowe wyjście o własnych siłach z tej sytuacji (gruźlica nie należy do „własnych sił”), które dotychczas uważałem za niemożliwe. Jedynie widzę je, albo wierzę, że je widzę, ale do niego nie zmierzam. Nawiasem mówiąc, polega ono na tym, czy też mogłoby polegać na tym, że nie tylko prywatnie, lecz właśnie całym swoim zachowaniem mógłbym potwierdzić, że nie mogę zawieść. Dla takiego celu muszę wlec ze sobą z całą energią kontury mego dotychczasowego życia. Wtedy mam szansę zachować spójność wewnętrzną, jasne spojrzenie, i w bezsensie nie będę się rozmieniał na drobne.

To byłby zamysł, gdybym go zrealizował – czego nie robię – nie tyle „godny podziwu” sam w sobie, lecz konsekwentny. Jeśli nie uznasz go za daremny, popadnę w pychę, w całą orgię próżności, mimo to ja wiem lepiej. Niestety. Nawet nicość domku z kart ruinie, jeśli artysta się nadmie. (Na szczęście to zła metafora.)

Twoją drogę, o ile można coś przewidzieć, widzę zupełnie inaczej. Ty nie zawiodłeś, więc dalej nie zawodź. To co sporne potrafisz złączyć, ja nie, albo przynajmniej na razie nie. Nasza bliskość, która się coraz bardziej zacieśnia, polega na tym, że obydwaj „dążymy”; jednak dotychczas za często bywam Twoim ciężarem.

To co nazwałeś „podejrzeniem”, mnie wydaje się niekiedy tylko grą nadwyżki sił, które ukrywasz brakiem skupienia, a w tym sensie Twoje pisarstwo i syjonizm stanowią jedność, a to już co innego, i jeśli już chcesz, jest to „uzasadnione podejrzenie”.

.....

Oczywiście, zgadzam się na czytanie mego opowiadania przez Twoją żonę, **ale całej imprezie jestem przeciwny**. Zarzut jest taki sam jak wobec Frankfurtu*. Masz prawo występować, ale także Fuchs i Feigl** (adres „Union”) mamy prawo siedzieć cicho i powinniśmy z tego skorzystać.

Jaki masz stosunek do „Daimona”? Przyślij mi, proszę, adres Werfla. Gdy przez dłuższy czas czasopismo wydaje mi się obiecujące (w tej chwili oczywiście każde), to takie również było tamto, które wydawał dr Groß*** i dlatego przynajmniej tamtego wieczora miałem poczucie wspólnych dążeń, czym powinno stać się pismo. Ale „Daimon”? Nie mam pojęcia, widziałem tylko zdjęcie redaktora w „Donauland”.

Jeśli jeszcze dodam, że niedawno śniło mi się, iż pocałowałem Werfla, to wpadam w sam środek książki Blühera****. O tym, co następuje: zdenerwowałem się i na dwa dni musiałem przerwać lekturę. Ma to również coś wspólnego ze wszystkim, co psychologiczne: w pierwszej chwili człowiek czuje się zdumiewająco syty, ale zaraz potem dopada go z powrotem ten sam dawny głód. Psychoanalitycznie to „naturalne”, łatwe do wyjaśnienia: tłumienie pośpiechu. Pęd do dworskości najprędzej daje awans.

I jeszcze: zdrowie świetne (profesor nieraz mówił o wyjeździe na południe), zapowiedź odwiedzin wielce miła i dobra, odpieram wątpliwe uwagi o prezentach, o czym później.

Franz

Nie, od razu odpieram, bo jest bardzo trafne: „obdarowujemy” wyłącznie dla własnej przyjemności, nie tylko jako wyraz uczucia dla Was i nie ponosimy żadnej straty materialnej. Gdybyśmy „nie obdarowywali”, lecz sprzedawali, moglibyśmy pewnie więcej postać niż dotąd, a Wy dzięki różnicy pomiędzy tutejszymi a praskimi cenami zarobiliście o wiele więcej niż wynosi wartość „darów” i ponadto mielibyście więcej żywności. Nie czynimy tego, „obdarowujemy” na przekór Wam, bo nam to sprawia przyjemność. Musicie to jakoś wytrzymać. Posyłamy niewiele, a będzie jeszcze mniej.

*wobec Frankfurtu – mowa o „wieczorze dla rodziców” 6. XI.1917 r., współorganizowanym przez Elzę Brod w Sali „Chewra Kadisza” (żyd. Bractwo Pogrzebowe).

** *Fuchs i Feigl* – Rudolf Fuchs i Ernst Feigl, poeta, brat malarza, Friedricha F, autora portretu Kafki.

*** *dr Groß* – dr Otto Groß, wspomniany już psychoanalityk.

**** *książki Blühera* – (w liście z 6.X.1917) W tamtym roku ukazał się jeszcze: *Der Typu inversus*.

(pieczęć: *Blšany, 24.XI. 1917.*

*Pan dr Maks Brod, c-k. radca poczty,
Praga c-k. Dyrekcja Poczty;
nad. dr Kafka, Sirew, p-ta Blšany;)*

Drogi Maks, dużo wolnego czasu, ale do pisania listów, o dziwo, niewiele. Wyliczam: od plagi myszy, o której już może słyszałeś, (dłuższa przerwa, bo musiałem pomalować pudełko i doniczkę) właściwie nie mam swojego pokoju. Z kotem, ale tylko z nim ledwo mogę tam przemocować, ale siedzieć, gdy naraz słychać chrobot za koszem lub koło okna (pazurki, pazurki!), na to nie mam ochoty, a również kot, który jest w ogóle milutkim jak dziecko i dobrym zwierzątkiem; nadzoruje mnie podczas pisania lub czytania i nagle wskakuje na moje kolana, albo trzeba mu w odpowiedniej chwili pośpieszyć z pudełkiem popiołu, co bywa kłopotliwe; krótko mówiąc, z kotem jestem również niechętnie sam na sam, a jeśli są inni ludzie, to jeszcze większa przykrość, przed nim i tak krępię się rozbierać się, gimnastykować, kłaść się do łóżka.

Zostaje mi więc tylko pokój siostry, bardzo przyjemny, strach, którego można doznać przekraczając pierwszy raz jego próg jest całkowicie nieuzasadniony (na równi z ziemią, zakratowane okno, mur kruszący się kawałkami), lecz okazji do pisania, jeśli się ma ochotę pisać wieczorem, jak to we wspólnym pokoju, mam niewiele. A w dzień – dni są teraz takie krótkie, zwłaszcza gdy się je śniadanie w łóżku i późno wstaje, na równi z ziemią już koło drugiej robi się ciemno – zostaje tak niewiele czasu, najwyżej jakieś trzy godziny pod warunkiem, że niebo nie jest bardzo zachmurzone, bo wtedy jest jeszcze ciemniej, a będzie coraz ciemniej w miarę jak nadchodzi zima, więc leżę albo na powietrzu lub przy oknie i czytam; to taki czas, kiedy pomiędzy ciemnością a ciemnością można coś uszczknąć z książki (w gazecie piechota węgierska oczyszcza delfę rzeki Piawe, z Tyrolu wyprowadzają atak, Anglicy zdobywają Jaffę, przyjmują uroczyste Hantkego*, Mann odnosi wielki sukces swoim wykładem, a Essig** wręcz przeciwnie, Lenin nie nazywa się Cederblum tylko Uljanow itp.) i jeśli nie przeznaczę tego czasu na pisanie, na które musi przyjść ochota, już jest ciemno i tylko niewyraźnie widać gęsi nad stawem, te gęsi (długo by o tym opowiadać) dość obrzydliwe, gdyby nie postępowano z nimi jeszcze paskudnie. (Dziś leżała w miednicy na dworze zarżnięta, nadziana gęś, i wyglądała jak martwa ciotka.)

Czasu więc mało, czego można dowieść, gdyby było co udowadniać. Tak jest naprawdę. Nie zawsze wiem, ale to mój błąd, a rozpoznaję go zawsze chwilę wcześniej, zanim go popełnię. Gdybym się trzymał słusznych zasad: mój czas to wieczór i noc – nie byłoby źle, niestety mamy trudności ze światłem. Ponieważ nie trzymam się i wcale nie piszę, mimo to nie bałbym się rzęsiście oświetlonego wieczoru i nocnego spoczynku bez myszy, ale też do tego nie zmierzam; spędzam wolne przedpołudnie w łóżku (ledwie rano wyniosą kota zaczyna się skrobanie za szafą. Słuch

wystrzył mi się tysiącrotnie i o tyle stracił pewność, wystarczy, że poskrobię palcem prześcieradło, już nie jestem pewien, czy to nie mysz. Myszy to jednak nie złudzenia, kot wraca do mnie wieczorem wychudzony, a rano wynoszą go pękatego), parę chwil zerknę w książkę (teraz Kierkegaard***), pod wieczór spacer po polnej drodze, to moja samotność i gdybym chciał ją jeszcze bardziej wypełnić, niepotrzebna mi żadna pozorna skarga, ale – a to takie upokarzające i krępujące – otacza mnie cudza praca, do której jestem niezdolny, choć nie widać oznak choroby. Mimo to niedawno próbowałem trochę grzebać w warzywniku i potem długo i mocno czułem to w kościach.

Otłla jest w Pradze, może przyniesie dokładniejsze wieści o wieczorze wiedeńskim****; lepszej publiczności na sali niż młodzież nie mogłeś mieć. I ja mam do niej podobne zaufanie, choć za młodu nie obdarzono mnie nim, mimo że zasługiwałem na to jako młodzież, jak każdy młody człowiek na razie bez przyszłości. – Jak to pięknie dowieść potem takiego zaufania, jak Ty na przykład w Chomutowie (pisałeś o tym), co mnie tak wzruszyło.

Franz

Zauważyłem dopiero teraz, że wczoraj wieczór wszystko, tj. moją sytuację wewnętrzną, potraktowałem zbyt lekko.

Nadeszła piąta przesyłka („Rundschau”, *Mil-ler******, *Marsyas******).

Co robi Oskar*****? Nie piszę do niego, a on nie posyła mi przyrzeczonej powieści. Ma tu przyjechać na Nowy Rok na parę dni.

Nowość: całe popołudnie strzygłem uszami i nagle widzę koło drzwi nową dziurę. A więc tu też są myszy. A kot dziś źle się czuje, wymiotuje cały czas.

* *Hantkego* – dr Arthur Hantke, przewodniczący komitetu Akcji Syjonistycznej w Berlinie, przyjęty przez ministra spraw zagr., hr. Czernina we Wiedniu.

** *Essig* – Hermann Essig, (1878-1918), pisarz.

*** (teraz Kierkegaard – Sören Kierkegaard (1813-1855); *Bojaźń i drżenie*).

**** *Hiller*, – Kurt Hiller, prawdopodobnie książka *Das Ziel*.

***** „*Marsyas*” – dwumiesięcznik wydawany przez Teodora Taggera, w którym utwory prozą publikował Kafka.

***** *Oskar* – (1883-1941), niewidomy, żydowski poeta z grupującego się wokół Kafki „Prager Kreis” (Koła Praskiego).

***** *o wieczorze wiedeńskim* – w sali Lesehalle, gdzie Brod czytał fragmenty swoich utworów.

(pieczęć: *Blšany, 4.XII. 1917;*

*Pan dr Maks Brod, c-k. radca pocztowy,
Praga, c-k. Dyrekcja Poczty
nad. dr Kafka, Sirew, p-ta Blšany;)*

Drogi Maks, to przypadek, że dopiero dziś odpowiadam, a to ze względu na warunki – pokój – światło – myszy. Nie ma to nic wspólnego z nerwowością i wymianą wieś – miasto. Strach, czuję prymitywny strach wobec myszy. Skąd to pochodzi, to sprawa dla psychoanalityków, to nie mój fach. Ma to pewnie jakiś związek z robactwem nieproszonym, rojącym się nieoczekiwanie, nieuniknionym, poniekąd niemy, zawziętym, pojawiającym się ni stąd, ni zowąd w tajemnych zamiarach i doznaję wtedy uczucia, że mury wokoło kryją tysiące wydrążonych przez te żyjątka korytarzy, gdzie ci władcy nocy czyhają, a ich małość sprawia, że stają się jeszcze bardziej niedosiężni.

Zwłaszcza ich nikłość czyni te stwory komponentą lęku, a wyobrażenie, że mogłoby istnieć zwierzę o wyglądzie np. świni, więc samo w sobie uciészne, ale gdyby pojawiło się nagle o wymiarach szczura, sapiąc w szczelinie podłogi – to dość potworna wizja.

Od paru dni wynalazłem naprawdę dobre, chociaż prowizoryczne rozwiązanie. Zostawiam kota w pustym pokoju obok zapobiegając w ten sposób zanieczyszczeniu mojego pokoju (trudno w tej sprawie porozumieć się ze zwierzęciem. Wynikają z tego same nieporozumienia, bo kot wie, jeśli dostanie klapsa czy w następstwie innych perswazji, że załatwianie potrzeb naturalnych jest czymś nielubianym i należy sobie do tego starannie wyszukiwać inne miejsce; jak więc postępuje? Wybiera sobie np. miejsce, gdzie ciemno. Dowodzi mi w ten sposób swojej przywilności, a pamięta również o swoich przyjemnościach. Ze swych wyżyn człowiek może uznać takie miejsca jak wnętrza mego pantofla, za przypadkowe. A są one równie liczne, jak potrzeby do załatwienia), kot nie ma więc możliwości wskoczenia na moje łóżko, zapewnia mi jednak komfort psychiczny, że gdyby było źle, zawsze mogę go wpuścić. Ostatnie noce były spokojne, przynajmniej nie było jednoznacznych oznak obecności myszy. Snu mi to nie przysparza, kiedy sam przejmuję część kocich obowiązków, gdy siadam wyprostowany w łóżku lub wsparty na boku i nasłuchuję strzygąc uszami i świecąc zaognionymi oczyma w ciemności, jak było pierwszej nocy, ale teraz już będzie lepiej.

Pamiętam o pułapkach [na myszy – JG], o których wspominałeś; teraz nie można ich kupić, a również ich nie chcę. Wabią one i tępią myszy mordując. Kot natomiast płoszy je samą obecnością, może nawet również swoimi odchodami, czego nie można całkiem lekceważyć. Zdziwiło mnie to już w pierwszą noc z kotem, która nastąpiła po wielkim myszkowaniu. Może nie było ciszy jak makiem zasiał, ale żadna mysz nie odważyła się przebiec wokół, choć kot siedział nieporuszony pośepnie przy piecu, obrażony zmianą miejsca, ale wystarczała sama obecność, jak nauczyciela [w klasie – JG] i tylko tu i ówdzie, z rzadka w norkach odzywały się jakieś poszeptywania.

Tak mało piszesz o sobie, mszczę się więc opowieściami o myszach.

Piszesz: „czekam na wybawienie”*. Na szczęście Twoje świadome myślenie i Twoje działanie nie pokrywają się. Bo któż nie czuje się „chory, pełen winy, bezsilny” zmagając się ze swym zadaniem, które się samo rozwiąże? Kto może zbawić, nie będąc równocześnie zbawionym? Również Janaček (o którego list prosi moja siostra) biegnie po Pradze w dzień swego koncertu. Ponadto: Ty nie jesteś malkontent, a wszystko to jedynie mgnienie oka. Każdą przypowieść z Talmudu opowiedziałbym inaczej: sprawiedliwi płaczą, bo myśleli, że już przeszli przez cierpienie, a widzą, że to nic w porównaniu z tym, co ich dopiero teraz dotyka. A grzesznicy... czy są w ogóle tacy?

Na mój poprzedni list nie odpowiedziałeś ani słówkiem, nie posłałeś mi też adresu Werfla**, więc proszę Cię, żebyś mój sam wysłał do niego. Czy „Anbruch” to Twoja sprawa?

Franz

*„czekam na wybawienie” – cytát z listu Broda, w którym informuje F.K. o swoim romansie pozamałżeńskim.

**Werfla – Franz, (1890-1945) rzecznik ekspresjonizmu, bliski przyjaciel F.K. W latach dwudziestych i później zyskał rozgłos swoimi dramatai i komediami.

(pocztówka; pieczęć Blšany, 5.XII. 1917;
Pan dr Maks Brod, c-k. radca poczty;
Praga, c-k. dyrekcja Poczty;
nad. dr. Kafka Sirew, p-ta Blšany;)

Najdroższy Maks, dobry uczynek to pierwsza wiadomość, którą dostałem do łóżka, i wokół niej krąży teraz moja poranna wyobraźnia. Również ostatnio nadeszły dwie przesyłki (dziś druga: „Jüdische Rundschau”, „Panideal” (niezależnie od sprawy – straszne pismo), „Proscenium”, konkurencyjne wobec „Artist”, „Katalog Löwitta” – chciałbym je zatrzymać – „Action”, „Tablettes”, „Alžběta” – (wzmianka o lipskiej premierze Janačka to chyba pomyłka, chodzi przecież o drezdeńską?, tak było w „Hudebni Revue”), więc bardzo dużo. Obdarowujesz, a my nie. Interes małsany tego nie wyrównuje, jak się chce kogoś ucałować, nie zakleja mu się ust banknotem (właśnie słyszę z kuchni jako przerywnik jakiejś okropnej pieśni okrzyk: „mysz!!” – Zachować spokój.). Prośba, Maks: „Donauland” zaprasza mnie do „post scriptum” o drze Kornerze**. Muszę mu odpowiedzieć, nie mogę jednak przestać odpowiedzi do redakcji ze względu na pewną uwagę w zaproszeniu. Pani Fanta*** ma chyba prywatny adres dra Kornera. Bądź miły i postaraj się dla mnie, ale szybko, jeśli to możliwe.

Franz

Wybierasz się na próby do Drezna?

*Katalog Löwitta – szanowane wydawnictwo żydowskie (Berlin-Wiedeń).

**o drze Kornerze – wydawca „Donauland”, z którym Kafka odmówił wszelkiej współpracy.

***Pani Fanta – Berta Fanta (1865-1918) gromadząca wokół siebie intelektualistów tamtych czasów, u której bywali m.in. nie tylko ludzie z kręgu Kafki, lecz również fizycy: Albert Einstein, Philips Frank, matematyk Gerhard Kowalewski, filozof Christian von Ehrenfels.

(pieczęć: Blšany, 10.XII. 1917;
Pan dr Maks Brod, c-k. radca pocztowy,
Praga, c-k. Dyrekcja Poczty;
nad. dr Kafka, Sirew, p-ta Blšany;)

Drogi Maks, nieporozumienie: nie mam bezsennych nocy z powodu myszy, z wyjątkiem tej pierwszej. Rzeczywiście, nie śpię za dobrze, podobnie na ogół wysypiałem się w najlepszych czasach praskich. Również „zaognione” oczy znaczą wyłącznie niepowodzenie przeniknięcia myślich mroków kocimi oczami. Obecnie wszystko, przynajmniej na razie jest niepotrzebne, bo skrzynka z piaskiem zbiera wszystko to, co poprzednio kot zostawiał na dywanach i kanapie. To cudowne, że jednak można pojednać się z kotem. Wieczorem, gdy dostanie mleka, jak dobrze wychowane dziecko idzie do pudełka, włazi tam, wygina grzbiet, bo jest niewielkie, i robi, co musi. Ta sprawa nie dostarcza mi teraz żadnych zmartwień. „Sanatorium bez myszy”: „bez myszy”, co również znaczy „bez kota”, to może za wielkie słowo, ale „sanatorium” jest małe i dlatego niechętnie tam przebywam. Moje zdrowie, jak poprzednio, całkiem w porządku: wygląd zadowalający, kaszel, jeśli to możliwe, rzadszy niż w Pradze,

są dni – już nie zważam na to – że w ogóle nie kaszlę, rzeczywiście, nadal mam krótki oddech, ale przy moim zwykłym próżniaczym trybie życia w ogóle tego nie czuję, na spacerach tylko wtedy, kiedy idąc rozmawiam z kimś – to już dla mnie za wiele. Taki objaw jest charakterystyczny dla mojego stanu, nad którym profesor* i dr Mühlstein, kiedy im o tym opowiadałem, przechodzą do porządku dziennego. Nie wiem, dlaczego właśnie akurat teraz ma się decydować sprawa sanatorium dla mnie, ale który to będzie zakład, rozdyma się w nieskończoność; gdybym teraz poszedł do profesora, będzie chciał mnie wysłać w zimie, na co wcale nie mam ochoty, lub ciągle się waham, więc patrząc z dyrekcyjnego okna, wyglądać to może na całkowitą niechęć. To nie żarty, bo są naprawdę dla mnie bardzo życzliwi, czego jeden drugiemu o trzecim, nie jest w stanie przekazać.

Drugie nieporozumienie: nie chcę Cię pocieszać poddając w wątpliwość Twoją chorobę. Jak mógłbym wątpić w to, co widzę. Stoję po Twojej stronie bardziej niż Ty, bo czuję, że Twoja godność, ludzka godność jest zagrożona przez to, że cierpisz, więc uciekasz w chorobę. Pewnie, to łatwo wyrokować z oddalenia**, w spokoju, i Ty zrobiłbyś tak samo; porównując jednak moje „dawniej” i Twoje „teraz” należy to rozróżnić. Kiedy rozpaczalem, byłem nieodpowiedzialny, moje zachowanie i cierpienie z tego powodu to jedno, nie potrafiłem jednak się z tym uporać. W Twoim przypadku tak nie jest. A może w Twoim przypadku to raczej tak: nie ma tak silnego ataku, żebyś się przed nim uchylił jak czynisz, albo jak wierzę, że postępujesz (to Cię nie ma pocieszyć, to moje przekonanie), albo jak mi się zdaje, że robisz lub Tobie się tak zdaje.

Nie sądzę, że potrafisz Ci udzielić trafnej rady oprócz błahych ogólników, które wygłosiłem. Rzeczywiście, chętnie siedziałbym godzinami w Twoim biurze, gdzie tak miło, słuchałbym Cię tylko dla własnej przyjemności, niezależnie od tego, co wynika dla zła i dobra z tego, co przeczytałaś, nie mam jednak dla Ciebie żadnej użytecznej rady. Nie mógłbym udzielać takich rad choćby z innych względów. Takie rady, sądzę, czerpać można z ducha pedagogiki samoopowania, która jawi mi się coraz bardziej daremna. Przychodzi mi na myśl dość mętnie pewien przykład z Förstera***, jak można niezawodnie wpoić dziecku i nie tylko jemu, że wchodząc do pokoju, każdy musi zamykać drzwi. – Zadanie, wobec którego byłbym bezradny i w związku z tym uważam: zapewne to nie tak łatwo mieć chętkę na zamykanie drzwi, ale również bez sensu byłoby uważać to za niesłuszne. Zamierzam przez to powiedzieć: być może da się udzielić rady, ale lepiej nie bajtlować. – Maks, brakuje mi Cię bardzo, świadomość, że żyjesz, że Cię mam, że nadchodzą Twoje listy, napełnia mnie spokojem. Wiem ponadto, że masz skłonność do romansów, z czego wcale nie musisz się usprawiedliwiać.

Franz

O zaproszenie z „Anbruch” pytałem dlatego, bo nie mogłem pojąć, skąd znali mój adres w Sirewie. Czy Ty im podałeś?

Napisz mi w swoim czasie, kiedy wyjeżdżasz do Drezn. Powód: moja podróż do Pragi.

*profesor – prof. Friedl Pick, wybitny praski fizykatra.

***łatwo wyrokować z oddalenia* – Brod zwierzył się przyjacielowi ze swego romansu z St. (Steffi); wątek ten przewija się w następnym liście, oraz w ostatnim liście z 1917 roku, który F.K. napisał do Elsy Brod.

***z Förstera – Friedrich Wilhelm Förster, *Führer und Volk in der Jugendbewegung* (podtytuł: „książka dla nauczycieli, rodziców i duchowieństwa”).

Sirew, 18/19. XII.1917

Dawno już podziękowałbym Ci za *Esther**, ale nadeszła w najgorszych dla mnie wewnętrznie czarnych dniach – takie się zdarzają – jakie dotąd miałem w Sirewie; to niepokój, pulsujący niepokój, który dręczy uporczywie, dopóki nie odwróci się dzieło stworzenia. To o tyle coś innego niż Twoje cierpienie, że oprócz mnie nikogo innego nie wciąga, choć może znalazłaby się jedna, która stopniowo przestała je odczuwać.

Zatem Twoja sprawa postąpiła w kierunku, którego się już prawie nie spodziewałem. Nie potrafię wierzyć, że decyzja w prawo czy w lewo nastąpi dzięki kobietom. Bo jakkolwiek będzie, nie dostrzegam miłości ani tu, ani tam; negacja miota Tobą w górę i w dół, tam i z powrotem, może potrafisz się zdecydować na Ruth**, ale wobec **obydwu** kobiet nie postępujesz jak mógłbyś, albo jak mogłyby od Ciebie zażądać, lub jakby to była wyłącznie Twoja sprawa. Płacze nie kierują się we właściwe miejsce, tu płaczesz z powodu tej, tam z powodu tamtej z pewnością już nie tak stanowczo nie mając oparcia żadnej. Można by to interpretować, że w ogóle zostaniesz wydalony z tego kręgu. Oczywiście taka interpretacja zdradza mój charakter.

Zona czyni „nadludzkie wysiłki”? Pewnie. A może tylko „nadmęskie”, choć to oczywiście i tak ponad miarę.

Esther przeczytałem Ottli jednym tchem (jaka sprawność oddechowa, no nie?). W całości potwierdziło się moje wrażenie z Pragi, podziw dla większej części prologu, dla wszystkiego, co usłyszał Haman...

Nastąpiła dłuższa pauza, po której podarłem kartkę głównie z winy tej przerwy. Nasza służąca była dziś w Blšanach i teraz wieczór przyniosła pocztę, którą dostałbym dopiero jutro: nadeszły głównie Twoje dary, przesyłka druków, kartka, o której niewiele da się powiedzieć (Werfel zawsze tak wybucha, byleś dla mnie dobry i to się liczy), jeszcze pismo „Selbstwehr”, długi list od mego nadinspektora (z którym mam bardzo przyjazne stosunki, odwiedził mnie tutaj) i w końcu list od F., – i to jest powód tej przerwy – która zapowiada przyjazd na Boże Narodzenie, mimo że – uprzednio zdawało mi się – oboje uznaliśmy to za bezsens, wręcz za zło. Z niewartych wyliczania powodów przyjadę do Pragi w tę sobotę, a nie jak zamierzałem, dopiero po Bożym Narodzeniu.

.....

Powracam do *Esther*, o ile to się uda.

.....

Podziw dla drugiego aktu, który mnie głęboko porusza i zbiorowej sceny udziału Żydów; pozostały wszystkie niechęci, które znasz, ponieważ się w nich utwierdzam.

Poza tym wiedziałem, że przeczytam sztukę inaczej niż wtedy w Pradze, kiedy nawiedził mnie niepokój. Wynik tego jest – jak sądzę – taki, że wówczas

mniej ją rozumiałem, a jednocześnie wersja sztuki dotarła do mnie dobitniej. Uważam więc: rozumiałem ją już wcześniej, jak się pojmuje coś z Henkla***, jako dzieło sztuki, ale nie ogarniałem, bo tak dalece nie sięgało moje zrozumienie dramatu. Zasadnicza trudność polega na tym, że dana jest jakaś konieczna nieprawda, gdy troje rozgrywających [postacie – JG]: Haman, Król i Ester stanowią tróję sztuczną i artystyczną zarazem, pozwalającą na powstanie z rozwichrzonych części takich przesłanek, perspektyw i możliwych wniosków, które tylko po części, nawet po największej części będąc prawdziwe – lub trafniej – są bezwarunkowo konieczne dla dziejów duszy. Jako przykład, może błędny, bo nie całkiem go pojmuję: Haman i Esther pojawiają się nagle w tym samym czasie, tego samego wieczora i kryje się w tym, w całej sztuce coś nienaturalnie marionetkowego (rozpacz w ostatnim akcie, o której zapomniałem, wyliczając zastrzeżenia). Także to, że Haman jako widz zasiada przez siedem lat u stołu Króla, to bardzo piękne i zarazem nieludzkie. Ale czy naprawdę przychodzą razem tego wieczora? Król ma przecież już ważne okresy życia za sobą, grzeszył, cierpiał, okietłzał się, a jednak zagubił, a może ta płaszczyzna tkwi jeszcze głębiej, niż to się dzieje, może tylko patrząc z wyżyn jest taka sama, niemożliwa jednak bez Hamana; powtarzające się wizyty w grocie wskazują nieomal na to, że Król już w pierwszym akcie pojmuje i zna miejsce widowiska, jakby to była dawna, minioną gra, a kiedy w ostatnim akcie nieco niejasno żali się w pożegnalnej rozmowie, a mówi więcej niż pozwalają na to same zdarzenia w sztuce. To, o czym za mało powiedziano w przesłankach do takich scen, wybucha znów w drugim akcie, [gdy mowa – JG] o tysiącletnich dziejach. – Jak sądzę, z tego biorą się niekiedy wzmacniające działanie dzieła sztuki, manowce, którymi nie potrafię podążać, a jeśli przyglądam się im dokładniej, coś wzbrania się we mnie, by na nie wstąpić, ponieważ – choć to Twoja strata – wynika to z ofiary, którą składasz dramatowi. Uważam: – tak samo jak w powieści – Twoja strata to trójdzielność Twojej osobowości, o czym ostatnio napisałeś, a każda jej część użala się nad sobą i pociesza zarazem. Z tego – być może – wynika szkodliwe przeciwieństwo pomiędzy sztuką a człowieczeństwem. Tam żąda się pewnej artystycznej prawości, tu określony konkretnie byt, prawda już dawno rozstrzygnięta – prowadząca Ciebie i np. Króla do zderzenia się z przyszłością, albo to samo wiedzie Cię do Ester, która dźwiga na sobie brzemień świata będąc w życiu i w dramacie małą i nieświadomą – jaka musi być – lecz wraz rozwojem w sztuce otrzymuje inny sens, gdy krocząc koło Hamana, nieodmieniona, przez jego śmierć zmienia się w swej istocie.

Za późno i za wiele. Wkrótce się zobaczymy. O tych sprawach potrafię w rzeczywistości powiedzieć o wiele mniej niż napisać.

Franz

**Esther* – wspomniany już wcześniej dramat Broda – postać pielęgniarki Ruth z powieści *Das große Wagnis*, którą F. K. utożsamia z kochanką Broda, Steffi.

***Ruth* – jak wyżej.

***z *Henkla* – niezidentyfikowane – być może chodzi o Karla Henkla, literata, piszącego w sztucznym języku volapük, który stworzył prałat Johann Martin Schleyer.

Do Else Brod:

Sirew, 19.XII. 1917.

Droga Pani Elso, to impuls chwili, w następnej list nie zostałyby napisany, w trzeciej niewysłany. Dlatego jest może pomyłką i nie odpowiada znajomości ludzkich spraw, w czym Pani ma nade mną przewagę.

Jeśli, droga Pani Elso, zechcemy porozmawiać o Maksie, musielibyśmy – po pierwsze – znajdować się na tej samej płaszczyźnie, rozmawiajmy zatem jako przyjaciele Maksa, tylko jako przyjaciele, zostawiając wszystko inne na zewnątrz, czego nie odważę się dotknąć, nawet gdyby Pani wiedziona błędnym impulsem chwili chciała skierować tam moją dłoń. Jako przyjaciele nie jesteśmy ani jego lekarzami, ani nauczycielami, ani jego sędziami, tylko ludźmi obok niego, którzy go lubią. Jako takim nie wolno nam, jeśli chodzi o całość, wpływać na niego radami, podszeptami, aluzjami, tylko – co z tego dalej wynika – naszym istnieniem, miłością, dobrocią, powściągliwością, przyjaźnią. To Pani zrobiła, i sam często patrzyłem na to ze wzruszeniem, lecz oczywiście zrobiła Pani o wiele więcej, to znaczy właśnie o wiele mniej niż inni ludzie, bo to co powiedziałem powyżej, mówiłem myśląc jedynie o celu. Ja również, także w ostatnim czasie (sądzę, że raz również w Pani obecności) próbowałem udzielić rady może nie całkiem po Pani myśli, choć nie wbrew Jej woli, lecz mojej własnej, wymuszoną widokiem Maksa, na co musi Pani patrzeć nieporównanie częściej dzięki swej nieustannej obecności koło niego, cierpiąc z całych sił, aż do granic wytrzymałości; rozumiem to dobrze i bez zastrzeżeń. Pozostaje prawdą jeszcze tylko to, że wprawdzie może należy Maksa trochę powściągać, gdy widzi się, że może się potknąć o kamień znajdując się w niebezpieczeństwie pod warunkiem, że w ogóle byłby w stanie uczynić coś całkiem nieprawdopodobnego, nie należy jednak przeszkadzać mu ciosem, kiedy tam biegnie i lepiej uważać to za jego cierpienia. Chęć udzielania mu rad byłaby równa temu, gdybym chciał robić mu wymówki, że jako przyjaciel już od dawna nie odradzał mi dostania gruzlicy.

Z tym przekonaniem rozpoznałem błędy w Pani liście, których – powtarzam to – nie uważam za Pani pomyłki, dlatego nie mogę zachować Pani listu i odsyłam go. Oto te błędy: żali się Pani z miłości, mając prawdziwą okazję do jej okazania. Poszukuje Pani rzecznika, mając w Maksie niewątpliwie najlepszego, który nie da się zbić z tropu. Widzi Pani (albo przynajmniej kieruje Pani tam wzrok) być może odległą drobnostkę jako rzecz najważniejszą, popadając w zamęt, zamiast spokojnie być tym, czym Pani jest.

W zgodzie z tonem Pani listu mogłaby Pani teraz pomyśleć: „łatwo, bardzo łatwo wylizać pryncypia, kiedy ktoś inny jest potrzebny” i miałyby Pani rację; takie uczucie zawstydzia mnie, ilekroć o nim pomyślę. Czy jednak ze wstydu powinno się milczeć albo nawet kłamać? Szczególnie gdy zgadzamy się w trosce o Maksa.

Franz K.

Przełożył JAN GÜNTNER

MARIAN STĘPIEŃ

POWRÓT DO ŚWIATA DZIECIŃSTWA PSYCHICZNĄ I MORALNĄ TERAPIĄ

Było to po Październiku 1956, w czasie oczekiwania na otwarcie się szuflad z dziełami, które wcześniej nie mogły ujrzeć druku i na pojawienie się nowych dzieł, które teraz wyrażą hamowane dotychczas prawdy i spowodują ozdrowieńczy przełom w rozwoju literatury polskiej. Szuflady okazały się puste. Ale konkurs otwarty na powieść współczesną ogłoszony przez Wydawnictwo Łódzkie w 1958 roku nie zawiódł oczekiwań. Jury miało w czym wybierać. Nagrodzone prace okazały się utworami ważnymi dla rozwoju ich autorów, a także dla przemian we współczesnej literaturze. Nie nagrodzone utwory też znajdowały drogę do druku w różnych wydawnictwach.

Pierwsza i druga nagroda przypadły utworom, w których weryfikowanie prawdy o ludziach i świecie dokonywało się dzięki powrotowi do lat dzieciństwa bohatera, za którym krył się autor. Nie w szczegółach, ale w istotnych cechach postawy, wrażliwości, ważnych doświadczeń można w sposób uzasadniony dopatrywać się elementów autobiograficznych. Nie tylko w tych dwóch powieściach, ale i w pozostałych, które tu zostaną przywołane. Upoważniają do tego towarzyszące im autokomentarze.

Znamienne, że takie właśnie utwory zostały nadesłane na konkurs. Równie znamienne, że przez jury one zostały wyłonione do najwyższych nagród spośród wielu tekstów do konkursu zgłoszonych.

Te dwa utwory – to *Życie duże i małe* Wilhelma Macha oraz *Ucieczka* Leona Gomolickiego. Obydwa pretendowały do pierwszej nagrody. W niejednomysłnym głosowaniu przyznano ją powieści Wilhelma Macha.

Jej akcja rozgrywa się w podgórskim pejzażu, w społeczności, gdzie obok siebie w zgodnym współdziałaniu mieszkają i żyją Polacy – katolicy i Łemkowie – „cerkiewni”, których wkrótce czekało przesiedlenie z rodzinnych stron do północnych i zachodnich części Polski. Głównym bohaterem jest chłopiec przyglądający się wydarzeniom (niekiedy w nich uczestniczy) i ludzkim postępowaniom, których intencji od razu nie pojmuje, z ufnością i bez uprzedzeń.

Nie jest to wszakże opowieść o dzieciństwie. Fałta rozwijająca się w jego czasie sprzyja autorowi

w wypowiedzeniu siebie po różnych doświadczeniach połowy lat pięćdziesiątych XX wieku. Wilhelm Mach tak komentował *Życie duże i małe*: „Myślę, że piszący wychodzi nie z takiej czy innej podniety fabularnej, lecz z aktualnie dręczących go spraw, z problemów myślowych, z konieczności wyrażenia siebie samego [...]. Nie jest to opowieść o moim dzieciństwie. Ważne było dla mnie sprawdzanie świata czy też swojego o nim wyobrażenia”.¹

Właśnie: „sprawdzanie świata”. Przyglądanie mu się na nowo. Po odrzuceniu wszelkich uprzedzeń, przyjętych uprzednio stereotypów, szablonów. Sprawdzanie świata i swojej w nim biografii. To jest istotny sens powieściowego powrotu do świata dzieciństwa. W poszukiwaniu oczyszczenia, odzyskania niewinności.

„Powieść jest właściwie pytaniem, t y m pytaniem rozciągniętym na wszystkie stronicie. [...] Co z przeszłości zostanie, gdy się do niej zabrać z tak okrutnym »przyrzędem«, jak rzeczowa ocena faktów? Nie jest to bynajmniej pytanie o sens życia w ogóle, pytanie metafizyczne. Ono apeluje skromnie o rozsądzenie konkretnych, jednostkowych biografii”.²

Zwrot ku dzieciństwu podyktowany jest poszukiwaniem źródeł i początków późniejszych cierpień i niepokojów moralnych. Kiedy i gdzie one się zaczęły, zrodziły? Ważne są najpierwsze spostrzeżenia ludzkich i własnych zachowań. Ich przywołanie, i potrzeba ich przywoływania nie istniałaby, gdyby nie aktualne doświadczenia i obserwacje dokonywane przez pisarza. Gdy jeden z bohaterów o kimś mówi: „Popem był, popem jest, popem będzie. Nie każdy zmienia skórę”³, widzi się związek wspomnień z lat dziecięcych z doświadczeniami i obserwacjami ludzkich zachowań z okresu popaździernikowego, w którym powieść powstała.

W oczyszczającym powrocie do świata z lat dziecięcych odnajduje się pierwsze kłamstwo, które miało „lec kamieniem” na świadomości bohatera. Przypomina

¹ Wilhelm Mach, *Szkice literackie*, Warszawa 1971, t. II, s. 375-376.

² Tamże, s. 376.

³ Wilhelm Mach, *Życie duże i małe*, Warszawa 1974, s. 17.

się, jak przebiegało odkrywanie siebie i innych ludzi, co dawało początek utraty bezpiecznej ufności. Pierwsze zdziwienie sobą, uświadomienie sobie własnej odmienności od innych ludzi, dochodzenie do zdolności samooceny, autoobserwacji. „Że ja sam mogę pomyśleć nie tylko »ja, Stefek«, ale także »on«”.⁴

W refleksjach narratora, który raz jest małym Stefkem, a innym razem dojrzałym człowiekiem, można odczytać wyznanie autora, który dokonuje analizy i przewartościowania własnej biografii i twórczości w konfrontacji z tymi wstrząsającymi rewelacjami, jakie przyniósł rok 1956, chociaż wprost nie mówi się o nich ani słowa:

„Ja chcę tylko utrwalić, wydobyć spod roztargnienia lat tę chwilę zdumionego niepokoju, to miejsce pożegnania z dzieciną jednością mojego świata i całego świata, z cudowną naturalną tożsamością swojej osoby i wszystkiego dokoła”.⁵

Pierwsza chwila „zdumionego niepokoju” była początkiem niedowierzania ludziom, świadomości zdrady świata; końcem bezpiecznej ufności pokładanej w ludziach z bliższego i dalszego otoczenia.

Powrót do dzieciństwa motywowany jest pragnieniem uratowania czegoś bardzo ważnego: niewinności, prawdy związanej z dzieciństwem; uratowania na przekór światu dorosłych, którzy te wartości porzucili, odeszli od nich i nie mają nawet świadomości, co utracili. Pisarz, mimo trudnych doświadczeń łączących się z prawdami ujawnianymi w połowie lat pięćdziesiątych, stara się zachować wiarę w ludzi, obronić się przed ich potępieniem. Pomaga mu w tym powrót do świata dzieciństwa.

„Ważna jest moja skryta, samotna tęsknota do takiej wiedzy, która usprawiedliwi i uzasadni moją ufność dla życia, moją dobrą wiarę. Opromienić małość ludzkich niedoli, przestonąć łagodnym cieniem milczenia i tajemnicy odrażająca pospolitość ludzkich namiętności i występków, pomyśleć: »Nie wiem«, gdy wiem zbyt okrutnie – tego chce moja wiara”.⁶

Zwrot ku dzieciństwu w okresie głębokiego kryzysu moralnego przeżywanego przez wielu pisarzy w klimacie lat popaździernikowych nie tylko pozwalał wychodzić z niego, odzyskiwać własną tożsamość, ale również sprzyjał powstawaniu dzieł literackich przewyższających poprzednio opublikowane utwory. *Życie duże i małe* zostało przez krytykę uznane za najdoskonalszą powieść w dorobku Wilhelma Macha.⁷

Wyróżniona drugą nagrodą *Ucieczka* Leona Gomolickiego jest powrotem do świata uczuć i myśli („uczuciomyśli”) dzieciństwa i wczesnej młodości. Jest to świat i czas, w którym rodzi się własna osobowość bohatera. Kształtują ją przeżycia chłopca mieszkającego w małym kresowym miasteczku nad Horyniem, na pograniczu polsko-rosyjskim, w pierwszych latach Drugiej Rzeczypospolitej. Pojawiają się pierwsze pytania o sens i kierunek przyszłej drogi życiowej.

Ucieczka powstała z potrzeby skonfrontowania własnego dzieciństwa i młodości, właściwych jej tęsk-

not, oczekiwań, prób wyjścia ku pełniejszemu życiu – z późniejszymi doświadczeniami. Ta konfrontacja, dokonywana w klimacie popaździernikowych rozrachunków moralnych, pozwala wypowiadać prawdy dawniej tłumione, odrzucić zahamowania ograniczające twórczość dotychczasową. Przynosi oczyszczenie moralne i estetyczne. Korzystnie wpływa na artystyczne walory utworu.

Powieść spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem przez krytykę. Zgodnie została uznana za świetne osiągnięcie pisarskie, za świadectwo odrodzenia artystycznego w rozwoju twórczości tego pisarza.⁸ Dostrzeżono w niej „wybuch talentu autora, którego wcześniejsza działalność niczym szczególnym nie zwracała uwagi”. Stwierdzano, że Leon Gomolicki „odnalazł się w *Ucieczce* jako pisarz z prawdziwego zdarzenia”.⁹

Bohater *Białego ptaka* Kornela Filipowicza jest dorastającym chłopcem wrażliwym w odczuwania świata. Jego dziecięca wyobraźnia zostaje skonfrontowana z realną, często brutalną rzeczywistością. Powieściowy powrót w okolice dzieciństwa i młodości, który oparty jest o własne przeżycia pisarza jest wyrazem niezgody na współczesny świat, na jego teraz. „Zapragnąłem bardzo silnie wrócić do siebie samego, być znów tym, za kogo się mam, czyli tym, kim jestem naprawdę”.^{9a}

Zły czas po październiku 1956 roku przeżywał Tadeusz Konwicki. Znajdował się w „zupełnym impasie”. Od paru lat nie mógł nic napisać. By wyjść z twórczego kryzysu zaczął *Dziurę w niebie*. „Najlepiej się czuję – mówił – gdy zaprowadzę bohaterów swojej twórczości w miejsce mojego dzieciństwa, które różnymi sposobami adaptuję do sytuacji współczesnej”.¹⁰

A ta sytuacja – to rewelacje polityczne ujawniane w 1956 roku, w których światło dotychczasowa twórczość pisarza została pozbawiona wartości. Co więcej: z całą wyrazistością ujawnił się ilustracyjny charakter *Władzy*, w której Konwicki fabularyzował aktualne wówczas tezy polityczne, uchwały KC PZPR, które w chwilę po ukazaniu się powieści przez samą partię zostały odrzucone jako fałszywe. „Dla mnie – mówił – ten kataklizm nie był łatwym saltem w ciągu paru godzin do tyłu”.¹¹

Długo nie mógł się rozstać ze światem, któremu poświęcał dotychczasowe utwory i osobiste zaangażowanie. Przeżywał wielką katastrofę. Nie umiał się pogodzić z tym, co go – jako twórcę literatury – spotkało. Dlatego nie uczestniczył w ruchu popaździernikowej odnowy, a nawet – jak się przyznawał – prowadził dziennik, który był protestem przeciwko Październikowi. Później go spalił. Buntował się przeciw zbiorowym nastrojom, gdy wszyscy wokół niego z dużą łatwością, z dnia na dzień, w sposób skrajny się odmieniali. Mówiąc o okolicznościach, w jakich dojrzał pomysł napisania *Dziury w niebie*, wspominał:

⁸ Por. Jerzy Rzymowski, *Erynie historii i człowieka. O pisarstwie Leona Gomolickiego*. Łódź 1973.

⁹ Henryk Bereza, *Taki układ*. Warszawa 1981, s. 100.

^{9a} Kornel Filipowicz, *Biały ptak*. Kraków 1960, s. 78. Korzystam tu ze spostrzeżeń Wojciecha Lipowskiego w jego jeszcze nie opublikowanej pracy doktorskiej pt. *Niezwykła codzienność. Sztuka widzenia i pisanie Kornela Filipowicza*.

¹⁰ Stanisław Nowicki, [Stanisław Bereza], *Pół wieku czyśćca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim*. Warszawa 1990, s. 34.

¹¹ Tamże, s. 110

⁴ Tamże.

⁵ Tamże.

⁶ Tamże, s. 152-153.

⁷ Zob. np. Ryszard Matuszewski, *Z bliska. Szkice literackie*, Kraków 1981, s. 513.

„Kiedyś Ważyk tak do mnie powiedział: »To Pan, jako stalinowiec, tego nie wiedział?! Panie Tadziu, czy Pan zwariował?!« Tak mówił do mnie wódz stalinowców, który w sztuce tamał ludziom kości. Wobec tego poczułem się w obowiązku, aby to wszystko wziąć na siebie [...]. Aż napisałem książkę, będącą próbą obrony stalinowca. Dopiero potem zacząłem się z tego wyzwalać”.¹²

To prowokujące wręcz wyznanie dotyczyło, co może w pierwszej chwili wprawić w zdumienie, powieści *Dziura w niebie*. Ale w nim właśnie zawiera się klucz do zrozumienia powieści, od której Konwicki liczy „swoje ozdrowienie”. Od niej zaczynał się okres, w którym zaczął pisać tak, jak chciał, jak uważał sam za stosowne, nie obarczony – jak dotychczas – „żadnymi serwitutami, wymyślonymi zadaniami i obowiązkami”.¹³

Rok 1956 był dla niego wielkim wstrząsem nie tyle ze względu na wydarzenia polityczne, ile z powodu nieoczekiwanych i niebywałych odmian w ludzkich postawach. Dotychczasowi teoretycy socrealizmu stawali się jego gwałtownymi przeciwnikami. „W 1956 roku uległem osłupieniu i konsternacji, że tak szybko zmieniało się myślenie w moim otoczeniu”.¹⁴ Stąd właśnie brała się jego przekora, prowokacyjne wzięcie w obronę „stalinowców”; bardzo szczególnie pojmowanych, dlatego to słowo trzeba ująć w cudzysłów. Sięgnięcie do świata dziecięcego uzasadniał „swoją przekorą i wściekłością na literackie kaptaństwo”.¹⁵

Tym „stalinowcem”, którego w powieści *Dziura w niebie* brat Konwicki w obronę był główny bohater powieści, kilkunastoletni Polek Krywka, wierny do końca swoim czystym marzeniom, osamotniony, w końcu pobity dotkliwie przez kolegów. Na wzięciu go w obronę polegał sarkastycznie, autoironicznie przypisywany sobie przez Konwickiego „stalinizm”:

„Przecież ja w tej książce bluzgam przeciwko obaleniu fikcji, w której żyli bohaterowie. Wszyscy się dziwią Polkowi: »Ty wierzyłeś w to wszystko? Czyś ty frajer?« Przecież to jest bezczelna rozpacz wyrolowanego stalinisty!”¹⁶

Sytuacja Polka w obliczu szydzących z niego kolegów odpowiada sytuacji Konwickiego w przywołanej wyżej rozmowie z Ważykiem.

Autor *Dziury w niebie* nie mógł, nie umiał przystać do ironistów, szyderców, prześmiewców, którzy go otaczali. On pochylał się nad rozpaczą Polka, nad tragedią chłopca. „Mam w sobie – mówił – zbyt intensywne poczucie tragiczności, by pozwalać sobie na bezmyślny, głupkowaty chichot. Wyniosłem to jeszcze z Wilna. Ostatecznie jestem człowiekiem Wschodu”.¹⁷

W *Dziurze w niebie* i w komentarzu do niej Konwicki najbardziej uchyla pancerza, za który chętnie gdzie indziej się kryje. Ta powieść „jest jedyną książką Kon-

wickiego, w której nie narzuca on sobie przysłowiowego opanowania »Wilniuków«. Jest to książka niemal historycznie szczerą i niemal patetyczną. W dzieciństwie Polka Krywki z wileńskiego przedmieścia zmieściły się wszystkie późniejsze dramaty autora *Rojstów i Władzy*. Jest to powieść znakomita, choć wcale nie doskonała. Konwicki nie troszczy się w niej o jakąkolwiek układność literacką”.¹⁸

W *Dziurze w niebie* są motywy autobiograficzne, do czego autor się przyznaje. Ogranicza je wszakże do spraw najważniejszych: zadziornego charakteru Polka, nastroju dzieciństwa z jego różnymi lękami; obawy przed nieuniknionym wejściem w świat ludzi dorosłych, niespokojnych myśli dotyczących przyszłości i znalezienia pracy.

Bohaterowie *Dziury w niebie* oczekują czegoś wielkiego, ważnej zmiany, nadejścia Nieznajomego, jakiejś rewolucji. „Przyjdą tu jacyś ludzie jak z bajki i zrobią raj [...]. Do nas przyjadą ludzie, którzy wszystko zmienią. Każdy dostanie to, co będzie chciał.”¹⁹ Polek Krywko wypowiada marzenie o sobie: „Zobaczysz, że ja będę sławny [...] Zrobię ludziom wszystko, co tylko zechcę, dam każdemu, co tylko sobie zamyśli”.²⁰ Pragnie uczynić coś pięknego, wielkiego, czego nie umie nazwać, ale to czuje. Scena w papierni, gdzie wałą się na niego książki i papiery ukazuje rozpacz wywołaną rozpadaniem się świata jego marzeń, iluzji, które brał za prawdę: „Darł z nienawiścią wielkie księgi, rozrywał na strzępy płachty gazet, kopął zapamiętałe pagóry luźnych stron dymiących kurzem”.²¹

I szeptał do siebie:

„– Ja wiedziałem, że tu nic nie ma. Ja wiedziałem.

[...]

Teraz wszystko rozumiem.

[...]

Jaka szkoda, że wszystko rozumiem. Jaka szkoda”.²²

Do literackiej kreacji Polka Krywki, jego dziecięcych wielkich dramatów prowadziło doświadczenie pisarza z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, o których mówił:

„Nie chciałem szukać żadnych usprawiedliwień. Nie byłem głuptasem, który nic nie widział. Nie mogłem udawać naiwniaka, bo wybierałem świadomie ze wszystkimi bólami, które są zapisane w książkach. Bo co miałem powiedzieć: »Przepraszam bardzo, pomyliłem się i już jestem świeżutki, inny?« Musiałem to wszystko zrzucić i pożegnać się ze wszystkim, co wybrałem. Powiedziałem sobie, że już tylko sobie będę ufał”.²³

Szukanie sensu własnej biografii, sięgające aż do lat dzieciństwa było spowodowane też doświadczeniami pokolenia wojennego, które miało świadomość niezwykłości swego losu i było świadkiem upadku wynoszonych na piedestały ideałów.²⁴

*Dziura w niebie*to paraboliczne przyznanie się do hołdowania socrealistycznym złudzeniom. Nie zapie-

¹² Tamże, s. 111. O *Poemacie dla dorosłych* Adama Ważyka, który był dla wielu (i często jest nadal) przełomowym wydarzeniem, Konwicki mówił: „On był może wydarzeniem dla innych. Dla mnie nie był, ponieważ wyszedł spod pióra kodyfikatora socrealizmu, człowieka, którego myśły się lękał i który określał, co jest i nie jest partyjne” (Tamże, s. 110).

¹³ Tamże, s. 174.

¹⁴ Tadeusz Konwicki, *Pamiętam, że było gorąco*. Rozmowy przeprowadziła Katarzyna Bielas i Jacek Szczerba. Kraków, s. 21.

¹⁵ Stanisław Nowicki, *Pół wieku...* jw., s. 187.

¹⁶ Tamże, s. 112.

¹⁷ Tamże, s. 269.

¹⁸ Henryk Bereza, *Taki układ...* jw., s. 191

¹⁹ Tadeusz Konwicki, *Dziura w niebie*. Warszawa 1960, s. 80.

²⁰ Tamże, s. 186.

²¹ Tamże, s. 344.

²² Tamże, s. 360.

²³ Stanisław Nowicki, *Pół wieku...* jw., s. 111

²⁴ Por. rozmowę z Tadeuszem Konwickim w: Zbigniew Taranienko, *Rozmowa z pisarzami*. Warszawa 1986.

ranie się ich. Ale odchodzenie od nich, dramatyczne rozstawanie się z nimi wobec nieugiętych prawd i faktów realnego życia. Przyznawanie się do hołdowania iluzjom, ale też wzięcie w obronę postawy im ulegającej, podyktowanej autentycznymi marzeniami i szlachetnymi intencjami. Rozstawanie się z nimi, ale nie wyszydzanie, nie pogarda, nie udawanie, że nie miało się z nimi nic wspólnego. Przez pryzmat dziecięcego świata Polka Krywki i jego rówieśników wyraził autor trudne doświadczenia i dramaty własne, do których się przyznawał. Odmienne niż inni z literackiego środowiska, którzy „zakrywają się pięknymi lisimi ogonami nie sposób ich uszczyplić, bo są piękni i podniosli. Kazio Brandys uderza w takie dąsy, że jego ruszyć nie wypada i czepiać się go jest wręcz nietaktem”.²⁵

Ślady takiej pozy Kazimierza Brandysa znajdujemy w powieści *Rynek*. Autor odchodzi w niej od dotychczasowego stylu pisania. Utwór jest rejestrowaniem codziennych obserwacji – ważnych i błahych, uporządkowanych według swobodnego ruchu myśli autora. Jest zamyśleniem nad zwyczajnymi zdarzeniami, opisem fragmentów oglądanego świata postrzeganego przez obserwatora uważnego, nieuprzedzonego, wolnego od podporządkowania schematom myślowym, stereotypom, do których często były redukowane zjawiska prezentowane w poprzednich utworach autora.

W swobodnej narracji, nie podporządkowanej konstrukcji, która wymaga dyscypliny, spotykają się aktualne obserwacje ze wspomnieniami rodzinnymi. Wyobrażany scenariusz filmowy o współczesnej tematyce obyczajowej łączy się z wrażeniami z obficie cytowanych lektur książek naukowych. Nad wszystkim jednak unosi się trudny багаż niewypowiedzianych spraw związanych z dotychczasową twórczością i biografią pisarza, wobec których wszystko inne wydaje się unikiem, na który – zdaje się, że wbrew nadziejom autora – czytelnik nie daje się nabrać

Otóż bohater powieści – narrator – autor nie może uwolnić się od tego wizerunku własnej osoby, jaki ma jego otoczenie, a także ludzie znający go tylko z twórczości literackiej lub z widzenia. Nie może wyzwolić się od sądów i opinii wiązanych z nim przez czytelników jego książek. I – jak to uchwycił Konwicky – jest bardzo poirytowany tym, że wyobrażenia o nim innych ludzi tak daleko odbiegają od jego własnego postrzegania siebie. Szczególnie mocno poruszyło go odezwanie się spotkanego człowieka, który znał go tylko z widzenia. Ten ośmielił się powiedzieć: „Ja też kiedyś byłem człowiekiem, panie B”.²⁶

Szczególnie duże wzburzenie wywołało zachowanie się młodego działacza kulturalnego, który zaprosił go na spotkanie autorskie zapewniając, że czytelnicy na niego czekają, a potem, podczas dyskusji, do której rwał się niecierpliwie, zadał mu nietaktowne pytania. Wspominał książki autora dawniej wydane. Zatrzymał się na dwóch z nich opublikowanych w odstępie trzech lat. Zwrócony bardziej do publiczności niż do zaproszonego przez siebie pisarza informował, że ta sama rzeczywistość jest w nich przedstawiona w skrajnie

odmiennym świetle i podlega bardzo różnym ocenom. Skierował do autora zapytanie, jak to jest możliwe, by w ciągu trzech lat dokonana się tak gruntowna przemiana poglądów i czy z tego powodu nie należy się czytelnikom jakieś wyjaśnienie. „Mówił bez uśmiechu, nieco stłumionym głosem, świadczącym o wewnętrznym napięciu, dbając przy tym o dopuszczalność sformułowań. Treść zarzutu była jednak gwałtowna”.²⁷

Narrator – pisarz – autor poczuł się celnie trafiony. I poirytowany. „Odczepcie się [...] nie śledźcie mnie wstecz [...] Nie, nie tak powinniście ze mną postępować”. Mówił nudno i źle – jak sam to oceniał. Nie umiał odpowiedzieć wprost na postawione pytania. Usprawiedliwił się faszyzmem, wojną. Sam czuł, że to niktogo nie przekonuje.

„Chciałem wstać i powiedzieć: drodzy państwo, sprawy między ludźmi są stosunkowo proste w porównaniu do spraw człowieka z historią! Ja...”²⁸ Tego już nie powiedział. Było za późno. Spotkanie się skończyło. Publiczność zaczęła zbierać się do wyjścia.

Jego uwaga zatrzymywała się na postępowaniu człowieka, któremu uległ i dał się zaprosić, uwiedziony zapewnieniem: „Nasi czytelnicy czekają na Pana”. Wyobrażał sobie, rekonstruował w myśli motywy jego działania: obmyślanie przebiegu spotkania, przygotowywanie się do wystąpienia w dyskusji i postawieniu zaproszonemu pisarzowi „śmiertelnego” pytania. W jego refleksjach nie było miejsca na krytyczną analizę własnej przeszłości. (Brandys rozumuje tu zupełnie podobnie jak w *Miesiącach*, gdzie wyraża oburzenie na docieklivość młodego polonisty, który pisząc o nim pracę magisterską chciałby się dowiedzieć tego samego, o co pytał ów działacz kultury w *Rynku*.) Dla Brandysa było to jeszcze jedno doświadczenie, że jest – był w tym utwierdzony – jakże fałszywie i niesprawiedliwie postrzegany. Nie umiał „strząsnąć” z siebie cudzych o nim wyobrażeń. Towarzyszyły mu one wszędzie. Nie było przed nimi ucieczki.

„Świadkowie. Nie to, że są wrogami czyhającymi na sposobność. Prawdziwych wrogów ma się znacznie mniej. Nie, oni zeznają bezinteresownie. Wystarczy znaleźć się w gorszej sytuacji, odtąd będą natychmiast przeciwni nam. Jakbyśmy nagle im zbrzydli”.²⁹

Schronienie przed nimi, ratunek przed opiniami ludzkimi działającymi niszcząco znajduje pisarz w powrocie do czasów i świata dzieciństwa. Bo on ma „fundamentalną powagę, jest prawdziwym bytem, istnieniem najbardziej serio”.³⁰

„My chłopcy, naszym prawdziwym, najczystszy marzeniem, naszym indiańskim, harcerskim marzeniem jest spotkanie z lepszym i wspanialszym chłopcem [...]. Chłopiec oparty o pień sosny, mój ideogram, moja pierwsza tęsknota za lepszym sobą”.³¹

Końcowe fragmenty powieści *Rynek* wskazujące kierunek wyzwolenia zapowiadają *Mala księgę*, w której Brandys w pełni powraca do swego dzieciństwa, do chwil, w których robił, co chciał, wygadywał, co mu

²⁵ Stanisław Nowicki, *Pół wieku...jw.*, s. 100.

²⁶ Kazimierz Brandys, *Rynek. Wspomnienia z teraźniejszości*. Warszawa, s. 6

²⁷ Tamże, s. 46.

²⁸ Tamże, s. 54.

²⁹ Tamże.

³⁰ Tamże, s. 180.

³¹ Tamże, s. 218 i 221

przyszło do głowy. „Dzisiaj by się rzekło, że byłem sobą”.³²

Mała księga traktuje o wyzwaniu się z przymusu i nudy, poznawaniu związków łączących jednostkę ze zbiorowością i właściwych proporcji w relacji „ja – oni”. Przedstawia rozwój dziecka w zgodzie z zasadami, które wpływają na jego postępowanie. Należy do nich odwaga, rozumienie świata i ludzi, sprawiedliwość. Upokorzenie doznane w zetknięciu się z pogardą wyzwala również poczucie własnej wartości. Pozwala przeniknąć drugiego człowieka i zarazem wniknąć w siebie. „Ów moment błyskawicznego równania, tę wstydliwie treściwą chwilę równoczesnej utraty i zysku zapamiętałem jako bardzo ważną”.³³ Oздrowieńczo działa wspomnienie lat szkolnych, nie idealizowanych, kiedy było się „dość tolerancyjnym”, „umiarkowanie brutalnym”, „bez ostentacji sprawiedliwym”, z „brakiem sympatii dla patosu” i „drwiąco patetycznie trzeźwym w połączeniu z niechęcią zarówno do bezwstydu karierowiczostwa, jak i do obfudy przesądów religijnych”.³⁴

Przez *Rynek*, potem *Małą księgę* dochodził Kazimierz Brandys do nowej, odmiennej od dotychczasowej, swobodnej twórczości literackiej, wolnej od redukcji empirycznego człowieka do intelektualnych założeń.³⁵

Mieczysław Jastrun także sięgnął do początków swojej biografii cofając się do czasów dzieciństwa. Pod datą 16 września 1959 roku zanotował: „Pracowałem tak zawzięcie, że jestem wyczerpany. Musiałem przerwać pisanie »autobiografii«. Dwa dni później próbuje ściślej określić przynależność gatunkową tego, co powstaje pod jego piórem: »Praca nad »autobiografią«. Daję cudzysłów, bo to raczej powieść na wpół esaiistyczna o początku mojego świata”.

Czasem przerywa jej pisanie. Powraca do wierszy. Niektóre myśli i motywy wprowadzi i do swej „autobiografii” i do utworów poetyckich. To, co pisze, nazywa też „dziwaczną powieścią”. Jakimś echem przykrych doznań, odbieranych w środowisku literackim w tych latach są dawane sobie zapewnienia, że pozostaje przy swoim zamiśle wbrew tym, którzy chcą go przekonać, że powinien już milczeć. „Sztuka zabijania pisarzy jest u nas od dawna doskonała, doskonalsza od sztuki pisania”. Dochodzące go opinie, które kryją się za tymi zapiskami prowadzą jednak do chwil wątplenia w celowość opublikowania powstającego utworu: „Zbyt wiele jest w tej opowieści materiału autobiograficznego, nie dość przetworzonego [...] Czy to ma być powieść, czy pamiętnik – przyczyną niepowodzenia”.

Dzieło zamierza zatytułować *Rozbite lustro*. I dodaje: „Nie wydam *Rozbitego lustra*. Zbyt jest osobiste, prywatne. Nie można się tak obnażyć”.

W końcu oddał rzecz do druku. Nadał jej tytuł *Piękna choroba*. I zanotował: „Jest pewna śmiałość w tym, że pozwalałem to drukować. Jakaś część mojej tajemnicy. Może powinienem był zataić do końca”. Gdy utwór ukazał się w Państwowym Instytucie Wydawniczym (pierwotnie skierował go do Iskier) w 1961 roku, dodawał: „Zdaje się, że w żadnej z dotychczasowych

moich próz nie wypowiedziałem się tak prawdziwie [...]. Myślę, że jednak ta proza jest autentyczna i że powiedziałem w niej wiele z tego, co powinienem wypowiedzieć”.³⁶

W *Pięknej chorobie* jest choroba rzeczywista i metaforyczna. Ze wspomnieniem dzieciństwa wiąże się pamięć ciężkiego zapalenia płucnej. Z wysoką temperaturą, maligną, majaczeniem, dojmującym bólem w boku. Ale też wtedy zaczął się „wspaniały czas”, niezapomniany czas choroby, który się łączył z absolutnym bezpieczeństwem przed szkołą. Metaforyczne znaczenie choroby, owej „pięknej choroby” odnosiło się do „przypadłości”, na którą nie ma leku: uczucia zagubienia, lęku przestrzeni, a przede wszystkim wielkiej wrażliwości na piękno.

„Piękno zrodzone z błahej przyczyny spadało na mnie jak gwałtowna muzyka i zabierało mnie całego. Wstydiłem się o tym mówić, a nawet myśleć, ale w końcu wszystkie moje wędrówki po mieście i zabawy zmierzały do tego jednego celu: ujrzeć nagle i ulec zachwytowi, właściwie przemocy czegoś, co przerastało mnie i z czym nie można i nie należy walczyć”.³⁷

Z „pięknej choroby” brało się poczucie odrębności, wyjątkowości własnego ciała i umysłu; i świadomość jej kruchości. A także tego, że nie można wyjść ze swego czasu, wieku, pory życia. Czas pisania *Pięknej choroby* był dla Jastruna (i nie tylko dla niego) okresem odnajdywania siebie, powracania do miejsc i czasu, z którego się wyszło. Było to wchodzenie w związki z otoczeniem. Silniejsze niż to można było przypuszczać. Dawało ono poczucie bezpieczeństwa, ale też przynosiło zobowiązania, które mogły rodzic hurt.

Nie chce być jednym z kroczących Niezłomnych

W kompanii posłuszeństwa, z opaską na oczach.³⁸

W poszukiwaniu swych początków i własnej tożsamości Jastrun zatrzymuje się na sprzeczności między lękiem przed zerwaniem nici z „potężną rzeczywistością” bo takie zerwanie równa się nieszczęściu i katastrofie – a pokusą powrotu do stanu naprawdę wolnego, do wcieleń z najmłodszych lat, z myślą, że „trzeba było żyć inaczej”.³⁹

Szansę na zrealizowanie własnego życia, zachowania i – jeśli zachodzi taka sytuacja – odzyskania własnej odrębności, „tej wątej nitki przebiegającej przez naszą biografię, ten wykres temperatury mierzącej natężenie pięknej choroby”⁴⁰ – tę szansę widzi Jastrun w powrocie do dzieciństwa, młodości, by doprowadzić do skorygowania biografii własnej na tyle, na ile ona takich korektur wymaga.

Piękną chorobę należy czytać razem z wierszami poety z tego czasu. Wówczas wyraźniej dostrzeżę się dramat kryjący się za refleksjami zawartymi w książce. Dramat leżący u jej genezy, który skłonił poetę do napisania swojej „autobiografii” tak szczerzej, że wahał się, by ją opublikować. A równocześnie w wielu ważnych warstwach niedopowiedzianej.

³² Kazimierz Brandys, *Mała księga*. Warszawa 1970, s. 10.

³³ Tamże, s. 56-57.

³⁴ Tamże, s. 125.

³⁵ Por. Henryk Berezka, *Taki uklad... jw.*, s. 191.

³⁶ Słowa ujęte w cudzysłów pochodzą z: Mieczysław Jastrun, *Dziennik 1955-1981*. Kraków 2002, kolejno strony: 212, 242, 243, 253, 271.

³⁷ Mieczysław Jastrun, *Piękna choroba*. Warszawa 1961, s. 29.

³⁸ Mieczysław Jastrun, *Gorący popiół*. Warszawa 1956, s. 12.

³⁹ *Piękna choroba...jw.*, s.212.

⁴⁰ Tamże, s. 216.

Incydent

Tak, to tylko incydent, m-j drogi,
Ale za ten incydent płaci się krwią.
Z ust wyjęto mi święty ogień.
Straszę dzieci opaloną brwią.
I przed sądem własnego sumienia,
Cieniu mój, przed trybunałem twym
Stoję wśród obrażonego milczenia
Jak lord Jim.⁴¹

W *Pięknej chorobie* i w wierszach ze zbioru *Gorący popiół* pisany w tym samym popaździernikowym czasie pojawiają się podobne motywy. Wzajemnie się objaśniają, potwierdzają, dopełniają. Wyraźniej wskazują kierunek przemyśleń i odchodzenia od niedawnej przeszłości.

Brzuchomówca

Pycha go dławi. Z siwą przyprawioną głową
Stał się żandarmem prawdy, której sam nie zbażał.
On tylko innym mędrcom uwierzył na słowo,
Ich głową innych gnębił, a sam z brzucha gadał.⁴²

W *Pięknej chorobie* pojawia się motyw brzuchomówcy w funkcji samoobwinienia:

„Czyż każdy z nas nie jest brzuchomówcą, gdy nagle zagada głosem nie swoim, gdy przypomina coś, czego nigdzie i nigdy nie mógł usłyszeć, gdy słyszy wypowiedziane słowa, nie wiadomo od kogo pochodzące?”⁴³

W nie zatytułowanym wierszu pisał o sobie:

Może odejdę niedomówiony do końca.
Lecz kto do końca dopowiedział swoje życie?
Kto prawdę swoją wyjawiał do końca?
Powiedziałbym – lecz mi nie uwierzycie.⁴⁴

Refleksja ta pojawi się również w „autobiograficznej” powieści – eseju, w *Pięknej chorobie*. Mimo dużej szczerości zawieszona jest nad nią wielkie niedomówienie. Ono nie jest ciszą. Wypełniają ją mniej czy bardziej uprawnione domysły dotyczące złożonej biografii polskiego twórcy w połowie XX wieku. Może właśnie to „niedomówienie” było u genezy *Pięknej choroby*. Może właśnie to, co się za nim kryje było najważniejsze? I wywołało rodzaj spowiedzi, która jednak nie została dopowiedziana do końca.

„Pozostawiam w cieniu i niedopowiedzeniu lata, które wcale nie były najgorsze, lecz z pewnych względów pozostać muszą nierozświetlone i nie wyjdą ze swego milczenia. Idę postusznie za instynktem, który broni się przed ujawnieniem tego, co nie chce być ujawnione”.⁴⁵

Na zupełnie innym biegunie, bo na emigracji, podobny kryzys w zbliżonym czasie i w podobnych okolicznościach ideowo-moralnych przeżywał Czesław Miłosz. To jeszcze jeden przejaw istnienia wielostronnych, bardzo złożonych, ale rzeczywistych i trwałych więzi łączących literaturę polską rozwijającą się w kraju z życiem literackim i najważniejszymi zjawiskami kultury i literatury emigracyjnej. Mimo wszystkich przeszkód dzielących je od siebie. Mimo „żelaznej kurtyny”.

Spośród tu przywoływanych zwierzeń, wyznanie towarzyszące powstaniu *Dziury w niebie* Tadeusza Konwickiego przychodzi na myśl, gdy czyta się słowa

Miłosza mówiące o tym, że podejmował pisanie *Doliny Issy*, gdy znajdował się w dużym wewnętrznym kryzysie, w „wielkim impasie”. Przyznawał: „Byłem wtedy w okropnym stanie, czego w książce nie widać”.⁴⁶

Przed *Doliną Issy* ukazały się dwie jego książki napisane prozą: *Zniewolony umysł* i *Zdobycie władzy*. Obydwie były uwikłane w polityczno-ideowe rachunki, u których źródeł była stale uwierająca pisarza świadomość zawarcia owego „paktu diabelskiego” owocującego długotrwałą dysharmonią moralną.⁴⁷

Droga od porachunków z socrealizmem do pełnego uwolnienia się od wszystkich uwikłań i powojennych zaszłości politycznych nie była łatwa. Zartobliwym i autotironicznym tego świadectwem jest dedykacja, jaką Miłosz umieścił na egzemplarzu *Zniewolonego umysłu* ofiarowanym Aleksandrowi Jancie:

Kto przeciw socrealizmowi wojuje
Od socrealizmu ginie
Przyjm i niech to diabli...⁴⁸

Dochodzenie do wewnętrznego ładu, oczyszczenia się ze wszystkich zakłóceń przedstawionych we wspomnianych dwóch książkach wiodła przez powrót do dzieciństwa, do początków, do własnych czystych źródeł.

„Wierszy nie mogłem pisać. To był mój zabieg kuracyjny. Zacząłem pisać *Dolinę Issy* późną jesienią 1953 roku, a skończyłem chyba w czerwcu 1954”.⁴⁹

I w rozmowie z Aleksandrem Fiutem: „*Dolinę Issy* napisałem jako zabieg autoterapii, żeby spróbować, czy nie otworzy się zamknięta wena poetycka”.⁵⁰

Miłoszowi mogło się wydawać, że w powieści nie ma śladu jego kryzysowego nastroju. Czytelnik powieści nie jest skłonny zgodzić się z tym zapewnieniem. Znajdują bowiem w *Dolinie Issy* fragmenty, które wywołują skojarzenia prowadzące do samopoczucia autora. Choćby mówiące o powodach ucieczki do harmonijnego, uładzonego świata dzieciństwa. Ucieczki przed czym? Przed kim? Po prostu przed własnymi czynami, które ścigają człowieka jak Erynie.

„Nigdy się nie wie co poradzić z tym krzykiem, co odzywa się w nas samych. Najwyższa niesprawiedliwość na tym właśnie polega, że zdiera się kartkę z kalendarza, wciąga się buty, dotyka się muskułów ramienia i żyje się dziś. A razem z tym szarpie nas od środka pamięć własnych czynów bez pamięci przyczyn. Albo te czyny z nas, z naszej istotności, tej samej co dziś i wtedy obrzydliwie ją nosić, własna skóra nią śmierdzi. Albo kto inny, z zakrytą twarzą, popełnił te czyny i wtedy jeszcze gorzej, bo dłaczego, za jakim przekleństwem, nie można się od nich odczepić?”⁵¹

Tak, jak wyznanie Miłosza o znajdowaniu się w „wewnętrznym kryzysie”, w „wielki impasie” przypomina podobne wyznania Tadeusza Konwickiego z czasu pisania *Dziury w niebie*, tak jego refleksje o sprzeczności między własnym myśleniem o sobie

⁴¹ *Gorący popiół...*Jw., s. 45.

⁴² Tamże, s. 54.

⁴³ *Piękna choroba...*Jw., s. 71.

⁴⁴ *Gorący popiół...*Jw., s. 59.

⁴⁵ *Piękna choroba...*Jw., s. 208.

⁴⁶ *Czesława Miłosza autoportret przekorny*. Rozmowy przeprowadził Aleksander Fiut. Kraków 1994. s. 36.

⁴⁷ Zob. M. Stępień, *Poeta – Czesław Miłosz. „Był to pakt diabelski”* W tegoż, „*Jak grecka tragedia*”. *Pisarz polski w sytuacji wyboru*. Kraków 2005.

⁴⁸ Zawdzięczam tę informację Franciszkowi Palowskiemu.

⁴⁹ Renata Gorczyńska (Ewa Czarnecka) *Podróżny światła*. *Rozmowy z Czesławem Miłoszem*. *Komentarze*. Kraków 1992. s. 107.

⁵⁰ *Czesława Miłosza autoportret...*Jw., s. 36.

⁵¹ Czesław Miłosz, *Dolina Issy*, Kraków 1981, s. 161-162.

a postrzeganiem przez innych nie może nie kojarzyć się z diagnozami z *Rynku* Kazimierza Brandysa. Na przykład taki fragment z *Doliny Issy*:

„Nosi się w sobie z duszą zrośniętego, ale jakieś jedno cudze spojrzenie wystarczy, żeby jedność rozetrwać; pokazać, że nie jesteśmy tacy, jak by nam się podobało. I później chodzi się będąc w sobie, a równocześnie oglądając siebie z udręką”.⁵²

Pisanie *Doliny Issy* było ucieczką, schronieniem przed taką właśnie udręką. „Szczęśliwe momenty w dzieciństwie mają leczniczą wagę. Dlatego się do nich wraca. Pisałem ją po prostu dla siebie. Musiałem”.⁵³

Dzieciństwo bowiem jest okresem niewinności. „Wina jest połączona ze świadomością oczu, które na nas patrzą. I osądzają”.⁵⁴ Miłosz w dzieciństwie (opisanym w *Dolinie Issy*) miał niewiele kontaktów z innymi ludźmi. Wspominał: „Biegałem, przeważnie sam [...] Miałem swój świat fantazji, byłem zupełnie autonomicznym światem [...] Doskonale istniałem w świecie przyrody. Niestychanie silnie odbierałem zmysłowe piękno natury. Ale to było stworzenie warunków sprzyjających poczuciu niewinności. [...] Po prostu mojej spontaniczności nie zamącały oczy innych ludzi i ich sądy”.⁵⁵

Powrót do świata dzieciństwa nie ograniczał się u Miłosza do przywoływania jedynie jasnych, pogodnych wspomnień. Nie omija on momentów bólu, udręki, rozterek. Mieszczą się one jednak w innym porządku niż dysharmonie i cierpienia, od których uciekał. Wpisane są w istotę istnienia, związane są z życiem ludzkim w ogóle, w którym występuje również zło i cierpienie. Miłosz przyznawał się do manicheizmu i wielokrotnie odnotowywał obecność zła na świecie.

Dolina Issy, w której są elementy autobiograficzne ukazuje odkrywanie świata także z jego złem: morderstwami, polowaniami, cierpieniem, śmiercią. I zawiera uniwersalne pytania, a także zdziwienie sobą występujące też często w poezji Miłosza: „jak to jest, że się jest tym, kim się jest? Od czego to zależy? I kim byłby, gdyby został innym?” Z tego rodzaju pytaniami zadawanymi sobie przez Tomasza z *Doliny Issy* łączą się myśli Baltazara, jednej z ważniejszych (i tajemniczej) postaci powieści:

„Czy kto coś robi, to dlatego, że nie mógł inaczej? [...] Jeżeli jestem tym, czym teraz jestem, to dlatego, że postąpiłem wtedy i wtedy tak i tak? Ale dlaczego wtedy tak postąpiłem? Czy nie dlatego, że jestem, jaki jestem od początku”.⁵⁶

Po bardzo politycznym *Zniewolonym umyśle* i *Zdobyciu władzy* Czesław Miłosz przeżywał kryzys twórczy. Obawiał się nawet, że zaniemówi jako poeta. W *Dolinie Issy* zwrócił się ku światu własnego dzieciństwa. Jej pisanie podziało ją jak skuteczny zabieg terapeutyczny. „otworzyła się zamknięta wena poetycka”.

Aleksander Fiut trafnie zauważył, że w momentach zwrotnych twórczości Miłosza pojawiają się powroty do świata dzieciństwa. W dowód słuszności swego sprostowania wymieniał: *Świat, Dolinę Issy, Rodziną Eu-*

ropę, Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada. „Pragnąc odzyskać kreacyjną moc i lotność, poeta, niby Anteusz, dotyka wyobraźnią ziemi swego dzieciństwa”.⁵⁷

Do łańcucha utworów wymienionych przez Fiuta należy dorzucić jeszcze jedno ogniwo: przywołujący wspomnienie Mickiewiczowskiego „Polaty się tży me czyste rżęsiście” wiersz *Łąka*, związany z odwiedzeniem przez poetę, po pięćdziesięciu latach, rodzinnej Litwy:

Była to łąka nadrzeczna, bujna sprzed sianokosów,
W nieskazitelnym dniu czerwcowego słońca.
Całe życie szukałem jej, znalazłem i rozpoznałem,
Rosły tu trawy i kwiaty kiedyś znajome dziecku.
Przez na wpeł przymknięte powieki wchłaniałem
światłość
I zapach mnie ogarnął, ustało wszelkie wiedzenie.
Nagle poczułem, że znikam i płacę ze szczęścia.⁵⁸

* * *

Mamy w literaturze dużo utworów o świecie dziecięcym, o latach dzieciństwa i wczesnej młodości. Można ich wiele wymienić. Wszystkie z nich są wartościowe i interesujące ze względu na biografię ich autorów. Często też są sentymentalnym wspomnieniem lat beztrudnych i szczęśliwych. Czasem też trudnych.

Kornel Makuszyński napisał *Bezgrzeszne lata*, Juliusz Kaden-Bandrowski *Miasto mojej matki*, Zygmunt Nowakowski *Przylądek dobrej nadziei* i *Rubikon*, Emil Zegadłowicz cykl *Żywoć Mikołaja Srebrmpisanego*, Jan Parandowski *Niebo w płomieniach* i *Zegar słoneczny*, Michał Rusinek *Burza nad brukiem* i *Pluton z dzikiej łąki*.

Zaprezentowanych w tym szkicu utworów Wilhelma Macha, Leona Gomolickiego, Kornela Filipowicza, Tadeusza Konwickiego, Kazimierza Brandysa, Mieczysława Jastruna i nie można jednak mechanicznie dodawać do wyliczonych wyżej tytułów. One stanowią szczególne zjawisko społeczno-literackie. Każdy z tych utworów ma niepowtarzalne cechy indywidualne odpowiadające osobowości twórczej autora. Ale zarazem wszystkie z nich łączą ważne i silnie w nie wpisane znamiona wspólne. Bo pojawienie się w tym samym czasie całego kręgu utworów z bohaterem dziecięcym, z powracaniem do lat dzieciństwa nie było przypadkowe. Chwył ten sprzyjał weryfikacji prawd o świecie i procesowi oczyszczania się po różnych fałszywych sytuacjach, w jakich znaleźli się polscy pisarze w pięćdziesiątych latach minionego wieku.

Czesław Miłosz był wprawdzie w tym czasie już na politycznej emigracji. Niemniej ów „pakt diabelski” podpisany zaraz po wojnie nie pozwalał o sobie zapomnieć, czego śladem wiersze z tych lat, a zwłaszcza mający znamiona próby autorehabilitacji *Zniewolony umysł*. W terapeutycznym powrocie do świata dzieciństwa spotkał się z pisarzami krajowymi.

MARIAN STĘPIEŃ

⁵² Tamże, s. 182.

⁵³ Renata Gorczyńska, *Podróżny świata...Jw.*, s. 103.

⁵⁴ Tamże, s. 105.

⁵⁵ Tamże.

⁵⁶ *Dolina Issy...Jw.*, s. 160.

⁵⁷ *Poznanie Miłosza. Studia i szkice o twórczości poety*. Pod redakcją naukową Jerzego Kwiatkowskiego. Kraków-Wrocław 1985, s. 311.

⁵⁸ Czesław Miłosz, *Łąka*, z cyklu: *Litwa po pięćdziesięciu dwóch latach*, „Zeszyty Literackie” Lato 1993, nr 43, s. 9.

JACEK WOJCIECHOWSKI

MEANDRY WOLNOŚCI

Kiedy w 1941 roku Erich Fromm publikował swoją *Ucieczkę od wolności* (Czytelnik, Warszawa 2003 i poprz.), odwoływał się wprawdzie do obserwacji i okoliczności ówczesnych, lecz dostrzegł bezbłędnie paradoks ponadczasowy. Oto mianowicie wszyscy deklarując przywiązanie do wolności, mniej lub bardziej nieświadomie (zwłaszcza przez zaniechanie) przyczyniamy się do jej ograniczania torując drogę rozmaitym formom totalitaryzmu – choćby umiarkowanego i na małą skalę. Minęło 65 lat z górą i ta prawidłowość potwierdza się nadal, być może nawet w zwiększonym natężeniu.

Niedawno ukazała się w Moskwie mądra książka Władimira Kudriawcewa *Swoboda słowa* (Nauka, Moskwa 2006) na pokrewny temat i z zaskakująco zbieżnymi konkluzjami, a bardzo ciekawie udokumentowana. Fakt zaś, że odniesienia są po części rosyjskie, wzbogaca temat o wartość naddaną. Stanowi bowiem jednocześnie jedno z wielu możliwych objaśnień meandrów rosyjskiej polityki wewnętrznej oraz międzynarodowej, jak też tamtejszej mentalności społecznej – jeżeli ktoś zechce zdobyć się na refleksję.

Autor, profesor nauk prawnych, kryminolog i socjolog prawa jest nestorem rosyjskiej nauki. Ma 85 lat i pełni funkcję wiceprezydenta Rosyjskiej Akademii Nauk oraz jest w niej honorowym dyrektorem Instytutu Państwa i Prawa. To znaczy, że cenzus naukowy osiągnął jeszcze w warunkach sowieckich, ale nie stracił przez to krytycyzmu ani jasności widzenia, a prezentowana wiedza jest imponująca.

WOLNOŚĆ SŁOWA

Kudriawcew, tak jak kiedyś Fromm oraz wielu innych, przypisuje wolności najwyższą rangę w skali ogólnoludzkich wartości. Kiedy jednak przechodzi do eksplikacji szczegółowej, okazuje się, że dopisuje do niej nieco inne skojarzenia, niż to zwykle bywa. Na pierwszy plan mianowicie wysuwa możliwość nieskrępowanego rozwoju indywidualnego oraz prawo wyrażania siebie, a w konsekwencji również wolność słowa.

Trudno z tym dyskutować, jakkolwiek piętno czasów sowieckich na tak ukształtowanej hierarchii pojęć jest niewątpliwe. Przypuszczam, że w Polsce, tym bardziej; w Europie Zachodniej stosowne akcenty rozkładają się inaczej, mimo że Kudriawcew powołuje się na różne zachodnie wypowiedzi, w tym także Adama Michnika. Odmienności wynikające z tradycji i z siedemdziesięcioletniej tam sowieckości są nieuchronne.

No więc taki ma sens zawarte w tytule książki sformułowanie o wolności słowa: jest dla autora symbolem w ogóle wolności jako takiej. Z natychmiastowym dopowiedzeniem, że autentycznie stuprocentowej, całkowitej wolności słowa nie ma na razie nigdzie na świecie. Owszem, są pospisywane najrozmaitsze gwarancje swobód wypowiedzi, konstytucyjne, ustawowe, dekre-

talne, ale ma to w znacznej mierze charakter werbalny, deklaracyjny, czasem jedynie zdobniczy, natomiast praktyka kształtuje się bardzo różnie. Od znacznej wolności, po niemal kompletne zakneblowanie.

Nowe formy komunikowania, szczególnie internet oraz telefonia komórkowa stworzyły nieznanne wcześniej możliwości indywidualnego wypowiedzania się – czy jednak do końca swobodnego, jak dotychczas uważano? Są bowiem również nowe okoliczności, same z siebie niekoniecznie dla tej swobody korzystne. Wystarczy przypomnieć choćby rodzime demonstracje podglądowo-podsłuchowo-bilingowe.

Teoretycznie rzeczywiście każdy może wyemitować swoją wypowiedź, ale w praktyce wcale tak nie jest – z najróżniejszych przyczyn. Wprawdzie bowiem elektroniczna transmisja informacji wielokrotnie pomnaża podaż dostępnych treści, ale indywidualne skłonności do wypowiedzania się oraz możliwości odbioru nie zmieniają się tak szybko: gwałtownie zatem wzrasta liczba wypowiedzi „zerowych”, czyli takich, których nie odbiera nikt.

Poza tym, zauważa Kudriawcew, w nowych mediach rośnie możliwość informowania i objaśniania tendencyjnego, pobudzania manipulatorskiego. Skala wartości transmisyjnej jest gigantycznie rozdęta, od treści neutralnych, aż po nakazy, zakazy i groźby. Powstaje wątpliwość, czy to akurat takiej wolności słowa należy pożądać.

GRANICE

Zarówno uniezależnienie (częściowe?) prasy i mediów od administracji, w Rosji oraz w krajach Europy Wschodniej w końcu nie tak dawne, jak też implementacja internetu wygenerowały powszechne przekonanie, że oto nastąpił poważny krok w kierunku zwiększenia swobody wypowiedzi. W rzeczywistości nastąpiło znaczne zróżnicowanie transmitowanych opinii, ale to jeszcze nie jest całkowita wolność komunikacyjna.

Ani bowiem prasa, ani media, ani inne instytucje nadawcze nie stały się przecież niczyje. Bardziej teraz zależne od gustów i reakcji publiczności (bo utrzymują się z reklam) nie są jednak wolne od ingerencji obecnie innych ośrodków dyspozycyjnych, mianowicie kapitałowych. Zaś administracja też nie wyzbyła się całkowicie wpływów na media, jednak obecnie realizuje to pośrednio – powiada Kudriawcew.

Najsilniej z wolnością wypowiedzi kojarzy się internet, jednak sporo jest w tych przeświadczeniach mitologii. Gwarancja swobody, anonimowość nadawcy okazuje się pozorna, a w razie potrzeby również odtworzenie treści z dysków twardych jest wykonalne. Zaś bardzo pomocne wyszukiwarki – za sprawą *cookies* – mogą rozpoznawać i rejestrować indywidualne zainteresowania oraz preferencje, co najmniej dla celów promocyjno-reklamowych. Natomiast są kraje, jak

Chiny, Iran, Emiraty Arabskie, gdzie urzędowo blokuje się całe obszary transmisji internetowych – z przyczyn politycznych, religijnych lub obyczajowych. Czasem bez żadnego uzasadnienia.

Mniejsze (ale jednak) ograniczenia występują nawet w krajach o wysokim poziomie demokracji. W USA ustawa *Patriot Act* pozwala służbom bezpieczeństwa na tajne śledzenie komunikacji internetowej – w kontekście walki z terroryzmem. Poza tym wskazuje się tam na nerwowe, więc ograniczające reakcje władz na krytykę oraz utożsamia się ograniczenia komunikowania publicznego z niskim poziomem umiejętności czytelnicy. W Anglii natomiast przypisuje się administracji pośrednie działania cenzorskie – przy procedurze udzielania licencji kompaniom medialnym. Sygnalizując to Kudriawcew dodaje, że w Rosji oraz w wielu innych krajach ograniczeń jest jeszcze więcej.

Jego zdaniem, globalizacja systemów komunikowania publicznego zliberalizowała wprawdzie obieg treści w skali międzynarodowej, lecz nie w takim stopniu jak się przypuszcza i nie wobec wszystkich. Ograniczenia pochodzą od możliwości (niemożności) technologicznych, bardzo różnych w rozmaitych krajach oraz ekonomicznych: elektroniczna komunikacja kosztuje i nie każdego na wydatki stać.

Żeby dopowiedzieć: w Polsce z internetu korzysta ok. 33 procent społeczeństwa (czyta 55 proc.) i z całą pewnością nie jest to mało. Ale oczywiście, to nie są wszyscy i nawet nie jest to większość.

W skali globalnej pojawia się jeszcze jedna bariera – językowa, nie odczuwana tylko w krajach anglojęzycznych. Ocenia się, że w Rosji jedynie 5 proc. populacji zna biegle język angielski, dla innych przejmowanie treści z międzynarodowego internetu jest iluzoryczne, a tym bardziej nadawanie w tej przestrzeni. Żeby już pominąć odmienny alfabet.

Ale jest coś jeszcze, co bezpośrednio nawiązuje do opinii Fromma. Otóż współcześnie w komunikacji publicznej transmituje się także to, co dawniej nie było do publicznego obiegu dopuszczane. W ten sposób dokonuje się naruszenie obowiązującego (w danej zbiorowości) tabu – czasami politycznego, ale przede wszystkim obyczajowego, etycznego lub religijnego.

Władze mogą domagać się ocenzurowania treści ze względu na wymagania obronności, polityki, albo walki z terroryzmem. Społeczeństwa natomiast same dążą do ograniczenia obiegu treści sprzecznych z ich pojęciem dopuszczalności. Żądają więc filtracji, ewentualnie kontroli obywatelskiej – ale takich instrumentów nie ma. W zastępstwie pojawia się więc kontrola urzędowa, instytucjonalna, a czasem jeszcze korporacyjna.

Byłoby może inaczej, bardziej demokratycznie, gdyby społeczeństwa kreowały oraz wykorzystywały już istniejące narzędzia kontroli władzy. Ale, według Kudriawcewa, to wykorzystywanie nawet w najbardziej demokratycznych krajach jest słabe.

POTĘGA TRADYCJI

Obok więc celowego postępowania „mitygującego” tych instancji, które są zainteresowane redukcją swobody wypowiedzi – społeczna obojętność (a nawet mimowolna ucieczka od) na wolność słowa jest dla tej wolności zagrożeniem głównym. Źródeł dopatruje się

Kudriawcew w tradycji – różnej w rozmaitych regionach świata.

Obyczajowość i prawa świata zachodniego powstały na gruzach antyku, gdzie swoboda głosu opinii była znaczna, chociaż bezpośrednio (poza Sokratesem) wypowiadał się o niej mało kto. Ten fundament okazał się bardzo silny mimo późniejszej średniowiecznej barbaryzacji zwyczajów oraz destrukcyjnych działań inkwizycji. Z drugiej strony: bezpośrednie deklaracje prawa do wolności słowa pojawiły się dopiero z końcem XVIII wieku we Francji i w Ameryce – tak więc obyczaje głosu swobody wypowiedzi i funkcjonowanie stosownych gwarancji prawnych, nie mają długiej historii. A to dla świadomości publicznej nie jest bez znaczenia.

Ukoronowaniem postępu w tym zakresie w skali globalnej była deklaracja ONZ z 1948 roku w sprawie prawa do swobodnego wyrażania poglądów. Jednak formalna akceptacja zapisu nie wszędzie była równoznaczna z wdrożeniem. Istniały bowiem i nadal istnieją reżymy mniej lub bardziej totalitarne, z natury rzeczy wrogie wobec niezależnego słowa. Ograniczenia zasadne, lecz czasem przesadne wprowadza się także w następstwie zagrożeń przez międzynarodowy terroryzm. No i bariery generują się również na gruncie różnych nacjonalizmów. To wszystko zaś jest bliższe opinii publicznej, więc ma większy na nią wpływ niż deklaracje odległych międzynarodowych instytucji.

Jednak Kudriawcew nie kojarzy Rosji z tradycją zachodniej cywilizacji – to tylko porównawczy układ odniesienia. Nieco wyraźniej natomiast sygnalizuje możliwość relacji (zresztą marginalnych) z tradycją azjatycką.

Tymczasem w Azji nie było nigdy nastawień na wolność jednostki; cały układ władzy (jak i całe prawo) zawsze był nakierowany na ochronę reżymu i władcy. Nie znalazło się natomiast miejsce na liberalizm i potoczna świadomość tak właśnie została ukształtowana – niezależnie od sugestii Konfucjusza, żeby lubić ludzi, są bowiem z natury dobrzy. Znacznie silniej zakorzenił się za to islamski fundamentalizm sprzyjając ucieczce od wolności.

Oczywiście, obecnie są tam liberalizujące deklaracje oraz akty prawne, ale znaczą co innego, niż nam się wydaje, a co najważniejsze: w przeświadczeniach społecznych nie nastąpiła większa zmiana. Rosja, w końcu eurazjatycka, nie mogła całkowicie odciąć się od wpływów azjatyckiej cywilizacji i one śladowo tam są.

ROSYJSKA OSOBNOŚĆ

Ale – powiada Kudriawcew – w Rosji tak naprawdę wszystko bierze się z tego, że nie powstała na żadnych gruzach ani na żadnym fundamencie. Rosja powstała na niczym! I to jest źródło jej inności, tak niekiedy trudnej do zrozumienia dla obcych – daleko posuniętej osobności. Także w zakresie pojmowania pojęcia wolności, a zwłaszcza wolności słowa.

Mimo początkowo praktykowanej swobody wypowiedzi, z czasem górę wzięły restrykcje, a potem drakońskie ograniczenia. O żadnej wolności wypowiedzi na przekór władcom nie dało się nawet pomyśleć za panowania najwybitniejszych carów: Iwana Groźnego, Piotra I oraz Katarzyny II. Kodeks Aleksandra I cały system władzy podporządkował bezwzględnej regule ochrony cara oraz cerkwi, a z końcem XIX

wieku nadzór policyjny nad codziennością osiągnął skalę nigdzie przedtem w świecie nienotowaną.

Później, w erze bolszewickiej było jeszcze gorzej. Obok bowiem całkowitej eliminacji praw jednostki, pojawiły się systematyczne, eksterminacyjne praktyki antyinteligentkie. Tak więc pojęcie wolności słowa na przestrzeni dziejów i skali ogólnospołecznej nie miało tam prawa zaistnieć.

Wprawdzie pod wpływem elity, w rosyjskiej Konstytucji z 1993 roku zagwarantowano ogólnie prawo do wyrażania nieskrępowanych opinii, ale nie było żadnych szczegółów ani aktów wykonawczych. A wobec braku zakorzenienia się takiego prawa w tradycji, społeczne parcie na jego rzecz nie było zbyt silne, toteż postęp w tym zakresie następował i następuje powoli.

Jednocześnie rozpadł się jednolity, krajowy system informacji, a nowe generują się zbyt wolno i nie są stabilne. Więc chociaż obywatelskie prawo do informacji jest, to równocześnie istnieją różne ograniczenia, z których administracja chętnie korzysta. Na to zaś nakłada się jeszcze brak informacyjnej otwartości władzy, a w relacjach międzynarodowych: nieporozumienia kulturowo-obyczajowe i bariera językowa. To dlatego swoboda wypowiedzi oraz publiczny obieg informacji rozszerzają się wprawdzie, lecz w tempie nieśpiesznym i bez gwarancji, że nie będzie odwrotu.

OPINIE

Nie pozostaje to bez związku z publiczną opinią. Oto bowiem w ogólnokrajowym sondażu 76 proc. respondentów podkreśliło ważność bezpłatnego lecznictwa oraz edukacji, a 57 proc. – prawa do pracy. Natomiast na wolność słowa zwróciło uwagę tylko 28 proc. ankietowanych.

Oto dlatego nie ma tam spontanicznego naporu na zmianę sytuacji w tym zakresie i zdecydowana większość akceptuje, co jest. Mianowicie 83 proc. mieszkańców uważa, że wolność słowa w Rosji istnieje, chociaż 60 proc. jednocześnie przyznaje, że jest mniejsza niż na Zachodzie, nie wywołuje to większych emocji ani irytacji.

Opinie na ten temat odnoszą się głównie do prasy oraz mediów, a do internetu – śladowo. Otóż blisko 70 proc. respondentów jest zdania, że tamtejsze środki masowej komunikacji nie są niezależne, ale mimo to tyle samo uważa dostęp do informacji oraz jej standard za zadowalający.

W ciekawym sondażu, przeprowadzonym wśród studentów prawa, połowa pytanym uznała, że obecnie nie ma żadnych oporów, aby w bezpośrednich kontaktach wypowiadać się całkiem swobodnie. Ale zarazem tyle samo respondentów zasygnalizowało, że jednak zachowują w tej mierze większą lub mniejszą ostrożność. No więc jak to jest?

Jest to zapewne świadectwo niepewności. Jedni czują się zdezorientowani, inni zadowolają się tym, co jest. Kategoria wolności słowa – razem z niezbędnymi kontekstami – nie przebiła się do świadomości potocznej dostatecznie mocno i nie wykrystalizowała się do końca jako indywidualnie ważna wartość emocjonalna. Nie ma wątpliwości, że nie tylko tam.

Na tym bowiem polega dramat demokracji oraz społeczeństwa (w intencji) obywatelskiego, że świadomość swobody wypowiedzi zamazuje się właściwie

wszędzie i Rosja nie jest żadnym wyjątkiem. Jedną grupą przyczyn jest połączenie uwarunkowań tradycyjnych i politycznych – w formie jeszcze silniejszej blokady wypowiedzi publicznych – a drugą superkapitalizm i zachwianie równowagi między gospodarką rynkową a polityką. Nikt też nie powiedział, że naturalnym odruchem społecznym jest troska o wolność słowa, a tym samym o wolność w ogóle. Przeciwnie: Fromm zasugerował coś zupełnie odwrotnego.

Kudriawcew ujawnia zatem tendencję ogólniejszą – natomiast bliżej objaśnia i dokumentuje jej rosyjski wariant: ponieważ odmienny, więc wart osobnego rozpoznania i zrozumienia. Bardzo możliwe, że w naszej polskiej mentalności (trudno doszukać się analiz zestawialnych) ważność i stosunek do tej kategorii są inne. Zapewne sądzimy, że lepsze. Rzecz w tym jednak, że tam mentalności naszej nie ma – jest mentalność ich. I tylko ona może być objaśniającą wykładnią tego, co tam jest.

PROGNOZY

Sygnalizując powszechne oraz szczególne wewnętrzny ograniczenia wolności słowa, a więc zarazem wolności w ogóle, przyłącza się Kudriawcew jednocześnie do grona tych opiniodawców, którzy zakładają nieuchronność postępu i rozwoju demokracji. Opinii przeciwnych, sugerujących rozkład demokracji w jej dotychczasowym kształcie, jest zresztą na świecie równie dużo. Ale nawet optymiści przyjmują, że ten postęp nie dokona się sam z siebie.

W ujęciu autorskim: głównym mechanizmem napędowym tego postępu jest mnogość poglądów i wielość odmiennych opinii na wszystko, do których każdy powinien mieć dostęp. Żeby zaś tak było, konieczna jest szybka i powszechna informatyzacja oraz internetyzacja w skali całej Rosji, z redukcją barier przede wszystkim ekonomicznych: korzystanie z prasy, mediów oraz z internetu kosztuje o wiele za dużo jak na kieszeń statystycznego Rosjanina. No i (co jeszcze trudniejsze) publiczni transmiterzy treści powinni być uwolnieni od treściowych serwitutów tak dalece, jak tylko się da.

Muszą też zredukować się bariery techniczne w obiegu treści (być może przez miniaturyzację sprzętu), a zwiększyć umiejętności odbiorcze publiczności rzeczywistej oraz potencjalnej. To nie będzie łatwe. Szansą przełamania ograniczeń „miejscowych” (krajowych oraz lokalnych) jest też dostęp do sieci globalnej, co wymaga znajomości języków obcych, a z tym jest dość kiepsko (nie tylko w Rosji).

Jednak czynnikiem absolutnie najważniejszym jest według autora rozwój świadomości obywatelskiej. I ta niewątpliwie słuszna opinia budzi niejaką konsternację, bo kryje się za nią logika błędnego koła. Jeśli bowiem świadomość obywatelska warunkuje świadomość wolności słowa (oraz wolności jednostki), to jednocześnie jej źródłowym warunkiem jest przecież właśnie wolność wypowiedzi. Widocznie Kudriawcew uważa, że ten zwarty krąg da się jakoś przerwać.

Byłoby dobrze, gdyby się w tych przewidywaniach nie pomylił. Dobrze dla wszystkich: w Rosji oraz poza Rosją. Bo Fromm byłby sceptyczny.

Andrzejowi Romanowskiemu – KOWADŁO „Kuźnicy” (laudacja)

Jeśli chceć w kilku słowach określić stosunek „Kuźnicy” do Andrzeja Romanowskiego – uczonego i człowieka publicznego – to, sięgając po „słowo skrzydlate” można rzec, że jest to spotkanie w drodze. Ale spotkanie po to, aby dalej iść drogą wspólną. Drogą przyzwoitości i rozumu, drogą sprawiedliwości i braterstwa, drogą Polski i Europy.

Andrzej Romanowski przychodzi z polskiej rodziny patriotycznej od pokoleń, ukształtowanej w duchu zasad: nie jesteś sam na świecie, a świat nie kończy się na Polsce, choć ona jest dla nas najważniejsza; bądź życzliwy ludziom, patrz i myśl szeroko. Myśl i czytaj.

I przede wszystkim: jest się przyzwoitym. Nie: warto być przyzwoitym. Jest się przyzwoitym dlatego, że się jest, a nie dlatego, że warto. To wszystko wiem, albo sobie wyobrażam jak zawsze z książek, bo czytam Romanowskiego i często się tym co pisze, zachwycam.

W życiu publicznym pojawił się Romanowski jako piszący w „Tygodniku Powszechnym”. Zaczął mniej więcej w tym czasie, kiedy powstawała „Kuźnica” i kiedy, mimo licznych prób Kubiaka i Reguckiego, ich spotkań z Turowiczem, nie potrafiliśmy się porozumieć. Potem był tego „Tygodnika” redaktorem, a dziś jest chyba „Tygodnikowym” dysydem. My też jesteśmy swego rodzaju dysydentami. Od innego końca. Albo początku. Zbliżyliśmy się mozolnie – poprzez zaangażowanie w Polskę, krytycyzm i pewną bezinteresowność spojrzenia na historię i jej meandry.

W życiu intelektualnym Andrzej Romanowski jest prawdziwym profesorem-humanistą. Nie tylko polonistą, choć polska literatura, język, a i obyczaj są przedmiotem jego zainteresowań i dociekań. Ale jak je badać bez zadawania się z historią – nie tylko kultury, ale i polityki. Zwłaszcza kiedy pasjonuje się wschodnim pograniczem i walkami o wolność. Jedną z książek Romanowskiego nosi przewrotny tytuł: *Jak oszukać Rosję. Losy Polaków XVIII-XX wieku*. Pigoń nazwałby Romanowskiego polihistorem. Ja myślę o historiozofie.

Nie ma w Romanowskim cienia ksenofobii. Całkiem na odwrót. Jest spojrzenie mędrca. Uczonego, który wie, że wszelka polityka historyczna jest tylko i wyłącznie manipulowaniem świadomością historyczną społeczeństwa. A oprócz kategorii zbiorowości w historii równie ważna jest kategoria jednostki, czyli osoby ludzkiej.

Nie przypadkiem więc ten profesor polskiego literaturoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim został naczelnym redaktorem *Polskiego Słownika Biograficznego* – słownika jednostek ludzkich, wielkiego, zaczętego jeszcze przed wojną dzieła Polskiej Akademii Umiejętności i wciąż dalekiego od zakończenia. Daleko jest bowiem od polskiego A do polskiego Z.

Ważny kawał tego dzieła był i jest udziałem naszego przyjaciela i nauczyciela, Henryka Markiewicza. I właśnie nasz Henryk Markiewicz, jeden z ojców założycieli „Kuźnicy” przekazał tę wielką robotę w godne ręce swego następcy. Wcześniej zresztą rozpoczęli współpracę nad dziełem, które nas wciąż zadziwia i zachwyca i wciąż nam służy, choć tomisko przekroczyło już rozmiary Biblii. Nosi tytuł poetycki: *Skrzydlate słowa*, ale podtytuł już ścisły niestychanie: *Wielki słownik cytatów polskich i obcych*. Wielu z nas przybiega często do tego słownika nie z potrzeby erudycyjnych popisów, lecz dla czystej przyjemności. To wielki sukces jego autorów, uczonych-humanistów.

Nie będę dłużej opowiadał o naszym laureacie, nie będę cytował listy jego książek i artykułów, które poruszyły sumienia. Sentencję decyzji „Kuźnicy” wygłosił nasz prezes, Hieronim Kubiak. Fragmenty publicystyki Andrzeja Romanowskiego przedstawi nasz przyjaciel, Jan Güntner.

Ja tylko powiem, że bardzo się cieszę z tego spotkania Andrzeja Romanowskiego i „Kuźnicy”.

ANDRZEJ KURZ

ANDRZEJ ROMANOWSKI

WIERNOŚĆ

Pragnę serdecznie podziękować. To zaszczytne wyróżnienie przyjmuję ze wzruszeniem i wdzięcznością. Z uczuć tych muszę się wytłumaczyć. Gdybym tego nie zrobił, uczyniłbym gest bez pokrycia, podszyty nawet może koniunkturalizmem bądź dwulicowością. Bo niby dlaczego człowiek, utożsamiający się z katolicyzmem i „Solidarnością”, lokujący swe sympatie polityczne nie na lewicy, lecz w centrum, przyjmuje wyróżnienie od krakowskiej „Kuźnicy”, i przyjmuje je ze wzruszeniem i wdzięcznością?

Joseph Conrad pisał kiedyś, że „doczesny świat spoczywa na paru bardzo prostych wyobrażeniach, tak prostych, że muszą być prastare. A między innymi spoczywa głównie na pojęciu Wierności”. Kowadło „Kuźnicy” – rzecz niebagatelna – bardziej niż cokolwiek każe pytać o wierność. O bycie w porządku wobec siebie i wobec swojej drogi życiowej.

Ten dylemat mógłbym skwitować wyznaniem, że zmieniłem poglądy. Wszak tylko krowa nie zmienia poglądów. A tylu ludzi w Polsce zmienia poglądy. Tylu moich kolegów z Unii Demokratycznej i Unii Wolności służy dziś Platformie Obywatelskiej bądź PiS-owi. Tylu moich przyjaciół z dzisiejszego „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” przeszło obecnie na pozycję lustratorskie. „Zmieniłem poglądy” – jakie to wygodne. Ale ja nie zmieniłem poglądów. A w każdym razie – nie uważam, bym je zmienił.

Czym bowiem jest wierność? Czy chodzi o wierność wobec treści, czy formy? Wobec ducha czy litery? Wobec istoty czy etykiety? Obecny prezydent Rzeczypospolitej jest niewątpliwie wierny. Na każdym kroku odwołuje się do idei „Solidarności”. Czyni to z taką determinacją, że nawet wetowanie ustaw uzasadnia ideami „Polski solidarny”. Czy jednak naprawdę jest wierny „Solidarności”? Wierny hasłu „jedni drugim ciężary noście”, które za św. Pawłem przypominał zmarły papież? A czy wiernością dla „Solidarności” można tłumaczyć lustratorskie polowania na ludzi?

W dziejach naszego narodu – jak w dziejach każdego narodu – kolejne idee paczyły się, wykoślawiały i zmieniały we własną karykaturę. Potrafiono jednak z tym walczyć – w imię zdrowia społecznego.

„Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
Musisz być inną, choć będziesz tą samą!”

– pisał przed 120 laty poeta-powstaniec Adam Asnyk. I rzeczywiście: cały XIX-wieczny syndrom polskości trzeba było zniszczyć, by Polska mogła być inną, by mogła wkroczyć w XX wiek. Dzieła niszczenia dokonywali nasi pradziadowie – i w imię nie czego innego, lecz wierności. Bo wierność Polsce była nadrzędna wobec wierności wyobrażeniom o Polsce.

Dzisiaj przeżywamy to samo. Idea „Solidarności” jest martwa sto razy bardziej niż ideologia powstańcza w czasach Asnyka, czy – powiedzmy – ideologia polskiego mesjanizmu w czasach Stanisława Wyspiańskiego. Tamte postawy nie zmieniły się bowiem, pozostały sobą, i już jako takie zostały uznane za zagrożenie. Tymczasem idea „Solidarności” uległa zmianie, i to gruntownej, o 180 stopni. Przerodziła się w swe przeciwieństwo: w ideę nienawiści. Więc jest gorzej niż kiedykolwiek i z tego trzeba wyciągnąć wnioski. Wnioski (co za paradoks) podobne także do tych, które przed półwieczem i ćwierćwieczem wyciągali partyjni rewizjoniści. Bo idee nie są niewinne! Jeżeli idea „Solidarności” mogła się zmienić w ideę nienawiści – to jakiś bakcył zła musiał tkwić w niej samej, tkwić immanentnie. Dlatego jedyne, co dzisiaj możemy zrobić, to ideę tę zabić, pogrzebać i przebić osinowym kołkiem.

Natomiast Kowadło „Kuźnicy” przyjmuję właśnie z potrzeby solidarności. Bo skoro „Solidarność” zakładała wspomniane wyżej „noszenie ciężarów jeden drugiemu”, to znaczy, że zakładała pomoc stronie słabszej. Tą stroną słabszą jest dziś w Polsce lewica, dlatego obowiązkiem człowieka „Solidarności” jest – jakkolwiek by to brzmiało – stanąć po jej stronie,

a nie antysolidarnościowego kaczynizmu. Tym bardziej że dawna „Solidarność” – ruch Jacka Kuronia, Karola Modzelewskiego czy Jana Józefa Lipskiego – nie była prawicowa.

A warto przy okazji pamiętać jeszcze o jednym. Spotykamy się w trzy dni po rozpoczęciu procesu pierwszego prezydenta Polski Niepodległej, Wojciecha Jaruzelskiego. Ten 85-letni starzec jest dziś słabszy niż ktokolwiek z nas na tej sali. Dlatego obowiązkiem człowieka „Solidarność” jest – jakkolwiek by to brzmiało – stanąć po jego stronie, a nie po stronie prokuratora z IPN. Tym bardziej że to Jaruzelski, sprawując u schyłku lat '80. najwyższą władzę, stał się współtwórcą Niepodległości. Wszyscy – a „Solidarność” najbardziej – jesteśmy jego dłużnikami.

Przyjmuję też Kowadło jako wyraz pokory. Bo w mój stosunek do lewicy wbił się w ostatnich kilkunastu latach podwójny szok poznawczy. Pierwszy – gdy w latach 1989-1990 obóz władzy pokojowo oddał tę władzę i lojalnie odtąd współpracował z obozem „Solidarność”. To właśnie dlatego obecny proces Jaruzelskiego jest hańbą – i to tym większą jeszcze, że pierwszy to proces głowy państwa polskiego w tysiącletniej historii naszego kraju. Drugi szok poznawczy przeżyłem zaś widząc, jak kolejne rządy SLD realizują polską rację stanu i – tak jak obóz „Solidarność” – wprowadzają Polskę do NATO i Unii Europejskiej. Dla ludzi „Solidarność” oba te zjawiska stały się przyczyną tym większej nienawiści. Dla mnie stały się przyczyną tym większej pokory.

Dlatego mógłbym też rzec o trzecim szoku. Bo przecież było coś, co różniło oba obozy. Postkomunistyczna lewica (jak zwykle się mawiać w solidarnościowej nowomowie) potrafiła wyjść poza horyzont własnej formacji. Jeżeli nawet był to przejaw cynizmu, to cynizm ten był dla Polski błogosławiony. Natomiast w obozie „Solidarność” potrafiła wyjść poza swój horyzont Unia Demokratyczna, i to tylko z okresu sprzed rządu Hanny Suchockiej. Nieco dłużej próbą takiego wyjścia była też Unia Pracy. Nigdy już Unia Wolności. „Solidarność” jako całość, jako projekt polityczny, jako formacja, okazała się do porozumienia narodowego niezdolna. Czasem nawet do realizacji racji stanu niezdolna. Zdolna była do podziałów. Do dzielenia ludzi i do polowania na ludzi.

Przyjęcie przeze mnie Kowadła „Kuźnicy” jest więc nie tylko okazją do wykrzyknięcia protestu przeciw „Solidarność” – w imię solidarności. Jest nie tylko momentem, w którym (we własnym, rzecz jasna, imieniu) mogę powiedzieć „przepraszam” za wszystkie dyskryminacyjne praktyki. Jest przede wszystkim chwilą, w której my, tu zgromadzeni, pokazujemy, że ludzie zdolni do wyjścia poza barykadę istnieją – i istnieli – po obu stronach barykady.

Bo trzeba umieć wyjść poza swój świat – swe emocje, przyjaźnie, horyzont, który okazał się nieaktualny – a jednocześnie umieć zachować wierność zasadom, wierność wartościom. Bo wierność polega na tym – i tylko na tym. Wierność nie etykietkowa, lecz istotowa, wierność w najgłębszym rozumieniu tego słowa.

Kowadło „Kuźnicy” przyjmuję w poczuciu wierności.

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Profesorowi

Andrzejowi Romanowskiemu

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

*dla Jego postawy uczonego
i obywatela:*

- *odważnej w wyrażaniu poglądów, niezależnej w dociekaniach historycznych;*
- *głębokiej w studiach nad polską literaturą i językiem;*
- *przeciwstawiającej się inwazji złych obyczajów, niewiedzy i bezmyślności, niesprawiedliwości i amoralności w życiu publicznym i w mediach;*
- *wyrażającej bliskie nam przekonanie, że w kulturze i jej otwartości na innych potwierdza się i umacnia tożsamość narodu, a kompromis sił politycznych jest fundamentem demokracji i polskiej racji stanu.*

Kraków, 15 września 2008 r.

ADAM KOMOROWSKI

W LIRYCZNYM KLINCZU

Teren był nieco zaniedbany, czasami płatali się pijaczkowie, ale wśród starych drzew urzędowały sowy, zdarzało się zobaczyć kwiczoły czy kowaliki, jesienią zatrzymywały się przelotne ptaki. Zielony nieuporządkowany starodrzew przy krakowskim dworcu kolejowym zajmował niewiele ponad dwa hektary ale wraz z pięknie utrzymanym ogrodem przy barokowym kościele Św. Floriana po drugiej stronie ulicy Pawiej stanowił ostoję zieleni w centrum miasta. To był kawałek zielonej przestrzeni, gdzie można było wkomponować uczelnię, szpital czy planowane muzeum sztuki współczesnej.

Ale całkowicie zniwelowano teren nie pozostawiając jednego drzewa, a następnie wybudowano kolejną

galerię handlową, architektoniczny knot przypominający tragicznej pamięci halę katowickich targów. Wsiadający na krakowskim dworcu na powitanie widzą magazynowe zaplecze Galerii Krakowskiej. Mieszkam bardzo blisko i ten bez troski stosunek do przestrzeni dotyka mnie osobiście.

Media opowiadają o aferach, korupcji, transferach polityków, gwiazd telewizyjnych i piłkarzy. Rzecz w tym, że problemem mnie dotyczącym szczególnie boleśnie jest degradacja przestrzeni, agresywna brzydota. To tylko przykład rozmijania się hegemonicznych dyskursów mediów, ich hierarchii z moją wrażliwością. To co dla mnie ważne, ulega w ten sposób deprecjacji. Dla mnie istotniejsze od korupcji w PZPN są wyrzucane

w okolicach wejścia do Doliny do Białego butelki i puszki po konkursach skoków na Krokwi, zasypane butelkami Planty po meczach. Korupcja jest wszędzie natomiast przyzmy śmieci porzuconych w podwarszawskich laskach nie mają odpowiednika; podwazyngtońskie lasy Camp David są czyste, las Diesierito de los Leones, miejsce masowo odwiedzane przez mieszkańców ponad 20-milionowego miasta Meksyk też nie jest tak zaśmiecone.

Problemem pierwszym dla mnie nie jest bezpieczeństwo, prywatyzacja służby zdrowia czy walka z korupcją. Czy jestem dziwakiem, że dręczy mnie fatalizm godzenia się z brzydotą, tandetą architektury nowych świątyń i galerii handlowych, sztampa papieskich pomników i epidemia brukowania każdej wolnej przestrzeni kolorową betonową lub spiekana kostką? Nie mogę znieść, gdy wokół odremontowanych zakopiańskich pensjonatów zieleń zastępują aseptyczne brukowe mozaiki.

Współczesny krytyczny dyskurs o Polsce będzie miał znaczenie jedynie pod warunkiem oderwania się od agendy tematów nośnych medialnie, od wyznaczonej przez partyjne sztaby politycznej debaty, w której stanowiska można mierzyć słupkami preferencji. W naszej młodej demokracji nastąpiło utożsamienie opinii mediów z opinią publiczną.

Istotnościowy namysł nad Polską nie może sobie pozwolić narzucić tematów ani przez media, ani sterowaną partyjnymi interesami medialnej atrakcyjności polityczną debatę. Mówienie o Polsce jest dziś możliwe tylko z perspektywy całkowicie indywidualnej, ponieważ pozwala nam odkryć to, co umyka mediom i w konsekwencji polityce partyjnej i parlamentarnej. PRL to nie teczki IPN, ale wiersze poetów Nowej Fali, reportaże Hanny Krall i Ryszarda Kapuścińskiego, proza Wiesława Myślińskiego, malarstwo Dudy Gracza, Edwarda Dwurnika i Wprostowców, rzeźby Jerzego Beresia i Władysława Hasiora, *performance* Beresia, Zbigniewa Warpechowskiego czy Ewy Partum. To samo dotyczy chwili obecnej.

Wszechobecna natarczywość i perswazyjność tematów narzucanych przez media i partie w debacie publicznej o Polsce sprawia, że indywidualna perspektywa traci na znaczeniu. Skutecznie bronią jej jeszcze poeci, usiłują ją zakłócić swoimi tekstami tacy autorzy jak Bronisław Łagowski, Andrzej Mencwel, Andrzej Romanowski, Małgorzata Szpakowska czy Jan Woleński. Każdy z wymienionych autorów stara się bronić nie abstrakcyjnej suwerenności Polski, ale konkretnej suwerenności własnej wrażliwości jako jej obywatela tu i teraz. Wspólnota ich postaw nam umyka. Zauważamy u nich różnicę perspektyw, hierarchię trosk i sprzeciw. Ale wspólne jest podnoszenie spraw, które nie poddają się sondażom opinii.

Książka Pawła Kozłowskiego i Andrzeja Walickiego *Z Polski i o Polsce. Korespondencja z lat 2004-2006* to wręcz paradygmat tej postawy, co podkreśla już sam tytuł akcentujący umiejscowienie perspektywy i jej czas. Ważne jest także słowo „korespondencja”. W wypadku pierwszego z autorów to poszukiwanie i dowartościowanie indywidualnych perspektyw zaznaczyło się już w niezauważonym zbiorze rozmów Andrzeja Bernata i Pawła Kozłowskiego z kilkunastoma polskimi intelektualistami zatytułowanym *Życie*

z Polską (Warszawa 2004; pierwodruki ukazywały się w „Nowych Książkach”).

Dawno, bardzo dawno temu, przed tym co Jose Ortega y Gasset określił jako „bunt mas”, a co oznacza abdykację indywidualnych perspektyw na rzecz mających lub mogących liczyć na akceptację mas i massmediów, istniały elity, do których np. Bolesław Prus adresował swoje *Kroniki* i niepokoje związane ze *status quo*. Kiedy elity znikły lub ich wpływ na kształt debaty publicznej i władzę stał się iluzoryczny, zastąpiony nieco wyniosłym autyzmem tzw. salonu, postawa ta znalazła ostoję w sprywatyzowanej formie wymiany myśli, jaką jeszcze do niedawna była epistolografia. Nie przypadkiem najpełniejszy wyraz suwerenności myślenia o Polsce i Europie w pierwszych dekadach po II wojnie odnajdujemy w korespondencji Jerzego Stempowskiego. Dzisiaj internet nieco modyfikuje tradycyjną epistolografię, ale jednocześnie stwarza nowe szanse.

Punktem wyjścia liberalnej krytyki *status quo* była wiara w edukowalność opinii publicznej. To stanowiło dla jej największego teoretyka Waltera Lippmana *conditio sine qua non*. Kiedy wiara ta uległa daleko posuniętej erozji, zastąpiona przez skuteczne politycznie manipulowanie i wykorzystywanie tej opinii, musiała nastąpić zapaść nie tylko liberalnej inteligencji ale także roli integralnego intelektualisty w tym znaczeniu, jakie nadał temu pojęciu Antonio Gramsci. Dziś spadkobiercą integralnego intelektualisty Gramsciego może głosić się specjalista od politycznego marketingu.

Nie znaczy to, że środowiska lewicowej liberalnej inteligencji nie próbowały podejmować prób obrony swojej pozycji spolegliwego pedagoga tak istotnej dla emancypacyjnego projektu. Odbywało się to jednak nie poprzez pluralizację indywidualnych perspektyw, ale zwieranie szeregów, które miało zapewnić skuteczność terapii opinii. Dotyczy to zwłaszcza środowiska „Gazety Wyborczej”. Modne stało się jego krytykowanie, czynią to też autorzy tej książki, zwłaszcza Kozłowski. Ale rozsiane po tekście jego sceptyczne uwagi pokazują całkowitą bezprzedmiotowość krytyki najczęściej zbudowanej na resentymencie skarg z „doliny nicości”. W wypadku Kozłowskiego krytyka „GW” zmierza w zupełnie innym kierunku, wymierzona jest w traktowanie i redukowanie konkurencyjnych perspektyw, ogłódów spraw polskich do symptomu czegoś innego. Zdecydowana większość tekstów polemicznych „GW” wobec istotnych dla Polaków spraw polegała nie na prezentacji własnego poglądu, ale redukcji poglądów innych do symptomów nietolerancji, antysemityzmu, populizmu, a najczęściej czegoś, co ogólnie można określić jako „zapóźnienie cywilizacyjne”, a czego przejawem był *homo sovieticus*, „postawa roszczeniowa” czy ucieczka od podmiotowości i wolności. „GW” w psychicznych oporach wobec modernizacji widziała jedynie relikty przeszłości. Wbrew pozorom koncepcja ta nie wpłynęła na powstrzymanie dyskursu prawicowego i konserwatywnego. Doprowadziła natomiast do paraliżu dyskursu na lewicy, która odżegnując się od ideologii jako reliktu przeszłości podniosła „brak ideowości do zasady naczelnej przetrwania po 1989 roku”. Skazana na zewnątrzsterowność (Kozłowski posługuje się terminologią Davida Riesmana z *Samotnego tłumy*) lewica „kieruje swoje kroki patrząc na innych, a nie przed siebie”.

Taka postawa przygotowała grunt dla się hegemonii dyskursu prawnicowego, gdzie konflikty interesów (to dopowiada już Andrzej Walicki) zastąpiono konfliktem tożsamości. Polityka tożsamości znalazła już w zaraniu transformacji uzasadnienie w koncepcji *homo sovieticus* księdza Józefa Tischnera. W dużym skrócie można określić ją jako pewną technikę erystyczną pozwalającą każdy krytyczny głos w kwestii dokonującej się lawinowo transformacji zbagatelizować jako spadek, pozostałość rzekomo ukształtowanej w latach PRL „postawy roszczeniowej”. Dziś, z perspektywy niemal dwóch dekad widzimy, że pierwsze lata transformacji charakteryzowało całkowite wygaśnięcie postaw roszczeniowych, zwłaszcza w porównaniu z końcówką PRL.

Jakkolwiek sam Tischner jednak wycofał się ze swojej koncepcji *homo sovieticus*, nie można zaprzeczyć, że był zacznym epidemii stygmatyzacji, poszukiwania głównych przeszkód w rozwoju społecznym i gospodarczym w rozmaitych reliktach mentalnych tzw. komuny. Jeszcze kilka miesięcy temu, przed światowym kryzysem, każdy przeciwnik deregulacji mechanizmów gospodarczych i finansowych był socjalistycznym reliktem. Tak rozpoczęła się stygmatyzacja agentów, komuchów, oligarchów, bywalców warszawskiego salonu, moherowych beretów.

Rzeczywiste konflikty interesów zastąpiła „iluzja zasadniczej zgodności interesów pracy i kapitału”. Inteligencja polska zamiast je ujawniać, uległa presji zapewnienia sobie „politycznie poprawnej tożsamości” łudząc się, że zapewni jej to utrzymanie statusu. „Ale jeszcze smutniejsze jest to – pisze Walicki – że przebieg naszej transformacji dostarczył też argumentów na rzecz teorii Wacława Machajskiego, polsko-rosyjskiego rewolucjonisty, byłego członka PPS i przyjaciela Żeromskiego. Dowodził on, że inteligencja, czyli »posiadacze kapitału umysłowego« dąży do zdobycia pozycji nowej klasy rządzącej i właśnie dlatego przenika do ruchu robotniczego, stając na jego czele i wykorzystując go dla własnych egoistycznych celów”. W tym kontekście hegemonia w dyskursie publicznym kwestii tożsamości i jej uwikłania (lub zerwania) w przeszłość jest niczym innym jak tylko chybioną próbą obrony statusu.

Tymczasem status ten, zgadzają się obaj autorzy, nie polega na takim czy innym rodowodzie, uwikłaniu w przeszłość, ale na zdolności artykułowania rzeczywistych konfliktów interesów i ewentualnej mediacji. W kwestii tożsamości mediacja jest niemożliwa. Syn KPP-owca nie zmienia ojca, tak jak nie zmienia go syn tajnego współpracownika tajnych służb PRL, nawet gdy napisze na niego pośmiertny donos. W kwestii tożsamości mediację mogą zastąpić jedynie egzorcyzmy. I tak w debacie publicznej dyskusję zastępuje stygmatyzacja. Racja i prawda mają być ufundowane na tożsamości. Ewangeliczne wezwanie „prawda was wyzwoli” zamienia się w nakaz „przyznaj się”. Ale do czego? W czasach realnego socjalizmu Podhale było regionem najwyższego upartyjnienia między Łabą do Władystokiem. Wielu górali, dziś przeważnie głoszących na partie prawnicowe, może o sobie powiedzieć „komuch nie-komuch”, tak jak mówi o sobie Imre Kertész: „Żyd nie-Żyd”.

Zaprezentowane w książce rozważania mają sporo uroku wtajemniczenia w wątpliwości, które zdradza się tylko obdarzanemu pełnym zaufaniem jako mistrzowi. Paweł Kozłowski, socjolog wyjątkowo przenikliwie obserwujący teraźniejszość, preferujący synchronię zwraca się do wirtuoza ujęć diachronicznych, historyka idei Andrzeja Walickiego. Najdziwniejsze, że to właśnie od niego otrzymuje wsparcie dla rozpatrywania teraźniejszości jako obdarzonej zdecydowanie większym polem autonomii aniżeli chciałyby to widzieć media tłumaczące w skrajnym przypadku przegrany mecz tym, że w PZPN-ie rządzą działacze ukształtowani w PRL, co ostatnio obśmiał Jerzy Pilch. Walicki może nie jest tak skrajny w zbrzydzeniu sobie ugruntowanych na historyzmie resentymentów jak Fryderyk Nietzsche w *Niewczesnych rozważaniach*, ale zapewne bliskie byłyby mu słowa Anskiego z *Zagłady Galicji*: „Złe uczynki martwych rąk są czasem daleko straszliwsze niż złe uczynki spełniane przez ręce żywe”.

Oparty na dogrzebywaniu się tożsamości niezmaconej i stygmatyzacji hegemoniczny dyskurs doskwiera obu autorom. Ale zarazem najbardziej opresyjny dyskurs kreuje nisze, gdzie możliwa jest artykulacja indywidualnej, osobistej perspektywy. Bronią się tym, że mimo pozytywnej faktyczności nie dają się wykorzystać dla legitymizacji lub delegitymizacji czegokolwiek. Tworzą nieco marginalną sferę komunikacji pozamedialnej. Agresywności pytania „Co z tą Polską?” będącego kwintesencją zadaniowej wersji patriotyzmu (krytykował ją już Mikołaj Rej w *Spólnym narzekaniu wszej Korony*, obśmiewał Karol Irzykowski) przeciwstawiają analizy miejsc krystalizacji konfliktów.

Apodyktyczny dogmatyzm hasła „prawda was wyzwoli” zastąpiony został skromniejszym ale trudniejszym wezwaniem „myślenie może pomóc”, przy czym autorzy nie szukają jakiejś arbitralnej „prawdy”, przed którą wszyscy pokłonią głowy i jej depozytariuszom dadzą się prowadzić jak barany. Autorzy wiedzą, że myślenie i rozumienie stymuluje raczej różnice („różnię”, jakby powiedzieli postmoderniści) aniżeli ujednoczenie.

Perspektywa Kozłowskiego jest bardziej socjologiczno-ekonomiczna, Walickiego bardziej uwikłana w krajobraz idei filozoficznych. Powstała książka prezentująca nieco liryczny model patriotyzmu, a więc trochę melancholijna. Ale zarazem przepełniona empatią i pokazująca, że kolejne fale medialnego rwetu nie porywają wszystkich jak tsunami. Ciągłe możemy samodzielnie myśleć o naszym tu i teraz, a to, że tylko z niewieloma możemy to dzielić, nie jest chyba najważniejsze. Prawdziwa wymiana poglądów to uczenie się samotności, wartości indywidualnego doświadczenia wyrykającego się każdej próbie instytucjonalizacji pamięci i zamykania jej w konsekwentną pamięć zbiorową. Media, partie czy nawet polityka mogą bez tego istnieć, ale mądra wspólnota już nie.

ADAM KOMOROWSKI

Paweł Kozłowski, Andrzej Walicki, *Z Polski i o Polsce. Korespondencja z lat 2004 – 2006*, Wydawnictwo Uniwersitas, Biblioteka „Kuźnicy”, Kraków 2007, str. 186.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

POLITYKA JAKO SAMOGRANICZENIE

Andrzej Walicki przedmowę do książki Bronisława Łagowskiego pt. *Pochwała politycznej bierności* zaczyna następująco: „Bezsporne jest chyba, że prof. Bronisław Łagowski należy do najznamienitszych publicystów polskich”. Mój sąd jest mniej wyważony. Sądzę, że Łagowski istotnie jest wybitnym publicystą. Uważam go jednak przede wszystkim za najlepszego – wśród żyjących – filozofa polityki piszącego po polsku. Może obok Andrzeja Walickiego, ale ten jest przede wszystkim akademickim badaczem idei: historycznych i współczesnych. Problematyką polityki zajmuje się w ramach szerszej naukowej perspektywy, Łagowski zaś od dawna koncentruje się na samej filozofii polityki.

Nieprzypadkowo wymieniam te dwa nazwiska obok siebie. Andrzeja Walickiego i Bronisława Łagowskiego wiele łączy. Wyróżnia ich przede wszystkim niezależność myśli. A także konsekwencja, oparcie myśli na ich wewnętrznej logice, nie zaś na akceptacji przez krąg społeczny. Łagowski (znowu podobnie jak Walicki) jest outsiderem i insiderem zarazem. Nie ulega presji zbiorowych nastrojów, choć je zna. Nie podporządkowuje się zaleceniom aktualnej poprawności towarzyskiej, choć wie o nich dużo. Nie milczy, by się nie narazić, choć zarazem nie mówi tylko po to, by zaimponować odwagą. Nie namawia innych do heroizmu w walce, ale sam daje przykład nieuległości rozumowi. Stawia prawdę nad mitem i obowiązki człowieka rozumnego nad nawoływaniem do dawania zbiorowego świadectwa. Wolność wewnętrzną uważa za podstawę swobody zewnętrznej. Woli wysiłek pracy niż wzniosłą ekspansję uwolnionego *ego*. Podmiotowość i odpowiedzialność przypisuje jednostce, nie kolektywowi. Historię postrzega jako źródło wiedzy i zbiór faktów, a nie jako etyczne uzasadnienie teraźniejszości czy przyszłości.

Łagowski ma partnerów w prowadzeniu przemysłów, sam szuka nauczycieli. On czyta – to widać – klasyków, tych ze starożytności, a także innych, późniejszych – tych którzy przetrwali próbę czasu i więcej mówią o nas, niż na ogół robimy to sami o sobie. Łagowski zresztą „ogółu” nie lubi, choć respektuje suwerenność tworzących go ludzi do wyboru własnej drogi życia. Z klasyków czerpie wiedzę, mądrość, a także rodzaj kontaktu ze światem oraz styl. Nie interesują go oznaki powierzchowne, doraźnie rozpowszechniane ustalenia – on sięga głębiej, by znaleźć się jak najbliżej istoty rzeczy. Umiejętnie posługuje się też językiem, który ma wyrazisty, ostry i przenikliwy. A także niepowtarzalny, z nikim we współczesnej polszczyźnie niepodzielany. Łagowski pokazuje, że można pisać ładnie, a zarazem

zwięźle i precyzyjnie. Czasem również dowcipnie i ironicznie, a dla czytelników bardziej wyrobionych w lekturze także z odniesieniami do innych tekstów i z aluzjami do sytuacji.

Ta książka Bronisława Łagowskiego jest – podobnie jak poprzednie – zbiorem tekstów wcześniej już publikowanych. Tworzy jednak całość, właśnie dzięki właściwościom stylu myślenia i pisania autora. Teksty w niej zamieszczone dzieli ćwierćwiecze, a nie można powiedzieć, że któryś z nich pachnie starością. Wszystkie są świeże. Najstarszy został pierwotnie wydrukowany w 1973, najmłodszy w 1997 roku, a każdy z nich jest współczesny. Bardzo dobrze to o nich świadczy, ale zarazem źle o świecie, do którego się odnoszą. Prestrogi w nich zawarte nie straciły na aktualności, a przepowiednie zakamuflowane lub prawie wprost wyrażone albo już się ziściły, albo się właśnie realizują. Łagowski choć unika profecji i takiej lub innej futurologii, to odkrywając fundamenty polityki pokazuje także jej kierunek ruchu. Jest wyjątkowo rzetelnym analitykiem i krytykiem polityki polskiej, poważnie ją traktuje i oddziela od prowadzonych na jej terytorium zabaw, gdzie wygląd towarzyszy kiepskiemu aktorstwu i reakcjom publiczności ukształtowanym przez widowisko „tańczyć każdy może”.

Tytuł książki jest zarazem tytułem jednego z jej rozdziałów, który dodatkowo zaopatrzony jest w zdanie: „Rozważania na marginesie Arystotelesowskiej koncepcji demokracji”. Autor czyta Arystotelesa i przygląda się demokracji, jej naturze i jej zepsutym, rozmaitym wcieleniom. Przestrzega zwłaszcza przed polityzacją świata, występuje przeciwko wszechobjmującemu zakresowi polityki, zwraca uwagę, że rzecz nie w tym, by zastąpić jedną pochłaniającą wszystko politykę inną, ale by zmienić jej charakter i znacznie zawęzić przestrzeń oddziaływania. Tyrania może być bowiem zarówno jednostkowa, jak i masowa, wyrastać zarówno z dyktatu pojedynczego człowieka, jak i z presji zbiorowego „Ja” rozpolitykowanego ludu. Jej ekspansję muszą hamować ograniczenia mieszczące się w demokracji – ustroju, który realizm nakazuje zaakceptować. Ustrój arystokratyczny mógłby być co prawda lepszy, choć niesie on ze sobą ryzyko. Ale i tak nie ma powodu, by poważnie brać go teraz w całości pod uwagę.

Demokracja nie jest doskonała i może się degenerować. Ograniczeniem jej wyrodnienia jest klasa średnia, ona właśnie powinna być decydującym segmentem struktury społecznej. Dlatego że ta właśnie część społeczeństwa charakteryzuje się apolitycznością, jej

członkowie nie pasjonują się walką o władzę, nie ingerują w sprawy innych, nie ulegają woluntaryzmowi, a także nie dążą do podporządkowania polityki i prawa swojej lub jakiejś innej wyróżnionej woli. Nie są tak silni, by narzucać swe chęci innym, ale tyle już ważą, że mają co stracić. Nie kształtują więc życia na modłę heroiczną. Tonizują całość formując ją w społeczeństwo klasy średniej (używam terminologii socjologicznej), właściwe teraz krajom tzw. starej Europy. Powtórzmy: polityka nie może mieć szerokiego zakresu, a także musi być przez sprawujących władzę traktowana jako obowiązek. Ma podlegać utrwalonemu prawu i odwiecznym zwyczajom, a nie doraźnym uchwałom zgromadzeń ludowych. Łagowski przywołuje tu wprost Arystotelesa: „Stuszenie więc (...) można podnieść zarzut, że taka demokracja w ogóle nie jest ustrojem, bo gdzie prawa nie rządzą, tam nie ma ustroju”. Na końcu tego rozdziału autor umieszcza puentę, która należy zarazem do kluczowych elementów jego filozofii politycznej: „Dziedziną samorealizacji jednostki jest życie prywatne, polityka natomiast jest dziedziną samoograniczenia się”. Kraj, w którym Łagowski żyje, jest jednak inny.

Autor znajduje się w dwóch kręgach: konserwatywnej i liberalnej filozofii politycznej. Daleki jest od tradycji myśli socjalistycznej, a zwłaszcza od obecnego w niej idealizmu i utopii. Odrzuca gospodarkę socjalistyczną, której podstawą są mrzonki, utożsamia się z jej krytyką przeprowadzoną przez Friedricha Hayeka. Ale podążając za autorem *Drogi do zniewolenia* sam ulega utopijnej pokusie. Pisze: „Rynek jest prawie cudownym porządkiem”, a więc (prawie) wszechmocnym, doskonałym i wszechobecnym. W napisanym czternaście lat później postuluje Łagowski stwierdza, że odwołał się do Hayeka, by „radykałnie, nie wchodząc w niuanse, zanegować socjalistyczne myślenie o gospodarce”. Dziś zapewnia zarazem: „Odrzucam z pozycji konserwatywnych (...) dedukcyjne wywodzenie polityki gospodarczej z doktryny tak liberalnej, jak jakiegokolwiek innej”. Tyle że spostrzeżenie o nadprzyrodzonej właściwości rynku teraz wznawia, a wcześniej przekazał nam w 1994 roku, gdy na świecie nie przeciwstawiano już jego twórczej białej mocy diabelskiej sile niszczenia centralnego planowania. Tego ostatniego od dawna nikt nie broni, a destrukcyjne cechy wolnorynkowego absolutyzmu stały się widoczne nawet dla ludzi postępujących się tylko jednym okiem. Mogli oni spostrzec, że dla ustroju i polityki zagrożeniem jest teraz przede wszystkim nie wszechobecność i dowolność zbiorowej woli ludu, ale właśnie wolny rynek rozrywający zarówno klasę średnią, jak i prowadzący do dysharmonii w skali świata i redukujący społeczeństwo do walorów efektywnościowych.

Historyczni klasycy i współcześni apologety wolnego rynku wierzyli, że wyjątkowe cenne właściwości samoregulującego się rynku przyczynią się do powstania w stosunkach międzynarodowych zrównoważonego porządku. Współpraca i powszechne korzyści zastąpią dążenia silnych militarnie do dominacji, a gospodarcze partnerstwo wyprze polityczną zależność. Gospodarka rynkowa w świecie miała być otwarta, dostępna dla każdego, z równorzędnymi regułami dla wszystkich i nienaruszalnymi przez kogokolwiek. Ład oparty na wolnym rynku miał też być zdecentralizowany, pozbawiony jakiegokolwiek nadrzędnego ośrodka władzy,

bez ujednoczających wierzeń politycznych i wszelkich innych, bez misji nawracania i szerzenia tzw. dobra. Jeśli regulowany, to tylko negatywnie, niczego nienarzucający. Wolny rynek miał zbliżać ludzi i narody, agresję zastępować współpracą, konflikty przekształcać w grę. W skali globalnej stawał się realną – zdaniem wierzących w jego cudowną prawie moc – podstawą pokojowego ładu. Ideowi wolnorynkowcy byli pacyfistami. Nastawione pokojowo, otwarte, spontanicznie rozwijające się i kooperujące z innymi rynkowe społeczeństwo industrialne przeciwstawiali wojowniczymu, zamkniętemu i kierowanemu społeczeństwu militarnemu. Trudno jednak wskazać tu empiryczne egzemplifikacje, bo rzeczywistość nigdy, ani kiedyś, ani teraz nie dorosła do takich typologii.

Piszę te zdania w 2008 roku: w świecie, w którym konflikty stają się chaotyczne, walki narastają, a ich źródłem jest właśnie gospodarka: dostęp do surowców, zwiększenie podaży własnej, szukanie sposobów zaspokojenia popytu, dystrybucja itd. Dzisiejsze konflikty są pokłosiem globalizacji, której współczesna postać (z końca XX wieku) oparta jest na wolnym rynku rozszerzonym na całą Ziemię, a w miarę możliwości także na wszechświat. W światowej gospodarce decyduje siła lub groźba jej użycia. Globalny rynek wyzwała nastroje wojownicze, a nie pokojowe – zupełnie inaczej niż w marzeniach wolnorynkowców. Czy rzeczywiście, jak Łagowski pisze w innym miejscu (milcząco odwołując się do znanych teoretyków racjonalności), „mechanizm rynkowy jest mimo wszystko najlepszą szkołą poprawnego myślenia”?

W Polsce po 1990 roku mechanizmu rynkowego jest najwięcej od ponadpółwiecza, a czy poprawnego myślenia również przybyło? Pytanie to traktuję jako retoryczne, ale jeśli skierować je do sfery, którą Łagowski bada, czyli polityki, a zwłaszcza polityki zagranicznej jako najbardziej zależnej od samej myśli, to odpowiedź na nie jest kontrastowa: poprawnego myślenia ubyło. Dowodzi tego w tej i w innych swoich książkach również autor. Wolności zagraża nie tylko tyrania urzędnika gospodarującego, ale także tyrania wolnego rynku i jego nastroju. Sztuka polega nie na zastępowaniu jednego drugim, ale na znajdowaniu najlepszego połączenia zalet rynku z regułami zewnętrznymi wobec niego, a więc na osiągnięciu równowagi opartej na ograniczających się wzajemnie czynnikach jednego i drugiego rodzaju. Ostatnie dziesięciolecie ubiegłego wieku nie pasowało już do diagnozy Hayeka, utopia „prawie cudownego porządku rynkowego” dominowała za długo i w ogóle niepotrzebnie.

Przede wszystkim stosunek do gospodarki oraz jej roli w społeczeństwie i w ustroju różni mnie – jeśli się nie mylę – od Bronisława Łagowskiego. Reszta czasem dzieli mało, a na ogół w mniejszym lub większym stopniu łączy. Poznają jego twórczość zawsze z wyjątkową przyjemnością estetyczną i z pożytkiem intelektualnym, bo warto czytać tylko mądrzejszych od siebie. Takie książki, których samemu by się nie napisało.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

Bronisław Łagowski, *Pochwała politycznej bierności*, Wydawnictwo Sprawy Polityczne, Elbląg 2008.

JERZY PIEKARCZYK

PARADA UŚMIECHÓW

Podobno Adam Bielan, który dba z urzędu o wizerunek prezydenta Kaczyńskiego, przebywał w okolicach Waszyngtonu, aby podpatrywać amerykańskie rozwiązania stosowane w tamtejszej kampanii prezydenckiej. Z dotychczasowej obserwacji wynika, że podstawową cechą, która decyduje, kto będzie kolejnym lokatorem Białego Domu, jest zasada *keep smiling* wspomagana reklamą pasty do zębów. Oczywiście jest to wsparte szeregiem innych czynników kształtujących wizerunek kandydata, którego atutem nie może być wyłącznie umiejętność szczerzenia zębów w uśmiechu przyklejonym do twarzy.

* * *

Przed laty dr Laurence Peter w swej książeczce przestrzegał przed dążeniem do osiągnięcia szczytu własnej niekompetencji, do czego może prowadzić kariera zawodowa lub polityczna. Świadomość o co chodzi w *zasadzie Petera*, pozwala nam przyglądać się rzeczywistości z dystansem wiedząc, że w dążeniu do zaspokojenia wygłodniałej ambicji każdy kiedyś przekroczy granice własnej kompetencji i jest to zasada prosta jak konstrukcja cepa. Często mówiono, że rządy ambitnych powinno się zastępować rządami ludzi kompetentnych. W praktyce jednak w kolejce do władzy ustawiają się zazwyczaj ambitni, którzy po zakończeniu swej misji nawet nie powiedzą: przepraszam, chciałem dobrze, ale znów mi nie wyszło.

Czy Polska będzie poważnym partnerem, czy tylko inspiracją krążących po Europie dowcipów zależeć będzie od tego, czy nad Wisłą politycy potrafią się porozumiewać ze sobą językiem zrozumiałym dla siebie, społeczeństwa i reszty świata, czy będą tylko kopać się po kostkach sięgając do metod zapamiętanych z zabaw w piaskownicy.

Wizyta „naszych” w Brukseli raz jeszcze dowiodła, że jak się ma nadmiernie rozbudowane *ego* robi się z tego bardzo duży kłopot. Stąd pewnie wziął się festiwal uśmiechów podczas wyprawy premiera z prezydentem na szczyt państw Unii Europejskiej, która wzbudziła emocje, o jakich się chyba najstarszym góralom nie śniło.

* * *

Bohater powieści Wiktora Hugo wcale nie jest wesołym człowiekiem, a przecież jest tytułowym „człowiekiem śmiechu”. Dla ludzi przyzwyczajonych do marsowego wyrazu twarzy prezydenta Kaczyńskiego, ukierunkowanego do tej pory bardziej w stronę „cudu nad Wisłą” czy powstania warszawskiego, byłto pewnienszok. Rozbawienie prezydenta RP mogło znowu rozbudzić podejrzenia posła Palikota, że wesołość u człowieka do tej pory stonowanego w swoich emocjach wynikać może z pobudek zupełnie innych niż dobre samopoczucie, pogoda ducha i życzliwość wobec wszystkiego, co się rusza. Z czasem okazało się, że była to wesołość wymuszona potrzebą „ocieplania wizerunku” prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ocieplać, nie znaczy jednak eksponować w mediach głowę państwa owiniętą kołderką, lecz okazywać zadowolenie przy każdej

okazji, nawet jeśli nikomu nie jest do śmiechu. Nawet gdy jutro niepewne i kryzys puka do drzwi, ma być *keep smiling* i już.

Wzorów do kreowania właściwego wizerunku prezydenta III RP nie było w nadmiarze. Co ja mówię – w nadmiarze? W ogóle nie było. Uśmiech generała Jaruzelskiego był więcej niż oszczędny, jak to u mundurowych; Wałęsy był i będzie nie do podrobienia, jak cała jego osobowość, na którą ma *copyright*; uśmiech Kwaśniewskiego brał się z naturalnego luzu, jaki obowiązywał w środowisku studenckim, z którego się wywodził. Jeżeli „uśmiech żoliborski” dziedziczony jest razem z pochodzeniem, wygląda na to, że był nim do tej pory grymas świadczący o wątpliwym zadowoleniu pana prezydenta z roli, w jaką go wrobił bliźniak, który teraz z tylnego siedzenia pilnuje, aby brat nie zboczył z kursu. Świadomie piszę w czasie przeszłym, gdyż metoda Bielana, czy jak ją tam nazwiemy, doprowadziła do tego, że uśmiech zaczął prześladować Lecha Kaczyńskiego; więcej nawet – prezydent staje się niewolnikiem swego uśmiechu. Jeżeli taki uśmiech wzmocnimy poklepywaniem po plecach, które wśród partnerów Unii Europejskiej jest tak naturalne jak „karpik” wśród przywódców byłej RWPG, usłyszymy, jak prezydent radzi się Bielana: mam klepać, czy jeszcze nie? I na wszelki wypadek klepie zaskoczonego takim przejawem sympatii premiera Tuska, z którym się lubią jak pies z kotem. Zastygła w uśmiechu twarz miała oznaczać, że w polskiej ekipie jest wszystko *OK*, a nieporozumienia zdarzają się nawet w kochającej się aż do bólu rodzinie.

* * *

Wizerunek, nad którym pracują kolejni *spindoktorzy* z pałacu Prezydenckiego, spał trochę program *Kropka nad i* w TVN24, w którym Monika Olejnik zrobiła o jeden krok za daleko zadając pytanie sugerujące, że prezydent pozbawiony kurateli premiera wynegocjował niekorzystny dla Polski pakiet klimatyczny. Takich pytań się nie zadaje, bo pochodzą one z repertuaru Donalda Tuska. Ponieważ poddała również w wątpliwość tezę, że szacunek dla prezydenta nie rozciąga się z urzędu na jego brata-bliźniaka, Lech Kaczyński stwierdził, że dziennikarka „reprezentuje określone interesy”. Jakie – nie powiedział nawet po zakończeniu programu. Zagroził tylko, że „stokrotka” pożałuje swoich słów. Od tej chwili Olejnik powinna wiedzieć, że znalazła się na „krótkiej liście” podpadniętych, pewnie obok „tej małpy w czerwonym”, która kiedyś na konferencji prasowej denerwowała docieklivymi pytaniami prezydenta. Gdyby nie fakt, że Lech Kaczyński rozpoczął właśnie kampanię prezydencką, nie byłoby pewnie „niezbyt przyjemnej rozmowy” – jak nazwał wymianę słów szef Kancelarii Prezydenta Piotr Kownacki, który nie był świadkiem, ale twierdzi, że to, co rozpowszechniły media, jest „grubą przesadą”.

Telefoniczne przeprosiny Lecha Kaczyńskiego i 11 czerwonych róż miały załagodzić incydent i pokazać, że żoliborscy dżentelmeni mają swoją klasę.

więcej
wątpię
jestem

KRACH MA WIELKIE OCZY

O wielkim krachu na giełdzie nowojorskiej w 1929 roku pamiętały w ostatnim półwieczu tylko encyklopedie i niektóre podręczniki ekonomii. Najlepszy z możliwych ustrój, jaki zapanował – z nielicznymi wyjątkami – na całym świecie po upadku komunizmu, tą datą się nie chlubi. To bowiem, co się stało 24 października 79 lat temu nie może być dla żadnego ustroju, nawet jeśli to jest miłościwie nam panujący kapitalizm, ani tym bardziej dla jakiegokolwiek doktryny, choćby się ona nazywała neoliberalna, powodem do dumy.

Jednak w tym roku, choć rocznica nie była okrągłą, pamięć wróciła finansistom, maklerom giełdowym, eksper-tom gospodarczym, a także wszechwiedzącym mediom. O tej dacie pamiętały również światowe giełdy, które ją solidarnie uczciły spektakularnymi spadkami. Do świętowania feralnej daty przygotowywały się już od miesięcy, co odczuwały najdotkliwiej fundusze emerytalne i inwestycyjne, które w oczach topniały, a także indywidualni posiadacze akcji z przerażeniem patrzący, jak tracą swoje pieniądze. Zrazu lawina toczyła się wolno, ale kiedy wyszło na jaw, jakie szwindle robiły największe banki na świecie zwłaszcza na rynku hipotecznym, ruszyło tsunami. Podmyło ono fundamenty systemu walutowo-finansowego w skali globalnej, po drodze zmiotając wiele renomowanych banków, a ich liczba byłaby po wielokroć większa, gdyby nie pospieszyły im na ratunek wystraszone rozwojem sytuacji rządy. Do systemu bankowego poszczególnych państw wpompowano niewyobrażalne dla zwykłego śmiertelnika pieniądze, ale jak na razie przyniosło to rezultaty mizerne. Giełdy nadal dołują, banki sobie wzajemnie nie ufają, a ich klienci zaczynają wycofywać pieniądze i rozglądać się nerwowo za ich bezpieczniejszą lokatą. Kryzysowe tsunami, największe – zdaniem Alana Greenspana – w ostatnim stuleciu, przetacza się przez kraje wielkie i małe, bogate i biedne, i końca tego kataklizmu nie widać.

Najgorsze jednak ma dopiero nadejść – czyli ogólnoświatowa recesja. Co się zatem takiego stało, że wszechpotężne banki mają nie mniej potężne manko, rośnie inflacja, a wraz z nią ceny, przybywać będzie znowu bezrobotnych i niezadowolonych, a wizja nowego, tym razem kapitalistycznego raj, urządanego na modłę chicagowską, okazała się kolejną utopią. Do tego się jednak żaden liberał nie przyzna, bowiem na utopie ma monopol tylko lewica. Śmiechom i chichom nie było końca, kiedy ktoś bąknął zaledwie o interwencjonizmie państwowym czy obecności państwa w strategicznych sektorach gospodarki. Nawet koncepcja gospodarki mieszanej budziła politowanie, gdyż zdrowy mechanizm rynkowy działa ponoć tylko wówczas, jeśli jedynym na nim graczem jest kapitał prywatny. A skoro ów mechanizm nie zadziałał, to winne jest oczywiście państwo, którego ciągle w gospodarce za dużo. Toteż skrajni liberałowie mają prostą receptę: żadnej ingerencji państwa, kto ma utonąć, niech utonie, bo najmocniejsi i tak przetrwają i sprawią, że kapitalizm będzie wiecznie żywy.

A że przy okazji miliony ludzi pójdą z torbami, albo będą klepać biedę, to nie nasza sprawa. Tym problemem niech się zajmą socjaliści, którzy – jak wiadomo – na nierównościach społecznych żerują, a niekiedy z tego powodu wygrywają wybory.

Oczywiście retoryka wymierzona w wolny rynek i liberalizm skądś jest znana. Wprawne ucho bez trudu rozpozna w niej echa wiecowych wystąpień Leppera albo Jarka bliźniaka. Ten typ argumentacji uznawany jest w dyskursie publicznym za przejaw populizmu, toteż elity w ramach poprawności politycznej pozostają na nią głuche. A jednak może warto się wstuchać, przynajmniej od czasu do czasu, w *vox populi* i ująć się za owym ludem, jakkolwiek by to dziwnie, po nasłuchaniu się w PRL-u propagandowych frazesów i języka nowomowy, zabrzmiało. W przeciwnym bowiem razie prędzej czy później znajdzie się ktoś, kto frustrację społeczną wyrazi w taki sposób, że będziemy mieli powtórkę z historii. Po wielkim kryzysie taki jeden się znalazł i wiadomo, jak się to skończyło.

W rozmowie „Trzech na jednego”, przeprowadzonej z Jackiem Kuroniem na dwa lata przed jego śmiercią, znalazło się zdumiewające wyznanie. Minister pracy i polityki socjalnej w rządach solidarnościowych nie mógł sobie darować, że przyłożył rękę do „złodziejskiej prywatyzacji”. Użył tego określenia wiedząc, że szermuje nim niejaki Lepper. W podobnej sytuacji jest dzisiaj lewica. I ta z nieprawego łoża, czyli postpezetpeerowska, i ta, co się wywodzi z opozycji demokratycznej, w części też skażona ukąszeniem heglowskim, jak również żadne władzy młode wilki, którym historia oszczędziła trudnych wyborów, ale być może już niebawem przed nimi staną. Po tym co się stało, na kapitalizm i liberałów sypią się gromy. Atakują przede wszystkim radykałowie z lewa i z prawa. W imię poprawności politycznej, zwłaszcza w Polsce, po eksperymencie pod nazwą realny socjalizm nie wypada się do nich przyłączać. Ale lewicy, tej odpowiedzialnej i aspirującej do ponownego przejęcia władzy, nikt nie zwolni z krytycznej analizy tego, co się dzieje na rynkach finansowych i w gospodarce światowej. I nie chodzi o to, aby kwestionować prawa rynku, popytu i podaży czy obecności na nim prywatnego kapitału. Chodzi o to, aby państwo reprezentujące interesy wszystkich jego obywateli miało kontrolę nad instytucjami, w tym przypadku finansowymi, które się wyalienowały, mówiąc po marksowsku, i nad procesami, które zaskakują nawet tych, co je uruchomili. Znamienne jest tu wyznanie samego Greenspana. Guru światowych finansów przyznał się co prawda do winy, ale z rozbijającą szczerością oświadczył, że nie ma pojęcia, jak owe tsunami powstrzymać.

Wygląda więc na to, że reformować trzeba będzie także kapitalizm, choć po doświadczeniach z socjalizmem czarno widzę.

SCEPTYK

Pogrążeni w żałobnej zadumie
żegnamy

MIECZYŚŁAWA F. RAKOWSKIEGO

męża stanu

twórcę i redaktora naczelnego „Polityki” oraz „Dziś”,
polityka przez ponad pół wieku związanego
z żywotnymi problemami polskiej i europejskiej lewicy.

W Jego intelektualnej odwadze znajdowaliśmy zawsze
bezwarunkowe wsparcie w naszych poszukiwaniach
rzetelnych odpowiedzi na trudne współczesne pytania.

Rada i członkowie Stowarzyszenia „Kuźnica”

Z głębokim żalem żegnamy

MIECZYŚŁAWA F. RAKOWSKIEGO

redaktora naczelnego tygodnika „Polityka” (1958-1982) oraz miesięcznika „Dziś”,
wybitnego publicystę i diarystę, znawcę i komentatora spraw międzynarodowych,
dziennikarza i polityka, który był symbolem reformatorskiego nurtu polskiej lewicy.

Dwukrotnie gościł na naszych łamach jako bohater rozmów „Trzech na jednego”.
Trzeciej „rozmowy życia”, na którą się umawialiśmy, już nie będzie.

Zespół Redakcyjny „Zdania”

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,
Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji),

Opracowanie graficzne: Mściwoj Olewicz

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

Wydaje Firma Wydawnicza Trans-Krak s.c. na zlecenie Fundacji „Kuźnica”

Skład komputerowy i łamanie: Arkadiusz Misiuda

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

